

Clive Cussler, Jack Du Brul

STATEK ŚMIERCI

Przekład MACIEJ PINTARA

Clive Cussler, Jack Du Brul

STATEK ŚMIERCI

Przekład MACIEJ PINTARA

Zapewne największy przepływ bogactwa w dziejach ludzkości dokonał się wtedy, gdy czarna śmierć pochłonęła jedną trzecią ludności Europy. Ziemie zostały scalone, co pozwoliło osiągnąć wyższy poziom życia nie tylko ich właścicielom, ale także tym, którzy je uprawiali.

Właśnie głównie to wydarzenie zapoczątkowało epokę odrodzenia i przyczyniło się do zdecydowanej dominacji Europy na świecie.

Rozmnażamy się na własną zgubę: jak przeludnienie zniszczy cywilizację.

Doktor Lydell Cooper, Raptor Press, 1977

Prolog

Morze Barentsa na północ od Norwegii 29 kwietnia 1943 roku

Jasny księżyc w pierwszej pełni po równonocy wisiał nad horyzontem, a jego światło odbijało się oślepiająco od lodowatego oceanu. Zima nie ustąpiła jeszcze miejsca wiośnie i słońce jeszcze nie weszło tego roku. Pozostawało ukryte za krzywizną ziemskiego globu, słabym blaskiem oświetlając linię styku nieba z morzem na obracającej się wokół przechylonej osi planecie. Miało się pojawić w całej okazałości za miesiąc i nie zachodzić aż do późnej jesieni, a potem znów na długo się ukryć. Taki jest osobliwy cykl dnia i nocy za kołem podbiegunowym.

Położone na dalekiej północy Morze Barentsa powinno być skute lodem i nie do przepłynięcia przez większość roku. Ale do morza tego docierają ciepłe wody z okolic równika, tworzące silny Prąd Zatokowy (Golfsztrom). To dzięki niemu w Szkocji i północnych rejonach Norwegii osiedlili się ludzie, a Morze Barentsa nie zamarza i jest żeglowne nawet podczas najmroźniejszych zim. Właśnie dlatego wiódł tamtędy główny szlak konwojów dostarczających broń, pojazdy wojskowe i inne wyposażenie niezbędne do prowadzenia wojny z pracujących niestrudzenie amerykańskich fabryk do walczącego Związku Radzieckiego. I podobnie jak inne szlaki morskie - kanał La Manche czy Cieśnina Gibraltarska - stał się wąskim gardłem, terenem polowań wilczych stad okrętów podwodnych Kriegsmarine i szybkich kutrów torpedowych (Schnellbootów) stacjonujących na wybrzeżach.

U-Booty rozmieszczano z dalekowzrocznością mistrza szachowego przedstawiającego pionki. Każdy strzęp informacji o sile, szybkości i punkcie docelowym konwojów przemierzających północny Atlantyk wykorzystywano do kierowania okrętów podwodnych na pozycje dogodnie do ataku.

Samoloty patrolowe startujące z baz w Norwegii i Danii obserwowały morze w poszukiwaniu skupisk statków handlowych i podawały przez radio ich pozycje dowództwu floty podwodnej, żeby U-Booty mogły czekać w zasadzce na swoje ofiary. W pierwszych latach wojny okręty podwodne panowały niemal niepodzielnie na morzach i bez litości posyłały na dno niezliczone miliony ton ładunków. Mimo silnej eskorty krążowników i niszczycieli alianci niewiele mogli zrobić, poza dokładaniem starań, by na jeden zatopiony statek dziewięćdziesiąt dziewięć docierało do celu. W tej niebezpiecznej grze marynarze floty handlowej płacili równie wysoką cenę jak żołnierze na linii frontu.

Ale nie tej nocy.

Czterosilnikowy samolot Focke-Wulf FW 200 Kondor miał dwadzieścia trzy metry długości i rozpiętość skrzydeł o dziesięć metrów większą. Skonstruowany przed wojną dla Lufthansy jako samolot pasażerski trafił szybko do sił powietrznych, gdzie służył jako transportowiec i maszyna zwiadowcza dalekiego zasięgu. Mógł pokonać odległość czterech tysięcy kilometrów, toteż nadawał się doskonale do wielogodzinnego tropienia alianckich konwojów daleko od lądu.

W roku 1941 brał udział w nalotach, przenosząc pod skrzydłami cztery dwustudwudziestopięciokilogramowe bomby, ale został poważnie uszkodzony i teraz odbywał wyłącznie loty zwiadowcze na takiej wysokości, by nie mogły go strącić alianckie baterie przeciwlotnicze.

Pilot kondora, Franz Lichtermann, był zirytowany monotonnym patrolowaniem pustego morza.

Pragnął służyć w eskadrze myśliwskiej, walczyć w prawdziwej wojnie, a nie kręcić się tysiące metrów nad lodowatymi wodami w nadziei, że wypatrzy alianckie statki, które zatopi ktoś inny. W bazie Lichtermann przestrzegał wojskowej dyscypliny i wymagał tego samego od swoich podwładnych. Ale podczas lotu patrolowego, gdy minuty rozciągały się jak guma, pozwalał pięcioosobowej załodze na mniej formalne relacje.

- To powinno nam pomóc - powiedział przez interkom i wskazał głową oślepiający księżyc.

- Albo odbłyśki na wodzie zamaskują kilwatery konwoju - odrzekł drugi pilot, Max Ebelhardt, wieczny pesymista.

- Na takim spokojnym morzu zauważymy ich, nawet jeśli się zatrzymają, żeby zapytać o drogę.

- A w ogóle czy wiemy, że ktoś tu jest? - zapytał najmłodszy członek załogi kondora, tylny strzelec pokładowy Ernst Kessler. Siedział ściśnięty na końcu gondoli, która biegła pod częścią kadłuba samolotu. Przez pleksiglasową osłonę widział ponad lufą karabinu maszynowego MG-15 tylko to, nad czym już przeleciał kondor.

- Dowódca eskadry zapewnił mnie, że U-Boot wracający z patrolu zauważył dwa dni temu co najmniej sto statków za Wyspami Owczymi - oznajmił załodze Lichtermann. - Konwój płynął na północ, więc powinien być gdzieś tutaj.

- Bardziej prawdopodobne jest to, że kapitan U-Boota chciał zameldować o czymkolwiek, gdy wszystkie jego torpedy chybiły celu - zrzędliwie stwierdził Ebelhardt i skrzywił się po łyku letniej namiastki kawy.

- Chciałbym wypatrzeć te statki i potem je zatopić - odezwał się Ernst Kessler. Spokojny, zaledwie osiemnastoletni chłopak chciał być lekarzem, zanim został powołany do wojska. Pochodził z biednej wiejskiej rodziny mieszkającej w Bawarii, dlatego miał nikłe szanse na zdobycie wyższego wykształcenia, ale cały wolny czas spędzał z nosem utkwionym w czasopiśmie i podręcznikach medycznych.

- To nie jest właściwa postawa niemieckiego żołnierza - upomniął go delikatnie Lichtermann. Był wdzięczny losowi, że jeszcze nigdy nie zostali zaatakowani przez nieprzyjaciela. Wątpił, żeby Kessler zdobył się na otwarcie ognia z kaemu, ale chłopak jako jedyny w załodze kondora potrafił godzinami patrzeć w tył i nie dostawać mdłości.

Lichtermann pomyślał ponuro o żołnierzach ginących na froncie wschodnim i o tym, jak czołgi i samoloty dostarczane Rosjanom odwlekają nieuchronny upadek Moskwy. Sam chętnie posłałby na dno kilka statków.

Minęła następna nudna godzina. Lotnicy sondowali wzrokiem noc z nadzieją, że dostrzegą konwój. Ebelhardt klepnął Lichtermann w ramię i wskazał dziennik pokładowy. Choć funkcję nawigatora pełnił oficjalnie przedni strzelec klęczący z przodu gondoli, to Ebelhardt obliczał czas i wytyczał kurs; teraz sygnalizował, że nadeszła pora, by skrócić i przeszukali inny rejon morza.

Lichtermann przestawił ster kierunku, poruszył wolantem i łagodnie przechylił maszynę na lewe skrzydło, nie odrywając oczu od horyzontu, gdzie księżyc zdawał się przesuwać po niebie.

Ernst Kessler szczylił się tym, że ma najlepszy wzrok ze wszystkich na pokładzie samolotu. W dzieciństwie przeprowadzał sekcje martwych zwierząt znalezionych w pobliżu rodzinnego gospodarstwa, by poznać ich anatomię i porównać to, co widzi, z tym, co pokazano w książkach. Wiedział, że dzięki doskonałemu wzrokowi i pewnej ręce byłby świetnym lekarzem. Wyczulony zmysł pozwolił mu również wykryć konwój wroga.

Siedział tyłem do kierunku lotu, więc nie powinien go dostrzec, a jednak dostrzegł. Kiedy samolot się przechylił, uwagę Ernsta zwrócił nienaturalny błysk, poblask bieli daleko od refleksów księżyca.

- Kapitanie! - krzyknął przez interkom. - Prawa strona, kurs mniej więcej trzysta.

- Co zobaczyłeś? - W głosie Lichtermanna zabrzmiało podniecenie myśliwego.

- Nie wiem, panie kapitanie. Ale coś widziałem. Jakiś błysk. Lichtermann i Ebelhardt wpatrzyli się w ciemność tam, gdzie wskazał młody Kessler, ale niczego nie zauważyli.

- Na pewno? - zapytał pilot.

- Tak - odpowiedział Kessler, starając się, żeby odpowiedź wypadła przekonująco. - Jak skręcaliśmy. Kąt się zmienił i wtedy coś zobaczyłem.

- Konwój? - spytał szorstko Ebelhardt.

- Trudno powiedzieć - przyznał Kessler.

- Josef, włącz radio - rozkazał Lichtermann przedniemu strzelcowi, obarczonemu tym dodatkowym zadaniem. Pilot zwiększył moc silników gwiazdowych BMW i znów skręcił. Ich warkot stał się trochę ostrzejszy, gdy śmigła zaczęły mocniej ciąć powietrze.

Ebelhardt przyciskał do oczu lornetkę i badał wzrokiem poczerńiałe morze. Lecąc w kierunku możliwej pozycji nieprzyjaciela z prędkością trzystu dwudziestu kilometrów na godzinę, powinien zauważyć konwój lada chwila, ale gdy sekundy zamieniły się w minuty i nic nie wypatrzył, opuścił lornetkę.

- To musiała być fala - powiedział bez włączania mikrofonu interkomu, żeby usłyszał go tylko Lichtermann.

- Poczekaj - odparł kapitan. - Kessler widzi w ciemności jak kot.

Siły alianckie dokładały ogromnych starań o stosowanie dezorientującego kamuflażu swoich frachtowców i tankowców, by obserwatorzy przeciwnika nie wypatrzyli ich na powierzchni morza, ale nic nie mogło ukryć obecności konwoju w nocy, gdy kilwatery statków odcinały się białą pianą na tle ciemnego oceanu.

- A niech mnie diabli - wymamrotał Ebelhardt i wskazał przed siebie na to, co ujrzał przez przednią szybę.

Początkowo była to tylko wielka szara plama na ciemnej wodzie, ale gdy się zbliżyli, szarość przemieniła się w tuziny równoległych białych linii, tak wyraźnych jak znaki kredą na czarnej tablicy. Na morzu unosiły się smugi piany za całą armadą, która płynęła na wschód najszybciej, jak mogła. Z wysokości kondora konwój wyglądał jak stado wędrujących słońi.

Samolot zbliżał się do statków, aż wreszcie w jasnym blasku księżyca załoga zaczęła odróżniać wolniejsze frachtowce i tankowce od cienkich kilwaterów niszczycieli, rozmieszczonych niczym pikiety wzdłuż każdej flanki konwoju. Gdy go obserwowali, jeden z niszczycieli wyprzedzał szybko statki z ich prawej burty, a gęsty dym buchał z jego dwóch kominów. Niszczyciel po dotarciu na czoło konwoju znów zwolnił i przepuścił frachtowce. Alianci nazywali tę taktykę „indiańskim biegiem”. Gdy niszczyciel znalazł się na końcu konwoju z katapultowców długości prawie mili morskiej, ponownie przyspieszył. Dzięki takiej taktyce konwoje mogło ochraniać mniej okrętów wojennych.

- Tam musi być ze dwieście statków - ocenił Ebelhardt.

- Wystarczy, żeby zapewnić czerwonym walkę przez miesiące - przyznał pilot. - Josef, jak ci idzie z radiem?

- Same zakłócenia.

Tak daleko za kołem podbiegunowym był to stały problem. Naładowane cząstki trafiające w pole magnetyczne Ziemi i kierowane na biegunach ku jej powierzchni uniemożliwiały prawidłowe funkcjonowanie lamp próżniowych w radiach.

- Zaznaczmy naszą pozycję - powiedział Lichtermann - i podamy ją przez radio, kiedy będziemy bliżej bazy. Hej, Ernst, dobrze się spisałeś. Gdyby nie ty, skręcilibyśmy i przeoczyli konwój.

- Dziękuję, panie kapitanie. - W głosie chłopaka brzmiała duma.

- Chcę dokładniej policzyć statki i zorientować się, z jaką mniej więcej prędkością płyną.

- Tylko nie podchodź tak blisko, że niszczyciele otworzą ogień - ostrzegł Ebelhardt. Brał udział w walkach i latał teraz jako drugi pilot, bo odłamek pocisku z działa przeciwlotniczego utkwił mu w udzie. Zauważył wyraz oczu Lichtermanna i podniecenie w jego głosie. - I nie zapominaj o katapultowcach.

- Zaufaj mi - odparł pilot z zawadiacką pewnością siebie i doprowadził dużą maszynę na mniejszą odległość od wolno płynącej floty. Leciała nad nią na wysokości trzech tysięcy metrów. - Nie podejść zbyt blisko, a poza tym jesteśmy za daleko od lądu, żeby wysłali przeciwko nam samolot.

Katapultowce były odpowiedzią aliantów na niemieckie loty zwiadowcze. Na dziobach frachtowców montowano długą szynę i za pomocą rakiety wystrzeliwano myśliwce Hawker Sea Hurricane, które strącały ociężałe kondory lub nawet atakowały wynurzone U-Booty. Myśliwce nie mogły niestety powracać na statki, toteż musiały operować wystarczająco blisko Wielkiej Brytanii lub innego zaprzyjaźnionego kraju, by piloci mogli normalnie wylądować. W przeciwnym razie musieli siadać na morzu i trzeba było wyciągać ich z wody.

Konwój płynący poniżej fw-200 znajdował się ponad tysiąc mil morskich od najbliższego alianckiego terytorium i mimo księżycowej nocy nie udało się uratować pilota w ciemności. Lichtermann uważał, że tej nocy nie zostanie wysłany z katapultowców żaden hurricane i kondor nie ma się czego obawiać ze strony konwoju, jeśli będzie się trzymał poza zasięgiem baterii przeciwlotniczych na niszczycielach.

Ernst Kessler liczył szeregi statków, gdy nagle na pokładach dwóch eskortujących niszczycieli zamigotały punkty świetlne.

- Panie kapitanie! - krzyknął. - Otworzyli ogień! Lichtermann widział niszczyciele pod skrzydłem.

- Spokojnie, chłopcze - odrzekł. - To lampy sygnałowe. Konwój utrzymuje ciszę radiową, więc porozumiewają się w ten sposób.

- Aha. Przepraszam, panie kapitanie.

- Nic nie szkodzi. Policz statki jak najdokładniej.

Kondor zataczał wolno krąg wokół floty i szybował wzdłuż jej północnej flanki, kiedy Dietz, górny strzelec pokładowy, wrzasnął:

- Nadlatują!

Lichtermann nie miał pojęcia, o czym mówi jego podwładny, toteż zareagował trochę za późno. Doskonale wycelowana seria z karabinu maszynowego kaliber 7,7 milimetra posiekła górną powierzchnię kondora na całej długości, od podstawy statecznika pionowego do dziobu. Dietz zginął, zanim zdążył nacisnąć spust. Pociski podziurawiły kokpit. Przez odgłos ich rykoszetów od metalowych powierzchni i świst wiatru wdzierającego się do środka przez otwory w kadłubie Lichtermann usłyszał jęk bólu drugiego pilota. Spojrzał w bok i zobaczył krew na kurtce lotniczej

Ebelhardta.

Przestawił ster kierunku i nacisnął mocno wolant, żeby znurkować i uciec przed alianckim samolotem, który pojawił się nie wiadomo skąd.

Wykonał zły manewr.

Zwodowany zaledwie kilka tygodni wcześniej M/s „Empire MacAlpine” dołączył do konwoju jako ostatni. Ten ośmiotysięcznik, przeznaczony do przewozu ładunków sypkich, stał pięć miesięcy w stoczni Burntisland, gdzie jego nadbudowę zastąpiono małym wyspowym stanowiskiem dowodzenia, stuczterdziestometrowym pasem startowym i hangarem dla czterech samolotów torpedowych Fairley Swordfish. Statek mógł nadal transportować niemal tyle samo zboża, ile przed modyfikacją. Admiralicja zawsze uważała katapultowce za rozwiązanie tymczasowe, dopóki nie uda się znaleźć bezpieczniejszego rozwiązania. Katapultowce i samolotowce, takie jak „MacAlpine”, miały być używane tylko do chwili, gdy Wielka Brytania dostanie od Stanów Zjednoczonych lotniskowce eskortowe klasy Essex.

Kiedy kondor kręcił się nad konwojem, z pokładu „MacAlpinea” wystartowały dwa swordfishy i oddaliły się od floty tak daleko, że gdy wzbily się pod atramentowe niebo, by urządzić zasadzkę na dużo większą i szybszą niemiecką maszynę, Lichtermann i jego podwładni nie zorientowali się, że nadlatują. Dwupłaty Fairley Swordfish rozwijały dwukrotnie mniejszą prędkość maksymalną niż kondor. Każdy miał karabin maszynowy Vickers zamontowany nad obudową silnika gwiazdowego i działko Lewis umocowane na zawieszeniu kardanowym w tylnym kokpicie zwróconym ku ogonowi.

Drugi swordfish czekał tysiąc metrów poniżej focke-wulfa, prawie niewidoczny w ciemności. Gdy kondor znurkował, by uciec przed pierwszym przeciwnikiem, drugi samolot torpedowy, ogołocony ze wszystkiego, co mogło go spowolnić, był na pozycji.

Kondor dostał się pod ogień z vickersa, podczas gdy drugi strzelec wychylił się z tylnego kokpitu i wycelował lewisa w dwa silniki BMW na skrzydle.

Wokół Ernsta Kesslera pojawiły się dziury o średnicy monety. Aluminium rozżarzyło się na moment, zanim ostygło. Upłynęło zaledwie kilka sekund od krzyku Dietza, gdy pociski posiekały spód kondora i nastolatek jeszcze nie zdążył się przestraszyć. Wiedział, co do niego należy. Przełknął ślinę, bo żołądek podszedł mu do gardła od pikowania samolotu, i nacisnął spust MG-15, gdy kondor nadal nurkował obok wolniejszego swordfisha. W powietrzu zaroilo się od pocisków smugowych kaliber 7,92 milimetra, kiedy wypuścił w niebo serię jak strażak kierujący strumieniem wody. Widział w ciemności czerwony krąg małych płomieni z rur wydechowych gwiazdowego silnika Fairleya i tam celował, gdy kondor był wciąż pod ostrzałem z brytyjskiego samolotu.

Biegąca łukiem linia pocisków smugowych spotkała się z kręgiem płomieni i nagle wokół dziobu alianckiej maszyny jakby wybuchły fajerwerki. Iskry i języki ognia otoczyły swordfisha, seria porozrywała metal i tkaninę. Śmigło się rozpadło, gwiazdowy silnik eksplodował niczym granat odłamkowy. Płonące paliwo i gorący olej zalały pilota i strzelca. Pikujący tak jak kondor swordfish wymknął się spod kontroli.

Fairley wpadł w korkociąg i obracał się coraz szybciej, płonąc niczym meteor. Lichtermann zaczął wyciągać kondora z nurkowania. Kessler patrzył, jak płonący wrak nadal opada i nagle zmienia kształt. Skrzydła oderwały się od kadłuba swordfisha i stracony samolot stracił wszelkie właściwości aerodynamiczne. Runął w dół jak kamień. Pożar zgasł, gdy maszyna zanurzyła się w

morzu.

Ernst skierował następnie wzrok na piętnastometrową tylną krawędź lewego skrzydła. Ogarnął go strach, którego nie czuł w ferworze walki. Oba dziewięciocyldrowe silniki dymiły i usłyszał wyraźnie ich przerywaną pracę.

- Panie kapitanie - krzyknął do mikrofonu.

- Zamknij się, Kessler - warknął Lichtermann. - Radiooperator, do mnie. Pomóż mi tutaj. Ebelhardt nie żyje.

Kessler nie ustępował.

- Panie kapitanie, lewe silniki.

- Wiem, do cholery. Zamknij się.

Swordfish, który pierwszy zaatakował, został daleko z tyłu i najprawdopodobniej już zawrócił, by dołączyć do konwoju, więc Kessler mógł tylko patrzeć ze zgrozą na dym porywany przez strumień zaśmigłowy. Lichtermann wyłączył wewnętrzny silnik w nadziei, że stłumi pożar. Pozwolił, by śmigło wirowało przez chwilę, potem uruchomił rozrusznik. Silnik kaszlnął i zaskoczył, płomienie pojawiły się wokół obudowy i szybko osmały aluminium.

Wewnętrzny silnik wytwarzał trochę ciągu, więc Lichtermann zaryzykował i wyłączył zewnętrzny. Gdy spróbował odpalić go ponownie, silnik natychmiast zaczął pracować i dymił tylko od czasu do czasu. Lichtermann natychmiast unieruchomił nadal płonący silnik wewnętrzny w obawie, że pożar ogarnie przewody paliwowe kondora, i zmniejszył obroty uszkodzonego silnika zewnętrznego, by go oszczędzać jak najdłużej. Na dwóch prawidłowo działających silnikach i trzecim generującym połowę mocy mogli dolecieć do bazy.

Mijały nerwowe minuty. Młody niedoświadczony Kessler chciał zapytać pilota, jak wygląda ich sytuacja, ale ugryzł się w język. Wiedział, że Lichtermann powie mu to, jak tylko będzie mógł. Kessler nagle podskoczył i uderzył głową w wewnętrzny wspornik, gdy usłyszał nowy dźwięk - głośny szum tuż za sobą. Pleksiglasową osłonę, która chroniła jego stanowisko, opryskały nagle krople jakiegoś płynu. Dopiero po chwili domyślił się, że Lichtermann musiał przekalkulować zapas paliwa kondora i odległość do ich bazy w Narwiku. Wypuszczał nadmiar benzyny, żeby maksymalnie odciążyć maszynę. Wylot upustowy znajdował się za stanowiskiem tylnego strzelca.

- Jak tam, Kessler? - zapytał Lichtermann, kiedy zamknął zawór.

- Eee... w porządku, panie kapitanie - wyjąkał Kessler. - Skąd się wzięły tamte samoloty?

- Nawet ich nie widziałem - wyznał pilot.

- To były dwupłaty. Przynajmniej ten, który zestrzeliłem.

- Na pewno swordfishe - odparł Lichtermann. - Wygląda na to, że alianci mają nowego asa w rękawie. One nie wystartowały z katapultowca. Ciąg pomocniczych silników rakietowych urwałby im skrzydła. Brytyjczycy muszą mieć nowy lotniskowiec.

- Ale nie widzieliśmy, żeby startowały jakieś samoloty.

- Mogli nas zobaczyć na radarze i wysłać maszyny w powietrze, zanim zauważyliśmy konwój.

- Możemy zawiadomić o tym bazę przez radio?

- Josef się stara. Na razie odbiera same zakłócenia. Za pół godziny będziemy nad wybrzeżem.

Wtedy chyba nam się już uda nawiązać łączność.

- Co mam robić, panie kapitanie?

- Zostań na swoim stanowisku i obserwuj, czy nie nadlatują następne swordfishe. Robimy niecałe sto węzłów, więc mogą się do nas podkraść.

- A co z porucznikiem Ebelhardtem i kapralem Dietzem?
- Twój ojciec jest pastorem czy kimś w tym rodzaju, tak?
- Dziadek, panie kapitanie. W kościele luterańskim w naszej wiosce.
- W następnym liście do domu napisz mu, żeby odmówił modlitwę. Ebelhardt i Dietz nie żyją.

Rozmowa się urwała. Kessler nadal wypatrywał w ciemności nieprzyjacielskich samolotów i modlił się, żeby żadnego nie zobaczyć. Starał się nie myśleć o tym, że właśnie zabił dwóch ludzi. Trwała wojna i tamci urządzili zasadzkę na kondora bez ostrzeżenia, więc nie powinien czuć się winny. Nie powinny mu się trząść ręce i nie powinien mieć ucisku w żołądku. Żałował, że Lichtermann wspomniał o jego dziadku. Wyobrażał sobie, co by powiedział surowy pastor. Nie cierpiał rządu i tej głupiej wojny, którą zaczęli, a teraz ta wojna zrobiła z jego najmłodszego wnuka zabójcę.

Kessler wiedział, że już nigdy nie będzie mógł spojrzeć dziadkowi w oczy.

- Widzę wybrzeże - oznajmił Lichtermann po czterdziestu minutach. - Dolecimy do Narwiku.

Kondor był na wysokości tysiąca metrów, kiedy znalazł się nad północnym wybrzeżem Norwegii, jałowym, ponurym obszarem, gdzie fale przyboju rozbijały się o klify i wyspy. Zaledwie kilka wiosek rybackich przywarło do urwistych skał nad wąskimi zatoczkami; ich mieszkańcy żyli skromnie z połowów na morzu.

W Ernsta Kesslera wstąpiła otucha. Nad lądem poczuł się bezpieczniej. Nie dlatego, żeby uważał, iż przeżyje zderzenie samolotu ze skalistym terenem rozciągającym się pod nim, ale śmierć na ziemi, gdzie wrak mógł być zlokalizowany, a jego zwłoki pochowane w należyty sposób, wydawała się dużo lepsza niż śmierć w morzu, gdzie zniknąłby bez śladu jak dwóch brytyjskich lotników, których zestrzelił.

Los wybrał ten moment na zagranie ostatnią kartą. Lewy zewnętrzny silnik, który osiągał tylko pół mocy i utrzymywał dużą maszynę zwiadowczą w równowadze, przestał działać bez ostrzeżenia. Zablockował się tak gwałtownie, że wirujące śmigło zapewniające kondorowi stabilność natychmiast zamieniło się w nieruchomą rzeźbę z wypolerowanego metalu, która stworzyła ogromny opór.

Lichtermann przestawił mocno ster kierunku, żeby samolot nie wpadł w korkociąg, ale ciąg na prawym skrzydle i opór na lewym prawie uniemożliwiały pilotowanie maszyny. Kondor skreślił w lewo i znurkował.

Kessler został rzucony na karabin maszynowy, taśma naboju owinęła się wokół niego jak wąż. Uderzyła go w twarz z taką siłą, że pociemniało mu w oczach i krew pocięła z nosa. Uderzyłaby go jeszcze raz i trafiła w skroń, gdyby się nie uchylił i nie przygwoździł lśniącego pasa mosiądzu do przegrody.

Lichtermann panował nad samolotem jeszcze przez kilka sekund, ale wiedział, że toczy przegraną bitwę. Maszyna wymykała się spod kontroli. Jeśli chciał wylądować, musiał zrównoważyć ciąg i opór. Wyciągnął dłoń w rękawicy i wyłączył prawe silniki. Ich obroty szybko spadły. Nieruchome śmigło nadal stwarzało dodatkowy opór z lewej strony, ale Lichtermann mógł to kontrować, gdy kondor stał się wielkim szybowcem.

- Kessler, chodź tu i przypnij się - krzyknął kapitan przez interkom. - Rozbijemy się.

Samolot przeleciał nad górą na brzegu fiordu z niewielkim lodowcem na szczycie. Biel lodu była oślepiająca na tle poszarpanej czarnej skały.

Ernst zdjął pasy z ramion i pochylał się, żeby wypełznąć ze swojego stanowiska strzeleckiego, gdy coś daleko w dole przykuło jego uwagę. Głęboko w rozpadlinie fiordu tkwił budynek

postawiony częściowo na lodowcu. Lub może coś tak wiekowego, że lodowiec zaczynał to wchłaniać. Kessler nie zdążył ocenić wielkości jednym krótkim rzutem oka, ale budynek wyglądał na duży i przypominał starą szepę wikingów.

- Panie kapitanie - krzyknął. - Za nami. W tamtym fiordzie. Tam jest budynek. Chyba możemy wylądować na lodzie.

Lichtermann nic nie zauważył, ale Kessler patrzył w tył i miał dobry widok na fiord. Teren przed kondorem był nierówny, najeżony ostrymi oblodzonymi wypiętrzeniami. Podwozie samolotu połamałoby się natychmiast przy zetknięciu z ziemią, a skała rozpruła by kadłub jak papier.

- Jesteś pewien? - krzyknął za siebie Lichtermann.

- Tak, panie kapitanie. Był na krawędzi lodowca. Widziałem go w świetle księżyca. Tam na pewno jest budynek.

Bez napędu Lichtermann mógł tylko raz podejść do lądowania. Obawiał się, że jeśli spróbuje posadzić maszynę na otwartej przestrzeni, on i dwaj pozostali przy życiu członkowie załogi zginą. Lądowanie na lodowcu też nie byłoby bezpieczne, ale mieliby przynajmniej szansę wyjść z tego cało.

Poruszył z trudem wolantem, zmagając się z inercją kondora. Skręt spowodował utratę siły nośnej na skrzydłach. Wskazania wysokościomierza malały dwa razy szybciej niż podczas lotu poziomego. Lichtermann nie mógł nic zrobić. Działy po prostu prawa fizyki.

Duża maszyna zawróciła na północ. Z przodu pojawiła się góra, która zasłaniała Lichtermannowi lodowiec. Podziękował w duchu jasnemu księżycowi, bo u podnóża góry zobaczył białą połąć lodu długości co najmniej półtora kilometra. Nie zauważył ani śladu budynku, który wypatrzył Kessler, ale to nie miało znaczenia. Koncentrował się na lodzie.

Lód wznosił się łagodnie od morza przez większość swojej długości, potem biegł w dół rozpadliny w zboczu góry niemal pionową ścianą o takiej grubości, że wydawała się niebieska w niepewnym świetle. W długim fiordzie widniało kilka małych gór lodowych.

Kondor szybko tracił wysokość. Lichtermann ledwo zdążył wykonać ostatni skręt, żeby znaleźć się w jednej linii z lodowcem. Opadli poniżej szczytu góry. Skała ukształtowana przez lodowiec była na wyciągnięcie ręki od końca skrzydła. Lód, który wydawał się gładki z pułapu trzystu metrów, okazywał się coraz bardziej nierówny, im bardziej się doń zbliżali. Wyglądał jak małe zamrożone fale. Lichtermann nie wysunął podwozia. Gdyby jedno koło urwało się przy lądowaniu, samolot by przekoziółkował i się rozpadł.

- Trzymajcie się - powiedział. Miał tak sucho w gardle, że z trudem wychrypiął te słowa.

Ernst wygramolił się wcześniej ze swojego stanowiska i przypiął do fotela radiooperatora. Josef siedział w kokpicie z Lichtermannem. Skała radia żarzyła się na białą. W tej części samolotu nie było okien, dlatego panowała całkowita ciemność. Kessler, usłyszawszy zwięzłe ostrzeżenie pilota, zgiął się wpół, splótł dłonie na karku i ścisnął łokciami kolana, tak jak go szkolono.

Zaczął się modlić.

Kondor uderzył mocno w lodowiec, odbił się na wysokość czterech metrów i opadł twardo. Zgrzyt metalu trącego o lód brzmiał jak odgłos pociągu pędzącego przez tunel. Kessler został gwałtownie szarpnięty w pasach bezpieczeństwa, ale nie odważył się podnieść z siedzącej pozycji embrionalnej. Samolot wpadł na jakąś przeszkodę i instrukcje radiowe posypały się z półek. Skrzydło zawadziło o lód i kondor zaczął się obracać, gubiąc części.

Kessler nie wiedział, czy lepiej być w kadłubie i nie widzieć, co się dzieje na zewnątrz, czy być w kokpicie i patrzeć, jak samolot się rozpada.

Poniżej jego miejsca rozległ się trzask i podmuch mroźnego powietrza wdarł się do środka. To pleksiglasowa osłona stanowiska przedniego strzelca eksplodowała do wewnątrz. W kadłubie zawirowały kawałki lodu oderwane od lodowca i wciąż wydawało się, że kondor nie zwalnia.

Metal rozerwał się z głośnym hukiem i natychmiast zapachniało wysokooktanowym paliwem lotniczym. Kessler wiedział, co się stało. Jedno ze skrzydeł zaryło w lód i się urwało. Choć Lichtermann pozbył się wcześniej większości benzyny, w przewodach pozostało jej tyle, że groziło to pożarem.

Samolot nadal sunął przez lodowiec, szybkość nadawały mu jego rozpęd i lekka pochyłość terenu. Ale w końcu zaczął zwalniać. Po stracie lewego skrzydła ustawił się prostopadle do kierunku ruchu. Większa część kadłuba przywierała do lodu i tarcie pokonywało grawitację.

Kessler westchnął. Wiedział, że kondor zaraz się zatrzyma. Kapitan Lichtermann zdołał wylądować. Odprężył się i zamierzał wyprostować na siedzeniu, gdy prawe skrzydło wbiło się w lód i odłamało.

Kadłub przetoczył się po oderwanym skrzydle i przewrócił spodem do góry tak gwałtownie, że Kessler omal nie wypadł z pasów bezpieczeństwa. Szarpnięcie szyi sprawiło, że ból przeszył mu całe ciało.

Młody lotnik wisiał ogłuszony w pasach przez kilka długich sekund, zanim zdał sobie sprawę, że już nie słyszy zgrzytu aluminium na lodzie. Kondor znieruchomiał. Kessler opanował mdłości, odpiął ostrożnie pasy i opuścił się na sufit samolotu. Poczł pod stopami coś miękkiego. Przesunął się w ciemności i stanął na jednym z elementów szkieletu kadłuba. Sięgnął w dół i natychmiast cofnął rękę. Dotknął zwłok i miał na palcach ciepłą, lepłą ciecz. Wiedział, że to krew.

- Panie kapitanie? - zawołał. - Josef?

Odpowiedział mu świst zimnego wiatru w rozbitym samolocie.

Kessler pogrzebał w schowku pod radiem i znalazł latarkę. Światło padło na ciało Maksa Ebelhardta, drugiego pilota, który zginął na początku ataku. Kessler znów zawołał Josefa i Lichtermanna i oświetlił odwrócony kokpit. Obaj mężczyźni byli nadal przypięci pasami do foteli, ręce zwisały im bezwładnie jak szmacianym lalkom.

Żaden nie dał znaku życia nawet wtedy, gdy Kessler podpełzł do nich i położył dłoń na ramieniu pilota. Lichtermann miał szyję wygiętą do tyłu i nieruchome spojrzenie niebieskich oczu. Twarz poczerwieniała mu od napływu krwi do głowy. Kessler dotknął jego policzka. Ciało było jeszcze ciepłe, ale skóra straciła elastyczność i przypominała wosk. Skierował latarkę na strzelca radiooperatora. Josef Vogel również nie żył. Uderzył głową w przegrodę - Kessler zobaczył krew na metalu. Lichtermannowi najwyraźniej pękły kręgi szyjne podczas kapotażu kondora.

Kessler, choć oszołomiony, poczuł zapach benzyny, przeszedł więc chwiejnie do tyłu samolotu, gdzie były główne drzwi. Zaklinowały się i musiał uderzyć w nie ramieniem, żeby je otworzyć. Wypadł z maszyny i rozciągnął się jak długi. Wzdłuż lodowca leżały kawałki kadłuba i skrzydła, samolot wyrył w lodzie głębokie bruzdy.

Kessler nie miał pojęcia, kiedy może wybuchnąć pożar i po jakim czasie będzie mógł bezpiecznie wrócić do wraka. Ale wiedział, że nie wytrzyma długo na zimnym wietrze. Postanowił odnaleźć tajemniczy budynek, który zauważył przed katastrofą. Zaczeka tam, dopóki nie będzie pewien, że kondor nie spłonie, a potem wróci do rozbitego samolotu. Miał nadzieję, że radio nie uległo zniszczeniu. A jeśli nie działa, pomyślał, to w części ogonowej samolotu jest mały ponton. Dopłynięcie do wioski zajmie mu kilka dni, ale jeśli będzie się trzymał linii brzegowej, dotrze tam.

Ten plan pomógł mu otrząsnąć się z grozy ostatnich godzin. Musi się skoncentrować na przetrwaniu. Kiedy już będzie z powrotem w Narwiku, pomyśli o swoich martwych towarzyszach. Nie przyjaźnił się z żadnym z nich, bo wolał się uczyć, niż hulać z nimi, ale tworzyli razem załogę.

Głowa go bolała, szyja tak zeszywniała, że ledwo mógł nią ruszać. Wziął namiar na górę, która zasłaniała fiord, i powlókł się przez lodowiec. Na lodzie trudno określić odległość. Przebycie pozornie kilku kilometrów okazało się wielogodzinną wędrówką. Nogi zdrętwiały mu od długiego marszu i zmoczył go nagły deszcz. Woda zamarzła na kurtce, odpadające od niej drobiny lodu chrzęściły przy każdym kroku.

Zastanawiał się, czy nie zawrócić i nie zaryzykować wejścia do samolotu, gdy dostrzegł zarys budynku, który wystawał częściowo z lodu. Gdy podszedł bliżej i z ciemności wyłoniły się szczegóły, zaczął drżeć nie tylko z zimna.

Stał pod dziobem wielkiego statku uwięzionego w lodzie. Kadłub z drewnianych grubych desek, wznoszący się nad jego głową, był powleczony miedzią. Wiedząc, jak wolno przemieszczają się lodowce, Kessler ocenił, że tak głęboko zaklinowany statek musi tu tkwić od tysięcy lat. Jeszcze nie widział czegoś takiego. Zaledwie to pomyślał, natychmiast stwierdził, że to nieprawda. Widział wcześniej ryciny tego statku. Zobaczył je w Biblii, którą czytał mu w dzieciństwie dziadek. Kessler o wiele bardziej wolał opowieści ze Starego Testamentu niż kazania w Nowym Testamencie, więc nawet zapamiętał wymiary statku: trzysta łokci długości, pięćdziesiąt - szerokości, trzydzieści - wysokości.

„...Wszelkie istoty, w których było tchnienie życia, weszły po parze do Noego arki”.

Bandar Abbas, Iran Czasy obecne

Zapuszczony frachtowiec stał na kotwicy na redzie ruchliwego portu w Bandar Abbas wystarczająco długo, by wzbudzić podejrzenia irańskich wojskowych. Uzbrojona łódź patrolowa z pobliskiej bazy morskiej pomknęła po lazurowej płytkiej wodzie w kierunku ponad stu pięćdziesięciometrowej jednostki.

Statek nazywał się „Norego” i był zarejestrowany w Panamie, jak wskazywała bandera zwisająca z jego flagsztoka. Wyglądał na kontenerowiec przerobiony z frachtowca wielozadaniowego. Z pokładu, niczym pozbawione gałęzi drzewa, wyrastały bomby przeładunkowe, trzy dziobowe i dwa rufowe. Wokół nich piętrzyły się kolorowe kontenery, ich stosy sięgały prawie do okien sterówki. Mimo dużej ilości ładunku statek miał małe zanurzenie, co najmniej pięciometrowy pas czerwonej farby antykorozyjnej był widoczny poniżej linii jego maksymalnego obciążenia. Niebieskiego kadłuba najwyraźniej nie malowano już od jakiegoś czasu, na nadbudowie widniały różne odcienie zieleni. Dwa kominy tak poczerniały od sadzy, że nie sposób było określić ich kolor. Wydobywały się z nich smugi dymu i tworzyły chmurę wiszącą nad statkiem.

Na metalowym rusztowaniu opuszczonym za rufę mężczyźni w brudnych od smaru kombinezonach pracowali przy łożysku płetwy sterowej.

Irański chorąży, który pełnił funkcję kapitana nadpływającej łodzi patrolowej, uniósł do ust megafon.

- Ahoj, „Norego” - powiedział w farszi. - Proszę umożliwić nam wejście na pokład.

Muhammad Ghami powtórzył to po angielsku, w międzynarodowym języku branży morskiej.

Chwilę później otyły mężczyzna w przepoconej koszuli oficerskiej pojawił się na szczycie schodni. Skinął głową podwładnemu i trap zaczął się opuszczać.

Kiedy się zbliżyli, Ghami zobaczył kapitańskie naramienniki mężczyzny i nie mógł pojąć, jak człowiek dowodzący statkiem mógł się tak zaniedbać. Kapitan „Norego” miał wielki brzuch, który wylewał się zza paska spodni grubą warstwą sadła. Spod białej czapki sterczały tłuste czarne włosy z siwymi pasmami, twarz pokrywała szpecina zarostu. Ghami nie wyobrażał sobie, gdzie właściciel zapuszczonego statku znalazł takiego kapitana.

Poleciał jednemu ze swoich ludzi zostać za karabinem maszynowym kaliber 12,7 milimetra i pokazać drugiemu, żeby przycumował ich sztywno-kadłubową łódź pneumatyczną do schodni. Inny marynarz stanął obok z AK-47 zawieszonym na ramieniu. Ghami sprawdził, czy ma zapiętą kaburę, i przeskoczył na trap ze swoim zastępcą. Gdy wspinał się po stopniach, obserwował, jak kapitan próbuje przeczesać włosy i wygładzić brudną koszulę. Na próżno.

Ghami dotarł na pokład. Zauważył, że płyty pokładu odstają i nie były malowane od lat. Wszystkie powierzchnie rdzewiały, tylko kontenery jeszcze nie ucierpiały z powodu niedbałości załogi, prawdopodobnie dlatego, że załadowano je niedawno. Brakujące fragmenty relingu zastąpiono kawałkami łańcucha, przeżarta korozją nadbudowa wyglądała tak, jakby lada chwila

miała się zawalić.

Ghami ukrył niesmak i zasalutował energicznie kapitanowi. Mężczyzna podrapał się po obfitym brzuchu i niedbałym gestem uniósł rękę do daszka czapki.

- Chorąży Muhammad Ghami, Irańska Marynarka Wojenna. To jest marynarz Khatahani.

- Ernesto Esteban - przedstawił się kapitan frachtowca. - Witam na pokładzie „Norego”, panie chorąży.

Mówił z tak mocnym hiszpańskim akcentem, że Ghami musiał przeanalizować każde jego słowo, żeby go zrozumieć. Esteban był kilka centymetrów wyższy niż irański chorąży, ale garbił się pod ciężarem tego, co dźwigał z przodu, więc on i Ghami wydawali się niemal jednego wzrostu. Miał ciemne łzawiące oczy i kiedy ścisnął Irańczykowi dłoń, odsłonił w uśmiechu pożółkłe krzywe zęby. Jego oddech pachniał skwaśniałym mlekiem.

- Jaki macie problem ze sterem? Esteban zaklął po hiszpańsku.

- Łożysko się zablokowało. Czwarty raz w tym miesiącu. Skąpy armator - splunął - nie pozwolił mi naprawić tego w stoczni, więc muszą to zrobić moi ludzie. Powinniśmy ruszyć w drogę dziś wieczorem, może jutro rano.

- Co przewozicie i dokąd? Kapitan klepnął jeden z kontenerów.

- Puste skrzynie. „Norego” tylko do tego się nadaje.

- Nie rozumiem - powiedział Ghami.

- Transportujemy puste kontenery z Dubaju do Hongkongu. Do Dubaju przychodzą pełne, są rozładowywane i zostawiane na nabrzeżu. Zabieramy je z powrotem do Hongkongu, gdzie znów są załadowywane.

To wyjaśnia małe zanurzenie statku, pomyślał Ghami. Pusty kontener waży tylko kilka ton.

- A z jakim ładunkiem wracacie tutaj?

- Ledwo wystarcza na pokrycie kosztów - odrzekł gorzko Esteban. - Nikt nie powierzy nam nic wartościowszego od skrzyń z powietrzem.

- Chciałbym zobaczyć manifest okrętowy, listę załogi i rejestrację statku.

- Coś jest nie tak? - zapytał szybko Esteban.

- Stwierdzą to po przejrzaniu waszych papierów - odparł Ghami z groźbą w głosie, żeby zmusić odrażającego mężczyznę do posłuszeństwa. - Jesteście w głębi irańskich wód terytorialnych i mam pełne prawo zbadać każdy centymetr kwadratowy tego statku, jeśli uznam to za konieczne.

- No problema, senior - odpowiedział gładko Esteban. Jego uśmiech wyglądał bardziej na grymas.

- Zejdzmy z tego upału do mojego biura.

Bandar Abbas leży w najciaśniejszym zakręcie cieśniny Ormuz, wąskiego wejścia do Zatoki Perskiej. Temperatura w dzień rzadko spada poniżej czterdziestu ośmiu stopni Celsjusza i prawie nie ma wiatru. Na metalowym pokładzie pod stopami mężczyzn można byłoby usmażyć jajka.

Ghami wykonał ręką gest w kierunku nadbudowy.

- Niech pan prowadzi.

„Norego” był wewnątrz tak samo zaniedbany jak na zewnątrz. Na podłodze leżało porwane linoleum, na gołych metalowych ścianach widniały wielkie platy złuszczonej farby, jarzeniówki pod sufitem buczały głośno. Kilka z nich przygasało nieregularnie i wtedy wąski korytarz pogrążał się w mroku.

Esteban poprowadził Ghamiego i Khatahaniego w górę ciasnej zejściówki i następnym krótkim korytarzem. Otworzył swoje biuro i zaprosił ich gestem do środka. Przez rozwalone na oścież drzwi

w przeciwniejszej ścianie zobaczyli kabinę kapitańską. Na podłodze wałała się poplamiona pościel, która spadła z nieposłanego łóżka. Do przegrody była przyśrubowana toaletka z pękniętym od rogu do rogu lustrem.

Jedyny bulaj w prostokątnym biurze miał tak szeroką otoczkę soli, że do środka ledwo wpadało światło. Ściany zdobiły portrety klaunów o smutnych oczach, namalowane krzykliwymi kolorami na czarnym aksamicie. Inne drzwi prowadziły do maleńkiej łazienki, brudniejszej niż publiczne toalety w teherańskich slumsach. W biurze unosił się tak silny zapach zastałego dymu z papierosów, że dusił nawet Ghamiego, nałogowego palacza od wielu lat.

Esteban wetknął gołe przewody lampy na biurku do gniazdka obok mebla i zaklął, kiedy zaiskrzyły, ale zrobił zadowoloną minę, gdy żarówka się zapaliła. Opadł ze stęknieniem na krzesło i wskazał dwóm inspektorom miejsca naprzeciwko. Ghami wyjął długopis z kieszeni koszuli i strącił nim martwego karalucha z krzesła, zanim usiadł.

Kapitan pogrzebał w biurku i wyciągnął butelkę alkoholu. Spojrzał na dwóch muzułmanów i schował ją z powrotem do szuflady, mrużąc coś po hiszpańsku.

- Okej, tu jest manifest. - Wręczył Ghamiemu segregator. - Jak mówiłem, transportujemy tylko puste kontenery do Hongkongu. - Położył na blacie dwa następne segregatory. - Lista mojej załogi. Banda leniwych niewdzięczników, jeśli chce pan wiedzieć. Więc jeśli ma pan ochotę zatrzymać kogoś z nich, to proszę bardzo. To są dokumenty rejestracyjne „Norego”.

Ghami przejrzał listę marynarzy, zwracając uwagę na narodowość każdego z nich i dwukrotnie sprawdzając ich dowody tożsamości. Załoga składała się z Chińczyków, Meksykanów i karaibskich wyspiarzy, co zgadzało się z wyglądem mężczyzn, których widział przy naprawie stera. Sam kapitan pochodził z Guadalajary w Meksyku, pracował w Trans-Ocean Shipping and Freight od jedenastu lat i dowodził „Norego” od sześciu. Ghami był zaskoczony, gdy przeczytał, że Esteban ma dopiero czterdzieści dwa lata. Wyglądał na mężczyznę około sześćdziesiątki.

Nic nie wzbudzało podejrzeń, ale Ghami chciał być dokładny.

- Tu jest napisane, że przewozicie osiemset siedemdziesiąt kontenerów.

- Coś koło tego.

- Są w ładowniach? Esteban przytaknął.

- Te, które nie stoją na pokładzie.

- Bez obrazy, panie kapitanie, ale ten statek nie jest kontenerowcem. Przypuszczam, że w ładowniach wystarczy miejsca na ukrycie kontrabandy. Chciałbym skontrolować wszystkie sześć.

- Dopóki ster nie będzie naprawiony, mam mnóstwo czasu, panie chorąży - odrzekł Esteban. - Chce pan obejrzeć cały statek, proszę bardzo. Nie mam nic do ukrycia.

Drzwi biura otworzyły się gwałtownie. Chiński członek załogi w kombinezonie roboczym i drewnianych japonkach zagadał z podnieceniem do kapitana po kantońsku. Esteban zaklął i wyskoczył zza biurka. Jego szybkie ruchy zaalarmowały dwóch Irańczyków. Ghami zerwał się z miejsca i położył rękę na kaburze. Esteban całkowicie go zignorował i przebiegł przez biuro tak szybko, jak pozwalało mu na to ponad dwadzieścia kilogramów zbędnego tłuszczu. W momencie, gdy dotarł do łazienki, z instalacji hydraulicznej wydobył się bulgot. Kapitan zatrzasnął drzwi i po chwili wszyscy usłyszeli odgłos tryskającej na sufit wody. Ciasne biuro wypełnił nowy, bardziej gryzący zapach.

- Przepraszam za to - powiedział Esteban. - Tu obecny Seng pracuje nad naszą kanalizacją, ale chyba nie bardzo mu to wychodzi.

- Jeśli coś ukrywają - szepnął marynarz Khatahani do swojego przełożonego w farsi - to wolałbym tego nie znaleźć.

- Masz rację - odrzekł Ghami. - Żaden przemytnik w Zatoce Perskiej nie zaufałby temu grubemu gamoniowi i jego zdezelowanej łajbie.

Zważywszy, że przemyt w zatoce to uświęcone tradycją szlachetne zajęcie, Ghami mówił poważnie. Zwrócił się do Estebana:

- Widzę, że ma pan pełne ręce roboty z konserwacją statku. Pańskie papiery wydają się w porządku, więc nie będziemy zabierali panu więcej czasu.

Esteban uniósł krzaczaste brwi.

- Nie? Mogę panom wszystko pokazać, żaden problem.

Ghami wstał.

- To nie będzie konieczne.

- Jak pan uważa.

Wyszli z biura i Esteban poprowadził ich z powrotem mrocznymi korytarzami. Na dworze oślepił ich mocny blask popołudniowego słońca. Na tle zamglonego horyzontu za „Norego” supertankowiec długości trzystu sześćdziesięciu pięciu metrów sunął na północ po surową ropę.

Ghami uściśnął Estebanowi dłoń na szczycie schodni.

- Jeśli do rana nie uporacie się ze sterem, będzie pan musiał zawiadomić władze portowe w Bandar Abbas. Może trzeba będzie odholować pański statek dalej od szlaków żeglugowych i zabrać go do portu.

- Niedługo naprawimy to draństwo - odrzekł Esteban. - Stary „Norego” jest sfatygowany, ale jeszcze popływa.

Ghami spojrział na niego sceptycznie. Zszedł do łodzi patrolowej i skinął głową załodze, kiedy on i Khatahani znaleźli się na pokładzie. Łódź została odcumowana, odbiła od zniszczonego frachtowca i oddaliła się szybko, zostawiając za sobą biały kilwater na ciemnej słonej wodzie.

Esteban stał przy relingu, żeby pomachać Irańczykom, gdyby któryś się obejrzał, ale wyglądało na to, że strasznie im się spieszy. Drapał się po brzuchu i patrzył, jak łódź patrolowa maleje prędko w oddali. Gdy niemal zniknęła z oczu, drugi mężczyzna wyłonił się z nadbudowy. Był starszy od Estebana, jego łysą czaszkę okalał wianuszek przeredzonych rudych włosów. Miał czujne piwne oczy i zachowywał się swobodnie. Choć z powodzeniem starał się utrzymać w dobrej formie, nie mógł się pozbyć małego brzuszka.

- Trzeba wymienić mikrofon w twoim biurze - powiedział bez wstępu. - Wszyscy mieliście głosy jak postacie z kreskówek.

Kapitan wydobył zwitki gazy opatrunkowej zza zębów trzonowych. Mięsi-stość wokół jego policzków natychmiast zniknęła. Wyjął brązowe szkła kontaktowe i odsłonił niebieskie oczy. Przeobraził się całkowicie z przegranego wilka morskiego w przystojnego mężczyznę, gdy zdjął czapkę i ściągnął z głowy tłustą perukę. Był naturalnym blondynem, ostrzyżonym na jeża. Nie mógł się doczekać, żeby zgolić zarost, ale wolał to odłożyć do czasu, aż opuszczą irańskie wody, na wypadek gdyby znów musiał udawać Ernesta Estebana, kapitana M/s „Norego”.

- Myszka Miki, Kaczor Donald i Królik Roger to my - odrzekł Juan Rodriguez Cabrillo z szerokim uśmiechem.

- Słyszałem, że musiałeś włączyć alarm.

Pod biurkiem w biurze były ukryte przyciski, używane przez Cabrillo w różnych sytuacjach.

Jednym z nich wezwał Eddiego Senga, który czekał w pogotowiu, żeby odegrać rolę pechowego hydraulika i uruchomić pompę pod nieczynną toaletą. Kiedy z sedesu wytrysnął gejzer wody, dodane do niej chemikalia zaczęły wydzielać obrzydliwy zapach.

- Chorąży Ghami chciał się zabawić w Sherlocka Holmesa i rozejrzeć. Musiałem go zniechęcić - wyjaśnił Maksowi Hanleyowi, wiceprezesowi Korporacji, Juan Cabrillo, jej prezes.

- Myślisz, że wróca?

- Jeśli zostaniemy tu do rana, na pewno.

- Więc musimy się stąd wynieść - odrzekł Hanley z diabelskim błyskiem w oczach.

Mężczyźni weszli do nadbudowy. Juan zaprowadził Hanleya do podręcznego magazynu gospodarczego z mopami, miotłą i środkami czystości, których nigdy nie używano. Obrócił zawory nad zlewem niczym pokręta sejfów, rozległ się wyraźny szcęk, tylna ściana odskoczyła i stanęła otworem. Za nią ciągnął się korytarz wyłożony grubym dywanem. Nie było tu gołych metalowych ścian i taniego linoleum, lecz boazeria z ciemnego mahoni i żyrandole pod sufitem rzucające ciepłe światło.

Podobnie jak przebranie, które nosił Cabrillo, żeby oszukać Irańczyków, wygląd statku był kamuflażem. Frachtowiec wcale nie nazywał się „Norego”. To słowo powstało z przestawienia przez załogę metalowych liter przymocowanych magnesami do dziobu i rufy. Wcześniej tworzyły one prawdziwą nazwę statku - „Oregon”.

Ten drewnowiec pływał po Pacyfiku prawie dwadzieścia lat z ładunkami amerykańskiej i kanadyjskiej tarcicy dla Japonii i innych azjatyckich krajów. Jedenastotysięcznik doskonale służył właścicielom, ale w końcu naruszył go żąb czasu. Jak każdy stary statek, frachtowiec zbliżał się do kresu żywota. Kadłub korodował, silniki już nie pracowały tak jak kiedyś. Armatorzy zamieścili ogłoszenia w periodykach branżowych, że chcą sprzedać drewnowiec na złom, wiedząc, że dostaną kilka dolarów za każdą tonę dumnego niegdyś statku flagowego.

W tym czasie Juan Cabrillo zakładał Korporację i potrzebował jakiejś jednostki pływającej. Odwiedzał porty na całym świecie i szukał odpowiedniej. Gdy zobaczył zdjęcia drewnowca, uznał, że znalazł swój frachtowiec. Musiał przelicytować właścicieli trzech złomowisk, ale i tak udało mu się kupić statek dużo taniej niż jakikolwiek nowszy. Nie interesowały go zupełnie możliwości transportowe frachtowca. Drewnowiec nadawał się do jego celów z powodu anonimowości.

„Oregon” stał potem prawie sześć miesięcy we Władystoku, gdzie w krytym suchym doku przechodził najbardziej radykalną modernizację w historii. Bez zmiany wyglądu zewnętrznego został całkowicie opróżniony w środku. Stare diesle zastąpiono najnowocześniejszymi silnikami magnetohydrodynamicznymi. Ich schładzane do bardzo niskiej temperatury magnesy pobierały z wody morskiej wolne elektrony i generatory wytwarzały niemal nieograniczoną ilość prądu. Energia trafiała do czterech pomp, które z ogromną siłą przetłaczały wodę przez dwa lśniące kanały napędowe. Tę technikę wypróbowano jedynie na kilku jednostkach pływających, gdyż po pożarze statku wycieczkowego „Emerald Dolphin” z napędem magnetohydrodynamicznym zakazano jej stosowania. Dalsze testy prowadzono tylko w laboratoriach i na modelach.

Frachtowiec mógł teraz rozwijać taką prędkość, że musiano usztywnić i wzmocnić kadłub. Dodano stateczniki, dziób przystosowano do rozbijania niezbyt grubego lodu. Wewnątrz statku przeciągnięto kilkaset kilometrów kabli do zasilania wysokiej klasy urządzeń elektronicznych, od wojskowego radaru do kamer telewizji przemysłowej. Wszystkim zarządzał superkomputer Sun Microsystems.

Statek wyposażono w dwie wyrzutnie torped, studwudziestomilimetrową armatę z takim samym systemem celowniczym jak w czołgu M1A1 Abrams, trzy dwudziestomilimetrowe działka Gatling produkcji General Electric, pionowe wyrzutnie pocisków raketowych do zwalczania celów nawodnych i liczne karabiny maszynowe kaliber 7,62 milimetra. Uzbrojenie ukryto sprytnie za ruchomymi płytami kadłuba jak w niemieckich okrętach z okresu pierwszej wojny światowej, zamaskowanych jako jednostki handlowe. Kaemy tkwiły w zardzewiałych beczkach po oleju przymocowanych do pokładu. Po naciśnięciu przycisku w centrum operacyjnym pokrywy beczek odsłaniały i wyłaniała się zdalnie sterowana broń, którą obsługiwali strzelcy usadowieni bezpiecznie wewnątrz frachtowca.

Cabrillo dodał też inne niespodzianki. Ładownię najbliższej rufy przerobiono na hangar dla czteroosobowego helikoptera Robinson R-44, podnoszonego hydraulicznie na pokład. Przez niewidoczne drzwi na poziomie linii wodnej wypuszczano na morze pontony Zodiac i łódź szturmową z arsenału SEAL. Wzdłuż stępki dwa masywne panele otwierały przepastny basen zanurzeniowy, skąd wodowano potajemnie dwie miniłodzie podwodne.

Na warunkach bytowych załogi nie oszczędzano. Korytarze i luksusowe kabiny przypominały pomieszczenia w pięciogwiazdkowym hotelu. „Oregon” szczycił się bodaj najlepszą pływającą kuchnią z personelem o najwyższych kwalifikacjach. Jeden z ulokowanych wzdłuż burt zbiorników balastowych, które napełniano w razie potrzeby, żeby statek wyglądał na maksymalnie załadowany, pełnił również funkcję basenu pływackiego o wymiarach olimpijskich i był wyłożony kafelkami z kararyjskiego marmuru.

Stoczniovcy modernizujący „Oregona” myśleli, że przygotowują nowy zamaskowany okręt szpiegowski dla rosyjskiej marynarki wojennej. Juanowi pomógł w tym podstępnie dowódca bazy morskiej z suchym dokiem, skorumpowany admirał, jego długoletni znajomy.

Fundusze na założenie Korporacji i to przedsięwzięcie pochodziły z konta bankowego na Kajmanach, należącego kiedyś do płatnego zabójcy, którym Cabrillo zajął się na zlecenie swojego dawnego pracodawcy, Centralnej Agencji Wywiadowczej. Pieniądze powinny zasilić tajny budżet CIA, ale Juan dostał cichą zgodę na ich wykorzystanie od swojego bezpośredniego przełożonego, Langstona Overholta IV.

Cabrillo rozważał odejście z CIA już od jakiegoś czasu, gdy Saddam Husajn dokonał inwazji na Kuwejt drugiego sierpnia 1990 roku, co kompletnie zaskoczyło wszystkich w Langley. Centralna Agencja Wywiadowcza tak długo brała udział w zimnej wojnie, że kiedy runął mur berliński i rozpadł się Związek Radziecki, nie była przygotowana na to, że będą wybuchały lokalne konflikty, co Juan od dawna przewidywał. Głęboko zakorzenione tradycyjne poglądy firmy sprawiły, że nie dostrzeżono nadciągającego niebezpieczeństwa. O teście pierwszej pakistańskiej bomby jądrowej CIA dowiedziała się z mediów. Cabrillo uważał, że CIA z powodu braku elastyczności nie widzi, jak przeobraża się świat po latach dominacji dwóch supermocarstw.

Overholt nigdy oficjalnie nie pozwolił Juanowi na stworzenie własnej tajnej organizacji paramilitarnej - Korporacji - ale on też rozumiał, że zasady się zmieniają. Cabrillo i jego załoga byli praktycznie najemnikami, ale choć trop pieniędzy na finansowanie ich operacji nie mógł prowadzić do Stanów Zjednoczonych, Juan nigdy nie zapomniał, kto umożliwił mu start. Dlatego właśnie na zlecenie Overholta „Oregon” tkwił kilka mil morskich od irańskiego wybrzeża i udawał inny statek.

Cabrillo i Hanley doszli do sali konferencyjnej znajdującej się głęboko we wnętrzu frachtowca. Zebranie, któremu przewodniczył Juan, kiedy radar wyłapał nadpływającą łódź patrolową, co

zmusiło go do wcielenia się w Ernesta Estebana, trwało dalej.

Eddie Seng stał przed płaskim ekranem telewizyjnym ze wskaźnikiem laserowym w rękę. Rolę nieszczęsnego hydraulika odegrał tylko na użytek Irańczyków. Podobnie jak Cabrillo, Seng miał za sobą lata służby w CIA. Potrafił z niesłychaną starannością zaplanować i przeprowadzić każdą akcję, dlatego pełnił funkcję szefa operacji lądowych Korporacji. Nie zaniedbywał najdrobniejszego szczegółu. Zdolność pełnej koncentracji pozwoliła mu spędzić większość szpiegowskiej kariery w głębokiej konspiracji w Chinach i uniknąć zdemaskowania przez bodaj najbrutalniejszą tajną policję świata.

Wokół dużego stołu konferencyjnego siedziała reszta starszego personelu Korporacji z wyjątkiem doktor Julii Huxley, lekarki okrętowej „Oregona”. Julia rzadko uczestniczyła w odprawach przed akcjami, chyba że schodziła na ląd.

- Przepędziłeś irańską marynarkę wojenną swoim oddechem? - zapytała Linda Ross, kiedy Juan usiadł obok niej.

- O, przepraszam - odrzekł i sięgnął do kieszeni po miętówkę, żeby zabić zapach sera limburskiego, który zjadł tuż przed wejściem Irańczyków na pokład. - A myślałem, że to mój kiepski angielski - powiedział z takim samym strasznym akcentem, jakiego używał wcześniej.

Linda została niedawno wiceprezesem do spraw operacyjnych. Z długą blond grzywką, którą stale odgarniała z zielonych oczu, i piegami na nosie i policzkach wyglądała bardzo dziewczęco. To wrażenie potęgował jej cienki, niemal dziecięcy głos. Ale kiedy mówiła, słuchał jej każdy członek załogi. Była kiedyś oficerem wywiadu na krążowniku klasy Aegis, a przed odejściem z wojska należała do personelu przewodniczącego Kolegium Szefów Połączonych Sztabów.

Naprzeciwno Juana i Lindy siedzieli najlepszy sternik „Oregona”, Eric Stone, i jego kumpel, Mark Murphy, odpowiedzialny za całość uzbrojenia statku.

Dalej miejsca zajmowali Hali Kasim, główny łącznościowiec, i potężnie zbudowany Franklin Lincoln, ekskomandos SEAL, obecnie dowódca okrętowego oddziału byłych żołnierzy sił specjalnych, czyli „psów myśliwskich”, jak ich nazywał Max.

- Wróciłeś, prezesie? - zapytał Langston Overholt z Langley przez bezpieczny głośnomówiący telefon.

Juana, założyciela Korporacji, tytułowano prezesem. Tylko jeden członek załogi, stary główny steward imieniem Maurice, zwracał się do niego kapitanie.

- Uspokajałem miejscowych - odrzekł Cabrillo.

- Niczego nie podejrzewają?

- Nie, Lang. Wprawdzie stoimy zaledwie kilka mil morskich od bazy marynarki wojennej w Bandar Abbas, ale Irańczycy są przyzwyczajeni do dużego ruchu statków w tej okolicy. Wystarczyło im jedno spojrzenie na statek i na mnie, żeby uznać, że jesteśmy niegroźni.

- Jest bardzo mało czasu na wykonanie zadania - ostrzegł Overholt. - Ale jeśli uważasz, że powinniśmy to odłożyć, nie ma sprawy.

- Lang, my jesteśmy tutaj i torpedy raketowe są tutaj, a rozmowy z Rosjanami na temat ograniczenia eksportu broni są za dwa tygodnie. Teraz albo nigdy.

Rozprzestrzenianie broni jądrowej pozostawało głównym zagrożeniem dla światowego bezpieczeństwa, ale problem sprzedaży uzbrojenia krajom rządzonym przez niezrównoważonych przywódców też był niezmiernie ważny dla Waszyngtonu. Rosja i Chiny zarabiały miliardy dolarów na eksporcie pocisków raketowych, samolotów bojowych i czołgów. Teheran kupił ostatnio nawet

pięć okrętów podwodnych klasy Kilo.

- Jeśli chcesz dowodu - ciągnął Juan - że Rosja dostarcza Irańczykom swoje torpedy VA-111 Szkwał, to zadziałamy dziś w nocy.

Szkwał był zapewne najbardziej zaawansowaną technicznie torpedą, jaką kiedykolwiek skonstruowano. Osiągał prędkość ponad dwustu węzłów, bo przecinał wodę w kokonie powietrza w postaci superkawitujących pęcherzy. Miał zasięg prawie czterech mil morskich i sterowanie nim było bardzo trudne z powodu jego niewiarygodnej prędkości, toteż zasadniczo służył jako ostatnia deska ratunku do wystrzeliwania z uszkodzonego okrętu podwodnego w celu zatopienia atakującego przeciwnika.

- Irańczycy twierdzą, że opracowali własną wersję szkwała bez pomocy Rosjan - wtrącił Max Hanley. - Jeśli zdołamy dowieść, że Rosjanie, choć temu zaprzeczają, dostarczyli Iranowi technologię, będziemy mogli ich przycisnąć w sprawie redukcji eksportu broni w przyszłości.

- Albo wybuchnie afery, jeśli was złapią - odparł cierpko Overholt. - Nie wiem, czy to jest dobry pomysł.

- Spokojnie, Langston. - Cabrillo splótł dłonie za głową, wyczuł trochę kleju po peruce i oderwał go ostrożnie od włosów. - Ile zleceń wykonaliśmy dla ciebie bez problemu? Irańczycy nic nie zauważą. Będziemy pięćset mil morskich od zatoki, zanim się zorientują, że byliśmy w schronie dla ich okrętów podwodnych. A kiedy sobie uświadomią, co się stało, będą podejrzewali, że to robota amerykańskich okrętów wojennych pełniących służbę na tych wodach, a nie zdezelowanej łajby z uszkodzonym łożyskiem steru pod panamską banderą.

- Co mi przypomniało, panie Overholt - odezwał się Eddie z przodu sali - że będzie pan musiał wycofać nasze siły morskie tak daleko od Bandar Abbas, żeby wszelkie oskarżenia Teheranu pod adresem Ameryki brzmiały niedorzecznie.

- W odległości stu mil morskich od tego portu nie ma żadnego naszego okrętu - zapewnił Overholt. - Rozwianie podejrzeń dowództwa Piątej Floty wymagało trochę zachodu, ale załatwiliśmy to.

Cabrillo odchrząknął.

- Zrobmy to. Za dwanaście godzin będziemy mieli dowód, który jest ci potrzebny do rozmów z Rosjanami. Wszyscy zdajemy sobie sprawę z ryzyka, ale jeśli trzeba skłonić Kreml do przemyślenia kwestii sprzedaży broni każdemu mulle, który ma pieniądze, to musimy zadziałać.

- Masz rację. - Overholt westchnął. - Tylko bądźcie ostrożni, Juan, okej?

- Możesz na nas liczyć, przyjacielu.

- Chcesz, żebym został na linii? - zapytał weteran z CIA.

- Wiesz, gdzie zdeponować forszę, kiedy się ewakuujemy - odrzekł Juan. - Lepiej, żebyś się rozłączył, chyba że chcesz poznać szczegóły naszej operacji.

- Dobra, cześć. - Połączenie zostało przerwane. Juan zwrócił się do zebranych:

- Okej, rozpracowywaliśmy to wystarczająco długo. Jest jeszcze coś, co trzeba omówić, zanim wejdziemy do akcji?

- Co z kontenerami na pokładzie? - spytał Max. - Mamy zacząć je składać po zmroku czy zaczekać z tym, aż wrócicie z bazy i ruszymy w drogę? I co z farbą i resztą kamuflażu?

Stosy kontenerów na pokładzie „Oregona” były jednym ze środków maskujących prawdziwy charakter statku. Załoga mogła je spłaszczyć i zmagazynować w jednej z ładowni, żeby zmienić sylwetkę frachtowca. Ekologiczna niebieska farba na kadłubie i zielona powyżej dawały się łatwo

zmyć strażackimi armatkami wodnymi, zamontowanymi na nadbudowie. Pod spodem kadłub pokrywała mozaika kolorów, jakby malowało go kilka pokoleń armatorów, każde po swojemu. Ale była to powłoka antyradarowa, taka sama jak na myśliwcach typu Stealth.

Kształt statku deformowały również metalowe płyty zainstalowane w różnych miejscach, między innymi zdejmowana osłona dziobu. Dwa widoczne teraz kominy zastępowano jednym dużym owalnym, który chronił też główne anteny radarowe, wsunięte teraz do szybu w śródkręciu. Aby jeszcze bardziej zmienić wygląd frachtowca, zalewano zbiorniki balastowe, co zwiększało jego zanurzenie, jakby miał ładownie pełne towarów.

To wszystko zajmowało cztery godziny i wymagało zaangażowania całej załogi, ale po wykonaniu tego „Norego” przestałby istnieć i jego miejsce zająłby „Oregon” płynący niewinnie przez Zatokę Perską, jak na ironię pod irańską banderą, gdyż w rzeczywistości taką miał rejestrację.

Juan zastanawiał się przez chwilę nad odpowiedzią, przeciwstawiając ryzyko zyskowi.

- Eric, jaki jest dziś księżyc?

- Tylko ćwiartka - odrzekł sternik i meteorolog w jednej osobie. - I według prognozy pogody zachmurzy się po północy.

- Zostawmy wszystko na swoim miejscu do północy - podjął decyzję Juan. - Powinniśmy być z powrotem na pokładzie do drugiej nad ranem. Zaczniemy konwersję z dwugodzinnym wyprzedzeniem, ale gdyby coś poszło nie tak, zdążymy szybko przywrócić statek do poprzedniego stanu. Coś jeszcze?

Członkowie Korporacji pokręcili przecząco głowami i zebrali z szelestem papiery.

- Spotykamy się o dwudziestej trzeciej przy basenie zanurzeniowym na ostatniej kontroli sprzętu. Musimy zwodować mini najpóźniej kwadrans przed północą. Jeśli się spóźnimy, będziemy mieli problem z pływaniami. - Cabrillo wstał, żeby skupić na sobie uwagę. - Chcę jasno powiedzieć szefom wszystkich sekcji, a zwłaszcza operacji lądowych - spojrzawszy znacząco na Eddiego Senga i Franklina Lincolna - że nie może być żadnych potknięć. Mamy dobry plan. Trzymajmy się go, to wszystko pójdzie jak po maśle. Sytuacja w tej części świata jest już wystarczająco zła, więc lepiej, żeby nie pogorszyło jej przyłapanie najemników na próbie kradzieży paru torped rakietowych.

- Wszyscy wiecie - burknął żartobliwie Lincoln - że wyniosłem się z Detroit, żeby uciec od moich kumpli złodziei.

- Z deszczu... do irańskiego mamra. - Eddie wyszczerzył zęby.

Podczas lat pracy w CIA Juan wyćwiczył się tak, że potrzebował bardzo niewiele snu, by długo funkcjonować. Dopiero gdy założył Korporację i kupił „Oregon”, opanował marynarską umiejętność zasypiania na zawołanie. Po zebraniu w sali konferencyjnej wrócił do swojej kabiny, okazałego apartamentu rodem bardziej z Manhattanu niż ze statku, zdjął kostium kapitana Estebana i położył się do łóżka. Myśli o niebezpieczeństwie czekającym na nich na brzegu nie dawały mu zasnąć zaledwie przez niecałą minutę.

Obudził się bez budzika godzinę przed spotkaniem przy basenie zanurzeniowym.

Nic mu się nie śniło.

Wszedł do łazienki, usiadł na mahoniowym stołku, odczepił sztuczną nogę i doskakał na jednej pod prysznic. Przy takiej nadwyżce energii elektrycznej, jaka była na „Oregonie”, system podgrzewania wody dostarczał gorący strumień kilka sekund po odkręceniu kurka. Cabrillo stał ze spuszczoną głową pod niemal parzącym prysznicem, woda spływała po jego ciele. Od lat przybywało mu blizn i dokładnie pamiętał, skąd się wzięła każda z nich. Najmniej myślał o kikucie.

Dla większości ludzi strata kończyny jest prawdopodobnie punktem zwrotnym w ich życiu. Dla Juana też była przez długie miesiące rehabilitacji. Ale potem prawie nie zwracał na to uwagi. Przyzwyczyił ciało do akceptowania protezy, a umysł do ignorowania jej. W pierwszym okresie fizykoterapii powiedział doktor Julii Huxley, że może być kaleką, ale nie będzie niepełnosprawny.

Sztuczna prawa noga, której używał w ciągu dnia, wyglądała jak naturalna. Miała gumową powłokę w kolorze jego skóry i stopę z palcami, paznokciami i owłosieniem, żeby nie różniła się od lewej.

Juan wytarł się ręcznikiem, zgolił wreszcie swędzącą brodę i podszedł do szafy, żeby wyjąć zupełnie inną protezę.

Na „Oregonie” istniała sekcja nazywana Magiczną Pracownią. Kierował nią nominowany kiedyś do Oscara hollywoodzki mistrz w dziedzinie efektów specjalnych nazwiskiem Kevin Nixon. Pracując w tajemnicy, stworzył dla Juana nogę bojową. W przeciwieństwie do codziennej ta proteza przypominała rekwizyt z filmu Terminator. Jej trzecia wersja z tytanu i włókna węglowego mieściła cały arsenał. W łydce był ukryty pistolet Kel-Tek kaliber 9 milimetrów i doskonale wyważony nóż do rzucania. Oprócz tego Nixon wyposażył nogę w garotę, jednostrzałowy pistolet kaliber 12,7 milimetra, z którego pocisk wylatywał przez piętę, i schowki na różnego rodzaju sprzęt, jakiego mógł potrzebować Cabrillo.

Samo mocowanie tej protezy do kikuta i przypinanie jej paskami zabezpieczającymi pomagało Juanowi przygotować się psychicznie do akcji.

Juan założył Korporację z dwóch powodów. Po pierwsze, oczywiście dlatego, żeby zarabiać pieniądze. Zyski przekraczały jego najśmielsze marzenia. Każdy członek organizacji mógł przejść na emeryturę z tym, co odłożył od chwili przystąpienia do przedsięwzięcia. Cabrillo mógłby sobie kupić małą karaibską wyspę, gdyby chciał. Ale to drugi powód stworzenia własnych sił bezpieczeństwa trzymał go w branży, chociaż normalny człowiek dawno powiesiłby broń na kołku. Potrzeba istnienia tego rodzaju grupy była tak wielka, że nie miał sumienia się wycofać.

Tylko w ciągu ubiegłego roku on i załoga „Oregona” rozbili piracki gang, który porywał statki z nielegalnymi chińskimi imigrantami i zmuszał ich do niewolniczej pracy w odległej kopalni złota, i przeszkodzili pewnemu ekoterrorystyce w skierowaniu niosącego skażenie huraganu do Stanów Zjednoczonych.

Gdy tylko kończyli jedną robotę, czekały na nich dwie następne, również wymagające niezwykłych umiejętności Korporacji. Zło szerzyło się na całej kuli ziemskiej, a zapobieganie temu utrudniały światowym mocarstwom zasady moralne, których przestrzeganie stawiało je w dobrym świetle. Choć załoga Juana postępowała według własnego kodeksu moralnego, nie powstrzymywali jej politycy żadnej orientacji, bardziej zainteresowani reelekcją niż rezultatami.

Gdy Juan się ubierał, główny steward zapukał do drzwi kabiny i wszedł cicho do środka.

- Śniadanie, kapitanie - oznajmił Maurice ze swoim żalosnym angielskim akcentem.

Był weteranem Królewskiej Marynarki Wojennej zmuszonym do przejścia na emeryturę z powodu wieku. Chudy jak szczapa mężczyzna z grzywą białych włosów trzymał się prosto jak struna i nie dawał się wyprowadzić z równowagi w żadnych okolicznościach. Choć Cabrillo ubierał się dość elegancko, jego stroje nie mogły się równać z ciemnymi garniturami i świeżo wyprasowanymi białymi bawełnianymi koszulami, które Maurice nosił bez względu na pogodę. Odkąd znalazł się na pokładzie, nikt nigdy nie widział, żeby się pocił lub drżał z zimna.

- Postaw na biurku - zawołał Juan, wyszedłszy z sypialni sąsiadującej z gabinetem. W pokoju

wyłożonym boazerią był kasetonowy sufit z mahonią i pasujące do niego gablotki z ciekawostkami, które Juan zgromadził przez lata. Na środku jednej ściany wisiał obraz przedstawiający „Oregon” wśród szalejącego sztormu.

Maurice postawił srebrny serwis na biurku, marszcząc brwi na ten afront. W rogu kabiny prezesa stał przecież odpowiedni stół jadalny. Zdjął przykrycie i gabinet wypełnił zapach omleta, wędzonych śledzi i kawy. Maurice wiedział, że Cabrillo dodaje trochę śmietanki do pierwszej kawy, więc trzymał ją w pogotowiu, zanim Juan usiadł.

- Co nowego w internetowym romansie młodego pana Stonea z tą dziewczyną z Brazylii? - zagadnął Juan i włożył do ust duży kęs omleta.

Maurice pełnił funkcję okrętowego biura informacji o plotkach, a liczne cyberprzygody miłosne Erica Stonea były jego ulubionym tematem.

- Pan Stone zaczyna podejrzewać, że on i ta dama, o której mowa, mogą mieć ze sobą więcej wspólnego, niż początkowo sądził - odrzekł Maurice konspiracyjnym szeptem.

Juan otwierał zabytkowy wolno stojący sejf za biurkiem i słuchał.

- To zwykle nie jest zła rzecz.

- Chodzi mi o płeć, kapitanie. On uważa, że ta dama może być mężczyzną. Pan Murphy pokazał mi zdjęcia przysłane przez tę osobę i dowiódł, że zrobiono fotomontaż, żeby ukryć pewne szczegóły anatomiczne.

Cabrillo zachichotał.

- Biedny Eric. Facet nie ma szczęścia nawet w czatroomie.

Otworzył ciężkie drzwi z nazwą i logo dawno nieistniejącej południowo-zachodniej linii kolejowej. Niemal całą broń ręczną na pokładzie „Oregona” trzymano w zbrojowni obok dźwiękoszczelnej strzelnicy, ale Juan wolał mieć swoją w gabinecie. Oprócz całego arsenału automatów, karabinów szturmowych i pistoletów przechowywał w kasie pancерnej stosy banknotów z różnych krajów, warte sto tysięcy dolarów złote monety z czterech narodowych mennic i kilka małych woreczków nieoszlifowanych diamentów. Oddzielnie leżał pewien szczególny czterdziestokaratowy kamień, prezent od nowo wybranego prezydenta Zimbabwe, podarowany Korporacji w podziękowanie za uwolnienie go, kiedy był więźniem politycznym.

- Zdaje się, że doktor Huxley potwierdziła podejrzenia pana Murphyego przez porównanie rysów tej osoby ze wzorcami twarzy mężczyzn i kobiet.

Kiedy Maurice to mówił, Cabrillo sprawdził pistolet samopowtarzalny, jedyną broń, którą zabierał ze sobą. W przeciwieństwie do reszty swojej drużyny nie zamierzał być uzbrojony po zęby.

Dopił kawę i zjadł następny kawałek omleta. Zaczynał czuć przyływ adrenaliny i ucisk w żołądku, więc zostawił w spokoju śledzie.

- I co planuje Eric? - zapytał, gdy wstał.

- Naturalnie odkłada swoje wakacje w Rio de Janeiro do czasu wyjaśnienia sprawy. Pan Murphy uważa, że powinien wynająć prywatnego detektywa.

Cabrillo uśmiechnął się drwiąco.

- A ja uważam, że powinien dać sobie spokój z tą całą internetową zabawą i poznawać kobiety w normalny sposób, bezpośrednio, w barach przy zbyt wielu drinkach.

- Bravo! Rola kilku koktajlów w nawiązywaniu znajomości jest nie do przecenienia. - Maurice sprzątnął biurko Juana i uniósł tacę na wysokość barku z lnianą serwetką na drugim ramieniu. - Do zobaczenia po pańskim powrocie.

W ustach stewarda było to równoznaczne ze słowem „powodzenia”.

- Jeśli nie zobaczymy się wcześniej - odrzekł Juan swoim zwyczajem. Wyszli razem z kabiny, Maurice skręcił w prawo, żeby wrócić do kambuza, Juan skierował się w lewo i zjechał windą trzy pokłady niżej. Drzwi otworzyły się na przepastne pomieszczenie, oświetlone rzędami reflektorów i pachnące morzem. Z ramienia żurawia w górze zwisała większa z dwóch miniłodzi podwodnych „Oregona”, dwudziestometrowy nomad 1000 z tępym dziobem. Mieściło się w niej sześciu ludzi, łącznie z dwoma sternikami. W pobliżu trzech bulajów miała reflektory ksenonowe, zabezpieczone przed rozbitciem, i przegubowe ramię manipulatora z chwytakiem, który mógł rozerwać stal. Nomad zanurzał się na głębokość trzystu metrów, niemal dziesięciokrotnie większą niż jego mniejszy brat, discovery 1000, wiszący w kołysce powyżej, i był wyposażony w komorę wyjściową, żeby nurkowie mogli go opuszczać pod wodą.

Pod nomadem członkowie załogi odsunęli już kraty przykrywające czeluść, która ciągnęła się w dół aż do stępki „Oregona”. Zewnętrznych wrót jeszcze nie otwarto, ale pompy napełniały przestrzeń wielkości basenu pływackiego w przygotowaniu do wodowania.

Lincoln, Eddie i Max wkładali czarne „mokre” skafandry nurków na spodenki kąpielowe. Akwalungi dla wszystkich leżały już w nomadzie. Linda Ross stała z rękami skrzyżowanymi na piersi i przyglądała się z rozbawieniem Maksowi. Hanley odsłużył w Wietnamie dwie tury jako kapitan łodzi Swift i nie był już taki szczupły jak kiedyś. Miał trudności z wciągnięciem skafandra przez brzuch. Zwykle nie brał udziału w wyprawach na brzeg, ale był najlepszym inżynierem morskim w Korporacji i wszyscy zgadzali się, że jego wiedza może się przydać.

- Daj spokój, stary - powiedział Juan z szerokim uśmiechem i poklepał Maksa po brzuchu. - Nie pamiętam, żebyś tak się męczył parę lat temu.

- To nie przez wiek - stęknął Hanley - tylko przez desery.

Cabrillo usiadł na ławce i w przeciwieństwie do pozostałych zaczął wkładać „suchy” skafander na ubranie.

- Linda, zrobiłaś kontrolę przedzanurzeniową?

- Możemy ruszać.

- A kołyska? Max ubiegł Lindę.

- Umocowana - odrzekł z dumą. On ją zaprojektował i nadzorował jej wykonanie w warsztacie „Oregona”.

Juan wziął słuchawkę z mikrofonem od dyżurnego technika i wywołał centrum operacyjne.

- Hali, tu prezes. Jak wygląda sytuacja?

- Radar pokazuje normalny ruch tankowców w zatoce. Jakiś kontenerowiec przybił do głównego nabrzeża w Bandar Abbas mniej więcej dwie godziny temu, poza tym widać trochę feluk i daw.

- W bazie morskiej spokój?

- Tak. Na wszystkich częstotliwościach odbieram tylko normalne pogaduszki między statkami na morzu. Oprócz tego niewiele się dzieje.

- Mam nadzieję, że szlifujesz ojczysty język?

Tak żartowali między sobą. Hali Kasim miał libańskich rodziców, ale nie znał arabskiego, jednego z czterech języków, którymi Cabrillo biegle władał.

- Przykro mi, szefie, ale komputer wyręcza mnie w tłumaczeniu. Eric, Murphy, jesteście gotowi?

Kiedy Cabrillo wysyłał desant na brzeg, nikt nie potrafił lepiej obsługiwać systemu nawigacyjnego i uzbrojenia „Oregona” niż Stone i Murphy.

- Tak jest - odparli chórem, po czym Murphy dodał: - Garujemy, towar mamy i przed nikim nie pękamy.

Juan jęknął. Murphy znalazł sobie nowe hobby, poezję więzienną, i wbrew stale powtarzanym opiniom załogi uważał się za specja od ulicznego slangu.

- Bądźcie gotowi do sprawdzenia łączności, kiedy się zamkniemy w nomadzie.

- Przyjąłem - odrzekł Hali.

Lincoln i Eddie wzięli wodoszczelne worki z bronią i innym sprzętem, wspięli się na kadłub miniłodzi podwodnej i zniknęli w małym otworze wjazdu. Max i Cabrillo poszli w ich ślady, Juan przed wejściem klepnął grubą stal nomada na szczęście. Podróż do brzegu miała trwać godzinę, więc zajęli siedzenia wzdłuż burt, zamiast tłoczyć się w dwuosobowej komorze wyjściowej. Wszyscy czterej zamierzali włożyć akwalungi podczas rejsu.

Linda Ross przecisnęła się obok Juana i Maksa i usiadła w niskim fotelu sternika, otoczonym włącznikami, wskaźnikami i monitorami komputerowymi, które rzucały upiorną zieloną poświatę na jej twarz.

- Jak mnie słyszysz, „Oregon”? - zapytała, gdy włożyła słuchawki z mikrofonem na potargane włosy.

- Głośno i wyraźnie.

Komputer szyfrujący w ich systemie telekomunikacyjnym miał stutrzydziestodwubitową pamięć i zmieniał częstotliwości co jedną dziesiątą sekundy, toteż szanse na przechwycenie i rozszyfrowanie wiadomości były zerowe.

Mężczyźni z tyłu łodzi podwodnej też się zgłosili. Hełmy do nurkowania, które mieli włożyć, były wyposażone w ultradźwiękowe aparaty nadawczo-odbiorcze zapewniające im łatwy kontakt ze sobą, nomadem i „Oregonem”.

- Okej, wypuście nas - poleciła Linda.

Zanim wrota w dnie statku otworzyły się wolno na zawiasach, światła wokół basenu zanurzeniowego przygasły, żeby ich blask nie wydostawał się na zewnątrz. Mechanizm opuszczający miniłódź podwodną został uruchomiony, nomad się zakołysał i zaczął sunąć w dół. Ciepłe wody zatoki omyły wkrótce bulaje i łódź zanurzyła się do punktu neutralnej pływalności. Odczepiono klamry i oswobodzono nomada.

Linda włączyła pompy, zalała wolno zbiorniki balastowe i delikatnie wyprowadziła łódź z wnętrza kadłuba „Oregon”. Choć robiła to już dziesiątki razy, wykonywała ostrożne, powolne ruchy. Cały czas obserwowała wskazania głębokościomierza i dalmierza laserowego na górnej powierzchni nomada, żeby mieć pewność, że są poza statkiem.

- Nomad jest wolny - oznajmiła, gdy zeszli sześć metrów pod kadłub frachtowca.

- Zamykamy wrota. „Oregon”, bez odbioru.

Linda opadła dwanaście metrów niżej i kiedy byli zaledwie metr czy dwa nad dnem morza, wzięła kurs na bazę morską w Bandar Abbas. Płynęła niemal w tempie pełzania, żeby odgłos śrub mielących wodę nie zaalarmował czujnych operatorów sonarów w okolicy, choć w cieśninie Ormuz panował taki ruch, że wyłowienie cichego dźwięku nomada z tego hałasu graniczyło z cudem.

W płytkiej wodzie ryzykowali wykrycie wzrokowe, toteż Linda nie włączyła reflektorów. Musiała polegać na systemie detekcji i określania odległości LIDAR, który badał wiązkami laserowymi teren bezpośrednio przed łodzią podwodną. Kierowała się do bazy według trójwymiarowego obrazu komputerowego ich otoczenia. LIDAR potrafił wykrywać obiekty

wielkości puszkę coca-coli.

- Z kokpitu mówi wasz pilot - zawołała przez ramię. - Lecimy na wysokości minus piętnastu metrów z prędkością trzech węzłów. Przewidywany czas podróży wynosi mniej więcej sześćdziesiąt dwie minuty. Możecie używać dozwolonych urządzeń elektronicznych i nie zapomnijcie poprosić stewardesy o program dla stałych pasażerów.

- Hej, pilocie, dostałem stare orzeszki ziemne - odkrzyknął Lincoln.

- A ja chcę koc i poduszkę - dodał Eddie.

- Skoro już o tym mowa, to podwójna szkocka byłaby całkiem na miejscu - wtrącił się Max.

Gdyby ktoś posłuchał ich żartów przez następne pół godziny, nigdy by nie uwierzył, że zamierzają wkrótce przeniknąć do najpilniej strzeżonej irańskiej bazy morskiej. Czy nie zdawali sobie sprawy z ryzyka? Nie, byli po prostu zbyt doświadczeni zawodowcami, by dopuścić do głosu nerwy.

Ale żarty ustały, gdy dzieliło ich od celu trzydzieści minut drogi. Zaczęli wkładać akwalunki i sprawdzać sobie wzajemnie ekwipunek. Już w akwalungach Juan i Lincoln wsunęli się do śluzi powietrznej wielkości budki telefonicznej. Właz w suficie klaustrofobicznej komory można było otworzyć od wewnątrz lub z kokpitu, ale tylko przy jednakowym ciśnieniu po obu stronach pancernej pokrywy. Dla oszczędności czasu Juan uruchomił powolne zalewanie śluzi. Woda morska miała temperaturę krwi. Jej poziom się podnosił i Juan czuł napór wody na skafander. Musiał go wygładzać, żeby zmarszczki nie ocierały mu ciała. Obaj mężczyźni poruszali zuchwami, aby zmniejszyć ciśnienie w uszach.

Kiedy woda sięgnęła im do szyj, Cabrillo znów wcisnął przycisk. Hełmy do nurkowania można było włożyć w ostatniej chwili.

- Co tam u was? - Głos Lindy noszącej hełm miał blaszany dźwięk i wydawało się, że dobiega z daleka.

- Dlaczego zawsze ja tkwię w tej ciasnocie z największym facetem z załogi? - krzyknął Juan teatralnym tonem.

- Bo Max ma za duży brzuch, żeby się tam zmieścić razem z Lincolnem, a Eddie zostałby rozgnieciony jak robak - odparła Ross.

- Hej, człowieku, ciesz się, że nie oddycham głęboko - zażartował Lincoln barytonem.

- Prezesie, LIDAR pokazuje wrota schronu dla okrętów podwodnych. Jesteśmy około pięćdziesięciu metrów od celu.

- Dobra, Linda. Posadź nas na dnio na prawo od wejścia do suchego doku.

- Przyjęłam.

Po chwili nomad zadrzał lekko, gdy Linda opuściła go na piasek.

- Wyłączam wszystkie zbędne urządzenia - zameldowała. - Czekam, aż będziecie gotowi.

- Co ty na to, duży? - zapytał Cabrillo Lincolna.

- Chodźmy.

Juan włożył hełm i upewnił się, że ma uszczelniony skafander i pobiera wystarczającą ilość powietrza z butli akwalungu. Kiedy Lincoln pokazał mu znak „okej”, znów otworzył zawór wlotowy. Woda szybko podeszła do sufitu komory. Cabrillo zgasił światła i przestawił dźwignię wjazdu.

Pokrywa odchyliła się do góry i uwolniła niewielką ilość uwięzionego powietrza. Pęcherze zaśniły biało-srebrzyście w mroku, ale nikt nie mógł ich zauważyć wśród fal omywających zamknięty basen portowy.

Juan podciągnął się i wydostał z komory na górny pokład nomada. Bez światła woda była ciemna

jak atrament. Cabrillo pochodził z południowej Kalifornii i zawsze pociągało go morze. Najpierw nurkował w samych płetwach i pływał na desce surfingowej w pozycji leżącej. Kiedy miał niewiele ponad dziesięć lat, zaczął nurkować z akwalungiem i uprawiać prawdziwy surfing. W wodzie czuł się jak ryba. Ciemność działała na niego kojąco, gdy zanurzał się pod powierzchnię.

Lincoln wyłonił się z nomada chwilę później. Juan zamknął właz i obaj zaczęli czekać na Eddiego i Maksa. Kiedy byli w komplecie, Cabrillo zaryzykował i zapalił podwodną latarkę, osłaniając ją dłonią.

Budowę irańskiego schronu dla okrętów podwodnych zaczęto od wykopania rowu długości stu osiemdziesięciu metrów i szerokości trzydziestu metrów na wschód od oceanu w kierunku pustyni. Nad wykopem wzniesiono halę ze zbrojonego betonu o grubości przypuszczalnie dwóch i pół metra, zdolną wytrzymać bezpośrednie trafienie bombą. Obiekt powstał przed inwazją Stanów Zjednoczonych i ich sojuszników na sąsiedni Irak i Irańczycy musieli teraz wiedzieć, że broń do burzenia bunkrów z amerykańskiego arsenału może zrównać z ziemią całą konstrukcję jednym uderzeniem. Na południe i północ od suchego doku były główne nabrzeża bazy morskiej, zaś budynki administracyjne, warsztaty i koszary ciągnęły się na odcinku trzech kilometrów w głąb lądu.

Schron odgradzały od morza masywne wrota, które otwierały się hydraulicznie na zewnątrz. Przestrzeń między ich dolną krawędzią a betonowym podłożem wypełniały pneumatyczne uszczelniacze zapobiegające wlewaniu się wody do budynku. Wielkie drzwi można było sforsować tylko przy użyciu materiału wybuchowego lub palnika acetylenowego, co zajęłoby parę godzin.

Cabrillo odpłynął od wrót i poprowadził swoją drużynę przez królestwo egipskich ciemności. Co chwilę oświetlał latarką pokryty skorupiakami wał nadmorski, który chronił bazę przed atakami oceanu. Po piętnastu metrach zobaczył to, czego szukał. W murze widniał przepust szerokości metr dwadzieścia - czarna dziura do wypompowywania wody z suchego doku. Osłaniając latarkę, Juan obejrzał kratę osadzoną w betonie i blokującą drogę w głąb kanału. Stał tylko trochę skorodowała, beton był w dobrym stanie. Cabrillo ponad minutę oglądał dokładnie kratę, zanim zauważył przewody elektryczne u góry i u dołu sześciu prętów.

Irańczycy mogliby zainstalować w otworze czujniki ruchu, ale przy tylu ciekawskich rybach w Zatoce Perskiej alarmy dzwięczałyby prawie stale. Prościej było puścić prąd przez metal i gdyby obwód został kiedykolwiek przerwany, wartownicy wiedzieliby, że ktoś usunął części kraty.

Juan wskazał przewody Lincolnowi, najlepszemu na „Oregonie” specjalście od infiltracji. Ten prawie po omacku zrobił przy użyciu zacisków krokodylkowych i kawałków kabla obejścia na trzech prętach, by prąd nadal płynął. Potem wyjął z torby dwie tubki. Otworzył jedną z nich i wycisnął trochę szarej mazi wokół końców prętów, po czym pokrył ją podobną substancją z drugiej tubki.

Po połączeniu się dwa komponenty wytworzyły żrący kwas, który w niecałą minutę tak przeżarł stal, że Lincoln zdołał wyłamać pręty, podczas gdy obejście nadal zamykało obwód elektryczny, dzięki czemu alarm nie zadziałał. Lincoln położył pręty na piasku, uważając, by nie dotknąć ich korodujących końców, i przytrzymał luźne kable, żeby wpuścić Maksa, Eddiego i Juana do rury, gdzie po chwili sam ostrożnie się wsunął.

Teraz, kiedy nikt nie mógł ich zobaczyć, Cabrillo zwiększył natężenie światła latarki. Biały krąg omiatał zakrzywione ściany tunelu, który zdawał się cofać przed Juanem.

Nagle na wprost pojawił się ruchomy cień. Cabrillo uderzył na ślepo mijający go szybko kształt. Dostrzegł płetwę grzbietową i podobny do rapiera ogon, zanim mały rekin zniknął za nim.

- Całe szczęście, że spotkaliśmy go teraz, a nie za kilka lat - zażartował Eddie.

Juan zaczął czekać chwilę, aż serce przestanie mu walić, po czym ruszył dalej. Za bardzo się zdenerwował, co nie wróżyło dobrze.

Rura dochodziła do wielkiego zaworu, który byłby zamknięty, gdyby suchy dok był pusty, ale w ciągu dwóch dni obserwacji obiektu załoga „Oregona” nie zauważyła żadnych oznak, że Irańczycy wypompowali wodę ze schronu, odkąd do środka wpłynął najnowszy nabytek ich marynarki wojennej, okręt podwodny klasy Kilo z napędem dieslowsko-elektrycznym.

Czterej mężczyźni precyzyjnie przeszli przez zawór motylkowy do ogromnej pompy do osuszania basenu portowego. Jej wirnik miał łopaty z lśniącego żelazo-brązu przyśrubowane do piasty.

Juan był na to przygotowany. Dodatkowo wziął ze sobą mały palnik, na wypadek gdyby się okazało, że łopaty są przyspawane. Wyjął klucz nastawny z sakwy na udzie i zabrał się do pracy. Poruszał rękami pod niewygodnym kątem, a dwanaście śrub przykręcono kluczem pneumatycznym, musiał więc użyć całej swojej siły, żeby każdą poluzować. Zwłaszcza jedna stawiała taki opór, że kolorowe plamy migotały mu z wysiłku pod mocno zaciśniętymi powiekami. Kiedy wreszcie śruba ustąpiła, klucz zsunął się z niej i Cabrillo rozciął sobie rękę o łopatę w kształcie bułata. W świetle latarki zobaczył unoszącą się w wodzie krew.

- Chcesz zwabić z powrotem rekina? - podrażnił się z nim Max.

- Dopóki będzie mnie od niego oddzielał twój tłusty tyłek, nic mi się nie stanie.

- On nie jest tłusty, tylko dobrze wyścielany.

Juan uporał się ze śrubami i odłożył na bok prawie półmetrowe łopaty wirnika. Musiał zdjąć z pleców akwalung, żeby przedostać się pod piastą. Zaczekał po drugiej stronie, aż pozostali dołączą do niego i włożą z powrotem aparaty oddechowe.

Cztery metry dalej rura skręcała pod kątem prostym. Cabrillo zgasił latarkę i kiedy jego wzrok przyzwyczaił się do mroku, dostrzegł tam bladą wodnistą poświatę. Podpłynął ostrożnie bliżej i wyjrzał zza zakrętu.

Dotarli do suchego doku. Blask padał z lamp na wysokim suficie. Słabe oświetlenie sugerowało, że technicy nie pracują przy okręcie podwodnym i w schronie są tylko wartownicy. Wyglądało na to, że zgodnie z przewidywaniami drużyna Korporacji będzie musiała unieszkodliwić zaledwie garstkę przeciwników.

Cabrillo wypłynął z rury i zanurkował do betonowego dna. Max, Lincoln i Eddie poszli w jego ślady. Skierowali się w stronę wielkich wrót, gdzie najmniej spodziewali się zastać wartowników. Juan sprawdził na osobistym komputerze, na jakiej są głębokości, i zatrzymał swoich ludzi przez chwilę na trzech metrach, żeby rozpuściła się niewielka ilość azotu zgromadzona w ich krwiobiegu.

Z cierpliwością krokodyli wyłaniających się z rzeki, by dopaść ofiarę, czterech mężczyzn unieśli się ku powierzchni i zawisnęli tuż pod jej srebrzystym odbiciem, żeby umocować do hełmów małe peryskopy. Układy optyczne trzeciej generacji wzmacniały światło gwiazd do blasku dnia, musieli więc je trochę przeregulować, gdy przeszukiwali wolno wzrokiem wszystkie kąty suchego doku z bezpiecznej kryjówki pod wodą.

Szerokość schronu była wystarczająca do obsługi dwóch okrętów stojących obok siebie. Wzdłuż krawędzi basenu biegły podwyższone betonowe platformy, które ciągnęły się niemal przez całą długość budynku. Stały na nich beczki z olejem, stosy sprzętu pod brezentem, małe elektryczne wózki golfowe i trzy widłowe. Na końcu hali całą jej szerokość zajmował wysoki pomost. Były na nim oszklone boksy biurowe, a pod nim, po obu stronach, mieściły się magazyny. W górze spoczywał na szynach żuraw, który mógł dotrzeć do każdej części krytego doku.

W schronie cumował przywiązany grubymi linami czarny bojowy okręt podwodny klasy Kilo o wyporności dwóch tysięcy dwustu ton. Sprawiał groźne wrażenie. Kiedyś budził największy postrach ze wszystkich tego typu jednostek w sowieckim arsenale. Gdy pływał na akumulatorach, należał do najcichszych podmorskich łowców w historii. Potrafił się podkraść do okrętu wyposażonego w najnowocześniejszy sonar pasywny. Miał sześć wyrzutni torped i mógł być na patrolu przez półtora miesiąca bez uzupełniania zaopatrzenia.

Obecność okrętów Kilo uważano za prowokację, gdyż Irańczycy zatapiali statki handlowe w Zatoce Perskiej. Amerykanie i ich sojusznicy próbowali wszelkich możliwych sztuczek dyplomatycznych, by przeszkodzić Rosji w sprzedaży okrętów Kilo irańskiej marynarce wojennej, ale nie powstrzymało to żadnej ze stron. Sześćdziesięciosiedmiometrowe jednostki stacjonowały zwykle w Chah-Bahar nad Morzem Arabskim i nie blokowały Zatoki Perskiej, ale wywiad Overholta ustalił, że ten konkretny kilo wyposażono w nowo skonstruowane torpedy rakietowe.

Gdyby Korporacja zdobyła dowód, że Rosjanie nielegalnie sprzedali taką broń Teheranowi, pokrzyżowałoby to Iranowi wszelkie ewentualne plany zakupu następnych okrętów podwodnych, których rozpaczliwie potrzebował.

- I co tu mamy? - zapytał Juan po pięciu minutach cichej obserwacji.

- Naliczyłem sześciu - odrzekł Lincoln.

- Potwierdzam - powiedział Eddie.

- Max?

- Czy jeden z wartowników nie ucina sobie przypadkiem drzemki na tamtej stercie bielizny pościelowej i stołowej na lewo, czekającej na zabranie na pokład?

Mężczyźni w milczeniu spojrzeli tam, gdzie wskazał Max, i wyteżyli wzrok, by rozróżnić kształt człowieka. Wszyscy trzej zrobili gwałtowny wdech, kiedy to, co wydawało im się cieniem, nagle się zerwało, rozejrzało, podrapało pod pachą i z powrotem położyło.

- Masz dobre oczy, przyjacielu - powiedział Juan. - Już nie będę się z ciebie nabijał, że wkładasz okulary do czytania raportów. Więc mamy czterech wartowników na pomoście biurowym, dwóch przy wyjściu dla personelu i śpiącego królewicza. Lincoln, Eddie, ci na piętrze są wasi. Max, przedłuż tamtemu facetowi drzemkę, a ja zajmę się parą przy drzwiach. - Cabrillo zerknął na zegarek. Była pierwsza nad ranem. Wątpił, żeby zmiana warty nastąpiła przed świtem. - Została nam godzina na powrót do nomada, jeśli chcemy się wyrobić ze wszystkim do trzeciej, więc pospieszmy się trochę, dobra?

Zanurzyli się z powrotem i popłynęli wzdłuż suchego doku. Max zatrzymał się w pobliżu miejsca, gdzie spał wartownik, i zawisnął tuż pod krawędzią betonowej platformy w cieniu kadłuba kilo. Eddie i Lincoln kierowali się lewą stroną basenu do podnóża metalowych schodów prowadzących na balkon. Juan podciągnął się do góry i wyszedł z wody za osłoną sterty skrzyń, dobrych sto metrów od jasno oświetlonego przedsionka, gdzie dwaj znudzeni wartownicy pilnowali zaryglowanych drzwi.

Zdjął cicho akwalung i skafander. Pod spodem miał mundur kapitana syryjskiej marynarki wojennej wraz z krawatem i baretkami. Jedyłą rzeczą nie na miejscu były gumowe buty nurka na jego nogach, ale nie mógł na to nic poradzić. Zapiął pas z kaburą i włożył czapkę, żeby ukryć blond włosy. Zaczekał chwilę, aż jego ludzie dotrą na pozycje, po czym wyszedł śmiało zza skrzyń i pomaszerował w kierunku wartowników.

Dzieliło go od nich pięć metrów, kiedy wreszcie jeden go zauważył. Żołnierz zerwał się na nogi i rozglądał przez moment ze zdumieniem, zanim sobie przypomniał, że położył swój AK-47 na

podłódze obok stolika, który dzielił z kolegą. Cabrillo szedł dalej, gdy wartownik sięgnął po omacku po broń i wycelował ją w jego pierś, Irańczyk burknął ostrzeżenie, kiedy drugi żołnierz szybko wstał i chwycił swojego kałasznikowa, choć pas zaplątał mu się wokół rąk.

- Co to ma znaczyć? - zapytał arogancko Juan doskonałym arabskim. - Nazywam się Hanzi Hourani, jestem kapitanem Syryjskiej Marynarki Wojennej, gościem dowódcy waszej bazy, admirała Ramazaniego.

Obaj wartownicy zamrugali, potem jeden spytał łamanym arabskim:

- Kto pan jest?

- Kapitan Hourani - warknął cierpko Cabrillo. - Z miłości do Proroka odwiedziłem ten budynek tuzin razy w zeszłym tygodniu. Chyba wiecie, że przyjechałem tu na pokaz waszej nowej cudownej broni, tych torped, które przepędzą krzyżowców z naszych wód raz na zawsze.

Juan wiedział, że mówiący w farsi irańczyk rozumie co trzecie lub czwarte słowo z jego szybkiej tyrady, ale ważniejsze było zachowanie niż treść zdań. Musiał ich przekonać, że ma prawo tu być mimo późnej pory. Radiotelefon leżał na stoliku obok przepelnionej popielniczki, talerzy z resztkami jedzenia i sterty pogniecionych gazet. Gdyby połączyli się ze swoim przełożonym, sprawa by się wydała.

- Straciłem poczucie czasu, zwiedzając okręt podwodny - powiedział Juan i uśmiechnął się z zakłopotaniem. - Nieprawda. Zasnąłem w kabinie kapitańskiej i przyśniło mi się, że to ja zadam pierwszy cios amerykańskim imperialistom.

Wartownik nadal patrzył na niego podejrzliwie, ale trochę się odprężył, gdy usłyszał, że oficer obcej marynarki wojennej ma takie same marzenia jak oni. Przetłumaczył koledze słowa Juana.

Na drugim Irańczyku nie zrobiło to wrażenia. Warknął na pierwszego i wykonał gest swoim AK. Wartownik znający arabski poprosił Cabrillo o dowód tożsamości.

Juan wyjął portfel i wręczył starszemu z nich. Kiedy żołnierz przeglądał zawartość, Cabrillo wyciągnął paczkę papierosów z kieszeni na piersi i zapalił. Miał dunhille, o niebo lepsze od tanich miejscowych fajek, którymi truli się Irańczycy, i zobaczył, że obaj zauważyli charakterystyczne płaskie pudełko. Wartownik trzymał portfel i odwracał się, by sięgnąć po walkie-talkie, gdy Juan poczęstował go dunhillem.

Żołnierz się zawahał, więc Juan podsunął mu paczkę bliżej.

- Musimy się porozumieć z wartownią - wyjaśnił młodszy Irańczyk.

- Jasna sprawa - odrzekł Juan i wypuścił dym z ust. - Tylko pomyślałem, że może nacieszycie się porządym papierosem, kiedy będą na was wrzeszczeli, że powinniście wiedzieć, kim jestem i co tu robię.

Obaj mężczyźni wzięli nieśmiało po dunhillu. Juan przytrzymał przed nimi płomień zapalniczki. Zdążyli się tylko zaciągnąć i wymienić spojrzenia, zanim szybko działający narkotyk w tytoniu poraził im układ nerwowy. Osunęli się bez słowa na ziemię.

Cabrillo rozgniółł swojego papierosa nogą na podłódze.

- Normalnie, chłopaki - powiedział, kiedy gasił ich dunhille i chował wszystkie dowody do kieszeni spodni - to by was zabiło. Ale teraz będziecie tylko wyłączeni z akcji przez parę godzin. Choć nie zazdroszczę wam najbliższego spotkania z przełożonymi.

Korporacja starała się przeprowadzać operacje bezkrwawo. Cabrillo od początku tak planował tę akcję, żeby wartownicy nie musieli zginąć na posterunku tylko dlatego, że Rosja nielegalnie sprzedaje nowoczesny sprzęt wojskowy.

Co nie znaczy, że Juan Cabrillo i jego ludzie nie mieli krwi na rękach. Ale zabijali tylko w ostateczności.

Juan właśnie się odwracał, gdy metalowe drzwi prowadzące na zewnątrz otworzyły się gwałtownie i do hali wkroczył technik w fartuchu laboratoryjnym w eskorcie dwóch żołnierzy. Zobaczyli nieprzytomnych wartowników na podłodze pod stolikiem i obcy mundur Juana. Jeden członek obstawy laboranta uniósł AK-47 i krzyknął wezwanie. Drugi powiedział do niego coś, czego Cabrillo nie potrzebował tłumaczyć - było to „sprowadzę pomoc” - wykonał w tył zwrot i zniknął w ciemności.

Lada chwila do suchego doku mogło się zwalić trzy tysiące marynarzy wraz z personelem pomocniczym.

Kiedy drugi żołnierz pędził do drzwi, punkt czerwonego światła pojawił się na karabinku jego kolegi i pocisk wystrzelony z broni z tłumikiem wytrącił mu kałasznikowa wśród krwi tryskającej ze zranionej ręki.

Juan się nie zawahał. Lincoln lub Eddie unieszkodliwił wartownika ze swojej pozycji na pomoście powyżej i Cabrillo wiedział, że obaj mają oniemiałego technika na celownikach bezkolbowych karabinów szturmowych Type-95. Obrócił się i wystartował za uciekającym żołnierzem. Przyspieszał z każdym krokiem, zmuszany do tego przez najsilniejszą cechę charakteru, nietolerancję dla własnych porażek. Wartownik zniknął w głębi zaciemnionej bazy morskiej i gdyby nie jego mundur khaki, Cabrillo zgubiłby go w mroku. Po ośmiu krokach zmniejszył dwusekundową stratę do Irańczyka niemal do zera, po trzech następnych rzucił się na niego i złapał go wokół kolan chwytem, którego nie powstydzili się zawodowy futbolista.

Upadli na twardą asfaltową drogę. Juana ochroniło ciało żołnierza, ale tamten nie miał tyle szczęścia. Uderzył głową w nawierzchnię z przyprawiającym o mdłości trzaskiem i paskudnie poharatał sobie twarz.

Cabrillo rozejrzał się szybko. W pobliżu stało kilka ciemnych magazynów, w oddali wznosił się trzypiętrowy biurowiec ze światłami w kilku oknach, ale wątpił, żeby ktoś go zauważył. Skrępował nieprzytomnemu wartownikowi nadgarstki plastikowymi kajdankami, zarzucił go sobie na ramię i wrócił truchtem do schronu dla okrętów podwodnych.

Kiedy zamknął za sobą drzwi, zobaczył, że Eddie już skrępował i zakneblował technika. Ciągnął go teraz do ustronnego kąta w przedsionku, gdzie wcześniej ukrył dwóch powalonych narkotykiem żołnierzy. Juan zrzucił swoje brzemie obok nich.

- To mi odebrało kilka miesięcy życia - wysapał.
- Mógł cię ktoś widzieć? - zapytał Seng.
- Będiesz wiedział, jak zaczniesz wyc alarm. Były jakieś problemy z tamtymi na górze?
- Jeden sięgnął po broń. Lincoln zatamował mu krwotok i jeśli facet trafi do szpitala w ciągu kilku godzin, to się wyliże. Mieliśmy maski na twarzach i wrzeszczałem po mandaryńsku, zgodnie z planem. Jeżeli ci faceci znajdują się na broni, to rozpoznali chińskie type-95.

- W połączeniu z czeską amunicją, której używamy, powinno im to dać do myślenia.
Max Hanley zbliżył się wolno z cierpkim uśmiechem.
- Musiałeś to utrudnić jeszcze bardziej?
- Daj spokój, Max. Gdybyśmy nie ryzykowali, nie zarabialibyśmy takiej forsy, do jakiej się przyzwyczailiśmy.
- Następnym razem zrezygnuję z części mojej działki.

- Miałeś jakiś problem ze śpiącym królewiczem?

- Będzie drzemał do południa. A teraz, jeśli nie masz nic przeciwko temu, poszukajmy tych torped.

W pierwszym z dwóch dużych pomieszczeń pod pomostem znaleźli tylko konwencjonalne rosyjskie torpedy typu TEST-71, dokładnie takie same jakie były na „Oregonie”. Dopiero w drugim magazynie, po przestrzeleniu zamka przez Lincolna, natrafili na najnowszą i najbardziej zabójczą irańską broń. Wokół stały stoły warsztatowe, komputery diagnostyczne i wszelkiego rodzaju sprzęt elektroniczny. Środek zajmowały dwa przykryte kształty, które przypominały trochę zwłoki w kostnicy. Max podszedł do jednego i ściągnął brezent. Na pierwszy rzut oka torpeda leżąca na mechanicznym wózku nie różniła się od torped TEST-71, z wyjątkiem tego, że nie miała śruby. Max przyjrzał się ponad siedmioipółmetrowemu podwodnemu pociskowi, a zwłaszcza jego nietypowo ukształtowanej głowicy. To ona wytwarzała pęcherz powietrza wokół torpedy i umożliwiała jej rozcinanie wody praktycznie bez tarcia.

Juan podszedł do swojego zastępcy.

- I co?

- Wygląda tak samo jak rosyjski szkwał na zdjęciach, które widziałem - odrzekł inżynier. - W wypadku czegoś takiego kształt narzuca funkcja, toteż istnieje zaledwie kilka konfiguracji powodujących superkawitację, ale to coś jest identyczne z rybą Ruskich.

- Więc pomagają Irańczykom?

- Bez wątplenia. - Max się wyprostował. - Dowodem będzie konstrukcja silnika raketowego, ale założę się, że mamy ich w garści.

- Okej, dobra. Ściągnijcie razem z Eddiem wszystko, co będziecie mogli. Eddie był już przy terminalu komputerowym i włączał do systemu twardy dysk, żeby zrobić pirackie kopie wszystkich plików. Lincoln przeglądał księgi rejestrowe i segregatory w poszukiwaniu czegoś istotnego.

- Gotowy, duży? - zapytał go Cabrillo.

- Jasne.

Max zatrzymał wychodzącego Juana.

- Jedną czy dwie?

- Raz kozie śmierć, bierzemy obie. - Cabrillo rzucił okiem na torpedy.

- Wiesz, że najprawdopodobniej są uzbrojone i zatankowane?

Juan uśmiechnął się szeroko.

- Więc będziemy się z nimi obchodzili ostrożnie.

Kiedy Lincoln szukał na pomoście mechanizmu otwierającego główne wrota zewnętrzne, Juan wspiał się po drabince przyspawanej do jednej ściany i doszedł po kładce do kabiny żurawia. Po latach spędzonych na morzu umiał obsługiwać wszystkie rodzaje takich urządzeń. Uruchomił maszynę i ruszył nią wzdłuż budynku. Gdy sunęła nad dkiem, wpadł na szatański pomysł. Opuścił wążący prawie tonę hak i skierował go w stronę steru głębokości na kiosku najnowszego irańskiego okrętu podwodnego klasy Kilo.

Kołyszący się ruchem wahadłowym hak nie uderzył w delikatny ster z taką siłą, by go urwać, ale uszkodzenie gwarantowało, że okręt pozostanie w suchym doku przez kilka najbliższych miesięcy.

Kiedy Juan wreszcie ulokował żuraw na pozycji, Eddie i Max wytoczyli jedną z trzytonowych torped z laboratorium. Gdy Cabrillo opuścił hak, przyczepili liny oplatające pocisk, które Irańczycy uprzejmie zostawili na miejscu. Po zabezpieczeniu torpedy Max dał Juanowi znak, a Eddie poszedł

po swój sprzęt nurka.

Cabrillo uniósł pocisk z wózka i pojechał żurawiem z powrotem, uważając, żeby nie zawadzić torpedą o kilo. Pięć metrów od wrót opuścił ją do wody i patrzył, jak gruba stalowa lina luzuje się, gdy pocisk dotyka dna. Zwolnił dźwignie sterujące, kiedy lina zaczęła się wyginać. Eddie szedł wzdłuż krawędzi basenu, niosąc akwalung i hełm. Włożył to na siebie i dał krok do wody. Juan obserwował, gdzie pojawią się jego pęcherze powietrza, gdy dotrą do powierzchni. Po chwili Eddie pokazał z wody uniesiony kciuk.

Juan uniósł odczepiony hak i wrócił żurawiem w głąb hali, gdzie Max czekał przy drugiej torpedzie raketowej. Kiedy żuraw sunął po szynach, Juan zobaczył Lincolna na oszklonym pomoście. Franklin pochylał się nad komputerem i poruszał sterownikami wrót. Musiał trafić na właściwą kombinację, bo światła zaczęły gasnąć, aż pozostało tylko jedno nad Hanleyem. Cabrillo obejrzał się przez ramię. Dostrzegł w oddali, jak jedno skrzydło masywnych wrót otwiera się na zewnątrz. To był sygnał dla Lindy, żeby wpłynęła łodzią podwodną do schronu, gdzie system LIDAR zlokalizuje pocisk leżący na dnie. Ross wiedziała, że ma zaczekać na wiadomość od Cabrillo, czy zabierają następną torpedę.

Kiedy drugi pocisk zawisnął pod żurawiem, Max dołączył do Lincolna i obaj zanieśli resztę sprzętu do nurkowania, wraz z akwalungiem i skafandrem Juana, na krawędź suchego doku. Byli gotowi do odwrotu, gdy Cabrillo manewrował żurawiem, by opuścić torpedę do wody.

Kiedy zniknęła pod powierzchnią i lina się poluzowała, Juan wyłączył zasilanie żurawia i pod deską rozdzielczą wyrwał garść kabli wśród snopu iskier.

Nie było mowy, żeby Irańczycy nie odkryli kradzieży, więc przynajmniej mógł im maksymalnie utrudnić doprowadzenie suchego doku do porządku. Lincoln miał podłożyć mały ładunek wybuchowy, który na sygnał z czujnika ruchu zniszczy komputer sterujący drzwiami i oświetleniem. Dla większej dezorientacji materiał wybuchowy i czujnik były produkcji chińskiej.

Juan przypomniał sobie, że przeoczył jeden szczegół. Wyciągnął z kabury i rzucił do wody pistolet QSZ-92, najnowszą standardową broń krótką na wyposażeniu Chińskiej Armii Ludowo-Wyzwoleńczej. Wiedział, że Irańczycy będą szukali śladów, żeby spróbować dociec, kto przeniknął do ich bazy, i z pewnością znajdą pistolet. Nie miał pojęcia, jaki wniosek z tego wyciągną, ale zabawnie było zamącić im w głowach.

Zamiast tracić czas na mozolne schodzenie z żurawia Juan dobiegł truchtem po ogromnej belce łączącej boczne ściany budynku do bębna liny. Opuścił się po niej ręka za ręką trzy metry nad ciemną wodę i opadł w dół.

Max czekał z jego ekwipunkiem i pomógł mu włożyć akwalung na ramiona i hełm na głowę.

- Linda, słyszysz mnie? - zapytał Juan, pływając w miejscu. Ponieważ jego hełmofon działał pod wodą tylko w połączeniu ze skafandrem, który teraz trzymał Lincoln, nie mógłby go użyć pod powierzchnią.

- Tak, prezesie. A przy okazji, wykonałeś ładny skok. Według plusku oceniam go na 9,2.

- Podwójny półobrót w tył - zażartował Cabrillo. - Masz do zabrania dwie ryby, kiedy będziemy przechodzili przez śluzę powietrzną.

- Przyjęłam.

Mężczyźni poczuli pod sobą wir, gdy Linda ruszyła wolno nomadem naprzód. Bez maski do nurkowania Juan został pokierowany przez Lincolna do komory powietrznej i wpuszczony do środka pierwszy. Franklin precyzyjnie przesunął swoje wielkie ciało przez ciasny otwór, sięgnął w górę i zamknął

właz. Kiedy kontrolka na ścianie zaświeciła się na zielono, otworzył zawory, by opróżnić śluzę.

Cabrillo zdjął hełm, gdy tylko woda opadła poniżej jego podbródka. Powietrze było zimne i czyste, orzeźwiające po godzinie wdychania chemikaliów w zamkniętym suchym doku. Mimo małej ilości miejsca zdołał się uwolnić od akwalungu, nie posiniaczywszy zbytnio Lincolna, toteż kiedy komora została opróżniona, mógł od razu dołączyć do Lindy w kokpicie.

Uśmiechnęła się do niego zalotnie.

- Witam na pokładzie. Jak poszło?

- Jak po maśle - odrzekł z roztargnieniem i usiadł w pozycji półleżącej w mokrym mundurze syryjskiej marynarki wojennej. Monitor komputerowy między nimi pokazywał widok poniżej miniłodzi podwodnej.

Na obrazie z kamery noktowizyjnej, podwieszanej pod nomadem, Linda widziała, że są trochę w bok od pierwszej torpedy. Skorygowała ich pozycję, żeby jeden zespół zakrzywionych chwytaków, które zainstalował Max, znalazł się dokładnie nad trzytonowym pociskiem. Poruszyła sterownikiem i pazury z wolframowej stali zagięły się wokół torpedy i przycisnęły ją mocno do spodu nomada.

Juan przyszedł jej z pomocą i wypompował jeden zbiornik balastowy, żeby wytrzymować łódź. Linda przesunęła nomada poprzecznie pędnikami kierunkowymi, przygryzając wargę w kąciku ust.

Zakłęła pod nosem, gdy łódź minęła torpedę.

- Nadciąga przyływ - wyjaśniła i odwróciła kierunek ciągu, żeby cofnąć się nad cel.

Lampka na panelu kontrolnym śluzы powietrznej zmieniła kolor z czerwonego na zielony. Eddie i Max wrócili na pokład.

Prąd znów zniósł nomada za torpedę, co zmusiło Lindę do zwiększenia mocy, żeby stawić opór wodzie wpływającej do suchego doku. Wiry i przeciwprądy zmieniały położenie łodzi. Juan wiedział, że gdyby Linda uważała, iż sobie nie poradzi, poprosiłaby go o pomoc. Pozwolił jej działać i za trzecim razem wypuściła powietrze i zdołała zająć pozycję nad drugą torpedą. Zacisnęła chwytaki na pocisku i usunęła więcej balastu.

- Do trzech razy sztuka - powiedziała z uśmiechem zadowolenia.

Juan wysunął ramię manipulatora, zebrał zręcznymi mechanicznymi palcami cztery pętle, w których przenieśli torpedy, i włożył je do kosza pod dziobem nomada. Kiedy tylko wycofał manipulator, Linda przestawiła dżojstik do oporu i obróciła łódź podwodną w suchym doku. Sygnały z systemu LIDAR pozwoliły jej zmieścić się w częściowo otwartych wrotach i wydostać na wody portu.

Juan sprawdził naładowanie akumulatorów, prędkość nomada w wodzie i jego prędkość rzeczywistą, po czym wpisał dane do komputera, żeby otrzymać przybliżony zasięg łodzi podwodnej. Z tyłu jego drużyna zdejmowała mokre skafandry i wkładała suche ubrania zapakowane wcześniej.

Przyływ był silniejszy, niż się spodziewali. Wyglądało na to, że dotrą do „Oregona” z zapasem energii elektrycznej wystarczającym tylko na godzinę. A Juan zamierzał jeszcze zmniejszyć ten niepokojąco wąski margines bezpieczeństwa. Miał złe przeczucia co do reakcji Irańczyków i chciał, żeby statek jak najszybciej oddalił się od cieśniny Ormuz.

- Nomad do „Oregona” - nadał przez radio.

- Miło słyszeć twój głos, prezesie - zgłosił się Hali Kasim. - Rozumiem, że wszystko poszło dobrze.

- Jak odebranie dziecku cukierka - odrzekł Cabrillo. - Jak rekonfiguracja?

- Jak w zegarku. Osłona dziobu zdjęta, komin przywrócony do normalnego stanu i jesteśmy w

trakcie składania kontenerów.

- Okej, Hali. Chcę, żebyście za około pół godziny ruszyli w drogę, ale nie przekraczajcie prędkości trzech węzłów. - Nomad płynął z prędkością czterech. - Spotkamy się trochę dalej na południe.

- W ten sposób znajdziemy się dość blisko szlaków żeglugowych - zauważył Hali. - Tam nie będziemy mogli się zatrzymać, żeby was zabrać.

- Wiem. Zaokrętuujemy się w biegu.

Wprowadzanie nomada do basenu zanurzeniowego było niebezpiecznym manewrem, ale wykonanie go podczas ruchu „Oregon” Cabrillo zaryzykowałby tylko w ostateczności.

Max nachylił się do kokpitu.

- Jesteś pewien, że się uda?

Juan się odwrócił i spojrzał staremu przyjacielowi w oczy.

- Moja prawa kostka się odzywa.

Prezes zawsze sygnalizował tym zdaniem, że ma złe przeczucia. Miał je kiedyś przed przyjęciem zlecenia od NUMA, które kosztowało go stratę prawej nogi poniżej kolana. Od tamtej pory obaj polegali na jego instynkcie.

- Ty jesteś szefem. - Max skinął głową.

Podróż do „Oregon” trwała dwie godziny dłużej, niż planowali. Statek oddalał się wolno od irańskiego wybrzeża. Nomad wpłynął pod ciemny kadłub dwanaście metrów poniżej stępki. Skrzydła całkowicie otwartych wrót basenu zanurzeniowego przylegały płasko do dna statku, blask czerwonych lamp bojowych w środku nadawał morzu szkarłatną barwę. Mieli wrażenie, że zbliżają się do czeluści piekła.

Linda zwolniła, żeby dostosować prędkość łodzi podwodnej do tempa „Oregon”, i zajęła pozycję pod otworem. Podczas normalnego powrotu nomada nurkowie opuściliby się do wody, żeby przyczepić do niego liny żurawia, i łódź zostałaby wciągnięta do statku. Ale mimo prędkości zaledwie trzech węzłów nurkowanie w basenie byłoby niebezpieczne z powodu zbyt silnego prądu.

Kiedy Linda odpowiednio zredukowała prędkość, zaczęła opróżniać zbiorniki balastowe tak wolno, że nomad unosił się prawie niedostrzegalnie.

- Nie chcę naciskać ani nic takiego - zawołał Hali przez radio - ale za niecałe cztery minuty będzie zakręt.

Szlaki żeglugowe w cieśninie Ormuz są tak wąskie, że zbaczanie z kursu jest niedopuszczalne.

- Jasne, wcale nie naciskasz - odparła Linda, nie odrywając wzroku od ekranów komputerów.

Wypuściła więcej balastu, jej palce ledwo muskały dżojstik i przepustnicę. Robiła drobne korekty, gdy otwór rósł w oczach.

- Świetnie ci idzie - pochwalił Juan z fotela drugiego sternika.

Odległość malała, aż w końcu nomad znalazł się bezpośrednio pod statkiem. Słyszeli ciche buczenie jego rewolucyjnych silników i odgłos wody przepływającej przez kanały napędowe.

Linda minimalnie zwolniła i nomad cofnął się do tylnej części basenu zanurzeniowego. Śruby i stateczniki rufowe łodzi podwodnej były teraz niecałe trzydzieści centymetrów od krawędzi otworu.

- Jesteśmy na miejscu - powiedziała Linda i wyrzuciła pozostały półtonowy twardy balast, pojemnik wypełniony metalowymi kulami.

Nomad uniósł się i przebił powierzchnię. Choć płynący z prędkością trzech węzłów „Oregon” wytwarzał kipieli w basenie zanurzeniowym, woda była nieruchoma w stosunku do łodzi podwodnej.

Mini zaczęła przyspieszać do przodu. Linda włączyła awaryjny wsteczny ciąg, gdy nomad sunął szybko przez basen tylko dwukrotnie dłuższy od niego. Na taką okoliczność opuszczano na krawędź wody pneumatyczny odbojnik zajmujący całą szerokość basenu. Łódź uderzyła w niego tak lekko, że ledwo się ugiął.

Na kadłubie nomada rozległy się plaśnięcia stóp. Technicy przyczepiali liny żurawia do jego uchwytów. Wrota w dnie statku już się zamykały. Linda odetchnęła z ulgą i rozruszała energicznie nadgarstki, żeby pozbyć się skurczów.

Juan poklepał ją po ramieniu. Widział napięcie w jej oczach.

- Sam nie zrobiłbym tego lepiej.

- Dzięki - odrzekła zmęczonym głosem. Przechyliła głowę na bok, jakby nasłuchiwała czegoś w oddali. - Chyba moja wanna mnie wzywa.

- Idź - powiedział Juan, wysunął się z fotela i zostawił kałużę wody na ciemnym winylu. - W pełni zasłużyłaś na kąpiel.

Drużyna czekała pod włazem, kiedy nomada stawiano na kołysce i otwierano zewnętrzną pokrywę. Choć z Juana wciąż kapąła woda na przeciwpoślizgową podłogę, przepuścił innych do wyjścia. Technik wręczył mu bez pytania słuchawkę z mikrofonem.

- Eric, jesteś tam?

- Na stanowisku, prezesie - odparł Eric Stone ze swojego miejsca w centrum operacyjnym.

- Jak tylko zamkną się wrota, przyspiesz do osiemnastu węzłów. Kiedy wyjdziemy z cieśniny?

- Mniej więcej za dwie i pół godziny, a po piętnastu następnych dotrzemy do punktu spotkania.

Cabrillo najchętniej od razu pozbyłby się torped i wszystkich informacji technicznych, które Eddie ściągnął z komputera, ale spotkanie z USS „Tallahassee”, bojowym okrętem podwodnym klasy Los Angeles, musiało nastąpić dokładnie w wyznaczonym czasie, żeby nie ryzykować, że satelity szpiegowskie lub jakiś statek w pobliżu zauważą przeładunek.

- Dobra, dzięki. Powiedz Halemu, żeby uważnie nasłuchiwał, co nadaje wojsko z Bandar Abbas. Jeśli coś wyłapie, obudźcie mnie.

- Załatwione, szefie.

Max nadzorował wyjmowanie torped raketowych spod nomada i sam obsługiwał podnośnik łańcuchowy, żeby opuścić je na wózki mechaniczne. Eddie już umieścił twardy dysk z wykradzionymi danymi w sztywnym wodoszczelnym pojemniku.

- Pięć milionów za sztukę i milion za informacje z komputera. Nieźle jak na jeden dzień pracy. - Juan poklepał jeden z pocisków.

- Powinieneś już zadzwonić do Overholta, żeby wiedział, że zwinęliśmy dwie z tych zabawek, i nie dostał ataku serca, jak zobaczy rachunek.

- Najpierw prysznic - odparł Juan. - Potem do niego przekreć. Idziesz spać?

Max zerknął na zegarek.

- Jest prawie wpół do piątej. Chyba już się nie położę, tylko pomogę doprowadzić statek do porządku. Może porozkoszuję się śniadaniem o wschodzie słońca.

- Jak chcesz. Dobrej nocy.

W okresie brytyjskiego panowania w Indiach osoby wybierające się statkami do placówek imperium w Bombaju czy Delhi rezerwowały sobie kabiny na rejs do Indii z lewej burty, a na powrót do Anglii z prawej. W ten sposób zawsze podróżowały po zacienionej stronie statku.

Kabina Cabrillo była z lewej burty „Oregona”, ale frachtowiec płynął pod takim kątem do słońca, że przez bulaj wpadało światło, i apartament przypominał saunę, mimo włączonej klimatyzacji. Juan obudził się zlany potem i przez chwilę nie wiedział, co wyrwało go ze snu, dopóki telefon nie zadzwonił drugi raz.

Zerknął na duży zegar ścienny na wprost łóżka i oswobodził ramiona z poskręcanej pościeli. Nie było jeszcze ósmej, a słońce już prażyło jak diabli.

Podniósł słuchawkę.

- Cabrillo.

- Prezesie, tu Hali. Sprawa się wydała.

Juan wykonał w pamięci obliczenia, gdy wiadomość dotarła do jego świadomości. Wyszło mu, że „Oregon” już opuścił cieśninę i jest w Zatoce Omańskiej, ale jeszcze w irańskiej strefie wpływów.

- Co się dzieje? - zapytał, przerzucił nogi nad krawędzią łóżka i przeczesał ręką włosy.

- Nadali coś gorączkowo z Bandar Abbas jakieś pięć minut temu i ucichli.

Juan spodziewał się tego. Wiedział, że upłynie trochę czasu, zanim dowódca bazy zorientuje się, co zaszło, i w końcu odważy się zameldować o kradzieży swoim przełożonym w Teheranie. Tamci każą mu natychmiast wprowadzić zakaz używania w bazie radiostacji i niezabezpieczonych telefonów i przejść na łączność przez dedykowane linie naziemne.

Podczas pierwszej wojny w zatoce Ameryka ujawniła światu swoje możliwości przechwytywania informacji. Korzystając z własnych satelitów i lądowych stacji nasłuchowych, NSA mogła bezkarnie podsłuchać praktycznie każdą rozmowę telefoniczną i radiową, przeczytać każdy faks i poznać treść każdej wiadomości przesłanej inną drogą telekomunikacyjną. Dlatego amerykańscy wojskowi znali dokładnie lokalizację ośrodków dowodzenia siłami Saddama Husajna. W odpowiedzi na tę miażdżącą przewagę techniczną kraje, które uważały Stany Zjednoczone za zagrożenie, a mianowicie Iran, Syria, Libia i Korea Północna, wydały setki milionów dolarów na budowę sieci linii naziemnych, do których trzeba byłoby się bezpośrednio podłączyć, żeby je monitorować.

Po pierwszych gorączkowych rozmowach w eterze, zarejestrowanych przez „Oregon”, Irańczycy przeszli na ten drugi system i pozbawili Cabrillo cennego źródła informacji.

- Czego się dowiedziałeś? - zapytał Juan.

- Zameldowali o włamaniu do suchego doku, o niewielkiej eksplozji, która zniszczyła ich dyspozytornię, i o kradzieży dwóch wielorybów.

- Tak nazywają torpedy rakietowe - wyjaśnił Juan. - Zdaje się, że w farsji to jest hut.

- Takie słowo pokazał komputer. Potem przyszedł rozkaz z ministerstwa obrony, żeby przeszli na „głos Proroka”.

- Musiało chodzić o ich wojskowe linie telekomunikacyjne. - Juan przycisnął telefon

bezprzewodowy barkiem do ucha, żeby mieć wolne ręce i móc się ubrać. - Coś jeszcze?

- Przykro mi, prezesie, ale to wszystko.

Cabrillo wyobraził sobie, co by dalej zrobił na miejscu Irańczyków.

- Zamkną Bandar Abbas i przeprowadzą powtórna inspekcję na wszystkich statkach w porcie.

Postawią marynarke wojenna w stan pogotowia i mogą próbować zatrzymać statki w odległości do około pięćdziesięciu mil morskich od wybrzeża wzdłuż całej Zatoki Omańskiej.

- Jesteśmy jeszcze w tej strefie - odrzekł Hali.

- Powiedz sternikowi, żeby nas stąd wyprowadził w cholerę. Będę w centrum operacyjnym za dwie minuty. Zbierz starszy personel. - Choć czołowi członkowie Korporacji skończyli dyżur zaledwie parę godzin temu, Juan chciał, żeby obsługiwali statek, dopóki nie będą daleko poza zasięgiem Irańczyków.

Kiedy Cabrillo projektował „Oregon”, poświęcał mnóstwo uwagi centrum operacyjnemu. Było mózgiem statku, jego ośrodkiem nerwowym. Stąd sterowano wszystkim, od silników i uzbrojenia do tryskaczy gaśniczych i systemu łączności. Nowoczesne pomieszczenie stanowiło przeciwieństwo opłakanego wyglądu zewnętrznego frachtowca. Na przedniej ścianie dominował wielki płaski ekran, który mógł pokazywać jednocześnie tuziny ujęć z kamer „Oregon”, jego miniłodzi podwodnych, bezzałogowego zdalnie sterowanego samolociku zwiadowczego ROV i helikoptera Robinson R-44. Wyświetlano na nim również obrazy sonarowe i radarowe.

Bezpośrednio pod płaskim ekranem znajdowały się stanowiska sternika i operatora uzbrojenia. Konsola telekomunikacyjna Halego, miejsce głównego mechanika, Maksa Hanleya, i wodospadowy wyświetlacz sonaru otaczały środek zaciemnionej przestrzeni, który zajmował fotel Kirka. Mark Murphy i Eric Stone nazywali tak stanowisko dowodzenia, skąd Cabrillo mógł monitorować wszystko, co działo się na statku i wokół niego, i w razie konieczności obsługiwać inne stanowiska.

Niski sufit i poświata tuzinów monitorów komputerowych upodabniały pomieszczenie do centrum kontroli lotów NASA.

Kiedy wszedł Juan, wykończony Max Hanley siedział już w swoim fotelu, podobnie jak Mark Murphy. Murphy jako jedyny członek załogi nie służył wcześniej w wojsku ani w wywiadzie i było to widać. Wysoki niezdarny brunet miał długie potargane włosy i usiłował zapuścić brodę, ale na razie wyhodował tylko anemiczny zarost. Miał najwyższy iloraz inteligencji spośród wszystkich na statku i zrobił doktorat w Instytucie Technologicznym Massachusetts tuż po dwudziestce. Potem zajmował się rozwojem systemów w jednej z przodujących firm zbrojeniowych, gdzie poznał Erica Stonea. Eric był wówczas zaopatrzeniowcem w marynarce wojennej, ale już planował przejście do Korporacji. Kiedy przez dwa miesiące pracowali wspólnie nad działem dalekiego zasięgu dla niszczycieli klasy Arleigh Burke, Eric przekonał Cabrillo i Murphyeego do połączenia sił.

Juan nie mógł zarzucić Murphyeemu braku umiejętności obsługi uzbrojenia „Oregon”. Miał tylko nadzieję, że pewnego dnia młody Murphy przestanie się ubierać na czarno od góry do dołu i słuchać punkowej muzyki tak głośno, że wibracje strząsały skorupiaki z kadłuba. Tego ranka zastał go w T-shircie ozdobionym wizerunkiem rubinowych warg. Z tyłu koszulki widniał tytuł słynnego musicalu filmowego The Rocky Horror Picture Show. Na stanowisku ogniowym walało się pół tuzina puszek po napojach energetyzujących i Juan poznał po szklistych oczach Murphyeego, że szprycuje się kofeiną.

Cabrillo usiadł na swoim miejscu i wyregulował ustawienie wyświetlacza komputera, tuż przy jego łokciu. Nagle pojawił się obok niego kubek parującej kawy. Maurice podszedł tak cicho, że

Juan go nie usłyszał.

- Będę musiał przyczepić ci dzwoneczek.
- Odpowiem nadużywanym komunałem, kapitanie: po moim odejściu z tego świata.
- Mówi się „po moim trupie”. - Juan się uśmiechnął.
- Wszystko jedno.
- Dzięki.
- Proszę bardzo.

Ponad obrzeżem kubka Juan przyjrzał się obrazom wyświetlanym przed nim. Szczególną uwagę zwrócił na radarowy obraz wód otaczających „Oregon”. Irańskie wybrzeże wciąż było widoczne u góry ekranu, na krańcu zasięgu radaru, wokół nich zaś niezliczone statki zdążyły do Zatoki Perskiej lub w przeciwnym kierunku. Wielkość ich wskazywała, że większość to tankowce i ruch wydawał się tak gęsty jak w Atlancie w godzinach szczytu. Daleko na południu zgrupowanie jednostek otaczało jedną dużą i Juan domyślił się, że to amerykańska grupa bojowa lotniskowca.

Sprawdził prędkość i kurs „Oregona” oraz głębokość morza pod statkiem. Dno opadało do stu dwudziestu metrów, wystarczająco nisko dla irańskiego okrętu podwodnego. Ale w pobliżu Amerykanów Juan bardziej obawiał się ataku helikoptera lub samolotu, gdyby frachtowiec powiązano w jakiś sposób z kradzieżą. Rzut oka na ujęcia z kamer upewnił go, że „Oregon” wygląda tak jak powinien. Miał teraz jeden komin, z pokładu zniknęły kontenery i na kadłubie widniała jego prawdziwa nazwa, choć na flagsztoku przezornie pozostawiono panamską banderę, gdyż Irańczycy nie potrzebowaliby pozwolenia na inspekcję statku pod ich banderą, pod którą normalnie pływał „Oregon”. Kamera wysoko na szczycie jednego z żurawi bomowych pokazywała tankowiec niecałą milę za rufą. Najwyraźniej minęli go niedawno. Pół mili na północ podążał ich szlakiem kontenerowiec.

- Hali, jest coś na sonarze?
- Oprócz hałasów ośmiu statków w zasięgu, które komputer już wyczyścił, jesteśmy tylko my, niewinni marynarze floty handlowej. - Kasim urwał, jakby chciał coś dodać.

Juan zobaczył jego grymas.

- Mów. Nawet, jeśli to drobiazg.
- Jakąś minutę po tym, jak zamilkło Bandar Abbas, odezwała się baza morska w Chah-Bahar.
- Później jeszcze ją słyszałeś?
- Tylko tamten jeden raz. - Hali pokręcił głową.

Juan nie wiedział, co zrobić z tą informacją, więc chwilowo to odłożył.

- Co w powietrzu?
- Samolot przeciwpodwodny z lotniskowca na południe od nas zrobił przelot godzinę temu, ale nic się nie dzieje u naszych przyjaciół na północy.

Cabrillo odprężył się i zaczął nabierać przekonania, że jednak się wymkną. Ledwo to pomyślał, Hali krzyknął:

- Kontakt sonarowy! Kierunek dziewięćdziesiąt pięć stopni, odległość sześć tysięcy czterysta metrów. Torpeda w wodzie. Niech to szlag, czekał na nas w zasadzce z otwartymi pokrywami dziobowymi i zalanymi wyrzutniami.

Prawie trzy i pół mili dzieliło statek od nadpływającej torpedy, więc Juan wiedział, że ma aż nadto czasu na zrobienie uniku „Oregonem”.

- Obserwuj ją, Hali - polecił spokojnie. - Musimy wiedzieć, dokąd zmierza, zanim zareagujemy.

- Kontakt sonarowy! - krzyknął znów Kasim. - Druga torpeda w wodzie, ten sam kierunek i odległość. Mam ekstrapolację celu na komputerze. Pierwsza ryba pruje do kontenerowca. Zidentyfikowałem go jako „Saga”. Wyszedł z Bandar Abbas dwadzieścia minut przed nami.

Zła sytuacja taktyczna jeszcze się pogorszyła.

- Dostajemy ostrzeżenia od grupy bojowej lotniskowca - zawołał Hali. - Słyszeli odpalenie torped i wysyłają samolot.

- Ale się narobiło - powiedział sardonicznie Max.

- Mnie to mówisz - mruknął Juan.

- Dajcie spokój! - krzyknął Hali. - Nowy kontakt. Wystrzelili trzecią torpedę. Wygląda na to, że wzięli na celownik nas, „Saga” i supertankowiec Petromax Oil za nami o nazwie „Aggie Johnston”.

Gdyby tylko jedna torpeda ścigała „Oregon”, Cabrillo poradziłby sobie z nią. Może nawet z dwiema, gdyby zdołał wmanewrować swój frachtowiec między drugą a statek, który miał być jej celem. Ale kiedy w wodzie pojawiła się trzecia, jego możliwości szybko się wyczerpały. „Saga” lub „Aggie Johnston” musiały zostać trafione. Cabrillo nie mógł dopuścić do tego, żeby ofiarą ataku padł supertankowiec z dwustoma tysiącami ton surowej ropy z zatoki.

- Właśnie odpalili następną - oznajmił Hali z niedowierzaniem w głosie. - Są już cztery w wodzie. Odległość między „Saga” a pierwszą zmalała do trzech mil. Ta ostatnia ryba płynie dużo wolniej niż reszta.

- Czai się, żeby zobaczyć, czy któraś z tamtych nie zawiedzie - wyjaśnił Max. - Jeśli tak, to wejdzie do akcji i dokończy robotę.

Gdyby jedna z trzech pierwszych torped chybiła lub nie wybuchła, cel zniszczyłaby rezerwowa. Cabrillo znał tę taktykę. I nie miał żadnej obrony przed nią. Pomyślał, że będą mogli uważać się za szczęściarzy, jeśli wydostaną się żywi z Zatoki Omańskiej.

M/s „Golden Dawn” Ocean Indyjski

Dłoń napastnika ścisnęła jak imadło usta i nos Jannike Dahl. Nie mogła oddychać i wszelkie próby uwolnienia się jedynie pogarszały sytuację. Miotając się, zdołała zaczerpnąć zaledwie tyle powietrza, żeby nie zemdleć. Rzuciła się to w jedną, to w drugą stronę, ale ręka nie puszczała jej.

Tylko sekundy dzieliły ją od utraty przytomności, ale była bezradna. Wydawało jej się, że tonie, umiera w najbardziej przerażający sposób, jaki potrafiła sobie wyobrazić. Tyle że to nie zimna woda odbierała jej życie, lecz dłonie obcego.

Jannike zrobiła ostatni rozpaczliwy wysiłek, żeby się oswobodzić.

Obudziła się z gwałtownym wdechem i uniosła z łóżka głowę i ramiona, ale pociągnęły ją z powrotem prześcieradła i koce, pod którymi leżała. Przezroczysta plastikowa rurka intubacyjna podająca czysty tlen do jej nosa owinęła się wokół szyi i dusiła ją tak jak astma, na którą cierpiała.

Atakom we śnie zawsze towarzyszył ten sam koszmar. Jannike znalazła po omacku inhalator na nocnej szafce i uświadomiła sobie mgliście, że nadal jest w szpitalu okrętowym. Włożyła ustnik między wargi, wtrysnęła kilkakrotnie ventolin i wciągnęła lek tak głęboko jak mogła przy wypełnionych płynem płucach.

Kiedy specyfik rozszerzył drogi oddechowe, Janni mogła wchłaniać go więcej i w końcu najostrejsze objawy ataku ustąpiły. Ale serce nadal jej waliło po przerażającym śnie, a przemieszczenie części rurki intubacyjnej powodowało, że tlen trafiał tylko do jednego nozdrza. Janni poprawiła ją i poczuła się lepiej. Zerknęła na monitor nad łóżkiem i zobaczyła, że poziom tlenu w jej organizmie zaczyna szybko rosnać. Wygładziła pościel i ułożyła się wygodniej.

Trzeci dzień leżała w ambulatorium. Całymi godzinami była sama, nudziła się niemiłosiernie i przeklinała słabe płuca. Przyjaciółki wpadały do niej regularnie, ale wiedziała, że niechętnie ją odwiedzają. Nie dziwiła się im. Łapiąc powietrze jak ryba i używając inhalatora, nie przedstawiała sobą miłego widoku. Nie miała nawet siły podnieść się na tyle, żeby jedyna pielęgniarka mogła zmienić jej pościel, i wyobrażała sobie, jaki zapach wydziela jej ciało.

Zasłona wokół jej łóżka została nagle odciągnięta. Doktor Passman wszedł tak cicho do sali, że Janni nie usłyszała jego kroków. Był emerytowanym kardiochirurgiem po sześćdziesiątce. Po rozwodzie zrezygnował z praktyki w Anglii i zatrudnił się jako lekarz okrętowy w towarzystwie żeglugowym Golden Cruise Lines, żeby wieść spokojniejsze życie i nie oddawać byłej żonie połowy pieniędzy, które kiedyś zarabiał.

- Usłyszałem, jak krzyczałaś - powiedział, patrząc nie na pacjentkę, ale na monitory. - Wszystko w porządku?

- Miałam po prostu następny atak. - Janni zdobyła się na uśmiech. - Taki sam, jakie męczą mnie od trzech dni. - Potem dodała ze śpiewnym skandynawskim akcentem: - Ale nie było tak źle jak przedtem. To chyba mija.

- Ja to ocenię - odrzekł lekarz i wreszcie spojrzał na nią. Miał wyraz troski w oczach. - Jesteś

sina jak jagoda. Moja córka cierpi na chroniczną astmę, ale nie tak jak ty.

Jannike wzruszyła ramionami.

- Przyzwyczałam się. Pierwszy atak miałam w wieku pięciu lat, więc zmagam się z tym przez trzy czwarte życia.

- Chciałem cię zapytać, czy ktoś w twojej rodzinie choruje na to?

- Jestem jedynaczką i żadne z rodziców nie miało astmy, choć matka mówiła mi, że babcia chorowała na nią w dzieciństwie.

Passman skinął głową.

- To zwykle jest dziedziczne. Należałoby sądzić, że pobyt na morzu z dala od skażeń dobrze ci zrobi.

- Też miałam taką nadzieję - odrzekła Janni. - Między innymi dlatego podjęłam pracę kelnerki na statku wycieczkowym. No i chciałam się wyrwać z małego miasteczka, gdzie nie ma co robić poza przyglądaniem się, jak kutry rybackie wychodzą w morze i wracają do portu.

- Musisz tęsknić za rodzicami.

- Straciłam ich dwa lata temu. - Cień smutku pojawił się w ciemnych oczach Jannike. - Zginęli w wypadku samochodowym.

- Bardzo mi przykro. Wracają ci rumieńce - powiedział Passman, żeby zmienić temat. - I zdaje się, że jest ci łatwiej oddychać.

- To znaczy, że mogę już stąd wyjść? - zapytała Janni.

- Niestety nie, moja droga. Masz jeszcze za niski poziom nasycenia tlenem.

- Pewnie nie obchodzi pana to, że dziś jest przyjęcie dla załogi - odparła z nutą zawodu w głosie.

Według zegara na przeciwległej ścianie zabawa zaczynała się za kilka godzin.

Dla młodszych członków hotelowego personelu statku impreza była pierwszą okazją, żeby się trochę odprężyć, odkąd „Golden Dawn” opuścił Filipiny dwa tygodnie wcześniej. To miała być największa atrakcja tego rejsu dla kelnerów, kelnerek, pokojówek i załogi po służbie, składającej się z piekielnie przystojnych Norwegów. Janni wiedziała, że część młodszych pasażerów też zamierza przyjść. Wszyscy tylko o tym mówili od tygodnia.

- Nie - odpowiedział lekarz.

Drzwi małej sali szpitalnej otworzyły się i Elsa i Karin, dwie najlepsze przyjaciółki Janni na pokładzie „Golden Dawna”, wkroczyły do środka w oparach perfum. Były z Monachium, parę lat starsze od Janni, i pracowały w Golden Cruise Lines trzeci rok - Elsa jako cukiernik, Karin jako kelnerka w jadalni, teraz na tej samej zmianie co Janni. Wyglądały zabójczo. Karin włożyła czarną sukienkę na wąskich ramiączkach, która uwydatniała jej duży biust, Elsa miała na sobie sukienkę bez rękawów i sądząc po tym, jak tkanina opinała jej ciało, nie miała nic pod spodem. Obie były mocno umalowane i rozchichotane.

- Jak się czujesz? - zapytała Elsa i usiadła na brzegu łóżka Janni, ignorując Passmana.

- Zazdroszczę wam.

- Nie wy dobrzałaś na tyle, żeby iść na imprezę? - Karin spojrzała gniewnie na lekarza, jakby z jego winy Jannike cierpiała na astmę.

Janni odgarnęła wilgotne włosy z czoła.

- Nawet gdybym mogła pójść, nie miałabym szans przy was.

- Myślisz, że spodobam się Michaelowi? - spytała Karin, robiąc piruet.

- Rzucisz go na kolana - zapewniła ją Elsa.

- Jesteście pewne, że on będzie? - zapytała Janni, podejmując temat mimo bólu w piersi. Michael, wysportowany niebieskooki blondyn z Kalifornii, siedział przy stole, który obsługiwały. Cały personel płci żeńskiej uważał go za najprzystojniejszego faceta na statku. Janni wiedziała, że Karin i Michael obściskują się przy każdej okazji.

Karin wygładziła sukienkę.

- Sam mi to powiedział.

Passman wtrącił się do rozmowy:

- Nie przeszkadza ci to, że on jest responsywidą? Rzuciła lekarzowi spojrzenie.

- Wychowywałam się z czterema braćmi i trzema siostrami. Uważam, że bezdzietność to nie taki zły pomysł.

- Responsywidizm to więcej niż bezdzietność - zauważył.

Karin uznała to za przytyk, że nie wie, jaki program ma ugrupowanie, które wyczarterowało statek.

- Owszem, to również pomaganie ludzkości przez umożliwianie milionom kobiet w krajach Trzeciego Świata planowania rodziny i zmniejszanie zaludnienia kuli ziemskiej. Kiedy doktor Lydell Cooper stworzył ten ruch w latach siedemdziesiątych XX wieku, na świecie były trzy miliardy ludzi. Dzisiaj jest dwa razy tyle, sześć miliardów, i stale nas przybywa. Dziesięć procent wszystkich ludzi, jacy kiedykolwiek żyli w okresie setek tysięcy lat, żyje teraz.

- Widziałem te informacje na plakatach, które porozlepiali na całym statku - odparł protekcjonalnie Passman. - Ale nie sądzisz, że responsywidizm wykracza poza rozbudzanie świadomości społecznej? Żeby kobieta mogła się przyłączyć do tego ruchu, musi się zgodzić na podwiązanie jajowodów. To mi wygląda na sektę.

- Michael powiedział, że ludzie ciągle mu to mówią. - Karin z młodzieńczym uporem postanowiła bronić przekonań jej wybrańca. - Nie może pan odrzucać jego poglądów tylko dlatego, że nie zna pan wszystkich faktów.

- Zgoda, ale chyba rozumiesz... - Passman urwał, wiedząc, że żaden argument nie przemówi do dwudziestoparoletniej dziewczyny z szalejącymi hormonami. - Choć może nie. Myślę, że obie powinnyście dać Jannike odpocząć. Możecie jej opowiedzieć o przyjęciu później. - Odszedł od łóżka Janni.

Elsa dotknęła jej szczupłego ramienia.

- Wygrzebiesz się z tego, Schnuckiputzil

- Nic mi nie będzie. Bawcie się dobrze, a jutro czekam na pikantne szczegóły. Karin uśmiechnęła się szeroko.

- Grzeczne dziewczynki nie całują się i nie plotkują.

- Nie spodziewam się, że będziecie grzeczne.

Dwie Niemki wyszły razem, ale Karin wróciła po chwili. Przysunęła się do wezglowia łóżka.

- Chyba to zrobię.

Janni wiedziała, o co jej chodzi. Orientowała się, że Michael nie jest tylko przelotną znajomością dla jej przyjaciółki. Oprócz tego, że całowali się kilka razy, dużo rozmawiali o jego poglądach.

- Karin, to zbyt poważny krok. Nie znasz go tak dobrze.

- I tak nigdy nie chciałam mieć dzieci, więc co za różnica, czy podwiążę sobie jajowody teraz, czy za kilka lat?

- Nie daj mu się do tego namówić - powiedziała Janni z taką mocą, jaką mogła wykrzesać z

osłabionego organizmu. Karin była miła, ale nie należała do najsilniejszych pod względem charakteru osób, jakie Jannike знаła.

- Nie namawiał mnie do tego - zaprzeczyła zbyt szybko Karin. - Myślałam o tym od dawna. Nie chcę być wykończona tuż po trzydziestce jak moja matka. Ma teraz czterdzieści pięć lat, a wygląda na siedemdziesiąt. Dziękuję, postoję. Poza tym... - dodała z promiennym uśmiechem - i tak nic się nie stanie, dopóki nie dopłyniemy do Grecji.

Janni wzięła Karin za rękę, żeby podkreślić swój punkt widzenia.

- To jest decyzja, która będzie miała wpływ na resztę twojego życia. Przemyśl to jeszcze, okej?

- Okej - odrzekła Karin, jakby odpowiadała któremuś z rodziców. Janni przytuliła ją szybko.

- Dobrze. Zabaw się za nas obie.

- Możesz na mnie liczyć.

Zapach perfum pozostał długo po wyjściu dziewczyn.

Janni marszczyła twarz w skupieniu. Statek zawijał do Pireusu za tydzień. Miała nadzieję, że ona i Elsa zdołają wyperswadować Karin jej decyzję. Jednym z warunków przyjęcia do responsywiistów była sterylizacja. U mężczyzn wycięcie nasieniowodów, u kobiet podwiązanie jajowodów. To była część ich kodeksu postępowania, zgoda na bezdzietność, żeby nie zwiększać przeludnienia świata. Dramatyczny pierwszy krok. Trudny, kosztowny i nie do odwrócenia. Karin była za młoda na zrobienie tego tylko po to, żeby móc sypiać z facetem.

Jannike zasnęła i obudziła się po kilku godzinach. Słyszała przytłumione dudnienie silników statku, ale ledwo czuła łagodne kołysanie na falach Oceanu Indyjskiego. Była ciekawa, jak Elsa i Karin bawią się na przyjęciu...

Jannike obudziła się znowu godzinę później. Nie cierpiała pobytu w szpitalu. Była samotna, znudzona i przez chwilę zastanawiała się, czy nie wyjąć starego ubrania spod łóżka i nie zakraść się do sali balowej, żeby tam zajrzeć. Ale nie miała na to siły i znów zamknęła oczy.

Usłyszała hałas moment wcześniej, niż napastnik znowu chwycił ją za gardło i zaczął dusić.

Jannike ocknęła się gwałtownie i sięgnęła po inhalator w chwili, gdy drzwi sali otworzyły się w blasku światła z biura. Z powodu ataku astmy nie była pewna, czy dobrze widzi. Doktor Passman wtoczył się do środka. Miał na sobie płaszcz kąpielowy i był boso. Wyglądało na to, że jest cały zakrwawiony. Jannike wciągnęła głęboko lek z inhalatora i zamrugnęła, żeby odzyskać ostrość widzenia.

Passman wydał z siebie obsceniczny odgłos i krew strumieniem pociekła mu z ust. Janni łapała oddech. Lekarz zrobił jeszcze dwa chwiejne kroki i kolana ugięły się pod nim. Przechylił się do tyłu i zwałił na linoleum z głośnym plaśnięciem. Janni zobaczyła, jak przez całe ciało Passmana przebiegają drobne fale, jakby jego wnętrzności zamieniły się w ciecz, i w ciągu kilku sekund otoczyła go kałuża krwi.

Jannike ścisnęła kurczowo pościel i wchłonęła dawkę ventolinu, gdy poczuła, że zaczyna się u niej hiperwentylacja. Druga postać pojawiła się w sali ambulatorium. Była to Karin w krótkiej czarnej sukience. Miała gwałtowny mokry kaszel i pluła krwią. Janni wrzasnęła, przerażona tym, co widzi.

Karin próbowała mówić, ale brzmiało to jak bulgot. Wyciągnęła ręce w błagalnym geście, jej blade palce sięgnęły po Jannike. Janni nienawidziła się za to, że cofnęła się na łóżku, ale nie mogła się zmusić do ruchu naprzód. Czerwona łza wypłynęła z kącika oka Karin, zostawiła krwawy ślad na policzku i kapnęła na jej pierś, gdzie wykwitła niczym róża.

Podobnie jak Passman sekundy wcześniej, Karin nie zdołała utrzymać się na nogach. Wygięła się do tyłu i nie zrobiła nic, żeby nie upaść. Kiedy uderzyła w podłogę, Janni odniosła wrażenie, że skóra dziewczyny przestała istnieć. Zewsząd trysnęła krew, gdy ciało Karin się rozpadło. Zanim Jannike Dahl doznała katatonicznego szoku, zdążyła jeszcze pomyśleć, że postradała zmysły.

Juan Cabrillo studiował przez kilka sekund obraz na wyświetlaczu taktycznym na przegrodzie czołowej centrum operacyjnego. Wiedział, że nie ma czasu, ale musiał to zrobić. Trzy z czterech torped odpalonych z irańskiego okrętu podwodnego klasy Kilo mknęły wachlarzem do swoich celów. Według sonaru czwarta tak bardzo zwolniła, że komputer podawał tylko jej przybliżoną lokalizację.

Niecałe dwie mile dzieliły kontenerowiec „Saga” od pierwszej torpedy, podczas gdy supertankowiec „Aggie Johnston”, o wyporności dwustu tysięcy ton, był półtorej mili dalej. Trzecia torpeda szła prosto na „Oregon” z prędkością ponad czterdziestu węzłów.

Cabrillo wiedział, że „Oregon” wytrzymałby bezpośrednie trafienie dzięki reaktywnemu pancernowi wzdłuż kadłuba, który eksplodowałby na zewnątrz przy uderzeniu torpedy i rozproszył siłę wybuchu, choć najważniejsze systemy prawdopodobnie zostałyby uszkodzone. Mógłby też zrobić unik przed nadpływającą torpedą, wykorzystując nadzwyczajną prędkość i zwrotność „Oregon”, ale wtedy pozbawiony celu pocisk podwodny naprowadziłby się na „Sage” i przypieczętował jej los. Cabrillo nie miał po prostu sposobu na to, żeby ochronić dwa statki handlowe i „Oregon”, zwłaszcza przy czającej się rezerwowej torpedzie.

Uświadomił sobie mgliście, że Hali Kasim ostrzega przez radio kontenerowiec i tankowiec przed zbliżającymi się torpedami, choć załogi nie mogły już nic zrobić. Statek tej wielkości, co „Aggie Johnston”, miał ogromnie duży promień skrętu i potrzebowałby pięciu mil na zatrzymanie się ze swojej obecnej prędkości rejsowej.

- Namierzam dwa szybkie obiekty z lotniskowca - zameldował Mark Murphy ze stanowiska obsługi uzbrojenia. - Podejrzewam, że to samoloty przeciwpodwodne S-3B Viking z torpedami Mark 46 lub Mark 50 na pokładach. Za jakieś dziesięć minut dla tego kilo zacznie się naprawdę zły dzień.

- Dla nas to o pięć minut za późno - odrzekł Eric.

- Hali, w jakiej jesteśmy odległości od torpedy, która nas ściga? - spytał Cabrillo.

- Trzech mil.

- A „Saga”?

- Ponad mili.

Cabrillo wyprostował się w fotelu. Podjął decyzję. Nadszedł czas, by rzucić kości i zobaczyć, co z tego wyjdzie.

- Ster, przyspiesz do czterdziestu węzłów i wprowadź nas między „Sage” a torpedę, która na nią idzie.

- Tak jest.

- Uzbrojenie, otwórz pokrywy gatlinga dziobowego, weź na cel tamtą rybę i sprzęż swój komputer z sonarem. Możesz też potrzebować obrazu z kamery na bocianim gnieździe.

- Za sekundę - odpowiedział Mark.

- Panie Murphy. - Głos Juana przybrał ostry ton. - Nie mamy sekundy. Murphy nie słuchał. Był pochłonięty tym, co działo się na monitorze laptopa, który podłączył do systemu.

- Dawaj, mały, ucz się tego - przynaglił.

- Co ty robisz? - zapytał Cabrillo i skontrolował ciałem przechył „Oregona” w ciasnym skręcie.

- Uczę Whoppera nowej sztuczki.

Murphy i Stone nazywali tak superkomputer „Oregona”. Nazwę zapożyczyli ze starego filmu z Matthew Broderickiem o młodym hakerze, który włamał się do głównego komputera Dowództwa Obrony Przestrzeni Powietrznej Ameryki Północnej i omal nie wywołał wojny jądrowej.

- Nie potrzebujemy nowych sztuczek, uzbrojenie. Chcę mieć przygotowanego gatlinga.

Murphy obrócił się na fotelu i spojrzał przez centrum operacyjne na Maksa Hanleya, który pracował na własnym komputerze.

- Chyba nic z tego.

- Próbuj, chłopcze - odparł Max.

Juan przeniósł wzrok z jednego na drugiego.

- Może mi wyjaśnicie, co się dzieje?

- Udało się! - zawołał triumfalnie Mark, zerwał się z miejsca i wyrzucił do góry pięści. Potem zaczął na stojąco gorączkowo pisać na klawiaturze, poruszając palcami z wprawą pianisty. - Tworzy się logarytm, włącza się celowanie. Komputer pokładowy jest zsynchronizowany z naszym. Zdobyłem pełną kontrolę.

- Nad czym? - zapytał Juan.

Mark zerknął na niego z szatańskim uśmiechem.

- Zaraz się zabawimy.

Cabrillo zbladł i odwrócił się do Maksa. Hanley miał nieprzeniknioną minę posągu Buddy.

- Żartujesz - powiedział Juan do swojego zastępcy, ale wiedział, że tak nie jest. - Chyba pamiętasz, że jak ostatnim razem Rosjanie spróbowali odpalić takie coś, to zrobiło im dziurę w kadłubie „Kurska” i zabiło całą stuosiemnastoosobową załogę? A to jest irański klon, na litość boską.

- Dziewięćset metrów między „Sagą” a torpedą - zawiadomiła Linda Ross. W eterze porozumiewały się frachtowce, amerykańska grupa bojowa i szybko nadlatujące samoloty przeciwpodwodne, więc Linda zastąpiła przy sonarze Halego Kasima, żeby mógł się skoncentrować na radiu.

- Daję ci tylko pewną możliwość, prezesie - odparł Max z szerokim uśmiechem.

- Nie prezesuj mi tutaj, ty stary cwany skurczybyku.

Juan znów przestudiował obraz na wyświetlaczu taktycznym i zauważył, że „Oregon” zaraz znajdzie się między nadpływającą torpedą a jej celem. Z powodu gęstości wody musieli być dokładnie przed pociskiem, żeby mieć realną szansę trafienia go. Zanim zajęliby odpowiednią pozycję, tylko niecałe czterysta pięćdziesiąt metrów dzieliłoby ich od pędzącej zaledwie trzy metry pod powierzchnią torpedy.

Kamera na żurawiu pokazywała kilwater zbliżającego się pocisku, lekką zmarszczkę na spokojnym morzu. Torpeda pruła z prędkością ponad czterdziestu węzłów.

- Uzbrojenie, musimy ją rozwalić, zanim znurkuje do ataku.

- Namierzam - odrzekł Murphy.

Eric Stone wmanewrował „Oregon” na pozycję przy użyciu pędników poprzecznych i pełnego wstecznego ciągu silników magnetohydrodynamicznych. Byli teraz dokładnie na kursie pocisku.

- Ognia - rozkazał Juan. Mark nacisnął kilka klawiszy.

Na zewnątrz wzdłuż burty „Oregona” otworzyła się pancerna płyta nad gniazdem gatlinga i sześciolufowe działko plunęło serią wśród dymu i płomieni, wyrzucając łukiem puste trzydziestocentymetrowe łuski. Morze tuż przed pędzącą torpedą podziurawiły setki dwudziestomilimetrowych pocisków z zubożonym uranem, w powietrze wytrysnęły fontanny wody i uniosły się obłoczki pary.

Rosyjska torpeda TEST-71 z ponad stuosiemdziesięciokilogramowym ładunkiem materiału wybuchowego dostała się pod ostrzał z gatlinga i została trafiona cztery razy. Głowica bojowa eksplodowała, po morzu rozeszły się fale uderzeniowe, wybuch wyrzucił pod niebo dwudziestopięciometrowy gejzer wody, który opadł na powierzchnię, gdy grawitacja pokonała inercję.

Choć załoga w głębi statku była dobrze odizolowana od świata zewnętrznego, usłyszała detonację, jakby bezpośrednio nad pokładem w górze rozległ się grzmot.

Juan natychmiast odwrócił się do Maksa.

- Zyskaliśmy jakieś trzydzieści sekund. Przekonaj mnie do waszego pomysłu.

- Ich torpedy są sterowane przewodowo. Jeśli uda nam się je odciąć, powinny stać się bezwładne. Nawet Irańczycy nie pozwoliliby im krążyć w tych wodach bez żadnej kontroli.

- Co proponujesz?

- To chyba oczywiste. Zatopić tego cholernego kilo.

Juan znów spojrzał na wyświetlacz taktyczny. Zobaczył pulsujące czerwone punkty, które oznaczały dwa nadlatujące amerykańskie samoloty S3B Viking, i linie symbolizujące kilwatery trzech pozostałych torped. Rezerwowa zaczynała przyspieszać w kierunku „Oregona”, podczas gdy ta, której początkowo był celem, wzięła kurs na przechwycenie.

- Jesteś pewien, że się uda? - zapytał, nie oglądając się za siebie.

- Skąd mam wiedzieć? - odparł Max. - To irańska kopia obarczonej wadami rosyjskiej broni. Ale moja ekipa całą noc przystosowywała wyrzutnię numer jeden, możemy więc dać ognia, a oprogramowanie Murphyego wydaje się dobre. Uważam, że trzeba zaryzykować. Jeśli ta torpeda jest taka skuteczna, jak ją reklamują, to unieszkodliwi tamte trzy na długo przed tym, zanim dotrą do swoich celów.

- Murphy?

- Whopper ją rozpracował, prezesie. Panuję nad nią na tyle, na ile w ogóle jest to możliwe, choć to broń typu „celuj i miej nadzieję”. Przy prędkości dwustu węzłów cholernie trudno sterować czymkolwiek.

Cabrillo mógł za chwilę ucałować Maksa i Murphyego albo posłać ich do diabła.

- Ster, ustaw nas dziobem do kilo. Uzbrojenie, otwórz pokrywy zewnętrzne wyrzutni numer jeden. Weź namiar i wal.

Woda spieniła się wokół dziobu „Oregona”, gdy Eric Stone obrócił statek i zanurzył go głęboko w fale, żeby Murphy mógł oddać strzał.

- Stone, jeszcze dwie kreski na sterburtę - poprosił Mark i Eric dał pełną moc pędników, aby nakierować frachtowiec dokładnie na punkt, skąd Irańczycy odpalili wcześniej cztery torpedy. - Linda, kilo się nie ruszył, co?

- Nie. Tkwi w miejscu i rozwija kable do sterowania swoją ławicą ryb - odrzekła Ross i zdjęła słuchawki sonaru pasywnego.

To była ostatnia informacja, której potrzebował Mark. Dał ognia. „Oregon” zadrżał od potężnego

podmuchu sprężonego powietrza, gdy zmodyfikowana wyrzutnia wystrzeliła torpedę raketową przez otwór w kadłubie z prędkością prawie pięćdziesięciu węzłów, wystarczająco wysoką, by specjalnie zaprojektowany stożek dziobowy pocisku wytworzył wokół niego pęcherz powietrza. Kiedy komputer pokładowy zarejestrował spadek prędkości torpedy, jej silnik raketowy odpalił z ogłuszającym hukiem i wysunęły się stabilizatory.

Hut, czyli wieloryb, pomknął przez morze w superkawitacyjnej osłonie eliminującej opór wody, który musiałby pokonywać. Bardziej leciał, niż płynął, i szybko osiągnął prędkość dwustu trzydziestu węzłów, zostawiając za sobą kotłowaną parę.

Górna kamera pokazywała, jak ocean przecina idealnie prosta linia, która zaczynała się przy dziobie „Oregona” i wydłużała w tempie stu dwudziestu ośmiu metrów na sekundę.

- Patrzcie, jak to zasuwają! - wykrzyknął ktoś.

- Odległość do celu? - zawołał Juan.

- Dwa tysiące siedemset metrów - odpowiedziała Linda. - Już tylko dwa tysiące czterysta. Dwa tysiące. Tysiąc osiemset metrów.

- Panie Murphy, pełna gotowość do autodestrukcji - poinstruował Juan.

- Nie zatapiają kilo?

- Żeby zrobić się z tego poważniejszy incydent międzynarodowy, niż jest? Nie, dziękuję. Chcę tylko trochę nimi potrząsnąć i przeciąć kable sterujące, które odwijają się z dziobu okrętu podwodnego.

- Jak blisko?

Juan popatrzył na wyświetlacz taktyczny i ocenił odległości między torpedami ścigającymi tankowiec „Aggie Johnston” i „Oregona” a statkami. Supertankowiec dzieliło od trafienia niecałe pół minuty. Przyjrzał się linii ruchu torpedy raketowej, która przecinała płaski ekran. Pocisk pędził tak szybko, że komputer musiał przetwarzać obraz co sekundę. Cabrillo chciał uszkodzić kilo na tyle, żeby Irańczycy nie mogli wystrzelić torped, ale nie aż tak, żeby okręt zatonął.

- Dziewięćset metrów, prezesie - zawołała Linda, choć Juan widział na ekranie zmieniające się liczby.

Już niecałe dwieście metrów dzieliło supertankowiec od zagrażającej mu torpedy. Wektory i prędkości były złożone, ale Juan rozeznawał się w tym wszystkim.

- Czekaj - polecił. Gdyby Murphy zdetonował pocisk raketowy za wcześnie, wybuch mógłby nie przerwać wszystkich kabli. Gdyby zrobił to za późno, kilo z pięćdziesięcioosobową załogą poszedłby na dno.

- Czekaj - powtórzył. Obserwował, jak hut mknął przez morze i cienka linia wzburzonej wody zbliżała się do burty tankowca.

Jedna torpeda była czterdzieści pięć metrów od celu, a druga dwieście siedemdziesiąt pięć metrów, ale ich relatywne prędkości różniły się tak bardzo, że obie uderzyłyby w statki dokładnie w tym samym momencie.

- Teraz!

Mark wcisnął przycisk i wysłał sygnał autodestrukcji do komputera pokładowego torpedy. Głowica bojowa i nie zużyte stałe paliwo raketowe eksplodowały ułamek sekundy później. W powietrze wytrysnął gejzer wody, w oceanie powstał lej o głębokości i średnicy piętnastu metrów. Fala uderzeniowa dotarła do „Oregona” od dziobu, ale zwrócony do niej burtą supertankowiec „Aggie Johnston” przechylił się lekko w lewo.

Huk wybuchu uniemożliwił detekcję sygnałów sonaru pasywnego. Cabrillo skupił uwagę na obrazie z górnej kamery, skierowanej na tankowiec Petromaksu. Wielki statek wrócił ociężale do pionu. Juan przyglądał mu się przez chwilę, potem uśmiechnął szeroko. „Aggie Johnston” nie został trafiony torpedą. Plan Maksa się powiódł. Kable łączące kilo z jego pociskami podwodnymi przerwały się i broń natychmiast przestała być aktywna.

- Linda, daj mi znać, jak tylko coś usłyszysz - polecił Juan.

- Komputer właśnie kompensuje. Zaczekaj moment. Hali odwrócił się w swoim fotelu.

- Prezesie, pilot jednego z vikingów pyta, co się stało.

- Przetrzyмай go - odparł Juan, nadal skoncentrowany na Lindzie, która siedziała nieruchomo jak posąg i prawą ręką przyciskała mocno do ucha jedną ze słuchawek sonaru, podczas gdy przed nią smugi światła spływały w dół wyświetlacza wodospadowego.

W końcu spojrzała na Juana.

- Żadnych odgłosów szybko wirujących śrub, więc trzy pozostałe torpedy są nieaktywne i prawdopodobnie idą na dno. Słyszę mechanizmy kilo i alarmy wewnątrz kadłuba. Moment... Okej, są i pompy... opróżniają zbiorniki balastowe. - Uśmiech pojawił się na jej dziewczęcej twarzy. - Udało się! Wynurzają się.

Wiwaty i oklaski rozległy się w centrum operacyjnym i nawet Max wyszczerzył zęby.

- Gratuluję wszystkim dobrej roboty. Zwłaszcza panu, panie Murphy, i tobie, Max. Przekaż ekipie, która zainstalowała torpedę raketową i zmodyfikowała wyrzutnię, że mogą się spodziewać małego dodatku do następnej wypłaty.

Choć każdy członek załogi miał udział w zyskach Korporacji, Cabrillo uwielbiał przyznawać premie za nadobowiązkową pracę. Między innymi dlatego wszyscy poszliby za nim w ogień, choć głównie z tego powodu, że był urodzonym przywódcą i najlepszym szefem, jakiego jego podwładni kiedykolwiek mieli.

- Patrzcie! - Eric Stone zrobił gwałtowny wdech.

Zmienił przedtem obraz na głównym ekranie, by kamera pokazywała miejsce na morzu, gdzie kilo czekał wcześniej w zasadzce. W wodzie powstała kipiela i wyłonił się z niej tępo zakończony obiekt. Gdy pojawił się cały dziób irańskiego okrętu podwodnego, zobaczyli, że płyty kadłuba są odkształcone jak po uderzeniu w podwodną górę. Wypukły dziób był wgnieciony na środku, co spowodowała eksplozja torpedy raketowej pięćdziesiąt metrów przed nim.

Kilo wynurzał się dalej i kołysał na falach, które sam wytwarzał. Kiedy się ustabilizował, Stone zrobił kamerą najazd na uszkodzone płyty kadłuba. Komputer „Oregon” automatycznie kompensował ruch statku, toteż obraz ani drgnął. Pęcherze powietrza wokół rozerwanego metalu wskazywały, że okręt nabiera wody. Włazy na szczycie kiosku i na pokładzie dziobowym i rufowym otworzyły się i załoga wydostała się na zewnątrz.

- Nadają coś, Hali? - zapytał Juan.

- Wzywają pomocy. Ich pompy ledwo sobie radzą z potopem. Proszą o ratunek bazę morską w Chah-Bahar. Kapitan nie wydał rozkazu opuszczenia okrętu, ale chce, żeby cały zbędny personel stawił się na pokładzie na wypadek, gdyby zaczęli tonąć.

- Proszą o pomoc jakieś statki w okolicy?

- Nie, i wątpię, żeby to zrobili.

- Słusznie. Wystrzelenie torped w cywilne frachtowce bez ostrzeżenia to pogwałcenie jakichś pięćdziesięciu układów międzynarodowych.

- A jak nazwiesz to, co zrobiliśmy w Bandar Abbas? - zapytał Max, żeby się podrażnić z Juanem. Cabrillo to zbagatelizował.

- Drobną kradzieżą karana grzywną i kilkoma godzinami prac społecznych.

W tym momencie dwa wikingi z amerykańskiego lotniskowca przemknęły nad „Oregonem”, zeszły niecałe trzydzieści metrów nad powierzchnię morza i przeleciały wzdłuż kilo. Marynarze padli płasko na pokład, gdy podmuch za-szarpał ich mundurami.

- Prezesie, pilot prowadzącego wikinga ciągle chce z tobą rozmawiać - oznajmił Hali. - I dostałem oficjalną prośbę z lotniskowca, żebyśmy zostali na pozycji. Ten okręt to „George Washington”, dowodzi nim komandor Charles Martin.

- Daj go - odrzekł Juan, włożył słuchawki i ustawił zintegrowany mikrofon. - Tu Juan Cabrillo, kapitan M/s „Oregon”. Czym mogę służyć, komandorze?

- Kapitanie Cabrillo, chcielibyśmy przysłać do pana naszych ludzi, żeby przesłuchali pańską załogę w sprawie tego, co się właśnie wydarzyło. Kapitanowie statków „Saga” i „Aggie Johnston” już się zgodzili. Śmigłowiec może być u pana za dwadzieścia minut. Krążownik rakietowy „Port Royal” będzie tam za dwie godziny, jeśli nie ma pan możliwości przyjęcia na pokład helikoptera.

- Z całym szacunkiem, komandorze Martin, nikt z mojej załogi nic nie widział. Ja spałem, a marynarz na wachcie jest ślepy na jedno oko i ma problemy z drugim.

W głosie Martina zabrzmiał ostrzejszy ton.

- Kapitanie, chyba nie muszę panu przypominać, że siły koalicyjne operujące na tych wodach mają prawo kontrolować wszystkie statki w Zatoce Perskiej. Zwróciłem się do pana z prośbą przez grzeczność, ale to rozkaz. Niech pan zostanie na miejscu i przygotowuje się do inspekcji.

Juan rozumiał, że marynarka wojenna Stanów Zjednoczonych musi udaremniać terrorystom przrzucanie broni i bojówkarzy przez zatokę, ale nie mógł pozwolić na skontrolowanie „Oregonu”. Skorumpowanych urzędników w zagranicznych portach można było łatwo odwieść od przeszukania zdezelowanego frachtowca, ale z amerykańskimi wojskowymi sprawa miała się inaczej.

- Może pan chwilę zaczekać? - zapytał. Zasłonił mikrofon dłonią i zawołał do Halego Kasima: - Zadzwoń do Overholta. Powiedz mu, co się dzieje, i każ mu zdjąć z nas tych facetów. Eric, kurs sto pięć stopni, prędkość osiemnaście węzłów. - Odslonił mikrofon. - Przepraszam, komandorze. Nie damy rady posadzić na „Oregonie” helikoptera, będzie więc pan musiał wysłać grupę abordażową z „Port Royała”.

- W porządku, kapitanie. Będziemy u pana około jedenastej.

- Zostawimy wam zapalone światła - obiecał przeciągle Juan, rozłączył się i rozejrzał po centrum operacyjnym. - Ktoś chce się założyć? Dwadzieścia dolców dla tego, kto będzie najbliżej.

Zgłosił się Hali.

- Odezwą się znów za dziesięć minut.

- Za pięć - skontrowała Linda.

- Będą mieli co robić przez jakiś czas - stwierdził Mark Murphy. - On nawet nie zauważy, że jesteśmy w drodze co najmniej od pół godziny.

- Zgadzam się z Lindą - powiedział Eric. - Za pięć minut. Podzielimy się dwudziestką.

- A ty jak obstawiasz? - Juan spojrzał na Maksa Hanleya.

Max wpatrzył się na chwilę w dźwiękoszczelny sufit, po czym przeniósł wzrok na prezesa.

- Teraz.

- Jasny gwint - krzyknął Hali. - On ma rację. Martin znów nas wywołuje.

- Daj go - poleciał Cabrillo.

- Kapitanie Cabrillo, to jest ostatecznie ostrzeżenie - oznajmił komandor Martin. Juan poznał po jego głosie, że zaciska zęby. - Jeśli pan się natychmiast nie zatrzyma, każę vikingom otworzyć ogień do pańskiego statku.

Cabrillo nie wątpił, że Martin tak zrobi. Ale miał go dosyć.

- Komandorze, irański okręt podwodny właśnie wystrzelił na chybił trafił torpedę w supertankowiec z pełnym ładunkiem. Nie zamierzam czekać, aż weźmie nas na celownik. Będę poza zasięgiem pańskiej władzy, zanim pan przybędzie, i nic pan na to nie poradzi.

- Niech pan... - Martin nagle urwał. Wrócił na linię pół minuty później. Juan nie potrafił dokładnie określić, co zabrzmiało w jego głosie. Podziw? Strach? Szacunek? Wszystko razem?

- Kapitanie, jest pan wolny, może pan opuścić ten rejon.

Cabrillo był ciekaw, z kim Langston to załatwił. Zapewne z głównodowodzącymi operacjami morskimi na Oceanie Indyjskim lub z którymś z szefów Połączonych Sztabów. Bez względu na to, kto zadziałał, dobrze było mieć chody w Waszyngtonie.

- Wiedziałem, że pan nas zrozumie. Dziękuję, i powodzenia. A przy okazji, irański kilo nabiera wody, więc jeśli chce pan do niego zajrzeć, to radzę się pospieszyć. „Oregon”, bez odbioru.

Mięsista dłoń pojawiła się przed Juanem. Wyjął portfel z kieszeni spodni i włożył Maksowi do ręki dwudziestodolarówkę. Max powąchał banknot jak dobre cygaro.

- To jak odebrać dziecku cukierka.

- Nie dziwi mnie, że wiesz, jakie to uczucie. - Cabrillo wstał. - Nic tak nie pobudza apetytu jak mała bitwa morska przed śniadaniem. Nawigator, kiedy dopłyniemy do punktu spotkania?

- Dopiero o północy - odrzekł Eric.

- Okej, będę chciał mieć starszy personel na wachcie, więc dostosujcie do tego swój rozkład zajęć. Muszę zadzwonić do Langstona, podziękować mu za pomoc i wyjaśnić, dlaczego dostarczymy tylko jedną torpedę rakietową. - Zanim Juan wyszedł z centrum operacyjnego, wyrwał Maksowi dwudziestkę. - Za tamtą drugą torpedę jesteś winien Korporacji jeszcze cztery miliony dziewięćset dziewięćdziesiąt dziewięć tysięcy dziewięćset osiemdziesiąt doków.

Słony zapach wody morskiej uderzył doktor Julię Huxley, gdy tylko otworzyła włącz do zbiornika balastowego, który służył również za pływalnię. Z powodu konstrukcji „Oregona” basen miał taką długość jak olimpijski - pięćdziesiąt metrów - ale tylko dwa tory. Wzdłuż niego biegła wąska kładka wyłożona jasnymi marmurowymi kafelkami z naklejonymi paskami przeciwpoślizgowymi. Blask lamp żarnikowych i wyładowczych stwarzał iluzję, że świeci słońce. Glazura na ścianach była obiektem szczególnej troski ekip sprzątających, gdyż napełnianie zbiornika w celu obciążenia statku powodowało, że lśniący marmur brudziły glony.

Choć Huxley kiepsko pływała, знаła cztery podstawowe style. Dowolny kojarzył jej się z szybkością, klasyczny z wytrzymałością, grzbietowy z osobliwą zdolnością utrzymywania na wodzie ciała w ruchu, a motylkowy z siłą. Trzeba być niewiarygodnie silnym, żeby całkowicie wynurzać ramiona i górną część tułowia i wyginać się w łuk, a następnie rzucać się naprzód i ciągnąć ciało przez wodę. Przystanęła u szczytu basenu, żeby popatrzeć na samotnego pływaka, który pokonywał szybkim motylkiem swój tor. Wydawał się stworzony do tego. Wykonywał długie, płynne ruchy, nie marnował ani trochę energii, wynurzał się i zanurzał jak morświn, prawie nie rozchlapując ramionami wody.

Gdy przyjrzała się pływakowi lepiej, zauważyła wodoodporne obciążniki wokół jego nadgarstków, które zmuszały go do większego wysiłku. Pomyślała, że to już nie ćwiczenia, ale masochizm. Sama od jakiegoś czasu nie korzystała z siłowni okrętowej, lecz uprawiała jogę, żeby jej zaokrąglonemu ciału nie przybywało kilogramów.

Dawno przyzwyczała się do tego, że Juan doskonale sobie radzi bez nogi. Kalectwo nie powstrzymywało go przed niczym, nawet nie spowalniało. Uważał je za wyzwanie, jak wszystko w życiu.

Cabrillo zrobił przewrót na przeciwległym końcu basenu i skierował się w jej stronę. Jego niebieskie oczy zasłaniały gogle pływackie, usta otwierały się szeroko przy każdym oddechu. Widział ją i wiedział, że już nie będzie sam, bo nagle przyspieszył, wkładając w to całą energię niczym na finiszu sprintu.

Jako lekarka okrętowa Huxley znała dokładnie formę fizyczną całej załogi i mogłaby przysiąc, że Juan ma połowę swoich lat, gdy patrzyła na jego pływackie wyczyny.

Kiedy dotarł do niej wśród piany, musiała się cofnąć, żeby woda wylewająca się z basenu nie zmoczyła jej mokasynów od Gucciego, które włożyła do spodni khaki i prostej koszuli z oksfordu.

- Cholera, starzeję się - stwierdził i zdjął gogle i ciężarki z nadgarstków.

- Mógłbyś mnie nabrać. - Julia rzuciła mu gruby ręcznik, gdy wydostał się z wody jednym płynnym ruchem.

- Jestem tu od pół godziny - powiedział Juan, wycierając się. Jeśli czuł się przy niej skrępowany w slipach Speedo, to nie było po nim tego widać, ale też nie musiał się wstydić budowy swojego ciała. - Pięć lat temu mogłem przepłynąć co najmniej piętnaście długości basenu więcej.

- Nie przejmuj się, ja pięć lat temu nie miałam kurzych łapek - odrzekła Julia z uśmiechem, który dowodził, że drobne zmarszczki w kącikach jej oczu to bruzdy mimiczne, a nie oznaka upływu czasu.

- Jak to się mówi, „młodzi marnują młodość”?

- Mam wrażenie, że ty swojej nie zmarnowałaś, Juanie Cabrillo. Zachichotał, ale nie zaprzeczył.

- Nie jesteś w kostiumie kąpielowym, więc nie przyszedłeś tu, żeby spalić ten wspaniały beef Wellington, który jedliśmy na kolację. Co się urodziło?

Wyraz niepokoju pojawił się na twarzy Huxley.

- Mamy mały problem. To właściwie problem Maksa, ale chyba powinien obchodzić nas wszystkich.

Julia nie była psychologiem, ale jej przygotowanie medyczne i działające uspokajająco zachowanie sprawiały, że odgrywała taką rolę na statku.

Cabrillo zarzucił wilgotny ręcznik na ramiona i skupił całą uwagę na Huxley.

- Mów.

- Dostał telefon od byłej żony...

- Od której? - przerwał Juan. - Miał trzy.

- Od drugiej, od Lisy. Tej z Los Angeles, z którą ma dzieci. Nie podał mi wszystkich szczegółów, ale jego była uważa, że porwano ich syna.

Juan nie zareagował przez kilka sekund. Żadna z żon Maksa nie wiedziała, jak Hanley zarabia na życie. Podobnie jak większość załogi mówił rodzinie, że jest marynarzem w małym towarzystwie żeglugowym, więc Cabrillo nie sądził, by uprowadzenie miało związek z jego pracą w Korporacji, ale nie mógł tego wykluczyć. Przez lata narobili sobie mnóstwo potężnych wrogów.

- Zażądano okupu? - zapytał w końcu.

- Nie, jeszcze nie. Ona twierdzi, że wie, kto zorganizował porwanie, ale to nic nie dało ani policji w Los Angeles, ani FBI. Chce, żeby Max pomógł jej odzyskać syna.

Juan przypomniał sobie, że syn Hanleya musi mieć teraz dwadzieścia dwa lub dwadzieścia trzy lata. Córka była kilka lat starsza, skończyła prawo i od niedawna zajmowała się zawodowo ochroną środowiska. Kyle Hanley nie wytrzymał nawet roku w collegeu i odkąd rzucił studia, obracał się w kręgach kontrkulturowych Los Angeles. Aresztowano go parę razy za posiadanie niewielkiej ilości narkotyków, ale z tego, co wiedział Juan, trafił na odwyk i od dwóch lat nie ćpał. Choć Max rozwiódł się kilka lat przed powstaniem Korporacji, Cabrillo spotkał jego drugą żonę przy paru okazjach. Max zapewniał Juana, że kiedyś była kochającą, cudowną kobietą, ale coś zmieniło ją w jędzowatą paranoiczkę, która zarzucała mu niewierność, a tymczasem sama miewała romanse.

Max bardzo dbał o dzieci iłożył na ich utrzymanie dużo wyższe sumy niż zasądzone alimenty. Córka okazała się bystrą, ambitną kobietą, ale syn Kyle był jednym z tych młodych ludzi, którzy uważają, że wszystko im się należy od życia, i odrzucał wszelką pomoc przy poszukiwaniu własnej drogi.

Juan wiedział, że Max zrobi wszystko, żeby uratować chłopaka, i domyślał się, dlaczego jego zastępca nie przyszedł bezpośrednio do niego ze swoim problemem. Gdyby tak postąpił, Juan zaproponowałby mu uwolnienie Kylea przez Korporację, a Max nigdy nie poprosiłby o taką przysługę.

- Boże, ależ on jest uparty.

- Mówi to samo o tobie - odparła Huxley. - Nie zwróci się z tym do ciebie, bo wie, że będziesz nalegał, żeby skorzystał z twojej pomocy. Powiedział mi jasno i wyraźnie, że to jest jego problem, a

nie Korporacji, i sam się tym zajmie.

Cabrillo spodziewał się tego, ale był sfrustrowany oślim uporem Hanleya.

- Jaki ma plan?

- Jak tylko przekażemy torpedę, zamierza cię poprosić, żebyś skierował „Oregon” do Karaczi, najbliższego miasta z międzynarodowym portem lotniczym, gdzie będzie mógł złapać samolot do Los Angeles. Ale nie bardzo wie co dalej.

Juan spojrzął na zegarek. Za dwie godziny mieli być w punkcie spotkania. Potem mogliby dotrzeć do Karaczi w ciągu około dwudziestu godzin. Odrzutowy gulfstream Korporacji był w Monako w związku z przygotowaniem do ich następnej operacji. Choć zdążyłby dolecieć na czas do największego pakistańskiego miasta, Juan uważał, że podróż samolotem rejsowym trwałaby krócej. Musieliby zostawić broń i inne rzeczy, które uniemożliwiłyby im przejście przez punkt kontrolny na lotnisku, ale Cabrillo miał dość kontaktów w Los Angeles, by się zaopatrzyć we wszystko, co mogło być im potrzebne, więc nie martwił się tym.

Nurtowało go wiele pytań, ale postanowił zaczekać do rozmowy z Maksymem.

Komputer pokładowy „Oregon” kilkakrotnie wyłączył i włączył światła na basenie. Juan tak go zaprogramował, żeby mu przypominał, że pora skończyć pływanie i przygotować się do spotkania. Włożył frotowy płaszcz kąpielowy i klapki. Huxley wyszła razem z nim. Zaryglował wodoszczelny właz.

- Pogadam z nim i przekonam go, że źle kombinuje - powiedział.

- Dlatego przyszedłem do ciebie. Max nie może polecieć sam.

Julii wyraźnie ulżyło, choć nie wątpiła, że Juan pomoże swojemu najlepszemu przyjacielowi.

- Dzięki, Huxley. Pewnego dnia Max wpakuje się w kłopoty przez swój upór, ale nie tym razem.

6

Półtorej godziny później po wzięciu prysznic Juan Cabrillo wkroczył do centrum operacyjnego. Stone i Murphy byli na swoich stanowiskach sterowania statkiem i obsługi uzbrojenia. Hali siedział przy konsoli telekomunikacyjnej, Linda Ross przy sonarze. Panowała atmosfera odprężenia, zupełnie inna niż podczas ich ucieczki z Bandar Abbas. Przekazanie pozostałej torpedy raketowej miało być dość proste. Kiedy po paru minutach zjawił się Max, temperatura jakby spadła o kilka stopni. Skierował się bez słowa prosto do stanowiska głównego mechanika.

Juan wstał z fotela i podszedł do niego.

- Nie chcę o niczym słyszeć - powiedział Hanley, nie odrywając wzroku od monitora komputera.

- Weźmiemy kurs na Pakistan, jak tylko będziemy mieli to z głowy. Ktoś kupi nam bilety lotnicze.

Rano zaplanujemy razem następny krok. - Max zerknął na Juana i chciał się sprzeciwić, ale Cabrillo uniósł dłoń. - Nasze najbliższe zadanie to zwykła inwigilacja. Linda i Eddie poradzą sobie bez nas.

- To nie jest twój problem - odrzekł Max.

- Akurat. Ktoś porwał członka twojej rodziny. Traktuję to tak, jakby uprowadzono któregoś z moich rodziców. Oczekiwałam od ciebie pomocy, chyba więc nie myślisz, że zostawię cię samego.

Max milczał przez chwilę.

- Dzięki, Juan.

- Nie ma za co. - Cabrillo uznał sprawę za załatwioną i wrócił na fotel dowodzenia. - Linda, jeszcze nic?

- Nie, ale zostało dwadzieścia minut.

- Okej. Max, u ciebie wszystko gotowe?

- Torpeda jest na pokładzie w pętłach, technik czuwa przy sterownikach żurawia.

- Hali, masz coś na radarze albo na kanałach łączności?

- Nie, prezesie. Jesteśmy chyba w najbardziej martwym punkcie Oceanu Indyjskiego. Nie widziałem ani nie słyszałem żadnego statku od około ośmiu godzin.

Spotkanie wyznaczono z dala od szlaków żeglugowych, żeby uniknąć wykrycia z frachtowców i tankowców, i w rejonie, gdzie nie roiło się od fauny morskiej przyciągającej kutry rybackie. Czas operacji zsynchronizowano z luką w obserwacji satelitarnej na wypadek, gdyby ktoś patrzył z góry w dół.

Minęło piętnaście minut, zanim Linda zawołała:

- Kontakt. Mam odgłosy mechanizmów prawie dokładnie pod nami na głębokości stu dwudziestu metrów. Trwa opróżnianie zbiorników balastowych. - Wprowadziła hałas wyłapany przez sonar pasywny do komputera, żeby go porównać z wzorcowym nagraniem dźwięku, które dostarczył Overholt. - Potwierdzone. To USS „Tallahassee”. Wynurza się.

- Doskonale - odrzekł Juan. - Ster, spręż się. Jak wgnieciesz ten okręt podwodny, to go odkupisz.

Upłynęło jeszcze kilka minut, podczas których bojowy okręt podwodny klasy Los Angeles wyłaniał się z głębin. Wznosił się tak wolno, że nikt by go nie usłyszał z większej odległości niż

kilka mil. Eric Stone podzielił wyświetlacz komputera, żeby móc obserwować jednocześnie echa sonaru i współrzędne pozycji „Oregona” pokazywane przez GPS i czuwać nad tym, żeby okręt nie uderzył w dno statku. Do podwodniaków należało utrzymanie „Tallahassee” w stałym punkcie w stosunku do frachtowca. Wszelkie korekty miał robić Eric.

- Czterdzieści pięć metrów - oznajmiła Linda. - Spowalnia wynurzenie. Zwalnia. Wyrównuje na trzydziestu metrach.

- Jest około stu osiemdziesięciu metrów od naszej lewej burty - powiedział Eric.

- Panie Stone, proszę nas doprowadzić do niego na czterdzieści pięć metrów. Eric uruchomił pędniki dziobowe i rufowe, żeby przesunąć jedenastotysięcznik w bok. Kiedy zajął wyznaczone miejsce, włączył ponownie system dynamicznego pozycjonowania, aby komputer utrzymywał ich w jednym punkcie.

- Znów się wznosi. Trzy metry na minutę.

- W porządku, sonar. Przejmujesz dowodzenie.

- Tak jest - odrzekła Linda.

Juan wstał i poszedł do windy z tyłu centrum operacyjnego. Po chwili dołączył do niego Max. Wjechali razem do sterówki „Oregona”. Gdy tylko otworzył się właz na mostku, poczuli parne nocne powietrze.

W rozpadającej się sterówce było zupełnie ciemno, ale obaj znali statek tak dobrze, że nie potrzebowali światła, by trafić do zejściówki na pokład. Gwiazdy błyszcząły bardzo jasno, bo księżyc jeszcze nie wzeszedł.

Za lewą burtą atramentowa woda zaczęła się burzyć, gdy stusiedmiometrowy okręt podwodny zbliżył się do powierzchni. Najpierw pojawił się jego kiosk, potem okręt jakby urósł, kiedy ukazały się pokład dziobowy, długi pokład rufowy i ster kierunku. „Tallahassee” wyłonił się z morza tak wolno, że wokół niego ledwo rozeszły się fale. Miał duże zanurzenie na powierzchni i wyglądał groźnie niczym milczący potwór morski, który pławi się w wodzie.

Juan uniósł do ust walkie-talkie.

- Panie Stone, proszę nas obniżyć o jakieś cztery i pół metra. Chcę, żeby nasze pokłady były mniej więcej na tym samym poziomie.

Eric potwierdził przyjęcie rozkazu, uruchomił pompy napełniające zbiorniki balastowe i po chwili „Oregon” zaczął osiadać głębiej w wodzie.

- Załoga pokładowa, odboje za burtę.

Po rozkazie Juana zapanowała gorączkowa krzątanina, gdy marynarze opuszczali grube gumowe ochraniacze kadłuba niemal do linii wodnej. W portach używali starych opon od ciężarówek, które były częścią kamuflażu, ale teraz korzystali z nowoczesnych odbijaczy wytrzymujących ogromny nacisk.

Na „Tallahassee” część pokładu dziobowego tuż przed kioskiem zaczęła się unosić, z wnętrza wydobywała się nikła czerwona poświata lamp bojowych. Otwierał się luk służący do załadunku dwudziestu czterech torped Mk 48 ADCAP, które mógł transportować okręt. Na czas tej operacji nie miał pełnego uzbrojenia, żeby móc zabrać irańską torpedę raketową czekającą teraz na wózku na pokładzie „Oregona”. Były do niej przymocowane pojemniki z wykradzionymi informacjami komputerowymi.

Cabrillo znów włączył walkie-talkie.

- Okej, ster, przybliź nas pędnikami, dwadzieścia pięć procent mocy.

- Tak jest.

„Oregon” ruszył w kierunku stojącego okrętu w tempie pełzania, żeby pchana przez niego woda rozplywała się, zamiast kołysać „Tallahassee”. Kilku oficerów obserwowało to z kiosku okrętu przez lornetki noktowizyjne.

- Wolniej, panie Stone - polecił Juan, oceniając odległość i prędkość wprawnym okiem. Dwie jednostki dzieliło około pięciu metrów. - Bardzo dobrze, teraz dziesięć procent w przeciwną stronę.

Pędniki spieniły wodę, gdy Eric użył ich do zastopowania statku zaledwie trzy metry od okrętu.

- Proszę nas tu trzymać - powiedział Juan na zakodowanym kanale.

- Ładny manewr - zagrział głos z kiosku „Tallahassee”.

- Dziękuję - odkrzyknął Juan. - Jesteście gotowi do przyjęcia paczki?

- Podobno miały być dwie - zawołał kapitan okrętu podwodnego.

- Drobną zmianą planów w związku z dzisiejszą poranną przepychanką w Zatoce Omańskiej.

- Jak poszło?

- Może pan wierzyć lub nie, ale bez problemu.

- Dobra. Jesteśmy gotowi. Mamy cztery minuty i czterdzieści sekund do przelotu satelity.

Juan odwrócił się do operatora żurawia. Choć urządzenie wyglądało tak, jakby mogło runąć w każdej chwili, miało udźwig siedemdziesięciu ton. Ciężna się naprężyła i torpeda raketowa powędrowała do góry. Marynarze trzymali ją na linach, żeby nie wirowała w drodze nad relingiem. Długi bom obrócił się na swojej osi nad okręt podwodny, gdzie załoga czekała na odbiór irańskiego pocisku.

Jeden z podwodniaków kierował przeładunkiem na migi. Pokazał, że trzeba odwinąć więcej liny, kiedy torpeda została opuszczona w dół. Umieścili ją na przenośniku i odczepili od kołyski. Dowodzący operacją zakręcił ręką młynka nad głową na znak, że można wycofać żuraw. Torpeda jeszcze nie zniknęła w środku okrętu, gdy luk zaczął się zamykać.

- Obróć bom z powrotem - rozkazał Juan i nadał w dół do Stonea: - Ster, daj dwadzieścia procent mocy wstecz i wypompuj cały balast. Przystosuj statek do wysokiej prędkości i weź najlepszy możliwy kurs na Karaczi.

- Myślałem, że płyniemy do Monako - odezwał się Mark Murphy. Ton jego głosu zdradzał, że nie może się doczekać kilkutygodniowego pobytu w bogatym księstwie graniczącym z Riwierą. Juan wiedział od Mauricea, że Murphy nawet zarekwirował smoking w Magicznej Pracowni, żeby odstawić Jamesa Bonda w słynnym kasynie.

- Bez obaw, ty tak - uspokoił go Juan. - Max i ja mamy inne plany. Na linii rozległ się głos Halego Kasima:

- Kontakt radarowy, prezesie. Właśnie się pojawił. Jest sto mil na wschód od nas.

- Obserwuj go i informuj mnie. - Juan otoczył dłońmi usta i krzyknął do kapitana „Tallahassee”, gdy „Oregon” oddalał się coraz bardziej od okrętu: - Mamy kogoś na radarze. Jest na wschód od nas i dość daleko, ale może lepiej zróbcie sztuczkę Houdiniego i zniknijcie.

- Przyjąłem, dzięki. - Kapitan pomachał. - Widzieliśmy go po drodze. Echa sonaru pasywnego brzmiały tak, jakby był opuszczony, i nasze sensory nie wyłapały żadnej emisji radarowej ani radiowej. Nic, nawet automatycznego sygnału SOS. Rzecz jasna, nie mogliśmy tego zbadać, ale wy możecie. Jeśli nikogo tam nie ma, moglibyście dostać ładną sumę za uratowanie go.

- Może to zrobimy - odrzekł Juan zaintrygowany. Mógłby zostawić na tamtym statku część załogi, żeby doprowadziła go do Karaczi, a „Oregon” popłynąłby przodem. - Wiadomo coś o jego

wymiarach?

- Po odgłosie fal uderzających w jego kadłub mój główny sonarzysta zorientował się, że jest mniej więcej wielkości waszego statku, ma jakieś sto siedemdziesiąt metrów lub coś koło tego.

- Dzięki za cynk, kapitanie. Może to sprawdzimy.

- Powodzenia, „Oregon”. - Po tych słowach ostatni podwodniacy zniknęli we włazie na kiosku.

Chwilę później mgiełka przesłoniła wloty zbiorników balastowych okrętu, gdy woda morska wdarła się do środka i wyparła uwięzione tam powietrze. Za rufą powstała kipiela, kiedy moc reaktora została skierowana na pojedynczą siedmiołopatową śrubę. Stery głębokości zanurzyły się pod spokojną powierzchnię oceanu, fala zaczęła omywać dziób. „Tallahassee” prędko powrócił do swojego podwodnego królestwa i zostawił po sobie tylko zmarszczki na powierzchni morza, które szybko się rozpląnęły, jakby masywny okręt nigdy się nie pojawił.

Max się skrzywił.

- Parszywe życie.

Nie miał klaustrofobii, ale nie przepadał za zamkniętymi pomieszczeniami.

- Lincoln zaliczył kilka rejsów okrętami podwodnymi, kiedy służył w SEAL. Mówił, że czuł się w nich lepiej niż w wielu znanych mu hotelach.

- Lincoln to tandeciarz. Wiem, dokąd chodzi. Nocuje w spelunach, gdzie są pokoje na godziny, a pościel zmienia się za dopłatą.

Zerwał się wiatr, gdy „Oregon” przyspieszył na wschód. Po kilku minutach silniki magnetohydrodynamiczne miały mu nadać taką prędkość, że stanie na pokładzie byłoby jak stawianie czoła huraganowi. Marynarze skończyli zabezpieczać bom przeładunkowy, wózek transportowy wrócił do torpedowni.

- I co myślisz, Max?

- O czym?

- O tym opuszczonym statku. Zatrzymamy się i przyjrzymy mu szybko czy prujemy prosto do Karaczi?

Max zaprowadził Cabrillo na osłoniętą zejściówkę, gdzie mógł zapalić fajkę.

- Kyle zniknął przedwczoraj. Moja była twierdzi, że wie, z kim chłopak się zadaje. Podobno ma przyjaciół, których ona nie lubi, więc podejrzewam, że sprawa nie jest tak poważna, jak ona to przedstawia. Podróż do Los Angeles zajmie nam co najmniej dobę, kiedy już dotrzemy do Pakistanu, toteż godzina stracona na oględziny statku widma nie robi wielkiej różnicy.

- Na pewno? - zapytał Juan i zamrugał gwałtownie, bo wiatr dmuchnął mu w twarz gorącym popiołem z fajki Maksa.

- Przepraszam. - Max wystukał fajkę za burtę. - Tak. Nie będzie problemu.

- Eric, słyszysz mnie? - zapytał Juan przez walkie-talkie.

- Jestem.

- Nowy kurs. Płyn do tamtego statku, najszybciej jak możesz. Skontaktuj się z Gomezem i każ mu przygotować robinsona. - Pilot helikoptera, George „Gomez” Adams, przystojniak w typie przedwojennego amanta filmowego, zyskał to przezwisko po tym, jak oczarował żonę południowoamerykańskiego barona narkotykowego, która była uderzająco podobna do Carolyn Jones, aktorki występującej w starym serialu telewizyjnym Rodzina Addamsów. - Powiedz mu, że chcę mieć UAV -a na stanowisku startowym, jak tylko dotrzemy na pozycję. Ty nim pokierujesz, jeśli zajdzie taka potrzeba.

Eric nie potrafił pilotować prawdziwego samolotu, ale ćwiczył na symulatorze wystarczająco dużo, by łatwo radzić sobie ze zdalnie sterowanymi aparatami latającymi „Oregona”.

- Przewidywany czas przybycia na miejsce? - zapytał Cabrillo.
- Powinniśmy tam być za niewiele ponad dwie godziny.
- Jak się wyrobisz w dwie, zapisz się na premię.

W blasku gwiazd rozrzuconych na nocnym niebie statek wyglądał jak tort weselny. Liczne kondygnacje wznoszące się jedna nad drugą tworzyły delikatną równowagę między formą a funkcjonalnością. Ale kobiety i mężczyźni w centrum operacyjnym, którzy obserwowali uważnie obraz przekazywany z samolociku zwiadowczego, widzieli statek widmo.

Żaden bulaj nie był oświetlony, żadnego ruchu na pokładzie, nawet antena radaru ani drgnęła.

Grzywiaste fale uderzały w długi biały kadłub niczym w górę lodową. Kamera termowizyjna aparatu latającego pokazywała, że silniki i komin są zimne, i choć temperatura powietrza w tej części Oceanu Indyjskiego przekraczała trzydzieści stopni Celsjusza, czuły termowizor wykryłby ciepło ciała. Nie rejestrował nic takiego.

- Co tam się stało, do diabła? - zapytała Linda, choć wiedziała, że nie dostanie odpowiedzi.

- Gomez, przeleć nad pokładem - rozkazał Juan.

George Adams siedział przy komputerze na stanowisku z tyłu centrum operacyjnego, jego zaczesane do tyłu i wybrylantynowane włosy lśniły w poświacie monitora. Przyglądał palcem cienki wąsik i przesunął dżojstik do przodu.

UAV, zwykła handlowa wersja sterowanego radiem samolociku wyposażona w doskonałe kamery i rozbudowane urządzenie nadawczo-odbiorcze, znurkował w kierunku statku wycieczkowego, który stał nieruchomo w wodzie trzydzieści mil na wschód od płynącego pełną parą „Oregon”.

Załoga patrzyła wyczekująco, jak UAV spada z nieba i szybuje wzdłuż relingu na sterburcie statku z kamerą skierowaną na pokład. Przez kilka długich sekund w pomieszczeniu panowała cisza, każdy był zaabsorbowany śledzeniem przekazu z powietrza. W końcu milczenie przerwał Cabrillo.

Wcisnął przycisk swojego komunikatora.

- Lekarz do centrum operacyjnego. Huxley, jesteś potrzebna, natychmiast!

- Czy ja dobrze widzę? - zapytał szeptem Eric Stone.

- Niestety, chłopcze - odrzekł Max, równie przygnębiony. - Pokład zaścienia ciała.

Zwłok musiało być około stu. Martwi ludzie leżeli w pozach wskazujących, że skonali w mękach. Ich ubrania trzepotały na wietrze. Adams zrobił zbliżenie odkrytego pokładu wokół basenu pływackiego, gdzie najwyraźniej odbywało się jakieś przyjęcie. Wydawało się, że każdy upadł tam, gdzie stał. Wszędzie wały się upuszczone talerze i kieliszki. Adams zmniejszył prędkość samolociku i zrobił kamerą najazd na jedną z pasażerek, młodą kobietę w sukience. Leżała w kałuży krwi. Podobnie pozostali.

- Czy ktoś zauważył nazwę statku? - zapytał Mark Murphy.

- „Golden Dawn” - odrzekł Juan. Już nie myślał o pieniądzach za akcję ratowniczą.

Mark skoncentrował się na swoim komputerze i wywołał wszystko, co mógł na temat statku wycieczkowego. Inni patrzyli jak zhipnotyzowani na makabryczną scenę.

Julia Huxley wpadła do centrum operacyjnego w spodniach od piżamy i zbyt dużym T-shircie.

Była bosa i potargana. Miała ze sobą apteczkę, którą trzymała w swojej kabinie.

- Co się stało? - spytała bez tchu.

Kiedy nikt nie odpowiedział, spojrzała w górę na ekran przykuwający ich uwagę. Widok masakry na pokładzie statku wycieczkowego przeraził nawet ją, doświadczoną lekarzkę. Wyraźnie zbladła, zanim się otrząsnęła. Podeszła do monitora i przyjrzała się fachowym okiem temu, co pokazywał. Słabe światło i niestabilność UAV-a utrudniały rozróżnienie szczegółów.

- To nie sprawia wrażenia urazu - stwierdziła. - Moim zdaniem zaatakował ich jakiś wirus wywołujący gwałtowny krwotok.

- Naturalny? - zapytał Max.

- Nic w naturze nie zabija tak szybko.

- Nie zdążyli wezwać pomocy - powiedział Juan na poparcie diagnozy Huxley.

Julia odwróciła się do niego.

- Muszę się tam dostać i pobrać próbki. W izbie chorych są skafandry ochronne i możemy zorganizować na pokładzie stanowisko odkażania.

- Nie ma mowy - odparł Juan. - Nie pozwolę ci przywlec jakiegoś wirusa na ten statek. - Julia chciała zaprotestować, ale Cabrillo jeszcze nie skończył. - Zrobimy dezynfekcję na pontonie, a potem go zatopimy. Eric, przejmij UAV-a od Georgea. Gomez, zejdź do hangaru i dokończ przygotowania helikoptera. Mark, obudź Eddiego, weźcie sobie parę pistoletów ze zbrojowni i dołączcie do nas w hangarze. Julia, potrzebujesz pomocy?

- Zatrudnię sanitariusza - odrzekła.

- Okej, weź kilka zapasowych skafandrów ochronnych, na wypadek gdybyśmy znaleźli tam kogoś żywego. - Cabrillo był już na nogach. - Chcę być w powietrzu za dwadzieścia minut.

„Oregon” dopłynął do „Golden Dawna” minutę przed czasem wyznaczonym przez Juana. Z powodu ograniczonej ładowności robinson miał zrobić dwa kursy, żeby przetrzymać wszystkich i sprzęt na statek wycieczkowy. Eric zbadał samolocikiem liniowiec pasażerski i uznał, że najlepszym miejscem do desantu jest szczyt sterowni. To była największa przestrzeń na statku wolna od zwłok. Choć nie planowano bezpośredniego lądowania helikoptera na „Golden Dawnie”, George Adams dostał taki sam pomarańczowy skafander ochronny z recykulacyjnym aparatem oddechowym jak reszta. Dwaj członkowie personelu Julii przygotowywali na pokładzie wąż połączony ze zbiornikiem z koncentratem środka odkażającego, żeby zdezynfekować śmigłowiec, zanim z powrotem usiądzie na „Oregonie”.

Juan nie ryzykował. Członków załogi wyznaczonych do holowania pontonu Zodiac łodzią szturmową SEAL czekało to samo. Ponieważ Juan wiedział, że jeśli załogi i pasażerów „Golden Dawna” nie uśmiercił żaden czynnik naturalny, to mają do czynienia z terroryzmem i ludobójstwem. Niepokoił go nie tylko sam wirus; myślał już z wyprzedzeniem o sprawcach.

Wyciągnął ręce w kierunku Julii, żeby mogła zakleić srebrzystą taśmą samoprzylepną miejsca styku rękawów skafandra z długimi rękawicami. Potem zabezpieczyła w ten sam sposób suwak. Dopływ powietrza z butli aparatu oddechowego był stabilny, filtry działały. Mógł być w skafandrze trzy godziny.

- Poruszajcie się wolno i ostrożnie - mówiła im Julia przez zintegrowaną sieć łączności, kiedy pracowała. - Planujcie każdy krok. Unikajcie biegania. Te skafandry chronią wasze życie. Jeśli w powietrzu będzie patogen, małe rozdarcie może was narazić na niebezpieczeństwo.

- Co się stanie, jeśli rozerwę skafander? - zapytał Mark. Głos mu drżał. Murphy brał udział w

kilku operacjach lądowych, ale wyraźnie obawiał się wejścia na pokład „Golden Dawna”. Cabrillo potrzebował go do sprawdzenia w komputerach statku wycieczkowego, jaką trasę przebyła jednostka w ciągu ostatnich kilku tygodni.

- Zostawię wam wszystkim zapasowe kawałki taśmy na skafandrach. Jeśli komuś przytrafi się rozdarcie, niech je natychmiast zaklei i skontaktuje się ze mną. W skafandrach jest nadciśnienie, więc jeśli szybko zadziałacie, powinno być okej. Nie ruszajcie się z miejsca, bo będę musiała zbadać to, co przecięło skafander.

Zajęła się Eddiem. Obejrzała każdy centymetr kwadratowy gumowanej tkaniny, zanim uszczelniła szwy. Seng, Mark i Cabrillo mieli pasy z pistoletami. Rękawice ochronne utrudniały naciskanie spustu, ale nie było mowy, żeby Juan pozwolił im wyruszyć bez broni.

- Jestem gotowy, prezesie - powiedział George przez otwarte drzwi kokpitu robinsona. Na jednym z tylnych siedzeń małego zwrotnego helikoptera piętrzył się stos sprzętu.

Juan krzyknął do technika w pobliżu, ale tamten go nie usłyszał przez skafander. Cabrillo podszedł i sam wcisnął przycisk, który uruchamiał windę hangaru. W górze otworzyły się dwie części luku w pokładzie rufowym, gdy platforma uniosła się na czterech ramionach. Zabezpieczył drzwi robinsona, kiedy Julia wsiadła, i okrążył helikopter, by zająć fotel drugiego pilota.

Eddie i Murphy cofnęli się, żeby zrobić Georgeowi trochę miejsca, zanim odpalił silnik. Rozgrzewał go przez kilka minut, potem włączył napęd głównego rotora. Robinson trząśnięciem się chybotął, gdy wirnik nabierał obrotów, dopóki nie powstała wystarczająca siła nośna, by oderwać go od lądowiska.

Helikopter ustabilizował się, kiedy George uniósł go pionowo w powietrze i odleciał znad „Oregona”. Dwa statki dzieliło pół mili. Juan zauważył w dole kilwater łodzi SEAL i małego zodiaka podskakującego z tyłu. W burcie „Golden Dawna” tuż powyżej linii wodnej były duże drzwi ładunkowe, używane podczas zaopatrywania statku wycieczkowego. Tam mieli przycumować ponton i wrócić pod prysznice odkażające.

Kiedy się zbliżyli, Cabrillo pomyślał, że „Golden Dawn” to piękny statek. Był trochę krótszy od „Oregona”, ale dużo wyższy. Kabiny i apartamenty zajmowały siedem poziomów, dziób wyginał się zgrabnie, rufa miała klasyczny kształt szampanki. Pojedynczy, nachylony ku rufie komin tuż za basenem pływackim stwarzał wrażenie, że statek jest szybki. Gdy robinson przelatywał nad jego rufą, Juan zobaczył na kominie logo towarzystwa żeglugowego Golden Cruise Lines, kaskadę złotych monet.

Adams zawisnął helikopterem nad sterownią i upewnił się, że jest w bezpiecznej odległości od licznych anten radiowych i radarowych. Ciasny skafander nie ograniczał jego umiejętności pilotażu. Opuścił helikopter na wysokość pół metra od pokładu i trzymał go jak na uwięzi.

- Powodzenia - powiedział, gdy Juan otworzył swoje drzwi. Cabrillo wyskoczył i schylił się odruchowo.

Julia też otworzyła swoje drzwi i podała mu pojemniki ze sprzętem medycznym. Podmuchał od rotora marszczył jej skafander. Juan położył wszystko na pokładzie i złapał Julię, kiedy skoczyła. Zamknął drzwi i klepnął bok robinsona. Adams natychmiast wystartował po Murphiego i Eddiego.

- Chcę od razu zejść do izby chorych - powiedziała Julia, kiedy hałas helikoptera przycichł na tyle, że mogli rozmawiać przez radio.

- Nie. Zaczekamy tu na powrót Georgea. Chcę, żeby Eddie był z tobą cały czas.

Julia wiedziała, że Juan ma rację. Nie dlatego dbał o jej bezpieczeństwo, że była kobietą, lecz

dlatego, że była jedynym lekarzem w promieniu tysiąca mil morskich. Gdyby coś im się tutaj stało, ona musiałaby ich ratować.

Robinson wrócił po niecałych dziesięciu minutach, spód miał jeszcze mokry po splukaniu środkiem dezynfekcyjnym. Juan i Julia usunęli się na zejściówkę prowadzącą na skrzydło mostka, żeby zrobić Georgeowi miejsce. Eddie i Mark wyskoczyli jednocześnie z helikoptera i Gomez znów odleciał. Tym razem Robinson miał być dokładnie umyty i pozostawiony na pokładzie, na wypadek, gdyby grupa abordażowa wpadła w tarapaty.

- Jak twoja forma, Mark? - spytał Juan.

- Jestem trochę spięty. Zaczynam żałować, że grałem w te wszystkie gry wideo, gdzie są wypadki w laboratoriach i powstają armie żywych trupów.

- Chcesz, żebyśmy zostali z tobą na mostku kilka minut?

- Poradzę sobie. - Ton Murphyego wskazywał, że chętnie skorzystałby z propozycji prezesa, ale duma nie pozwalała mu na to. Eric Stone i reszta zespołu w centrum operacyjnym słuchali ich rozmowy, nie mógł więc okazać słabości.

- Brawo. Mówiłeś, że skąd przyplłynął „Golden Dawn”?

- Z Filipin - odrzekł Murphy. - Z bazy danych towarzystwa żeglugowego dowiedziałem się, że został wycarterowany na rejs z Manili do Aten jakiejś grupie wzajemnej pomocy.

- Przejrzyj dziennik okrętowy i pamięć komputera. Sprawdź, czy robił postoje, a jeśli tak, to gdzie. Zobacz też, czy nie ma wzmianki o jakimś niezwykłym zdarzeniu w czasie podróży. Wszystko powinno tam być. Julia, wiesz, dokąd iść i czego szukać. Eddie, nie odstępuj jej i pomagaj przy pobieraniu próbek, jeśli będzie trzeba.

- Gdzie będziesz? - zapytał Eddie Seng.

- Mamy powietrza na trzy godziny, więc zamierzam przeszukać taką część statku, jaką zdążę. - Cabrillo włączył jedną z latarek, które wzięli ze sobą, i upewnił się, że ma parę zapasowych baterii w plecaku.

Poprowadził ich zejściówką w dół na skrzydło mostka. Na przeciwległym końcu wąskiej galerii wiszącej dwadzieścia cztery metry nad oceanem był zestaw przyrządów dla pilota portowego do wprowadzania statku do portu. Drzwi do sterowni były zamknięte. Juan pociągnął je ku sobie i wszedł do nowoczesnego pomieszczenia. Przy wyłączonych generatorach i najwyraźniej wyczerpanych akumulatorach zasilających oświetlenie awaryjne w środku panowała niemal całkowita ciemność. Rozjaśniał ją tylko blask gwiazd i księżycy wpadający przez duże okna.

Juan poświecił wokół latarką. Pierwsze ciało zauważył po niecałych dwóch sekundach. Julia też włączyła swoją latarkę, gdy posuwała się za nim. Mark miał kamerę wideo przy wizjerze skafandra. Martwy mężczyzna był w mundurze oficera statku - białych spodniach i białej koszuli z ciemnymi naramiennikami. Leżał tyłem do nich, ale dostrzegli w świetle latarek niezdrową bladość skóry na jego szyi. Julia uklękła przy nim i odwróciła go delikatnie. Miał na twarzy krew, która tworzyła kałużę pod jego tułowiem. Doktor Huxley dokonała szybkich oględzin zwłok, chrząkając przy każdym odkryciu.

Kiedy pracowała, Mark Murphy szukał zapasowej instalacji elektrycznej i po chwili zapaliło się kilka lamp i ożyło parę monitorów komputerowych. Na mostku leżały jeszcze trzy ciała, dwóch mężczyzn w mundurach i kobiety w sukience koktajlowej. Cabrillo przypuszczał, że była gościem oficera, który pokazywał jej sterownię, gdy patogen uśmiercił załogę i pasażerów statku. Dwaj inni członkowie załogi pełnili wachtę.

- I co, Huxley? - zapytał Juan, zanim Julia skończyła swoje makabryczne czynności.

- Możliwe, że zostali zaatakowani jakimś gazem, choć przy tylu ofiarach na pokładzie stawiam raczej na nowy, nieznan mi rodzaj bardzo silnej gorączki krwotocznej.

- Superwirus, coś jak ebola? - spytał Eddie.

- Szybciej działający i bardziej zabójczy. Powodujący sto procent zgonów. W wypadku eboli zairskiej, najgroźniejszej z trzech odmian, jest około dziewięćdziesięciu procent. Krew nie jest czarna, co nasuwa mi wniosek, że to nie było zakażenie żołądkowo-jelitowe. Wygląda na to, że ten mężczyzna wszystko wykaszał. Kobieta też. Ale jest jeszcze coś. - Julia uniosła delikatnie ramię oficera. Było gumowate jak macka. - Kości odwapniały się do tego stopnia, że prawie się rozpuściły. Pewnie mogłabym wcisnąć mu palce do czaszki.

- Okej, wystarczy - powiedział Juan, zanim zdążyła to zademonstrować. - Co to może być?

Wstała i wytarła rękawicę środkiem dezynfekcyjnym.

- Z czym mamy do czynienia?

- Z wirusem stworzonym przez człowieka.

- Jesteś pewna?

- Całkowicie. Zbyt prędko uśmierca gospodarza, żeby mógł być naturalny. Wirusy, tak jak wszystkie żywe organizmy, muszą się rozmnażać, tak często, jak to możliwe. Zabijając gospodarza w ciągu minut, ten zarazek nie ma wiele czasu, by przenieść się z jednej osoby na drugą. W realnym świecie wywołana przez niego epidemia skończyłaby się tak szybko, jak by się zaczęła. Nawet wirus ebola potrzebuje kilku tygodni na zabicie ofiar, więc przez ten czas zarażają się nim ich rodziny i sąsiedzi. Selekcja naturalna spowodowałaby, że ten wirus zginąłby dawno temu. - Julia spojrzała Juanowi w oczy. - Ktoś go spreparował w laboratorium i wypuścił na tym statku.

Juan głęboko współczuł nieszczęsnym kobietom i mężczyznom, którzy stracili życie na „Golden Dawnie”, gdy został uwolniony wirus, i jednocześnie był wściekły na tych, którzy dokonali ataku.

- Znajdź coś, żeby ich przygwoździć, Huxley - rozkazał z furją.

- Tak jest. - Ton jego głosu sprawił, że zasalutowała, choć prawie się to nie zdarzało na „Oregonie”.

Juan odwrócił się na pięcie, wyszedł drzwiami prowadzącymi w głąb statku i pomaszerował ku rufie.

Korytarz na szczęście był pusty, tak jak kabiny, do których zaglądał. Po stroju młodej kobiety na mostku i innych pasażerów, których widzieli na przekazie z UAV-a i podczas lotu helikopterem, domyślał się, że na statku trwało duże przyjęcie i w kabinach nikogo nie zastanie. Kiedy skończył sprawdzać kwatery oficerów, otworzył drzwi do tak zwanej części hotelowej statku, jak mówiono w branży żeglugowej. Choć „Golden Dawn” nie był tak okazały jak niektóre nowoczesne liniowce pasażerskie, w środku lśnił mosiądz i leżały eleganckie dywany w różowych odcieniach. Juan słyszał tylko własny oddech, gdy dotarł na balkon z widokiem na atrium z marmurową podłogą cztery poziomy niżej. Bez oświetlenia wysoki hol przypominał przepastną jaskinię. Blask latarki odbił się od szyb wystawowych butików w dole i Juanowi wydało się, że dostrzegł ruch.

Był zdenerwowany i wziął głęboki oddech, żeby się uspokoić. Całe atrium zaścięłały ciała w pozach sugerujących cierpienie. Niektórzy leżeli na schodach, jakby usiedli w oczekiwaniu na śmierć, inni po prostu osunęli się tam, gdzie stali. Gdy Cabrillo schodził po szerokich stopniach wokół holu, zobaczył sześciuosobową orkiestrę. Pięciu muzyków w smokingach upadło na swoje instrumenty i tylko jeden próbował uciec. Oddalił się na niecałe cztery metry od kolegów, zanim

uśmiercił go wirus.

Ofiary zakończyły życie w różnych sytuacjach: jakaś para przytulała się w chwili zgonu, kelnerka stawiała tacę z drinkami na bocznym stoliku na zewnątrz baru, grupa młodych kobiet najwyraźniej pozowała do zdjęcia, choć nie było śladu fotografa, tylko jego drogi aparat leżał w kawałkach na podłodze. Juan nie mógł zwrócić do oszklonej windy, która kursowała między pokładami, bo widok jej wnętrza zasłaniała krew na szybach.

Poszedł dalej. Skafander i zamknięty obieg powietrza chroniły go przed kontaktem z otoczeniem, ale nie przed scenami grozy wokół niego. Nie oglądał dotąd masowego mordu na taką skalę i wiedział, że gdyby nie ścisnął latarki w jednej dłoni i pistoletu w drugiej, ręce trzęsłyby mu się tak, że nie mógłby tego opanować.

- Co tam u was? - zawołał przez sieć łączności, bardziej po to żeby usłyszeć ludzki głos, niż dostać meldunek.

- Eddie i ja jesteśmy w drodze do szpitala okrętowego - odpowiedziała Julia. Jej słowa zniekształcały zakłócenia, które powodowała stalowa konstrukcja statku.

- Zbliżam się do pomieszczeń technicznych. Jeśli nie odezwę się za pół godziny, niech Eddie mnie poszuka.

- Przyjęłam.

- Murphy?

- Na zapasowym zasilaniu ten komputer jest wolniejszy niż mój pierwszy pecet w życiu - odparł Mark. - Znalezienie tego, co chcę, zajmie mi trochę czasu.

- Próbuj. „Oregon”, słyszysz mnie?

- Tak - odrzekł czyjś głos. Przez zakłócenia trudno było rozpoznać, kto to jest, ale Cabrillo przypuszczał, że zgłosił się Max Hanley. Juan nigdy nie pomyślał o tym, żeby ulepszyć standardowe radia w skafandrach. Teraz to przeoczenie się mściło.

- Mamy jakieś towarzystwo?

- Jesteśmy całkiem sami, Juan.

- Jeśli ktoś się pojawi, daj mi natychmiast znać.

- Jasne.

Na drzwiach przed Juanem widniał napis: „Wstęp tylko dla załogi”. Zamek elektroniczny odblokował się automatycznie, kiedy padło zasilanie, więc Cabrillo pchnął drzwi i pomaszerował korytarzem. W przeciwieństwie do przejść w części pasażerskiej, wyłożonych boazerią i ozdobionych wymyślnymi lampami, to było pomalowane na biało, na podłodze leżało PCV, pod sufitem wisiały jarzeniówki, a wzdłuż ścian biegingy kolorowe rury. Juan minął małe boksy stewardów i wielką mesę załogi, gdzie zobaczył kilka następnych ciał. Ofiary osunęły się na stoły lub upadły na podłogę. Wyglądało na to, że pluły obficie krwią, jak wszyscy martwi na statku. Ostatnie chwile musiały być dla nich koszmarem.

Przeszedł obok jednej z lśniących kuchni, która teraz przypominała rzeźnię, i obok pralni z dwudziestoma maszynami pralniczymi wielkości cementnierek. Wiedział, że sektory usługowe w branży żeglugowej są zdominowane przez pewne grupy etniczne, więc nie zdziwił się na widok Chińczyków. Mogło się to wydawać rasistowskim stereotypem, ale w tym wypadku było prawdą.

Szedł dalej i w końcu zauważył to, czego szukał - ciężkie drzwi z napisem: „Pomieszczenia techniczne. Nieupoważnionym wstęp wzbroniony”. Za progiem była mała komora i dźwiękoszczelny właz. Juan dał nura do środka, zszedł po trzech kondygnacjach schodów i znalazł się w aneksie

maszynowni. Światło jego latarki padło na dwa generatory ułożone obok siebie i baterię komputerów sterujących. Masywne przesuwne drzwi w głębi prowadziły do maszynowni. W przepastnej przestrzeni dominowały dwa ogromne silniki, każdy wielkości ciężarówki. Położył rękę na bloku jednego z nich i poczuł zimno metalu. Diesle musiały przestać pracować co najmniej dwanaście godzin temu, by ostygnąć do temperatury otoczenia. W górze ich rury wydechowe łączyły się z przewodem kominowym.

W przeciwieństwie do setek innych maszynowni, które widział Juan, z tej nie emanowała siła, potężna moc i wytrzymałość ułożonych w niej silników. Miał wrażenie, że jest w chłodnej krypcie. Wiedział, że gdyby towarzyszył mu Max, inżynierska duma kazałaby mu odpalić diesle, żeby tchnąć w nie życie.

Spróbował wywołać przez radio Huxley, potem Marka i wreszcie „Oregon”, ale słyszał tylko zakłócenia. Przyspieszył kroku, oświetlając latarką urządzenia w poszukiwaniu czegoś nietypowego. Dostał się przez kolejny wodoszczelny wjazd do okrętowej oczyszczalni ścieków. Poszedł dalej. Za nią zobaczył następne nieczynne generatory i odsalacze. Metodą odwróconej osmozy system uzdatniania wody morskiej usuwał z niej prawie sto procent soli, by nadawała się do picia. Ten odsalacz dostarczał wodę do kuchni okrętowych, pralni i każdej łazienki na statku. Z dwóch instalacji, do których według Juana ktoś mógł wpuścić zabójczego wirusa, by mieć pewność, że uśmierci wszystkich na pokładzie, ta była pierwsza. Pozostało znaleźć później drugą - klimatyzację.

Cabrillo wziął zestaw narzędziowy z pobliskiego stołu warsztatowego i przez dziesięć minut odkręcał pokrywy inspekcyjne odsalacza, a potem zaglądał do środka. Nie zauważył żadnych śladów majstrowania lub niedawnej kontroli. Wszystkie śruby trzymały mocno, w smarze wyczuwał ziarnistości, mimo rękawic ochronnych na dłoniach. Nic nie wskazywało na umieszczenie wewnątrz urządzenia obcych przedmiotów, takich jak fiolki z toksyną.

Eksplozja nastąpiła bez ostrzeżenia. Huk rozległ się gdzieś za maszynownią i rozszedł po statku. Ledwo ucichł, drugi wybuch zakołysał „Golden Dawnem”. Cabrillo wstał i natychmiast spróbował skontaktować się ze swoim zespołem, gdy eksplodował trzeci ładunek.

W ciągu sekundy Juan stojący nad odsalaczem znalazł się pół maszynowni dalej z piekącym bólem w plecach po uderzeniu w przegrodę. Upadł na pokład, kiedy znów nastąpił wybuch. Do eksplozji doszło daleko przed nim, ale poczuł, jak fala sprężonego powietrza przyciska go do podłogi. Podniósł się chwiejnie, żeby odzyskać latarkę, która upadła dziesięć metrów od niego. Gdy tylko ją chwycił, jakiś szósty zmysł kazał mu się odwrócić. Dostrzegł za sobą ruch. Mimo braku elektryczności wodoszczelne drzwi grawitacyjne działały prawidłowo. Grube metalowe płyty zaczęły wysuwać się z sufitu, by zasłonić otwarte włazy.

Usłyszał nowy odgłos i odwrócił się w samą porę, by zobaczyć, jak ściana spienionej wody wytryskuje spod pokładu przez kraty zakrywające zęzę poniżej maszynowni.

Czwarty wybuch zakołysał „Golden Dawnem” i cały statek się zatrzęsł.

Kiedy Juan biegł do opuszczających się wodoszczelnych drzwi, już wiedział, że zabójcy pasażerów i załogi podłożyli bomby, by zatopić statek i ukryć dowody zbrodni. To coś oznaczało, ale teraz nie było czasu na zastanawianie się nad tym.

Woda z zęzy sięgała mu już do kostek, gdy dał nura pod pierwsze drzwi z zapasem jednego metra. Krępowany przez skafander ochronny przebiegł co sił w nogach przez następne pomieszczenie bez zerkania na oczyszczalnię ścieków, rozchlapując stopami przybierającą wodę. Własny oddech świszczal mu w uszach i powodował obciążenie filtrów.

Następne drzwi były już tylko pół metra nad pokładem. Juan przyspieszył, padł na brzuch i prześliznął się po wodzie. Piana przesłoniła mu wizjer i zawadził hełmem o dolną krawędź płyty. Rozpłaszczył się i wczołgał pod nią, wijąc się, by nie rozedrzeć skafandra. Poczul jej nacisk, szarpnął się mocno i przedostał na drugą stronę do kolan. Spróbował się obrócić, ale ciężkie drzwi nadal opadały. W desperacji zablokował stopą płytę.

Drzwi ważyły co najmniej tonę, toteż proteza Cabrillo przyhamowała je tylko na sekundę, ale tyle mu wystarczyło, by wyciągnąć drugą nogę.

Zgnieciona proteza pozostała zaklinowana pod drzwiami i woda napływała przez szparę do maszynowni. Juan był przygwożdżony i bezradny, bo bez względu na to, jak się starał, nie mógł uwolnić sztucznej nogi.

Tkwiał uwięziony w głębi tonącego statku, nie mogąc w żaden sposób wezwać pomocy przez trzeszczące radio.

Max Hanley nie musiał słyszeć szaleńczego okrzyku Halego, by wiedzieć, że na „Golden Dawnie” nastąpiła seria eksplozji. Widział na głównym monitorze „Oregon”, jak wzdłuż burty statku wycieczkowego wytryskują kolejne gejzery spienionej wody. Przypominało to trafienia torpedami, co było niemożliwe. Radar nic nie pokazywał, a sonar nie wykrył wystrzeleń.

Gdy dym się rozwiał, Eric zrobił kamerą noktowizyjną najazd na jedno ze zniszczonych miejsc. Dziura miała taką wielkość, że łatwo zmieściłby się w niej człowiek, i wdzierała się przez nią woda morska. Cztery identyczne wyrwy wzdłuż linii wodnej powodowały zalewanie zbyt wielu przedziałów, by można było uratować statek, zwłaszcza przy nieczynnych z braku zasilania pompach żęzy. Oceniał, że „Golden Dawn” pójdzie na dno za niecałą godzinę.

Max włączył swoją konsolę telekomunikacyjną.

- George, rusz tyłek do helikoptera i polec nad „Golden Dawna”. Właśnie eksplodowało tam kilka ładunków wybuchowych i nasi są w tarapatach.

- Przyjąłem - odpowiedział natychmiast Gomez Adams. - Mam na nim wylądować?

- Nie. Zawieśnij tam i czekaj na dalsze rozkazy. - Max zmienił kanał. - „Oregon” do Cabrillo. Zgłoś się, Juan. - Centrum operacyjne wypełniły dźwięki zakłóceń. Hali zaczął dostrajać radiostację i szukać sygnału prezesa, ale nie mógł go znaleźć. - Julia, jesteś tam? Eddie?

- Ja jestem - zadudniło nagle w głośnikach. Odezwał się Mark Murphy. Był nadal w sterowni „Golden Dawna” i miał lepszy odbiór. - Co się stało? Chyba słyszałem eksplozje.

- Zgadza się - potwierdził Max. - Ktoś próbuje zatopić statek i wygląda na to, że mu się uda.

- Dopiero zacząłem ściągać dane.

- Pakuj się, chłopcze. Gomez jest już w drodze po ciebie. Zmywaj się stamtąd jak najszybciej.

- A co z Juanem i innymi? - zapytał Murphy.

- Masz z nimi kontakt radiowy?

- Nie. Juan zamilkł jakieś dwadzieścia minut temu, kiedy zszedł do maszynowni.

Hanley stłumił przekleństwo. To było bodaj najbardziej niebezpieczne miejsce w razie eksplozji.

- A co z Eddie i Huxley?

- Straciłem z nimi łączność parę minut później. Powiem ci, Max, że radia w tych skafandrach trzeba zmodernizować, jak tylko stąd wrócimy.

- Będziemy się tym martwili później - odparł Max, choć pomyślał to samo. Przystudiował obraz na monitorze i zauważył, że statek wycieczkowy szybko się zanurza. Najniższy rząd bulajów był niecały metr nad wodą i „Golden Dawn” przechylał się lekko na sterburtę. Gdyby wysłał Murphiego na poszukiwania reszty grupy, specjalista od uzbrojenia mógłby zostać uwięziony wewnątrz statku. „Dawn” na razie pograżał się w morzu dość równomiernie, ale lada chwila mógł gwałtownie opaść. Musiał wierzyć, że pozostali wydostaną się na własną rękę.

- Mark - zawołał - wsiadaj do helikoptera, jak tylko będziesz mógł. Zostawimy was na pozycji, żebyście zabrali resztę, kiedy wyjdą na pokład.

- Przyjąłem, ale nie podoba mi się to.

- Mnie też nie, chłopcze. Wcale.

Jeden rzut oka na plan „Golden Dawna” wystarczył Eddiemu Sengowi, by zaprowadzić Julię prosto do małego szpitala okrętowego na poziomie DD, dużo poniżej głównego pokładu. Z jego pomocą pobrała po drodze próbki krwi i tkanek kilku ofiar.

- Trzymasz się całkiem dobrze jak na kogoś, kto nie jest medykiem - pochwaliła go, gdy pracowała przy pierwszych zwłokach.

- Widziałem, w jakim stanie chińscy śledczy zostawiają więźniów po przesłuchaniach - odrzekł Eddie beznamiętnym tonem. - Po tym już niewiele mnie rusza.

Julia wiedziała o potajemnych wypadach Senga do Chin z ramienia CIA i nie wątpiła, że widział dużo straszniejsze rzeczy, niż mogła sobie wyobrazić.

Tak jak podejrzewała, szlak ciał prowadził korytarzem w kierunku ambulatorium, do miejsca, gdzie kobiety i mężczyźni zdążyli dojść w poszukiwaniu pomocy, kiedy zachorowali. Tu też pobrała próbki, gdyż uważała, że coś w fizjologii tych ludzi sprawiło, że żyli kilka minut dłużej niż inne ofiary. To mogła być ważna podpowiedź, dlaczego wybuchła epidemia, gdyż Julia nie robiła sobie wielkich nadziei, że ktoś ocalał.

Drzwi szpitala okrętowego były otwarte, gdy tam dotarli. Julia przeszła nad mężczyzną w smokingu, który leżał na progu, i znalazła się w poczekalni bez okien. Światło jej latarki wyłowiło z ciemności dwa biurka i szafki na akta. Na ścianach wisiały plakaty biura podróży, napis przypominający, że mycie rąk zapobiega infekcjom na statku, i oprawiony dyplom doktora medycyny Howarda Passmana, uzyskany przez niego na uniwersytecie w Leeds.

Julia oświetliła sąsiedni gabinet lekarski. Był pusty. Drzwi na końcu pokoju prowadziły do boksów dla pacjentów, klitek z zasłoną, łóżkiem i zwykłą szafką nocną. Na podłodze leżały dwie następne ofiary, młoda kobieta w obcisłej czarnej sukience i mężczyzna w średnim wieku w płaszczu kąpielowym.

Oboje byli zakrwawieni, jak cała reszta.

- Myślisz, że to lekarz? - zapytał Eddie.

- Tak przypuszczam. Pewnie dostał ataku w swojej kabinie i przybiegł tu, najszybciej jak mógł.

- Nie zdążył się uratować.

- Przed tym wirusem nie ma ucieczki. - Julia przechyliła głowę. - Słyszysz to?

- W tym skafandrze słyszę tylko własny oddech.

- Brzmi jak pompa lub coś w tym rodzaju. - Odsunęła zasłonę wokół jednego z łóżek. Poślanie wyglądało na nieużywane.

Podeszła do następnego. Na podłodze obok łóżka zobaczyła bateryjny aparat tlenowy, jakich używają ludzie, którzy mają problemy z oddychaniem. Przezroczyste plastikowe rurki znikwały pod przykryciem. Julia skierowała światło latarki na łóżko. Ktoś w nim leżał z kocami naciągniętymi na głowę.

Huxley rzuciła się naprzód.

- Mamy kogoś żywego!

Odciągnęła koce. Młoda kobieta spała smacznie, rurki podające powietrze tkwiły w jej nozdrzach. Ciemne włosy rozrzucone w wachlarz na poduszce okalały bladą twarz o delikatnych rysach. Pacjentka była przeraźliwie chuda, miała długie ręce i wąskie ramiona. Pod T-shirtem odznaczały się wyraźnie obojczyki. Nawet we śnie sprawiała wrażenie osoby, której choroba dała

się porządnie we znaki.

Zatrzepotała powiekami, otworzyła oczy i wrzasnęła na widok dwóch postaci w kosmicznych kombinezonach nad sobą.

- Bez obaw - powiedziała Julia. - Jestem lekarką. Chcemy pani pomóc. Jej przytłumiony głos nie uspokoił kobiety. Wytrzeszczała niebieskie oczy ze strachu, cofnęła się do wezglowia łóżka i nakryła kocami.

- Mam na imię Julia. To jest Eddie. Zabierzemy panią stąd. Jak pani się nazywa?

- Kim... kim pani jest? - wyjąkała młoda kobieta.

- Lekarką z innego statku. Wie pani, co tu się stało?

- Wczoraj wieczorem było przyjęcie.

Kobieta zamilkła, więc Julia domyśliła się, że jest w szoku. Odwróciła się do Senga.

- Daj zapasowy skafander. Nie będziemy mogli zabrać jej dodatkowego tlenu, dopóki go nie włożymy.

- Dlaczego? - zapytał Eddie i rozerwał plastikowe opakowanie stroju ochronnego.

- Przypuszczam, że dlatego przeżyła tylko ona. Wirus musi być w powietrzu. Nie oddychała powietrzem z otoczenia, tylko szpitalnym tlenem, a kiedy system padł, zaczęła używać przenośnego aparatu tlenowego. - Julia znów spojrzała na dziewczynę. Oceniała jej wiek na dwadzieścia kilka lat. Pasażerka podróżująca z rodziną lub ktoś z załogi, pomyślała. - Jak się nazywasz, skarbie?

- Jannike. Jannike Dahl. Dla przyjaciół Janni.

- Mogę ci mówić po imieniu? - zapytała Julia, usiadła przy łóżku i oświetliła latarką wizjer swojego skafandra, żeby Janni mogła zobaczyć jej twarz. Jannike przytaknęła. - Dobrze. Mam na imię Julia.

- Jest pani Amerykanką?

Julia otworzyła usta, żeby odpowiedzieć, gdy basowy odgłos wypełnił pomieszczenie.

- Co to było?

Eddie jeszcze nie zdążył jej wyjaśnić, że właśnie nastąpiła eksplozja, kiedy rozległ się drugi wybuch, tym razem bliżej. Jannike znów wrzasnęła i naciągnęła koce na głowę.

- Musimy iść - powiedział Eddie. - Już!

Dwie następne eksplozje zakołysały statkiem. Wybuch niedaleko ambulatorium zwałił Eddiego z nóg, Julia zasłoniła własnym ciałem Jannike. Jarzeniówka spadła z sufitu i roztrzaskała się z głośnym wystrzałem.

Eddie wstał.

- Zostań z dziewczyną. - Wybiegł z sali.

- Nie bój się, Janni. Zabierzemy cię stąd. - Julia znów pociągnęła koce w dół. Łzy spływały po gładkich policzkach Jannike, dolna warga drżała.

- Co się dzieje?

- Mój kolega sprawdza. Chcę, żebyś to włożyła. - Julia wyciągnęła przed siebie skafander ochronny. - Ale musimy to zrobić bardzo ostrożnie, okej?

- Jestem chora?

- Nie sądzę. - Julia nie mogła tego stwierdzić bez przeprowadzenia testów, ale nie zamierzała tego mówić przerażonej dziewczynie.

- Mam astmę - wyjaśniła Janni. - Dlatego tu leżałam. Dostałam takiego ataku, że lekarz nie mógł nad nim zapanować.

- Minął?

- Chyba tak. Nie używałam inhalatora od... - Głos jej się załamał.

- Ale zostałam na tlenie?

- Widziałam, co się stało z doktorem Passmanem i moją przyjaciółką, Karin. Pomyślałam, że może czegoś się nawdychali, więc go nie odstawiłam.

- Myślę, że to ci uratowało życie. Jesteś dzielną i zaradną dziewczyną. Wiedząc, że potrafiła sobie pomóc, Jannike nabrała trochę pewności siebie i wstąpiła w nią nadzieja, że opuści statek żywa. Eddie przybiegł z powrotem.

- Wybuch zniszczył korytarz jakieś dwadzieścia metrów stąd. Nie możemy wrócić tą drogą, którą przyszliśmy.

- A jest inna?

- Miejmy nadzieję. Słyszę, że dolną część statku zalewa woda.

Woda wlewała się pod zablokowanymi drzwiami jak wzbierający przypływ i gdyby nie skafander ochronny z własnym zapasem powietrza, Cabrillo by utonął. Po kilku minutach ponownych prób uwolnienia zmiażdżonej protezy leżał na plecach i pozwalał, by omywało go morze, które szybko wypełniało maszynownię. Poziom wody osiągnął już pół metra i podnosił się z każdą sekundą.

Juan pocieszał się tylko tym, że reszta jego zespołu nie zapuściła się tak głęboko do wnętrza „Golden Dawn”, powinna więc ewakuować się stosunkowo łatwo.

Gdy wcześniej oglądał pomieszczenia techniczne, nie natrafił na żadne ofiary wirusa czy czegokolwiek innego, co wypuszczono na statku, więc zorientował się, że „Golden Dawn” funkcjonował w trybie automatycznym. Tylko dwaj członkowie załogi pełnili wachtę na mostku i nikt nie monitorował agregatów na dole. Był ciekaw, jak długo patogen pozostanie w powietrzu, nie mając już kogo zainfekować. Może Huxley by wiedziała, ale to był nowy wirus, nawet dla niej, dlatego mogłaby co najwyżej spekulować.

Klimatyzacja nie działała, toteż kurz i mikroby osiadły. Czy minęło dość czasu? Cabrillo mógł mieć tylko taką nadzieję, bo wiedział, że leżąc w przybierającej wodzie i rozmyślając o tym, jedynie odwleka nieuniknione.

Wydostał prawe ramię z rękawa i przesunął dłoń wzdłuż tułowia do prawej nogi. Chwytał nogawkę spodni i podciągnął ją powyżej protezy, żeby dostać się do pasków, które ją trzymały. Odpiął je z wprawą i poluzował uszczelkę przysysającą sztuczną łydkę do kikuta. Natychmiast poczuł się wolny, gdy odczepił protezę, choć skafander pozostał przygwożdżony pod drzwiami.

Teraz trudniejsza część. Sięgnął przez ramię do zaworu i zwiększył dopływ powietrza do skafandra, który spęczniał jak balon. Juan zawsze nosił przy sobie trzy rzeczy: zapalniczkę, choć tylko sporadycznie wypalał cygaro, kompas wielkości guzika i scyzoryk. Wyjął nóż z kieszeni i otworzył go jedną ręką. Musiał przybrać pozycję embrionalną, żeby sięgnąć jak najniżej nogawki, zmagając się z ciężarem wody, której wciąż przybywało.

Ostry jak skalpel scyzoryk łatwo przeciął skafander ochronny. Szczeliną zaczęło uchodzić powietrze i przez moment powstrzymywało wodę wdzierającą się do środka, ale skafander wkrótce zaczął się napełniać. Juan przyspieszył przecinanie tkaniny, żeby zdążyć się oswobodzić, zanim zostanie zalany. Leżał na boku i musiał odwracać głowę, aby woda nie napierała mu na twarz. Starał

się też unosić ciało o kilka centymetrów, ale tak, by się nie pogubić, gdzie przecina skafander.

Nowa pozycja okazała się zbyt niewygodna do skutecznego działania, wziął więc głęboki oddech, znów położył się płasko i dalej prowadził ostrze wokół łydki, żeby uwolnić się od uwięzionej tkaniny. Brakowało mu powietrza, ale ignorował palenie w płucach i pracował z nienaturalnym spokojem mimo niebezpieczeństwa. Spróbował się oswobodzić szarpnięciem, lecz nie zdołał rozedrzeć mocnego tworzywa. Druga próba też się nie powiodła. Musiał wreszcie zaczerpnąć powietrza, więc dźwignął się do góry, by wynurzyć hełm, ale ciśnienie było za duże i mu się nie udało.

Konwulsje płuc sprawiły, że wypuścił ustami pęcherze powietrza. Poczul się tak, jakby tłumiał kaszel. Ból w klatce piersiowej przypomniawszy mu niepotrzebnie o niedotlenieniu mózgu. Zaczynał mieć zawroty głowy. Pociągnął gwałtownie skafander i rozerwał trochę tkaninę, ale się nie uwolnił. Staral się zmusić do zachowania spokoju, lecz instynkt samozachowawczy brał górę nad logiką. Znów się schylił i wrócił do przecinania skafandra, choć tym razem cały czas gorączkowo szarpał tkaninę resztką sił.

Nagle upadł do tyłu. Albo wreszcie odciął nogawkę skafandra, albo ją urwał. Przetoczył się na kolana i odepchnął od podłogi. Poczul, jak woda wylewa się dołem ze skafandra. Pełny obaw, że jest wystawiony na działanie czegoś zabójczego, zrobił tak płytki wdech, że niewiele rozjaśniło mu się w głowie.

Podniósł się, żeby woda do reszty wypłynęła ze skafandra. Rwąca powódź w maszynowni utrudniała mu stanie na jednej nodze, więc doskoczył parę kroków do stołu warsztatowego. Oparł się o blat, związał szybko strzepy skafandra i zacisnął węzły najmocniej jak mógł. Zmniejszył dopływ powietrza, gdy skafander zeszywniał. Przypuszczał, że jest niewielka nieszczelność, ale nie sądził, by przy nadciśnieniu wewnątrz coś przedostało się do środka. Ponieważ bardzo krótko nie był chroniony i prawie cały ten czas spędził pod wodą, uważał, że nic mu nie grozi.

Dopóki sobie nie przypomniawszy, że jest uwięziony w tonącym statku, ma odciętą drogę ucieczki i nie może się skontaktować ani ze swoim zespołem, ani z „Oregonem”.

Ruszył po omacku przez ciemność z rękami wyciągniętymi przed siebie, by zmysłem dotyku określić swoją pozycję w przepastnym pomieszczeniu. Bez protezy posuwał się naprzód niezdarnie i z trudem, ale w końcu natrafił na drugi stół warsztatowy, który widział wcześniej. Otworzył szuflady, pogrzebał w nich, rozpoznał dotykiem narzędzia i wybrał to, co miał nadzieję znaleźć.

Latarka świeciła słabiej niż tamta, którą zgubił, ale jej blask podniósł go na duchu. Przynajmniej coś widział. Skakał na jednej nodze przez maszynownię, hamowany napływającą wodą po kolana. Minał dwa diesle i dotarł do przeciwległych wodoszczelnych drzwi. Te były opuszczone do samego dołu. Poszukał ręcznego mechanizmu otwierającego, ale nie znalazł.

Poczul, jak oplatają go pierwsze macki paniki, i wyrwał się z ich uścisku. Nie wiedział, jakich zniszczeń dokonały eksplozje, nie miał więc pojęcia, jak długo „Golden Dawn” utrzyma się na powierzchni. Gdyby statek pozostał taki stabilny jak teraz, woda wypełniłaby maszynownię dopiero za parę godzin. Przez ten czas zdążyłby wymyślić jakąś drogę ucieczki lub Eddie i inni znaleźliby sposób na uratowanie go.

Zaledwie przyszło mu to do głowy, przez kadłub przebiegł przeciągły odgłos, jaki wydaje rozrywany metal poddany zbyt dużemu naprężeniu. Statek przechylił się na dziób. Woda w maszynowni spiętrzyła się w wielką falę, która uderzyła w przeciwległe drzwi. Cofnęła się i Juan musiał wskoczyć na stół, żeby nie rzuciła go na przegrodę. Oświetlił latarką pomieszczenie i

zobaczył, że woda przedostaje się z części dziobowej statku w zdwojonym tempie. Spod drzwi tryskały złowieszcze gejzery, jakby ocean pragnął pochłonąć swoją ostatnią ofiarę.

Cabrillo miał już nie godziny, lecz minuty na uratowanie się.

Poświecił wokół w poszukiwaniu jakiejś drogi ucieczki z pułapki. Wpadł na szaleńczy pomysł i skierował latarkę na jeden z ogromnych silników, a potem wolno w górę na jego rury wydechowe i jeszcze wyżej.

- Aha!

9

Julia zwróciła się do Jannike Dahl tak uspokajająco, jak potrafiła:

- Janni, skarbie, zaraz cię stąd zabierzemy, ale żebyś móc wyjść, musisz włożyć taki skafander ochronny, jaki mamy na sobie Eddie i ja.

- Statek tonie? - zapytała Janni.

- Tak. Czas iść.

Julia włączyła bateryjne wentylatory i skrubery w skafandrze i opuściła suwak z tyłu. Nie powiedziała Janni, że ten strój ma chronić nie tyle ją, ile załogę „Oregon”, na wypadek gdyby już była zarażona. Utrzymując dopływ powietrza przez rurki do nozdrzy, Janni wsunęła nogi do skafandra i wciągnęła go na wąskie ramiona. Julia pomogła jej włożyć długie włosy pod hełm. Zauważyła, że nie były myte od kilku dni. Atak astmy uwięził Jannike w ambulatorium na jakiś czas.

- Weź głęboki oddech nosem i trzymaj jak najdłużej - poleciła Huxley. Janni powiększyła się klatka piersiowa, kiedy wciągnęła do płuc czysty tlen. Julia odczepiła jej rurkę intubacyjną umocowaną wokół uszu i odrzuciła na bok. Ściągnęła razem dwie połówki skafandra i zapięła suwak. Następną minutę zajęło jej uszczelnienie szwów taśmą samoprzylepną.

Huxley musiała przyznać, że Eddie mimo krytycznej sytuacji, nie okazuje najmniejszych oznak zniecierpliwienia. Rozumiał, że młoda kobieta jest na pograniczu szoku katatonicznego i trzeba się z nią obchodzić jak z dzieckiem. Julia uważała, że Janni dobrze się trzyma po tym, co przeszła.

Kiedy Eddie wrócił z krótkiego zwiadu, przykrył dwa ciała na zewnątrz boksu Janni. Dziewczyna wciąż patrzyła na nieruchome postacie, gdy Julia przeprowadzała ją obok. Wyszli we troje na korytarz, gdzie nic nie można było zrobić z setkami zwłok. Julia poczuła, jak ręka Janni sztywnieje w jej dłoni, ale na szczęście dziewczyna nie zemdląła. Huxley niosła w drugiej ręce walizkę z próbkami.

- Ta droga jest zablokowana - powiedział Eddie, wskazując kciukiem tam, skąd przyszli. - Janni, jak jeszcze można stąd wyjść na główny pokład?

- Ten korytarz tutaj się kończy. - Spojrzała na niego, żeby nie patrzeć na ciała. - Ale w głębi są metalowe drzwi. Słyszałam, że załoga schodziła nimi na dół. Może wydostaniemy się tamtędy.

- Doskonale - odrzekł Eddie. - Musi być jakiś zapasowy właz.

Poszli za światłem latarki w głąb korytarza i natrafili na duży owalny właz w gołej stalowej ścianie. Eddie go odryglował i zajrzał do środka. Zobaczył gąszcz rur i musiał zastanowić się chwilę, do czego służą.

- To jest stacja pomp głównej pływalni. Woda spada tu do odfiltrowania, a potem wraca z powrotem na górę.

Statek nagle zatrzeszczał, jakby pękał kadłub, i przechylił się tak, że Jannike omal nie upadła. Julia ją przytrzymała i wymieniła spojrzenia z Eddiem. Czas uciekał.

Eddie przeszedł przez otwarty właz i poszukał innego wyjścia. W podłodze był drugi właz otoczony barierką. Przyklęknął, zwolnił rygle i uniósł pokrywę na opornych zawiasach. W ciemność

opadała drabinka. Opuścił się na dół, skafander utrudniał mu pokonanie wąskiej przestrzeni. Znalazł się w następnym pomieszczeniu technicznym z urządzeniami elektronicznymi wokół. Rozpoznał rozdzielnię elektryczną, gdzie normalnie usłyszałby buczenie prądu. Teraz panowała tu cisza. Otwarte drzwi odsłaniały kolejny mroczny korytarz.

- Zejdźcie tutaj - zawołał i zaczekał u dołu drabinki, żeby sprowadzić Janni z paru ostatnich szczebli. Choć był mniej niż przeciętnego wzrostu, mógłby objąć ją dłońmi w talii nawet przez skafander, który nadawał jej kształty śniegowego bałwana.

Julia dołączyła do nich sekundę później i Eddie wyprowadził je z rozdzielni.

- Orientujesz się, gdzie jesteśmy? - zapytał Jannike. Wpatrzyła się w mrok.

- Nie bardzo. Personel hotelowy miał zakaz wstępu do wielu części statku, poza tym nie pracowałam tu zbyt długo.

- Nie szkodzi - uspokoił ją Eddie, wyczuwając jej frustrację, że nie może być pomocna.

Ponieważ „Dawn” przechylał się na dziób, Eddie skierował się ku rufie. Czuł lekkie napięcie ud, co oznaczało, że się wspina. Kąt był łagodny, ale wiedział, że będzie się powiększał w miarę zalewania przez wodę kolejnych przedziałów.

W skafandrze nie poczuł nagłego podmuchu za sobą. To drżenie płyt pokładu pod jego stopami kazało mu się odwrócić. Woda waląca korytarzem sięgnęła mu do ud, gdy uderzyła w nich, zanim zdążył krzyknąć ostrzegawczo. Zielona masa porwała ich i niosła na grzbiecie fali, koziółkujących bezradnie, dopóki z wolna nie straciła energii. Opadli na pokład, morze nadal przepływało wokół nich.

Eddie podniósł się pierwszy i pomógł Janni wstać.

- Jesteś cała?

- Chyba tak.

- Huxley, nic ci się nie stało?

- Nie, tylko trochę się zdenerwowałam. Co to było?

- Musiała puścić jakaś groź w pobliżu dziobu. Mamy jeszcze trochę czasu. Poszli dalej przez wodę do kostek. Eddie sprawdzał napisy na wszystkich mijanych drzwiach w nadziei, że znajdzie wyjście na schody, ale nie miał szczęścia. W korytarzu były magazyny artykułów sypkich i części zamiennych. Szyna wzdłuż sufitu umożliwiała załodze używanie wciągarek do transportu ciężarów do najbliższej windy. Eddie pomyślał, że to mogłaby być dla nich droga ewakuacyjna, jeśli nie znajdą schodów. Wiedział, że zdołałby się wdrapać szybem windy na górę, Huxley najprawdopodobniej też, ale wątpił, żeby Jannike miała tyle siły. Gdyby nie skafander, może mógłby nieść ją na plecach podczas wspinaczki. Warto było to rozważyć.

Omam nie przeoczył drzwi na prawo od siebie i musiał przystanąć, żeby oświetlić napis: „Magazyn sprzętu wodnego”.

- Bingo!

- Co tu jest?

- Nasza przepustka na wolność - odrzekł i pchnął drzwi.

W blasku latarki zobaczył rząd lśniących skuterów wodnych i dwuosobowych motorówek. Spoczywały na specjalnie zaprojektowanych kołyskach. W suficie był duży otwór do wciągania łodzi, spiralne schody prowadziły w górę na wyższy poziom. Wspięli się po stopniach.

Pasażerowie mogli tu wypożyczać sprzęt pływający, kiedy statek stał w porcie. Wzdłuż ściany ciągnęła się lada dla obsługi, wszędzie wisały plakaty przypominające o zasadach bezpieczeństwa.

Podłogę pokrywała wykładzina przeciwpoślizgowa, w przegrodzie zewnętrznej były drzwi wielkości garażowych. Przez całą ich szerokość biegła składana rampa hydrauliczna. Wysuwała się po ich otwarciu i tworzyła mały pomost.

Eddie postukał w stalowe drzwi latarką. Zamiast metalicznego dźwięku rozległ się głuchy odgłos. Popróbował wyżej i w końcu usłyszał to, co chciał.

- Woda jest pół metra poniżej górnej krawędzi drzwi - oznajmił. - Kiedy je otworzę, zaleje nas.

- Uda nam się wydostać? - zapytała Janni zdyszczanym głosem.

- Bez problemu. - Eddie się uśmiechnął, żeby ją uspokoić. - Kiedy wyrówna się ciśnienie wewnątrz i na zewnątrz, wypłyniemy stąd. A najlepsze, że skafandry utrzymają nas na powierzchni.

- Zejdę na dół i zamknę drzwi, którymi weszliśmy - oznajmiła Julia. Wiedziała, że aby plan Eddiego się powiódł, hangar łodziowy musi być odizolowany od reszty statku, bo inaczej woda po prostu popłynie dalej.

- Dzięki - odrzekł Eddie. Odsunął Janni od drzwi za barierkę, żeby mogła się trzymać, gdy pomieszczenie zostanie zalane.

Drzwi były podnoszone i opuszczane elektrycznie, ale miały też korbę na wypadek braku prądu. Kiedy Huxley wróciła i stanęła obok Janni, żeby ją asekurować, Eddie schylił się i chwycił za korbę. Gdy tylko nią poruszył, drzwi uniosły się na centymetr i woda zaczęła wpływać do hangaru. Eddie stał w bok od drzwi, ale gdy podciągnął je wyżej, poczuł, jak fala omywa mu łydki.

Morze wdzierало się przez szczelinę przy podłodze z hukiem wodospadu.

Eddie otworzył drzwi w jednej czwartej, kiedy korba się zablokowała. Szarpnął ją, ale ani drgnęła. Spojrzał na drzwi i wtedy zobaczył, co się stało. Napór wody wgiął je w dolnej części i rolki wyskoczyły z prowadnic. Drzwi odkształcały się dalej i wyrzuciły w połowie wysokości, jakby pchała je ogromna ręka.

Krzyknął ostrzegawczo do Janni i Julii, ale nie usłyszały go przez ryk wody, kiedy drzwi całkowicie puściły. Zostały wyrwane z prowadnic i rzucone przez hangar jak kartka papieru. Pokonawszy przeszkodę, ocean runął do środka zieloną ścianą.

Julia i Janni stały w bezpiecznej odległości od pierwszego uderzenia wody, ale kiedy hangar się wypełnił, dosięgła je druga fala. Gdyby nie obecność Huxley, Jannike Dahl zginęłaby wśród szalejącego żywiołu.

Do hangaru wlewały się kolejne fale, niosąc różne przedmioty, łącznie ze skuterem wodnym, który przepłynął niebezpiecznie blisko. Dopiero kiedy woda się uspokoiła, Eddie mógł puścić słupek, do którego kurczowo przywierał. Natychmiast wzniósł się do sufitu i obrócił niczym spadający kot, by wylądować na czworakach. W rękę wciąż ścisnął latarkę. Przymknął dopływ powietrza do skafandra, żeby zmniejszyć ciśnienie i tym samym swoją wyporność. W przeciwnym razie pozostałby przyciśnięty do sufitu i unieruchomiony.

Poszukał snopem światła Julii i jej młodej podopiecznej. Trzymały się barierki ze stopami w górze, powietrze w skafandrach wydymało tkaninę wokół ich nóg. Podpełził do nich i delikatnie zmusił Huxley, a potem Janni, żeby puściły barierkę. Zrobiły to, uniosły się i dołączyły do niego. Ograniczył dopływ powietrza z ich butli i zaczął się posuwać do otwartych drzwi, ale poczuł, że Julia się opiera, jakby nie chciała jego pomocy. Poklepała go w ramię i przysunęła się tak blisko, że ich wizjery się zetknęły.

- Zgubiłam walizkę z próbkami - zawołała, żeby ją usłyszał przez plastikowe szyby. - Musimy ją znaleźć.

Eddie spojrzął na wirujące w hangarze ręczniki, kamizelki ratunkowe, notatniki, kremy do opalania i chłodziarki do napojów. Poszukiwania walizki mogły zająć godziny, a jeśli została wyssana na zewnątrz, to opadała już na dno morza jakieś trzy tysiące metrów pod statkiem.

- Nie ma czasu - odkrzyknął.

- Eddie, te próbki tkanek są nam potrzebne.

W odpowiedzi wziął ją za rękę i pociągnął ku drzwiom.

Nagle zalanie hangaru przesunęło środek ciężkości „Golden Dawna” i jego przechył zaczął się zwiększać. Naprężenia kadłuba groziły jego rozerwaniem i głęboko wzdłuż kila stal już zaczęła pękać. Odgłos rozchodził się po oceanie jak podzwonne dla konającego statku i brzmiał upiornie niczym żałobne zawrodożenie wieloryba.

Julia i Eddie wyholowali Jannike przez otwór. Gdy tylko opuścili statek, Eddie dodał powietrza do swojego skafandra i wystrzelił ku powierzchni.

W pobliżu płonęły światła „Oregona”. Szperacze przecinały ciemność, omiatały pokład „Dawna” i przesuwały się wzdłuż jego linii wodnej. Zodiak przycumowany blisko hangaru podskakiwał na morzu z naprężoną linką i zanurzonym dziobem, ciągnięty w dół przez tonący statek wycieczkowy. Gdy Eddie odwiązywał linkę od ucha przy spawanego do kadłuba „Dawna”, snop światła jednego z reflektorów „Oregona” przesunął się po nich, wrócił i zalał ich jasnym blaskiem. Julia i Jannike pomachały gorączkowo. Szperacz mignął w odpowiedzi.

Robinson R-44 przemieścił się znad przeciwległej burty statku wycieczkowego. George Adams zatrzymał helikopter w zawisie nad nimi, żeby sprawdzić, czy są cali, po czym odleciał, by oszczędzić im huraganowego podmuchu od rotora.

Eddie wtoczył się do pontonu i wciągnął Julię i Janni na pokład. Uruchoił silnik i pomknął po falach w kierunku „Oregona”. Wrota hangaru łodziowego w śródkręciu frachtowca były otwarte i ekipa w strojach ochronnych czekała z rozpylaczami koncentratu środka dezynfekcyjnego, żeby odkazić ich skafandry.

Eddie wyhamował zodiaka tuż przed statkiem. Radia nie działały po długim zanurzeniu w wodzie, nie mógł się więc porozumieć z sanitariuszami, ale wszyscy znali swoje obowiązki. Przerzucili parę szczotek do pontonu i puścili silne strumienie środka odkażającego. Eddie i Julia najpierw wyszorowali Jannike, potem siebie nawzajem, bardzo dokładnie, by zdezynfekować każdy centymetr kwadratowy skafandrów. Zanim skończyli, w pontonie przelewała się piętnastocentymetrowa warstwa koncentratu.

Julia, gdy uznała, że zabili wszystkie zarazki, które mogły przywierać do ich skafandrów, zerwała taśmę samoprzylepną z suwaka i uwolniła się od klaustrofobicznego stroju. Gorące, wilgotne powietrze wydało jej się najświeższe, jakim kiedykolwiek oddychała.

- Boże, co za rozkosz.

- Fakt - przyznał Eddie, gdy zdejmował skafander. Zostawił go w zodiacu. Przeprowadził nadal ubraną w strój ochronny Jannike na pokrytą teflonem pochylnię, skąd wodowano łódź szturmową SEAL. Julia zajęła się dziewczyną. Musiała ją zabrać do izby chorych na dole i zrobić jej serię testów w izolacji, żeby ustalić, czy nie jest zarażona. Dopiero po tym Janni mogła mieć kontakt z załogą.

Max Hanley zjawił się w momencie, gdy Eddie przygotowywał się do zatopienia pontonu. Seng

poznał po minie Maksa, że nie wszyscy mieli tyle szczęścia, co on i Julia.

- Co się stało?

- Mark jest bezpieczny na pokładzie robinsona, ale straciliśmy łączność z prezesem.

- Jasna cholera. Wracam. On jest gdzieś w pomieszczeniach technicznych.

- Zastanów się. - Max wskazał tonący statek wycieczkowy. Po pęknięciu stępki do kadłuba wlewało się czterokrotnie więcej wody. - Nie zdążysz.

- Max, chodzi o prezesa, na litość boską!

- Myślisz, że nie wiem? - Hanley ledwo panował nad sobą.

Żywot „Golden Dawna” dobiegał końca. Rzędy bulajów na całej jego długości poniżej głównego pokładu były już zanurzone. Dziura w kilu powodowała, że śródkręcie osiadało głębiej niż dziób i rufa. Dwaj mężczyźni przyglądali się w milczeniu, jak statek stopniowo znika.

Powietrze uwięzione w kadłubie zaczęło eksplodować. Ogromne ciśnienie wypychało szyby i wrywało drzwi z zawiasów. Woda podniosła się powyżej relingu i zaczęła sięgać górnych pokładów wśród gejzerów piany. Z miejsca, gdzie stali, „Golden Dawn” wydawał się otoczony wrzątkiem.

Gdy woda podeszła do poziomu mostka, zmiażdżyła hartowane szkło. Na powierzchni morza zaczęły pływać różne przedmioty, głównie leżaki, ale również jedna z szalup uwolniła się z żurawika i dryfowała do góry dnem.

Max wytarł oczy, kiedy sterownia pogrążyła się w oceanie i nad wodą pozostały tylko maszty telekomunikacyjne i komin statku. Ocean kipiał, gdy pochłaniał do reszty „Dawna”.

Eric Stone obsługiwał szperacze ze stanowiska kierowania ogniem w centrum operacyjnym. Najmocniejszy reflektor statku pozostawił wycelowany w komin „Dawna” z namalowanymi złotymi monetami. Morze bulgotało jak gorące źródło, robinson wisiał w górze.

Max wyszeptał imię Juana i przeżegnał się, kiedy szczyt komina znalazł się pół metra nad powierzchnią wody. Nagle strumień powietrza wyrzucił z niego coś żółtego niczym kulę armatnią. Obiekt wzniósł się na wysokość pięciu metrów i trzepotał jak ptak próbujący latać.

- Jasny gwi... - Max nie wierzył własnym oczom.

Żółty obiekt był jednym z ich skafandrów ochronnych, a trzepotały ramiona Cabrillo młóące powietrze i jego nogi, którymi wykonywał rowerowe ruchy. Juan przeleciał nad relingiem i wylądował w morzu. Uderzenie musiało go ogłuszyć, bo leżał bez ruchu kilka sekund, zanim zaczął odpływać od tonącego statku. Eric prowadził go reflektorem, gdy Juan kierował się do przewróconej szalupy. Podciągnął się na nią, odwrócił na kolanach twarzą do „Oregona” i wykonał głęboki teatralny ukłon.

Eric odpowiedział mu dźwiękiem syreny okrętowej.

Doktor Huxley była tak skoncentrowana, że nie usłyszała, jak Mark Murphy i Eric Stone wpadli do laboratorium sąsiadującego z izbą chorych. Pochłaniała ją obserwacja miniaturowego królestwa pod silnym mikroskopem i dopiero wtedy, gdy Murphy chrząknął, oderwała wzrok od ekranu komputera. Miała niezadowoloną minę, że jej przeszkodzono, ale na widok szerokich uśmiechów obu mężczyzn się rozchmurzyła.

Za ich plecami jej pacjentka leżała w izolatce, odgradzona od reszty „Oregona” szklanymi ścianami sterylnej boks. Tamtejsze powietrze przechodziło przez wysokiej klasy oczyszczacze i trafiało do pieca o temperaturze pięciuset czterdziestu stopni Celsjusza, zanim opuszczało statek.

Juan siedział w niedbalej pozie na krześle przy łóżku Janni, nadal w żółtym skafandrze ochronnym. Dopóki Julia nie wiedziała, czy podczas krótkiego bezpośredniego kontaktu z wodą w maszynowni został zainfekowany patogenem, który uśmiercił kobiety i mężczyzn na pokładzie „Golden Dawna”, musiała go traktować jak nosiciela. Jej mikroskop z potencjalnie zakażonymi próbkami też stał w odizolowanym pomieszczeniu i mogła je oglądać tylko w skafandrze ochronnym lub na monitorze dedykowanego komputera.

- O co chodzi? - zapytała.

- Zrobiliśmy rachunek prawdopodobieństwa - wysapał Murphy. Tak jak Julia zabrał się od razu do pracy i jeszcze nie zmienił przepoconego ubrania, które miał pod skafandrem ochronnym. Długie włosy lepiły mu się do czaszki.

- Nie ma siły, żeby prezes albo dziewczyna byli zakażeni.

Tym razem Julia nie stłumiła irytacji.

- O czym ty mówisz?

Murphy i Eric dopiero teraz zauważyli Jannike Dahl.

- O kurczę! - powiedział Eric, kiedy popatrzył na śpiącą w izolatce dziewczynę z włosami rozrzuconymi wokół pociągłej bladej twarzy. - Ale laseczka!

- Zapomnij o niej, Stone - doradził szybko Murphy. - Ja ją ratowałem, więc ja pierwszy umówię się z nią.

- Nawet nie ruszyłeś się z mostka - zaprotestował Stone. - Mam do tego takie samo prawo jak ty.

- Panowie - wtrąciła się ostro Julia. - Zostawcie swój niezaspokojony popęd płciowy za drzwiami i wyjaśnijcie mi, po co tu właściwie przyszliście.

- Przepraszam, pani doktor - odrzekł potulnie Murphy, ale zerknął ostatni raz na Janni. - Eric i ja zrobiliśmy analizę i wiemy, że żadne z nich nie mogło zostać zakażone. Wyniki dotyczące prezesa znamy od dwudziestu minut, ale dane na temat dziewczyny dostaliśmy dopiero przed chwilą.

- Czy muszę wam przypominać, że istota tej sprawy tkwi w nauce, konkretnie w biologii, a nie w jakimś programie komputerowym, który wypluwa matematyczne bzdury?

Obaj wyglądali na urażonych.

- Ty najlepiej powinnaś wiedzieć, że cała nauka to matematyka - odparł Eric. - Biologia to nic innego jak zastosowanie chemii organicznej, a chemia to nic innego jak fizyka, która wykorzystuje siły jądrowe do tworzenia atomów. A fizyka to matematyka wpisana w świat rzeczywisty.

Mówił tak poważnie, że Julia wiedziała, iż jej młoda pacjentka nie musi się niczego obawiać z jego strony. Eric prezentował się całkiem niezłe, ale był taki nieśmiały, że nie wyobrażała sobie, by miał odwagę odezwać się do dziewczyny. A pod wrotkarsko-punkową powierzchownością Marka Murphyeego krył się prawdziwy maniak komputerowy.

- Znalazłaś jakiś ślad wirusa albo toksyny w próbkach, które pobrałaś? - spytał Murphy.

- Nie - przyznała Huxley.

- I nie znajdziesz, bo żadna nie jest zakażona. Jedyne sposoby na zabicie całego statku ludzi bez wywołania ogólnej paniki, jeśli ktoś umrze wcześniej niż inni, to zatrucie jedzenia. - Mark uniósł rękę i wyliczał na palcach. - Patogen w powietrzu nie zaatakowałby tych, którzy byli na pokładach w chwili jego uwolnienia. Zatrucie wody jest jeszcze mniej prawdopodobne, bo nie wszyscy piją w tym samym czasie, chyba że zrobi się to z samego rana, kiedy myją zęby. Eric wtrącił:

- Ludzie ze słabszym układem odpornościowym umarliby w ciągu dnia, a jak widzieliśmy, wszyscy byli ubrani na przyjęcie.

- Tak samo, gdyby trucizną pokryć powierzchnie na całym statku, na przykład poręcze i klamki - ciągnął Murphy. - Zabójca nie miałby gwarancji, że uśmierci wszystkich.

- Więc uważacie, że zatruto jedzenie? - spytała Julia, nie widząc luki w ich rozumowaniu.

- Musiało tak być. Juan nie zjadł nic na pokładzie i założę się, że dziś w nocy ona też nie. - Murphy wskazał głową szklaną ściankę działową między laboratorium a izolatką.

- Dla pewności - dodał Eric - sprawdziliśmy jeszcze jedną ewentualność. Gdyby toksyna była w powietrzu uwięzionym w maszynowni, to ilość wody, która wlała się tam, kiedy Juan przeciął skafander, zmniejszyłaby zawartość trucizny lub wirusa w atmosferze z cząstek na milion do cząstek na setki miliardów.

Murphy skrzyżował ręce na piersi.

- Poza tym minęło pięć godzin, odkąd prezes nie był chroniony. Z tego, co wiemy od Eddiego o waszym krótkim przesłuchaniu twojej pacjentki na tamtym statku, przyjaciółki odwiedziły ją zaledwie godzinę czy dwie przed śmiercią. Juan i ona są bezpieczni.

Julia już doszła do tego samego wniosku co do Juana, ale nie była przekonana, że ci dwaj mają rację co do Jannike. Diagnozę mogła postawić dopiero po otrzymaniu i dwukrotnym sprawdzeniu wyników wszystkich badań laboratoryjnych. Wiedziałyby wtedy, z czym ma do czynienia. To, że nie znalazła wirusa w krwi, płynie rdzeniowym, ślinie i moczu Janni, nie znaczyło, że nie ma go w jej nerkach, wątrobie lub tkance, której jeszcze nie zbadła. Utajony zarazek mógł zaatakować jej układ odpornościowy, a potem przenieść się na swoje następne potencjalne ofiary, załogę „Oregona”.

Pokręciła głową.

- Przykro mi, chłopcy, ale to nie wystarczy. Myślę, że macie rację co do Juana, ale Jannike zostanie w izolacie, dopóki nie będę stuprocentowo pewna, że nie jest zakażona.

- Ty jesteś lekarką, ale to strata czasu. Nie zaraziła się.

- To mój czas, Mark. - Julia odepchnęła się do tyłu na stołku laboratoryjnym na kółkach i dotoczyła po terakotowej podłodze do interkomu na ścianie. Wcisnęła przycisk. - Juan, słyszysz mnie?

W izolacie Cabrillo wyprostował się gwałtownie na krześle. Zamiast się martwić, że w jego organizmie może być zabójcza infekcja, po prostu zasnął. Wstał, pokazał Julii uniesiony kciuk i pomachał do Murphyeo i Stonea. Zebrał zapasowe baterie, dzięki którym jego skafander funkcjonował tak długo.

- Jesteś wolny - powiedziała Julia. - Możesz iść do śluzy powietrznej pod prysznic odkażający. Zostaw tam skafander. Pozbędę się go później.

Śluza została połączona z izolatką, Juan stanął pod silnym strumieniem preparatu dezynfekcyjnego i środków przeciwwirusowych i po piętnastu minutach przeskoczył do laboratorium.

- Trochę cuchniesz. - Julia zmarszczyła nos.

- Ciekawe, jak ty byś pachniała po tylu godzinach pocenia się w tym cholernym skafandrze.

Julia już zadbała o to, żeby z kabiny Cabrillo dostarczono jedną z jego sztucznych nóg. Wręczyła mu protezę, Juan usiadł i umocował ją do kikuta poniżej prawego kolana. Poruszył nią kilka razy na próbę, opuścił nogawkę spodni i wstał.

- W porządku. Najlepsze lekarstwo to prysznic i butelka dobrej szkockiej.

- Odwrócił się do Erica i Marka, którzy wciąż stali przy wejściu do laboratorium.

- Jak ci poszło, Murphy? - Z powodu uszkodzenia radia w skafandrze podczas potopu w maszynowni prezes nie miał z nikim kontaktu od powrotu na pokład.

- Uratowałem jakieś trzydzieści procent informacji zarchiwizowanych w komputerze statku, łącznie z całością danych o ostatnim rejsie. - Mark uniósł rękę, żeby powstrzymać następne pytanie Cabrillo. - Jeszcze niczego nie oglądałem. Eric i ja pomagaliśmy ustalić, czy ty i ten cukiereczek obok zostaliście zarażeni.

Juan skinął głową, choć nie uważał, że on i ich gość powinni być potraktowani priorytetowo.

- Przejrzenie tego materiału jest teraz zadaniem numer jeden dla was obu. Chcę wiedzieć o wszystkim, co się wydarzyło na pokładzie tamtego statku od początku rejsu. O każdym drobiazgu.

- Widziałam, jak rozmawiałeś z naszą pacjentką - wtrąciła się Julia. - Jak ona się trzyma?

- Jest zmęczona i przestraszona - odparł Juan. - Nie ma pojęcia, co się wszystkim stało, i nie chciałem jej naciskać. Jest w złym stanie psychicznym. Powiedziała mi coś, co może być ważne. Statek wycarterowano grupie nazywanej responsywistami.

- O co chodzi z tymi responsywistami? - zapytał Max Hanley. Władował się do laboratorium jak słoń do składu porcelany. Zanim ktokolwiek zdążył się odezwać, podszedł do Juana i uściśnął mu dłoń. - Na statku krążą plotki, że wyszedłeś z izolatki. Jak się miewasz?

Cabrillo nigdy nie mógł się nadziwić, jak szybko załoga przekazuje sobie wiadomości, nawet o - zerknął na zegarek - wpół do piątej rano.

- Cieszę się, że żyję - odrzekł ciepło.

- To był numer. W życiu nie widziałem czegoś takiego. Wskoczyłeś z tego komina jak korek z butelki taniego szampana - z podziwem powiedział Max.

- Udało mi się wdrapać prawie do wylotu - powiedział Juan. - Ale tam utknąłem. Nie mogłem się ruszyć, a woda przybierała coraz szybciej. Zamiast wypuścić powietrze ze skafandra, napompowałem go do oporu, żeby całkowicie zablokować rurę. Ciśnienie wytworzone w kominie przez potop w maszynowni zrobiło resztę.

- Wyglądało to na szaleńczy lot.

- Na jaką wysokość się wzbiłem?

- Co najmniej pięciu metrów i o cztery minąłeś reling. - Max przypomniał sobie pytanie, które zadał wcześniej. - Mówiłeś coś o responsywistach?

- Tak, panna Dahl wspomniała, że wycarterowano im tamten statek. Na podróż z Filipin do Aten.

- A ściślej, do Pireusu - poprawił Eric. - Ateny leżą w głębi lądu. Ich portem jest miasto Pireus.

Mark walnął go w ramię.

- Myślisz, że tego nie wiemy?

Julia nie mogła powstrzymać uśmiechu, pewna bardziej niż kiedykolwiek, że żaden z tych kiepskich podrywaczy nie zajdzie daleko z Janni.

- Znów rozmawiałem z moją byłą - powiedział Max. - Kylea nikt nie porwał. Skłamała, żeby mnie zdenerwować. On zawsze łatwo ulegał wpływom rówieśników. W szkole średniej wpadł w złe towarzystwo i dlatego zaczął brać narkotyki. Wiem od jego terapeuty, że nie jest uzależniony, tylko ma problem z poczuciem własnej wartości. W każdym razie poznał tę grupę na jakiejś demonstracji i po kilku dniach oświadczył, że jest responsywistą. Poszedł nawet do urologa w sprawie małego ciachnięcia i jest teraz w Grecji. Najwyraźniej mają jakiś ośrodek na Peloponezie.

- Poddał się wazektomii? - spytała Julia. - On ma dopiero dwadzieścia jeden czy dwadzieścia dwa lata. Niewielu lekarzy wykonałoby taki zabieg mężczyźnie dużo poniżej trzydziestki, chyba że założylby już rodzinę.

- Kyle skończył dwadzieścia trzy lata, a responsywiści mają lekarzy, którzy nie robią nic innego,

tylko wycinają nasieniowody i podwiązują jajowody.

- Nie słyszałem o responsywiście, dopóki Jannike nie wspomniała o nich - powiedział Juan.

- Ja też niewiele wiem - przyznał Max. - Tylko to, co usłyszałem od Lisy.

- Musicie czytać więcej hollywoodzkich plotek - stwierdziła Julia. - Mówi wam coś nazwisko

Donna Sky?

- To ta aktorka? - zapytał Mark.

- Najlepiej opłacana w historii. Jest responsywistką. Jak mnóstwo ludzi ze świata filmu. To najnowsza moda w Hollywood.

- To kościół czy sekta, czy jeszcze coś?

- Nikt dokładnie nie wie. Przynajmniej nikt z zewnątrz - odparła Julia. - Założył to w latach siedemdziesiątych pewien genetyk nazwiskiem Lydell Cooper. Przyczynił się walcie do opracowania tańszych leków przeciwko malarii i ospie. Niektórzy przypisują mu uratowanie życia setkom milionów ludzi.

- On widział to inaczej, przynajmniej po jakimś czasie, kiedy zaobserwował eksplozję demograficzną na całym świecie. Likwidując choroby, pomógł usunąć jeden z naturalnych regulatorów zaludnienia. Nie rodziło się więcej dzieci, ale z tych, które przychodziły na świat, mniej umierało. Zaczął argumentować, że bez chorób ludzkość jest skazana na zagładę, bo będzie nas za dużo.

- Napisał książkę na ten temat i rozpoczął globalną kampanię na rzecz planowania rodziny. Zebrał grupę podobnie myślących ludzi i stworzył ruch responsywiistów, „tych, którzy są odpowiedzialni”. Responsywizm zaczął wkrótce przyciągać znane osoby z różnych dziedzin życia, polityków, gwiazdy sportu, aktorów i aktorki. Cooper zmarł dziesięć lat temu, ale ruch rozkwita pod kierownictwem pewnego małżeństwa. Nie pamiętam w tej chwili ich nazwisk.

- Czym zajmuje się teraz ta grupa? - spytał Juan.

- Prowadzą ośrodki planowania rodziny na całym świecie, rozdają bezpłatnie prezerwatywy, dokonują aborcji i operacji narządów rozrodczych. Od dawna toczą walkę z Kościołem katolickim, jak łatwo sobie wyobrazić, i ze wszystkimi prawicowymi partiami politycznymi.

Juan rozejrzał się po laboratorium.

- Następne pytanie brzmi: co takiego zrobili responsywiści, że ktoś postanowił zatopić statek wycieczkowy nimi wypełniony?

Nikt nie miał na to odpowiedzi.

Helikoptery paparazzich krążyły nad śnieżnobiałym namiotem, który stał na wypielegnowanym trawniku posiadłości w Beverly Hills i był co najmniej dwukrotnie większy od pobliskiego basenu pływackiego o wymiarach olimpijskich. Kiedy pojawił się śmigłowiec Bell JetRanger szeryfa hrabstwa Los Angeles, dwa wynajęte helikoptery odleciały zgodnie z instrukcją, zanim policja zdążyła zobaczyć oznaczenia na ich belkach ogonowych, żeby ukarać później właścicieli za naruszenie strefy zakazu lotów. Piloci nie zamierzali ryzykować aresztowania bez względu na to, jakie łapówki proponowali im fotografowie i jakie awantury im robili.

Rozpieszczeni goście w namiocie byli przyzwyczajeni do takiego wtykania nosa w ich życie prywatne i nie zwracali na to zbyt uwagi. Gdy hałas śmigłowców ucichł, gwar rozmów powrócił do normalnego poziomu. Zespół muzyczny na drewnianej estradzie znów zaczął grać, gwiazdki filmowe w skąpych bikini, obowiązkowa oprawa każdego hollywoodzkiego przyjęcia, ponownie zebrały się wokół basenu.

Górująca nad rozległym terenem rezydencja, która udawała śródziemnomorską willę, miała powierzchnię mieszkalną ponad trzech tysięcy siedmiuset metrów kwadratowych. Oddzielny bungalow dla gości był dwa razy większy niż przeciętny amerykański dom. W podziemnym garażu mieściło się dwadzieścia samochodów. Kupiono i zrównano z ziemią dwie posiadłości warte wiele milionów dolarów, by nowi właściciele mieli to, co chcieli. Ekipy techniczne pracowały prawie na okrągło przez trzy lata, by ukończyć otoczony murem kompleks. W mieście, gdzie krzykliwe demonstrowanie bogactwa jest na porządku dziennym, budowa od początku wywoływała komentarze.

Rezydencja należała do Thomasa i Heidi Severanceów. Nie byli aktorami ani potentatami w branży filmowej, choć Thom Severance kierował pewnym studiem przez kilka lat. Odziedziczyli posiadłość po zmarłym doktorze Lydellu Cooperze, twórcy responsywizmu, i stali teraz na czele rozrastającego się ruchu. Pieniądze na budowę domu, pełniące również funkcję kalifornijskiej centrali organizacji, pochodziły od ofiarodawców z całego świata, chociaż większość funduszy zebrano wśród hollywoodzkiej elity, która coraz liczniej zasilala szeregi responsywistów.

Thom Severance jako jeden z pierwszych dostrzegł błyskotliwość autora niezwyklej książki *Rozmnażamy się na własną zgubę*, doktora Coopera, i odszukał go, by pomóc mu krzewić jego idee. I, co oczywiste, znalazł pokrewną duszę w córce Coopera, Heidi. Poślubił ją po dwóch miesiącach zalotów i ich niespożyta energia sprawiła, że responsywizm stał się globalnym ruchem. Po śmierci Coopera przejęli kierowanie organizacją, tak jak sobie życzył, i kontynuowali jego dzieło. Ich charyzma przyciągała zwłaszcza ludzi z przemysłu rozrywkowego i kiedy oscarowa aktorka Donna Sky przyznała się publicznie, że od lat jest praktykującą responsywistką, nastąpiła eksplozja popularności ruchu.

Pięćdziesięcioletni Thom Severance miał metr osiemdziesiąt wzrostu. Operacja plastyczna nadała jego twarzy władczy wygląd. Jasne włosy jeszcze nie zaczęły mu rzednąć, oczy nie straciły zniewalającego wyrazu. W zbyt obszernej kremowej lnianej marynarce, która powinna maskować

muskularną budowę ciała, wydawał się jeszcze bardziej umięśniony. Kiedy się śmiał, a robił to często, białe zęby kontrastowały z trwałą opalenizną.

Heidi stała obok niego. Była tylko kilka lat młodsza od męża, ale wyglądała na kobietę przed czterdziestką. Z figurą lekkoatletki, blond włosami i niebieskimi oczami stanowiła kwintesencję kalifornijskiej dziewczyny. Miała długą, smukłą szyję i lubiła to uwydatniać głębokimi dekolcami i brylantowymi koliaми.

Thom i Heidi, każde oddzielnie, byli bardzo atrakcyjni. Razem tworzyli tak uderzająco piękną parę, że zawsze skupiali na sobie uwagę. Zwłaszcza tutaj, na przyjęciu responsywistów z okazji otwarcia nowej kwatery głównej.

- Gratuluję, Thom - powiedział znany reżyser, który podszedł do nich i poufale pocałował Heidi w opalony policzek. - Tobie też, Heidi. Możecie być z siebie bardzo dumni. Doktor Cooper na pewno by był. - Wymówił to nazwisko z szacunkiem. - Przyszłe pokolenia będą postrzegały ten ośrodek jako miejsce, gdzie niebezpieczeństwo przeludnienia zostało w końcu zażegnane.

- To centrum stanie się światłem nadziei dla świata - odrzekła Heidi. - Ojciec mówił nam, że początek walki będzie najtrudniejszy. Ale kiedy spopularyzujemy nasze idee i ludzie zrozumieją, co jest stawką, uznają nasz styl życia za przejaw odpowiedzialności.

- Przeczytałem w „Pokoleniach”, że maleje wskaźnik urodzeń w wioskach wokół naszej nowej kliniki w Sierra Leone - ciągnął reżyser. „Pokolenia” to był tytuł magazynu responsywistów ukazującego się dwa razy w roku.

Severance przytaknął.

- Z dala od rejonów, gdzie chrześcijańscy i islamscy misjonarze karmią ludzi swoimi kłamstwami, idzie nam lepiej, niż się spodziewaliśmy. Przekonujemy wieśniaków, że zapobieganie niepożądaney ciąży podnosi standard ich życia bardziej niż zapomogi i frazesy płynące z kościołów.

- W artykule nie ma nic o tym, czy wyjaśniamy, jaki wpływ na nasze życie wywiera przenikanie międzymembranowe i jak możemy temu przeciwdziałać.

Tym razem Thom pokręcił głową.

- Uważamy, że jeszcze nie poradziliby sobie z faktem istnienia obcej inteligencji w wymiarze wszechświata równoległym do naszego. Na naszą przewodnią filozofię przyjdzie czas trochę później. Na razie zadowolamy się obniżaniem regionalnego wskaźnika urodzeń.

Reżyser przyjął to do wiadomości, uniósł kieliszek koktajlowy w kierunku małżeństwa i odszedł w tłum, żeby inni czekający wokół Severanceów mogli im pogratulować.

- Porządny człowiek - szepnęła Heidi do męża.

- Jego ostatni film przyniósł ponad dwieście milionów dolarów dochodu brutto, ale jego datki spadły w ciągu ostatniego roku o pięć procent.

- Porozmawiam z Tamarą - obiecała Heidi, mając na myśli nową młodą żonę reżysera, jedną ze swoich protegowanych.

Thom nie zareagował, bo akurat sięgał do kieszeni marynarki po wibrującą komórkę. Otworzył ją, zgłosił się i słuchał przez chwilę, nie zmieniając wyrazu twarzy. W końcu podziękował, zamknął telefon i spojrzał na Heidi. Uśmiechała się, jej oczy błyszczały bardziej niż jedenastokaratowy brylant na jej szyi.

- Dzwonił Kovac - powiedział cicho, żeby nie usłyszał go nikt inny. - Jakiś frachtowiec zameldował właśnie o wraku na Oceanie Indyjskim.

- O mój Boże!

- Zidentyfikowano go po tratwie ratunkowej jako „Golden Dawna”. Heidi Severance oblała się rumieńcem i uniosła rękę do gardła.

- Nikt się nie uratował. Uśmiechnęła się szerzej.

- To cudownie, po prostu cudownie.

Thom wyglądał tak, jakby zdjęto mu wielki ciężar z barków.

- Za kilka tygodni, kochanie, wszystko to, na co pracowaliśmy my i twój ojciec, da wyniki. Świat się odrodzi i tym razem niczego nie spartaczymy.

- Odrodzi się według naszego wyobrażenia - dodała Heidi i wzięła go za rękę. Nie przejęła się losem siedmiuset osiemdziesięciu trzech mężczyzn, kobiet i dzieci, w tym wielu członków jej organizacji, którzy zginęli na statku wycieczkowym. To był tylko maleńki ułamek zgonów, które miały nastąpić.

Niecałe dwanaście godzin po złożeniu meldunku o zatonięciu „Golden Dawna”, bez przyznania się do przeszukania statku, Cabrillo i jego załoga nie ułożyli jeszcze planu działania, ale mieli wyznaczony kierunek. Wszyscy wiedzieli, że muszą zgłębić tę tajemnicę.

Korporacja była nastawiona na zysk, ale drogę wskazywał im moralny kompas Juana Cabrillo. Pewnych zleceń nie przyjmowali, bez względu na to, ile pieniędzy im proponowano. Nadarzały się też okazje, by zrobić właściwą rzecz bezinteresownie. Podobnie jak nieraz w przeszłości, kiedy mieli szansę na wypłatę, Juan dał swoim ludziom możliwość opuszczenia „Oregona” na czas tej operacji. Nie wahał się ryzykować w słusznej sprawie, ale nigdy nie zażądałby tego od załogi.

Tak jak kilka razy przedtem, nikt się nie wyłamał. Poszliby za nim w ogień. Cabrillo szczyił się tym, że „Oregon” jest cudem techniki, ale to uczucie bladło w porównaniu z dumą, że ma taką załogę.

Mogli być najemnikami, ale byli również najwspanialszymi ludźmi, z jakimi kiedykolwiek pracował. I choć przez lata zgromadzili fortunę, z własnej woli raz po raz narażali życie z tej samej przyczyny co wówczas, gdy służyli rządowi. Robili to, bo świat z każdym dniem stawał się coraz bardziej niebezpieczny i ktoś musiał stawiać temu czoło.

Statek pruł pełną parą na północ po przebyciu cieśniny Bab al-Mandab, Bramy Łez, oddzielającej Jemen od afrykańskiego państwa Dżibuti. Byli na Morzu Czerwonym i Cabrillo już poprosił Atlas Marine Services, egipską spółkę zarządzającą Kanałem Sueskim, by w zamian za przysługi, które kiedyś jej wyświadczył, włączyła „Oregon” do porannego konwoju zdążającego w kierunku północnym.

Pokonanie stu sześćdziesięciu dwóch kilometrów z Suez do Port Saidu miało zająć jedenaście godzin, ale potem pozostałby im już tylko dzień podróży do celu.

Liczba statków przepływających Kanałem Sueskim sprawiała, że na szlakach żeglugowych na Morzu Czerwonym panował tłok. Żeby nie wzbudzać podejrzeń, Juan wystawił wachtę na mostku, choć „Oregonem” kierowano z centrum operacyjnego pod pokładem.

Cabrillo nadzorował teraz w sterówce przygotowania do przyjęcia rano sueskiego pilota. Na zachodzie nad Afryką szalała burza piaskowa. Słońce, które przebijało się przez chmury koloru wyprażonej sjeny, zalewało mostek nieziemskim blaskiem. Temperatura dochodziła do dwudziestu siedmiu stopni Celsjusza i nie zapowiadało się duże ochłodzenie po zmroku.

- Co za widok - powiedziała doktor Huxley, wyłoniwszy się z ukrytego przejścia w kabinie nawigacyjnej z tyłu sterówki. Kiedy patrzyła na odległą burzę piaskową, czerwony odcień nieba sprawiał, że miała cerę takiej barwy jak Indianka z Wielkich Równin. Łagodne światło maskowało wyraz zmęczenia na jej twarzy.

- Jak tam nasza pacjentka? - zapytał Juan, gdy rozpościerał na starym zniszczonym stole mapę z pozaginanymi rogami.

- Wszystko powinno być w porządku - odrzekła Julia. - Jeśli rano nie będzie miała żadnych objawów, wypuszczę ją z izolatki. A ty?

- Gorący prysznic i trochę snu postawiły mniema nogi. - Juan przymocował pogniecioną mapę zaciskami stolarskimi, bo te w stole nawigacyjnym celowo urwano, żeby „Oregon” wyglądał możliwie jak najgorzej. Gdy chodziło o kamuflaż jego statku, Cabrillo nie lekceważył żadnego szczegółu. - Dowiedziałaś się czegoś więcej ojej przeżyciach?

- Linda właśnie kleci raport z wszystkiego, co na razie mamy, nie tylko z moich notatek, ale również z tego, co udało się poskładać do kupy Markowi i Ericowi. Kiedy z nią rozmawiałam, powiedziała, że powinna skończyć za pół godziny.

Juan zerknął na zegarek, ale w rzeczywistości wcale nie spojrzął na tarczę.

- Nie spodziewałem się niczego definitywnego wcześniej niż za kilka godzin.

- Murphy i Stone są bardziej zmotywowani niż zwykle.

- Niech zgadnę: chcą zaimponować pannie Dahl swoimi detektywistycznymi umiejętnościami?

Julia przytaknęła.

- Usiłują. Zaczęłam ich nazywać U-Silni Chłopcy. Juan dopiero po chwili zrozumiał i zachichotał.

- To się odnosi nie tylko do tego.

Kiedy Julia się uśmiechała, marszczyła nos jak mała dziewczynka.

- Wiedziałam, że ci się spodoba.

Stary interkom na przegrodzie zaskrzeczał jak papuga cierpiąca na astmę.

- Prezesie, tu Linda.

- Mów. - Juan wduśił przycisk mikrofonu nasadą dłoni.

- Jestem w sali konferencyjnej. Eric i Murphy też już są. Czekamy tylko na ciebie, Maksa i Julię.

- Huxley jest ze mną - odpowiedział Cabrillo. - Kiedy ostatni raz widziałem Maksa, był u siebie i znów klócił się z byłą żoną.

- Poślę po niego Erica. Ja jestem gotowa.

- Będziemy za minutę. - Juan odwrócił się do Julii. - Idź. Zaraz przyjdę.

Wetknęła małe ręce do kieszeni fartucha laboratoryjnego i weszła do windy, żeby zjechać do centrum operacyjnego, skąd prowadziła najkrótsza droga do sali konferencyjnej.

Juan wyszedł na skrzydło mostka, wiatr szarpnął jego cienką bawełnianą koszulą. Wziął głęboki oddech i poczuł w gardle smak pustyni, która fascynowała go podobnie jak morze. Przypominała ocean, bo była równie niegościnna i obojętna, a jednak ludzie od niepamiętnych czasów przemierzali jedno i drugie dla zysku i zdobycia wiedzy.

Cabrillo wyobrażał sobie, że gdyby urodził się w innym czasie i miejscu, mógłby prowadzić wielbłądzie karawany przez bezdroża Sahary lub Ar-Rub al-Chali, Wielkiego Pustego Kwartału, w Arabii Saudyjskiej. Pociągało go nieznane, to co jest za następną falą lub wydmą.

Nie miał pojęcia, dokąd zaprowadzi ich zgłębianie tajemnicy zgonów na „Golden Dawnie”. Ale nie mógł pozwolić na to, by zamordowanie kilkuset osób uszło sprawcom bezkarnie. Jego załoga niestrudzenie gromadziła materiały i wiedział, że za kilka minut plan działania będzie gotowy i po opracowaniu strategii przeprowadzą operację z wojskową precyzją. To potrafili najlepiej. Stojąc przy relingu i zaciskając ręce na gorącej stali, Juan mógł sobie pozwolić na to, by jeszcze przez chwilę nie kontrolować emocji. Kiedy zacznie się odprawa, będzie panował nad uczuciami. Wykorzystywał je jako siłę napędową, ale na razie nie hamował kipiącego w nim gniewu, wściekłości z powodu bezsensownej śmierci tylu niewinnych ludzi.

Ich tragedia zżerała go od wewnątrz niczym rak i jedynym lekiem było unicestwienie zabójców.

Nie miał jeszcze wyobrażenia o tym, kim oni są, ich obraz ginał w ogniu jego furii, ale śledztwo Korporacji sprawi, że gdy zbliżą się do ściganych, te płomienie odślą potwory.

Strzeliły mu kostki palców wskazujących i rozluźnił chwyt na relingu. Metal pozostawił ślady na jego dłoniach. Potrząsnął rękami, by przywrócić w nich krążenie krwi, i znów wziął głęboki oddech.

- Czas na przedstawienie.

W sali konferencyjnej unosił się aromat pikantnego jedzenia. Tak blisko Afryki Maurice podał etiopskie potrawy. Była injera - praśny chleb na zakwasie - tuziny zimnych i gorących sosów, kurczaki, wołowina i duszona baranina, soczewica, groch włoski i przyprawione na ostro dania z jogurtów. Należy urwać kawałek płaskiego chleba, nałożyć nań gulasz, zwinąć to jak cygaro i pochłonąć kilkoma szybkimi kęsami. Można się ubrudzić i Juan podejrzewał, że Maurice zaserwował to wszystko, żeby poobserwować z rozbawieniem, jak Linda Ross, notoryczny żarłok, napycha sobie usta.

Maurice, weteran z Królewskiej Marynarki Wojennej, podtrzymywał starą angielską tradycję, która nakazywała, by na pokładzie był grog. Tym razem zastąpił go butelkami bursztynowego etiopskiego miodu pitnego, nazywanego tej. Słodki trunek łagodził smak najostriejszych przypraw.

Sztab Cabrillo - Max Hanley, Linda Ross, Eddie Seng i doktor Huxley, jak również Stone i Murphy - siedział wokół stołu. Juan wiedział, że na dole w zbrojowni Franklin Lincoln ma własne spotkanie z oddziałem operacyjnym. Juanowi niezbyt dopisywał apetyt, ale pociągnął z uznaniem łyk miodu. Zaczekał, aż jego ludzie poczęstują się jedzeniem, po czym pochylił się do przodu na znak, że otwiera zebranie.

- Jak wiecie, mamy dwa różne, ale być może powiązane ze sobą problemy. Po pierwsze, trzeba uwolnić syna Maksa z obozu responsywistów w Grecji. Korzystając ze zdjęć satelitarnych i informacji zebranych przez Marka i Erica, Lincoln opracowuje ze swoimi komandosami taktyczny plan ataku. Kiedy skończą, omówimy to oddzielnie. Co będziemy musieli zrobić z naszej strony po odbiciu Kylea?

- Trzeba będzie go „przeprogramować”? - zapytała Huxley, zastanawiając się, czy będzie potrzebował specjalistycznej pomocy psychiatrycznej, żeby wyzwolić się ze zniewolenia umysłowego po praniu mózgu u responsywistów.

- Wszystko wskazuje na to, że tak - odrzekł Mark.

- Więc to sekta? - W głosie Maksa brzmiało przygnębienie, że jego syn wpadł w takie towarzystwo.

- Na to wygląda - odparł Eric. - Mają charyzmatycznych przywódców. Członków nakłania się do zerwania stosunków z przyjaciółmi i krewnymi, którzy nie należą do ruchu. Oczekuje się od nich postępowania według pewnych reguł zawartych w naukach założyciela organizacji. Jeśli ktoś zamierza odejść, inni starają się go zatrzymać.

- Jak? - zapytał Juan. - Siłą? Eric przytaknął.

- Są meldunki, że nielojalnych członków porywa się z ich domów i przewozi do ośrodków ugrupowania na... hm, reedukację.

- Wiemy o kompleksie w Grecji. - Juan rozejrzał się wokół stołu. - I o tym, że przenieśli swoją kalifornijską kwaterę główną ze starej siedziby do posiadłości, której zdjęcia pokazywał mi dziś Mark. Co jeszcze?

- Mają ponad pięćdziesiąt klinik w najbiedniejszych krajach Trzeciego Świata: Sierra Leone, Togo, Bangladeszu, Kambodży, Indonezji, na Haiti i Filipinach, w Albanii i kilka w Chinach, gdzie

cieszą się dużym poparciem rządu, jak łatwo sobie wyobrazić.

- Ciekawa sprawa - wtrącił się Mark Murphy z pełnymi ustami. - Chińczycy nienawidzą sekt. Cały czas tępią praktykujących Falun Gong, bo widzą w nich zagrożenie dla partii komunistycznej, ale pozwalają działać u siebie responsywiście z powodu tej całej hecy z regulacją urodzeń.

Murphy miał pod złachaną koszulą dzinsową T-shirt ze strzałą skierowaną do góry i napisem „Trzymam z grupkami”.

- Pekin wie, że mogą być zagrożeniem, ale jest gotów zaryzykować, bo obecność zachodnich responsywiście poniekąd uzasadnia drakońskie zarządzenie, że małżeństwo może mieć tylko jedno dziecko - wyjaśnił Eddie. Znał Chiny tak dobrze, że nikt nie wątpił w trafność jego oceny.

- Wróćmy do Kylea - powiedział Juan. - Jesteśmy w kontakcie z jakimś terapeutą?

Linda Ross skinęła głową.

- Z prawnego punktu widzenia dokonamy porwania Kylea, będziemy więc musieli wydostać się z nim z Grecji jak najszybciej, żeby uniknąć problemów z lokalną policją. Spotkamy się z terapeutą w Rzymie. Mały przyleci gulfstreamem z Riwiery do Aten i zabierze go do Włoch. Zarezerwowaliśmy pokoje w hotelu blisko Koloseum. Psychiatra nazywa się Adam Jenner. Specjalizuje się w udzielaniu pomocy byłym responsywiście, ułatwia im powrót do normalnego życia. Z tego, co wiemy, jest najlepszy na świecie.

- Należał do ruchu? - spytał Juan. Wiedział, że tacy terapeuci często są byłymi członkami grup, z którymi walczą, i postępują podobnie jak alkoholicy na odwyku pomagający innym w wychodzeniu z nałogu.

- Nie, ale postawił sobie za cel zniszczenie tej organizacji. W ciągu ostatnich dziesięciu lat pomógł ponad dwustu osobom uwolnić się spod wpływu responsywiście.

- A co robił wcześniej?

- Praktykował jako prywatny terapeuta w Los Angeles. Nie, żeby to miało znaczenie, ale inkasuje pięćdziesiąt tysięcy dolarów plus koszty. Gwarantuje jednak, że kiedy skończy, Kyle będzie wyleczony.

- Lepiej, żeby tak było - burknął Max.

- Żeby robić pranie mózgow, ta grupa musi być dość duża - zauważył Eddie. - Ilu ich jest?

- Na swojej oficjalnej stronie internetowej twierdzą, że ponad sto tysięcy na całym świecie - odrzekła Linda. - Jenner na swojej stronie pisze, że ta liczba jest przesadzona o połowę. Tak czy owak, to sporo. I garną się do nich hollywoodzkie sławy, co sprawia, że członków przybywa, bo ludzie idą w ślady gwiazd.

- Na wypadek gdybym spotkał Jennera, jaką bajeczkę mu sprzedaliśmy? - spytał Juan.

- Wszystko jest tutaj w moim raporcie. - Linda uniosła segregator. - Max jest przedsiębiorcą budowlanym z Los Angeles, który chce odzyskać syna. My jesteśmy prywatną firmą ochroniarską, którą wynajął do koordynacji jego powrotu. Asystentka Jennera była dość przejęta moją historyjką, więc odniosłam wrażenie, że już się zetknęli z czymś takim.

- Okej, więc porywamy Kylea i wieziemy na lotnisko, skąd Mały Gunderson odlatuje z nim do Rzymu, gdzie przekazujemy go Jennerowi. - Juan nagle coś sobie przypomniał. - Na pewno zabrali mu paszport i trzeba zrobić nowy.

- Prezesie, proszę - powiedziała Linda urażonym tonem. - Była żona Maksa przysłała e-mailem zdjęcie Kylea. Spreparujemy je tak, że będzie wyglądało jak paszportowe, i wydrukujemy nowy dokument na czystym blankiecie z naszych zapasów.

Juan pokazał Lindzie, żeby starła tłuszcz z podbródka.

- To tyle, jeśli chodzi o pierwszy problem. Przechodzimy do drugiego. Co się wydarzyło na „Golden Dawnie” i dlaczego? Co na razie wiemy?

Linda przebiegła palcami po klawiaturze laptopa, żeby wyświetlić informacje.

- „Golden Dawn” i jego bliźniacze statki, „Golden Sky” i „Golden Sun”, są własnością duńskiego towarzystwa żeglugowego Golden Cruise Lines. Firma jest w branży od połowy lat osiemdziesiątych. Organizuje typowe rejsy na Karaiby, po Morzu Śródziemnym i południowym Pacyfiku, jak wszyscy, i wycarterowuje statki. Cztery miesiące temu dostała zlecenie na przewiezienie czterystu dwudziestu siedmiu responsywistów z Filipin do Grecji. „Golden Dawn” był jedynym dostępnym statkiem.

- Mnóstwo ludzi do obsadzenia kliniki zajmującej się edukacją w zakresie regulacji urodzeń - zauważył Juan.

Linda przytaknęła.

- Też tak pomyślałam. Badam to. Na stronie internetowej responsywistów nie ma nic o rejsie ani o tym, co taka duża grupa robiła na Filipinach.

- Okej, mów dalej.

- Opuścili Manilę siedemnastego i jak wynika z danych, które udało się ściągnąć Murphyemu, nie wydarzył się żaden incydent. Podróż przebiegała gładko.

- Do momentu, aż wszyscy zginęli - wtrącił zjadliwie Max. Eric spojrział przez stół na człowieka numer dwa w Korporacji.

- Nie wszyscy - zaprzeczył. - Prześledziłem drugi raz materiał na dyskach komputerowych z przelotu UAV-a. Brakowało jednej szalupy „Golden Dawna”. Zerknął na Cabrillo. - Przepraszam, nie zauważyłem tego w nocy.

Juan pominął to milczeniem.

- Zapis w komputerowym dzienniku okrętowym potwierdza, że łódź ratunkową zwodowano około ośmiu godzin wcześniej, niż się zjawiliśmy - dodał Mark.

- Więc zabójca lub zabójcy byli na statku przez cały rejs?

- Na to wygląda. Stone i ja włamaliśmy się do komputera Golden Cruise Lines i zdobyliśmy listę pasażerów i załogi, ale bez ciał do zweryfikowania, kto był na pokładzie, kiedy statek poszedł na dno, nie możemy zawęzić naszego kręgu podejrzanych. - Mark ubiegł następne pytanie Juana. - Już sprawdziliśmy. Nie było zmian w składzie załogi w ostatniej chwili, na pokład weszli tylko ci pasażerowie, którzy mieli wejść.

- Więc kto ich zabił, do cholery? - zapytał Max.

- Gdybym miał zgadywać, powiedziałbym, że responsywiści sami odebrali sobie życie, ale nie są sektą samobójców, jak członkowie Świątyni Ludu Jima Jonesa czy japońskiej Aum Shinrikyo. Niektórzy twierdzą, że Lydell Cooper odebrał sobie życie w ostatecznym akcie responsywizmu, ale ten ruch nie popiera samobójstw. Uważają, że skoro już się urodziłeś, to twoim moralnym obowiązkiem jest propagowanie ich idei, a nie odbieranie sobie życia. Druga możliwość jest taka, że ktoś przeniknął do grupy.

- Mamy jakichś podejrzanych?

- Z powodu swojego stanowiska w kwestii regulacji urodzeń i aborcji responsywiści od lat są w stanie wojny z Watykanem i konserwatywnymi organizacjami chrześcijańskimi - zabrała głos Linda.

Cabrillo pokręcił głową.

- Jestem w stanie wyobrazić sobie psychologa z karabinem strzelającego do lekarza, który przerywa

ciężę, ale do zabicia kilkuset osób na statku potrzeba zorganizowanego zespołu z zapleczem finansowym. Nie kupuję tego, że garstka księży i zakonnic przemknęła do sekty, żeby zamordować jej członków.

- Stawiam na fanatyków - powiedział Mark. - Jakaś kontrsektę, być może złożoną z byłych responsywistów. Wiecie, oprócz robienia tej całej hecy z bezdzietnością, ta grupa zajmuje się dość dziwnymi rzeczami.

Juan to zignorował.

- Zastanówmy się, dlaczego mogli zabić swoich. Są jakieś pomysły?

- Nie, poważnie - ciągnął Mark. - Jak już się zaangażujesz, odwalisz trochę charytatywnej roboty w jakimś kiblu Trzeciego Świata, zdradzają ci większe tajemnice responsywizmu i tłumaczą, jak ta wiedza cię zbawi.

- Kontynuuj - zachęcił Juan, żeby zrobić mu przyjemność. Murphy mógł być postrzelony, ale był niesamowicie bystry.

- Słyszeliście kiedyś o teorii brany? - zapytał Mark. Rozmawiał już o tym z Erikiem, więc tylko Stone nie miał tępej miny. - Zajmuje miejsce zaraz obok teorii strun jako sposób unifikacji wszystkich czterech sił we wszechświecie, co nie udało się Einsteinowi. Krótko mówiąc, głosi, że nasz czterowymiarowy wszechświat jest pojedynczą membraną i że istnieją inne w przestrzeni wyższego rzędu. Są tak blisko naszej, że zerowymiarowa materia i energia mogą przepływać między nimi, a siły grawitacji w naszym wszechświecie mogą się wydostawać na zewnątrz. To całkowite nowatorstwo.

- Wierzę ci na słowo - odrzekł Cabrillo.

- W każdym razie teoria brany zaczęła zyskiwać uznanie fizyków w połowie lat dziewięćdziesiątych i Lydell Cooper też się jej uchwycił. Ale poszedł krok dalej. Dla niego to nie było tylko przemieszczanie się kwantów do naszego wszechświata i na zewnątrz. Uważał, że jakaś inteligencja z innej brany oddziałuje na ludzi w naszym wymiarze. Twierdził, że ta inteligencja kształtuje nasze codzienne życie w taki sposób, że tego nie odczuwamy. Że to jest przyczyną wszystkich naszych cierpień. Tuż przed śmiercią zaczął nauczać technik ograniczania tego wpływu na nas, sposobów ochrony przed obcą ingerencją.

- I ludzie kupowali te bzdury? - zapytał Max, coraz bardziej przybity sytuacją syna.

- O tak. Spójrz na to z ich strony. To nie wina wyznawcy tej teorii, że jest nieszczęśliwy, przygnębiony czy zwyczajnie głupi. Ktoś lub coś manipuluje jego życiem poprzez membrany w kosmosie. To przez obcy wpływ nie dostajesz awansu lub nie spotykasz się z dziewczyną twoich marzeń. To kosmiczna siła sprawia, że nic ci się nie udaje, a nie twoja nieporadność. Jeśli w to wierzysz, to nie musisz brać odpowiedzialności za własne życie. I wszyscy wiemy, że nikt już nie bierze odpowiedzialności za siebie. Responsywizm daje ci gotowe usprawiedliwienie twoich kiepskich wyborów w życiu.

- Skoro ludzie pozywają do sądu sieci fast foodów, bo mają nadwagę, to perspektywa jest kusząca - stwierdził Juan. - Ale co to ma wspólnego z wymordowaniem całego statku responsywistów?

Mark trochę się zmieszał.

- Nie przemyślałem tego wszystkiego od początku do końca, ale a nuż to jest prawda, wiesz... - jego głos przybrał gorączkowy ton - i jakiś obcy z innej brany walczy z drugim, uwięzionym w naszej, a my jesteśmy w samym środku? Jak pionki czy coś takiego?

Cabrillo zamknął oczy i jęknął. Zakręcony facet znów brał w Marku górę nad bystrzakiem.

- Wezmę to pod uwagę, ale na razie zostaniemy przy ziemskich przeciwnikach. Mark szepnął do Erica:

- To wszystko brzmiało lepiej, jak gadaliśmy o tym w nocy, no nie?

- Bo nie spaliśmy od dwudziestu godzin i wypiliśmy około trzydziestu redbullów na głowę.

Eddie Seng włożył kawałek chleba do ust.

- Czy ta konkretna grupa mogła być wybrana dlatego, że próbowali opuścić sektę, i przywódcy ukarali ich dla przykładu? Eric wspomniał wcześniej, że zdarzają się porwania. Może posuwają się do zabójstw?

Max Hanley posłał mu przerażone spojrzenie, na jego twarzy widniał wyraz niepokoju o bezpieczeństwo Kylea.

- To możliwe - przyznała Linda, zanim spostrzegła wyraźnie widoczne cierpienie Hanleya. - Przepraszam, Max, ale musimy to rozważyć. Poza tym twój syn jest tam nowy. Wcale nie zamierza ich opuścić.

- Na pewno chcesz tego słuchać? - zapytał Juan przyjaciela.

- Jasne, do cholery - warknął Max. - Tylko że... sam nie wiem... to jest bolesne i jednocześnie zenujące. Chodzi o mojego syna i nie mogę się uwolnić od myśli, że go zawiodłem. Gdybym był lepszym ojcem, nie wpakowałby się w takie tarapaty.

Przez moment nikt nie wiedział, co powiedzieć. Wyjątkowo milczenie przerwał Eric Stone, zawsze tak pochłonięty sprawami technicznymi, że trudno było dostrzec jego ludzkie cechy.

- Max, wychowywałem się w domu pełnym przemocy. Mój stary pił i bił moją matkę i mnie każdego wieczoru, kiedy wystarczyło mu pieniędzy na butelkę wódki. To była chyba najgorsza sytuacja, jaką można sobie wyobrazić, a jednak wyszedłem na ludzi. Twoje dzieciństwo ma tylko częściowy wpływ na to, kim będziesz. To, że bardziej uczestniczyłbyś w życiu syna, mogłoby coś zmienić albo nie. Nie wiadomo, a skoro tego nie wiesz, to nie ma co spekulować. Kyle jest taki, jaki jest, bo tak wybrał. Przy córce też cię nie było, a jest dobrą księgową.

- Prawniczką - poprawił Max w zamyśleniu. - I sama doszła do wszystkiego.

- Jeśli uważasz, że jej sukces to nie twoja zasługa, to nie możesz czuć się odpowiedzialny za porażki Kylea.

Max nie odzywał się przez chwilę, w końcu zapytał:

- Ile masz lat?

- Dwadzieścia siedem - z zakłopotaniem odparł Stone.

- Synu, jesteś mądry ponad swój wiek. Dziękuję ci. Eric uśmiechnął się szeroko.

Juan wymówił bezgłośnie pod jego adresem „dobra robota” i wrócił do sprawy.

- Jest jakiś sposób na sprawdzenie teorii Eddiego? - spytał.

- Możemy się włamać do sieci komputerowej responsywiistów - zaproponował Mark. - Może coś znajdziemy, choć wątpię, żeby publikowali oddzielne listy dobrych i złych członków.

- Mimo to spróbujcie - polecił Juan. - Zestawcie nazwiska pasażerów ze wszystkim, co tam mają. Coś wyróżniało tych konkretnych ludzi. Jeśli nie zamierzali opuścić sekty, to musiał być inny wspólny element. - Odwrócił się do Lindy. - Chcę wiedzieć, dlaczego tylu z nich było na Filipinach w tym samym czasie. Odpowiedź na to pytanie może być naszą jedyną pewną wskazówką.

Juan wstał na znak, że zebranie jest skończone.

- Dopłyniemy do Kanału Sueskiego jutro o piątej rano. Przypomnijcie swoim podwładnym, że

będziemy mieli pilota na pokładzie aż do Port Saidu, więc obowiązuje pełny kamuflaż. Max, dopilnuj, żeby zbiorniki paliwa do silnika, który wypuszcza dym z naszego komina, były pełne, i żeby jeszcze raz sprawdzono, czy na pokładach nie ma niczego, co mogłoby nas zdradzić. Na Morzu Śródziemnym będziemy mieli dwadzieścia cztery godziny na zgranie naszych planów z Lincolnem i następnymi dwanaście na ustawienie wszystkiego. Potem odbijemy Kylea Hanleya. Za czterdzieści osiem godzin od teraz on będzie w Rzymie z terapeutą, a my w drodze na Riwierę, żeby zająć się tamtą inwigilacją.

Cabrillo nie mógł wiedzieć, jak bardzo sprawy się skomplikują.

Juan wetknął słuchawkę swojego radia trochę głębiej do ucha i postukał w mikrofon krtaniowy, żeby dać innym znać, że jest na pozycji. Pod nim rozciągał się kompleks należący do responsywistów - rozproszone budynki, które otaczał pobielony mur z betonowych bloków. Za ogrodzonym terenem leżała kamienista plaża z trzydziestometrowym drewnianym moło wrzynającym się w Zatokę Koryncką. Był przyływ, wiatr przynosił zapach wody.

Niskie budynki wyglądały tak, jakby przywarły do ziemi, i przypominały Juanowi dzieła amerykańskiego architekta Franka Lloyd Wrighta. Płaskie dachy kryte wypukłą dachówką oglądane przez gogle noktowizyjne trzeciej generacji były czarne, ale Cabrillo wiedział z wcześniejszego rozpoznania, że są barwy ceglanej. Trawniki w kompleksie zbrązowiały z braku deszczu, liście na kilku sękatych drzewach oliwnych wyschły na wiór. Było wpół do czwartej rano i paliły się tylko lampy na strategicznie rozmieszczonych słupach.

Juan skupił uwagę na murze. Trzymetrowa ściana z dwóch warstw grubych betonowych bloków miała długość ćwierć kilometra. Zgodnie ze zwyczajem panującym w tej części świata szczyt muru zwieńczono sterczącymi pionowo kawałkami szkła, żeby odstraszały intruzów. Poprzedniego dnia Juan i Linda odwiedzili jedyną agencję ochrony w pobliskim Koryncie, udając amerykańskie małżeństwo, które właśnie kupiło dom nad morzem i chce zainstalować system alarmowy. Właściciel firmy pochwalił się, że wykonał kawał roboty dla responsywistów, i jakby na dowód tego wskazał duże błyszczące zdjęcie Donny Sky z jej autografem.

Drut rozciągnięty wzdłuż szczytu muru był jedną z pierwszych rzeczy, które zauważył Juan, gdy zajął swoją pozycję. Następnie on i jego ludzie naliczyli trzynaście kamer na zewnątrz budynków. Mogli się tylko domyślać, że w środku jest więcej.

Kamienny podjazd przedzieliała pojedyncza przesuwna brama, druga - mniejsza - z tyłu kompleksu wychodziła na moło. Dwa parkany z siatki rozciągające się od muru do morza odgradzały teren responsywistów od reszty plaży.

Choć środki bezpieczeństwa nie rzucały się zbytnio w oczy, kompleks sprawiał wrażenie silnie strzeżonego. Ale nie z zewnątrz, pomyślał Juan. Wyglądał tak, jakby miał uniemożliwić komuś nie tyle wejście do środka, ile wyjście stamtąd.

Juan jeszcze raz spenetrował wzrokiem teren między budynkami. Przed głównym parkowały trzy dżipy. Obraz w termowizji pokazywał, że ich silniki są zimne. Terenu nie patrolowali strażnicy, nie było psów, kamery pod okapami i na słupach się nie poruszały. Jakiś ochroniarz prawdopodobnie siedział w jednym z budynków i patrzył na monitory. Dlatego Cabrillo kazał swoim zwiadowcom prowadzić obserwację od chwili, gdy zostali przerzuceni helikopterem z „Oregoną” do Aten.

Lincolnowi i Eddiemu, usadowionym po drugiej stronie nadmorskiej drogi w gaju oliwnym z widokiem na kompleks, wystarczyły dwie godziny, by zaznaczyć na planie sektory niewidoczne dla kamer i przesłać tę informację na statek. Oceniali, że w ośrodku jest teraz około czterdziestu pięciu responsywistów, choć liczba budynków sugerowała, że mogłoby tam wygodnie kwaterować dwa

razy więcej osób.

Po uprzednim opracowaniu strategii i doprowadzeniu do perfekcji ostatecznej taktyki załoga spędziła dzień na organizowaniu akcji. Wypożyczyli samochody, ustalili drogi ucieczki i znaleźli w pobliżu miejsce odpowiednie dla Georgea Adamsa do wylądowania robinsonem, żeby mógł zabrać Kylea do ateńskiego Międzynarodowego Portu Lotniczego imienia Eleftheriosa Wenizelosa. Chuck Gunderson przygotował już gulfstreama Korporacji do szybkiego lotu do Rzymu. Wszystkie dokumenty zostały wypełnione i limuzyna czekała na nich u celu podróży.

Na wypadek gdyby coś poszło nie po ich myśli, mieli rozwiązania alternatywne. Wszystko zaplanowali do tego stopnia szczegółowo, że Eric Stone, który przestudiował na pokładzie „Oregona” pory pływów, określił precyzyjnie, w jakim momencie czteroosobowa drużyna powinna przeprowadzić potajemny atak.

Choć Cabrillo brał udział w akcji, kierował nią Eddie Seng, szef operacji lądowych. To on miał obowiązek sprawdzić, czy wszyscy są gotowi.

Juan usłyszał przez radio jego szept:

- Minuta od mojego sygnału. Teraz.

Juan nacisnął przycisk nadajnika na znak, że przyjął wiadomość, i sprawdził, czy dwa kompaktowe glocki 19 wysuwają się łatwo z kabur na jego biodrach. Wolał nowy pistolet Five-seveN kaliber 5,7 milimetra produkcji Fabrique Nationale, bo jego małe pociski przebijały niemal każdą kamizelkę kuloodporną, ale tym razem nie chodziło o zabijanie. Personel zbrojowni „Oregona” zmniejszył o połowę ładunki prochowe w dziewięciomilimetrowych nabojach glocków i zastąpił ołowiane pociski plastikowymi. Z bliskiej odległości mogły być zabójcze, ale z dalszej niż cztery i pół metra tylko eliminowały przeciwnika z walki.

Mijały sekundy; jakby na zamówienie, chmury przesłoniły ćwiartkę księżyca i noc przybrała atramentową barwę. Juan usłyszał słaby warkot helikoptera Robinson R-44, gdy Gomez Adams zajmował pozycję.

- Gotowy? - zapytał Marka Murphyego przycupniętego obok niego w rowie przy drodze.

- Dwie akcje w ciągu trzech dni - wysapał Mark. Twarz miał pomalowaną farbą maskującą, długie włosy upchnął pod czarną chustę. - Chyba się na mnie uwzięłeś.

- Możesz się uważać za naszego stałego hakera wojownika.

Cabrillo zerknął na swój rękaw. W tkaninie był umieszczony elastyczny mikromonitor komputerowy o bardzo wysokiej rozdzielczości. Krystalicznie czysty obraz pokazywał kompleks responsywidów z pułapu trzystu metrów. Linda Ross siedziała w furgonetce na końcu drogi i sterowała UAV-em. Juan widział na zbliżeniu teren ośrodka i - co ważniejsze - mógł zobaczyć każdego, kto tam chodzi. Eksperymentalny ekran emitował za dużo blasku, Cabrillo zmniejszył więc jasność do nikłej poświaty. Baterie i minikomputer były wszyte w tył jego kamizelki bojowej.

- Ruszamy - powiedział przez radio Eddie.

Juan klepnął Murphyego w ramię i razem przecięli biegiem drogę; ich buty na miękkich podeszwach nie wydały żadnego odgłosu na asfalcie.

Gdy dotarli do betonowego muru, Cabrillo odwrócił się plecami do ściany i złączył dłonie. Mark postawił nogę na jego rękach i Juan dźwignął go na swoje barki.

Murphy omal nie popełnił błędu i nie chwycił się szczytu muru, żeby się przytrzymać, ale w ostatniej chwili udało mu się uniknąć pokaleczenia dłoni o szkło. Znieruchomiał na moment, żeby Juan złapał równowagę. Gdyby Mark nie wiedział o jednowłóknowym przewodzie elektrycznym na

górze, mógłby go nie zauważyć. Cieniutki drut biegł wzdłuż muru niecałe półtora centymetra od krawędzi i opierał się na tuzinach małych izolatorów. Murphy ocenił, że wystarczyłby nacisk pięciu kilogramów, żeby przewód pękł i włączył się alarm. Wyjął woltomierz z sakwy na biodrze i sprawdził napięcie prądu w obwodzie. Wybrał parę odpowiednich zacisków krokodylkowych, przyczepił je do drutu i zostawił metr kabla wiszący nad murem. Po zrobieniu obejścia przeciął przewód, krzywiąc się odruchowo w obawie, że coś będzie nie tak. Nie rozległy się krzyki, nie zaczęły wyc syreny, nie rozbłysły światła w budynkach.

Z innej sakwy wyjął zrolowaną płachtę z włókna węglowego, rozwinął ją i położył na szczycie muru. Kiedy się tam podciągnął, mimo jego ciężaru ostre szkło nie zdołało przebić nowoczesnego materiału. Zeskoczył na ziemię i odsunął się w lewo. Po chwili usłyszał, jak Juan pokonuje mur. Cabrillo wylądował lekko obok niego.

- Po powrocie na statek przechodzisz na dietę - zagroził Juan, ale nie wydawał się zmęczony trzymaniem Murphyego na barkach. Włączył mikrofon krtaniowy i zameldował: - Jesteśmy w środku.

Na przeciwległym krańcu kompleksu, gdzie był inny sektor niewidoczny dla kamer, Eddie i Franklin Lincoln też wchodzili na zamknięty teren. Choć Lincoln najlepiej w Korporacji potrafił omijać zabezpieczenia, to Eddie przeciął drut z tej prostej przyczyny, że mimo ciągłego doskonalenia się w sztukach walki nie miałby siły udźwignąć stutrynastokilogramowego Lincolna.

- My też. Gotowi.

Trzymając się nisko, Cabrillo poprowadził Murphyego w głąb kompleksu. Kluczył pozornie na chybił trafił, ale w rzeczywistości posuwał się ściśle wytyczoną trasą poza zasięgiem kamer. Na jednym końcu dachu głównego budynku sterczało w górę kilka anten satelitarnych i maszt radiowy. To był ich cel i dotarli do niego po siedmiu minutach skradania się.

Juan zdjął gogle, osłonił rękami oczy i przywarł twarzą do szyby w oknie. Na tle tylnej ściany zobaczył słabą poświatę monitora komputera w trybie czuwania. Podczas rozpoznania przedoperacyjnego ustalono, że jest to biuro szefa ośrodka.

Juan zauważył czujnik alarmu na ramie podnoszonego do góry okna. Wyjął z kamizelki bojowej detektor napięcia i kiedy wycelował go w alarm, zaświeciła czerwona dioda. Przesunął urządzenie wzdłuż okna, żeby sprawdzić, czy przewody biegną między dwiema szybami. Dioda nie rozbłysła. Pomyślał, że jeśli takie zabezpieczenia instaluje najlepsza firma ochroniarska w Koryncie, to mógłby zrobić w Grecji karierę jako włamywacz.

Umocował do szyby dwie małe przyssawki i wyciął ją tak wolno, by krajak wydawał jak najcichszy zgrzyt. Usłyszał wyraźny syk, gdy rozszczelnił hermetyczną przestrzeń między dwiema taflami szkła. Wręczył narzędzie Markowi i ostrożnie wyciągnął szybę z ramy przyssawkami. Powtórzył całą operację, by usunąć wewnętrzną szybę, i położył ją na podłodze w biurze, kiedy skończył.

Wspiął się na parapet i dał nura do budynku. Gdy Mark wgramolił się przez okno, Cabrillo opuścił zasłonę.

- Jesteśmy w biurze.

- Przyjąłem - odpowiedział Eddie. Juan wskazał komputer.

- Do roboty.

Murphy rozprostował palce, usiadł za biurkiem i przyciemnił ekran, zanim wszedł do systemu. Wyjął z saszetki przy pasku sfatygowane urządzenie elektroniczne, pokryte kalkomanią i oblepione zaschniętą gumą do żucia, i włączył je do portu USB w komputerze. Na monitorze pojawiła się trupia

czaszka. Gdy zniknęła, Mark zaczął pisać na klawiaturze jedną ręką, a drugą jeździł myszą jak dziecko zabawką samochodzikiem.

Juan zostawił go przy pracy i obejrzał pokój w świetle latarki ołówkowej. Trzymał się z dala od okna na wypadek, gdyby wokół zasłony była szpara. Dowiedzieli się ze strony internetowej responsywiistów, że dyrektorem ośrodka jest Kalifornijczyk, Gil Martell. Pogrzebali trochę w jego przeszłości i okazało się, że sprzedawał luksusowe auta w Beverly Hills, zanim przyłączył się do ruchu, i że jego nazwisko wypłynęło kilka razy podczas śledztwa w sprawie kradzieży samochodów. Choć został postawiony w stan oskarżenia, kilku kluczowych świadków zniknęło w Meksyku przed procesem i oskarżenie wycofano.

Gabinet był umeblowany tak jak Cabrillo się spodziewał - biurko, oszklona szafka, dwa fotele, kanapa pod ścianą i stolik do kawy. Oceniał, że wszystkie meble są drogie. Stary orientalny kilim, na którym stał stolik, osiągnąłby sporą cenę na aukcji. Oprawione fotografie zdobiły ściany. Sanktuarium Martella poświęcone jemu samemu. Juan nie znał części osób uśmiechających się do obiektywu z Martellem, ale były wśród nich również popularne postaci. Zauważył kilka zdjęć z Donną Sky. Nawet na tych nieupozowanych fotkach gwiazda filmowa olśniewała urodą. Ciemnowłosa piękność o migdałowych oczach i najmocniej zarysowanych kościach policzkowych w branży uosabiała hollywoodzką królewskość.

Cabrillo zastanawiał się, czego jej brakowało w życiu, że dała się omotać sekcie.

Jego uwagę przykuło inne zdjęcie, jedno ze starszych. Przedstawiało Martella na żaglówce w towarzystwie drugiego mężczyzny. Podpis brzmiał: „Nie trać wiary. Lydell Cooper”. Ktoś musiał zrobić tę fotografię krótko przed zaginięciem Coopera na morzu. Juan czytał raport straży przybrzeżnej. Kecz podobno po prostu się przewrócił podczas sztormu, który nadciągnął nie wiadomo skąd. Atak żywiołu zaskoczył też załogi pięciu innych łodzi i utonęły jeszcze trzy osoby.

Gdyby Juan chciał opisać jednym słowem tego naukowca, który stał się prorokiem, nazwałby go nijakim. Cooper niczym się nie wyróżniał. Był dobrze po sześćdziesiątce, jajogłowy, brzuchaty, mocno łysiejący i nosił okulary. Miał siwą brodę i wąsy, tak jakby tego oczekiwano od emerytowanego naukowca, więc zapuścił zarost z obowiązku. Juan nie widział w nim nic, co mogło inspirować tysiące uczestników jego krucjaty - ani charyzmy, ani uroku, żadnej z cech przyciągających zwolenników. Gdyby nie wiedział, jak wyglądał Cooper, pomyślałby, że Martell trzyma na ścianie zdjęcie swojego księgowego.

- Mam! - krzyknął Murphy, po czym rozejrzał się z poczuciem winy, że odezwał się tak głośno. - Przepraszam. Wszedłem do ich systemu. Pryszcz.

Juan przeciął gabinet.

- Możesz zobaczyć, w którym pokoju mieszka Kyle?

- Tu można znaleźć wszystko. Jest w budynku C, najnowszym i usytuowanym blisko miejsca, gdzie Eddie i Lincoln przeszli przez mur. Kyle Hanley zajmuje pokój numer 117, ale nie mieszka sam. Ma współlokatora nazwiskiem, eee... Jeff Ponsetto.

- Dobra robota - pochwalił Cabrillo, przekazał informację Eddiemu i Lincolnowi, po czym zwrócił się z powrotem do Murphyeego: - Ściągnij z ich komputera wszystko, co ci się uda.

Linda Ross zgłosiła się przez taktyczną sieć łączności.

- Prezesie, spójrz na swój wyświetlacz. Będziecie mieli towarzystwo. Juan zerknął na rękaw. Dwaj mężczyźni w roboczych kombinezonach szli przez teren ośrodka. Nieśli skrzynki narzędziowe i najwyraźniej kierowali się do głównego budynku, gdzie mieściło się biuro Martella. Cabrillo

pomyślał, że gdyby ktoś wzywał ekipę techniczną z powodu jakiejś awarii, on i Murphy usłyszeli by głosy. Cokolwiek się działo, nie podobało mu się to.

- Murphy, zostaw ten komputer. Idziemy!

W drodze do drzwi Juan przyczepił pluskwę pod lampą na biurku. Wiedział, że responsywiści szybko ją znajdą, kiedy odkryją, że było włamanie, ale podsłuch mógł ujawnić, co się wydarzy w gabinecie Gila Martella w pierwszych decydujących momentach. Juan przystanął przy oknie i jeszcze raz spojrzął na swój mikromonitor. Dwaj technicy zbliżali się do frontowych drzwi budynku, co dawało jemu i Markowi czas na ucieczkę.

Uniósł wolno zasłonę i wy dostał się na dwór. W ręku miał glocka, choć nie pamiętał, kiedy go wyciągnął.

Sucha trawa trzeszczała pod ich butami przy każdym kroku. Trzymali się nisko i skradali dokładnie wytyczoną trasą poza zasięgiem kamer do budynku C. Był parterowy, jak wszystkie w kompleksie, miał pobielone ściany i dach kryty wypukłą dachówką.

Lincoln i Eddie przywarli do ściany obok drzwi, niewidoczni dla kamery powyżej. Zdemontowana klawiatura zamka elektronicznego po prawej stronie wisiała na przewodach, bo Lincoln już zrobił obejście. Mimo wielkich dłoni był najlepszym włamywaczem w Korporacji i posługiwał się swoimi narzędziami z delikatnością neurochirurga. Z wytrychem i prętem skrętnym we właściwym miejscu szarpnął rygiel w lewo i drzwi się uchyliły.

- Czternaście sekund - szepnął Eddie.

- Maestro kontratakuje - odrzekł Lincoln z uśmiechem i wszedł do korytarza, który biegł przez całą długość budynku.

Wzdłuż przejścia ciągnęły się rzędy identycznych drzwi, pod sufitem wisiały osłonięte jarzeniówki, szara wykładzina na podłodze była niewiele miększa od betonowej płyty, na której stał budynek. Ruszyli w głąb budynku we czterech. Zajrzeli do dużej kuchni po lewej stronie i do pomieszczenia z tuzinem pralek po prawej. Juan nie zauważył żadnych suszarek do ubrań i domyślił się, że mieszkańcy wieszają pranie na sznurach na dworze. Responsywiści starali się ograniczyć wpływ człowieka na stan środowiska naturalnego, więc brak suszarek pasował do ich programu, podobnie jak obecność baterii słonecznych na dachu jednego z budynków.

Szybko znaleźli pokój numer 117. Lincoln sięgnął w górę, zdjął osłonę najbliższej lampy i wyjął z niej jarzeniówki. Włożyli gogle noktowizyjne i Juan obrócił gałkę w drzwiach. Za progiem zobaczył typową sypialnię internatową z dwoma metalowymi łózkami, dwoma biurkami i dwiema komodami. Z pokojem sąsiadowała mała, wyłożona glazurą i terakotą łazienka z odpływem w podłodze pod prysznicem. W upiornie zielonym polu widzenia tworzonym przez gogle kształty się rozmywały, a barwy miały odcienie czerni, ale sylwetki ludzi śpiących w łózkach były charakterystyczne. Chrapanie też.

Eddie wyciągnął małe plastikowe pudełko z kieszeni na udzie spodni munduru polowego. Zawierało cztery strzykawki z koktajlem narkotykowym, który obezwładniał dorosłego człowieka w niecałych dwadzieścia sekund. Ponieważ Kyle dobrowolnie przyłączył się do sekty, spodziewali się, że będzie stawiał opór. Terapeuta Adam Jenner doradził Lindzie, żeby zrobili chłopakowi zastrzyk, choć Juan i tak to zaplanował.

Eddie podał mu strzykawkę i podszedł do jednego z łóżek. Mężczyzna spał na brzuchu z twarzą odwróconą do ściany. Seng płynnym ruchem zasłonił mu dłonią usta, wkłuł igłę w kark i wcisnął kciukiem tłok strzykawki. Po drugiej stronie pokoju Juan zrobił to samo. Ofiara natychmiast się

obudziła i spróbowała odepchnąć jego ramię z wyrazem paniki w wytrzeszczonych oczach. Cabrillo łatwo go przytrzymał, mimo że mężczyzna zaczął wierzgać nogami.

Juan odliczał w myśli od dwudziestu do zera. Kiedy doszedł do dziesięciu, ruchy mężczyzny spowolniały, a przy trzech tamten całkiem znieruchomiał. Juan oświetlił mu twarz latarką ołówkową. Choć Kyle Hanley był podobny do matki, Juan dostrzegł w nim dość rysów Maksa, by wiedzieć, że to on.

- Mam go.

Na wszelki wypadek Lincoln skrępował chłopakowi nadgarstki i kostki plastikowymi kajdankami, po czym zarzucił go sobie na ramię.

- Wszystko gra, duży? - zapytał Juan. Lincoln wyszczerzył zęby w ciemności.

- Niosłem twój żaloszny tyłek trzynaście kilometrów w Kambodży trzy lata temu, więc ten chłopak to przyszcz. Nie może ważyć więcej niż pięćdziesiąt pięć kilo.

Cabrillo zerknął na wyświetlacz na swoim rękawie. Wyglądało na to, że wszędzie panuje spokój, ale poprosił Lindę przez radio o potwierdzenie.

- Technicy są jeszcze w głównym budynku. Zapaliło się światło na przeciwległym do waszego końcu kompleksu, ale zgasło po minucie i ośmiu sekundach.

- Ktoś był w kiblu.

- Też tak myślę. Macie wolną drogę.

- Przyjąłem. - Juan odwrócił się do swojej drużyny. - Idziemy.

Gdy ruszyli korytarzem z powrotem, odezwał się głośny dzwonek. Brzmiał jak alarm pożarowy, ostry, przeszywający dźwięk świdrował im w uszach. Nie mogli się porozumiewać w hałasie, ale byli doświadczonymi zawodowcami i wiedzieli, co robić.

Eddie prowadził grupę, tuż za nim trzymali się Lincoln i Mark. Wszyscy trzej darowali sobie ostrożność i puścili się pędem przed siebie. Biegli w kierunku muru, gdzie Eddie i Lincoln umieścili wcześniej minę dywersyjną, żeby wysadzić w powietrze betonowe bloki. Linda Ross była wystarczająco blisko, by usłyszeć alarm, i miała poinstruować przez radio Georgea Adamsa, żeby przyleciał robinsonem na miejsce ewakuacji. Zaplanowali, że wyląduje na drodze i zabierze drużynę, zanim ochroniarze zorientują się, co się stało.

Drzwi obok Juana otworzyły się gwałtownie i zaspany mężczyzna w spodniach od pizamy wyszedł za próg. Cabrillo zdzielił go łokciem w szczękę i facet runął na podłogę. Na wprost drugi mężczyzna wyjrzał na korytarz. Mimo ciężaru Kylea Hanleya na ramieniu Lincoln skręcił i walnął ciekawskiego. Responsywista uderzył głową w metalową framugę drzwi, przewrócił oczami i upadł do tyłu jak ścięte drzewo, gdy Juan go mijał.

Eddie instynktownie przystanął, kiedy dotarli do wyjścia. Juan spojrzał na mikromonitor na rękawie, ale Linda musiała być zajęta rozmową z Adamsem, bo kamera krążącego samolociku pokazywała tylko morze na północ od nich. Juan słyszał przez radio dziewczęcy głos Lindy, ale w hałasie alarmu nie rozróżniał słów, tylko jej ostry ton.

Zignorował brak informacji i otworzył drzwi frontowe z glockiem w ręku. Z wyjątkiem dźwięku alarmów w całym kompleksie wszędzie panował taki sam spokój jak wcześniej. Nie biegali strażnicy, nic się nie ruszało. Nawet nie zapalono dodatkowych świateł.

Zostawiwszy za sobą dźwięk dzwonka w budynku, Juan przycisnął dłonie do uszu i spróbował zrozumieć, co mówi Linda.

- ...się stamtąd. Ochroniarze na drugim końcu terenu. Gomez w drodze. Szybko.

Cabrillo manipulował przy goglach noktowizyjnych, kiedy trzech mężczyźni w szarych mundurach wyłonili się zza rogu pobliskiego budynku. Juan przyglądał się im o ułamek sekundy za długo, żeby zobaczyć, czy są uzbrojeni. Jeden z nich otworzył ogień z kompaktowego pistoletu maszynowego i seria utkwiała w ścianie pawilonu mieszkalnego, wzbijając obłok gipsowego pyłu. Cabrillo padł i strzelił. Wycelował doskonale i trafił strażnika w sam środek tułowia, ale tamten, zamiast upaść, zatoczył się tylko kawałek do tyłu.

- Do środka! - krzyknął Juan do swojej drużyny, wpełzł z powrotem do korytarza i zatrzasnął drzwi nogą. Musiał wrzeszczeć, żeby być słyszany w hałasie alarmu. - Mają automaty i kamizelki kuloodporne. Nasze plastikowe pociski nic im nie zrobią.

- To jak nóż przeciwko spluwie - zawołał Eddie.

Serie znów podziurawiły fasadę budynku i niemal nim zatrzęsły. Lincoln zablokował krzesłem klamkę, żeby nikt nie otworzył drzwi z zewnątrz, potem sięgnął w górę, oderwał dzwonek od ściany i uciszył alarm.

- Raczej jak dmuchawka przeciwko armacie, przyjacielu.

Cabrillo potrzebował zaledwie sekundy na ułożenie planu.

- W sypialni Kylea jest okno. Tył tego budynku jest bliżej muru.

Znów poprowadził ich korytarzem, wycelowując pistolet w każdego, kto wyjrzał z pokoju. Na widok broni wszyscy cofali się do środka. Współlokator Kylea nadal chrapał po zastrzyku mimo zamieszania. Juan wtargnął do sypialni i strzelił parę razy w panoramiczne okno w przeciwległej ścianie. Plastikowe pociski wystarczająco osłabiły szybę, zanim przez nią wyskoczył. Szkło sypało się wokół niego, gdy przetaczał się po trawniku, i poczuł kilka skaleczeń na rękach i karku.

W blasku świateł z pokojów pawilonu mieszkalnego widział wyraźnie betonowy mur piętnaście metrów przed sobą. Ochroniarze wciąż ostrzeliwali wejście i jeszcze nie okrążyli budynku. Szkło zachręściło za nim, kiedy Murphy, Lincoln i Eddie wydostali się przez wybite okno.

Dzięki akcji Juana zyskali co najmniej kilka sekund.

Eddie podłożył wcześniej ładunki wybuchowe w połowie długości muru. Wybrał to miejsce bardziej z powodu kamer niż najlepszej taktycznie lokalizacji. Żeby tam dotrzeć, musieli pokonać sto metrów otwartej przestrzeni pod ogniem strażników.

- Linda, meldunek sytuacyjny - zażądał Cabrillo, żeby wiedzieć więcej, niż pokazywał mikromonitor na jego rękawie.

- To ty wyskoczyłeś przed chwilą przez okno?

- Tak. Jak wygląda sytuacja?

- Trzech ochroniarzy jest przy wejściu do pawilonu mieszkalnego, tuzin innych posuwa się tyralierą przez teren kompleksu. Wszyscy są uzbrojeni po zęby, dwóch jedzie na czterokołowcach. George jest w drodze. Powinniście słyszeć helikopter.

Juan słyszał warkot robinsona w powietrzu.

- Powiedz Maksowi, żeby też ruszał. Może będziemy musieli przejść do planu C.

- Juan, jestem - zgłosił się przez radio Max. - Już płyniemy. Macie Kylea?

- Tak. Na razie nic mu nie grozi, ale musimy się stąd wydostać.

- Bez obaw, kawaleria już nadciąga.

- To samo mówili nad Little Bighorn, kiedy pojawił się Custer, i wiesz, jak to się skończyło.

Odgłos nadlatującego helikoptera zagłuszył wszystko i chwilę wcześniej, niż maszyna znalazła się nad murem, Juan skinął głową Eddiemu. Rozumieli się bez słów. Gdy nie powiódł się plan A, przeszli gładko do planu B. Eddie trzymał w rękach nadajnik sygnału do zapalnika. Odczekał moment, żeby ochroniarz na quadzie zbliżył się do bomby, i wtedy ją zdetonował.

Część muru rozprysła się w chmurze białego pyłu i błysku ognia. Podmuchił poderwał strażnika z czterokołowca i mężczyzna poszybował na odległość pięciu metrów, zanim wylądował na ziemi. Jego pojazd przewrócił się na bok, grube koła wirowały beużytecznie. Kawałki betonu spadły na kompleks niczym grad, grzyb pyłu i płomień uniosły się pod niebo.

Drużyna wystartowała sprintem. Lincoln łatwo dotrzymywał innym kroku mimo ciężaru Kylea

Hanleya na ramieniu. Gdy dobiegli do końca budynku, Juan wyrztał zza rogu. Ochroniarz, który pierwszy otworzył ogień, leżał z zakrwawioną twarzą, trafiony odłamkiem muru w głowę. Opatrywał go drugi strażnik, trzeci próbował odblokować drzwi.

Celując starannie, Juan wystrzelił z glocka cztery ostatnie pociski. Plastikowa amunicja nie przebiłaby kamizelek kuloodpornych, a nie chciał zabijać ochroniarzy, więc trafił każdego dwa razy w krocze. Wiedział, że nie pozbawi ich męskości, ale będą mieli spuchnięte pachwiny przez kilka tygodni. Upadli z okrzykami bólu, ściskając bolące miejsca.

- Przepraszam, chłopaki - powiedział i zabrał im broń. Mieli miniuzi, doskonale do prowadzenia ognia z bliska, ale do niczego na większą odległość. Rzucił jedno Eddiemu, a drugie Lincolnowi, który lepiej strzelał, dźwigając człowieka na ramieniu, niż Murphy na strzelnicy z broni przyśrubowanej do stołu.

Czarny robinson przeleciał nagle z warkotem nad ich głowami tak nisko, że omal nie postrzącał płozami dachówek z budynków. George Adams obrócił maszynę nad kompleksem, żeby podmuch od rotora wzbudził tuman kurzu i zasłonił Juana i pozostałych, a jednocześnie trzymał na dystans ochroniarzy.

W ogłuszającym warkocie helikoptera i chaosie dookoła nikt się nie zorientował, skąd padły strzały. Pajęczyna białych pęknięć pojawiła się nagle na przedniej i bocznej szybach robinsona po stronie drugiego pilota. Pociski smugowe oderwały kawałki gorącego metalu od poszycia śmigłowca i podziurawiły kadłub. George się schylił i zrobił helikopterem unik jak bokser na ringu, ale ostrzał trwał dalej, aż z osłony silnika buchnął dym.

Juan gorączkowo zmienił częstotliwość w swoim radiu i krzyknął:

- Uciekaj stąd, George! Ale już! To rozkaz!

- Dobra, znikam, przykro mi - odpowiedział przeciągle Adams. Robinson skręcił jak wałka i odleciał za mur, ciągnąc za sobą smugę czarniejszą niż noc.

- Co dalej? - spytał prezesa Murphy.

Przed nimi otwierało się siedemdziesiąt pięć metrów odsłoniętej przestrzeni, a responsywiści już zdążyli się zorganizować. Drużyna Korporacji ukryła się w płytkim rowie odwadniającym, ale nie mogła pozostać tam długo. Ochroniarze podzielili się na grupy poszukiwawcze, snopy światła ich latarek przecinały ciemność.

- Linda, gdzie jesteś? - zapytał Cabrillo.

- Tuż za murem, niedaleko wyrwy, którą zrobiliście. Dacie radę dołączyć do mnie?

- Nie. Za dużo ochroniarzy, za mało osłony. To miejsce bardziej przypomina koszary niż obóz psycholi.

- Więc chyba czas na dywersję.

- Spisz się dobrze.

Juan usłyszał przez radio odgłos przyspieszającego samochodu, ale Linda nie odpowiedziała.

Pół minuty później główna brama kompleksu wyleciała z zawiasów i przebił się przez nią tył ich wypożyczonej furgonetki z przekrzywionym zderzakiem. Dwunastu lub więcej strażników chroniących obiekt odwróciło się jednocześnie. Niektórzy zaczęli biec w stronę wjazdu i nie zauważyli, jak z rowu podniosły się cienie i popędziły do wyrwy w murze.

Ochroniarze otworzyli ogień do furgonetki i czterdzieści dziur pojawiło się w karoserii, zanim Linda wrzuciła jedynekę. Spod kół wytrysnął żwir, nim opony złapały przyczepność, i Linda uciekła przed ostrzałem.

Kiedy biegli do muru, Juan zawołał do Lincolna i Eddiego:

- Przechodzimy do planu C, zobaczymy się za chwilę.

- Dokąd się wybierasz? - wysapał Mark.

Cabrillo pomyślał przelotnie, że naprawdę trzeba zmusić Murphyeego do ćwiczeń w siłowni na statku.

- Przestrzelili Lindzie jedną oponę. Przed głównym budynkiem stoją dziipy. Dogonią nas, zanim ujedziemy kilometr. Chcę opóźnić pościg, żebyście zdążyli dotrzeć do mostu.

- Ja to powinienem zrobić - zaprotestował Eddie.

- Nie. Odpowiadasz za syna Maksa. Powodzenia.

Juan oddalił się od dymiącej kupy gruzu, która jeszcze niedawno była częścią muru. Czterokołowiec wciąż leżał na boku z pracującym silnikiem. Juan obejrzał się i popatrzył, jak jego ludzie wydostają się na zewnątrz, po czym chwycił kierownicę. Zamiast się męczyć z podnoszeniem dwustusiedemdziesięciokilogramowego quada, odkręcił gaz i wykorzystał jego moc do postawienia go w pionie. Pojazd odbił się na grubych oponach, Cabrillo przerzucił nogę nad siedzeniem i dał pełne obroty, zanim dobrze się usadowił.

Silnik o pojemności 750 centymetrów sześciennych zaryczał, gdy Juan wystartował przez trawnik. Jedni ochroniarze pobiegli do odkrytych dziipów, drudzy nadal polowali na drużynę Korporacji w pobliżu muru.

Cabrillo miał przewagę dzięki goglom noktowizyjnym, ale coraz więcej świateł zapalało się w całym kompleksie. Blask lamp na słupach tworzył plamy oślepiającej jasności. Ochroniarze lada chwila mogli zauważyć, że czterokołowiec prowadzi ktoś obcy. Juan zatoczył krąg, jakby wypatrywał intruzów. W rzeczywistości szukał strażnika najbardziej oddalonego od światła.

Dostrzegł mężczyznę ukrytego za jednym z uschniętych drzew blisko narożnika muru. Podjechał tam i zdjął gogle, ale zatrzymał się w mroku, żeby jego twarz pozostała niewidoczna. Nie wiedział, w jakim języku mówi ochroniarz, więc przywołał go gestem i pokazał, żeby wsiadł z tyłu na quada.

Strażnik się nie zawahał. Podbiegł do Juana, wskoczył na siedzenie za nim i chwycił się jego ramienia, ściskając w drugiej ręce pistolet maszynowy.

- Masz dziś pecha, koleś - mruknął Cabrillo i otworzył przepustnicę.

- Są wszyscy - zameldowała Linda Ross. - Jesteśmy na głównej drodze. Juan zerknął na dziipy i zobaczył, że pierwszy właśnie rusza w pościg.

Oprócz kierowcy i ochroniarza na fotelu pasażera byli w nim jeszcze dwaj uzbrojeni mężczyźni z tyłu, trzymający się pałaka przeciwkapotażowego. Wiedział, że jego ludzie poradziliby sobie z nimi, ale praktycznie nie mieli broni i uciekali furgonetką z przebitą oponą, która mogła wyciągnąć najwyżej osiemdziesiąt kilometrów na godzinę. Rezultat łatwo było przewidzieć, zwłaszcza że do pierwszego dziipa dołączył drugi.

Nadszedł czas, by wyrównać szansę.

Ochroniarz za plecami Cabrillo poklepał go w ramię i pokazał, że powinni skrócić za pawilon mieszkalny. Juan udał, że tak chce zrobić, i przyspieszył na równym terenie. Czuł na sobie spojrzenia innych strażników, więc zaczekał do ostatniej chwili, żeby szarpnąć kierownicę mocno w prawo. Grube opony zryły ziemię i gdyby Juan nie skontrolował ciałem, pojazd przewróciłby się na bok. Kiedy opadł z powrotem na cztery koła, Cabrillo skierował go prosto na wyrwę w murze i dał pełny gaz. Wyszarpnął swojemu pasażerowi miniuzi i wetknął sobie za pas. Ochroniarz na moment zgłupiał, ale

szybko oprzytomniał. Opasał Juanowi szyję ramieniem i zaczął mu zgniatać z całej siły krtań i tchawicę potężnym bicipsem.

Juan nie mógł oddychać, dusił się. Wciągał do swoich pojemnych płuc małe hausty powietrza i pędził quadem do celu. Poszarpana dziura w murze miała średnicę dwóch metrów, pod nią piętrzyła się sterta gruzu. Jechali sześćdziesiąt pięć kilometrów na godzinę i byli niecałe piętnaście metrów od wyrwy, gdy mur posiekały pociski. Strażnicy zobaczyli uciekający pojazd i wzięli jego dwóch pasażerów za intruzów, którzy przeniknęli do kompleksu. Serie odłupywały kawałki betonu i wzbijały obłoki pyłu.

Juan czuł ciepło gwizdzących wokół pocisków. Jeden nawet go drasnął w sztuczną nogę, ale zignorował to i koncentrował się na dziurze. Jego płuca skurczyły się w konwulsji z braku tlenu, gdy ochroniarz wzmocnił ucisk, starając się wydusić życie ze swojej ofiary.

No dalej, skurczybyki! Strzelcie wreszcie celnie! - pomyślał Juan, kiedy pociemniało mu w oczach i pole widzenia zaczęło się gwałtownie zawężać, jakby patrzył w głąb coraz bardziej wydłużającego się tunelu.

- No już! - Cabrillo wiedział, że to może być jego ostatnia myśl na tym świecie.

Nagle poczuł gwałtowne pchnięcie, jakby zainkasował cios w plecy młotem kowalskim. Ochroniarz rozluźnił chwyt, wydał z siebie bulgot i osunął się na niego, krew pociekła mu z ust. Seria z broni responsywiistów podziurawiła ich człowieka. Spadł z czterokołowca, gdy Juan dojechał do sterty gruzu. Grube opony łatwo złapały przyczepność na luźnych kawałkach betonu. Pojazd wystrzelił w górę pochyłości i przez wyrwę, a Juan się schylił, żeby ochronić głowę. Poszybował na drugą stronę muru i odruchowo uniósł się z siedzenia tuż przed lądowaniem, by zamortyzować uderzenie.

Duży kawasaki odbił się na zawieszaniu i Cabrillo omal nie przeleciał przez kierownicę. Słuchawka wypadła mu z ucha i zawisała na piersi na przewodzie. Utrzymał się w pionie, wciągając z trudem powietrze przez zgniecioną tchawicę. Kiedy tylko quad odzyskał stabilność, Juan skręcił ostro w kierunku nadmorskiej drogi prowadzącej do oddalonego o dziewiętnaście kilometrów Koryntu.

Wjechał na nią w momencie, gdy pierwszy dżip wypadł przez zniszczoną bramę. Linda i reszta mieli może kilometr przewagi. Za mało. Juan odłączył selektorem na kierownicy napęd przednich kół kawasaki, co zwiększyło gwałtownie prędkość pojazdu. Przyspieszył drogą wzdłuż muru.

Był dwadzieścia metrów od bramy, kiedy z kompleksu wyskoczył drugi dżip i wyrzucił spod opon ziemię, zanim wy dostał się na asfalt. Jechało nim tylko trzech ludzi - kierowca, pasażer obok niego i ochroniarz stojący z tyłu z AK-47.

Juan wykorzystał swój rozpęd i dogonił dżipa, zanim responsywiści zorientowali się, że siedzi im na ogonie. Stał na siedzeniu czterokołowca, oczy piekły go od wiatru. Zwolnił tylko na tyle, by jechać zaledwie kilka kilometrów na godzinę szybciej od dżipa, i walnął quadem w jego tylny zderzak.

Uderzenie wyrzuciło go z kawasaki i staranował barkiem strzelca z kałasznikowem. Strażnik trzasnął twarzą w pałąk przeciwpkopotażowy, odbił się i nakrył nogami. Nawet jeśli przeżył, został wyeliminowany z walki. Juan przyjął taką pozycję, by móc unieść sztuczną nogę, i kopnął pasażera z przodu w skroń. Dżip nie miał drzwi, toteż ochroniarz wypadł z samochodu i przekoziółkował na jezdni.

Cabrillo przystawił kierowcy do głowy lufę miniuzi, zanim tamten uświadomił sobie w pełni, co się stało.

- Skacz, bo zginiesz. Wybieraj.

Kierowca podjął inną decyzję. Wbił stopę w pedał hamulca. Opony zadymiły, kiedy tylne koła dżipa omal nie oderwały się od nawierzchni. Cabrillo uderzył w przednią szybę, złożył ją na płask, przetoczył się po masce i spadł z przodu tak szybko, że nie zdążył się złapać osłony chłodnicy.

Gdy tylko zniknął z widoku, kierowca puścił hamulec i wcisnął gaz do podłogi, wiedząc, że człowiek, który ich zaatakował, leży bezradnie na drodze.

Dziób „Oregona” przecinał pociemniałe wody Morza Jońskiego bez żadnego wysiłku. Rewolucyjne silniki magnetohydrodynamiczne równie łatwo pchałyby statek przez ponadmetrowy pak lodowy. Okrążyli Peloponez, byli teraz na zachód od Koryntu i kierowali się na wschód, by zająć pozycję. Wokół nich panował mały ruch. Ekran radaru pokazywał tylko parę kutrów rybackich, które zapewne łowiły kałamarnice pożywiające się nocą blisko powierzchni.

Eric Stone pełnił chwilowo podwójną służbę. Siedział na stanowisku nawigatora i sterował frachtowcem, ale odwrócił w swoją stronę jeden z monitorów komputerowych Marka Murphyego, żeby móc obsługiwać UAV-a, który wciąż krążył nad kompleksem responsywiistów. Bliżej wybrzeża, gdzie prowadzenie statku wymagałoby jego pełnej koncentracji, miał przekazać pilotowanie samolociku Gomezowi Adamsowi wracającemu właśnie na statek uszkodzonym robinsonem.

- „Oregon”, tu Gomez. - Hali przełączył rozmowę z helikopterem na głośniki sufitowe. - Mam was w polu widzenia.

- Przyjąłem, Gomez. Zwalniamy - odezwał się Max z fotela kapitana. - Pięć węzłów proszę, panie Stone.

Eric nacisnął kilka klawiszy, by zmniejszyć przepływ wody przez kanały napędowe „Oregona”, móc odwrócić bieg pomp i wyhamować statek do żądanej prędkości. Musieli być w ruchu, żeby frachtowiec nie kołysał się na falach, co utrudniłoby Adamsowi lądowanie.

Max obrócił fotel przodem do szefa obsługi technicznej, który stał na swoim stanowisku z tyłu centrum operacyjnego.

- Strażacy gotowi?

- Tak jest - padła natychmiast odpowiedź. - I trzymam palce na włącznikach armatek wodnych.

- Bardzo dobrze. Hali, przekaż Georgeowi, że czekamy na niego. - Max połączył się przez interkom z hangarem, gdzie czuwała doktor Huxley. - Julia, George będzie za kilka minut.

Pocisk tylko drasnął pilota w łydkę, ale Max Hanley czuł się tak winny, jakby cała drużyna zginęła w akcji. Ostatecznie Juan i inni narażali się dla niego. Operacja, która powinna być prosta, nagle się skomplikowała. Jak dotąd, jedynie George został ranny, ale Juan nie dawał znaku życia i Hali nie mógł go wywołać. Linda wiozła furgonetką Lincolna, Eddiego i Kylea i meldowali, że ściga ich dżip z uzbrojonymi po zęby ludźmi.

Po raz setny od chwili, gdy prezes wpadł w tarapaty, Max przeklął ich decyzję, żeby używać tylko amunicji obezwładniającej. Nikt się nie spodziewał armii uzbrojonych ochroniarzy. Hanley jeszcze nie rozważył implikacji tak dużego nagromadzenia broni w obozie sekty, ale nie wróżyło to nic dobrego. Z tego, co usłyszał i przeczytał po telefonie od byłej żony, wynikało, że responsywiści nie są agresywni i wyrzekają się wszelkiego rodzaju przemocy.

Nie wiedział, jak to powiązać z ludobójstwem na pokładzie „Golden Dawna”. Czy responsywiści są w stanie wojny z jakąś inną grupą? A jeśli tak, to kim są ich przeciwnicy? Członkami nieznanej nikomu sekty, którzy zamordowali kilkaset osób tylko dlatego, że responsywiści

są zwolennikami regulacji urodzeń?

Max nie widział sensu w tym wszystkim. Nie rozumiał też, dlaczego jego jedyny syn przyłączył się do takiej grupy. Chciał wierzyć, że nie jest niczemu winien. Ktoś inny zdołałby przekonać samego siebie, że nie ma sobie nic do zarzucenia. Ale Max znał swoje obowiązki i nigdy się od nich nie uchylał.

Na razie odłożył na bok wyrzuty sumienia i skoncentrował uwagę na dużym ekranie, gdzie otworzyło się okno z widokiem z kamery skierowanej na lądowisko helikoptera nad lukiem ładowni najbliższej rufy „Oregona”. Oświetlony tylko blaskiem księżyca robinson wyglądał na poważnie uszkodzony, gdy George nadleciał nad reling rufowy statku. Gęsty dym wydobywał się z osłony silnika i kłębił w wirze, który wytwarzały łopaty rotora.

Adams po raz kolejny udowadniał, dlaczego nikt nigdy nie kwestionuje jego odwagi. Przeleciał niesprawnym helikopterem ponad trzydzieści kilometrów nad pustym morzem, zamiast wylądować bezpiecznie na polu jakiegoś rolnika. Oczywiście wzbudziłoby to zainteresowanie greckich władz. A wykonanie planu C ułożonego przez prezesa wymagało, żeby wszyscy znaleźli się na „Oregonie” i na wodach międzynarodowych możliwie jak najszybciej.

George zawisnął robinsonem nisko nad pokładem i opuszczał się wolno na statek. Moment wcześniej nim płozy dotknęły lądowiska, chmura dymu buchnęła z rury wydechowej maszyny. Silnik się zablokował i helikopter opadł na platformę tak twardo, że połamało się podwozie. Max widział, jak George spokojnie wyłącza po kolei systemy robinsona, po czym odpina się od fotela. Kiedy winda hangaru zaczęła się opuszczać, George spojrział prosto w obiektyw kamery i uśmiechnął się zawiadiacko.

Jeden bezpiecznie wrócił, pomyślał Max. Została jeszcze szóstka.

Z przebitą tylną oponą wypożyczona furgonetka posuwała się świńskim truchtem. Linda musiała zmagać się z nią na zakrętach w drodze do New National Road, głównej arterii komunikacyjnej Peloponezu. W lusterkach wstecznych na szczęście nikogo za nimi nie było widać, ale wiedziała, że długo to nie potrwa. Kiedy Lincoln przygotowywał liny, Eddie szukał w samochodzie czegoś, czym mogliby spowolnić ewentualny pościg. Linda używała laptopa do sterowania UAV-em, więc komputer odpadał, ale przed akcją wstawiła do furgonetki krzesło na kółkach i małe biurko, które Eddie mógł wyrzucić przez tylne drzwi. Zebrał też całą ich broń i amunicję. Miał trzy pistolety i sześć zapasowych magazynków z plastikowymi pociskami. Zapewne przedziurawiłyby przednią szybę, ale odbijałyby się od opon jak papierowe kulki.

Mijali małe wioski po obu stronach szosy, skupiska otynkowanych budynków, domostwa i greckie tawerny z ogródkami pod obrośniętymi winoroślą trelażami, czasem zagrody dla kóz. Choć cudzoziemcy stawiali sobie wakacyjne wille wzdłuż wybrzeża, krajobraz dwa czy trzy kilometry w głąb lądu wyglądał tak, jakby życie w tej części świata nie zmieniło się od setek lat.

Linda zobaczyła blask w lusterku. Tak późną nocą nie jeździły samochody, domyśliła się więc, że to światła jednego z dżipów, które widziała w kompleksie.

- Mamy towarzystwo - oznajmiła i nacisnęła trochę mocniej gaz, ale utrzymywała taką prędkość, by nie rozerwać opony bez powietrza.

- Pozwól im się zbliżyć - zawołał Eddie z tyłu furgonetki, głos dygotał mu od wibracji uszkodzonego koła. Jedną rękę zaciskał na klamce drzwi, drugą na chwycie pistoletu.

Dżip musiał pędzić co najmniej sto trzydzieści kilometrów na godzinę, bo dogonił ich w ciągu

sekund. Eddie obserwował go przez tylne okno i zorientował się, że kierowca zamierza wyprzedzić furgonetkę.

- Eddie! - krzyknęła Linda.

- Widzę.

Seng otworzył gwałtownie drzwi, kiedy dżip był w odległości dziesięciu metrów, i ostrzelał go tak szybko, jak mógł naciskać spust. Pierwsze pociski odbiły się od maski i osłony chłodnicy, ale kilka następnych trafiło w przednią szybę i przeszło przez nią na wylot. Kierowca musiał ostro skręcić i wpadł w boczny poślizg. Przez moment wydawało się, że przewróci terenówkę, ale w ostatniej chwili skontrował przechył i lewe koła opadły na asfalt.

Niemal natychmiast dżip znów podjął pościg.

- Lincoln, padnij! Linda, trzymaj się! - krzyknął Eddie, gdy ochroniarz na fotelu pasażera terenówki podniósł się z karabinem szturmowym.

Zaterkotała seria i pociski z metalicznym dźwiękiem posiekały karoserię furgonetki. Szyby w tylnych drzwiach się rozprysły i Eddiego zasypały okruchy szkła. Podziurawiona stal zaskwierczała z gorącą, jeden pocisk zrykoszetował w środku samochodu i utkwiał w oparciu siedzenia Lindy.

Eddie wystawił drugi pistolet przez okno i otworzył ogień na ślepo, Lincoln zasłonił własnym ciałem nieprzytomnego Kylea Hanleya.

- Nie wiem, jak to zrobiłeś - zawołała pochylona nad kierownicą Linda, kiedy spojrzała w boczne lusterko wsteczne - ale trafiłeś strzelca w pierś.

- Zabiłem go? - Eddie zmieniał magazynki.

- Trudno powiedzieć. Facet z tyłu wziął jego broń. Trzymajcie się! Linda zahamowała i skręciła na pas ruchu dżipa. Dwa pojazdy zderzyły się z łomotem, furgonetka zawisła na moment na zderzaku terenówki, spadła i odbiła się od jezdni. Bezwładny pasażer został wyrzucony z dżipa, mężczyźni z tyłu wpadli na pałąk przeciwkapotażowy.

Linda znów wcisnęła gaz i odskoczyła sto metrów do przodu, zanim ochroniarze się pozbierali.

- „Oregon”, jak daleko jesteśmy?

Eric Stone zgłosił się natychmiast.

- Widzę was z UAV-a. Macie jeszcze dziesięć kilometrów. Linda zakłęta.

- Co gorsza - ciągnął Eric - za pierwszym dżipem jadą dwa następne. Jeden jest jakieś pół kilometra z tyłu, drugi trochę dalej.

Terenówka znów ich dogoniła, ale pozostała w bezpiecznej odległości i uzbrojony ochroniarz zaczął strzelać w opony furgonetki. Linda robiła uniki w lewo i w prawo, ale wiedziała, że trafienie jest tylko kwestią czasu.

- Ktoś ma jakiś dobry pomysł tam z tyłu?

- Ja niestety nie - wyznał Eddie, ale po chwili się rozpromienił i włączył mikrofon swojego radia. - Eric, walnij UAV-em w dżipa.

- Co?

- Użyj samolociku jako kierowanego pocisku. Uderz w przestrzeń pasażerską. Powinien mieć jeszcze tyle paliwa na pokładzie, żeby eksplodować.

- Bez niego nie namierzemy prezesa - zaprotestował Stone.

- Miałeś od niego jakąś wiadomość w ciągu ostatnich pięciu minut? - Pytanie pozostało bez odpowiedzi. - Wykonać!

- Tak jest.

Cabrillo jeszcze nie wylądował na jezdni przed dżipem, gdy kierowca nacisnął gaz. Juan miał tylko ułamek sekundy na to, by się rozpląszyć na asfalcie i sięgnąć w górę, kiedy zderzak pojawił się nad nim. Chwycił się podwozia i przyspieszający dżip powlókł go po drodze. Podciągnął się wyżej, żeby nie szorować plecami po szorstkiej nawierzchni, ale zdierał sobie gumowe podeszwy butów.

Wisiał tak przez kilka sekund, żeby złapać oddech. Zgubił miniuzi, ale nadal miał glocka w kaburze na biodrze. Wzmocnił chwyt lewej ręki i prawą wetknął z powrotem słuchawkę do ucha w samą porę, by usłyszeć wymianę zdań między Eddiem i Erikiem.

- Nie zgadzam się - powiedział do mikrofonu krtaniowego, który łatwo wyeliminował ryk silnika centymetry od jego twarzy.

- Juan - krzyknął radośnie Max. - Co z tobą?

- Trzymam się - odparł Cabrillo i odchylił głowę do tyłu, żeby móc obserwować drogę. Mimo że wszystko widział do góry nogami, zobaczył tylne światła dwóch pojazdów i błyski strzałów z jednego z nich. - Dajcie mi pół minuty, to uwolnię furgonetkę od ogona.

- Chyba tylko tyle czasu nam zostało - ostrzegła Linda.

- Zaufaj mi.

Juan napiął mięśnie ramion, podciągnął się wyżej i położył na zderzaku, niewidoczny dla kierowcy. Złapał się mocno osłony chłodnicy i wyciągnął glocka lewą ręką. Odepchnął się prawą i wskoczył na maskę.

Kiedy znalazł się na górze, strzelił kierowcy dwa razy w pierś. Z tej odległości plastikowe pociski zabiłyby mężczyznę, gdyby nie miał kamizelki kuloodpornej. Został trafiony z siłą kopnięcia muła i stracił oddech.

Cabrillo chwycił kierownicę, gdy tamten ją puścił. Responsywista był trupio blady i poruszał bezgłośnie ustami, wciągając powietrze do płuc. Juan trzymał się środka drogi, patrząc w tył, gdzie są, zamiast w przód, dokąd jadą. Zadanie utrudniało mu to, że kierowca opierał nogę na gazie.

Cabrillo nie miał wyjścia i musiał mu strzelić w udo. Krew opryskała deskę rozdzielczą, mężczyznę i jego, ale rana odniosła pożądany skutek. Kierowca puścił gaz i dżip zaczął zwalniać. Kiedy prędkość spadła do trzydziestu kilometrów na godzinę, Juan wycelował pistolet między przerażone oczy responsywisty.

- Wyskakuj.

Kierowca wygramolił się niezdarnie z siedzenia, spadł na asfalt, ściskając krwawiącą nogę, potoczył się i zatrzymał z otartą skórą i połamanymi kośćmi.

Cabrillo położył opuszczaną przednią szybę, zajął jego miejsce i ruszył w pościg za pierwszym dżipem. W lusterku zobaczył blask reflektorów i domyślił się, że to następni ochroniarze z kompleksu responsywistów. Ich nieustępliwość uruchomiła dzwonki alarmowe w jego głowie, ale zastanawianie się nad tym musiał odłożyć na później, kiedy będzie po wszystkim.

Mężczyźni ostrzeliwujący furgonetkę niczego nie podejrzewali, gdy Juan ich dogonił w momencie, kiedy trzeci dżip zmniejszył odległość do niego. Minęli drogowskaz informujący po grecku i angielsku, że zbliżają się do wjazdu na New National Road i mostu nad Kanałem Korynckim, więc Cabrillo niepokoił się nie o wykonanie, ale o zgranie akcji w czasie. Musiało być perfekcyjne. Wjazd pojawił się na prawo od nich. Trzeci dżip był pięćdziesiąt metrów z tyłu i pociski wciąż rykoszetowały od boku furgonetki z przodu.

- Linda - powiedział Juan, obserwując dżipa przed sobą i za sobą- przyspiesz, na ile możesz. Nie przejmuj się oponami. Gaz do dechy.

Furgonetka zaczęła się oddalać od dżipa, ale jego kierowca znów ją dopędził. Cabrillo usiadł mu na ogonie i walnął go w tylny zderzak. Uderzenie nie było zbyt mocne, bo nie musiało być. Chodziło o to, żeby tył terenówki zarzucił.

Juan czuł się jak na wyścigu stockcarów, kiedy walnął dżipa drugi raz w chwili, gdy kierowca korygował tor jazdy po pierwszym uderzeniu. Tym razem Cabrillo musiał skręcić ostro w lewo, kiedy terenówka responsywistów wymknęła się spod kontroli, obróciła i przekoziółkowała, gubiąc części i pasażerów.

Dżip zatrzymał się do góry kołami w poprzek pojedynczego pasa ruchu i zablokował wjazd na drogę ekspresową. Linda mogła bezpiecznie jechać do mostu. Juan patrzył w lusterko wsteczne. Ochroniarze w trzecim dżipie zwolnili, ale najwyraźniej szybko się zorientowali, że ich ofiara uciekła, bo znów podjęli pościg za Cabrillo, który nadal kierował się do serca Koryntu.

Nikt w centrum operacyjnym nie mógł uwierzyć w to, co pokazywał obraz z samolociku, dopóki Eric nie zapytał Juana przez radio:

- To ty jesteś w drugim dżipie, prezesie?

- We własnej osobie.

- Ładna jazda.

- Dzięki. Jak wygląda sytuacja?

- Linda i jej grupa są bezpieczni. Żadne inne pojazdy nie wyjeżdżają z twierdzy responsywistów i wasze fajerwerki nie przyciągnęły na razie uwagi lokalnych władz. Jesteśmy jakieś dwie minuty od kanału. George właśnie przyszedł z hangaru i przejmie UAV-a.

- A co z moją trasą przez miasto?

- Czysta. Jak tylko Linda dojedzie do mostu, będziemy prowadzili obserwację z powietrza przede wszystkim dla ciebie.

- Okej. Do zobaczenia niedługo.

George Adams w kombinezonie lotniczym z obciętą nogawką spodni i wielkim opatrunkiem na łydce usadowił się przy komputerze i wyciągnął sztywno zranioną nogę.

- Jak tam? - zapytał Max bardziej szorstko niż zwykle, by ukryć poczucie winy.

- Będę miał jedną bliznę więcej, żeby imponować paniom. Huxley założyła mi tylko osiem szwów. Bardziej martwi mnie robinson. Wygląda jak ser szwajcarski. W samej osłonie kokpitu jest jedenaście dziur. Okej, Stone, jestem gotowy.

Eric przekazał Adamsowi stery UAV -a, żeby móc się skoncentrować na przeprowadzeniu dużego frachtowca przez Kanał Koryncki.

Kanał przecinający wąski przesmyk pierwsi chcieli wykopać Rzymianie, ale przerosło to ich możliwości. Byli doskonałymi budowniczymi, zamiast tego zrobili więc drogę nazywaną przez Greków diolkos. Na krańcu traktu zdejmowano ładunek ze statku, po czym jedno i drugie umieszczano na platformie kołowej, którą niewolnicy ciągnęli na przeciwległy kraniec szlaku, gdzie statek znów wodowano i załadowywano. Dopiero rozwój techniki pod koniec XIX wieku umożliwił budowę kanału, dzięki czemu ówczesne frachtowce nie musiały pokonywać o sto sześćdziesiąt mil morskich dłuższej trasy wokół Peloponezu.

Po niepowodzeniu Francuzów przedsięwzięcie kontynuowała grecka firma i ukończyła je w 1893 roku.

Kanał o długości niespełna sześciu i pół kilometra i szerokości zaledwie dwudziestu pięciu metrów na poziomie morza nie wyróżnia się niczym, poza jedną wyjątkową cechą. Wydrążono go w litej skale i jego brzegi wznoszą się na wysokość siedemdziesięciu pięciu metrów nad przepływającymi nim statkami. Wygląda to tak, jakby toporem wyrąbano w skale wąskie przejście. Ulubionym zajęciem turystów jest stanie na jednym z mostów przerzuconych nad kanałem i obserwowanie pełnomorskich statków daleko w dole.

Gdyby nie światła miasteczka Poseidonia na głównym ekranie „Oregona”, widok byłby taki, jakby statek pruł prosto na klif. Wąski kanał trudno było zauważyć. Tworzył tylko trochę jaśniejszą linię na ciemnej skale. Od czasu do czasu blask samochodowych reflektorów przesuwiał się po moście półtora kilometra w głębi lądu.

- Damy radę, panie Stone? - zapytał Max.

- Jest przyływ, będziemy więc mieli ponad metr zapasu po każdej stronie. Nie obiecuję, że nie zdrapię farby z któregoś skrzydła mostka, ale się zmieścimy.

- Okej. Nie będę tego oglądał w telewizji, skoro mogę to zobaczyć na żywo. Idę na mostek.

- Tylko nie wychodź na skrzydła - ostrzegł Eric z lekką niepewnością w głosie. - Wiesz, na wszelki wypadek.

- Wierzę w ciebie, chłopcze.

Max wjechał windą na górę i wyłonił się w mrocznej sterówce. Zerknął w stronę rufy, gdzie załoga czyniła przygotowania pod kierunkiem Mikea Trono i Jerryego Pułaskiego, dwóch najlepszych komandosów Lincolna. Marynarze stali też na dziobie.

„Oregon” płynął z prędkością prawie dwudziestu węzłów. Choć z kanału korzystają teraz głównie łodzie i statki turystyczne, każdą większą jednostkę, ze względu na małą ilość miejsca, ciągną holowniki i prędkość jest ograniczona do zaledwie paru węzłów. Max miał ogromne zaufanie do umiejętności Erica Stonea, ale nie mógł się pozbyć napięcia. Kochał „Oregona” tak samo jak prezes i nie cierpiał widoku nawet małej rysy na kamuflażu.

Gdy minęli długi falochron z prawej burty, na całym statku zadźwięczał alarm kolizyjny. Załoga wiedziała, co nadchodzi, i przedsięwzięła odpowiednie środki ostrożności.

Małe mosty na nadmorskich drogach spinały oba brzegi kanału. W przeciwieństwie do dużych mostów kratownicowych wysoko nad wodą, te dwupasmowe konstrukcje biegły tuż nad poziomem morza. Żeby przepuścić statek płynący tym szlakiem wodnym, opuszczano je aż na dno kanału i kadłub przesuwiał się nad nimi. Kiedy statek mijał leżące mosty, podnoszono je z powrotem i znów mogły nimi przejeżdżać samochody.

Przystosowany do kruszenia morskiego lodu dziób „Oregona” uderzył w most i frachtowiec wspiął się nań z przeraźliwym zgrzytem stali. Zamiast zmiażdżyć most, ogromna masa kadłuba wyrwała go z mocowań i zatopiła. „Oregon” opadł z powrotem w potężnym rozbryzgu wody, powstałe fale odbiły się od brzegów kanału i niebezpiecznie przestawiły statek.

Hanley spojrzał w górę. Miał wrażenie, że skalne ściany sięgają nieba. Górowały nad „Oregonem” jak wieże. Mosty drogowe i kolejowe na wprost wydawały się Maksowi delikatne jak elementy z zestawu Mały Konstruktor, którym bawił się w dzieciństwie.

Frachtowiec sunął przez kanał i Hanley musiał przyznać, że Eric prowadzi go samym środkiem. Stone posługiwał się pędnikami poprzecznymi „Oregona” tak precyzyjnie, że skrzydła mostka nawet nie muskały brzegów. Max zaryzykował, wyszedł na jedno z nich i stanął przy relingu. Głupio i niebezpiecznie. Gdyby Eric popełnił błąd, kolizja przy tej prędkości oderwałaby platformę od

nadbudowy. Ale Max chciał wyciągnąć rękę i dotknąć kamienia. Był chłodny i chropowaty. Na tej głębokości kanał pozostawał w cieniu przez większość dnia i słońce nie mogło nagrzać skały.

Zadowolony Max wrócił szybko do sterówki w momencie, gdy „Oregon” przechylił się lekko i reling zawadził o ścianę urwiska. Eric minimalnie zmienił kierunek, żeby nie przesadzić z kontrą, i wyprowadził statek z powrotem na środek kanału.

- Linda dojeżdża do mostu na New National Road - zawołał Gomez przez interkom. - Prezesa też widzę. Wciąż ma dużą przewagę nad dżipem, który go ściga.

- Już idę - odpowiedział Max i ruszył do windy.

Przebita opona w końcu się rozleciała niecałe pół kilometra przed mostem i pokonali tę odległość na obręczy wśród snopów iskier spod tylnego koła furgonetki. Odgłos był taki, jakby ktoś drapał paznokciami tablicę szkolną, czego Linda nie cierpiała najbardziej ze wszystkich dźwięków na świecie. Gdy dojechali do połowy mostu, nie wiedziała, czy jest bardziej szczęśliwa, bo są na miejscu, czy dlatego że ucichł ten potworny hałas.

Franklin Lincoln otworzył gwałtownie boczne drzwi, gdy tylko stanęli. Zobaczył zbliżającego się szybko „Oregona” i zrzucił z mostu trzy nylonowe liny wspinaczkowe. Były przywiązane do siedzeń furgonetki i przeciągnięte przez odsłonięty łącznik w przestrzeni bagażowej. Rozwinęły się, spadając, i zawisły trzy metry nad morzem.

Linda wyskoczyła zza kierownicy i włożyła uprząż alpinistyczną, kask i rękawice. Sześćdziesiąt metrów poniżej woda za rufą „Oregona” spieniła się, gdy włączono wsteczny ciąg, by statek wytracił prędkość. Moc potężnych silników wyhamowała go niemal natychmiast.

Lincoln miał już na sobie uprząż używaną do skoków spadochronowych parami i z pomocą Eddiego przypasał do siebie nieprzytomnego Kylea Hanleya. Potem cała trójka przyczepiła się do lin i czekała na sygnał z dołu.

Na „Oregonie” marynarze na dziobie chwycili dyndające liny i pociągnęli je ku rufie, gdy frachtowiec sunął bardzo wolno naprzód, żeby nie zahaczyły o nadbudowę, anteny ani żadną z setek innych rzeczy. Gdy tylko członkowie załogi doszli na pokład rufowy, Max kazał swoim ludziom ruszać.

Lindzie nigdy nie przeszkadzała wysokość, toteż weszła na poręcz i zaczęła się opuszczać z mostu. Z jednej strony miała Eddiego, z drugiej Lincolna obciążonego Kyleem. Gdy znaleźli się pod mostem, zawisli nagle sześćdziesiąt metrów nad swoim statkiem, utrzymywani w powietrzu tylko przez liny grubości niecałych dwóch centymetrów.

Ross zjechała w dół jak urwana winda, Eddie i Lincoln poszli w jej ślady niemal w swobodnym opadaniu, zanim zwolnili tempo. Wylądowali prawie jednocześnie i znieruchomieli, żeby członkowie załogi mogli ich odczepić od lin, których końce przywiązano szybko do żeliwnych pachołków na pokładzie.

Bez tchu od przyływu adrenaliny, Linda powiedziała:

- Czas na zabawę.

Eric Stone widział na obrazie z kamery, co się dzieje na pokładzie, i nie czekał na rozkaz. Przesunął lekko teową dźwignię przepustnicy i ruszył statkiem w głąb kanału. Liny natychmiast się naprężyły i zadrgały, zanim moc „Oregona” przeciągnęła wypożyczoną furgonetkę przez barierę. Samochód runął z mostu jak kamień i wpadł do wody tuż za rufą frachtowca. Uderzenie spłaszczyło dach i wybiło wszystkie szyby. Ciężar silnika ustawił furgonetkę pionowo jak nurkującą kaczkę,

samochód podskakiwał przez chwilę w kilwaterze statku, po czym wypełnił się wodą i zniknął pod powierzchnią. Mieli wyholować zniszczony pojazd na Morze Egejskie, a potem przeciąć liny, żeby poszedł na dno.

Furgonetkę wypożyczył na fałszywe nazwisko ucharakteryzowany członek załogi i żaden trop nie prowadził do Korporacji. Jeszcze tylko jedna osoba musiała wrócić na statek, żeby mogli uznać operację za sukces, mimo że trzeba było przejść do planu C.

Cabrillo pędził w kierunku Kanału Korynckiego, mijając wioski i małe gospodarstwa rolne. Strzeliste cyprysy wyglądały w blasku księżyca jak wartownicy strzegący pól.

Bez względu na to, jak ryzykownie brał zakręty i brutalnie traktował układ napędowy dżipa, nie mógł zgubić ogona. Nie zdoławszy odbić porwanego członka sekty, ścigający Juana mężczyźni łaknęli krwi. Jechali równie ostro jak on, korzystali z całej szerokości jezdni i często wypadali poślizgami na zwirowe poboczne. Strzelili kilka razy do Cabrillo, ale przy prędkości, z którą gnali, nie mieli szansy trafić, toteż wstrzymali ogień zapewne dla oszczędności amunicji.

Juan żałował, że nie podniósł przedniej szyby, bo przy prędkości stu trzydziestu kilometrów na godzinę musiał mrużyć oczy. Co gorsza zerwał się wiatr i sypał mu w twarz gęstym pyłem, który unosił się nad drogą jak mgła. Minęli antyczną Istmię. W przeciwieństwie do innych historycznych miejsc w Grecji na tym niskim wzgórzu nie ma ani ruin, ani świątyń, ani kolumn, tylko tablica i maleńkie muzeum. Ale Juan zauważył drogowskaz informujący, że dwa kilometry dalej jest współczesna Istmia. Pomyślał, że jeśli „Oregon” nie dotrze wkrótce na pozycję, on się znajdzie w tarapatach. Wskazówka paliwomierza dżipa utrzymywała się powyżej zera chyba tylko siłą woli. Usłyszał w słuchawce swoje imię i musiał pogłościć radio.

- Tu Juan.

- Prezesie, tu Gomez. Linda i reszta są już na pokładzie. Mam cię na przekazie z samolociku, a Eric robi właśnie obliczenia, ale mógłbyś trochę zwolnić.

- Chyba widzisz drugiego dżipa za mną?

- Owszem - odrzekł przeciągle pilot. - Ale jeśli nie zrobimy tego, co trzeba, skończysz jak mucha po złej stronie packi, jeśli wiesz, o co mi chodzi.

Porównanie było więcej niż trafne.

- Dzięki za obrazowe przedstawienie problemu.

Droga zaczęła opadać ku morzu. Dla oszczędności paliwa Juan wcisnął sprzęgło i przez kilka sekund zjeżdżał rozpędem z pochyłości. Jednym okiem patrzył w boczne lusterko i chwilę po tym, jak zobaczył światła responsywistów, puścił sprzęgło, by ponownie uruchomić napęd.

Silnik się zakrztusił. Zaskoczył natychmiast, ale znów słabo kaszlnął. Cabrillo wykorzystał starą sztuczkę kierowców stockarów - powężykował dżipem, żeby rozbijać benzynę w zbiorniku. Wyglądało na to, że się udało, bo silnik zaczął pracować równo.

- Juan, Eric skończył obliczenia - zameldował Adams. - Jesteś osiemset siedemdziesiąt metrów od mostu, czyli za blisko. Musisz zwolnić do osiemdziesięciu kilometrów na godzinę, jeśli mamy to zrobić.

Ścigający Juana dżip był siedemdziesiąt metrów za nim i zmniejszał dystans. Cabrillo nie miał wielkiego pola manewru na prostej drodze i kiedy wykonał unik przed pociskiem, silnik zarzęził. Juan zaklął.

- Robi się gorąco. Powiedz Ericowi, żeby przyspieszył i spotkał się ze mną.

Cabrillo wjechał do Istmii, typowej greckiej wioski rybackiej. Poczł zapach morza i jodu od

schnących sieci. Większość domów była pobielona i kryta wszechobecną czerwoną dachówką. Anteny satelitarne wyrastały na wielu z nich jak nowoczesne grzyby. Główna ulica prowadziła do małego rynku i Juan zobaczył za nim słupy wąskiego podnoszonego i opuszczanego mostu nad kanałem.

- Okej, prezesie. - Tym razem odezwał się Eric. - Musisz teraz zwolnić. Dokładnie do pięćdziesięciu dwóch kilometrów na godzinę, bo inaczej uderzysz w nas.

- Jesteś pewien?

- To proste wektory. Fizyka na poziomie szkoły średniej - odrzekł Eric, jakby poczuł się urażony.

- Zaufaj mi.

Z tyłu huknął strzał. Cabrillo nie wiedział, gdzie poszybował pocisk, ale nie miał wyboru - musiał to zignorować i posłuchać Erica. Kiedy zwolnił, strzelec przełączył AK-47 na ogień ciągły. Seria trafiła w dżipa Juana. Jeden pocisk przeszedł tak nisko nad jego ramieniem, że podmuch zmarszczył koszulę.

Most był pięćdziesiąt metrów przed nim, responsywiści jakieś pięćdziesiąt metrów za nim. Jazda z wyliczoną prędkością wymagała zimnej krwi. Instynkt samozachowawczy nakazywał mu wcisnąć gaz do dechy i uciekać jak najszybciej.

Dziób „Oregona” wyłonił się nagle niczym kolos zza trzypiętrowego budynku, który zasłaniał Juanowi kanał. Statek jeszcze nigdy nie wyglądał tak pięknie.

I nagle zaczął stawać dęba ze zgrzytem kadłuba o most, tak samo jak na początku kanału. Wznosił się coraz wyżej i wspinał na most, jakby przecinał pak. Mechanizm opuszczający i podnoszący most ustąpił z metalicznym hałasem pod ogromnym ciężarem i frachtowiec opadł z powrotem do wody niemal bez zmiany prędkości.

Juan kierował się prosto na niego, jakby chciał się roztrzaskać o opancerzoną burtę. Ścigający go ludzie musieli myśleć, że zamierza popełnić samobójstwo.

Piętnaście metrów od celu ogarnął go strach. Źle to skoordynowali. Rozbije się o statek przepływający kanałem. Czuł to. Responsywiści znów zaczęli strzelać. Ktoś odpowiedział ogniem zza relingu „Oregona”. Juan zobaczył błyski z lufy na ciemnym tle kadłuba.

Zostały sekundy. Szybkość, wektory, synchronizacja. Zaryzykował i przegrał. Już miał skrócić, gdy zauważył czeluść otwartego hangaru łodziowego skapaną w czerwonym świetle lamp bojowych. „Oregona” zbalastowano dokładnie do dolnej krawędzi pochylni służącej do wodowania łodzi szturmowej i zodiaców, która była teraz nieco poniżej poziomu jezdni.

Utrzymując prędkość dokładnie pięćdziesięciu dwóch kilometrów na godzinę, Juan dojechał do końca drogi, przeskoczył nad trzydziestocentymetrową szczeliną między zniszczonym mostem a „Oregonem” i wylądował w środku statku. Zahamował i wpadł na siatkę do zatrzymywania łodzi podczas szybkich manewrów. Poduszka powietrzna dżipa eksplodowała i jeszcze bardziej zamortyzowała gwałtowne wytracenie prędkości przez Juana.

Usłyszał na zewnątrz pisk opon. Koła złapały przyczepność, ale za późno. Dżip z responsywiściami obrócił się i uderzył z głuchym łomotem w burtę mijającego go statku. Metal zazgrzytał o metal, gdy „Oregon” wprasował samochód i jego pasażerów w brzeg kanału. Eric Stone dał trochę poprzecznego ciągu i zmiażdżona terenówka runęła do wody.

Max pojawił się u boku Cabrillo i pomógł mu wygrzebać się spod opróżnionej poduszki powietrznej.

- Plan C, tak?

- Powiódł się, prawda? - Wyszli z hangaru łodziowego, Juan poruszał się trochę sztywno. - Co z Kyleem?

- Jest w ambulatorium z Huxley. Dała mu środki uspokajające.

- Doprowadzimy go do porządku.

- Wiem. - Max przystanął i spojrział Juanowi w oczy. - Dziękuję.

- Nie ma za co. - Skierowali się do izby chorych.

- Skoro plan C był taki zwariowany, to musisz mi wyjaśnić, na czym polegał plan D.

Juan uśmiechnął się szeroko.

- Jasne. Jedyne problem tkwił w tym, że nie mogliśmy znaleźć tylu Spartan, żeby odtworzyć bitwę o Termopile.

Kuter patrolowy Helleńskiej Straży Przybrzeżnej podpłynął do „Oregon” o świcie w momencie, gdy słońce wyłoniło się zza horyzontu. Po szaleńczej ucieczce przez sześćdziesiąt mil z Kanału Korynckiego podróżowali ze stałą prędkością czternastu węzłów, odpowiednią dla takiego zdezelowanego statku. Czarny dym z komina stwarzał wrażenie, że silnik zużywa tyle samo oleju, co zabunkrowanego paliwa. Dobiegający przez radio głos kapitana dwunastometrowego patrolowca pozwalał sądzić, że nie podejrzewa on, iż sprawcą przestępstwa jest zardzewiały frachtowiec, znajdujący się tak daleko od miejsca, gdzie je popełniono.

- Nie, kapitanie - skłamał gładko Juan. - Nie byliśmy nigdzie w pobliżu Koryntu. Płynęliśmy do Pireusu, kiedy nasz agent zawiadomił nas przez radio, że anulowano nasz kontrakt na transport oliwy z oliwek do Egiptu. Jesteśmy w drodze do Sztambułu. Poza tym wątpię, żeby ta stara łajba zmieściła się w kanale. Za szeroka w biodrach. - Cabrillo zachichotał lubieżnie. - I gdybyśmy uderzyli w most, zmiażdżylibyśmy sobie dziób. A jak pan widzi, jest cały. Zapraszam na pokład, jeśli chce pan dokonać inspekcji.

- To nie będzie konieczne - odrzekł kapitan straży przybrzeżnej. - Incydent zdarzył się sześćdziesiąt mil stąd. Sądząc po wyglądzie waszego statku, potrzebowalibyście ośmiu godzin na pokonanie takiej odległości.

- I tylko pod warunkiem że mielibyśmy wiatr w plecy - zażartował Juan.

- Jeśli zobaczycie jakiś statek z uszkodzonym dziobem lub prowadzony w nieodpowiedzialny sposób, proszę natychmiast dać znać naszym władzom.

- Przyjąłem. Życzę owocnych łowów. „Atlantis”, bez odbioru. - Juan pomachał do małego kutra ze skrzydła mostka, wrócił do środka i odetchnął głęboko. Powiesił z powrotem mikrofon radia na spiralnym kablu, który ciągnął się po podłodze.

- Musiałeś ich zapraszać na inspekcję? - zapytał Eddie Seng zza koła sterowego, gdzie udawał, że prowadzi frachtowiec.

- Nie skorzystaliby. Grecy chcą przygwoździć kogoś za to, co się stało w Koryncie. Nie będą zawracali sobie głowy statkiem, który najwyraźniej nie mógł być w to zamieszany.

- A jeśli zestawią zeznania wszystkich naocznych świadków i dojdą do wniosku, że tylko „Oregon” odpowiada opisowi?

Juan klepnął Eddiego w ramię.

- Zaczną szukać „Atlantisa”, a my będziemy już daleko na wodach międzynarodowych. Jak tylko wokół nas zrobi się pusto, trzeba zmienić naszą nazwę na rufie i dziobie na oryginalną. - Urwał na moment, po czym dodał: - Na wypadek gdyby ktoś miał oko do szczegółów i dobrą pamięć, będziemy unikali Grecji przez jakiś czas.

- Właściwy środek ostrożności.

- Pierwsza wachta powinna być na stanowiskach lada moment. Idź do siebie i prześpij się trochę. Należy ci się to. Chciałbym mieć twój raport pooperacyjny na moim biurku do czwartej po południu.

- Powinna z tego wyjść interesująca lektura - zauważył Eddie. - W najgorszych koszmarach nie śniło mi się, że wdepniemy w coś takiego.

- Mnie też nie - przyznał Juan. - Ten cały responsywnizm to o wiele więcej niż to, co widzieliśmy na ich stronie internetowej, i to, co terapeuta powiedział Lindzie. Taka paranoja oznacza, że coś ukrywają.

- Nasuwa się oczywiste pytanie: co?

- Może dopisze nam szczęście i nikt nie znajdzie pluskwy, którą podłożyłem. Eddie spojrzął na Juana z powątpiewaniem.

- Pierwszą rzeczą, jaką zrobi szef ich ochrony, będzie zbadanie każdego centymetra kwadratowego tamtego miejsca w poszukiwaniu podsłuchu.

- Wiem, masz rację. Więc jeśli elektroniczny szpieg się nie sprawdzi, wyślemy tam żywego.

- Mnie.

- Raczej nie wyglądasz na zagubioną ofiarę losu, która szuka znaczenia w życiu i pójdzie ślepo za głosem jakiegoś psychologa.

- Marka Murphyego? - podsunął Eddie.

- Pasuje do wizerunku nawiedzzonego jak ułaz, ale nie ma kwalifikacji do wykonywania roboty zakonspirowanego agenta. Eric Stone byłby następnym kandydatem, ale z nim jest ten sam problem. Nie. Myślałem o Lindzie. Kobieta zawsze wzbudza mniej podejrzeń. Pracowała w wywiadzie i jak obaj nieraz widzieliśmy, nie traci głowy.

- Jak byś to zorganizował? Juan uśmiechnął się ze znużeniem.

- Daj mi spokój, dobra? Wymyślam to sobie na poczekaniu. Spotkamy się w trójkę przed kolacją i opracujemy strategię.

- Tylko żeby nie wyszedł z tego plan C - podrażnił się z nim Eddie.

Cabrillo wyrzucił ręce do góry z udawaną irytacją.

- Dlaczego wszyscy czepiają się mnie o to? Plan się sprawdził.

- Jak większość cholernie skomplikowanych gadżetów.

- Spadaj! - Juan odprawił Eddiego machnięciem ręki.

Zanim poszedł do swojej kabiny w nadziei, że pośpi spokojnie jakieś dziesięć godzin, zjechał windą do centrum operacyjnego. Hali Kasim pochylał się nad swoim stanowiskiem roboczym, papiery walały się na jego biurku, jakby przeszedł tamtędy huragan. Para słuchawek na głowie przygniatała mu kręcone włosy. Podczas gdy twarze innych kamieniały, kiedy byli głęboko zamyśleni, semickie rysy Halego wyrażały błogi spokój, gdy jego umysł gorączkowo pracował. Tak było teraz.

Wzdrygnął się, gdy Cabrillo stanął obok niego. Zdjął słuchawki i pomasaował uszy.

- Jak idzie? - zapytał Juan. Kiedy tylko zajrzał do doktor Huxley i Kylea Hanleya po powrocie na „Oregon”, poprosił Halego, żeby zaczął monitorować pluskwę w gabinecie Gila Martella.

- Przypomina mi to anegdotę o głosach słyszalnych w białym szumie telewizora ustawionego na stację, która akurat nie nadaje żadnego programu - odrzekł Hali i wręczył Juanowi słuchawki.

Gdy Cabrillo je włożył, poczuł, że są ciepłe i trochę wilgotne. Kasim wcisnął przycisk na swoim komputerze. Uszy Juana wypełniły zakłócenia, ale usłyszał jakieś odgłosy. Nazwanie ich słowami byłoby przesadą. Brzmiały raczej jak niskie tony na tle elektronicznych trzasków.

Zdjął słuchawki.

- Próbowalesz wyczyścić to nagranie?

- Jest wyczyszczone. Dwa razy.

- Daj to na głośnik i puść od początku - polecił Juan.

Po naciśnięciu kilku klawiszy zaczęło się odtwarzanie. Ponieważ pluskwa była aktywowana dźwiękiem, pozostawała nieczynna, dopóki ktoś nie wszedł do pokoju.

- O nie, o nie, o nie. To niemożliwe. - Głos Gila Martella był spanikowany, ale zachował swój kalifornijski urok. Rozległy się odgłosy otwierania i zamykania szuflad. Martell zapewne sprawdzał, czy go okradziono. Krzesło zaskrzypiało, gdy usiadł. - Okej, Gil, weź się w garść. Która jest godzina w Kalifornii? A co to ma za znaczenie? - Zadzwieczał przerywany sygnał w słuchawce telefonu i po długim milczeniu Martell zaczął mówić. - Thom, tu Gil Martell.

Juan wiedział, że Thom to Thomas Severance, który kieruje ruchem responsywidów razem z żoną, Heidi.

- Ktoś się włamał do kompleksu jakieś piętnaście minut temu. To wygląda na akcję ratunkową. Jeden z naszych członków został porwany ze swojego pokoju... Co? A, Kyle Hanley... Nie, nie, jeszcze nie. Był tu od niedawna... Moi ochroniarze twierdzą, że wdarł się tutaj tuzin uzbrojonych ludzi. Ścigają ich teraz dżipami, więc jest szansa, że odbijemy chłopaka, ale chciałem, żebyś wiedział. - Zapadła długa cisza, kiedy Martell słuchał szefa. - Zaraz tam zadzwonię. Dajemy dość forsę lokalnym władzom, więc nie będą zbyt węszyły. Mogą powiedzieć, że miejscowi gliniarze zatrzymali handlarza bronią albo terrorystów z al Kaidy czy coś takiego... Mógłbyś powtórzyć? Strasznie źle słyhać... Jasne. Najpierw włamali się do mojego biura, a potem poszli... Zaczekaj! - W głosie Martella zabrzmiał obronny ton. - Nie musisz przysyłać Zelimira Kovaca. Sami możemy się tym zająć... Pluskwy? W tym kraju roi się od robactwa. A, elektroniczne. Cholera! Przepraszam.

Cabrillo znów usłyszał odgłosy otwierania i zamykania szuflad, kiedy Martell czegoś szukał, po czym nastąpiły zakłócenia. Martell włączył elektroniczne urządzenie przeciwpodśluchowe.

Hali zastopował nagranie.

- Mogę dalej pracować nad tym, ale nie wiem, czy to coś da.

- Cokolwiek wyłowisz z tych zakłóceń, będzie warte zachodu. - Cabrillo przetarł zmęczone oczy.

- Powinieneś się przespać - zasugerował niepotrzebnie Hali. Juan ledwo trzymał się na nogach.

- Czy ktoś tropi tego Zelimira Kovaca?

- Szukałem go w Google, ale nic tam nie ma. Jak Eric wróci na dyżur, spróbuje znaleźć coś o nim.

- Gdzie jest teraz Stone?

- Uwodzi naszą młodą podopieczną w ambulatorium. Zaniósł jej śniadanie i zdobywa przewagę nad Markiem, korzystając z tego, że Murphy teraz śpi.

Juan zupełnie zapomniał o Jannike Dahl. Wiedział, że dziewczyna nie ma bliskiej rodziny, ale musiała zostawić w swoim kraju kogoś, kto myślał, że zginęła wraz z innymi na pokładzie „Golden Dawna”. Niestety, ten ktoś jeszcze pocierpi, pomyślał Cabrillo. Nie potrafił powiedzieć, dlaczego chce opóźnić podanie do wiadomości, że została uratowana, ale szósty zmysł, który go nie zawodził, mówił mu, żeby zachować to w tajemnicy.

Ludzie odpowiedzialni za atak na statek wycieczkowy uważali, że udało im się zabić wszystkich. Juan wiedział coś, czego nie wiedzieli tamci i co dawało mu przewagę nad nimi, nawet jeśli jeszcze nie miał pojęcia, jak mógłby to wykorzystać. Na razie Janni była bezpieczna na pokładzie „Oregona”.

Odwrócił się od Kasima.

- Ster, kiedy będziemy w Iraklionie?

- Około piątej po południu.

Zmienił cel podróży na stolicę Krety, gdzie Chuck Gunderson czekał z gulfstreamem Korporacji,

żeby zabrać Maksa, Eddiego i Kylea na spotkanie w Rzymie. Juan musiał rozważyć do tego czasu, czy zatrzymać młodą kobietę na statku. Podszedł do swojego stanowiska roboczego i wpisał do komputera instrukcję dla Kevina Nixona na dole w Magicznej Pracowni, żeby na wszelki wypadek przygotował paszport dla Jannike. Zanotował sobie też w pamięci, żeby skonsultować się z Julią Huxley przed podjęciem ostatecznej decyzji. Gdyby Janni została na pokładzie, byłaby szansa, że Huxley dowie się czegoś o jej fizjologii, która uratowała ją przed zabójczym działaniem toksyny, jeśli okazałoby się, że Mark i Eric mylą się co do ostrego zatrucia pokarmowego.

Dziesięć minut później Cabrillo leżał rozciągnięty w poprzek łóżka i spał tak smacznie, że po raz pierwszy od bardzo dawna nie potrzebował ochrony ust, żeby nie zgrzytać zębami.

Zelimir Kovac lubił zabijanie.

Odkrył to po wybuchu wojny domowej w jego ojczystej Jugosławii, kiedy wcielono go do wojska. Przedtem pracował jako robotnik na budowach i boksował amatorsko w wadze ciężkiej. Ale dopiero w armii znalazł swoje powołanie. Przez pięć wspaniałych lat on i jego oddział złożony z ludzi o takich samych upodobaniach zamordowali w całym kraju setki Chorwatów, Bośniaków i Kosowian.

Przed interwencją NATO w 1999 roku Kovac, którego prawdziwe nazwisko brzmiało inaczej, usłyszał o ściganiu zbrodniarzy wojennych. Był pewien, że znajdzie się na czele listy poszukiwanych przez władze, więc zdezerterował i uciekł do Bułgarii, a stamtąd do Grecji.

Miał ponad dwa metry wzrostu i budowę zapaśnika, toteż szybko dostał zajęcie egzekutora w ateńskim środowisku zorganizowanej przestępczości. Dzięki przebiegłości i bezwzględności awansował i umocnił swoją pozycję, gdy zlikwidował gang albańskich dilerów narkotykowych próbujących opanować handel heroiną.

Podczas pierwszych kilku lat pobytu w Atenach zaczął czytać książki napisane po angielsku, żeby nauczyć się tego języka. Treść była mu obojętna. Pochłaniał biografie ludzi, o których nigdy nie słyszał, historię miejsc, które go nie interesowały, i powieści, których fabuła go nie obchodziła. Tylko język miał dla niego znaczenie.

Dopóki nie natrafił w antykwariacie na pewną książkę z pozaginanymi rogami kartek autorstwa doktora Lydella Coopera. Zaintrygował go jej tytuł *Rozmnażamy się na własną zglubę*. Myślał, że książka jest o seksie, i kupił ją.

Znalazł w niej racjonalne wyjaśnienie wszystkiego, w co uwierzył od wojny. Na świecie jest za dużo ludzi i jeśli czegoś się z tym nie zrobi, nasz los będzie przesądzony. Oczywiście, doktor Cooper nie wskazywał żadnych grup etnicznych w swojej rozprawie, ale Kovac patrzył na to z własnej rasistowskiej perspektywy i był przekonany, że autor miał na myśli tych gorszych ludzi, takich jak ci, których Kovac od tak dawna zabijał.

„Bez naturalnych drapieżników nie ma żadnych ograniczeń dla wzrostu zaludnienia, a skłonność do prokreacji w naszych genach oznacza, że nie powstrzymamy się od niej. Tylko mikroskopijny wirus stoi na naszej drodze, ale z każdym dniem jesteśmy coraz bliżej wyeliminowania również tego zagrożenia”.

Kovac zrozumiał te słowa tak, że ludzkość potrzebuje drapieżników do wytrzebienia słabych, żeby zdrowi mogli prosperować. Cooperowi wcale nie chodziło o to. Nie opowiadał się za przemocą, ale dla Kovaca to nie było ważne. Znalazł ideę, w którą naprawdę wierzył. Człowiek znów potrzebował drapieżników i on chciał być jednym z nich.

Kiedy się dowiedział, że responsywiści utworzyli ośrodek pod Koryntem, uznał zakup tej książki za szczęśliwy traf.

W kompleksie zastał samego Thomasa Severancea, kiedy się tam zjawił, by zaoferować swoje

usługi. Rozmawiali kilka godzin o pracy doktora Coopera i organizacji, którą stworzył. Severance subtelnie wytłumaczył Kovacowi prawdziwą filozofię responsywizmu, ale nie próbował go okiełznać.

- Nie jesteśmy agresywni, Zelimir - powiedział Severance - ale są tacy, którzy nas nie rozumieją i starają się nie dopuścić do popularyzacji idei wielkiego założyciela naszego ruchu. Nikt jeszcze nie zaatakował nas fizycznie, ale wiem, że tak się stanie, bo ludzie nie chcą słyszeć, że są częścią problemu. Użyją przemocy przeciwko nam i będziemy ciebie potrzebowali, żebyś nas chronił. Taka będzie twoja rola.

Tak więc Zelimir Kovac nadal miał robić to, co dotąd, tylko teraz dla responsywidów i dla siebie, nie dla baronów narkotykowych i dyktatorów.

Gil Martell, z brązowymi włosami zaczesanymi do tyłu i białymi lśniącoymi zębami, dobrze się prezentował za swoim biurkiem, gdy Kovac wszedł do pokoju. Martell zdołał pozować tylko przez moment, potem przestał się uśmiechać.

Znajomość z Thomem Severanceem wyszła mu na korzyść. Zniknął z Los Angeles, zanim policja znów zajęła się jego handlem kradzionymi autami. Miał wielki dom nad morzem przy drodze do kompleksu i mnóstwo kobiet do łóżka spośród responsywidów przyjeżdżających do Grecji na indoktrynację. Zgadzał się z tym, że na świecie jest za dużo ludzi, tylko nie wierzył w te bzdury o obcych membranach. Ale był wytrawnym sprzedawcą i potrafił udawać wiarę lepiej niż większość wyznawców.

A co do głównego planu Thoma i Heidi, to nic go nie obchodzili bogaci pasażerowie statków wycieczkowych.

Dopiero przy Kovacu tracił pewność siebie. Wielki Serb był psychopatą i prymitywem. Gil nie znał jego przeszłości, ale podejrzewał, że facet mógł brać udział w czystkach etnicznych w Jugosławii, o których czytał w późnych latach dziewięćdziesiątych. Urowadzenie Kylea Hanleya było katastrofą, ale Martell uważał, że poradziłby sobie z tym. Kovac nie musiał zaglądać mu przez ramię i meldować o każdym drobiazgu Thomowi i Heidi. Martell przyznawał, że powinien się spodziewać podsłuchu w swoim gabinecie, ale nie powiedział nic ważnego, zanim włączył urządzenie zakłócające. To drobne potknięcie nie uzasadniało obecności tego ciemnego typu przysłanego przez Thoma.

Kovac położył palec na mięsistych wargach na znak, żeby Martell milczał. Kiedy doszedł do biurka, wyłączył zakłócacz i wyjął mały detektor elektroniczny z kieszeni czarnej skórzanej kurtki. Obszedł cały pokój, nie odrywając wzroku od wyświetlacza, gdy sprawdzał wykrywaczem podsłuchu półki z książkami, meble i dywan. Zadowolony schował detektor z powrotem do kieszeni.

- Więc nie ma żadnych...

Ciężar spojrzenia Kovaca wcisnął Gila Martella głębiej w krzesło.

Serb odwrócił do góry nogami lampę na biurku i odczepił miniaturowy nadajnik od jej podstawy. Nie znał tego modelu, ale zorientował się, że jest wysokiej klasy. Wiedział, że skoro pluskwa jest taka mała, to gdzieś w odległości kilometra czy dwóch od kompleksu musi być wzmacniacz, który odbiera i przekazuje sygnał do orbitującego satelity. Szukanie go byłoby daremne.

- Koniec transmisji - powiedział do mikrofonu, starając się ukryć swój akcent. Potem rozgniół pluskwę w grubych palcach na proch i wreszcie spojrzał na Martella. - Teraz może pan mówić.

- Była tylko ta jedna?

Kovac nie zamierzał odpowiadać na takie bezsensowne pytanie.

- Muszę sprawdzić wszystkie miejsca, które spenetrowali intruzi. - Czekają go uciążliwe, ale konieczne zajęcia. - Czy ochrona wie, gdzie byli?

- Oczywiście, ale zapewniam pana, że weszli tylko do mojego biura i pawilonu mieszkalnego.

Bezdena głupota Martella przyprawiała Kovaca o ból głowy i musiał się uspokoić. Kiedy się odezwał, mówił po angielsku z akcentem, ale wyraźnie.

- Musieli rozwalić mur i przeciąć teren kompleksu, żeby dotrzeć do tego budynku, a potem do pawilonu. Mogli zostawić pluskwy wzdłuż ścieżek, w krzakach, na drzewach, a nawet na szczycie muru.

- Aha. Nie miałem pojęcia.

Kovac posłał mu spojrzenie, które mówiło: „W tym problem. Nie masz pojęcia”.

- Czy w pańskim komputerze było coś związanego ze zbliżającą się operacją?

- Nie. Absolutnie nic. Wszystko trzymam w sejfie. Sprawdziłem go zaraz po rozmowie telefonicznej z Thomem.

- Niech pan mi da te materiały - rozkazał Kovac.

Martell zastanowił się, czy nie odmówić i nie zadzwonić do Severancea, ale wiedział, że Thom polega na Serbie we wszystkich sprawach dotyczących bezpieczeństwa i odrzuci jego protest. Uznał, że im mniej ma wspólnego z ich planem, tym lepiej. Pomyślał, że może już czas wynieść się stąd. Włamanie mogło być sygnałem, że powinien wyjąć gotówkę, póki może. Od przyjazdu do ośrodka w Grecji odłożył prawie milion dolarów. Nie wystarczyłoby mu to do końca życia, ale byłby ustawiony, dopóki nie znalazłby czegoś innego.

Wstał z biurka i przeszedł do części wypoczynkowej gabinetu. Kovac nie kiwnął palcem, żeby mu pomóc przestawić meble z orientalnego kilima, odsunąć go i odsłonić klapę w podłodze, pod którą był ukryty średniej wielkości sejf.

- Fotele i stolik stały na swoich miejscach, kiedy tu wszedłem, więc wiem, że nikt niczego nie ruszał - wyjaśnił przy pracy. - I niech pan spojrzy na woskową plombę na dziurce od klucza. Jest nietknięta.

Kovac darował sobie odpowiedź, że zawodowcy tacy jak ci, którzy dostali się do kompleksu, pamiętaliby o ustawieniu mebli z powrotem na właściwych miejscach, i choć plomba jest dobrym pomysłem, potrafiliby ją podrobić, gdyby wystarczyło im czasu. Ale nie obawiał się, że chodziło im o sejf. Zerknął wcześniej na akta Kylea Hanleya i podejrzewał, że rodzice młodego Kalifornijczyka wynajęli drużynę do uwalniania zakładników, by odzyskać syna.

Nie wątpił, że zatrudnią też terapeutę. Najprawdopodobniej Adama Jennera.

Na samą myśl o tym człowieku dłonie Kovaca zacisnęły się w pięści.

- Proszę - powiedział Martell i wydobyl z sejfu kasetkę z elektroniczną klawiaturą na wierzchu. Wprowadził kod i uśmiechnął się z wyższością do Serba. - Zgodnie z pamięcią tego urzędnika nikt nie otwierał kasetki od czterech dni, to znaczy od czasu, kiedy dostałem ostatnią aktualizację od Thoma.

Dziecko potrafiłoby zmienić datę za pomocą kabla USB i laptopa, ale Kovac i tym razem trzymał język za zębami.

- Niech pan ją otworzy.

Martell wcisnął kombinację cyfr i po sygnale akustycznym wieko się uchyliło. W środku leżała teczka na akta grubości prawie ośmiu centymetrów. Kovac wyciągnął rękę po dokumenty i zaczął szybko przerzucać strony, na których widniały listy nazwisk, spisy statków i portów, harmonogramy i

krótkie życiorysy członków załóg. Nic podejrzanego dla niewtajemniczonych osoby. Wymienione daty nie były zbyt odległe.

- Niech pan zamknie sejf - polecił Kovac, gdy przeglądał akta. Martell umieścił kasetkę na swoim miejscu i zaryglował drzwiczki sejfu.

- Później je zaplombuję. Kovac zgromił go wzrokiem.

- Albo lepiej teraz - powiedział nonszalancko Martell. Wosk miał w biurku, a jako pieczęci używał sygnetu z prywatnego liceum, który nosił bezprawnie. Po kilku minutach kilim, kanapa, fotele i stół do kawy wróciły na swoje miejsca.

- Kyle Hanley wiedział coś o tym? - Kovac uniósł akta jak zelota świętą księgę.

- Nie. Wyjaśniłem to Thomowi. Hanley był tu bardzo krótko. Widział maszyny, ale nie wiedział nic o planie.

Niedbała odpowiedź Martella wywołała wyraz podejrzliwości na twarzy Serba. W pokoju jakby się ochłodziło. Gil podjął decyzję. Zaraz po wyjściu Kovaca wpadnie do domu, spakuje trochę rzeczy i odleci najbliższym samolotem do Zurychu. Miał tam konto numerowe.

- Mógł usłyszeć jakieś plotki - poprawił się.

- Jakie plotki, Martell?

Gilowi nie spodobał się sposób, w jaki Kovac wymówił jego nazwisko. Przełknął ślinę.

- Kilkoro dzieciaków rozmawia tu o „morskich rekolekcjach”, tak jak tamci, co wyruszyli w rejs „Golden Dawnem”. W ich ustach brzmi to tak, jakby chodziło o jakąś wielką imprezę.

Po raz pierwszy Kovaca opuścił spokój.

- Orientuje się pan, co się stało z tamtym statkiem?

- Nie. Nie pozwalam nikomu tutaj oglądać wiadomości ani korzystać z Internetu. Sam też tego nie robię. A dlaczego? Coś poszło nie tak?

Kovac przypomniał sobie słowa Severancea, który zadzwonił rano z Kalifornii: „Rób, co uważasz za słusze”. Teraz rozumiał, co przywódca responsywnistów miał na myśli.

- Pan Severance nie bardzo panu ufa.

- Jak pan śmie! Powierzył mi kierowanie tym ośrodkiem i szkolenie naszych ludzi - wybuchnął Martell. - Ufa mi tak samo jak panu.

- Nie, panie Martell. Nie jest tak. Widzi pan, dwa dni temu byłem na „Golden Dawnie” i uczestniczyłem w eksperymencie. To było cudowne. Wszyscy na tamtym statku zginęli tak, jak nie śniło mi się w najgorszych koszmarach.

- Co? - wykrzyknął Martell, porażony wiadomością i zachwytem, z jakim Kovac to powiedział, zupełnie jakby mówił o ulubionym dziele sztuki lub spokoju śpiącego dziecka.

- Nie żyją. Wszyscy są martwi. A statek zatonął. Musiałem zabezpieczyć mostek, zanim uwolniłem wirusa, żeby nikt nie mógł zameldować, co się dzieje. Zaraza rozprzestrzeniła się na pokładzie w niesamowitym tempie. Nie trwało to dłużej niż godzinę. Młodzi czy starzy, to nie miało znaczenia. Ich organizmy nie wytrzymały tego.

Gil Martell wrócił za biurko, jakby mogło go odgradzić od horroru, o którym mówił Kovac. Sięgnął po słuchawkę telefonu.

- Muszę zadzwonić do Thoma. To nie może być prawda.

- Jak najbardziej. Niech pan dzwoni.

Ręka Martella zawisała nad aparatem. Wiedział, że Thom potwierdzi każde słowo tego świrowatego typu. Dwie myśli przemknęły mu przez głowę. Pierwsza, że to go przerosło. Druga, że

Kovac nie wypuści go z gabinetu żywego.

- Co pan Severance powiedział o operacji? - zapytał Kovac. Podtrzymuj rozmowę, pomyślał gorączkowo Martell. Pod biurkiem miał przycisk brzęczyka w sekretariacie. Kovac z pewnością nie spróbuje niczego przy świadkach.

- Powiedział mi, eee... że zespół naszych naukowców na Filipinach stworzył wirusa powodującego ciężkie zapalenie narządów rozrodczych u mężczyzn i kobiet. I że trzy z każdych dziesięciu osób wystawionych na jego działanie, które się zarażą, zostaną bezpłodne i nigdy nie będą zdolne do zwiększenia zaludnienia na świecie, nawet jeśli spróbują metody in vitro. Plan jest taki, żeby uwolnić go na pewnej liczbie statków wycieczkowych, gdzie wszyscy są praktycznie uwięzieni, więc każdy złapie infekcję.

- To tylko część tej sprawy - odrzekł Kovac.

- A jaka jest reszta?

Gdzie ta cholerna sekretarka?

- Wszystko, co pan powiedział o wirusie, to prawda, ale jest coś, czego pan nie wie. - Kovac uśmiechnął się triumfalnie. - Widzi pan, ta choroba jest bardzo zakaźna w ciągu około czterech miesięcy od zarażenia nosiciela, mimo że nie występują żadne objawy. I z tych statków wycieczkowych rozprzestrzeni się na cały świat. Wirusa będą łapały miliony ludzi, mężczyźni, kobiety i dzieci, aż w końcu każdy człowiek na kuli ziemskiej zostanie wystawiony na jego działanie. Z trzech bezpłodnych osób na dziesięć zrobi się pięć. Nie chodzi o sterylizację kilku tysięcy pasażerów i członków załóg. Chodzi o połowę świata.

Gil osunął się na krzesło. Poruszył ustami, ale nie wydał żadnego dźwięku. Po ostatnich trzech minutach miał dość. „Golden Dawn”. Znał ze sto osób na tamtym statku, może nawet dwieście. A teraz to. Ten potwór ujawnił mu, że przez dwa lata pracował nad planem wysterylizowania trzech miliardów ludzi.

Sterylizacja paru tysięcy pasażerów statków wycieczkowych nie spędzałaby mu snu z oczu. Wpadliby w depresję, ale życie toczyłoby się dalej, a korzyść byłaby taka, że opustoszałoby kilka sierocińców.

Powinien dostrzec, na co się zanoszą. Przypomniał sobie, co doktor Cooper napisał w swojej książce *Rozmnażamy się na własną zgubę*:

„Zapewne największy przepływ bogactwa w dziejach ludzkości dokonał się wtedy, gdy czarna śmierć pochłonęła jedną trzecią ludności Europy. Ziemie zostały scalone, co pozwoliło osiągnąć wyższy poziom życia nie tylko ich właścicielom, ale także tym, którzy je uprawiali. Właśnie głównie to wydarzenie zapoczątkowało epokę odrodzenia i przyczyniło się do zdecydowanej dominacji Europy na świecie”.

- Przemieniamy słowa doktora Coopera w czyny - powiedział Kovac. Zgroza odbijała się echem w pustej otchłani, która kiedyś była duszą Martella.

Martell sądził przez chwilę, że jest bezpieczny za biurkiem, ale nie zdawał sobie sprawy z siły ogromnego Serba. Kovac pchnął mebel na Gila jak tekturowe pudło i przygwoździł go na krzesło do tylnej ściany. Martell otworzył usta, żeby zawołać sekretarkę. Serb nie był specjalnie szybki, więc dyrektor ośrodka responsywnistów zdążył coś wychrypieć, zanim krtań zgniótł mu cios w jabłko Adama. Oczy wyszły mu z orbit, gdy próbował złapać oddech.

Kovac rozglądał się po gabinecie. Nie widział niczego, co mogłoby mu się przydać do upozorowania samobójstwa, dopóki nie zauważył zdjęć na ścianie. Przyjrzał się szybko twarzom i

wybrał jedną. Zostawił Martella usiłującego nabrać powietrza do płuc i podszedł do fotografii Donny Sky.

Aktorka była za szczupła na jego gust, ale dlaczego Martell nie mógłby się w niej zakochać? Porwał zdjęcie ze ściany i ostrożnie wysunął je z ramki. Rozbił szybkę o krawędź biurka.

Wcisnął Martella w krzesło wielką dłonią, drugą wziął największy kawałek szkła długości co najmniej dwunastu centymetrów. Puścił głowę Gila i złapał go za przedramię niezbyt mocnym chwytem, żeby nie posiniaczyć opalanej skóry.

Szkoło przecięło ciało z gąbczastym oporem, ciemna krew z rany zalała biurko i zaczęła skapywać na podłogę. Gil Martell miotał się na krześle, ale nie był żadnym przeciwnikiem dla Serba. Wydawał tylko chrapliwe odgłosy, które nie przenikały na zewnątrz pokoju. Wykonywał coraz słabsze i mniej skoordynowane ruchy w miarę, jak tracił siły, i w końcu stał się bezwładny.

Ostrożnie, by nie wdepnąć w krew, Kovac przesunął biurko z powrotem na miejsce. Uniósł Martella, odwrócił krzesło i posadził trupa okrakiem. Opuścił głowę Gila tak, że siniak na jego szyi znalazł się na krawędzi drewnianego oparcia. Koroner uzna zsinienie za skutek tego, że denatowi opadła głowa, kiedy stracił przytomność z upływu krwi. Pozostał ostatni szczegół - ułożenie zdjęcia Donny Sky tak, żeby wyglądało na to, iż Gil Martell patrzył na nią przed śmiercią.

Kiedy Kovac zamknął za sobą drzwi biura, sekretarka Martella weszła do budynku głównym wejściem. Niosła ceramiczny kubek do kawy i dużą torebkę damską. Zbliżała się do sześćdziesiątki. Miała źle ufarbowane włosy i ponad dwadzieścia kilogramów nadwagi.

- Witam, panie Kovac - powiedziała wesoło. Nie pamiętał jej nazwiska, więc odrzekł:

- Pan Martell już jest u siebie. Jak na pewno pani się domyśla, jest bardzo zdenerwowany tym, co się stało w nocy.

- Straszna sprawa.

- No właśnie - przytaknął Kovac z ponurą miną. Poczł wibracje komórki w kieszeni. - Prosił, żeby mu dziś nie przeszkadzać z żadnego powodu.

- Zamierza pan się dowiedzieć, kto nas zaatakował, i sprowadzić tamtego biednego chłopca z powrotem?

- Dlatego pan Severance wezwał mnie tutaj.

Patricia, przypomniał sobie. Ona się nazywa Patricia Ogdenburg. Zerknął na wyświetlacz komórki. Dzwonił Thom Severance z prośbą o kontakt przez bezpieczny telefon. Rozmawiali już tego ranka, więc coś musiało się stać.

Patricia odchyliła głowę do tyłu i spojrzała mu w oczy.

- Przepraszam za szczerłość, ale na pewno pan wie, że mnóstwo ludzi tutaj boi się pana. - Kiedy nie odpowiedział, ciągnęła dalej. - Myślę, że jest pan taki twardy, na jakiego pan wygląda, ale uważam też, że jest pan również bardzo troskliwym i życzliwym człowiekiem. Pan wie, co to znaczy być odpowiedzialnym za innych, i w pańskiej obecności czuję się bezpiecznie. Jest tylu ignorantów, którzy nie rozumieją, ile dobrego robimy. Cieszę się, że jest pan tutaj, żeby nas chronić. Niech pana Bóg błogosławi, Zelimirze Kovac. - Roześmiała się. - Rumieni się pan. Chyba wprowadziłam pana w zakłopotanie.

- Jest pani bardzo uprzejma - odrzekł Kovac i wyobraził sobie tę samotność, która podobnie jak jego przyciągnęła ją do responsywiwistów.

- Skoro komplement wywołuje u pana rumieniec, to wiem, że mam rację. Jakże się mylisz, pomyślał Kovac i wyszedł z budynku, nie oglądając się za siebie.

Hotel mieścił się w zabytkowym pięciopiętrowym budynku niedaleko Koloseum. Apartament, który wynajęli, zajmował prawie jedną czwartą najwyższego piętra i miał wokół balkon z kutego żelaza.

Kyle był jeszcze w wywołanym chemicznie stuporze, kiedy Max wepchnął jego wózek inwalidzki do okazałego wejścia, ale pomruki wydawane przez chłopaka świadczyły, że ocknie się za godzinę lub dwie.

- Witam - zawołał ktoś z głębi apartamentu.

- Witam - odpowiedział Max. - Doktor Jenner?

- Tak, zgadza się.

Jenner wszedł do przedpokoju z salonu. Był w ciemnoszarym garniturze w wąskie prążki i białym jedwabnym pulowerze. Max zauważył cienkie skórzane rękawiczki na jego nienaturalnie wykrzywionych dłoniach.

Nie potrafił określić wieku psychiatry. Jenner miał bujną fryzurę z zaledwie kilkoma pasemkami siwizny i opaloną twarz, która wyglądała jak po operacji plastycznej. Wokół oczu i ust widniały ślady zmarszczek, ale skóra wydawała się wygładzona chirurgicznie. Za to, co Jenner inkasował za swoje usługi, mógł sobie pozwolić na najdroższych chirurgów plastycznych na świecie, jednak na jego twarzy rysował się wyraz zaskoczenia, niczym u jelenia oślepionego reflektorami samochodu. Taki wyraz często pozostaje po kiepsko wykonanych zabiegach kosmetycznych.

Był to mało znaczący drobiazg, ale zdziwił Maksa. Wyciągnął rękę.

- Max Hanley.

Jenner uniósł swoje w rękawiczkach.

- Proszę wybaczyć, że nie uścisknę panu dłoni. W młodości doznałem poparzenia rąk w wypadku samochodowym.

- Oczywiście. Jasna sprawa. To jest Eddie Seng z firmy, która uratowała mojego syna, a to Kyle.

- Miło mi pana poznać, doktorze - powiedział Eddie. - Przepraszam, że nie mogliśmy podać panu nazwy hotelu, dopóki nie przyleciał pan do Rzymu. Względy bezpieczeństwa.

- Doskonale to rozumiem. - Jenner wprowadził ich do jednej z trzech sypialni w apartamencie. Przenieśli Kylea w szpitalnej koszuli do szerokiego łóża z baldachimem i zaciągnęli ciężkie zasłony. Max przesunął wierzchem dłoni po policzku syna. Jego spojrzenie wyrażało miłość, ból, obawę i poczucie winy.

- Odzyskamy go - zapewnił Adam Jenner. Bez wątplenia uczucia, jakie przepełniały Maksa, widział na twarzach wielu rodziców, których spotkał w swojej karierze. Przez otwarte drzwi balkonowe w salonie dochodził szum wieczornego ruchu ulicznego w Rzymie. Ponad dachem budynku mieszkalnego na wprost hotelu wznosiły się wysokie trawertynowe mury i łuki najśłynniejszego punktu orientacyjnego w mieście. Z około pięćdziesięcioma tysiącami miejsc Koloseum dorównywało wielkością współczesnym stadionom sportowym.

- Mam nadzieję, że wszystko poszło gładko - powiedział Jenner. Miał lekki obcy akcent, którego Max nie mógł rozpoznać, jakby wychowywał się w domu, gdzie nie mówiono po angielsku.

- Wręcz odwrotnie - odparł Max.

- Naprawdę? Co się stało?

I te oczy, pomyślał Max. Coś jest z nimi nie tak. Piwne oczy Jennera za stylowymi okularami wydawały się dziwne. Max zwykle natychmiast orientował się po czyichś oczach, z kim ma do czynienia, ale Jennera nie potrafił rozgryźć.

- Responsywiści zatrudniają teraz uzbrojoną ochronę - wyjaśnił Eddie, kiedy Max nie odpowiedział.

Jenner usiadł z westchnieniem na pluszowej kanapie.

- Obawiałem się, że ten dzień nadejdzie. Thom i Heidi Severance od kilku lat wpadają w coraz większą paranoję. To było chyba nieuniknione, że zaczną trzymać broń. Bardzo mi przykro. Powiniennem was uprzedzić o moich podejrzeniach.

Eddie zbył to machnięciem ręki.

- Nikt z moich ludzi nie ucierpiał, więc nie ma sprawy.

- Jest pan zbyt skromny, panie Seng. Byłem w ogniu walki, toteż wiem, przez co przeszliście.

W Wietnamie, pomyślał Max. Musi być mniej więcej w moim wieku. Po rozwiązaniu tej zagadki poczuł się lepiej.

- Więc jak to będzie wyglądało? - spytał.

- Normalnie włączylibyśmy do tego przyjaciół i rodzinę Kylea, żeby wiedział, że ma wsparcie potrzebne do zerwania z responsywistami. Jednak w tej sytuacji będę musiał rozmawiać z Kyleem sam podczas kilku pierwszych sesji. Przeżyje szok, kiedy się ocknie i uświadomi sobie, co się z nim stało. - Jenner uśmiechnął się słabo. - A wiem z doświadczenia, że szok bardzo szybko przeradza się w gniew.

- Kyle nie jest agresywny, jeśli tego pan się obawia - zapewnił go Max. - W przeciwieństwie do swojego ojca nie wpada łatwo w złość.

- Zwykle i tak przepisuję pacjentom coś na uspokojenie, dopóki szok nie minie.

Jenner wskazał boczny stolik, gdzie staromodna czarna torba lekarska stała obok kompozycji ze świeżych kwiatów.

- Ilu osobom pan pomógł, doktorze?

- Proszę mi mówić po imieniu. Grubo ponad dwustu.

- Wszystkim z dobrym skutkiem?

- Niestety, nie. Niektórzy popełnili samobójstwo, część wróciła do sekty. To naprawdę smutne. Ludzi wciąga to, co postrzegają jako dobrą robotę responsywistów, ale dopiero po jakimś czasie ich przynależności do ruchu grupa zaczyna zdobywać coraz większą kontrolę nad nimi, zwłaszcza przez to, że zmusza członków do zerwania kontaktów z bliskimi. Potem trudno jest ich przekonać do powrotu do normalnego życia.

- Dlaczego ludzie zgadzają się na to? - Zapytał Eddie, choć znał odpowiedź. Tak samo było w Chinatown, kiedy miał naście lat. Naciskano na ciebie, żebyś wstąpił do gangu, a gdy to zrobiłeś, nie pozwalali ci odejść.

- Z powodu samotności, wyobcowania. Responsywiści dają im poczucie, że są częścią czegoś o wiele większego niż każdy z nich, czegoś ważnego, co nada im znaczenie. Z tych samych przyczyn inni sięgają po narkotyki czy alkohol, i terapia jest podobna. I zarówno sukcesy, jak i porażki.

- Zdaniem jego matki Kyle przyłączył się do responsywistów zaledwie kilka miesięcy temu, więc uważam, że powinien wyjść z tego.

- Okres przynależności nie ma tu nic do rzeczy - skontrował Jenner. - Wszystko zależy od tego, jak bardzo zatruli mu umysł. Pewna kobieta chodziła na spotkania responsywistów zaledwie dwa tygodnie, zanim jej zaniepokojony mąż zwrócił się do mnie o pomoc. Odeszła od niego i jest teraz sekretarką dyrektora ich ośrodka w Grecji, skąd uratował pan syna. Pattie Ogdenburg. To zabawne, że pamięta się swoje porażki, a nie sukcesy.

Max i Eddie jednocześnie skinęli głowami. Mieli wspólnie na koncie wiele jednych i drugich.

- Jestem ciekaw - odezwał się Eddie - jak ktoś taki jak Donna Sky, której tak się powiodło, mógł się zaplątać w coś takiego?

- Tak samo jak każdy. To, że ona dostaje nagrody, zdobywa najwyższe uznanie i ma swoją świętą, nie znaczy, że jest mniej samotna niż ktokolwiek inny. Znane osoby są często bardziej oderwane od rzeczywistości niż większość ludzi i łatwo ulegają wpływowi. W świecie zewnętrznym ona jest oblegana przez wielbicieli, ale wewnątrz organizacji jest po prostu Donna. A jednak jej popularność cały czas pomaga werbować nowych członków.

- Nigdy tego nie zrozumieję - jęknął Max.

- Dlatego zatrudnił pan mnie - odrzekł pogodnie Jenner, żeby rozwiać ponury nastrój. - Pan nie potrzebuje tego rozumieć. Musi pan tylko być gotowy do pokazania synowi, jak bardzo go kocha.

- Wie pan coś o jakimś obiekcie responsywistów na Filipinach? - zagadnął Eddie, żeby zmienić temat.

Jenner się zastanowił.

- Nic konkretnego. Nie byłbym zaskoczony, gdyby mieli tam kliniki zajmujące się planowaniem rodziny, ale... Nie, zaraz, zgadza się. Mówiło się, że otwierają nowy ośrodek. Chyba kupili gdzieś ziemię, ale nic nie zbudowali. Albo bardzo niewiele.

- A o wynajęciu jakiegoś statku wycieczkowego?

- Chodzi panu o „Golden Dawna”? Co za straszna tragedia. Podejrzewam, że właśnie to nazywają „morskimi rekolekcjami”. Robili to wiele razy w ciągu ostatnich kilku lat. Często wynajmują cały statek albo rezerwują przynajmniej połowę kabin, odbywają spotkania i dyskutują o ruchu. Uczestniczyłem w tym raz, żeby zobaczyć, czemu to służy. Odniosłem wrażenie, że jest to metoda werbowania samotnych bogatych wdów.

Jenner wstał.

- Zajrzę do Kylea.

Kiedy wyszedł z pokoju, Max podszedł do barku, gdzie butelki alkoholu stały niczym żołnierze na paradzie. Nalał sobie whisky do szklanki z rżniętego szkła i zapytał gestem Eddiego, czy też chce. Tamten odmówił.

- Nie prowadzimy operacji - zauważył Max i pociągnął łyk. - Nie musisz być abstynentem.

- Wszystko jedno. I co myślisz?

- Że wygraliśmy z nim los na loterii. Niewątpliwie zna się na rzeczy. A ty?

- Zgadza się. Linda doskonale się spisała, znajdując takiego specjalistę, i jestem przekonany, że z Kyleem wszystko będzie dobrze.

- Dzięki, że nas niańczysz - powiedział Max, ale w tych słowach kryło się dużo więcej treści.

- Zrobiłbyś to samo dla każdego z nas.

Zawarczała komórka Maksa. Sięgnął po nią do kieszeni i zobaczył na wyświetlaczu, że dzwoni

prezes.

- Jesteśmy na miejscu cali i zdrowi - oznajmił na powitanie.
- Cieszę się - odrzekł Cabrillo. - Jenner czekał?
- Tak, i właśnie rozmawialiśmy z Eddiem o tym, jakie mamy szczęście, że go znaleźliśmy.
- To dobrze.
- Co tam na „Oregonie”?
- Właśnie skończyłem rozmawiać przez telefon z Langstonem. Chyba wypruje ze mnie flaki za przedarcie się statkiem przez Kanał Koryncki.

- Trochę się wściekł?

- Wściekł to mało powiedziane. Uruchomił swoje kontakty i usiłuje przekonać Greków, że to nie był atak terrorystyczny. Chcą wezwać siły NATO, wyobrażasz sobie?

Max się skrzywił.

- A co ci mówiłem o tobie i twoich cholernych planach C?

- Dobra, jeśli jeszcze kiedyś jakaś operacja będzie wymagała przejścia do planu C, złożę rezygnację. - Juan zachichotał.

- Słyszałem to i Eddie jest moim świadkiem.

- Co z Kyleem? - spytał poważnie Cabrillo.

- Leki przestaną niedługo działać. Wtedy będziemy wiedzieli.

- Cała załoga trzyma kciuki za was obu.

- To jest dużo trudniejsze, niż myślałem - wyznał Max.

- To twój syn. Mimo że nie jesteście ze sobą blisko, kochasz go. Nic tego nie zmieni.

- Chodzi o to, że jestem wściekły.

- Nie, Max. Czujesz się winny. To dwie różne sprawy. Musisz to przewyciężyć, bo inaczej nie będziesz w stanie mu pomóc. Życie jest, jakie jest. Pewne rzeczy możemy zmienić, innych nie. Trzeba po prostu umieć dostrzegać różnicę i odpowiednio działać.

- Uważam, że go zawiodłem.

- Każdy rodzic tak uważa w jakimś momencie. Tak już jest.

Max przetrwał słowa Juana i skinął głową. Zdał sobie sprawę, że Cabrillo nie mógł zobaczyć tego gestu, więc burknął:

- Masz rację. Tylko, że to jest...

- Trudne. Wiem. Max, kiedy mamy przeprowadzić jakąś operację, planujemy każdy szczegół, przygotowujemy się na każdą ewentualność, żeby nic nas nie zaskoczyło. A jednak nie wszystko nam się udaje. Tak jak w innych sferach naszego życia. To niemożliwe. Robisz to, co każdy dobry rodzic. Jesteś tam teraz dla Kylea. Nie wiesz, czy to by się stało, czy nie, gdybyś był przy nim, kiedy dorastał. Zajmij się po prostu tym, co jest teraz. Okej?

- Pewnego dnia będziesz wspaniałym ojcem.

Juan się roześmiał.

- Żartujesz? Wiem, jaki zepsuty jest świat. Nie wypuściłbym dzieciaka z jego pokoju, dopóki nie skończyłby co najmniej trzydziestu lat, a i wtedy nie pozwoliłbym mu wyjść za parkan wokół domu.

- Gdzie teraz jesteście?

- Prawie na południe od was. Dopłyniemy na Riwierę jutro późną nocą i pojutrze rano zaczniemy pełną inwigilację tego handlarza bronią.

- Powinienem być z wami.

- Powinieneś być z Kyleem. O nic się nie martw. Nie spiesz się. Okej?

- Okej. - Eddie wyciągnął rękę po telefon. - Zaczekaj, Eddie chce z tobą porozmawiać.

- Juan, rozmawiałem z Jennerem. Wspomniał, że responsywiści wynajmowali statki wycieczkowe w przeszłości.

- I?

- To może być trop donikąd, ale nie zaszkodziłoby, gdyby Eric i Mark poszukali czegoś o tamtych rejsach i zobaczyli, czy nie wydarzyło się nic dziwnego.

- Niezły pomysł. Coś jeszcze?

- Powiedział, że podobno budują nowy ośrodek na Filipinach. Myślę, że skoro na „Dawnie” było około czterystu responsywistów, kiedy zatonął, to prace są bardziej zaawansowane, niż Jenner sądzi. Może to też warto sprawdzić.

- Jasne - odrzekł Cabrillo.

Jenner wyszedł z sypialni i zamknął drzwi za sobą.

- Kyle się budzi - oznajmił teatralnym szeptem. - Chyba będzie najlepiej, jeśli zostawicie nas samych na jakiś czas. - Podszedł do swojej torby lekarskiej i wyjął cylindryczny przedmiot wielkości mniej więcej puszki zupy. - To jest blokada na gałkę drzwi apartamentu, żeby nie można było ich otworzyć od środka.

- Juan, musimy iść - powiedział Eddie do telefonu i przerwał połączenie. Max wstał.

- Na jak długo?

- Niech pan mi da numer swojej komórki, zadzwonię do pana. Pewnie za godzinę lub dwie. Porozmawiam trochę z Kyleem, a potem dam mu środek uspokajający.

Max spojrzał na zamknięte drzwi sypialni i na Jennera, targany sprzecznymi uczuciami.

- Niech pan mi zaufa, panie Hanley. Wiem, co robię.

- Okej. - Max zapisał numer na kawałku hotelowego papieru listowego i pozwolił, by Eddie wyprowadził go z apartamentu na korytarz wyłożony boazerią. Eddie widział niepokój na twarzy Hanleya mimo jej zniekształconego odbicia w lśniących mosiężnych drzwiach windy. Usłyszeli za plecami, jak Jenner zakłada blokadę na gałkę drzwi.

- Chodź, postawię ci kolację.

- Zjadłbym coś włoskiego - zażartował Max, żeby pokazać, że nie jest całkiem zdołowany.

- Przykro mi, stary. Albo chińska kuchnia, albo nic.

Kiedy „Oregon” płynął przez ciemne wody Morza Śródziemnego z prędkością nieco powyżej dwudziestu węzłów - dużo poniżej jego możliwości z powodu tuzinów innych statków na szlakach żeglugowych - niemal nie czuło się ruchu w gustownie urządzonej jadalni frachtowca. Gdyby nie szum silników magnetohydrodynamicznych i pomp odrzutu wody w tle, Cabrillo miałby wrażenie, że jest w pięciogwiazdkowej restauracji na którymś z modnych paryskich bulwarów.

Był w rozpiętej pod szyją koszuli szytej na zamówienie, w której mankietach tkwiły spinki w postaci malutkich kompasów, letniej sportowej marynarce i włoskich skórzanych półbutach. Naprzeciwko niego siedziała Linda Ross w luźnych spodniach i czarnym T-shircie. Mimo braku makijażu jej cera lśniła w blasku świec, uwydatniającym piegi na policzkach i nosie.

Juan zakręcił winem w kieliszku na wysokiej nóżce i pociągnął z uznaniem łyk.

- Kiedy Maurice każe swojemu personelowi przygotować uroczystą kolację, wypada przynajmniej odpowiednio się ubrać - powiedział.

Linda włożyła do ust kawałek jeszcze ciepłego chleba z niesolonym masłem.

- Wychowywałam się razem z braćmi. Nauczyłam się jeść szybko i zawsze, kiedy jest okazja. W przeciwnym razie chodziłabym głodna.

- Było aż tak źle?

- Widziałeś kiedyś w jakimś programie telewizyjnym, jak rekiny wpadają w szal żarłoczności albo stado wilków osacza jelenia? Mój najstarszy brat, Tony, czasem nawet warczał na nas. - Uśmiechnęła się na to wspomnienie.

- Moi rodzice zawsze zwracali uwagę na maniery przy stole - odrzekł Juan. - Nie pozwalali mi opierać łokci na blacie.

- U nas obowiązywała tylko taka zasada, że wszyscy używają sztućców, i każdy swoich.

- Jesteś pewna, że dasz sobie jutro radę? - zapytał Juan, wracając do spraw zawodowych. Nawet w tym wspaniałym otoczeniu nie potrafili na długo zapomnieć o swojej profesji.

- Uczyłam się cały dzień. Może nie umiałabym pokierować odnową duchową jakiegoś responsywisty, ale mogę z powodzeniem udawać własną w rozmowie z którymś z nich. Muszę wyznać, że im więcej o nich wiem, tym dziwniejsze wydaje mi się to wszystko. Nie rozumiem, jak ktoś może wierzyć, że naszym życiem kieruje obca inteligencja z równoległego wszechświata.

- Zdarza się - odparł Juan. Zawsze uważał, że dopóki przekonania ludzi nie szkodzą innym, dopóty są ich prywatną sprawą i nie do niego należy osąd. - Wiesz, że po tym, co zrobiliśmy, ich ochrona będzie bardzo czujna.

Skinęła głową.

- Wiem. Mogą mnie nawet nie wpuścić, ale warto zaryzykować.

Juan już miał odpowiedzieć, gdy cztery osoby pojawiły się w progu dwuskrzydłowych drzwi jadalni. Julia Huxley była jak zwykle w fartuchu laboratoryjnym. Towarzyszyli jej wyelegantowani Mark Murphy i Eric Stone, obaj w marynarkach i krawatach, choć Murphyemu wystawała koszula.

Eric nabrał obycia w wojsku, ale najwyraźniej czuł się nieswojo w tym ubraniu, a może sprawiała to obecność czwartej osoby.

Julia rozwiązała apaszkę zasłaniającą Jannike Dahl oczy, żeby dziewczyna nie widziała żadnej części statku poza ambulatorium i teraz mesą. Juan ustąpił i pozwolił jej na chwilowe wyjście z izby chorych, ale z zawiązanymi oczami. Janni miała na sobie sukienkę pożyczoną z Magicznej Pracowni Kevina Nixona i Juan rozumiał, dlaczego Stone i Murphy są tacy speszeni. Jannike była piękną delikatną kobietą, która mogłaby onieśmielić największego cynika. Bładość spowodowana długą chorobą już ustąpiła i cera Janni odzyskała normalny śniady kolor. Włosy opadały jej niczym obsydianowa fala na jedno nagie ramię.

Juan odruchowo wstał, kiedy weszli.

- Panno Dahl, wygląda pani pięknie.

- Dziękuję panu, kapitanie Cabrillo - odrzekła, starając się zorientować, gdzie jest.

- Przepraszam za tę opaskę na oczach, ale pewnych części tego statku nie może pani zobaczyć. -

Uśmiechnął się pod nosem, gdy Eric i Mark przepychali się, żeby odsunąć krzesło dla Jannike.

- Pan i pańska załoga uratowaliście mi życie, kapitanie. Nigdy nie zakwestionowałabym pańskich życzeń. - Mówiła z czarującą intonacją, która zauroczyła trzech mężczyzn. - Jestem wdzięczna, że mogłam na krótko wstać z łóżka.

- Jak się pani czuje? - zapytała Linda.

- Dużo lepiej, dziękuję. Doktor Huxley panuje nad moją astmą, więc nie mam już ataków.

Eric zyskał zaszczyt zajęcia miejsca po jej lewej stronie. Mark z gniewną miną okrążył stół i zajął miejsce obok Lindy.

- Niestety, nie zrozumieliśmy się z personelem kuchni. - Ledwo Cabrillo wypowiedział te słowa, Maurice wprowadził do jadalni kelnerów z tacami. Główny steward „Oregona” winił Juana za tę gafę. - Nie wiedzieć czemu - ciągnął Cabrillo, patrząc znacząco na Mauricea - odnieśli wrażenie, że pani jest z Danii, a nie z Norwegii. Chcieli przygotować jakieś pani narodowe potrawy, i dlatego mamy tradycyjne duńskie dania.

- Bardzo mi miło, że wszyscy pomyśleliście o mnie - odrzekła Janni z uśmiechem. - Ale w Skandynawii kuchnia jest tak podobna, że nawet nie zauważyłabym różnicy.

- Słyszysz, Maurice?

- Nie.

- Chyba dostaniemy śledzia - powiedział Juan - tradycyjną zakąskę do każdego posiłku, a potem fiskeboller, czyli pulpety rybne, jeśli się dobrze orientuję. Później będzie pieczony schab z czerwoną kapustą i przysmażonymi ziemniakami, a następnie do wyboru naleśniki, pandekager z lodami i czekoladą albo ris a la mande.

Janni uśmiechnęła się szerzej.

- Deser ryżowy - wyjaśniła pozostałym. - Z sokiem wiśniowym. Mój ulubiony. Będzie wam smakował.

- Pani jest z Oslo? - zapytała Linda, kiedy pierwsze dania postawiono na lnianym obrusie.

- Przeniosłam się tam po śmierci rodziców, ale pochodzę z dalekiej północy, z małej wioski rybackiej Honningsvåg.

To tłumaczy jej śniadą cerę, pomyślał Juan. Ciemniejsza skóra chroni Lapończyków, podobnie jak Inuitów z Alaski i rdzennych mieszkańców Grenlandii, przed ostrym blaskiem słońca odbijającym się od śniegu i lodu. Dziewczyna musi być autochtonką.

Zanim zdążył zadać jakiegokolwiek pytanie, zauważył Halego Kasima w wejściu do jadalni. Włosy sterczały mu do góry z boku głowy i nawet z daleka widać było zmęczenie na jego twarzy i sińce pod oczami. Juan wstał.

- Przepraszam was na chwilę.

Podszedł do swojego specjalisty od telekomunikacji.

- Zdarzało ci się wyglądać lepiej. Hali przytaknął.

- I czuć się lepiej. Chciałeś znać wyniki moich zmagania z zakłóceniami naszego podsłuchu, jak tylko skończę. Mam tyle. - Wręczył prezesowi kartkę. - Użyłem nawet konsoli do miksowania dźwięku, którą Mark trzyma w swojej kabinie. Nic więcej nie mogłem zrobić. Przykro mi. Liczby w nawiasach oznaczają luki czasowe między słowami.

JA NIE... (1,23) TAK... (3,57) DONNA SKY... (1,17) (W)ŁĄCZYĆ EEL LEF... (0,24)
KLUCZ... (1,12) JUT(RO)... (3,38) TO NIE BĘDZIE... (0,43) CHWI(LE)... (6,50) CZEŚĆ(1,12)

- To wszystko, tak? - Juan starał się nie okazać rozczarowania.

- Tak. Jest kilka niezidentyfikowanych dźwięków, przy których komputer ma zaledwie dziesięć procent pewności co do ich znaczenia. Nawet nazwisko Donny Sky określił jako tylko czterdziestoprocentowo pewne, ale uważam, że tu nie ma wątpliwości.

- Jak długo trwała rozmowa Martella z Severanceem od chwili włączenia szyfratora do końca?

- Dwadzieścia dwie minuty i sześć sekund. Cabrillo przeczytał kartkę jeszcze raz.

- Cztery rzeczy, które się tu wyróżniają, to „Donna Sky”, „klucz”, „eel” i „lef”. Jakie jest według komputera prawdopodobieństwo, że te ostatnie dźwięki brzmiały właśnie tak?

Po niezliczonych godzinach spędzonych na analizowaniu danych Hali nie potrzebował zaglądać do notatek.

- Sześćdziesiąt jeden procent. A „klucz” - dziewięćdziesiąt dwa.

- „Eel”, „lef” i „klucz” dzieli od siebie czterdzieści pięć sekund, więc mogą się łączyć. Wzmianka zaś o Donnie Sky minutę i siedemnaście sekund wcześniej może oznaczać, że ona też się z tym wiąże.

Hali wytrzeszczył oczy.

- Wpatrywałem się w tę kartkę godzinami, zanim na to wpadłem.

- Bo próbowałeś wydedukować znaczenie ze słów, zamiast z przerw między nimi.

- Mam jeszcze coś. - Hali wyciągnął z kieszeni spodni magnetofon na mikrokasety i włączył odtwarzanie. Juan usłyszał te same zakłócenia, co wcześniej, potem nagle ucichły.

- Koniec transmisji - powiedział wyraźnie czyjś głos.

- Kto to był, do cholery?

- Wprowadziłem to do komputera. Angielski nie jest ojczystym językiem tego faceta. Gość najprawdopodobniej pochodzi z Europy Środkowej i jest między trzydziestką a pięćdziesiątką.

- Aha. - Juan przypomniał sobie strzępy rozmowy, które udało im się nagrać, zanim Martell włączył urządzenie zagłuszające. - Założę się, że to Zelimir Kovac. Chodź.

Wrócili do stołu, gdzie Mark Murphy próbował opowiedzieć jakiś dowcip, ale bez sukcesu. Juan najwyraźniej wybawił go z kłopotu.

- Eric, udało ci się znaleźć coś o Zelimirze Kovacu?

- Nic. Zero informacji.

- Ja chyba znam tego człowieka - wtrąciła się Jannike. - Był na „Golden Dawnie”. Jest kimś ważnym wśród responsywiwistów.

- Nie figuruje na żadnej z ich stron internetowych, liście płac, nigdzie - odrzekł Eric, jakby

urazony, że zwątpiła w jego umiejętności poszukiwawcze.

- Ale był na statku - upierała się Janni. - Ludzie nigdy nie rozmawiali z nim, tylko zawsze o nim. Chyba ma bliskie kontakty z przywódcą ruchu.

Cabrillo nie przejął się tym, że nie namierzili Kovaca. Zastanawiał się, jak tamten dostał się z feralnego statku do Aten. I wtedy przypomniał sobie, że brakowało jednej szalupy „Golden Dawna”, kiedy „Oregon” go odnalazł.

- To on ich zabił.

- Co? - zapytała Julia z widelcem w połowie drogi do ust.

- Kovac był na „Golden Dawnie”, a teraz jest w ośrodku responsywistów w Grecji. Uciekł ze statku łodzią ratunkową i mógł to zrobić tylko z jednego powodu: wiedział, że ci wszyscy ludzie zginą. A zatem on ich uśmiercił. - Juan odwrócił się do Janni. - Mogłaby go pani opisać?

- Jest bardzo wysoki, ma ze dwa metry wzrostu. - Olbrzym, pomyślał Juan. - I wygląda na bardzo silnego. Zawsze zachowywał powagę. Widziałam go parę razy, ale nigdy się nie uśmiechał. Szczerze mówiąc, trochę się go bałam.

- Zechciałyby pani z pomocą Erica i Marka stworzyć jego portret pamięciowy?

- Nie umiem rysować.

- Komputer panią wyręczy. Proszę tylko podać rysopis, a oni zrobią resztę.

- Zgodzę się na wszystko, jeśli to doprowadzi do ukarania go. - Zaczęła szlochać na wspomnienie tamtej strasznej nocy. Eric otoczył ją ramieniem, a ona przytuliła się do niego. Juan musiał przyznać, że Eric powstrzymał się przed triumfującym spojrzeniem na Marka Murphyeego.

Julia Huxley odłożyła widelec, rzuciła serwetkę na stół, wstała i podeszła do Janni.

- Wystarczy tych emocji na jeden wieczór. Wracamy do ambulatorium. Pomogła zapłakanej młodej kobiecie podnieść się z miejsca.

Mark i Eric zareagowali tak, jakby zamierzali jej towarzyszyć.

- Panowie - powiedział Juan ostrzegawczym tonem i obaj opadli z powrotem na krzesła zniechęceni. - To nie czas i miejsce.

- Tak jest - odrzekli chórem jak skruszone dzieci. Gdyby Juan nie był tak zaprzątnięty informacjami z ostatnich kilku minut, pewnie by się uśmiechnął.

Usiadł i skupił uwagę na Lindzie Ross.

- Twoja akcja jest odwołana.

- Co? Dlaczego?

- Nie puszczę cię do tamtego kompleksu bez broni, skoro jest tam Kovac.

- Poradzę sobie - wybuchnęła.

- Bez dyskusji - odparł Juan ostrym tonem. - Jeśli mam rację, to Kovac dokonał ludobójstwa na niewyobrażalną skalę. Nie dostaniesz tego zadania. Koniec, kropka. Hali wyczyścił jeszcze trochę nasze nagranie i w rozmowie Martella z Thomasem Severanceem padło nazwisko Donny Sky. Wiemy, że jest prominentną responsywistką, więc może się orientować, co się dzieje. Dzięki niej zyskamy wgląd w plany.

- Jeśli jest zagorzałą zwolenniczką ruchu, nie zechce z nami rozmawiać - odrzekła Linda.

- Jest aktorką, a nie wyszkoloną agentką. Po pięciu minutach powie ci wszystko, co chcesz wiedzieć. Musimy tylko ją znaleźć i dotrzeć do niej.

- Kręci film w Niemczech.

Cabrillo był zaskoczony, że Linda to wie. Uniósł brwi.

Jego zastępczyni do spraw operacyjnych zaczerwieniła się pod piegami.

- Co mogę powiedzieć... Jestem uzależniona od hollywoodzkich plotek. Eric Stone pochylił się do przodu na krześle.

- Mam pomysł, jak do niej dotrzeć. Kevin Nixon pracował przez lata w Hollywood, zanim przyszedł do nas. Na pewno zna kogoś, kto zna kogoś i tak dalej.

Nixon był nominowanym do Oscara fachowcem w dziedzinie efektów specjalnych i charakteryzacji w jednej z dużych wytwórni filmowych. Odszedł stamtąd, gdy jego siostra zginęła w ataku terrorystycznym jedenastego września 2001 roku. Zaoferował swoje nietypowe usługi CIA, ale Cabrillo skaperował go do Korporacji.

- Dobrze kombinujesz. Jeśli uda mu się spotkać z nią na planie, może w końcu będziemy mieli rozeznanie, co się, do cholery, dzieje.

- Zabawię się w adwokata diabła, ale jeśli ona nic nie wie?

- Módl się, żeby wiedziała, Linda, bo nie wyślę nikogo do ich ośrodka.

- Skoro o tym mowa, to chcesz, żebym wybrał się z tobą na Filipiny?

- Nie, Mark. Dzięki za propozycję, ale wezmę Lincolna.

- Trochę się rozproszymy, szefie - zauważył Eric. Cabrillo nie zaprzeczył.

- Oczywiście, Max jest wyłączony, dopóki nie załatwi swojej sprawy, ale Eddie wróci z Rzymu dzień po naszym przybyciu do Monako. Toteż na miejscu będzie czworo członków starszego personelu, łącznie z Julią. Linda, ty znikniesz tylko na dzień lub dwa, a Lincoln i ja wrócimy po trzech. Poza tym ta inwigilacja to prosta robota, niewymagająca aktywnego udziału przez większość czasu, więc nie ma zmartwienia. A teraz delektujmy się naszym tradycyjnym duńskim posiłkiem.

Juan powiedział to tak głośno, by usłyszał go Maurice czuwający przy drzwiach do kuchni.

Steward skrzywił się z niezadowoleniem.

Eddie opierał się o tylną ścianę kabiny, kiedy winda zjechała do holu. Max stał na prawo od niego. Drzwi się otworzyły i Eddie odepchnął się od ściany. I wtedy do środka wtargnęli dwaj obcy w garniturach.

Eddie zignorował ich brak kultury, kiedy przepychali się obok niego. Nagle poczuł, jak jeden z nich sięga mu za marynarkę i zaczyna wyciągać jego berettę z kabury pod pachą. Odwrócił się, żeby zareagować, ale tamten przystawił mu do czoła pistolet z tłumikiem. Max został rozbrojony równie szybko. Wszystko trwało dwie sekundy.

- Jeden ruch i nie żyjecie - ostrzegł większy z mężczyzn. Mówił po angielsku z obcym akcentem.

W ciasnym pomieszczeniu Eddie nie mógł wykorzystać wszystkich swoich umiejętności walki wręcz, ale nie zamierzał się poddać. Naprężył mięśnie i przeciwnik to wyczuł. Max zainkasował cios pistoletem w brzuch i wypuścił gwałtownie powietrze z płuc.

- To ostatnie ostrzeżenie.

Drzwi zasunęły się z cichym sykiem i winda ruszyła do góry.

Kiedy Max łapał oddech, w głowie Eddiego wirowały myśli. Zastanawiał się, jak ich wytropiono tak łatwo i prędko i czy powinien ujawnić swoje podejrzenie, że mają do czynienia z Zelimirem Kovacem, człowiekiem wymienionym w podsłuchanej przez nich rozmowie telefonicznej. Był też ciekaw, dlaczego Kyle Hanley jest taki ważny dla responsywidów, że tak ryzykują, by go odzyskać. Nie widział w tym sensu.

- Będziesz musiał mnie zabić - zdołał w końcu powiedzieć Max. - Nie dostaniesz już mojego syna w swoje ręce, Kovac.

Serb wyglądał na zaskoczonego, że Max zna jego nazwisko, ale wyraz zaskoczenia szybko zniknął z jego twarzy. Musiał się domyślić, że słyszeli nagranie z podsłuchu. Eddie zdał sobie sprawę, że mimo powierzchowności oprycha Kovac nie jest głupi.

- Najprawdopodobniej to zrobię - zgodził się Serb.

Nie wcześniej niż spróbujesz się dowiedzieć, kim jesteśmy, pomyślał Eddie, i jak dużo wiemy.

Jako karta przetargowa było to niewiele, ale zawsze coś. Na miejscu Kovaca starałby się sprawdzić, jak głęboko spenetrowano system bezpieczeństwa responsywidów. Ile czasu zyskają, zależało od tego, jak będą przesłuchiwać. Jak uda im się wykorzystać ten czas, to inna sprawa. On i Max byli zdani na siebie. Pomoc nie nadejdzie, a personel hotelu został poinstruowany, żeby nie przeszkadzać gościom apartamentu na ostatnim piętrze pod żadnym pozorem.

Zanim winda dojechała na górę, Eddie uświadomił sobie ponuro, że Kovac ma ich w garści.

Co oznaczało, że on i Max muszą się rozdzielić, jeśli chcą wyjść z tego żywi. Max był kiedyś doskonałym żołnierzem frontowym i zdaniem Eddiego nie ustępował przebiegłością prezesowi, ale nie miał kondycji do ucieczki i nie zostawiłby syna.

Drzwi windy się otworzyły. Kovac i jego milczący towarzysz cofnęli się i pokazali pistoletami Maksowi i Eddiemu, żeby wyszli pierwsi. Dwaj członkowie Korporacji wymienili spojrzenia.

Rozumieli się bez słów. Myśleli tak samo i doszli do identycznego wniosku. Max opuścił powieki i ledwo dostrzegalnie skinął głową, by zasygnalizować Eddiemu, że wie, iż każdy z nich musi próbować ucieczki na własną rękę, ale nie ruszy się bez syna. Eddie wyczytał z jego twarzy pozwolenie na działanie bez względu na konsekwencje.

Poszli korytarzem do swojego apartamentu. Zatrzymali się przy drzwiach. Eddie znów rozważył atak. Wspólnik Kovaca stał wystarczająco blisko, by Eddie zabił go jednym ciosem, ale Serb trzymał się przezornie kilka kroków dalej. Znał się na rzeczy.

- Wyjmij kartę magnetyczną lewą ręką - rozkazał Kovac.

Eddie zrozumiał. Większość praworęcznych ludzi włożyłaby tę kartę do prawej kieszeni. Byłoby niewygodnie sięgnąć po nią lewą ręką. Odwrócił się częściowo twarzą do Kovaca.

- Na drzwiach jest specjalna blokada zamka. Nie wejdziemy.

- Znam się na tym. Wejdziemy. Jak będziesz dalej kombinował, to przestrzelę ci lewe kolano.

Eddie wepchnął lewą ręką do prawej kieszeni spodni, wydobył kartę magnetyczną i wsunął do czytnika. Czerwona dioda zgasła i rozbłysła zielona. Obrócił klamkę.

- Cofnijcie się - rozkazał Kovac.

Eddie i Max wykonali polecenie. Wspólnik Kovaca wszedł do apartamentu. Po kilku sekundach usłyszeli okrzyk doktora Jennera:

- Co to ma znaczyć?

Intruz zignorował jego powtórne pytanie i po dwudziestu sekundach zawołał do Kovaca po angielsku z wyraźnym amerykańskim akcentem:

- Czysto. Tylko terapeuta i chłopak.

Kovac machnął bronią i Max z Eddiem weszli do pokoju. Serb obejrzał blokadę gałki na drzwiach i sprytnie zostawił je otwarte.

- Tata? - Kyle Hanley wstał z kanapy. Nie wyglądał wcale gorzej pod działaniem leków, które krążyły w jego żyłach od dwudziestu czterech godzin.

- Kyle.

- Jak mogłeś mi to zrobić? - wrzasnął Kyle.

- Zrobiłem to, bo cię kocham - odrzekł bezradnie Max targany sprzecznymi uczuciami.

- Cisza! - ryknął Kovac.

Podszedł energicznym krokiem do Jennera. Górował nad nim jak wieża. Jenner wydawał się kurczyć, ostatni protest zamarł mu na ustach. Zabójca się odezwał, ledwo hamując wściekłość.

- Pan Severance zabronił mi cię zabić, ale nic nie mówił o tym. - Zdzielił psychiatrę uchwyceniem pistoletu w głowę.

Dwie rzeczy stały się jednocześnie. Zakrwawiony Jenner zaczął się osuwać na podłogę, a Eddie Seng wystartował sprintem, wykorzystując w pełni chwilowe zamieszanie.

Od drzwi balkonowych dzieliło go dziesięć kroków i zdążył pokonać trzy czwarte tego dystansu, zanim ktokolwiek się zorientował, co się dzieje. Max przesunął się odruchowo nieco w prawo, by zasłonić cel towarzyszowi Kovaca, podczas gdy Serb wciąż stał triumfalnie nad upadającym psychiatrą.

Eddie dobiegł do drzwi w pełnym pędzie i skulił się w ostatnim ułamku sekundy, zanim przebił delikatną drewnianą szczelinę krzyżową i stare fasetowe szyby. Szkło pokaleczyło mu skórę, pocisk zagwizdał obok i trafił w dom naprzeciwko, wznosząc obłoczek ceglanego pyłu.

Eddie prawie nie zwolnił przed balustradą. Przeskoczył nad nią i obrócił się w powietrzu twarzą

do budynku, kiedy zaczął spadać. Chwycił się dwóch z niezliczonych prętów z kutego żelaza, śliskie od potu dłonie pozwoliły mu zsunąć się gładko w dół dwadzieścia jeden metrów nad ulicą.

Uderzył rękami w betonową platformę w momencie, gdy dotknął końcami palców nóg balustrady balkonu piętro niżej. Bez wahania puścił się i przechylił do tyłu, by znów opaść w kierunku chodnika. Kiedy mijał balkon na czwartym piętrze, sięgnął przed siebie i znów złapał się dwóch prętów z kutego żelaza, by zwolnić i nie stracić kontroli nad opadaniem. Dawał niesamowity popis siły, wyczucia równowagi i zupełnego braku strachu.

Balansował na balustradzie na trzecim piętrze i przygotowywał się do kolejnego skoku, zanim Kovac wybiegł na balkon apartamentu. Spodziewał się zobaczyć zwłoki Eddiego rozciągnięte na asfalcie, toteż nie zauważył go, dopóki Seng nie dał kroku w tył z balustrady. Serb otworzył ogień i zasypał go gradem pocisków.

Eddie czuł, jak przecinają powietrze wokół niego, kiedy zsuwał się po prętach. Walnął rękami w beton. Rozciągnął maksymalnie całe ciało, ale nie mógł dosięgnąć stopami balkonu pod sobą. Nadgarstki bolały go z wysiłku, więc rozwarł dłonie i opadł dwa centymetry niżej, zanim znalazł oparcie dla stóp. Zamachał ramionami i znów poleciał w dół. Pomyślał, że jeśli nie połamie sobie rąk, zanim wyląduje na ulicy, to będzie cud.

Kovac nie mógł dobrze wycelować, więc zamiast ryzykować, że zauważą go przechodnie, którzy zaczęli się gapić na kaskaderskie wyczyny Eddiego, schował pistolet do kabury i wszedł do apartamentu.

Eddie zastanawiał się przez moment, czy nie zeskoczyć na balkon i nie wejść do pokoju na drugim piętrze, ale nie miał pojęcia, ilu ludzi Kovaca obstawiło hotel. Uznał, że lepiej zniknąć możliwie jak najszybciej i przegrupować się później.

Znów dał krok do tyłu i otarł sobie skórę na suchych już dłoniach, gdy zjeżdżał po prętach. Najniższy balkon wisiał półtora piętra nad chodnikiem z powodu wysokiego sufitu w holu hotelowym. Przepaść pod nim miała prawie sześć metrów. Na lewo od Eddiego było jaskrawożółte łukowe zadaszenie nad wejściem. Przeszedł po balustradzie jak linoskoczek i opadł plecami na usztywnioną tkaninę.

Kiedy zsuwał się po jej krzywiźnie, sięgnął między nogi i chwycił się metalowego szkieletu zadaszenia. Wykonał salto nad krawędzią, trzymając się tak mocno jak mógł otartymi rękami, zawisnął na moment na drążku, po czym zgrabnie wylądował na ziemi. Kilka osób w nieświadomym wydarzeń tłumie nagrodziło go oklaskami.

Eddie pobiegł chodnikiem, omijając ludzi. Ryk potężnego silnika przebił się przez hałas ruchu ulicznego. Eddie się obejrzał i zobaczył, jak duży czarny motocykl Ducati wskakuje na krawężnik i rusza za nim. Spanikowani przechodnie uciekali z drogi, gdy motor przyspieszył. Eddiego dzieliło od ducati około pięciu metrów, a maszyna wciąż zwiększała prędkość.

Zamarkował skręt do księgarni obok hotelu i dał nura w lewo na maskę zaparkowanego auta. Prześliznął się po niej rozpędem i spadł na jezdnię tuż przed ciężarowym volvo, które znalazło trochę miejsca w korku do nabrania szybkości. Kierowca nie zauważył Eddiego, więc nie zdjął nogi z gazu. Eddie miał najwyżej sekundę na unik przed wielkimi oponami. Zasłonił głowę w daremnej próbie jej ochrony, gdy dziesięciokółowiec przetaczał się nad nim. Gorąco od silnika uderzyło go w plecy jak żar z otwartego pieca hutniczego.

Ciężarówka nagle zahamowała z poślizgiem na asfalcie. Eddie znów usłyszał motocykl. Najwyraźniej wrócił na jezdnię między dwoma samochodami stojącymi przed volvo.

Wygramolił się spod pojazdu. Odkryty dwupoziomowy autobus turystyczny stał na pasie ruchu w przeciwnym kierunku. Zatrzymał się, żeby wysadzić pasażerów. Eddie był blisko jego tyłu, na tyle daleko od kierowcy, że nie powinien zostać zauważony. Skoczył na bok autobusu i wybił się do góry, by oderwać się od jezdni. Wierzgnął drugą nogą, oparł ją na ciężarówce, która nadal stała metr od niego, i zyskał następne pół metra. Dzięki swojej sile i sprawności odbijał się stopami od dwóch pojazdów na przemian i wspinał coraz wyżej między nimi, nie zwracając uwagi na przestraszonych ludzi w autobusie, aż dotarł do dachu volvo. Wtoczył się bez tchu na ciężarówkę i odpocząłby chwilę, gdyby nie skwiercząca dziura, która pojawiła się nagle centymetry od jego twarzy.

Spojrzał w górę. Kovac znów był na balkonie i celował w niego. Serbowi raczej nie groziło zaalarmowanie przechodniów strzałami, nie musiał się więc spieszyć. Eddie zerwał się, przebiegł po ciężarówce i przeskoczył na autobus, który właśnie ruszał. Poszybował nad ławką zajęta przez japońskich turystów i wylądował między rzędami siedzeń. Podbiegł na tył autobusu i zobaczył, jak ducati omija przód ciężarówki volvo i startuje za nim.

Eddie wydostał się z hotelu, ale jeszcze nie uciekł.

Motocyklista w czarnym skórzanym kombinezonie trzymał się tuż za autobusem i nawet nie próbował udawać, że go nie śledzi. Eddie nie wiedział, czy facet ma radio w kasku. Gdyby on kierował taką akcją, wszyscy jego ludzie byłiby w stałym kontakcie ze sobą, więc przypuszczał, że motocyklista dostanie wkrótce wsparcie. A ponieważ Kovac musiał otrzymać szczegółowy raport na temat drużyny, która porwała Kylea Hanleya, najprawdopodobniej ściągnął do Rzymu duże siły, by chłopaka odbić.

Autobus wjechał na czteropasmową arterię i nabrał prędkości. Zbliżał się do Koloseum. Samochody zajeżdżały sobie drogę, dźwięczały klaksony, kierowcy wykonywali przez okna obraźliwe gesty. Ducati podążał za autobusem jak płaszczka za wielorybem.

Eddie gimnastykował palce, żeby przywrócić w nich krążenie, i zastanawiał się, jak wybrnąć z tarapatów. Zostawił komórkę w apartamencie, bo Max nosił przy sobie swoją. Wpadł na szaleńczy pomysł i gdyby nie to, że miał coraz mniej czasu, zrezygnowałby z niego. Ale zaczynał być zdesperowany.

Zszedł po spiralnych schodach z tyłu autobusu na dolny poziom. Z ulgą stwierdził, że niewielu turystów uczestniczy w zwiedzaniu tej części miasta. Na górze było tylko piętnaście osób i zaledwie kilka na dole. Nikt nie zwrócił na niego uwagi, kiedy ruszył przejściem między siedzeniami w stronę kierowcy. Z przodu siedziała tłumaczka i piłowała pilniczkiem paznokcie w przerwach między krótkimi komentarzami dotyczącymi oglądanych miejsc. Na widok Eddiego przerwała manikiur i uśmiechnęła się promiennie. Z jego rysów wywnioskowała, że należy do jej grupy, więc zapytała go o coś po japońsku.

Zignorował ją całkowicie. Kierowca był w białej koszuli, czarnym krawacie i czapce bardziej odpowiedniej dla pilota samolotu pasażerskiego. Eddie ucieszył się, że mężczyzna jest szczupły. Chwycił go za prawe ramię i poderwał z fotela. Schylił się, gdy kierowca przetaczał się po jego barkach, a potem szybko wyprostował i odrzucił mężczyznę na odległość kilku kroków, w pobliże głównych drzwi autobusu. Tamten uderzył w nie nogami i znieruchomiał.

Wielki diesel lekko zwolnił, zanim Eddie znalazł się za kierownicą z nogą na pedale gazu. Przewodniczka wrzeszczała, pasażerowie z tyłu wpadli w przerażenie. Eddie spojrzał w duże boczne lusterka i gwałtownie zahamował.

Wszędzie wokół natychmiast zadźwięczały klaksony. Ducati wyskoczył z autobusu po

ominięciu na styk samochodu, który uderzył w tył piętusa. Przewodniczka zaczęła lamentować. Motocykl zbliżał się przy środkowej linii między pasami ruchu. Eddie pozwolił mu dojechać do połowy długości autobusu, zanim znów nacisnął gaz i skręcił w lewo. Ducati nie miał dokąd uciec. Na drugiej połowie jezdni był korek. Gdyby motocyklista trzymał się blisko tyłu autobusu, mógłby się za niego schować, ale postanowił wyrwać do przodu i przemknąć przez wąską przestrzeń. Zredukował bieg i przyspieszył. Przednie koło uniosło się z asfaltu, gdy silnik o pojemności tysiąca centymetrów sześciennych wszedł z wyciem na wyższe obroty. Motocyklista pochylił się nisko nad kierownicą, by zmniejszyć opór powietrza i zwiększyć prędkość.

Nie miał szans. Odbił się od autobusu trzy metry za fotelem Eddiego i wpadł na samochód na lewym pasie. Przeleciał przez kierownicę, zamachał w powietrzu rękami i nogami i uderzył głową w tylną szybę następnego auta stojącego w korku. Szkło rozprysło się na drobne kawałki. Eddie mógł mieć tylko nadzieję, że kask uratuje mężczyźnie życie. Kolidzja zapoczątkowała reakcję łańcuchową i na wszystkich czterech pasach ruchu doszło do stłuczek.

Eddie zatrzymał autobus i uruchomił mechanizm otwierający drzwi. Uchyliły się tylko, bo blokowało je ciało nieprzytomnego kierowcy. Kiedy zaczął słabnąć przyływ adrenaliny, który trwał przez ostatnie przerażające minuty, Eddie przypomniał sobie, jak prezes zawsze żartuje w takich sytuacjach. To nie było w stylu Senga.

- Przepraszam - powiedział do przewodniczki i przepchnął się przez drzwi.

Popatrzył na chaos panujący na jezdni za nimi. Była zatarasowana od krawężnika do krawężnika uszkodzonymi samochodami. Kierowcy stojący przy swoich pojazdach krzyczeli i gestykulowali, jak tylko Włosi potrafią. Już miał skręcić w boczną ulicę, gdy zobaczył, że jakiś sedan przebija się przez masę aut niczym atakujący czołg. Dwaj mężczyźni odskoczyli na bok, kiedy ich samochody zostały wepchnięte na inne pojazdy. Sedan zwolnił. Miał rozbity przód, kierowcę i pasażera zasłoniły przez chwilę napętnione poduszki powietrzne.

Eddie wiedział, że to jego prześladowcy.

Wrócił biegiem do autobusu i ciosem za ucho powalił ponownie kierowcę, który właśnie wolno wstawał. Ładna przewodniczka wrzasnęła, gdy znów wskoczył za kierownicę, i zaczęła trajkotać po włosku tak szybko, że jej słowa zlewały się w jeden długi ciągły dźwięk.

Przesunął selektor automatycznej skrzyni biegów. Autobus ruszył tak ostro, że przewróciło się kilkoro pasażerów, którzy wcześniej wstali ze swoich miejsc.

Prowadząc piętusa jedną ręką wokół Koloseum, Eddie chwycił mikrofon wiszący nad jego prawym ramieniem i krzyknął:

- Wszyscy na górę, już!

Garstka spanikowanych turystów rzuciła się do tyłu autobusu, by wykonać rozkaz, i zrobiła tłok na schodach. Eddie obserwował w lusterku wstecznym czerwonego sedana - fiata bravo, jak mu się zdawało - który podjął pościg zapchaną autami ulicą. Samochód zrównał się z autobusem. Eddie spojrzał w bok. W fiacie siedzieli trzej mężczyźni. Pasażer z przodu trzymał ręce poniżej dolnej krawędzi okna, ale w dłoniach faceta z tyłu Eddie zauważył broń.

Mężczyzna na tylnej kanapie wystawił przez okno lufę karabinu szturmowego i otworzył ogień do autobusu. Pociski roztrzaskały szyby, wypełnienie siedzeń poszybowało w powietrzu niczym konfetti. Eddie skręcił na fiata i zmusił jego kierowcę do hamowania. Chóralne wrzaski pasażerów na górze piętusa przybrały histeryczny ton.

Eddie zmienił gwałtownie pas ruchu, żeby ominąć korek, i poczuł, jak siła odśrodkowa przechyla

autobus i unosi wewnętrzne koła. Skontrował lekko kierownicą, ciężki pojazd opadł na jezdnię i zakołysał się niebezpiecznie. Skończyli okrążyć Koloseum i wyjechali na prostą w kierunku północno-wschodnim. Po obu stronach ulicy nowe przeplatało się ze starym, gdy mijali w pędzie biurowce, kościoły i ruiny świątyń. Fiat znów spróbował wyprzedzić autobus, ale Eddie zajechał mu drogę i usłyszał z zadowoleniem zgrzyt metalu.

Przyspieszył do ponad osiemdziesięciu kilometrów na godzinę i pomyślał, że musiał uszkodzić sedan bardziej, niż mu się zdawało, bo auto zostało za nim. Wtedy zaterkotała seria z broni automatycznej. Mimo wielkości autobusu poczuł trafienia w karoserię. Strzelali w silnik z tyłu w nadziei, że zatrzymają pojazd i wtedy łatwo wykończą Eddiego.

Eddie zobaczył przed sobą obiekt, który wyglądał jak ogromny tort weselny. Masywna budowla z marmuru górowała nad całą okolicą. Eddie przypomniał sobie mgliście, że upamiętnia ona Wiktora Emanuela II, króla, który zjednoczył Włochy. Pompatyczny charakter architektury podkreślały rozmiary budowli, pogarszając wygląd całości - kolumny i stopnie przypominały bardziej olbrzymią sztuczną szczękę niż monument ku czci wielkiego przywódcy.

Ulica biegła w lewo przed dużym brązowym posągami Wiktora Emanuela na koniu. O zachodzie słońca turyści i wędrowcy z plecakami wciąż wylegiwali się na marmurowych schodach i popijali napoje sprzedawane z wózków.

Pociski znów posiekały tył autobusu i ludzie przy pomniku rozproszyli się jak spłoszone ptaki.

Eddie wiedział, że ostrzał w końcu unieruchomi silnik albo piętrusa zatrzyma policja. Dalekie wycie syren zbliżało się z każdą sekundą. Zauważył tablicę informującą, że jest na Via dei Fori Imperiali, ale nic mu to nie mówiło. Ulica była szeroka jak na rzymskie standardy i zbyt odsłonięta jak na jego gust. Rozwidlała się przy parkingu pełnym autobusów podobnych do tego, który prowadził.

Skreślił w lewo w ulicę między trzy- i czteropiętrowymi budynkami z cegły. Sklepy oferowały wszystko od wyrobów skórzanych, poprzez elektronikę, do egzotycznych zwierząt domowych. Ale wciąż było za szeroko na to, co zamierzał Eddie. Światła hamulcowe rozbłysły nagle przed autobusem, gdy prędkość ruchu spadła do tempa pełzania. Eddie nacisnął klakson i wjechał na krawężnik. Chodnik był za wąski dla dużego pojazdu. Piętrus kosił parkometry jak kombajn zboże i odpychał na bok samochody wśród kakofonii autoalarmów i krzyków.

Przewrócił stojaki przed sklepem z pamiątkami, wyrzucając do góry chmurę kolorowych pocztówek i coś, co Eddie wziął z przerażeniem za kobietę, ale okazało się, że to manekin reklamujący jakiś T-shirt. Prawe lustro odpadło, gdy zawadził o budynek.

Wpadł na skrzyżowanie. Samochody wokół hamowały z piskiem opon, gdy Eddie kierował się w stronę wąskiego zaułka, bardziej korytarza między domami niż ulicy. Wjeżdżały tam auta, ale stamtąd nie wyjeżdżały.

Ludzie Kovaca znów otworzyli ogień do autobusu, kiedy zmienili magazynki. Diesel przestał nagle reagować na naciskanie pedału gazu i Eddie zobaczył w ocalałym lewym lusterku wstecznym dym wydobywający się z komory silnikowej.

- No dalej, stary, jeszcze pięćdziesiąt metrów.

Diesel przerywał i załapywał, na przemian zamierał i ożywał. Eddie sięgnął po mikrofon, kiedy przestrzeń między budynkami zbliżyła się, ale nie powiększyła.

- Trzymajcie się wszyscy.

Wyczuł, że silnik za moment wyzionie ducha, więc wrzucił luz i przejechał rozpędem ostatnich

dziesięć metrów. Usłyszał, jak diesel zaciera się ze zgrzytem, od którego pękłoby inżynierskie serce Maksa.

Autobus wtoczył się w mroczny zaułek z zapasem zaledwie dziesięciu centymetrów po każdej stronie. Lewe lusterko się odłamało. Uliczka na wprost zwężała się jeszcze bardziej, bo jeden dom był trochę większy niż sąsiednie. Eddie zahamował moment wcześniej, nim piętros uderzył w budynek, odbił się do tyłu, otarł o przeciwległą ścianę i zaklinował. Kolizja wywołała nową falę głośniejszej paniki na górze, ale krzyki szybko ucichły, co wskazywało, że nikt nie ucierpiał.

Duża czerwona gaśnica była umocowana tuż poniżej nóg Eddiego. Wyciągnął ją z uchwytu i walnął nią w przednią szybę. Szkło popękało, ale się nie rozbiło. Uderzył znów i jeszcze raz, aż w końcu wybił w szybie otwór wielkości człowieka. Wskoczył przez otwór, podparł się ręką przy lądowaniu na ciepłym asfalcie i zerwał do biegu. Kiedy się obejrzał, zobaczył gęsty dym za autobusem. Ludzie Kovaca nie mogli się wspinać na pojazd, więc musieliby się cofnąć i okrążyć budynek mieszkalny, jeśli nie zostali zablokowani przez samochody, które wjechały za nimi w zaułek.

Eddie skręcił za róg, zwolnił do normalnego tempa pieszego i wmieszał się w tłum ludzi wracających z pracy do domu lub idących na kolację z rodzinami. Po chwili usłyszał pisk opon i dał nura do taksówki. Ruszyła, gdy fiat bravo hamował u wylotu uliczki. Zgubił ich.

Kilka minut później dał kierowcy parę euro i wysiadł z samochodu, który utknął w korku. Kupił komórkę na doładowanie w kiosku z papierosami, wszedł do zatłoczonego baru, zamówił piwo u dziewczyny za ladą i zadzwonił do hotelu. Personel wciąż się ekscytował wyczynem mężczyzny, który zszedł na dół po balkonach, więc upłynęło kilka minut, zanim Eddie zdołał wyjaśnić, że uzbrojeni bandyci włamali się do jego pokoju. Recepcjonista obiecał wezwać policję. Eddie zostawił mu numer swojej komórki.

Po piętnastu minutach, kiedy piwo Eddiego zniknęło, zadzwieczył jego telefon.

- Pan Kwan? - Na takie nazwisko wynajęli apartament.

- Tak.

- Nasz szef wszedł do pana pokoju z policją. Zastali tam mężczyznę nazwiskiem Jenner rannego w głowę - powiedział przeproszająco recepcjonista. - Chcieliby, żeby pan wrócił do hotelu i złożył zeznanie. Mają dużo pytań dotyczących tego, co się stało, i wypadku, który zdarzył się w pobliżu.

- Oczywiście, zawsze chętnie współpracuję z władzami. Będę za dwadzieścia minut.

- Dziękuję, panie Kwan.

- Dziękuję. - Eddie wybrał inny numer. Kiedy ktoś odebrał telefon, polecił bez wstępów: - Mały, szykuj się do wylotu z tego kraju. Postaram się być tam jak najszybciej.

Nie czekał na odpowiedź pilota, przerwał połączenie i znów zadzwonił. Kiedy słuchał sygnału, myślał o tym, że Kovac na sto procent nie zostanie w Rzymie ani w ogóle we Włoszech, więc nie ma sensu kręcić się tutaj i dać się zgarnąć policji.

- Halo.

- Prezesie, tu Eddie. Kovac porwał Maksa. Juan nie od razu się odezwał.

- A co z Kyleem?

- Podejrzewam, że to sprawka tego gówniarza.

Zaczekaj chwilę - odrzekł Cabrillo, analizując sytuację.

Był sam w kabinie. Na biurku piętrzyły się papiery, którymi zbyt długo się nie zajmował. Przez interkom połączył się z centrum operacyjnym.

- Tak, prezesie? - zgłosił się natychmiast nocny dyżurny.

- Jaki jest status radioczipa identyfikacyjnego Maksa Hanleya?

Każdy członek Korporacji miał wszczepiony w nogę mikroczip lokalizacyjny, który wysyłał słaby sygnał do satelitów telekomunikacyjnych okrążających Ziemię. Dzięki tym urządzeniom, zasilanym przez układ nerwowy sporadycznymi przeskórnymi impulsami elektrycznymi jak rozruszniki serca, Juan zawsze wiedział, gdzie są wszyscy jego ludzie.

- Nie odbieram sygnału. Moment. Mam. Komputer pokazuje, że jego transponder przestał działać jedenaście minut temu około trzech kilometrów od hotelu, gdzie był ze swoim synem. Eddiego funkcjonuje prawidłowo. Jest w centrum Rzymu mniej więcej pół kilometra od Koloseum.

- Dzięki. - Juan wyłączył interkom i wrócił do rozmowy przez telefon na biurku, nowoczesny aparat, ukryty dla niepoznaki w bakelitowej obudowie z lat trzydziestych XX wieku. - Lokalizator Maksa nie działa.

- Domyśliłem się - odparł Eddie.

- Tak was wytropili w Rzymie. Kyleowi Hanleyowi wszczepili czipa w Grecji. I sprawdzili Maksa na wypadek, gdybyśmy zrobili to samo.

- Prawdopodobnie wycięli mu go z uda w jakimś pojeździe, którym uciekli.

- Ale nawet najlepszy czip może ci wskazać tylko przybliżoną lokalizację, bo żaden nie ma takiej mocy jak GPS - zauważył Juan.

- Dlatego uważam, że Kyle im pomógł. Kiedy zaskoczyli Maksa i mnie w windzie hotelowej, zabrali nas z powrotem do apartamentu. Kyle wcale mi nie wyglądał na takiego odurzonego. Myślę, że doszedł do siebie podczas naszego lotu z Krety i udawał przez ostatnią część podróży. Zostawiliśmy go na kilka minut samego w jednej z sypialni, kiedy rozmawialiśmy z doktorem Jennerem. Sprawiał wrażenie zamroczonego, ale jeśli był przytomny, mógł zadzwonić do Kovaca lub kogoś innego z organizacji i podać im nazwę hotelu i numer pokoju.

- Więc Kovac namierzył go w Rzymie dzięki nadajnikowi radiowemu, a Kyle skierował go pod właściwy adres.

- Tylko takie wytłumaczenie ma sens.

- A Jenner? To on mógł nas sprzedać.

- Mógł - zgodził się Eddie - ale moim zdaniem nienawidzi responsywistów jak spec od detoksu prochów. Poza tym nie widziałeś, jak Kovac walnął go pistoletem. Nie, Jenner jest zdecydowanie po naszej stronie.

- Po prostu głośno myślę.

- Wiesz, Juan, oni podjęli cholerne ryzyko, żeby odbić tego chłopaka. To nie miałyby sensu,

gdyby Kyle był tylko szeregowym członkiem ich ruchu.

- Więc musi być jakoś zaangażowany w to, co planują.

- Albo przynajmniej dowiedział się o tym w ośrodku - dodał Eddie.

- Uprawdzili go dla absolutnego bezpieczeństwa operacji.

- Jeśli są takimi paranoikami, to nie ma mowy, żeby wpuścili Lindę do kompleksu.

- Już odwołałem to zadanie. Dowiedzieliśmy się, że Kovac był na pokładzie „Golden Dawna” i

najprawdopodobniej jest odpowiedzialny za śmierć tamtych ludzi. Linda przygotowuje Kevina Nixona do spotkania z Donna Sky.

Eddie się zastanowił.

- Miałem kontakt z Kovacem tylko przez chwilę, zanim prysnąłem, ale mogę to sobie wyobrazić.

Facet wygląda jak Boris Karloff, ten przedwojenny filmowy Frankenstein, ale ma większy obłęd w oczach. Coś mi się przypomniało. Kovac powiedział, że Severance zabronił mu zabić Jennera. Nie rozumiem tego, ale dlaczego mieliby zostawić Jennera, a porwać Maksa?

- Nie wiedzą, czy Kyle z nim rozmawiał, kiedy był z nami.

- Nie. Chodzi mi o to, dlaczego po prostu nie zabili ich obu? Mieli okazję, i tak byłoby o wiele prościej.

- Z tej samej przyczyny. Chcą wiedzieć, czy Kyle coś mówił.

- Maksa czekają ciężkie przeżycia.

- Owszem - przyznał z troską Juan. - Tego się obawiam.

- Co mam robić? - zapytał Eddie po dłuższej chwili milczenia, kiedy obaj zastanawiali się nad implikacjami odpowiedzi Cabrillo.

- Wróc na „Oregon” w Monako. Pokierujesz tamtą inwigilacją.

- Nadal wybierasz się na Filipiny? - spytał zaskoczony Eddie.

- Nie mam wyjścia - odparł Juan zrezygnowanym tonem. - Musimy przycisnąć Severancea, jeśli chcemy uwolnić Maksa.

- Sama podróż zajmie ci większość dnia. Bóg jeden wie, ile czasu upłynie, zanim coś znajdziesz, nawet jeśli to coś istnieje. Naprawdę uważasz, że Max wytrzyma tak długo?

Juan wypowiedział następne słowa zarówno dla uspokojenia siebie, jak i Eddiego.

- Nie wiesz tego, bo Max nigdy o tym nie mówi, ale spędził pół roku w obozie jenieckim podczas swojej drugiej tury w Wietnamie. To, jak się tam nad nim znęcali, przechodzi ludzkie pojęcie. Wytrzyma. Jestem tego pewien.

- Juan, to było czterdzieści lat temu. Max nie jest już młody.

- Odporność na tortury nie zależy od siły fizycznej. Zależy tylko od siły ducha. Myślisz, że Max jest teraz słabszy psychicznie? Nie, jest twardszy niż wtedy. I wie, że zrobimy wszystko, żeby go wyciągnąć.

- Jak się stamtąd wydostał? Uratowano go?

- Nie. Podczas przymusowego marszu do nowego obozu on i jego dwaj koledzy rzucili się na strażników. Zabili czterech żołnierzy Wietkongu gołymi rękami i zniknęli w dżungli. Tylko Max znalazł drogę do amerykańskiej bazy wojskowej. Tamci dwaj wciąż są uznawani za zaginionych w akcji.

Następnego ranka tuż po świcie Juan stał na skrzydle mostka i patrzył, jak wschodzące słońce oświetla Księstwo Monako i słynne Monte Carlo ulokowane na skalistych klifach nad ciepłym

Morzem Śródziemnym. Tym maleńkim państwem, jedną z ostatnich monarchii na świecie, przez ponad siedem wieków rządził ród Grimaldich. Tylko japońska dynastia cesarzy na Chryzantemowym Tronie może się pochwalić dłuższym panowaniem.

Monako od dawna przyciąga światową elitę. W porcie roiło się od lśniących luksusowych jachtów. Wiele z nich miało długość ponad trzydziestu metrów, kilka nawet około stu. Juan zauważył „Matrioszkę”, którą przyplłynął cel ich inwigilacji, rosyjski handlarz bronią Iwan Kierikow. Cabrillo wiedział, że wysokie apartamentowce wokół portu i luksusowe wille na zboczach wzgórz to jedne z najdroższych nieruchomości na świecie. Ze swojego punktu obserwacyjnego nie widział sławnego kasyna w Monte Carlo, ale miał kilka miłych wspomnień z tamtego miejsca.

Zobaczył, jak z portu startuje smukła motorówka i mknie w kierunku jego statku zakotwiczonego milę morską od brzegu. Władze portowe zostały już poinformowane, że silnik frachtowca wymaga naprawy i załoga czeka na części zamienne z Niemiec. Choć „Oregon” był wewnątrz trzymilowego pasa monakijskich wód terytorialnych, kapitan portu zrezygnował z wejścia na pokład po przyjrzeniu się statkowi przez lornetkę piętnaście minut wcześniej.

Motorówka pędziła z prędkością prawie sześćdziesięciu węzłów i cięła niskie fale niczym pełnomorska łódź wyścigowa. Juan zszedł na główny pokład blisko schodni. Lincoln czekał na niego z ich torbami podróżnymi, oczy ukrywał za stylowymi okularami przeciwsłonecznymi.

- Nie podoba mi się, że od razu wyjeżdżamy - powtórzył po raz kolejny ekskomandos SEAL.
- To najlepszy sposób na uwolnienie Maksa. Dzwoniłem do kalifornijskiego biura Thoma Severancea tuzin razy i prawie im ujawniłem, kim jestem i co wiem, a skurczybyk się nie odezwał. Trzeba go przycisnąć, ale żeby to zrobić, musimy mieć jakiegoś haka na niego.

- Langston Overholt nie pomoże?
- Bez dowodów nie. Rozmawiałem z nim w nocy godzinę. Chodzi o to, że responsywiści mają mnóstwo forsy, a więc i duże wpływy w Waszyngtonie. Lang nie zadziała, dopóki nie będzie mógł dowieść, że Severance coś kombinuje.

- Kiepsko.
- Mnie to mówisz?
- Nie możemy odpuścić sobie Filipin i sami dobrać się do Severancea?
- Myślisz, że nie zastanawiałem się nad tym? Lang ostrzegł mnie, żebym tego nie robił. Obaj wiemy, że gdyby nas złapano podczas prowadzenia operacji w Stanach, nie wyszlibyśmy z więzienia do końca życia.

- Więc nie damy się złapać.
Juan popatrzył na przyjaciela. Lincoln mówił zupełnie serio.

- Jeśli do tego dojdzie, zdam się na załogę. - Wiedział, że każdy członek Korporacji zaryzykowałby wszystko, żeby odbić Maksa Hanleya, nawet mając świadomość, że już nigdy nie dostaną od Overholta żadnego zlecenia, czym szczwany lis z CIA zagroził, na wypadek gdyby Thomas Severance lub jego żona choćby zasugerowali, że są inwigilowani.

Taksówka wodna dobiła do statku. Piękno smukłej łodzi było niczym w porównaniu z urodą młodej blondynki za sterem w bluzce, która nie mogła mieć głębszego dekoltu, i w spódniczce, która nie mogła być krótsza. Ich helikopter nadal stał uszkodzony w hangarze na dole, więc skorzystanie z motorówki portowej było najszybszym sposobem dotarcia do brzegu bez zwracania niepożądaną uwagi na „Oregon”.

- Capitaine Cabrillo, je suis Donatella - zawołała dziewczyna, przekrzykując bulgot pracującego

na biegu jałowym silnika. Słyszając jej akcent, Lincoln wyszczerzył zęby w szerokim uśmiechu.

- To jest Monako - szepnął do niego Juan.

- Myślisz, że jakiś nadziany gość po nocy w kasynie chciałby popłynąć na swój jacht z brzydkim sternikiem?

Młoda kobieta trzymała się schodni, żeby zapewnić łodzi stabilność, gdy dwaj mężczyźni schodzili na dół ze skórzanymi torbami podróżnymi na ramieniu. U stóp sześciometrowych schodów Juan rzucił swój bagaż na tylną ławkę i przeszedł przez burtę.

- Dziękuję - powiedział.

Kiedy Lincoln wskoczył do motorówki, zakołysała się, jakby uderzyła w nią fala. Donatella uśmiechnęła się szeroko do nich obu i zatrzymała wzrok na Lincolnie o wiele dłużej niż na Cabrillo, gdy sięgała do chromowanej dźwigni przepustnicy.

- Prezesie! Zaczekaj! - Eric Stone wychylił się daleko poza reling w górze, żeby Juan go zauważył.

- Co jest?

- Coś znalazłem.

- To nie może poczekać? Trzymają dla nas helikopter, żeby nas zabrać na lotnisko w Nicei.

- Moment. - Eric przeszedł niezgrabnie przez reling i zbiegł po stopniach z laptopem pod pachą. Zauważył Donatellę dopiero wtedy, gdy dotarł do łodzi, ale ledwo na nią zerknął. Był najwyraźniej pochłonięty wiadomością, którą zamierzał się podzielić.

Juan skinął dziewczynie głową. Pchnęła przepustnicę. Zostawił Lincolna z Donatellą, przeszedł na rufę i odsunął bagaż, żeby on i Eric mogli usiąść. Musieli podnieść głos w szumie wiatru i ryku potężnego silnika.

- Co masz? - zapytał Juan. Eric otworzył laptop.

- Szukałem jakichś niezwykłych wydarzeń na statkach, kiedy responsywiści prowadzili te swoje „morskie rekolekcje”.

- I znalazłeś coś?

- Owszem. Pamiętasz niedawne meldunki o chorobach na statkach wycieczkowych, zwykle o zapaleniach żołądkowo-jelitowych powodowanych przez jakiegoś norowirusa?

- Zdaje się, że było tego mnóstwo w ciągu ostatnich kilku lat - zauważył Juan.

- To nie przypadek. Najpierw prześledziłem listy pasażerów towarzystw żeglugowych. - Juan nie potrzebował pytać, jak Eric zdobył takie poufne informacje. - Potem porównałem je z listami członków organizacji responsywistów. Kiedy zacząłem dostrzegać pewną prawidłowość, skupiłem się na statkach, na których wybuchły niezwykle choroby. Wtedy trafiłem w dziesiątkę. W ciągu ostatnich dwóch lat doszło do siedemnastu takich zdarzeń i w szesnastu przypadkach na pokładzie byli responsywiści. Tylko raz chorobę wywołał nie norowirus, lecz bakteria pałeczka okrężnicy E. coli pochodząca z sałaty wyhodowanej na pewnej farmie w Kalifornii. Taka sama pałeczka okrężnicy zaatakowała ludzi na Florydzie, w Georgii i Alabamie.

- A niech mnie.

- To nie wszystko. Nie ma żadnej prawidłowości, jeśli chodzi o linie żeglugowe czy porty pośrednie. Ale jest inna. Za pierwszym razem zachorowała tylko garstka pasażerów, w większości starszych wiekiem. Za drugim objawy wystąpiły u czterdziestu osób. Ale kiedy zdarzył się siedemnasty taki przypadek, dwa miesiące temu na statku „Destiny”, prawie wszyscy na pokładzie zostali zarażeni. Towarzystwo żeglugowe musiało przysłać helikopterem ekipę medyczną i zdrowych

oficerów, żeby doprowadzili statek do portu.

Juan wyciągnął się na miękkim skórzanym siedzeniu i poczuł, jak od wibracji silnika rozluźniają mu się napięte mięśnie pleców. W kokpicie Lincoln górował jak wieża nad dziewczyną za sterem i wyglądało na to, że Donatella jest zachwycona jego towarzystwem. Pęd powietrza niósł jej śmiech. Juan nagle pochylił się do przodu.

- Udoskonalali metody rozprzestrzeniania.

- Mark i ja też tak uważamy. Za każdym razem szło im coraz lepiej, aż w końcu osiągnęli prawie stuprocentową zachorowalność.

- Jak „Golden Dawn” pasuje do tej prawidłowości?

- Kiedy opracowali sposób zarażenia wszystkich na statku, musieli wypróbować zabójcze działanie tej toksyny.

- Na swoich ludziach? - Cabrillo był zaszokowany.

- Ofiary mogły być osobami, które stworzyły tę truciznę. Po co mieli ryzykować, że ktoś z tej grupy się wyłamie?

- Wielki Boże! Dlaczego? - Juan miał przed sobą fragmenty układanki, tylko nie wiedział, jak je dopasować do siebie. Co responsywiści mogli zyskać, zabijając ludzi na statkach wycieczkowych? Tylko jedna odpowiedź przychodziła mu do głowy: absolutnie nic.

Wyobrażał sobie, jak chętnie taką okazję wykorzystająby ugrupowania terrorystyczne, i brał pod uwagę ewentualność, że jedno z nich zapłaciło za taką broń, ale responsywiści mieli dość pieniędzy od swoich hollywoodzkich zwolenników.

Opowiadali się za regulacją liczebności populacji. Uważali, że zabicie piętnastu czy dwudziestu tysięcy emerytów przepuszczających spadek dzieci podczas rejsów na Karaiby zmniejszy przeludnienie świata? Jeśli byli na tyle szaleni, to musieli planować coś znacznie większego.

Juan czuł, że jest o krok od rozwiązania zagadki, ale wiedział, że brakuje mu jakiegoś elementu.

- Czegoś nie dostrzegamy.

Motorówka zwolniła, kiedy wpłynęli do portu, i skierowała się do nabrzeża obok eleganckiej restauracji. Kelner spłukiwał szlauchem drewniany pomost w oczekiwaniu na tłum gości, którzy przyjdą leczyć kaca śniadaniem.

- Czego nie dostrzegamy? - zapytał Eric. - Ci psychole chcą zatruć ludzi na statkach wycieczkowych toksyną powodującą sto procent zgonów.

- Niecałe sto procent. Jeśli użyli jej na „Golden Dawnie”, to dlaczego Jannike przeżyła?

- Oddychała nieskażonym tlenem - przypomniał Eric.

- Nawet z rurkami intubacyjnymi w nozdrzach wchłaniała powietrze tłoczone przez system wentylacyjny statku.

- To miałoby znaczenie, gdyby wirus był w powietrzu. Ale mógł być w wodzie lub jedzeniu. Może nie jadła ani nie piła.

- Daj spokój, Eric, nie kombinuj. Musieli zarazić wszystkich jednocześnie, bo inaczej ktoś wezwałby pomoc przez radio. Nie masz wpływu na to, kto kiedy pije wodę lub je, co obala twoją wcześniejszą teorię, że zatruli jedzenie.

Stone wyglądał na rozgoryczonego.

- Przepraszam. Masz rację. Za dużo red bulla, za mało snu.

- A może atak na „Golden Dawnie” był czymś nadprogramowym, a nie etapem eskalacji?

- Co masz na myśli?

- Nie wiem. Po prostu się zastanawiam. Osiągnęli prawie stuprocentową śmiertelność dwa miesiące temu na tamtym statku.

- „Destiny”.

- Właśnie. Nie mieli powodu powtarzać tego na innym. Już wiedzieli, że ich metoda się sprawdziła.

- Więc zlikwidowali ludzi na „Dawnie”, żeby ich uciszyć? Juan wstał, kiedy Donatella skończyła cumować łódź.

- Nie wiem - powtórzył. - Posłuchaj. Czeka na nas wyczarterowany odrzutowiec, który ma nas zabrać do Manili. Zadzwoń do Langstona i powiem mu to wszystko. Jeśli nie weźmie się za Severancea, to może przynajmniej ostrzeże linie żeglugowe o ewentualności ataku terrorystycznego.

Cabrillo był pewien, że Overholt przekaże jego informacje, ale wątpił, żeby cokolwiek zrobiono. Od jedenastego września stale napływały niesprecyzowane groźby i większość z nich ignorowano jak krzyki bajkowego pastuszka, że zbliża się wilk.

- Donatella?

- Oui, capitaine.

- Zechciałabyś odstawić mojego młodego przyjaciela z powrotem na mój statek? Obciąż tym konto, które podałem twojemu szefowi.

- Oczywiście. To będzie dla mnie przyjemność.

- Dla niego na pewno też. - Juan odwrócił się do Erica. - Pracuj nad sprawą i dzwoń do mnie, jak tylko będzie coś nowego.

- Jasne, szefie.

Lincoln i Cabrillo wzięli bagaże i wyszli z łodzi na nabrzeże.

- Co ci dała? - zapytał Juan.

Lincoln wyciągnął wizytówkę z kieszeni lekkiej skórzanej kurtki.

- To? Swój numer telefonu domowego i komórki.

- Przy tym wszystkim, co się dzieje, masz jeszcze głowę do seksu?

- Prezesie, nauczyłem się, że życie to reprodukcja i ewolucja, a ta dziewczyna niedługo zatęskni za mną.

- Reprodukcja i ewolucja, tak? - Juan pokręcił głową. - Jesteś taki sam jak Murphy i Stone.

- Z tą różnicą, Juan, że ja chodzę na randki, a tamci kolesie tylko fantazjują na ten temat.

Max Hanley obudził się w morzu cierpienia.

Ból promieniował z uda i głowy. Napływał falami i uderzał w ciemność z siłą huraganowego sztormu. W pierwszym odruchu Max chciał pomasować skronie i ustalić, co się stało z jego nogą, ale nawet ledwo przytomny pamiętał, żeby się nie ruszać, dopóki nie odzyska większej zdolności jasnego myślenia. Nie miał pojęcia dlaczego, ale wiedział, że to ważne. Minał jakiś czas. Mogło upłynąć pięć minut, mogło upłynąć dziesięć. Max oceniał to tylko według miarowego łupania w głowie i bólu w nodze, który nasilał się i słabł w rytm bicia serca.

Kiedy wróciło mu więcej świadomości, zorientował się, że leży na łóżku bez pościeli. Miał szorstki materac pod nagimi ramionami. Udając, że nadal śpi, zmienił lekko pozycję. Przynajmniej nie pozbawili go całkiem godności i zostawili mu bokserki. Ale poczuł zimną stal wokół nadgarstków i kostek.

Nagle wszystko sobie przypomniał. Zelimira Kovaca, ucieczkę Eddiego i mdły słodki zapach szmaty, którą przycisnęli mu do nosa i ust. Głowa bolała go zatem od środków odurzających. Gwałtowne przerażenie podziałało na niego jak policzek. Bezwiednie łapał oddech.

Był z powrotem w furgonetce oddalającej się od hotelu. Kovac zaaplikował mu tylko tyle narkotyku, żeby nie stawiał oporu, jak pijany wyprowadzany z przyjęcia. W samochodzie położono go na plecach. Ledwo zdawał sobie sprawę z obecności innych osób. Kylea? Adama Jennera? Nie potrafił powiedzieć.

Kovac przesunął wzdłuż jego ciała wykrywaczem metali, jakie są używane na lotniskach. Kiedy urządzenie zadźwięczało nad nogą Maksa, Serb rozciął mu spodnie nożem. Niemal natychmiast zauważył bliznę i bezceremonialnie wbił ostrze w ciało Maksa. Mimo lekkiego znieczulenia ból był taki, jakby wlano mu do rany roztopiony metal. Max wrzasnął przez knebel i spróbował się uwolnić od cierpienia, ale ktoś przycisnął mu ramiona do podłogi furgonetki.

Kovac obrócił nóż i powiększył ranę tak, że kiedy wycofał ostrze, mógł wepchnąć do niej palce. Noga krwawiła obficie. Max stęczał i zmagał się z bólem, jakby miał szansę go pokonać. Kovac nadal grzebał w ranie, nie dbając o to, że jest bez rękawiczek i rękaw koszuli nasiąka mu krwią.

- Aha - powiedział w końcu i cofnął rękę.

Przezskórny transponder przypominał wielkością i kształtem zegarek cyfrowy. Kovac uniósł urządzenie tak, żeby Max mógł je zobaczyć wybałuszonymi oczami. Potem Serb rzucił lokalizator na podłogę i roztrzaskał uchwytem pistoletu w drobny mak.

Następnie wkłął Maksowi w ramię igłę strzykawki do zastrzyków podskórnych i szepnął:

- Mogłem zaczekać, aż ten narkotyk zadziała, ale wtedy nie miałbym zabawy.

Max nie pamiętał nic więcej do teraz, kiedy się ocknął.

Nie miał pojęcia, gdzie jest i jak długo go tutaj trzymają. Chciał się ruszyć, pomasować skronie i obejrzeć nogę, ale był pewien, że jest obserwowany, i wątpił, żeby mógł zmienić pozycję w kajdanach. Nikt mu nie towarzyszył w pomieszczeniu. Oprzytomniał na tyle dawno, że już by kogoś

usłyszał lub wyczuł, nawet z zamkniętymi oczami. Co nie znaczyło, że na ścianach nie ma kamer i że w pobliżu nie są zainstalowane mikrofony. Chciał, by jego prześladowcy jak najpóźniej się zorientowali, że już nie śpi. Potrzebował czasu, żeby narkotyk zniknął z jego organizmu. Jeśli zamierzał wytrzymać to, czego się spodziewał, musiał być w formie.

Minęła chyba godzina - a może tylko dziesięć minut - nie był pewien. Stracił poczucie czasu. Wiedział, że deprywacja polegająca na pozbawieniu człowieka możliwości ustawienia swojego wewnętrznego zegara to ważne narzędzie w arsenale przesłuchujących, więc zmuszał się do tego, by całkowicie stracić świadomość upływu czasu. Więzień może się doprowadzić do szaleństwa, starając się ustalić, czy jest noc, czy dzień, północ czy południe, więc Max ignorował tę naturalną potrzebę, żeby jego prześladowcy nie mogli jej wykorzystać jako tortury.

W Wietnamie ten problem nigdy nie istniał. Klatki i boksy, w których trzymano jego i innych jeńców, były na tyle nieszczelne, że do środka zawsze przenikał przynajmniej promyk światła. Ale Max znał techniki przesłuchań, bo należało to do jego obowiązków, i wiedział, że deprywacja poczucia czasu przynosi efekty tylko wtedy, jeśli jest elementem sposobu myślenia oprawców.

Żeby się przekonać, co jeszcze mają w zanadrzu, musiał po prostu poczekać.

Ktoś otworzył ciężki rygiel w pobliżu. Max nie usłyszał wcześniej kroków, więc domyślił się, że drzwi są grube. Zatem pomieszczenie najprawdopodobniej zaprojektowano jako celę więzienną, a niejako coś innego, co tymczasowo przystosowano do zamknięcia go. To, że responsywiści mają taką celę w pogotowiu, nie wróżyło nic dobrego.

Drzwi otworzyły się z piskiem zardzewiałych zawiasów. Albo rzadko ich używano, albo cela mieściła się w wilgotnym otoczeniu, być może pod ziemią. Max ani drgnął, kiedy słuchał, jak dwie pary nóg podchodzą do łóżka. Jedna osoba poruszała się ciężiej niż druga, ale obie zdecydowanie były mężczyznami. Kovac i jakiś jego współnik?

- Powinien się już ocknąć - powiedział Zelimir Kovac.

- To kawał chłopca, więc powinien - zgodził się drugi mężczyzna. - Ale każdy jest inny.

Kovac spoliczkował lekko Maksa. Hanley wydał jęśliwy odgłos, jakby coś poczuł, ale był półprzytomny.

- Minęły dwadzieścia cztery godziny - stwierdził serbski zabójca. - Jak nie obudzi się za godzinę, wstrzyknę mu stymulant.

- I zaryzykujesz zatrzymanie serca?

Max miał lekkie nadciśnienie. Musiał być przytomny, kiedy wróca.

- Pan Severance niedługo tu będzie. Trzeba się dowiedzieć, jaką rozmowę przeprowadził ten facet ze swoim synem. Cały czas trzymali chłopaka na środkach uspokajających. Kto wie, co mógł im zdradzić pod wpływem leków?

Potrzebują szybko informacji, pomyślał Max. Wbrew powszechnemu przekonaniu porządne przesłuchania zajmują tygodnie, często nawet miesiące. Jediną możliwością szybkiego wydobycia zeznań jest zadawanie bardzo dotkliwego bólu. Ofiara mówi wtedy oprawcy wszystko, co ten chce usłyszeć. Przesłuchujący nie powinien ujawniać swoich zamiarów, żeby więzień nie miał wyboru i powiedział całą prawdę.

Maksowi została godzina na zastanowienie się, co może chcieć usłyszeć Kovac, bo żadne moce piekielne nie zmuszą go, żeby kiedykolwiek powiedział skurczybykowi prawdę.

Kevin Nixon poczuł mdłości, kiedy ominął zaporę i wszedł na plan filmowy. Będąc tutaj, łamał

przysięgę złożoną swojej nieżyjącej siostrze. Mógł mieć tylko nadzieję, że wybaczyłaby mu, gdyby знаła okoliczności. Tę część nowego filmu z Donna Sky kręcono w starym magazynie opuszczonym po zjednoczeniu Niemiec. Budynek trochę przypominał Nixonowi „Oregon”, tylko że tutaj rdza była prawdziwa. Parking zajmowało pół tuzina ciągników siodłowych z naczepami, ciężarówki cateringowe, rusztowanie, dźwigi operatorskie i wąskie szyny do ujęć z wózka. Kobiety i mężczyźni uwijali się na planie jak w ukropie, bo w branży filmowej czas to dosłownie pieniądz. Kevin ocenił po tym, co zobaczył, że producenci wydają tutaj około stu pięćdziesięciu tysięcy dolarów dziennie.

Zorganizowany chaos podczas kręcenia wysokobudżetowego filmu był mu dobrze znany, ale jednocześnie już zupełnie obcy.

Umundurowany, ale nieuzbrojony ochroniarz właśnie zamierzał go zatrzymać, gdy czyjś głos zawołał:

- Nie wierzę własnym oczom. To naprawdę ty?

Gwen Russell przemknęła obok ochroniarza, uściskała mocno Nixona, ucałowała go w oba policzki i wtuliła głowę w jego gęstą brodę. Zawsze pełna energii, puściła go szybko i przyjrzała się mu.

- Wyglądasz fantastycznie - stwierdziła w końcu.

- Przekonałem się wreszcie, że żadna dieta na świecie mi nie pomaga, więc dwa lata temu zdecydowałem się na bypass żołądka.

Po trwającej całe życie walce z otyłością to był desperacki krok, ale się opłacił. Przed zabiegiem Kevin nie ważył poniżej stu kilogramów od czasów studenckich. Teraz utrzymywał wagę swojego dobrze zbudowanego ciała na poziomie osiemdziesięciu czterech kilogramów.

Kucharze na „Oregonie” przygotowywali mu specjalne posiłki odpowiednio do jego pooperacyjnej diety. Choć nigdy nie przepadał za ćwiczeniami fizycznymi, bezwzględnie przestrzegał swojego codziennego reżimu.

- Zadziałało niesamowicie, stary.

Obróciła go dookoła, wzięła pod rękę i poprowadziła w kierunku rzędu przyczep zaparkowanych wzdłuż jednej krawędzi placu.

Gwen miała wściekle różowe włosy i pół tuzina kolczyków w każdym uchu. Nosiła co najmniej piętnaście złotych naszyjników, jaskrawo-kolorowe spodnie motocyklowe i męską koszulę z oxfordu. Była asystentką Nixona, kiedy nominowano go do Oscara, potem stała się samodzielną wziętą charakteryzatorką.

- Zniknąłeś wszystkim z horyzontu ładnych parę lat temu. Nikt nie wiedział, co się z tobą dzieje - wyrzuciła z siebie jednym tchem. - Opowiadaj, co robiłeś.

- Nie ma o czym, naprawdę. Prychnęła.

- Akurat. Przepadłeś chyba na osiem lat i mówisz, że nie ma o czym opowiadać? Nie znalazłeś Boga czy coś takiego? Zaraz, powiedziałeś, że chcesz porozmawiać z Donna. Dołączyłeś do tej samej grupy, co ona, do reakcjonistów?

- Responsywistów - poprawił Kevin.

- Wszystko jedno - odpaliła Gwen ze swoim najlepszym akcentem kalifornijskiej dziewczyny z San Fernando Valley. - Należysz do nich?

- Nie, ale muszę porozmawiać z nią o tym.

Doszli do przyczepy charakteryzatorskiej. Gwen otworzyła drzwi i rozłożyła schodki. Zapach kosmetyków i potpourri przytłaczał. Sześć krzeseł stało pod drugim lustrem wzdłuż blatu zawalonego

słoiczkami i buteleczkami różnej wielkości i kształtu, kredkami do oczu i tyłoma pędzelkami do makijażu, że wystarczyłoby ich do odkurzenia stadionu piłkarskiego. Gwen wyjęła z małej lodówki dwie butelki wody, rzuciła jedną Kevinowi i opadła na krzesło. W mocnym świetle jej włosy połyskiwały jak wata cukrowa.

- No więc ulotniłeś się zaraz po Oscarach. Nawiasem mówiąc, jeden należał się tobie. Co się urodziło?

- Musiałem uciec z Hollywood. Nie mogłem już tego wytrzymać. Kevin oczywiście nie zamierzał jej mówić, czym się zajął po odejściu z branży filmowej, ale była jego bliską przyjaciółką i zasługiwała na to, żeby poznać prawdę.

- Znałaś mnie - zaczął. - Byłem lewicowcem jak każdy. Głosowałem na demokratów, nienawidziłem republikanów, wspierałem finansowo ekologów i jeździłem hybrydowym samochodem. Nie różniłem się od reszty hollywoodzkiego establishmentu.

- Tylko mi nie mów, że stałeś się konserwatystą - powiedziała Gwen z udawanym przerażeniem. Nigdy nie wykazywała najmniejszego zainteresowania polityką.

- Nie - zaprzeczył. - Po prostu rozpatruję we właściwym kontekście to, co się stało. Wszystko się zmieniło po jedenastym września. - Gwen zbladła na samą wzmiankę o tej dacie, jakby wiedziała, dokąd zmierza opowieść. - Moja siostra leciała z Bostonu zobaczyć się ze mną.

- Nie.

- Była w samolocie, który uderzył w północny wieżowiec World Trade Center.

Gwen sięgnęła tam, gdzie siedział, i chwyciła go za rękę.

- Tak mi przykro. Nie miałam pojęcia.

- Nie mogłem się zdobyć na to, żeby komuś o tym powiedzieć.

- Więc dlatego odszedłeś. Z powodu śmierci siostry.

- Nie bezpośrednio - odrzekł Kevin. - No może. Sam nie wiem. Wróciłem do pracy trzy tygodnie po jej pogrzebie i starałem się znów normalnie żyć. Robiłem charakterystykę do filmu o tej tragedii. Nie powiem ci, która aktorka grała główną rolę, bo jest teraz jeszcze większą gwiazdą, niż była wtedy. Siedziała na krześle i rozmawiała ze swoim agentem o tych atakach. Powiedziała coś w rodzaju: „Wiesz, uważam, że to, co spotkało tamtych ludzi, było straszne, ale ten kraj zasłużył na to. Chodzi mi o to, jak traktujemy resztę świata. Nic dziwnego, że nas nienawidzą”.

- To nie była wtedy odosobniona opinia - dodał Nixon. - I nie jest teraz. Ale potem powiedziała, że ci ludzie, którzy zginęli, tak jak moja siostra, byli tak samo winni temu, co się stało, jak porywacze. Nie wierzyłem własnym uszom. Moja siostra miała dwadzieścia sześć lat i właśnie zaczynała staż lekarski, a ta przepłacana laska obciążała ją odpowiedzialnością za ataki terrorystyczne. Kompletna ignorancja, Gwen. Ludzie w Hollywood są tak oderwani od rzeczywistości, że po prostu nie mogłem tego znieść. Ta aktorka zarabiała miliony za paradowanie przed kamerą w bieliźnie, czym obrażała wrażliwość muzułmanów, a winiła moją siostrę za ich nienawiść do nas.

- Słuchałem, co mówili ludzie z branży - ciągnął dalej Kevin - przez kilka następnych miesięcy i przekonałem się, że wszyscy myślą mniej więcej tak samo. Potrafiłem strawić wypowiedzi, że to wina Ameryki. Tylko nie mogłem się pogodzić z tym, że nikt nie uważa, iż on też jest częścią tej Ameryki.

Kevin przemilczał to, że poszedł prosto do CIA, żeby zaoferować swoje nietypowe usługi, i to, że dostał dużo bardziej ambitne i lukratywne zajęcie w Korporacji, prawdopodobnie dlatego, że

Langston Overholt przekazał jego nazwisko Juanowi, zanim Agencja w ogóle się dowiedziała, że jest zainteresowany pracą u nich.

Przystosowanie się do paramilitarnego charakteru pirackiej bojowej organizacji Cabrillo było łatwe i Nixon po raz pierwszy zrozumiał, na czym polega urok wojska. Nie chodziło o udział w akcjach i przeżywanie przygód, bo większość dni upływała monotonnie. Wzbudziło jego podziw koleżeństwo, wzajemna lojalność mężczyzn i kobiet. Jeden czuł się odpowiedzialny za drugiego, za bezpieczeństwo innej osoby, co tworzyło dużo silniejsze więzi, niż Kevin uważał za możliwe.

Ale podczas pobytu na „Oregonie” tak naprawdę niewiele się zmienił. Nadal dawał pieniądze liberałom, głosował korespondencyjnie na demokratów, ilekroć pamiętał o terminie wyborów, i garażował hybrydowy samochód w Los Angeles. Po prostu bardziej cenił swobodę robienia tych rzeczy.

Gwen przerwała przedłużające się milczenie.

- Kurczę, tak mi przykro. Szczerze mówiąc, nie zwracam na to uwagi.

- Tak jak ja kiedyś, ale teraz... - Urwał i wzruszył ramionami. Wyczuł, że wprawia ją w zakłopotanie. Może zmienił się bardziej, niż mu się zdawało.

Drzwi przyczepy nagle otworzyły się gwałtownie. Podczas wywiadów w porannych talk-show czy na czerwonym dywanie w czasie premiery jakiegoś filmu Donna Sky błyszczała. Była uosobieniem stylu, opanowania i elegancji. Kiedy teraz wtargnęła do charakterystornii w czapce bejsbolowej i bez makijażu maskującego trądzik, wyglądała jak każda udręczona, przewrażliwiona dwudziestoparolatka, która uważa, że coś jej się należy. Miała przekrwione oczy i sińce pod oczami. Kevin z daleka poczuł od niej wypity w nocy alkohol.

- Kim pan jest, do cholery, i co pan tu robi? - zapytała ostro Nixona. Charakterystyczny głos łamał jej się z powodu wyraźnego kaca. Urwała, przyjrzała mu się i w końcu go poznała. - Kevin Nixon, zgadza się? Robił mi pan charakteryzację do Rodzinnych klejnotów.

Kevin wstał.

- To była pani wielka szansa, jak pamiętam.

- Kiedyś musiałam ją dostać - odparła Donna, pełna wysokiego mniemania o sobie. Usiadła na krześle zwolnionym przez Kevina i spojrzała przez ramię na Gwen. - Zlikwiduj mi te wory pod oczami, dobra? Zdjęcia mam dopiero za kilka godzin, ale nie mogę na siebie patrzeć.

Kevina korciło, żeby jej powiedzieć, że nie powinna tak ostro balangować w nocy, ale ugryzł się w język.

Gwen zerknęła znacząco na Kevina i odrzekła:

- Jasna sprawa, kochanie. Dla ciebie wszystko.

- Pracuje pan przy tym filmie? - zwróciła się Donna do Nixona, kiedy Gwen wzięła się do roboty ze swoimi pędzelkami i kredką do oczu.

- Nie. Przyszedłem porozmawiać z panią, jeśli nie miałaby pani nic przeciwko temu.

Westchnęła ze znużeniem.

- O rany. O czym?

Kevin spojrzał na Gwen. Zrozumiała.

- Donna, kochanie, może Kevin zrobi ci makijaż, żebyście mogli pogawędzić na osobności?

- Dobrze.

Nixon wypowiedział bezgłośnie do Gwen „dzięki”, gdy się cofnęła i wręczyła mu pędzelek. Zaczekał, aż wyjdzie z przyczepy, i zabrał się do pracy.

- Chodzi mi o Thoma Severancea i ruch responsywistów. Donna Sky natychmiast zeszywniała.

- Przykro mi, ale ten temat odpada.

- To ważne. Od tego może zależeć ludzkie życie.

- Nie mam ochoty rozmawiać o tym, okej? Chce pan się czegoś dowiedzieć o mojej karierze lub życiu towarzyskim, proszę bardzo. Ale z nikim już nie dyskutuję o responsywizmie.

- Dlaczego?

- Bo nie!

Kevin spróbował przypomnieć sobie wszystko, czego Linda nauczyła go o przesłuchaniach w ciągu minionych dwudziestu czterech godzin.

- Około tygodnia temu statek wycarterowany przez responsywistów zatonął na Oceanie Indyjskim.

- Wiem. Widziałam w wiadomościach. Podobno uderzyła w niego fala, która ma jakąś specjalną nazwę.

- Fala fenomenalna - podpowiedział Kevin. - Takie fale są nazywane fenomenalnymi.

- O właśnie. W statek uderzyła fala fenomenalna.

Kevin wyjął laptop z plecaka, który wziął ze sobą, odsunął na bok rupiecie Gwen i postawił komputer na blacie. Po chwili znalazł potrzebny mu plik.

Jakość materiału wideo była marna, bo Mark Murphy używał kamery w słabym świetle na „Golden Dawnie”, ale ujęcia wystarczająco wyraźnie pokazywały przerażenie na twarzach martwych członków załogi na mostku i kałuże krwi na pokładzie. Kevin odtwarzał to przez pięć minut.

- Co to jest? Film, przy którym pan pracuje?

- Te zdjęcia zostały zrobione na „Golden Dawnie”. Wszystkich pasażerów i całą załogę uśmiercono tak silną toksyną, że nikt nie zdążył wezwać pomocy przez radio. - Kevin znalazł inny fragment zapisu wideo, tym razem z kamery na maszcie „Oregona”, która zarejestrowała zatonięcie statku wycieczkowego. Nazwa na jego dziobie była wyraźnie widoczna w blasku szperaczy.

- Kto to nakręcił i dlaczego nie trafiło to do mediów? - spytała zdezorientowana Donna Sky.

- Nie mogę ujawnić, kto to sfilmował, ale media nie dostały tego dlatego, że to był atak terrorystyczny i władze nie chcą, żeby sprawcy dowiedzieli się, co wiemy.

Musiał przyznać, że jest pojętna. Załapała, co oznacza fakt posiadania przez niego tego materiału.

- Jest pan kimś... to znaczy, pracuje pan dla...?

- Nie mogę odpowiedzieć wprost, ale to, że mam te zdjęcia, powinno wystarczyć, żeby się pani domyśliła.

- Dlaczego pan mi to pokazuje? Nic nie wiem o terroryzmie.

- Pani nazwisko wypłynęło w śledztwie, a dowody świadczą, że tego ataku dokonał ktoś z ruchu responsywistów. - Powiedział to najłagodniej jak umiał i czekał na jej reakcję. Uwierzy mu czy wezwie ochronę i każe go wyrzucić z planu?

Wpatrywała się w niego w lustrze. Kevin potrafił zmieniać twarze, ale nie potrafił z nich czytać. Nie miał pojęcia, co myśli Donna. Zastanawiał się, jak on by zareagował na wiadomość, że jego duszpasterz jest terrorystą.

- Nie wierzę panu - oświadczyła w końcu. - Uważam, że stworzył pan ten materiał wideo, żeby zdyskredytować Thoma i Heidi.

Przynajmniej mnie nie wyrzuciła, pomyślał Kevin.

- Po co miałbym to robić? - zapytał. - Z jakiego powodu miałbym fabrykować te zdjęcia i

podróżować przez pół świata, żeby je pani pokazać?

- Skąd mam to wiedzieć? - warknęła Donna.

- Proszę pomyśleć logicznie. Gdybym chciał zdyskredytować responsywistów, nie dostarczyłbym tego CNN lub Fokswi?

Kiedy się nie odezwała, Kevin poprosił ją o szczerą odpowiedź.

- Pewnie tak.

- Skoro tego nie zrobiłem, to chyba muszę mieć inny cel?

- Być może - przyznała.

- Więc dlaczego nie powie mi pani prawdy?

- Responsywiści nie uznają przemocy. Nie ma mowy, żeby sprawcami byli członkowie naszej grupy. Zrobiła to prawdopodobnie jakaś banda radykalnych antyaborcjonistów lub ktoś w tym rodzaju.

- Panno Sky, niech mi pani wierzy, że sprawdziliśmy wszystkie znane grupy na świecie, poszukując winnych. Stale powracają responsywiści. I nie mówię o szeregowych członkach. - Kevin był teraz na fali i kłamał jak z nut. - Uważamy, że istnieje jakiś odłam waszego ruchu, który popełnił tę zbrodnię i może planować następne takie ataki. Oboje dobrze wiemy, że niektórzy ludzie posuwają się w swojej wierze do skrajności. Naszym zdaniem mamy do czynienia z ekstremistami w waszej organizacji. Jeśli naprawdę chce pani pomóc swoim przyjaciołom, musi mi pani powiedzieć wszystko, co wie.

- Okej - zgodziła się potulnie.

Rozmawiali prawie godzinę, zanim wróciła Gwen. Towarzyszyło jej kilka statystek, którym musiała zrobić makijaż do zbliżających się zdjęć. Kevin nabrał w końcu przekonania, że Donna Sky nie wie absolutnie nic o tym, na co natknęła się Korporacja. Czuł też, że aktorka jest smutną, samotną młodą kobietą, która stała się niewolnicą własnego sukcesu, i że przywódcy ruchu responsywistów postanowili ją zwerbować właśnie z tego powodu. Mógł mieć tylko nadzieję, że pewnego dnia Donna znajdzie w sobie tyle wewnętrznej siły, że zdoła stanąć na własnych nogach. Wątpił, by tak się stało, ale mógł mieć nadzieję.

- Bardzo dziękuję za rozmowę - powiedział, gdy zapakował swój laptop.

- Chyba niezbyt panu pomogłam.

- Wręcz odwrotnie. Była pani wspaniała. Dzięki.

Przyglądała się swojemu odbiciu w lustrze. Znów roztaczała urok, który tak urzekał widzów w salach kinowych. Ślady nocnych ekscesów zniknęły. Kevin umiejętnie przywrócił jej twarzy niewinny, a jednocześnie zmysłowy wyraz. Tylko smutek w jej oczach był autentyczny.

Lot na Filipiny zajął Cabrillo i Franklinowi Lincolnowi nieco ponad czternaście godzin. Podróż ze stolicy, Manili, do Tubigon na wyspie Bohol, położonej w środku archipelagu składającego się z ponad siedmiu tysięcy wysp, trwała prawie drugie tyle, choć mieli do pokonania niewiele więcej niż czterysta osiemdziesiąt kilometrów w linii prostej. Ale Juan wiedział z doświadczenia, że w krajach Trzeciego Świata rzadko coś jest proste.

Ponieważ transport lądowy nie mógł być zapewniony na Bohol, musieli najpierw polecieć na pobliską wyspę Cebu, wypożyczyć mocnego, choć wiekowego dżipa, i poczekać na prom, żeby przepłynąć przez cieśninę Bohol. Lincoln stwierdził, że prom jest tak stary, iż opony zwisające z jego zardzewiałych burt powinny już zbieleć. Płynęli w głębokim przechyle na prawą burtę, choć celowo bardziej obciążono lewą. Mogli tylko pomarzyć o śnie podczas rejsu, bo świny w naczepie ciągnika siodłowego, który stał obok ich dżipa, cierpiały na chorobę morską nawet na tych osłoniętych wodach. Smród i kwiki obudziłyby nieboszczyka.

Dwukrotnie podczas przeprawy silniki z niewiadomych przyczyn zamilkły. Za pierwszym razem przestały pracować tylko na kilka minut. Za drugim załoga majstrowała przy nich prawie godzinę pod okiem opryskliwego głównego mechanika, zanim znów je uruchomiła.

Niepokój, czy przeżyją tę podróż, był pożądaną odmianą dla Cabrillo. Odrywał go na trochę od rozmyślań o losie Maksa. Ale gdy diesle ponownie zaczynały pracować, Juan natychmiast wracał myślami do przyjaciela. Jak na ironię ojciec Hanleya zginął na Filipinach w obronie wyspy Korrehidor w pierwszych miesiącach po przystąpieniu Stanów Zjednoczonych do drugiej wojny światowej.

Juan wiedział, że Max zrobi wszystko, żeby ochronić swojego syna i Korporację. Jego lojalność dorównywała wierności Bogu wszystkich świętych. Cabrillo miał nadzieję, że znajdą coś, co umożliwi im wywarcie nacisku koniecznego do uwolnienia Maksa. Nie łudził się, że Zelimir Kovac nie użyje brutalnych metod, by wyciągnąć z niego informacje. A jeśli Max nie wytrzyma i zacznie mówić, wkrótce będzie martwy.

Ta myśl powtarzała się w głowie Cabrillo jak dźwięk zacinającej się płyty.

Kiedy wreszcie pojawiły się światła Tubigon, zadzwieczał jego telefon satelitarny.

- Cabrillo.

- Cześć, Juan, tu Linda.

- Jest jakaś wiadomość?

- Severance się nie odezwał, jeśli o to ci chodzi.

- Tak, o to. Cholera.

Dziesięć telefonów do lidera responsywistów i ciągle nic. Juan udawał szefa firmy ochroniarskiej, rzekomo wynajętej przez Maksa do uwolnienia jego syna. Nagadał się tyle z recepcjonistką, że wiedział o jej zwyczaju czytania romansów w przerwach na lunch. Za każdym razem, kiedy dzwonił, przepraszała go, że Severance jest nieosiągalny, i przełączała go na pocztę

głosową. Juan zaproponował mu, że zapłaci każdą sumę za uwolnienie Maksa, a gdy nie dostał odpowiedzi, zaczął grozić. W swoim ostatnim telefonie ostrzegł, że jeśli Max nie zostanie wypuszczony cały i zdrowy, to on dopadnie rodzinę Severancea.

Była to czcza pogroźka - dzięki Langstonowi Overholtowi - ale Severance nie wiedział o tym. I wyglądało na to, że nic sobie z gróźb nie robi.

- Co się teraz dzieje? - spytał Cabrillo.

- Kevin właśnie zakończył spotkanie z Donna Sky. Ona nic nie wie.

- Jest tego pewien?

- Rozmawiali przez godzinę - odrzekła Linda swoim głosem wróżki z kreskówki. - Ona jest po prostu aktorką, która należy do sekty pomyleńców. Jest zbyt znana, żeby się bezpośrednio angażować w coś niewłaściwego. I jak donoszą szmatławce zajmujące się skandalami w świecie sławnych i bogatych, będzie zajęta na planie nowego filmu z jej udziałem co najmniej przez cztery najbliższe miesiące. Niewątpliwie z powodu rozgoryczenia, że jej ostatni ukochany wyjechał na tournée do Australii ze swoim zespołem, który, nawiasem mówiąc, zdaniem Marka Murphyego jest do dupy.

- Więc mnie pewnie by się podobał - odparł Juan, przetrawiając ostatnią informację. - Jeśli Gil Martell nie wymienił jej nazwiska w rozmowie z Severanceem po naszym włamaniu do jego biura, to musiało chodzić o coś innego. Możesz poprosić Halego, żeby jeszcze raz przesłuchał to nagranie?

- Klął na czym świat stoi, kiedy mu powiedziałam, że może się mylić, a potem zgłosił się do tego na ochotnika.

- Obiecuj mu dodatkową porcję grogu. Coś jeszcze?

- Eddie wrócił z Rzymu i mamy dobry nasłuch na jacht handlarza bronią, ale na razie nie było nic istotnego.

Cabrillo zupełnie zapomniał o tej operacji.

- Okej. Dobra. Informuj mnie na bieżąco. Lincoln i ja jesteśmy jakieś trzy godziny drogi od ośrodka responsywiwistów na Filipinach. Będziemy z tobą w kontakcie.

- Przyjęłam, prezesie. Udanych łowów. „Oregon”, bez odbioru. Juan się rozłączył.

- Ta cała sprawa z Donna Sky to niewypał? - zapytał Lincoln w mrocznym wnętrzu dżipa. Ubrany od góry do dołu na czarno, wyglądał jak wielki cień siedzący obok Cabrillo.

- Tak. Ona nic nie wie.

- To był strzał w ciemno. Taka kobieta nie może wyprowadzić psa na spacer bez śledzących ją paparazzich.

- Linda powiedziała mniej więcej to samo - odrzekł ponuro Juan. - Powinienem to sam wiedzieć.

- Prezesie, od początku chwytny się wszelkich sposobów jak tonący brzytwy. Nie psuj mi teraz humoru. Pójdziemy śladem informacji, którą mamy, i zobaczymy, dokąd nas to zaprowadzi. Może zabrnijemy w ślepy zaułek, ale trzeba sprawdzić wszystko.

- Wiem - przytaknął Juan. - Tylko chodzi o to...

- ...że tym razem trzeba ratować tyłek Maksa - dokończył za niego Lincoln. - I to cię gryzie.

Cabrillo zmusił się do zmęczonego uśmiechu.

- Delikatnie mówiąc.

- Posłuchaj, to jest nasz najpewniejszy trop, jak dotąd. Czterystu responsywiwistów było tu Bóg wie jak długo i teraz wszyscy są martwi, najprawdopodobniej dlatego, żeby nie wypaplali, co tutaj robiono. Znajdziemy to, co jest nam potrzebne, i wyciągniemy Maksa i jego syna.

Juan doceniał te pocieszenia, ale nie poprawiły mu nastroju. Mogły to sprawić tylko dwie rzeczy:

powrót Maksa na „Oregon” oraz uziemienie Thoma Severancea i Zelimira Kovaca.

Prom dopłynął do przystani i uderzył w drewniane pale, co było jednym z najgorszych pokazów marynarskiej sztuki, jakie Cabrillo widział. Dziesięć minut później, kiedy przycumowano statek i opuszczono pochylnię, Lincoln od palił silnik dżipa i zjechali na nabrzeże. Natychmiast otworzyli okna, żeby pęd powietrza wywiał smród świń.

- Taka sama dobra pora jak każda - powiedział Juan i oparł stopę na desce rozdzielczej.

Podwinął nogawkę spodni. Brzydka pękata proteza z plastiku miała kolor skóry. Odczepił sztuczną nogę, rozwiązał but i zdjął z niej razem ze skarpetą. W stopie widniała niewielka dziurka. Juan wyjął z kieszeni mały klucz ampulowy, wetknął go do otworka i obrócił w lewo. Zwolnił w ten sposób mechanizm wbudowany w protezę, który otwierał łydkę niczym staromodną śniadaniówkę. W nodze nazywanej przez Juana „przemytniczą” były dwa pistolety Kel-Tek.

Mimo małych rozmiarów strzelały dziewięciomilimetrową amunicją. Do tej operacji rusznikarz na „Oregonie” zrobił wgłębienia wierzchołkowe w siedmiu pociskach każdego pistoletu i wypełnił je rtęcią. Gdy pocisk wnikał w ciało i zwalniał, rtęć była wyrzucana z jego wierzchołka i rozrywała tkankę tak jak kumulacyjny ładunek wybuchowy rozrywa pancerz czołgu. Postrzał gdziekolwiek w tułów był śmiertelny, a draśnięcie w ramię czy biodro urywało kończynę. Cabrillo wręczył jeden miniaturowy pistolet Lincolnowi, drugi wetknął sobie z tyłu za pasek.

Mały ładunek plastiku i dwa zapalniki ustawione na pięć minut też były w przemytniczej nodze. Juan przekonał się przez lata, że ilekroć jego proteza wywoływała reakcję wykrywacza metalu na lotnisku, a on podciągał nogawkę, żeby ją pokazać, tylekroć był przepuszczany dalej z przepraszającym uśmiechem. Choć podczas tej podróży nigdzie na granicy nie użyto psów do wykrywania materiałów wybuchowych, miał na wszelki wypadek buteleczkę pastylek nitrogliceryny i wytłumaczenie, że choruje na serce.

Asfaltowej drogi za miastem, prowadzącej między wzgórzami, nie naprawiano od kilkudziesięciu lat. Responsywiści działali na przeciwległym krańcu wyspy, toteż jazda do tamtego rejonu trwała godzinę. Słońce nad horyzontem oświetlało pierwotny las deszczowy i dżunglę, przez które szosa biegła jak w szmaragdowym tunelu. Nieliczne mijane wioski składały się z kilku prymitywnych, krytych strzechą chat z dziwnymi przybudówkami z blachy falistej. Poza okresem japońskiej okupacji podczas wojny życie w tej części archipelagu nie zmieniło się od tysiącleci.

Osiem kilometrów od celu Lincoln skręcił z drogi i wjechał głęboko w gęste zarośla, by ukryć dżipa. Nie mieli pojęcia, czy responsywiści zostawili strażników na swoim terenie, więc woleli nie ryzykować niepotrzebnie. Przez kilka minut poprawiali kamuflaż i zacierali ślady kół samochodu. Choć wiedzieli, gdzie stoi, nie widzieli go z szosy. Juan usypał mały kopiec z drobnych kamieni na poboczu, by potem trafili do dżipa.

Włożyli na ramiona plecaki ze sprzętem, weszli do dżungli i rozpoczęli długi marsz. Słońce zniknęło i pozostała tylko zielona poświata, która ledwo przenikała przez korony wysokich drzew. Jej barwa przypominała Cabrillo basen zanurzeniowy „Oregon” nocą przy włączonych lampach podkadłubowych.

Mimo swojej masy Lincoln posuwał się przez dżunglę ze zwinnością drapieżnego kota i znajdował najmniejsze luki w gęstej roślinności, by nie poruszyć ni listka. Zdawało się, że ledwo muska stopami piaszczysto-ilasty grunt. Skradał się tak umiejętnie, że symfonia dźwięków wydawanych przez owady i ptaki - sygnałach alarmu - ani na chwilę nie ucichła, ani nie przybrała na sile.

Cabrillo siedł za nim i stale oglądał się za siebie, żeby sprawdzić, czy nikt ich nie śledzi. Wilgotność powietrza była tak duża, że przy każdym oddechu miał wrażenie, że wciąga płyn do płuc. Pot spływał mu obficie po plecach i przesiąkał przez czapkę bejsbolową. Czuł jego zimno i śliskość na styku kikuta z protezą nogi.

Po dwóch godzinach ostrożnej wędrówki przez las deszczowy Lincoln uniósł rękę, po czym położył się na ziemi. Cabrillo zrobił to samo i podpełzł do ekskomandosa SEAL. Byli na skraju dżungli. Przed nimi rozciągała się otwarta trawiasta przestrzeń. Niecałe pół kilometra dalej teren się urywał i opadał do morza niemal pionowymi zboczami i zniszczonymi przez erozję klifami.

Ze słońcem za plecami Cabrillo nie obawiał się odbicia światła od szkieł lornetki, gdy badał wzrokiem okolicę. Responsywiści postawili pojedynczy metalowy budynek niedaleko urwisk. Miał wielkość magazynu i lekko spadzisty dach, by spływała po nim woda z opadów o rocznej sumie ponad czterech metrów. Światło dzienne dostawało się do środka tylko przez matowe świetliki, bo nie było okien. Gołe ściany pomalowano czerwoną farbą antykorozyjną, jedyne drzwi wychodziły na parking dla co najmniej pięćdziesięciu pojazdów.

Jakieś trzydzieści metrów od magazynu ciągnęły się cztery rzędy prostokątnych betonowych płyt. Cabrillo naliczył czterdzieści w każdym rzędzie.

Lincoln klepnął go w ramię. Narysował prostokąt na ziemi i wskazał budynek. Potem narysował drugi prostokąt i wycelował palec w miejsce wyłożone betonem. Cabrillo zrozumiał. Lincoln narysował większy prostokąt wokół całego kompleksu i wskazał ręką otwartą przestrzeń. Musieli ją przebyć.

Juan przyjrzał się przez lornetkę zarośniętej trawą połaci ziemi i zauważył nieco odmienny pas trawy, biegnący prosto, a potem skręcający pod kątem dziewięćdziesięciu stopni. Spojrzał na Lincolna. Weteran z marynarki wojennej oparł krawędź dłoni na linii, którą narysował, na znak, że jego zdaniem teren był kiedyś ogrodzony. Potem uniósł palcami kąciki oczu.

Cabrillo skinął głową. Mieli przed sobą jakiś dawny japoński obiekt, najprawdopodobniej obóz jeniecki. Ogrodzenie usunięto lata temu, a z bloków więziennych pozostały tylko betonowe płyty. Cabrillo był ciekaw, czy responsywiści wybrali to miejsce dlatego, że mieli tu gotowe fundamenty pod swój budynek.

Obserwowali magazyn jeszcze przez dwie godziny. Jeden przekazywał lornetkę drugiemu, gdy zaczynały mu się męczyć oczy. Nic się nie poruszało, z wyjątkiem trawy po kolana, kołyszącej się w podmuchach morskiej bryzy.

Juan nagle zaklął i wstał.

- Nikogo tu nie ma. - Jego głos zabrzmiał nienaturalnie donośnie po wielu godzinach milczenia.

- Skąd wiesz? - zapytał Lincoln ochryłym szeptem.

- Posłuchaj. - Ton Cabrillo świadczył o tym, że jest wściekły na siebie. Lincoln nastawił ucha.

- Fakt, cisza, tylko ocean uderza w podnóża urwisk.

- Właśnie. Widzisz te puste uchwyty na dachu? Tu musi być ponad trzydzieści stopni ciepła, więc w budynku jest co najmniej pięćdziesiąt. W tych uchwytych były kiedyś całkiem spore klimatyzatory. Zabrali je, kiedy się stąd wynosili. Jeżeli ten magazyn nie jest wypełniony pod sufit wodą pitną, to ochrona nie wytrzymałaby tam godziny, a co dopiero tygodni od czasu, kiedy go opuścili.

Cabrillo wyciągnął rękę, żeby podnieść Lincolna z ziemi. To, że nie naderwał sobie mięśni pleców przy tym wysiłku, dowodziło, że nie próżnuje w siłowni „Oregona”.

Choć był pewien, że się nie myli, podchodzili ostrożnie do budynku i trzymali się z daleka od

drzwi dopóty, dopóki nie dotarli do ściany. Była taka gorąca, że Juan oparzył sobie końce palców, gdy jej dotknął.

Z pistoletami w dłoniach zbliżyli się do drzwi. Juan położył swój plecak na ziemi i wygrzebał kawałek gumowej rurki. Owinał ją wokół gałki, jeden koniec wręczył Lincolnowi, drugi trzymał sam. Stanęli z obu boków drzwi i Juan pociągnął rurkę. Tarcie gumy o metalową gałkę spowodowało jej obrót i drzwi się uchyliły. Gdyby w wejściu umieszczono ładunek wybuchowy, sztuczka Cabrillo uratowałaby im życie.

- Nawet niezaryglowane - zauważył Lincoln. Juan zajął do środka.

- Nic dziwnego. Zobacz.

Przy perłowym świetle wpadającym przez świetliki w magazynie panował półmrok, ale łatwo było dostrzec, że rozległe wnętrze jest zupełnie puste. Wielkiej przestrzeni nie przedzielały nawet pionowe podpory kratownicowej konstrukcji dachu. Gdyby nie małe drzwi, Juan uznałby to za hangar lotniczy. Szara betonowa podłoga była nieskazitelnie czysta. Kiedy Juan przestąpił próg, poczuł słabą woń preparatu odkażającego.

- Wygląda na to, że sprzątaczkę nas ubiegły - zażartował Lincoln, gdy stanął obok Juana.

Cabrillo milczał. W głębi duszy wiedział, że nie znajdą nic obciążającego Severancea, więc nie wywrą na niego nacisku, żeby uwolnił Maksa. Responsywiści zatarli wszelkie ślady tego, co się działo w budynku. Zdemontowali przewody wentylacyjne, instalację elektryczną i wodno-kanalizacyjną i wszystko.

- Strata czasu, cholera - powiedział w końcu z niechęcią. Lincoln się schylił i przyjrzał podłodze. Wyprostował się i stwierdził:

- Ten beton jest dość zniszczony. Przypuszczam, że wylali go Japończycy w czasie budowy reszty więzienia.

- Po diabła była im potrzebna taka wielka hala? - zastanowił się głośno Juan. - Ta okolica jest zbyt pagórkowata na lotnisko, więc to nie hangar.

- Nie wiem. Składowali tu coś?

- Produkowali - odparł Juan. - Założę się, że wykorzystywali tu jeńców wojennych jako niewolniczą siłę roboczą. Jak wszędzie na okupowanych terenach.

Lincoln dotknął palcem czubka swojego szerokiego nosa.

- Czuję, że masz rację.

Juan sięgnął po telefon satelitarny i zadzwonił na „Oregon”. Hali pracował nad nagraniem z podsłuchu, więc Juan poprosił dyżurnego radiooperatora, żeby go połączył z Erikiem Stoneem.

- Co się stało, szefie? - zapytał Eric, kiedy odebrał telefon w swojej kabinie.

- Wyświadczyć mi przysługę i poszukaj czegoś o japońskiej okupacji wyspy Bohol na Filipinach. Interesuje mnie, czy mieli tu jakieś więzienia albo fabryki.

- Co? Teraz?

- Zamach na panięską cześć Janni Dahl możesz przeprowadzić później.

- Okej, moment. - Połączenie było takie dobre, że Juan słyszał, jak Eric gorączkowo przebiega palcami po klawiaturze komputera. - Coś mam. W marcu 1943 roku utworzyli tam więzienie dla lokalnych przestępców. Zostało zamknięte w dniu powrotu MacArthura na wyspę, dwudziestego października 1944. Było nadzorowane przez jakąś Jednostkę 731. Chcesz, żebym sprawdził, co to takiego?

- Nie - odparł Juan. Mimo czterdziestoośmiostopniowego upału w hali przeszedł go dreszcz,

wiadomość zmroziła mu krew w żyłach. - Wiem, co to jest.

Rozłączył się.

- To miejsce było fabryką śmierci - powiedział do Lincolna - pod zarządem tak zwanej Jednostki 731.

- Nigdy o niej nie słyszałem.

- Nie dziwię się. W przeciwieństwie do Niemców, którzy przeprosili za Holocaust, Japończycy nie przyznali się do własnych zbrodni wojennych, zwłaszcza Jednostki 731.

- Co ona robiła?

- Miała fabryki i laboratoria w całym Chinach podczas ich okupacji i wytwarzała broń biologiczną. Według niektórych szacunków Jednostka 731 i jej podobne uśmierciły więcej ludzi niż hitlerowcy w obozach koncentracyjnych. Japończycy eksperymentowali na więźniach ze wszystkimi znanymi człowiekowi wirusami. Celowo wywołali epidemie dżumy, tyfusu i wąglika w kilku dużych chińskich miastach. Czasami rozrzucali z samolotu zarażone pchły albo ładowali je do bomb. Inną ulubioną sztuczką było przejmowanie kontroli nad lokalnymi sieciami wodociągowymi i skażanie źródeł wody pitnej.

- Uszło im to bezkarnie?

- Uchodziło przez lata. Testowali też materiały wybuchowe i broń na ludziach. Swego czasu wystrzelali, wysadzili w powietrze lub spalili setki więźniów. Gwarantuję ci, że Jednostka 731 wypróbowała dokładnie każdą torturę, jaką potrafisz sobie wyobrazić. Pamiętam taki eksperyment, że wieszali ofiary głową w dół tylko po to, żeby sprawdzić, kiedy umrą.

Lincoln nieco zbladł pod hebanową cerą. Rozejrzał się i zapytał:

- I tutaj mieli jedno ze swoich laboratoriów? Juan przytaknął.

- A lokalni filipińscy więźniowie byli ich królikami doświadczalnymi.

- Podejrzewasz to samo, co ja?

- Że Severance wybrał to miejsce z bardzo konkretnego powodu?

- Użycie toksyny na „Golden Dawnie”, którego pasażerowie wcześniej pracowali w dawnej fabryce broni biologicznej, nie mogło być zbiegiem okoliczności. A może wszyscy zarazili się tu czymś, co zostało po Japończykach?

- To nie uśmierciłoby jednocześnie całej załogi - odparł Cabrillo. - Pomyślałem o tym, jak tylko Eric wspomniał o Jednostce 731. Nie, to musiało być coś, co stworzyli tutaj.

- Uważasz, że to mądry pomysł kręcić się tu bez skafandrów ochronnych?

- Nic nam nie będzie - odrzekł Juan z przekonaniem.

- Przydałyby się chociaż maski chirurgiczne i gumowe rękawiczki - zachnął się Lincoln.

- Wypróbuj jedną z technik jogi Lindy i oddychaj oczami.

W świetle latarek zbadali każdy centymetr kwadratowy budynku, zaczynając od przeciwległych rogów. Znaleźli tylko opakowanie od gumy do zucia na podłodze.

- Nic tu nie ma - uznał Juan.

- Nie tak prędko - zaoponował Lincoln. Przyglądał się uważnie tylnej ścianie magazynu. Postukał w jedną z odsłoniętych stalowych podpór dachu. Rozległ się blaszany dźwięk. Oparł dłoń na metalowym sidingu. Powierzchnia metalu była gorąca, ale nie parzyła. Samo w sobie niczego to nie dowodziło, bo promienie słońca mogły nie padać bezpośrednio na nią, ale zachęcało do dalszych poszukiwań.

- Co masz? - zapytał Juan.

- Pewien głupi pomysł. Chodźmy.

Lincoln się odwrócił i ruszył do drzwi, licząc kroki.

- Dziewięćdziesiąt osiem, dziewięćdziesiąt dziewięć, sto - powiedział, gdy doszedł do przeciwległej ściany. - Jeden krok to metr, więc budynek ma sto metrów długości.

- Super - odrzekł Juan bez większego entuzjazmu.

- Wy, małej wiary.

Lincoln wyprowadził Cabrillo na dwór i zmierzył krokami długość bocznej ściany.

- Dziewięćdziesiąt osiem, dziewięćdziesiąt dziewięć, sto, sto jeden.

- Mimo woli stawiałaś krótsze kroki - stwierdził beznamiętnie Juan.

- Dotknij tyłu budynku - powiedział Lincoln, wiedząc, co odkryje prezes.

Juan cofnął gwałtownie palce. Metal go oparzył. Uniósł pytająco brwi.

- Podpory po drugiej stronie tej ściany niczego nie podtrzymują. Są za cienkie.

- Skąd wiesz?

- Wyszkołenie komandosa SEAL, przyjacielu. Uczyli nas konstrukcji budynków, żebyśmy wiedzieli, jak je wysadzać w powietrze. To fałszywa ściana, a za nią jest metrowa pusta przestrzeń.

- Po diabła?

- Sprawdźmy.

Wrócili do dusznego magazynu. Lincoln wyjął składany nóż z plecaka. Otworzył ostrze, wbił w metalowy siding i rozciął cienką blachę jak papier prawie do podłogi. Potem przepiłował ją w połowie poziomo ze zrzytem, od którego Cabrillo przechodziły ciarki.

Lincoln uniósł dumnie nóż. Na ostrzu nie pozostał żaden ślad.

- Emerson CQC-7a - wyjaśnił. - Przeczytałem o nich kilka lat temu i nie wierzyłem reklamie. Teraz wierzę.

Kopnął kilkakrotnie rozprutą blachę i złożył siding niczym płatki kwiatu, żeby móc wejść do ukrytego pomieszczenia. Blask jego latarki padł na...

- Nic. Pusto. Jak wszędzie tutaj - oznajmił z wyraźnym rozczarowaniem.

- Cholera.

Przeszli ciasną przestrzenią całą szerokość budynku, omiatając światłem każdą powierzchnię, żeby się upewnić. Upał był niemiłosierny, jakby stali obok tygla w hucie.

Lincoln trzymał latarkę skierowaną na podłogę, gdy coś przykuło jego uwagę. Schylił się i przesunął lekko palcami po pomalowanym betonie. Szczerzył zęby w uśmiechu, kiedy podniósł wzrok na prezesa.

- Co tam masz?

- Ten beton jest nowy. Nie na całej podłodze, tylko tutaj.

Juan też to zauważył. Mający około trzech metrów odcinek na całej szerokości ukrytego pomieszczenia był dużo gładniejszy niż reszta i niezniszczony.

- Co o tym myślisz? - zapytał Juan.

- To doskonale miejsce na schody do podziemia. Wymiary pasują.

- Zobaczymy.

Juan pogrzebał w plecaku i wyciągnął blok materiału wybuchowego C-4. Uformował plastik tak, by siła eksplozji została skierowana w dół, i wsunął zapalnik. Zerknął szybko na Lincolna, żeby mieć pewność, że tamten jest gotowy, i włączył zegar sterujący.

Wyskoczyli z ukrytego pomieszczenia i puścili się sprintem przez magazyn, wciągając do płuc

gorące powietrze; ich kroki odbijały się echem w pustej hali. Lincoln wypadł za drzwi, Cabrillo tuż za nim i przebiegli jeszcze pięćdziesiąt metrów, zanim zwolnili i się odwrócili.

Wybuch zabrzmiał jak przytłumiony wystrzał armatni, w świetlikach wyleciały szyby, magazyn wypełnił betonowy pył. W kłębach pyłu wydostających się przez dach budynek wyglądał tak, jakby płonął.

Kiedy czekali, aż opadnie kurz, Juan poczuł lekką obawę, więc przyjrzał się uważnie dżungli. Odbicie słońca od gładkiej powierzchni wystarczyło mu za ostrzeżenie. Odepchnął Lincolna na bok i dał nura na ziemię, gdy dwa pociski z dwóch karabinów przecięły powietrze tam, gdzie stali ułamek sekundy wcześniej. Dobrze ukryci strzelcy przełączyli broń na ogień ciągły i zasypali seriami parking w przekonaniu, że przygwoździli tam dwóch mężczyzn.

Cabrillo i Lincoln byli za słabo uzbrojeni, żeby podjąć walkę, i gdyby nie znaleźli osłony, zginęliby w ciągu następnych kilku sekund. Bez potrzeby porozumienia się popędzili z powrotem do magazynu, pociski trafiały w ziemię tuż za nimi i zasypywały im nogi wyrzucanym do góry żwirem.

Juan pierwszy dotarł do miejsca eksplozji. Plastik rozerwał beton i zrobił w nim wielki lej cuchnący materiałem wybuchowym. Ale to nie wystarczyło. Ilość C-4, którą mieli ze sobą, okazała się za mała do zniszczenia grubej podłogi. Cabrillo oświetlił dno wyrwy, ale nie dostrzegł żadnego otworu.

Poczuł gorzki smak porażki.

Serie podziurawiły blaszaną ścianę budynku. Juan się odwrócił, nie zdając sobie sprawy, że już wyciągnął keltka. Dwaj przeciwnicy stali po obu bokach drzwi. Strzelił do nich trzy razy, choć byli poza zasięgiem jego pistoletu. Nawet nie drgnęli.

Lincoln wskoczył obok niego do leja po wybuchu. Kiedy wylądował na dnie, osłabiony beton nie wytrzymał jego ciężaru i ustąpił. Lincoln zniknął pod ziemią.

Kiedy coraz więcej odłamków staczało się po schodach, Juan rzucił się do ciemnej dziury i poczuł, jak bryza wiejąca z jej głębi przynosi zimny odór śmierci.

Max zgiął się wpół od uderzenia w żołądek na tyle, na ile pozwalały liny, którymi był przywiązany do krzesła. Zelimir Kovac nie użył nawet połowy swojej ogromnej siły, a Max miał wrażenie, że jego wnętrzności zamieniły się w galaretę. Jęknął z bólu, ślina i krew pociekły mu z pokiereszowanych ust.

Zainkasował już czwarty cios, i to niespodziewany. Z zasłoniętymi oczami, mógłby przygotować się na uderzenie, gdyby znał rytmikę działań swojego oprawcy, ale jak dotąd Kovac zadawał brutalne ciosy nieregularnie. Trwało to od dziesięciu minut, a Serb jeszcze o nic nie zapytał.

Taśma samoprzylepna zasłaniająca Maksowi oczy została nagle zerwana wraz z częścią jego krzaczastych brwi. Poczul się tak, jakby chluśnięto mu kwasem w twarz, i nie mógł powstrzymać krzyku.

Zamrugął przez łzy i się rozejrzał. Puste, antyseptyczne pomieszczenie miało białe ściany z pustaków i betonową podłogę. Pod stopami Maksa był odpływ, ze ściany wystawał kran ze zwojem szlauchu na kołku. Wyglądało to złowieszczo. Za progiem otwartych metalowych drzwi ciągnął się korytarz ze ścianami z takich samych pustaków, pomalowanych białym jak na biało.

Kovac stał nad Maksem w spodniach od garnituru i podkoszulku bez rękawów z plamami własnego potu i krwi jego ofiary. Dwaj strażnicy w jednoczęściowych kombinezonach opierali się o ścianę z obojętnymi minami. Kovac wyciągnął rękę w kierunku jednego z nich i mężczyzna wręczył mu plik papierów.

- Według słów twojego syna - zaczął Serb - nazywasz się Max Hanley, jesteś inżynierem okrętowym i pracujesz w marynarce handlowej. Zgadza się?

- Idź do diabła - odparł Max cichym groźnym tonem.

Kovac ścisnął mu mięśnie karku, co spowodowało ból w całym ciele. Zwiększał ucisk, dopóki Max nie zaczął dyszeć.

- Czy ta informacja jest prawdziwa?

- Tak, do cholery - wycedził Max przez zaciśnięte zęby.

Kovac go puścił i uderzył pięścią w szczękę tak mocno, że przekręcił mu głowę na bok.

- To za kłamstwo. Miałeś w nodze transponder przezskórny. Tego się raczej nie stosuje w marynarce handlowej.

- Wszczepiła mi go firma, którą wynająłem do odbicia Kylea - wymamrotał Max, pragnąc ponad wszystko rozmasować zdrętwiałą część twarzy. - Dla ich własnego bezpieczeństwa.

Kovac znów uderzył go w twarz i obluzował mu ząb.

- Sprytnie kombinujesz, ale blizna była sprzed co najmniej pół roku. Serb prawie zgadł. Huxley wszczepiła Maksowi nowy nadajnik siedem miesięcy temu.

- Nie... przysięgam - skłamał Max. - Na mnie wszystko się tak goi, szybko i brzydko. Widać to na moich rękach.

Kovac zerknął w dół. Dłonie Hanleya pokrywała mozaika starych blizn. Nie miało to dla niego

znaczenia. Pochylił się i przysunął tak blisko do Maksa, że ich twarze prawie się stykały.

- Zadałem w życiu więcej ran niż chirurg i wiem, jak się goją. Ten implant miałeś od pół roku albo dłużej. Gadaj, kim jesteś i dlaczego ci to wszczepiono.

Max walnął go łysiejącą głową w nos. Więzy uniemożliwiły mu złamanie Serbowi kości, ale z satysfakcją patrzył, jak z nozdrza Kovaca tryska krew. Serb zatamował ją palcami.

Rzucił Hanleyowi spojrzenie rozjuszonego zwierzęcia. Max wiedział, że za ten atak zapłaci ciężkim pobiciem, ale gdy Kovac patrzył na niego wściekle z krwią rozmazaną na twarzy niczym barwy wojenne, zrozumiał, że posunął się za daleko.

Posypały się ciosy. Na oślep, bez celowania. To był niekontrolowany wybuch, prymitywna, instynktowna reakcja na zagrożenie. Max dostawał razy w twarz, pierś, brzuch, ramiona i krocze. Uderzenia i kopnięcia wydawały się eksplozją niewyczerpanej energii. Ciosy padały tak szybko, że Max był pewien, iż bije go więcej niż jedna osoba, ale kiedy przewrócił oczami tak, że tylko białka pozostały widoczne, przekonał się, że Kovac sam wymierza mu karę.

Max od dwóch minut zwisał bezwładnie z krzesła z coraz bardziej zmasakrowaną twarzą, kiedy wreszcie jeden ze strażników spróbował powstrzymać Serba. Kovac rzucił mu mordercze spojrzenie i mężczyzna szybko się wycofał, ale ta interwencja wystarczyła, by Serb ochłonął.

Popatrzył z pogardą na nieprzytomnego Hanleya, pierś falowała mu po wysiłku i od przyływu adrenaliny. Pogimnastykował energicznie nadgarstki, aż strzeliły mu głośno stawy i na podłogę prysnęły kropelki krwi jego i Maksa. Wyciągnął rękę i uniósł Maksowi prawą powiekę. Zobaczył tylko poprzecinaną żyłkami białą gałkę oczną.

Odwrócił się do strażników.

- Sprawdźcie za parę godzin, w jakim jest stanie. Jeśli następnym razem nie pęknie, przetrzucimy tu samolotem z Koryntu jego syna i zobaczymy, jak długo będzie mógł patrzeć na wycisk, jaki dajemy chłopakowi, zanim powie nam to, co chcemy wiedzieć.

Wymaszerował na korytarz. Dwaj strażnicy zczekali moment, potem też wyszli i zamknęli za sobą ciężkie drzwi. Nie obejrzel się ani nie wyczuli ruchu w celi, bo była to ostatnia rzecz, jakiej by się spodziewali.

Max obserwował ich spod przymkniętych powiek. Przystąpił do działania, gdy tylko zniknęli. Przez cały czas bicia szarpał się na krześle w tył i w przód, by rozluźnić więzy. Kovaca tak zaślepiała furia, że nie widział tego, a strażnicy myśleli, że ciało Maksa zmienia pozycję od siły ciosów. Ale Max robił to z rozmysłem.

Schylił się i chwycił jedną z kartek, które Kovac cisnął na podłogę, kiedy oberwał od niego w nos. Przesunął się z metalowym krzesłem przywiązany do pleców i rzucił w stronę drzwi. Miał tylko jedną szansę, bo nawet gdyby przeżył następne bicie, powiedziałby im wszystko, co chcieli wiedzieć. Ochroniłby Kylea bez względu na konsekwencje.

Wycelował idealnie. Kartka utkwiała między drzwiami i framugą moment wcześniej, niż rygiel trafił na swoje miejsce, i zablokowała go.

Max opadł z powrotem na krzesło. Jeszcze nigdy w życiu nie został tak pobity, nawet w obozie jenieckim Wietkongu. Tam jego oprawcy zadawali mu ciosy na zmianę, więc trwało to godzinę lub dłużej.

Wyczuł językiem dwa wybite zęby. Chyba tylko cudem uniknął złamania nosa i zatrzymania pracy serca od któregoś ciosu w pierś.

Rana po wyciętym transponderze bioelektrycznym zaledwie ćmiła tępy ból w porównaniu z

resztą ciała. Cały tors miał posiniaczony i mógł sobie wyobrazić, jak wygląda jego zmasakrowana twarz.

I bez tego nie byłem zbyt przystojny, pomyślał ponuro i krzywy uśmiech spowodował ponowne krwawienie pokaleczonych warg.

Dał sobie dziesięć minut na wzięcie się w garść. Dłuższa bezczynność wywołałaby skurcze, które by go unieruchomiły. Wstąpiła w niego otucha - przynajmniej nie sprowadzili Kylea do tego piekła. Wrócił do Grecji. Nawet w rękach responsywidów jest stosunkowo bezpieczny. Max uczeplił się tej myśli, podnosiła go na duchu.

Ocecił, że upłynęło sześć minut. Zaczął się uwalniać z rozluźnionych więzów. Poluzował je na tyle, że zdołał oswobodzić nadgarstki i odciągnąć rękami liny opasujące mu pierś. W końcu udało mu się odwiązać nogi i wstać. Chwycił się oparcia krzesła, żeby nie upaść.

- Nie jestem w zbyt dobrej formie - wystękał i zaczekał, aż odzyska ostrość widzenia.

Otworzył ciężkie drzwi najciszej, jak mógł. Korytarz był pusty. Jarzeniówki przymocowane do betonowego sufitu rzucały plamy jasnego światła przedzielone głębokimi cieniami, co nadawało ścianom z pustaków obskurny wygląd, choć niewątpliwie były nowe.

Max wepchnął papierową kulkę do zamka, żeby drzwi się nie zatrzasnęły, i ruszył korytarzem w półprzysiadzie, bo mięśnie nie pozwalały mu się wyprostować. Uważał przy tym, by nie zostawiać za sobą krwawego śladu.

Na pierwszym rozwidleniu usłyszał przytłumione głosy z lewej strony, więc skręcił w prawo, oglądając się za siebie co kilka sekund. Co jakiś czas mijał nieoznakowane drzwi. Przykładał ucho do chłodnego metalu, ale w środku panowała cisza, więc szedł dalej.

Chłód, wilgoć i brak okien mówiły mu, że jest pod ziemią. Nie miał na to bezpośredniego dowodu, ale był pewny, że się nie myli.

Skręcił jeszcze dwa razy w monochromatycznym labiryncie i dotarł do kolejnych drzwi. Dochodził zza nich odgłos jak z maszynowni. Nacisnął klamkę i nie natrafił na opór. Kiedy uchylił drzwi, hałas przybrał na sile. Z pomieszczenia nie wydostawało się światło, więc przypuszczał, że nikogo tam nie ma. Dał szybko nura do środka i zamknął drzwi za sobą. Potem znalazł po omacku włącznik światła.

Rozbłyły lampy łukowe i Max zobaczył w ich blasku przepastne pomieszczenie poniżej poziomu podłogi, na której stał. Trafił do dyspozytorni z widokiem na elektrownię obiektu. Za grubą szybą były przyśrubowane do podłogi cztery wielkie turbiny z gąszczem przewodów zasilających i wydechowych. Każda łączyła się z generatorem prądotwórczym. Turbozespoły były trochę większe od lokomotywy i choć pracował tylko jeden, w pomieszczeniu czuło się ogromną moc.

Albo ten obiekt jest olbrzymi, pomyślał Max, gdy rozglądał się wokół okiem znawcy, bo turbiny mogą wytwarzać ilość prądu wystarczającą dla kilku tysięcy osób, albo potrzeba tyle energii z innego, niewiadomego powodu.

Zanotował sobie w pamięci tę osobliwość i wycofał się na korytarz.

Brak kamer i ochroniarzy nasunął mu wniosek, że Kovac czuje się tu całkiem bezpieczny. To spostrzeżenie też zapamiętał, kiedy szukał wyjścia z labiryntu.

W końcu doszedł do drzwi z napisem „Klatka schodowa”, ale gdy je otworzył, okazało się, że schody biegną tylko w dół.

- Raz kozie śmierć - mruknął i zapuścił się niżej.

Schody zygzakowały przez cztery piętra i kończyły się na słabo oświetlonym podeście. Jedyne

drzwi prowadziły do mrocznego tunelu, który ciągnął się prostopadłe do klatki schodowej. W przeciwieństwie do innych miejsc w obiekcie, które Max dotąd widział, idealnie okrągły tunel był wydrążony w skale i miał taką średnicę, że Max mógł w nim stać. Dostrzegł nierówne ślady pozostawione na ciemnym kamieniu przez jakąś maszynę górniczą lub do drążenia tuneli. Bez światła nie mógł się zorientować, jak długi jest tunel ani do czego służy. Pod sufitem wisiały grube miedziane kable na ceramicznych izolatorach. Musiała ich być setka i każdy biegł w bezpiecznej odległości od sąsiedniego. Znajomość techniki podpowiadała Maksowi, że mogą z łatwością przewodzić prąd z generatorów na górnym poziomie.

- Jakie jest wasze zadanie? - zapytał głośno, ale oczywiście nie otrzymał odpowiedzi.

Rozważał wędrówkę wzdłuż kabla w nadziei, że dojdzie do wyjścia, ale bezruch powietrza wskazywał, że tunel nie ma wylotu. Max nie zapominał też, że jest co najmniej piętnaście metrów pod ziemią, może nawet więcej.

Podjął trud wejścia po schodach. Jego ciało protestowało przy każdym kroku. Kiedy z wysiłku zaczął głębiej oddychać, poczuł się tak, jakby imadło ścisnęło mu klatkę piersiową. Założył się w duchu z samym sobą, że nawet jeśli nie ma połamanych żeber, to na pewno kilka jest pękniętych.

Ledwo zipał, gdy wspiał się na górę, i musiał przycisnąć łokcie do boków, żeby złagodzić ból w piersi.

Przyłożył ucho do drzwi i usłyszał przytłumione głosy. Gdy ucichły, wydało mu się, że ktoś powiedział:

- ...za dwa dni, więc będziemy musieli...

Odczekał chwilę, zanim otworzył drzwi. Korytarz był pusty. Nie rozlegało się nawet echo ich kroków.

Stąpając cicho, ruszył ponownie na poszukiwanie wyjścia. W połowie długiego korytarza usłyszał, że nadchodzą jacyś ludzie. Szli szybko i pewnie, co nasunęło mu przypuszczenie, że to Kovac i jego zbiry wracają do celi, by znów wziąć się do niego, choć minęło zaledwie pół godziny, odkąd go zostawili.

Wiedząc, że nie zdoła biec, nawet gdyby chciał, Max nie miał wyboru i dał nura przez jedne z metalowych drzwi ciągnących się szeregiem wzdłuż korytarza.

Kiedy je zamknął, trzymał gałkę w pozycji otwarcia, żeby nie szczękął zamek, i przywierał do nich, gdy kroki się zbliżały. Dopiero kiedy tamci przeszli, zerknął przez ramię za siebie na mroczne pomieszczenie. W słabym blasku lampki nocnej włączonej do gniazdka dostrzegł sześć łóżek ustawionych w rzędy i zarysy śpiących na nich postaci. Jedna z osób musiała mieć bardzo lekki sen, bo nagle mruknęła, podniosła się gwałtownie i wpatrzyła w mrok jak krótkowidz.

- Steve? - zawołał przebudzony.

- Tak - odpowiedział bez namysłu Max. - Śpij.

Młody mężczyzna opadł z powrotem na łóżko, odwrócił się tyłem do Maksa i jego oddech natychmiast się uspokoił.

Max nie mógł powiedzieć tego samego o swoim oddechu. Miał wrażenie, że serce wyskoczy mu z piersi lada chwila, choć był wdzięczny za znieczulające działanie adrenaliny, której przyływ spowodowała ta przygoda. Odczekał chwilę i wymknął się z sypialni.

Skradał się prawie przez godzinę, zanim znalazł schody prowadzące w górę, co potwierdziło jego podejrzenia, że jest w jakiejś podziemnej bazie. Na podstawie wielkości pomieszczeń, których nie widział, oceniał powierzchnię obiektu na co najmniej dziesięć tysięcy metrów kwadratowych.

Jego przeznaczenie mógł tylko zgadywać.

Wspiął się po schodach. Dopiero dwa piętra wyżej natrafił na następne drzwi. Przyłożył ucho do metalu. Usłyszał dźwięki po drugiej stronie, ale nie potrafił ich zidentyfikować. Uchylił minimalnie drzwi i przycisnął oko do wąskiej szpary. Zobaczył coś w rodzaju garażu. Metalowy dach był na wysokości jakichś pięciu metrów, pochylnia prowadziła do pary wrót. W kamiennych ścianach obok nich zamontowano zamykane pancerne osłony. Wydawały się nie do sforsowania bez użycia bomby jądrowej. Radio grało coś, co dla Maksa brzmiało jak kocia muzyka, ale bez wątpienia Mark Murphy miał taką na swoim iPodzie.

Max nie zauważył nikogo, więc przemknął przez drzwi i ukrył się pod drewnianym stołem warsztatowym, na którym walały się brudne od smaru narzędzia. Kiedy drzwi się zamknęły, zdał sobie z przerażeniem sprawę, że mają elektroniczny zamek z czytnikiem linii papilarnych i numeryczną klawiaturą. Nie mógł już wrócić do celi w nadziei, że mówieniem wykręci się od następnego bicia.

Choć w garażu panował półmrok, w głębi paliło się światło. Dwaj mechanicy pracowali tam przy pikapie z napędem na cztery koła. Wyglądało na to, że wymieniają chłodnicę i spawają coś z przodu samochodu. Max widział niebieski płomień palnika acetylenowo-tlenowego i czuł zapach gorącego metalu. W garażu stały też inne pojazdy. Max zauważył dwie ciężarówki i kilka quadów, takich jak tamten, na którym Juan uciekł responsywiście w Grecji.

Max wiedział, że czasu ubywa, i żałował, że nie ma z nim teraz Cabrillo. Juan miał wrodzoną umiejętność układania i wykonywania planu po jednym zerknięciu na sytuację. Max działał wolniej, rozgryzał wytrwale problem i rozwiązywał go z zawziętą determinacją.

Kovac miał wkrótce wrócić do jego celi, toteż Hanley musiał być w tym momencie tak daleko od tego miejsca, jak tylko mógł.

Poruszając się ostrożnie, uświadomił sobie, że jedynym wyjściem są wrota garażowe i że muzyka w radiu nie zagłuszy odgłosu ich otwierania. Pozostało mu tylko jedno.

Brutalna siła, pomyślał.

Klucz, który chwycił, miał co najmniej pół metra długości i ważył pięć kilogramów. Max uniósł go jak chirurg biorący skalpel, dobrze wiedząc, co potrafi zrobić tym narzędziem. Pierwszą prawdziwą walkę stoczył jako nastolatek, kiedy ćpun z nożem próbował obrabować stację benzynową jego wuja. Max wybił osiem zębów niedoszłemu złodziejowi takim samym kluczem, jaki trzymał teraz w ręku.

Posuwał się ostrożnie przez garaż. Krył się, gdzie mógł, i skradał powoli, bo człowiek dostrzega ruch kątem oka. Radio zagłuszało jego kroki.

Jeden z mechaników miał na twarzy maskę spawalniczą dla ochrony oczu, więc Max skoncentrował się na drugim, wysokim chudzielcu po trzydziestce z bujną brodą i tłustymi włosami związanymi w kucyk. Mężczyzna pochylał się nad komorą silnikową i przesuwał rękami po gumowych przewodach, toteż nie wyczuł niczyjej obecności za sobą, dopóki Max nie zdzielił go kluczem w głowę.

Mechanik runął jak ścięty. Guz na jego głowie miał zniknąć dopiero po wielu tygodniach.

Max się odwrócił. Spawacz dostrzegł ruch, wyprostował się i sięgnął do maski, by ją zdjąć. Hanley dał krok naprzód, zamachnął się kluczem jak pałkarz na meczu gwiazd i w odpowiednim momencie wypuścił narzędzie z rąk. Klucz roztrzaskał plastikowy wizjer, który uratował spawaczowi twarz, ale siła uderzenia rzuciła mężczyznę na skrzynkę narzędziową. Palnik na długich

gumowych przewodach upadł u stóp Maksa, co zmusiło go do cofnięcia się, gdy poczuł na bosych nogach żar niebieskiego płomienia.

Trzeci mechanik, niewidoczny dotąd za ciężarówką, wyłonił się nagle zza jej przedniego zderzaka zaintrygowany zamieszaniem. Zobaczył nieprzytomnego spawacza rozciągniętego na skrzynce narzędziowej i odwrócił się w kierunku Maksa.

Hanley patrzył, jak na twarzy tego człowieka dezorientacja przeradza się w zrozumienie, a potem w gniew, ale zanim mężczyzna podjął decyzję, czy walczyć, czy uciekać, Max podniósł płonący palnik i rzucił nim swobodnie od dołu. Mechanik odruchowo wyciągnął rękę, żeby złapać palnik.

Wystarczy moment, by język płonącego tlenu i acetylenu o temperaturze ponad trzech tysięcy trzystu stopni Celsjusza zwęglił ciało. Mężczyzna chwycił palnik tak, że wylot celował prosto w jego pierś. W kombinezonie natychmiast pojawiła się dymiąca dziura, skóra i mięśnie zaskwierczały i odsłoniły wnętrze klatki piersiowej. Kości poczerniały, zanim mechanik w szoku upuścił mosiężny palnik.

Wyraz jego twarzy nie zdążył się zmienić w ciągu tych sekund, w których mózg rejestrował zatrzymanie serca. Osunął się powoli na betonową podłogę. Odór przyprawił Maksa o odruch wymiotny. Nie zamierzał zabić nieszczęsnego mechanika, ale był na to przygotowany. Musiał uratować syna, a ten człowiek, niestety, stanął mu na drodze.

Spawacz miał mniej więcej wymiary Hanleya, więc Max ściągnął mu kombinezon. Musiał wziąć buty trzeciego mechanika, bo inne były za małe. Kiedy je zdejmował, nie podnosił wzroku znad jego stóp.

Uzbrojony w nożyce do drutu podszedł do dwóch ciężarówek, otworzył maski i przeciął przewody wystające z aparatów zapłonowych niczym czarne macki. Gdy ruszył do czterokołowych motocykli kawasaki, zobaczył ekspres do kawy na stole warsztatowym. Oprócz filtrów, kubków i plastikowego pojemnika śmietanki w proszku było też pudełko cukru. Max chwycił je i zamiast tracić czas na majstrowanie przy elektronice quadów, odkręcił korki ich baków i wsypał do nich cukier. Wiedział, że czterokołowce przejadą najwyżej pół kilometra, a czyszczenie przewodów paliwowych i cylindrów zajmie godziny.

Chwilę później siedział na quadzie z pracującym silnikiem, który oszczędził, i wcisnął przycisk otwierający wrota garażu. Była noc, wiatr nawiewał do środka deszcz. Max nie mógł sobie wymarzyć lepszych warunków. Zamykanie drzwi nie miało sensu. Kovac zorientuje się, że uciekł, i jak to zrobił.

Zmrużył oczy przed deszczem, obrócił manetkę gazu i wystrzelił w nieznane.

Kovac wydał wyraźne rozkazy pięciu ludziom, których wysłał na Filipiny do pilnowania opuszczonego obiektu responsywiwistów. Mieli się nie wtrącać, gdyby ktoś oglądał halę, chyba że stałoby się jasne, iż zamierza się dostać do podziemia. Przez tygodnie, kiedy obserwowali budynek, zainteresowała się nim jedynie para Filipińczyków na zdezelowanym motocyklu. Myszkowali tylko przez parę minut w poszukiwaniu czegoś wartego kradzieży. Kiedy się przekonali, że wszystko zostało zabrane, odjechali drogą w obłoku niebieskich spalin.

Zachowanie dwóch mężczyzn, którzy zjawili się dzisiaj, natychmiast zaalarmowało ochroniarzy. Kiedy przez puste pole przetoczył się huk eksplozji, wiedzieli, że ich czujność była uzasadniona.

W lawinie betonu Juan wpadł do dziury zrobionej przez Lincolna i wylądował w pozycji stojącej na stromych schodach. W nieprzeniknionej chmurze pyłu zbiegł na oślep po stopniach w nadziei, że Lincoln usunął się z drogi. Kawał betonu wielkości jego głowy trafił go w ramię i zwałił z nóg. Cabrillo stoczył się z ostatnich stopni na podest i leżał oszołomiony wśród spadających odłamków.

Potężna ręka chwyciła go z tyłu za koszulę safari i wciągnęła do jakiegoś przedsionka.

- Dzięki - wysapał Juan, kiedy Lincoln pomógł mu wstać. Obaj mieli twarze i ubrania szare od pyłu.

Drewniane rusztowanie podpierające betonową wylewkę kompletnie się zawaliło i tony gruzu i połamanych belek zasypały schody, wypełniając całkowicie wejście do przedsionka. W pomieszczeniu panowała zupełna ciemność.

Lincoln wyjął z plecaka latarkę. Świeciła tak jasno jak ksenonowy reflektor samochodowy, ale w jej blasku widać było tylko kłęby pyłu.

Lincoln zachichotał.

- Nie przypomina ci to czegoś?

- Owszem, porwanie tamtego bankiera w Zurychu jakiś czas temu - odrzekł Juan, kaszląc.

- Co myślisz o tutejszym Komitecie Powitalnym?

- Czuję się jak idiota. Nie wiem, dlaczego sobie wyobrażałem, że to będzie łatwizna.

- Amen, bracie. - Lincoln oświetlił zablokowane wejście. Niektóre betonowe płyty musiały ważyć z pół tony albo więcej. - Wydostanie się stąd zajmie nam kilka godzin.

- Gdy wykopujemy jakąś dziurę, zatłuką nas jak ryby w beczce. - Juan celowo zabezpieczył pistolet i wetknął z tyłu za pasek. - Mają przewagę ogniową i najprawdopodobniej liczebną. Nie uśmiecha mi się wpakowanie nas w zasadzkę.

- Weźmiemy ich na przeczekanie?

- Nie uda się. Mamy jedną manierkę i parę batonów proteinowych. Mogą tam siedzieć do sądnego dnia. - Juan mówił i bawił się telefonem satelitarnym.

- Więc wezwijmy kawalerię. Oddział szturmowy Eddiego zjawi się tu w ciągu czterdziestu ośmiu godzin.

- Nie mam sygnału. - Cabrillo wyłączył telefon, żeby nie wyczerpywać baterii.

- No dobra, skoro odrzucasz wszystkie moje propozycje, to co chowasz w rękawie?

Juan wyjął Lincolnowi latarkę z ręki i poświecił wzdłuż opadającego w dół tunelu, który wydrążono w ziemi dziesiątki lat temu. - Zobaczmy, dokąd to prowadzi.

- A jeśli ruszą za nami?

- Miejmy nadzieję, że ich w porę usłyszymy i zdążymy zastawić pułapkę.

- Nie możemy poczekać na nich tutaj?

- Gdybym ja nimi dowodził, wrzuciłbym tu kilka granatów, zanim kazałbym moim ludziom wejść. Nie musieliby oddać ani jednego strzału, bo wcześniej zostałyaby z nas miazga. Nawet jeśli cofniemy się poza zasięg granatów, będziemy za bardzo odsłonięci w tym tunelu. Lepiej poszukać jakiegoś dobrego miejsca do obrony. Jasna strona tego jest taka, że jeśli ruszą za nami, to prawdopodobnie będzie znaczyło, że jest stąd drugie wyjście.

Lincoln rozważył, jakie mają możliwości, i zamaszystym gestem zasygnalizował, że powinni się zapuścić w głąb podziemnego korytarza.

Jedną ścianę tunelu tworzyła długa, ciągła kamienna płyta, na drugiej widniały ślady obróbki narzędziami. Mogli iść swobodnie obok siebie, nad głowami mieli co najmniej trzy metry wolnej przestrzeni.

Cabrillo przyjrzał się uważnie skale.

- To naturalna szczelina, powiększona przez Japończyków podczas okupowania przez nich wyspy.

Lincoln przytaknął.

- Prawdopodobnie powstała na skutek trzęsienia ziemi. Zbudowali fabrykę, czy cokolwiek to było, w miejscu pęknięcia powierzchni gruntu.

Juan wskazał ciemne rozbryzgi na kamiennym podłożu. Ich kształt świadczył, że to krew. Było jej mnóstwo.

- Miejsce egzekucji.

- Wielu ofiar.

Juan gwałtownie skierował światło gdzie indziej. Miał zaciśnięte wargi.

Temperatura spadła, wilgotność wzrosła, gdy znaleźli się głębiej pod ziemią. Cabrillo się wzdrygnął, nie z zimna, ale na myśl o tragediach, jakie się tu rozegrały.

Tunel nie biegł prosto, lecz skręcał i wił się w dół łagodnej pochyłości. Po dwudziestu pięciu minutach i ponad trzech kilometrach zeszli na poziomy teren i odkryli pierwszą boczną komorę. Wejście częściowo było zablokowane niewielkim osypiskiem, popękane sklepienie tunelu mogło się zawalić w każdej chwili. Tę naturalną jaskinię Japończycy również powiększyli. Była prawie kolistą, miała piętnaście metrów średnicy i co najmniej cztery i pół wysokości. Pozostały w niej tylko wkręcone w ściany śruby po instalacji elektrycznej.

- Pomieszczenie administracyjne? - zastanowił się głośno Lincoln.

- To by miało sens. Jest najbliżej powierzchni.

Natrafili na dwie mniejsze boczne groty, potem na czwartą, gdzie Japończycy zostawili tuzin żelaznych piętrowych pryczy przyśrubowanych do podłogi i kilka lichych blaszanych szafek wzdłuż jednej ściany. Kiedy Juan sprawdzał szuflady, Lincoln oglądał stelaże.

- Nigdy bym nie pomyślał, że zawracali sobie głowę łózkami dla więźniów - powiedział Lincoln.

- W żadnej z tych szuflad nic nie ma. - Juan spojrzał na Lincolna. - Łóżka były im potrzebne, bo musieli do czegoś przywiązywać swoje ofiary. Ktoś celowo zarażony tyfusem czy cholera lub

poddany działaniu jakiegoś trującego gazu będzie się rzucał.

Franklin cofnął gwałtownie ręce od pryczy, jakby się oparzył.

Znaleźli jeszcze cztery podobne boczne komory. W niektórych mieściło się czterdzieści łóżek. Odkryli też małe, sięgające pasa wejście do jaskini w głównym tunelu. Juan wcisnął głowę i ramiona do otworu i zobaczył, że grotą opada stromo. Na granicy zasięgu latarki dostrzegł dno jaskini, gdzie wałały się nierozpoznawalne śmieci wszelkiego rodzaju. Dół był ogólnym składowiskiem odpadków, wśród których leżały ludzkie kości. Rozdzieliły się w ciągu kilkudziesięciu lat, więc Cabrillo nie potrafił określić, ile ich jest, ale przypuszczał, że wiele setek.

- Tu jest jak w rzeźni - powiedział, kiedy się wycofał. - To fabryka śmierci.

- I działała przez półtora roku.

- Myślę, że obiekt na powierzchni służył jedynie do obsługi tajnych laboratoriów tutaj pod ziemią, gdzie eksperymentowali z czymś naprawdę paskudnym. System grot umożliwiał jego szybką izolację, gdyby kiedyś wybuchła epidemia.

- Bezlitosne i skuteczne. - W głosie Lincolna nie zabrzmiał podziw. - Japończycy mogliby nauczyć nazistów paru rzeczy.

- I na pewno to zrobili - odrzekł Juan, wciąż wstrząśnięty tym, co zobaczył. - Jednostka 731 powstała w 1931 roku, dwa lata przed dojściem Hitlera do władzy. Tuż przed końcem wojny transfer informacji i technologii szedł w drugą stronę. Niemcy dostarczały Japonii silniki odrzutowe i raketowe do samolotów kamikaze, jak również materiały rozszczepialne.

Następna uwaga zamarała Lincolnowi na ustach.

Nie usłyszeli eksplozji w wejściu do tunelu, bo huk stłumiła odległość i skała wokół, ale poczuli ciśnienie powietrza jak od podmuchu przejeżdżającej ciężarówki. Responsywiści przebili się przez stertę gruzu, dostali do systemu korytarzy i ścigali ich.

- Pewnie znają te podziemia i będą się poruszali w szybkim tempie - powiedział ponuro Cabrillo.

- Zostało nam może pół godziny na znalezienie wyjścia stąd albo jakiegoś miejsca, gdzie będziemy mogli się bronić dwoma pistoletami z jedenastoma nabojami.

Następnego pomieszczenia medycznego nie ogołococono tak dokładnie jak poprzednich. Na pryczach leżały cienkie materace, w szafkach stały słoiki z chemikaliami. Na etykietkach widniały napisy po niemiecku. Juan wskazał je Lincolnowi na poparcie tego, co mówił wcześniej.

Lincoln przestudiował nazwy i przetłumaczył głośno na angielski:

- Chlor. Alkohol destylowany. Woda utleniona. Dwutlenek siarki. Kwas solny. Cabrillo zapomniał, że Lincoln zna niemiecki.

- Mam pomysł. Znajdź mi wodorowęglan sodu.

- To chyba nie pora na przejmowanie się bólem żołądka - zauważył beznamiętnie Lincoln, przyglądając się butelkom i słoikom.

- Przypomniały mi się lekcje chemii w szkole średniej. Nie pamiętam zbyt wiele o ostrożności, ale mój nauczyciel uwielbiał pokazywać nam, jak zrobić broń chemiczną.

- Super.

- Był podstarzałym hipisem i uważał, że powinniśmy umieć się bronić, kiedy rząd w końcu postanowi przejąć całą własność prywatną - wyjaśnił Juan. Lincoln spojrzał na niego dziwnie i podał mu odpowiedni szklany pojemnik. Cabrillo wzruszył ramionami. - Co mogę powiedzieć? Dorastałem w Kalifornii.

Poprosił Lincolna, żeby poszukał jeszcze jednego środka chemicznego. Lincoln wręczył mu słoik

z bursztynowym płynem.

- I co chcesz z tym zrobić?

- Wykorzystać jako broń chemiczną.

Uzgodnili, że zorganizują zasadzkę w jednym z mniejszych pomieszczeń medycznych. Lincoln uformował kilka koców i materaców na kształt dwóch ludzkich postaci skulonych pod najdalszym stelażem. Juan przygotował pułapkę z rolki taśmy izolacyjnej z plecaka Lincolna, chemikaliów i manierki. W ruchomym świetle latarki kukły wyglądały tak, że mogły z powodzeniem zwabić responsywistów. Juan przełączył komórkę Lincolna na tryb walkie-talkie i umieścił między dwoma manekinami.

Wycofali się do groty po przeciwnej stronie i trochę głębiej w tunelu i czekali.

Jeśli Juan miał jakiegokolwiek wyrzuty sumienia z powodu tego, co zamierzali zrobić, to pozbył się ich na wspomnienie ofiar na pokładzie „Golden Dawna”. Mijały minuty, fosforyzująca wskazówka sekundowa zegarka Cabrillo przesuwiała się w takim tempie, jakby siadała bateria. Ale Juan i Lincoln czaili się w niezliczonych zasadzkach, więc trwali w bezruchu z otwartymi oczami, choć nic nie widzieli w egipskich ciemnościach. Opierali się o kamienną ścianę z przechylonymi głowami i wyczężali słuch, by złowić najcichszy dźwięk.

Usłyszeli pościg dopiero po dwudziestu minutach. Juan wyłapał dwa, potem trzy mocne kroki responsywistów pędzących tunelem. Biegli bez światła, więc domyślił się, że mają lampę podczerwoną i gogle noktowizyjne, w których widzą w tym spektrum.

Zwolnili daleko przed boczną grotą z pułapką, jakby spodziewali się zasadzki. Choć Juan ich nie widział, poznał po odgłosach, co robią. Zachowywali niemal całkowitą ciszę, kiedy zbliżali się do wejścia. Posuwali się naprzód dopiero wtedy, gdy wiedzieli, że koledzy ich osłaniają.

Metal stuknął o kamień i niemal natychmiast ktoś zawołał:

- Widzę was tam. Poddajcie się, to nic wam się nie stanie.

Wcześniejszy dźwięk wskazywał, że któryś z ochroniarzy oparł broń o krawędź wejścia do groty, żeby nie spudłować po wycelowaniu karabinu szturmowego w tobołki z materaców na końcu komory.

Juan stanął za Lincolnem, żeby masa ciała potężnego ekskomandosa przytłumiła jego głos, włączył komórkę i odpowiedział:

- Idź do diabła.

Przy ustawionej na maksimum głośności telefonu, który pozostawili w pomieszczeniu medycznym, musiało to zabrzmieć jak wyzywający okrzyk. Dwaj ochroniarze otworzyli ogień jednocześnie i w błyskach z luf Juan zobaczył całą trójkę. Nie byli amatorami. Dwaj stali tuż za progiem groty, trzeci trzymał się z tyłu i obserwował tunel na wypadek ataku z flanki.

W ciasnej przestrzeni hałas porażał wszystkie zmysły Cabrillo.

Kiedy przestali strzelać, poczekał, żeby zobaczyć, co zrobią. Wpakowali w głąb groty tyle kul, że zabiliby dwóch ludzi tuzin razy. Osłaniający kolegów ochroniarz zapalił latarkę, gdy wszyscy trzej zdjęli gogle, oślepieni chwilowo blaskiem kanonady. Dwaj strzelcy przestąpili ostrożnie próg, trzeci nadal wypatrywał czujnie podstęp.

Cabrillo ich nie zawiódł.

Taśmę izolacyjną rozciągnął nisko nad ziemią blisko kryjówki, w której on i Lincoln rzekomo zginęli, i pierwszy ochroniarz tak się koncentrował na swoich ofiarach, że nie zauważył przeszkody.

Taśma była przywiązana do butelek z chlorem i wodorowęglanem sodu i kiedy responsywista zawadził o nią, obie spadły. Szkło roztrzaskało się w miejscu, gdzie Juan wylał na podłogę wodę z

manierki i dodatkowy środek chemiczny.

Na dźwięk rozbijanych butelek Juan i Lincoln strzelili. Trzeci ochroniarz zareagował na odgłos tłuczonego szkła, ale nie miał szans. Jeden pocisk utkwiał mu pod pachą i rozerwał narządy wewnętrzne, drugi trafił go prosto w tchawicę. Mężczyzna upadł martwy, ale nie wypuścił z rąk karabinu ani latarki. Snop światła spoczął na wejściu do grotu, skąd zaczynały się wydobywać zielonkawe opary.

Na skutek reakcji chemicznej powstała kałuża kwasu chlorowodorowego i podchlorawego. Zanim dwaj responsywiści zdali sobie sprawę, że coś jest nie tak, paliło ich w gardłach i płucach. Wyziwy podrażniały delikatną tkankę w drogach oddechowych, co sprawiało, że nawet najpłytszy wdech był potwornie bolesną torturą.

Kaszłąc, wchłonęli tyle toksyny do organizmu, że kiedy wytoczyli się z pomieszczenia jak pijani, dostali konwulsji. Wypluwali krew zmieszaną z flegmą z głębi płuc.

Dwaj strzelcy byli krótko wystawieni na działanie trucizny, ale bez natychmiastowej pomocy lekarskiej stali się żywymi trupami i czekała ich powolna i bolesna śmierć. Jeden z nich musiał to sobie uświadomić, bo wyszarpnął zawleczkę granatu, zanim Cabrillo zdołał go powstrzymać.

Juan miał zaledwie ułamek sekundy na podjęcie decyzji, ale z powodu mocno już osłabionego sklepienia mógł zrobić tylko jedno. Złapał Lincolna za ramię i rzucił się do ucieczki. Nie tracił czasu nawet na włączenie latarki i biegł, przesuając palcami po ścianie tunelu. Czuł za sobą obecność Lincolna. Obaj odliczali sekundy i padli jednocześnie w momencie wybuchu granatu.

Odlamki posiekały skałę wokół nich, fala nadciśnienia uderzyła w błysku i huku niczym młot kowalski. Zerwali się na nogi, gdy nowy odgłos wypełnił tunel. Hałas był ogłuszający. Obluzowane siłą eksplozji kamienne płyty runęły na podłogę tunelu lawiną, która lada chwila mogła ich przysypać. Pył i kawałki skały spadały im na głowy i ramiona z walącego się sklepienia. Juan zapalił latarkę, gdy bryła wielkości silnika ciężarówki wylądowała przed nim. Przeskoczył nad nią jak płotkarz i popędził dalej. W górze pojawiły się pęknięcia, zygzakowate linie rozgałęziały się i rozwidlały niczym czarne błyskawice. Z tyłu narastał łoskot kaskady kamieni.

A potem zaczął słabnąć. Cichł, aż w końcu słychać było tylko stukot pojedynczych kawałków skały. Juan zwolnił, łapiąc hausty zapyłonego powietrza. Skierował snop światła w tunel za sobą. Rumowisko całkowicie zablokowało podziemny korytarz.

- Jesteś cały? - wysapał.

Lincoln dotknął łydki, gdzie trafił go odprysk kamienia. Nie zauważył na palcach krwi.

- Tak. A ty?

- Poczuję się lepiej, jak wyjdziemy z tego pyłu. Chodźmy.

- Głowa do góry - odrzekł Lincoln, gdy ruszyli naprzód. - Nie musimy się już martwić, że nas ścigają.

- Zawsze uważałem cię za niepoprawnego optymistę.

Penetrowali podziemia przez następne dwie godziny. Znaleźli prycze dla stu osiemdziesięciu więźniów, dawne laboratoria i urządzenie, w którym Lincoln rozpoznał komorę ciśnieniową.

- Pewnie do badania skutków gwałtownej dekompresji - stwierdził. Dotarli do końca długiego tunelu. Nie urywał się, lecz zawalił od eksplozji, jak się zorientowali. Juan powąchał rumowisko i wyczuł słaby zapach materiału wybuchowego.

- Wysadzili go w powietrze niedawno.

- Responsywiści, kiedy się stąd wynosili?

Juan przytaknął. Jeszcze się nie poddawał. Wdrapał się na stertę luźnych kamieni, strącając niektóre na dół. Położył się płasko i oświetlił latarką linię styku sklepienia ze szczytem stosu. Potem zawołał do Lincolna, żeby dołączył do niego.

- W tych katakumbach nie ma nic kompromitującego responsywistów. Tu są tylko stare rupiecie pozostawione przez japońską armię.

- Więc jeśli coś ukrywają, to za tą barykadą.

- Na to wygląda - odrzekł Juan. - A skoro ryzykowali pościg za nami, to założę się, że po drugiej stronie jest też wyjście.

- To na co czekamy?

Bez wody, którą zużyli do zaimprovizowanego ataku gazowego, język Juana stał się po godzinie harówki lepką nabrzmiałą masą, jakby jakiś gad zwinął się w kłębek i zasnął w jego ustach. Palce miał obtarte do żywego mięsa i pokaleczone od usuwania ostrych kamieni, mięśnie bolały go od poruszania się w niewygodnej pozycji. Natomiast Lincoln pracował jak maszyna. Wydawał się niezmordowany, ale Juan wiedział, że nawet on nie ma niewyczerpanego zapasu sił.

Kawałek po kawałku przekopywali się ostrożnie przez rumowisko, sprawdzając, czy nie spowoduje to zawalenia się sklepienia. Zamieniali się miejscami co pół godziny. Najpierw Juan wyciągał ze sterty kamienie i podawał Lincolnowi, potem Franklin obluźowywał głązy i wręczał je prezesowi. Lincoln był taki szeroki w barach, że musieli zrobić dla niego prawie dwukrotnie większe przejście niż dla Cabrillo.

Juan wrócił na zbocze stosu i sięgnął po wyjątkowo duży kamień, ale w żaden sposób nie mógł go oddzielić od reszty. Bryła wydawała się zaklinowana. Usunął kilka mniejszych, wielkości pięści w nadziei, że będzie miał lepsze oparcie, i pociągnął z całej siły. Głaz ani drgnął.

Sklepienie nad bryłą przecinały pęknięcia i szczeliny. Było tak osłabione jak w miejscu, gdzie responsywiści zdetonowali granat. Górnicy nazywają taki strop kiścią wiszących winogron i Juan wiedział, że skała może runąć bez ostrzeżenia. Nigdy wcześniej nie doznał uczucia klaustrofobii, ale teraz zaczął go ogarniać strach.

- W czym problem? - wysapał Lincoln za jego plecami.

Juan musiał poruszyć językiem wokół ust, żeby pozbyć się szczękościsku i odpowiedzieć.

- Mocuję się z jednym kamieniem i nic.

- Wpuść mnie tam.

Minęli się z trudem i Lincoln wsunął stopy do ciasnej przestrzeni. Oparł buty na głązie, a plecy na wyciągniętych nogach Cabrillo i napiął mięśnie. W siłowni wyciskał nogami czterysta pięćdziesiąt kilogramów. Bryła ważyła połowę tego, ale była zaklinowana, a Lincoln zaczynał mieć odwodnienie. Cabrillo czuł naprężenie każdego włókna i ścięgnął jego ciała, gdy pchał skałę. Lincoln wydał z siebie pomruk i głąz wysunął się do góry z masy kamieni i ubitej ziemi niczym zepsuty ząb z dziąsła.

- Udało się - wykrzyknął triumfalnie Lincoln.

- Dobra robota, duży.

Lincoln zdołał się przecisnąć naprzód i kiedy Juan poszedł w jego ślady, zorientował się, że ma coraz więcej miejsca nad głową. Przebili się przez szczyt rumowiska i teraz pełzli w dół po drugiej stronie. Wkrótce mogli się posuwać na czworakach, a potem wstać i zejść na dno jaskini. Gdy Juan oświetlił latarką stertę kamieni za sobą, otwór w jej najwyższym punkcie wydawał się niesamowicie mały.

Odpoczęli kilka minut w ciemności, żeby oszczędzać baterie.

- Czujesz ten zapach? - zapytał Juan.

- Jeśli mówisz o kuflu zimnego piwa, to mamy takie same halucynacje.

- Nie, mówię o wodzie morskiej. - Juan się podniósł i znów włączył latarkę. Przeszli tunelem jeszcze sto metrów i dotarli do naturalnej morskiej grotty.

Miała co najmniej piętnaście metrów wysokości i sześćdziesiąt szerokości. Japończycy zbudowali betonowe nabrzeże po jednej stronie podziemnej laguny. Biegły nim wąskie tory kolejowe dla ruchomego żurawia, który kiedyś wyładowywał zaopatrzenie.

- Wprowadzali tu statki? - zapytał Lincoln z niedowierzaniem.

- Nie sądzę - odparł Juan. - Kiedy dobijaliśmy promem do brzegu, zauważyłem, że właśnie zaczął się przyływ. To było siedem godzin temu, więc niedługo będzie odpływ. - Oświetlił bok falochronu, gdzie do betonu przywierały gęsto omułki, co wskazywało, że przyływ niemal zalewa molo. - Myślę, że tę bazę zaopatrywały okręty podwodne.

Zgasił latarkę i obaj wpatrzyli się w ciemną wodę w poszukiwaniu oznak, że przenika tu światło słoneczne. Miejsce naprzeciw nabrzeża żarzyło się tak słabo, że woda nie miała niebieskiej barwy, tylko jakby mniej czarną.

- Co o tym myślisz? - spytał Juan, kiedy zapalił latarkę.

- Słońce jest w zenicie. Skoro jest tu tak ciemno, to tunel musi mieć jakieś pół kilometra długości albo więcej.

Nie dodał, że to za duża odległość do przepłynięcia na jednym wdechu. Obaj to wiedzieli.

- Dobra, rozejrzyjmy się, czy nie zostało tu nic, co moglibyśmy wykorzystać.

Z główną grotą łączyła się tylko jedna boczna komora. Natrafili tam na strużkę słodkiej wody, która sączyła się z wąskiej szczeliny wysoko w ścianie. Woda wyłobiła małe zagłębienie w podłożu i spływała, meandrując, do oceanu.

Lincoln zanurzył w niej złączone dłonie.

- To nie zimne piwo, ale nic nigdy nie wyglądało tak orzeźwiająco.

Juan poświecił dookoła i pokazał Lincolnowi, żeby się napił. Oparty o jedną ścianę stał rząd dziwnych kamiennych tablic. Juan zapomniał o pragnieniu, kiedy przyjrzał się im uważnie. Miały mniej więcej metr dwadzieścia wysokości, sześćdziesiąt centymetrów szerokości i ponad dwa centymetry grubości i były ceramiczne. Zaintrygował go nie sam materiał, lecz wyryte w nim pismo. Inskrypcje wykonano szydłem lub patykiem przed wypaleniem gliny i choć tablice wyraźnie pochodziły z bardzo zamierzchłych czasów, zachowały się w takim stanie, jakby od początku swojego istnienia spoczywały w muzeum o regulowanej temperaturze.

Potem zauważył druty. Cienkie przewody biegły za tablicami od jednej do drugiej. Juan skierował światło latarki w przestrzeń między nimi a ścianą grotty. Ładunki plastiku przymocowano do tylnych powierzchni czterech tablic i połączono ze sobą. Prześledził, dokąd prowadzi drut, i zorientował się, że w kierunku głównego tunelu. Domyślił się, że eksplozja miała nastąpić w tym samym momencie, co wybuch, od którego zawaliło się sklepienie korytarza, ale przewód został przerwany, zanim sygnał dotarł do tej komory. Sądząc po ilości plastiku, responsywiści chcieli, żeby z tablic pozostał jedynie pył.

- Co masz? - zapytał Lincoln. Umył twarz i na jego zakurzonej szyi widniały ślady strużek wody.

- Tablice z pismem klinowym i wystarczającą ilością semteksu, żeby wysłać je na orbitę.

Lincoln obejrzał ładunki i wzruszył ramionami. Wiedzieli, że lepiej ich nie dotykać. Skoro nie eksplodowały wtedy, kiedy powinny, to po co miały wybuchnąć teraz.

- To jest pismo kilimowe?

- Klinowe. Być może najstarsze na świecie. Używali go Sumerowie pięć tysięcy lat temu.

- Co one tu robią, do cholery? - zdziwił się Lincoln.

- Nie mam bladego pojęcia - odrzekł Cabrillo i sięgnął po swoją komórkę, żeby sfotografować tablice. - Wiem, że późniejsze pismo klinowe wyglądało bardziej abstrakcyjnie, jak zbiór trójkątów i szpiców. To przypomina piktogramy.

- Co to oznacza?

- Że pochodzi z najwcześniejszego okresu istnienia pisma. - Juan sprawdził, jak wyszły zdjęcia, i powtórzył kilka z nich, żeby były ostrzejsze. - Te tablice mogą mieć z powodzeniem pięć i pół tysiąca lat albo więcej i zachowały się w doskonałym stanie. Większość inskrypcji wykonanych pismem klinowym trzeba składać w całość z kawałków wielkości znaczka pocztowego.

- Posłuchaj, wszystko pięknie, ale to nie poprawia naszej sytuacji. Napij się wody, a ja jeszcze się tu rozejrzę.

Cabrillo pijał wino po tysiąc dolarów za butelkę, ale nic nie mogło się równać z tym pierwszym łykiem źródlanej wody. Nabierał ją w dłoń raz za razem i niemal czuł, jak płyn krąży w jego ciele, przywraca mu siły i usuwa zmęczenie zaćmiewające umysł. Chlupało mu w żołądku, zanim Lincoln skończył rekonesans.

- Wygląda na to, że trafiliśmy do gniazdka miłości responsywistów - powiedział Lincoln. Uniósł opakowanie prezerwatyw, w którym zostały tylko dwie, koc i worek na śmieci z sześcioma pustymi butelkami po winie.

- Miałem nadzieję, że znajdziesz akwalung i dwie maski do nurkowania.

- Nic z tego. Chyba będziemy musieli po prostu popłynąć i liczyć na to, że jednemu z nas się uda.

- Chodźmy z powrotem do głównej groty. Nie myśli mi się najlepiej w pobliżu ładunków wybuchowych.

Cabrillo rozważał nadmuchiwanie worka na śmieci i holowanie go za nimi, żeby mogli nabrać powietrza w połowie drogi, ale jego wyporność powodowałaby, że ocierałby się o sklepienie podwodnego tunelu. Plastik rozerwałby się, zanim przepłynęliby metr. Gdyby obciążyli worek, żeby miał neutralną pływalność, jego opór strasznie by ich spowalniał. Musiał być lepszy sposób.

Lincoln wręczył mu baton proteinowy i przez kilka minut żuli w milczeniu, próbując coś wymyślić. Juan znów zgasił latarkę. Słaby blask z głębi groty przyzywał ich i jednocześnie frustrował. Byli o krok od wolności, ale ostatnia przeszkoda wydawała się nie do pokonania. I nagle, ni stąd, ni zowąd, Juanowi przyszedł do głowy tak niesamowicie prosty pomysł, że nie mógł zrozumieć, dlaczego od razu na to nie wpadł.

- Pamiętasz może, jak się nazywa po niemiecku chloran sodu? To toksyczna sól używana jako pestycyd.

- Natrium Chlor. Przypominam sobie, że widziałem taki słoik czy dwa w tutejszym laboratorium.

- Masz jeszcze tamten drugi zapalnik?

- Mam.

- Zrobimy świecę tlenową. Kiedy mnie nie będzie, zdrap żelazne opiłki z torów kolejowych. Jak zmieszamy jedno i drugie i zapalimy, powstanie tlenek żelaza, chlorek sodu i czysty tlen. Popłynę do połowy tunelu i znajdę jakieś miejsce, gdzie będziemy mogli to zrobić. Tlen wyprze wodę morską i będziemy mieli pęcherz powietrza do oddychania.

- To kolejna porcja chemii wudu od twojego nauczyciela w szkole średniej?

- Właściwie wiem to od Maksa. Mamy generator tleny na „Oregonie” na wypadek pożaru lub skażenia chemicznego. Wyjaśnił mi, jak działają.

Cabrillo potrzebował latarki, więc zostawił Lincolna przy skrobaniu nożem szyn. Czterdzieści minut zajęło Juanowi przedostanie się z powrotem przez częściowo zawalony odcinek tunelu, dojście do laboratorium i powrót do morskiej grotty. Przez ten czas Lincoln zdołał zedrzeć aż nadto żelaznych opiłków ze starych torów kolejowych.

W coraz słabszym świetle latarki Cabrillo wymieszał chemikalia w jednej z pustych butelek po winie i owinał ją resztką taśmy izolacyjnej. Lincoln rozebrał zapalnik, żeby zmniejszyć ładunek detonacyjny. Kiedy skończyli, Juan wsunął zapalnik do butelki i zapakował prowizoryczny generator tlenu w plastikowy worek.

- Rube Goldberg byłby z nas dumny. Urządzenie godne jego komiksowych gadżetów - zażartował Lincoln.

Juan zdjął buty, spodnie i koszulę na krawędzi nabrzeża.

- Wracam za pięć minut - powiedział i opuścił się do wody o kąpielowej temperaturze.

Morze wokół niego zmętniało od pyłu zmytego z jego skóry. Trzymając latarkę i worek, popłynął na boku przez grotę do miejsca, gdzie według Lincolna powinno być wyjście.

Zostawił worek na powierzchni i zanurkował, wykonując energiczne ruchy nogami i rękami. W świetle wodoszczelnej latarki morze miało turkusową barwę. Słona woda szczypała go w oczy, ale przywykł do tego przez lata, więc nie zwracał na to uwagi. Najpierw widział tylko poszarpaną skałę, pokrytą omułkami i morskimi krasnorostami, ale na głębokości pięciu metrów zobaczył przed sobą czeluść tunelu o obwodzie co najmniej piętnastu metrów, wystarczającym aż nadto, by zmieścić się tam okręt podwodny z okresu drugiej wojny światowej. Kiedy zgasił latarkę, dostrzegł kątem oka słaby blask słońca.

Wrócił na powierzchnię i opasał ramieniem worek. Oddychał głęboko, by maksymalnie napełnić tlenem płuca i wydalić z organizmu jak najwięcej dwutlenku węgla. Kiedy zakręciło mu się w głowie, wypchnął się do góry, żeby wynurzyć pierś, nabrał tyle powietrza, ile mógł, i opadł z powrotem w mrok. Skierował światło latarki w dół i wpłynął do tunelu. Działanie pływów, które utworzyło system jaskiń, sprawiało, że w środku nie było flory i fauny morskiej. Odliczał sekundy. Po minucie zauważył, że blask słońca stał się wyraźnie jaśniejszy. Nie myślał o niczym i rozluźniony zapuszczał się coraz głębiej w tunel. Gdy minęło półtorej minuty, oświetlił sklepienie. Trzy metry dalej zobaczył naturalne wgłębienie w skale. Miało co najmniej półtora metra średnicy i około trzydziestu centymetrów głębokości.

W worku było dość powietrza, by przywarł do sklepienia. Juan wyczuł przez plastik zapalnik czasowy i włączył go. Odwrócił się i odpłynął w tym samym tempie, co przyplłynął. Nie minęły trzy minuty, gdy wydostał się z tunelu i wzniósł ku powierzchni. Wynurzył się z wody do połowy, niemal jak delfin, i wypuścił gwałtownie powietrze z płuc.

- Wszystko gra? - zawołał Lincoln z ciemności.

- Mógłbym sobie darować sporadyczne palenie cygar, ale nie ma problemu.

- Już idę.

Ledwo Lincoln to powiedział, Cabrillo usłyszał plusk. Lincoln znalazł się po chwili u boku Juana z ich butami zawieszonymi na ramieniu i ubraniami zawiązanymi wokół pasa.

- Zawinałem twoją komórkę w prezerwatywy - oznajmił Lincoln. - Jest w kieszeni twoich spodni.

- Dzięki. Zupełnie zapomniałem o niej.

- Dlatego dasz mi podwyżkę, jak wrócimy na statek. - Lincoln spoważniał. - Żeby wszystko było jasne, jeśli twój drobny eksperyment w stylu Frankensteina nie wypali i nie będzie pęcherza tlenu, to po prostu zasuujemy dalej?

Takiej odległości nie pokonałby nawet najlepszy pływak, toteż Juan odpowiedział ze świadomością, że wydaje na nich wyrok śmierci.

- Taki mam plan.

Ładunek detonacyjny był zbyt mały i znajdował się za daleko, żeby poczuć eksplozję przez wodę, więc Juan odczekał dziesięć minut z zegarkiem w ręku, zanim zapytał Lincolna, czy jest gotowy. Zaczęli wykonywać szybkie głębokie wdechy, znając własne organizmy na tyle dobrze, by uniknąć euforii od nadmiaru tlenu.

Zanurkowali do tunelu. Z niewiadomego powodu jego czeluść wydawała się Juanowi złowieszcza. Wyglądała jak wielka paszcza. Przy wysysającym go lekkim odpływie miał wrażenie, że skała chce ich wchłoniąć. Światło latarki szybko słabło, więc ją zgasił, gdy płynęli w kierunku odległego blasku za grotą. Półtorej minuty później znów zapalił latarkę i zaczął szukać pęcherza tlenu. Jego spód powinien lśnić srebrzyście na tle sklepienia tunelu jak wisząca kula rtęci, ale światło wyławiało z ciemności samą skałę. Juan zwolnił. Miał tylko moment na decyzję, czy powinni przyspieszyć w desperackiej, lecz beznadziejnej próbie dotarcia do wyjścia, czy nadal szukać zagłębienia.

Poświecił wokół i zorientował się, że zboczyli w prawo. Skręcił w lewo, Lincoln poszedł w jego ślady, ale nie zobaczyli pęcherza.

Smak porażki był gorzki jak słona woda napierająca na wargi Juana. Jego generator tlenu nie zadziałał i czekała ich śmierć. Wystartował energicznie w stronę odległego wylotu tunelu, gdy poczuł rękę Lincolna na kostce. Lincoln wskazywał trochę bardziej w lewo i kiedy Juan skierował tam światło, odbiło się jak w lustrze. Dopłynęli do blasku, wypuścili powietrze z płuc i wynurzyli się ostrożnie, żeby nie uderzyć głowami w sklepienie.

Nie dbali o to, że tlen jest jeszcze ciepły po egzotermicznej reakcji chemicznej i cuchnie. Juan był niezmiernie zadowolony z siebie i szczerzył zęby jak idiota.

- Dobra robota, prezesie.

Tlenu wystarczyło tylko na trzyminutowy postój. Napełniali łapczywie płuca przed wyruszeniem w dalszą drogę.

- Drugi na mecie stawia piwo po powrocie - powiedział Juan, zrobił ostatni wdech i opadł do tunelu.

Moment później poczuł, jak woda zamienia się w kipiel. Lincoln podążył za nim. Po minucie od zanurzenia wylot tunelu wydawał się równie odległy jak przedtem. Mimo że pomagał im odpływ, poruszali się o wiele za wolno. Kiedy Juan miał dwadzieścia kilka lat, wytrzymał pod wodą na wdechu prawie cztery minuty, ale życie mocno dało mu w kość od tamtej pory. Teraz jego rekord wynosił trzy minuty i piętnaście sekund i wiedział, że potężnie zbudowany Lincoln spala tlen jeszcze szybciej.

Ale posuwali się naprzód przez krystaliczną wodę najsprawniej, jak mogli. Po dwóch minutach i trzydziestu sekundach wylot jaskini wreszcie pojaśniał, choć wciąż wydawał się poza ich zasięgiem. Juan poczuł w gardle pierwsze drgawki, które sygnalizowały, że musi odetchnąć. Piętnaście sekund później nagle dostał skurczu płuc i wypuścił ustami trochę powietrza. Zostało im do pokonania dwadzieścia metrów. Siłą woli zacisnął krtań i zwalczył pragnienie, by zrobić wdech.

Niedotlenienie mózgu sprawiło, że zaczęło mu się mącić w głowie. Desperacko wykonywał nieskoordynowane ruchy, jakby nie umiał pływać, i stracił kontrolę nad rękami i nogami. Kiedyś omal nie utonął i rozpoznawał te objawy, ale był bezradny. Ocean przyzywał, a on nie mógł tam dotrzeć.

Poddał się i poczuł, jak woda pali go w płucach.

Gdy tylko przestał płynąć, zaczął przyspieszać. Lincoln zobaczył, że Cabrillo jest w tarapatach i chwycił go z tyłu za T-shirt. Ekskomandos SEAL potrzebował powietrza równie rozpaczliwie jak Juan, ale jego nogi pracowały niczym tłoki i każdy zamaszysty ruch prawego ramienia przybliżał ich do celu. Juan jeszcze nie widział takiej determinacji. Lincoln po prostu ignorował to, że tonie, i walczył.

Morze nagle się rozświetliło, gdy wyłonili się z groty. Lincoln instynktownie pociągnął ich ku powierzchni. Łapiąc gwałtownie powietrze, Juan wypluł pełne usta wody i wykaszał całe jej płuca, jak mu się zdawało. Trzymali się kurczowo skał niczym rozbitkowie, gdy omywały ich łagodne fale. Żaden nie mógł mówić przez kilka minut, a kiedy odzyskali głos, nie mieli nic do powiedzenia.

Forsowna wspinaczka zajęła im godzinę, przez następne dwie i pół omijali szerokim łukiem dawny japoński obiekt, zanim doszli do ukrytego dżipa. Cabrillo zapomniał o ciężkiej próbie jeszcze przed dotarciem na szczyt urwiska. Myślał tylko o zdjęciach zachowanych w jego komórce. Nie wiedział dlaczego, ale był pewien, że zdobył dowód, którego potrzebował, by popchnąć sprawę naprzód.

Hali Kasim znalazł Eddiego Senga w siłowni „Oregona”. Seng ćwiczył sztukę walki gi. Był w workowatych spodniach, ale bez koszuli. Pot spływał po jego szczupłym ciele, gdy zadawał serie ciosów karate i stękał przy każdym uderzeniu. Eddie zauważył minę Halego i zakończył trening kopnięciem z obrotu, od którego spadłaby głowa dowodzącego centrum NBA.

Wziął biały ręcznik z kosza obok przyrzędu do ćwiczeń siłowych Universal i wytarł szyję i tors.

- Sknociłem - oznajmił Hali bez wstępu. - Jak Kevin przesłuchał Donnę Sky, wróciłem jeszcze raz do tamtego cholernego nagrania i wprowadziłem nowe parametry do komputera. Gil Martell nie powiedział „Donna Sky”, tylko „Dawn” i „Sky”. Sprawdziłem i okazało się, że istnieje bliźniaczy statek „Golden Dawna” o nazwie „Golden Sky”. Eric i Murphy poszperali trochę i ustalili, że na jego pokładzie odbywają się właśnie „morskie rekolekcje” responsywiistów.

- Gdzie on teraz jest? - spytał Eddie.

- We wschodniej części Morza Śródziemnego. Dziś po południu ma zawinąć do Stambułu. Potem płynie na Kretę. Już dzwoniłem do Juana - dodał Hali, zanim Eddie zdążył zapytać - ale nie odpowiada.

Ponieważ z prezesem nie mieli kontaktu, a Max był wciąż w rękach Zelimira Kovaca, ciężar dowodzenia „Oregonem” i podejmowania decyzji spadł na barki Eddiego.

- Są jakieś informacje o zachorowaniach na statku?

- Nie. Ani w wiadomościach, ani w wewnętrznej sieci towarzystwa żeglugowego. - Hali dostrzegł wahanie w ciemnych oczach Eddiego. - Jeśli to pomoże, Linda, Eric i Mark zgłosili się na ochotnika. Już się pakują.

- Jeżeli nastąpi atak chemiczny lub biologiczny na statek, będą w takim samym niebezpieczeństwie jak wszyscy inni - przypomniał Eddie.

- Nie można zmarnować takiej okazji. Gdyby nam się udało dobrać do kogoś z tamtych, zdobylibyśmy bezcenną wiedzę. - Hali przedstawił słownie drugą połowę równania.

Rozstrzygnięcie, czy korzyść równoważy ryzyko, jest najtrudniejsze dla wojskowych decydentów, bo zawsze chodzi o ludzkie życie.

- Mogą dopłynąć do brzegu sztywnokadłubową łodzią pneumatyczną. W Nicei czeka odrzutowiec. Mały zdąży zgłosić plan przymusowego lotu i przerzucić ich na czas do Turcji. Responsywiści na pewno nie zaatakują, dopóki „Golden Sky” będzie w porcie, więc nasi mogliby przynajmniej zakraść się na pokład i rozejrzeć.

- Okej - zgodził się Eddie, a potem zatrzymał Halego, który się odwrócił, żeby odejść. - Ale absolutnie muszą opuścić tamten statek, zanim wyjdzie w morze.

- Przekażę im to. Kogo chcesz wysłać?

- Lindę i Marka. Eric jest pierwszorzędnym nawigatorem i badaczem, ale Mark zna się na uzbrojeniu i prędzej znajdzie system rozprzestrzeniania czynnika chemicznego lub biologicznego.

- Dobra.

Hali ruszył do drzwi, ale Eddie znów go zatrzymał.

- Jak idzie inwigilacja?

Godzinę przed zachodem słońca „Matrioszka”, luksusowy jacht Iwana Kierikowa, wypłynął z portu w Monte Carlo z Ibn al-Asimem i jego żoną na pokładzie. Al-Asim był dobrze zapowiadającym się saudyjskim finansistą, który zaczął przekazywać pieniądze szkołom prowadzonym przez radykalnych islamistów i skrajnym ugrupowaniom terrorystycznym, nawiązał też kontakt z al Kaidą. CIA bardzo się interesowała nim i jego spotkaniem z rosyjskim handlarzem bronią, bo istniała szansa przewerbowania go i uzyskania dostępu do wyższych szczebli terrorystycznej hierarchii.

Nie dyskutowano o niczym ważnym, kiedy jacht stał w porcie. Mężczyźni spędzili większość popołudnia w towarzystwie kobiet sprowadzonych przez Kierikowa. Ale gdy „Matrioszka” wypłynęła na wody Morza Śródziemnego, wszyscy na „Oregonie” wiedzieli, że prawdziwe negocjacje będą prowadzone z dala od wścibskich oczu.

„Oregon” podążył za „Matrioszką” z wyłączonymi światłami nawigacyjnymi i trzymał się tak daleko za horyzontem, że tylko szczyt jego najwyższego masztu wystawał ponad krzywiznę Ziemi. Rosjanie pokonali dwadzieścia mil, zanim silniki megajachtu zaczęły pracować na biegu jałowym. Spokojni, że mają morze dla siebie, Kierikow i al-Asim przystąpili do poważnej rozmowy przy kolacji na pokładzie rufowym.

Korzystając z GPS-u, Eric tak zaprogramował komputer, że pędniki „Oregona” utrzymywały statek w stałej odległości od dryfującej „Matrioszki”, podczas gdy najnowocześniejsze urządzenia elektroniczne wysoko na maszcie frachtowca monitorowały jacht. Dzięki antenom parabolicznym, kamerom o wysokiej rozdzielczości do czytania z ruchu warg i laserowi o zogniskowanym promieniu, który wyczuwał lekkie wibracje szyby powodowane przez głosy po drugiej stronie okna, mogli podsłuchiwać wszystko.

- Kiedy ostatnio słuchałem, al-Asim i Rosjanin rozmawiali o pociskach SA-7 Graal.

- To szmelc - orzekł Eddie. - Nie zestrzelą tym żadnego z naszych odrzutowców. Ale cywilna maszyna byłaby bezbronna.

- Kierikow dał wcześniej jasno do zrozumienia, że nie chce wiedzieć, do czego al-Asimowi są potrzebne te rakiety, ale Saudyjczyk zrobił aluzję do strącania samolotów pasażerskich.

Eddie urodził się w chińskiej dzielnicy Nowego Jorku, więc był szczególnie wściekły, że celem terrorystów jest lotnictwo cywilne. Wprawdzie nie stracił nikogo jedenastego września, ale znał dziesiątki ludzi, których to spotkało.

- Coś jeszcze?

- Al-Asim pytał już o broń jądrową. Kierikow odparł, że nie ma do niej dostępu, ale dostarczyłby ją, gdyby mógł.

- Super. - Eddie splunął z grymasem na twarzy.

- Potem Rosjanin powiedział, że chętnie sprzedałby coś, co nazwał „Pięścią Stalina”, ale jest za dużo problemów technicznych, żeby móc to praktycznie wykorzystać. Kiedy al-Asim zaczął go naciskać, kazał mu zapomnieć, że w ogóle o tym napomknął. Wtedy przeszli do graalów.

- Słyszałeś kiedyś o jakiejś „Pięści Stalina”?

- Nie. Mark też nie.

- Langston Overholt może coś o tym wiedzieć. Zapytam go, kiedy będziemy mu przekazywali przechwycone informacje. Tak czy owak, to jego problem. Daj mi znać, jak tylko Juan się odezwie

lub oddzwoni Thom Severance.

- Myślisz, że Max jest cały i zdrowy? - spytał Hali.

- Dla Severancea byłoby lepiej, żeby nic mu się nie stało.

Zelimir Kovac obserwował, jak na ołowianym niebie pojawia się helikopter, jaskrawożółta plamka na tle szarych chmur. Nie okazywał złości. Nie udało mu się znaleźć zbiegłego Amerykanina i gnębiło go to. Nie miał zwyczaju szukać wymówek, ale właśnie powtarzał sobie w myślach usprawiedliwienie, kiedy śmigłowiec lądował, burząc wodę w pobliskim rozlewisku pozostałym po sztormie.

Oprócz pilota Thomasowi Severanceowi towarzyszył jeszcze jeden mężczyzna. Kovac nie zwracał na niego uwagi, koncentrował się wyłącznie na swoim przełożonym. Thom Severance wyróżniał się we wszystkim, co Kovac uważał za ważne, i Serb był bezgranicznie oddany jemu i jego sprawie. Ta lojalność sprawiała, że czuł się winny i nie mógł sobie darować, że zawiódł Severancea.

Severance otworzył drzwi helikoptera, podmuch szarpnął jego kurtkę i rozwiały mu włosy. Jakimś sposobem potrafił się zgrabnie poruszać, gdy dawał nura spod wirującego rotora. Kovac nie mógł się zdobyć na to, by odwzajemnić promienny uśmiech Severancea, na który nie zasłużył. Zerknął w bok i rozpoznał drugiego pasażera.

Jego złość ustąpiła miejsca dezorientacji.

- Wspaniale cię widzieć, Zelimir - zawołał Thom przez hałas turbiny śmigłowca. Zauważył zaskoczoną minę szefa swojej ochrony i zachichotał. - Założę się, że on jest ostatnią osobą na świecie, którą spodziewałeś się zobaczyć ze mną.

Kovac odzyskał mowę, nie odrywając wzroku od doktora Adama Jennera.

- To prawda.

Severance zniżył głos, by nadać następnym słowom ton zażyłości i zaufania.

- Czas, żebyś się wszystkiego dowiedział. Poznał przeszłość.

Jenner podszedł i dotknął dłonią w rękawiczce opatrunku na głowie, gdzie Kovac zdzielił go pistoletem w rzymskim hotelu.

- Nie mam o to urazy, panie Kovac.

Dziesięć minut później znaleźli się w najbardziej luksusowym apartamencie podziemnej bazy. Tutaj Thom i jego żona mieli przeczekać nadciągający chaos. W sumie mieściły się tu kwatery dla dwustu czołowych członków organizacji responsywnistów.

Podczas ostatniego pobytu Severancea w tych czterech pokojach otaczały go tylko gołe betonowe ściany. Teraz podziwiał pracę włożoną w urządzenie apartamentu. Jedynie płaskie ekrany telewizyjne zamiast okien wskazywały, że jest piętnaście metrów poniżej poziomu gruntu.

- Tutaj jest prawie tak przyjemnie jak w naszym nowym domu w Beverly Hills - stwierdził, przesuwając palcami po adamaszku z jedwabiu na ścianie. - Heidi będzie zachwycona.

Poprosił czekającego służącego, który promieniał, że jest w obecności przywódcy ich grupy, o podanie serwisu do kawy i usadowił się w jednym z foteli z uszakami w swoim gabinecie. Płaski monitor za nim pokazywał fale morskie rozbijające się o skalisty brzeg. Obraz pochodził z kamery zamontowanej niedaleko wejścia do bazy.

Jenner usiadł na pluszowej kanapie, Kovac stanął niemal na baczność przed swoim szefem.

- Zelimir, siadaj, proszę.

Spięty Serb zajął miejsce na krześle.

- Znasz takie stare powiedzenie: „Przyjaciół trzymaj blisko, ale wrogów jeszcze bliżej”? - zapytał Severance, kiedy służący nalał kawę. Nie zczekał na odpowiedź Kovaca. - Naszymi największymi wrogami nie są ci, którzy naśmiewają się z naszych przekonań, nie rozumiejąc ich. Są nimi ci, którzy kiedyś byli z nami, ale stracili wiarę. Oni szkodzą nam najbardziej, bo zostali wtajemniczeni w sprawy, których nigdy nie ujawnilibyśmy obcym. Lydell Cooper i ja często o tym rozmawialiśmy.

Na wzmiankę o założycielu ruchu responsywistów Kovac skinął głową i zerknął na Jennera, jakby chciał powiedzieć, że terapeuta nie zasługuje na to, żeby być w tym pokoju, kiedy pada to nazwisko. Psychiatra popatrzył na niego z czułym, niemal ojcowskim uśmiechem.

- Postanowiliśmy stworzyć znawcę responsywizmu, człowieka, do którego będą się zwracały rodziny, gdy uznają, że straciły kontrolę nad swoimi bliskimi. Miał się również zajmować osobami, które odeszły z własnej woli, określać ich zamiary i składać nam raporty, żebyśmy mogli... hm, podejmować odpowiednie działania.

Na twarzy Kovaca widniał cień szacunku, kiedy znów spojrzął na doktora Jennera.

- Nie miałem pojęcia.

- Nie wiesz najlepszego - ciągnął Severance. - Uznaliśmy, że nadaje się do tego tylko jeden człowiek.

- Kto? - zapytał Kovac.

- Ja, mój drogi chłopcze - odrzekł Jenner. - Tyle że mnie nie poznajesz, bo jestem po operacji plastycznej, noszę szkła kontaktowe i minęło prawie dwadzieścia lat.

Kovac utkwiał w nim wzrok, jakby chciał przejrzeć go na wylot.

- Nie... - Urwał.

- To ja, Lydell Cooper, panie Kovac.

- Przecież pan nie żyje - wypalił Kovac bez namysłu.

- Człowiek z pańskim doświadczeniem powinien wiedzieć, że aby uznać kogoś za martwego, trzeba znaleźć jego zwłoki. Żeglowałem przez większość życia. Sztorm, podczas którego rzekomo zginąłem, był niczym w porównaniu z tymi, które przeżyłem.

- Nie rozumiem. Wtrącił się Severance.

- Lydell położył podwaliny responsywizmu, zawarł w swoich opracowaniach podstawowe zasady, sedno tego, w co wszyscy wierzymy.

- Ale nie jestem organizatorem - dokończył Cooper. - Thom i moja córka, Heidi, są pod tym względem dużo lepsi ode mnie. Nie lubię publicznie przemawiać, prowadzić zebrań ani zajmować się codziennymi przyziemnymi sprawami. Więc kiedy rozwinęli ruch, zacząłem odgrywać inną rolę niż jego obrońcy. Udając największego krytyka responsywizmu, mogłem pilnować każdego, kto próbował nam zaszkodzić.

Kovac w końcu odzyskał mowę.

- Tych wszystkich ludzi, których nastawił pan przeciwko nam, przeorientował pan?

- I tak by odeszli - odparł doktor Cooper beztrząsco. - Zminimalizowałem ich krytyczny stosunek do nas. Opuścili owczarnię, że się tak wyrażę, ale w przeważającej części nikt z nich nie ujawnił wiele o nas.

- A co się stało w Rzymie?

- Mało brakowało - przyznał Cooper. - Nie wiedzieliśmy, że ojciec Kylea Hanleya ma środki na wynajęcie drużyny do uwalniania zakładników. Jak tylko się dowiedziałem, że zabierają go na

wstępną terapię do Rzymu, zadzwoniłem do Thoma, żeby przysłał tam pana, a potem podałem mu nazwę hotelu i numer pokoju, żeby mógł pan wkroczyć. Nie byliśmy pewni, ile chłopak wie i co powiedział ojcu.

- A przy okazji, jaki postęp zrobiłeś na tym froncie? - zapytał Thom Severance.

Kovac spuścił wzrok. Trudno było mu się przyznać do porażki, zwłaszcza w obecności doktora Lydella Coopera, wielkiego człowieka, którego filozofia nadała sens jego życiu.

- Zelimir?

- On uciekł, panie Severance. Ostatniej nocy. Nie wiem jak, ale wydostał się z celi i dotarł na powierzchnię. Zabił jednego mechanika i zranił dwóch innych.

- Jest jeszcze na wyspie?

- Ukradł quada. Był straszny sztorm, widoczność nie przekraczała paru metrów. Musiał nie zauważyć urwiska. Grupa poszukiwawcza znalazła pojazd dziś rano w czasie odpływu. Ciała nie było.

- Nie zakładaj, że ktoś nie żyje, dopóki nie zobaczysz zwłok - przestrzegł Lydell Cooper.

- Panie doktorze, wzbudza pan mój najwyższy szacunek i podziw - odrzekł Kovac - ale ten Hanley prawdopodobnie miał wypadek podczas sztormu. Był w bardzo kiepskiej formie, kiedy uciekł, i naprawdę nie sądzę, żeby przeżył noc na łasce żywiołu.

Przemilczał to, że odkrył implant bioelektryczny, i implikacje tego faktu, bo nie chciał zasiewać wątpliwości. Drużyny poszukiwawcze wciąż przeczesywały prywatną wyspę responsywnistów na Morzu Egejskim i wiedziały, że jeśli znajdą zbiega, mają natychmiast zameldować mu o tym. Kovac wydobyłby z Hanleya potrzebne informacje i pozbył się go, zanim do reszty straciłby dobrą reputację.

- Oczywiście nadal będziemy go szukali - dodał.

- Oczywiście - odparł Cooper. Kovac skupił na nim całą uwagę.

- Jeśli pan pozwoli, to chciałbym powiedzieć, że praca dla pana jest dla mnie zaszczytem. Pańskie nauki całkowicie zmieniły moje życie. Czy mógłbym uścisnąć panu dłoń?

- Dziękuję, Zelimir, ale niestety nie mogę podać ci ręki. Mimo młodego wyglądu mam prawie osiemdziesiąt trzy lata. Kiedy jeszcze prowadziłem badania genetyczne, opracowałem lek przeciwko odrzucaniu przeszczepów, dostosowany do mojego DNA, więc mogłem się poddać transplantacji serca, płuc, nerek i oczu, uzyskanych od przedsiębiorczych ludzi, i dzięki operacji plastycznej wyglądam młodziej, niż powinienem. Mam sztuczne biodra, kolana i dyski. Jestem na równoważonej diecie, piję alkohol sporadycznie i nigdy nie paliłem. Spodziewam się, że będę pełen życia i wigoru jeszcze co najmniej czterdzieści lat. - Cooper uniósł dłonie w rękawiczkach. Palce miał powyginane i powykręcane jak gałęzie wiekowego drzewa. - Ale artretyzm jest dziedziczny i nie zdołałem mu zapobiec. Nic nie sprawiłoby mi większej przyjemności niż podziękowanie ci za uprzejme słowa i wspaniałą służbę uściskiem dłoni, ale po prostu nie jestem w stanie tego zrobić.

- Rozumiem. - Kovac nie widział paradoksu w tym, że człowiek opowiadający się za zmniejszeniem zaludnienia świata przedłuża sztucznie własne życie.

- I nie przejmuj się - dodał Cooper - bo Kyle Hanley nie mógł wiele wydedukować podczas krótkiego pobytu w Grecji. I nawet jeśli jego ojciec przekaze te informacje odpowiednim władzom, nie zdążą zareagować. Przesłuchiwanie Hanleya to drobny szczegół, po prostu zapinanie wszystkiego na ostatni guzik. Nie zwracaj sobie tym głowy.

- Tak jest - odrzekł Kovac automatycznie.

- Przejdźmy do innej sprawy - powiedział Severance. - Przyspieszamy realizację planu.

- Z powodu uwolnienia Kylea Hanleya?

- Częściowo. I, eee... samobójstwa Gila Martella. Lokalne władze w Grecji nie sprawiają nam kłopotu, ale rząd w Atenach zaczął się nami interesować.

Lydell i ja uznaliśmy, że najlepiej będzie wyekspediować naszych praktykantów teraz. Nie potrzebują wiedzieć nic więcej, toteż nie ma co zwlekać. Naturalnie przepłaciliśmy za bilety niezarezerwowane wcześniej. - Severance zachichotał cierpko. - Oczywiście stać nas na to.

- Wysyła pan wszystkich, pięćdziesiąt drużyn?

- Tak. A właściwie czterdzieści dziewięć. Jedna drużyna jest już na pokładzie „Golden Sky”, żebyśmy mogli przeprowadzić ostatnią próbę nadajnika. Zatem pięćdziesiąt drużyn i pięćdziesiąt statków wycieczkowych. Miną trzy lub cztery dni, zanim każdy dotrze do celu. Jedne statki są na morzu, inne na drugiej półkuli. Nasi ludzie będą mieli ze sobą wirusa udoskonalonego przez Lydella i wyhodowanego przez nas na Filipinach. Ile potrważą przygotowania do próby?

Kovac się zastanowił.

- Pewnie do dzisiejszego popołudnia. Musimy uruchomić pozostałe turbozespoły, żeby w pełni naładować akumulatory i ustabilizować zasilanie dla ochrony anteny.

- Wirus testowy, który mają nasi na „Golden Sky”, to prosty, szybko działający wirus nieżyty nosa, więc będziemy wiedzieli w ciągu dwunastu godzin, czy sygnał dotarł do odbiornika. Jeśli wyślemy go nie później niż dzisiejszej nocy, wszystko powinno zagrać. Oczywiście druga drużyna na pokładzie statku rozmieszcza naszego zasadniczego wirusa.

- To wielka chwila, panowie - powiedział Lydell Cooper. - Kulminacja wszystkiego, na co pracowałem. Wkrótce nastąpi nowy początek, wstanie rzeński świt i ludzkość zabłyśnie, tak jak było w zamyśle. Znikną rzesze, które są obciążeniem, bo zużywają bogactwa naturalne, a w zamian dostarczają tylko więcej gęb do wyżywienia. W jednym pokoleniu połowa świata straci zdolność do rozmnażania się i liczebność populacji przestanie się zwiększać. Nie będzie więcej niedostatku. Zlikwidujemy ubóstwo, głód, nawet groźbę globalnego ocieplenia.

Politycy na całym świecie składają głośne deklaracje rozwiązania tych problemów i przedstawiają krótkoterminowe plany, żeby ich wyborcy mieli wrażenie, że coś się robi. My wiemy, że to wszystko są kłamstwa. Wystarczy przeczytać gazetę czy obejrzeć wiadomości, by się przekonać, że nic się nie zmienia. Jest wręcz coraz gorzej. Walki o prawa do ziemi i wody nie od dziś wywołują konflikty. A ile ofiar pochłonęła już ochrona malejących złóż ropy?

Mówią nam, że może być lepiej, jeśli zmienimy przyzwyczajenia: będziemy mniej jeździli samochodami, kupowali mniejsze domy, używali innych żarówek. Wolne żarty. Nikt nie zrezygnuje z wygod. To wbrew naszej naturze. Nie, drobne wyrzeczenia, do których się nawołuje, nie są żadnym rozwiązaniem, bo sedno sprawy tkwi gdzie indziej. Jest nas za dużo. Zamiast mieć coraz większą populację potrzebującą coraz mniej, trzeba po prostu zredukować zaludnienie.

Wszyscy wiedzą, że to jedyne wyjście, tylko nikt nie ma odwagi tego powiedzieć, więc światu coraz bardziej zagraża chaos. Jak napisałem, rozmnażamy się na własną zgubę. Pragnienie posiadania potomstwa jest być może najpotężniejszą siłą we wszechświecie. Nie można temu zaprzeczyć. Ale przyroda to reguluje. Drapieżniki trzebią zwierzynę łowną, gleba odżywa po pożarach lasów, są cykle powodzi i suszy. Tymczasem człowiek ze swoim wielkim mózgiem zawsze znajdował sposoby na to, by obejść ograniczenia, które próbowała mu narzucić przyroda. Wybiliśmy tyle zwierząt, dla których stanowimy łup, że tylko garstka żyje na wolności, a reszta jest zamknięta w ogrodach

zoologicznych. Jedynie drobnoustroje chorobotwórcze mogły przerzedzić nasze szeregi, więc wynaleźliśmy szczepionki i leki uodparniające, cały czas rozmnażając się tak, jakbyśmy się wciąż obawiali, że stracimy dwójkę z każdej trójki dzieci przed ich pierwszymi urodzinami.

Tylko jeden kraj miał odwagę przyznać, że liczba jego ludności rośnie zbyt szybko, ale nawet tam nie udało się tego spowolnić. Chiny próbowały ograniczyć przyrost naturalny, wprowadzając politykę jednego dziecka w rodzinie, i teraz jest ich o dwieście milionów więcej niż dwadzieścia pięć lat temu. Jeśli jedno z najbardziej dyktatorskich państw na świecie nie potrafi tego powstrzymać, to kto może to zrobić?

Ludzie po prostu już się nie zmieniają, w każdym razie nie w zasadniczy sposób. Dlatego wszystko zależy od nas. Oczywiście nie jesteśmy szaleńcami. Mógłbym zmodyfikować naszego wirusa tak, że zabiłby każdego, ale nigdy nie rozważałem uśmiercenia miliardów ludzi. Więc jakie było wyjście? Oryginalny wirus gorączki krwotocznej, od którego zacząłem, powodował bezpłodność, ale współczynnik umieralności sięgał pięćdziesięciu procent. Kiedy porzuciłem badania medyczne, pracowałem nad dziesiątkami tysięcy generacji i mutacji tego wirusa i zmniejszałem jego śmiertelność przy zachowaniu tej cechy, na której mi zależało. Kiedy uwolnimy go na tych pięćdziesięciu statkach, zainfekuje prawie sto tysięcy osób. Wydaje się, że to dużo, ale to tylko kropla w morzu. Pasażerowie i załogi pochodzą ze wszystkich części świata i środowisk społeczno-ekonomicznych. Na statku wycieczkowym jest przekrój społeczeństwa, od potentata przemysłowego do zwykłego marynarza. Chcę być całkowicie demokratyczny. Nikogo nie oszczędzimy. Kiedy wrócą do swoich podmiejskich domów w Michigan, miasteczek w Europie Wschodniej czy slumsów w Bangladeszu, przeniosą tam wirusa.

Jego gospodarz nie będzie miał żadnych objawów przez miesiące, gdy choroba będzie się rozprzestrzeniała. A potem wystąpią pierwsze oznaki zakażenia. Będzie się wydawało, że wszyscy na świecie złapali łagodną gripę z wysoką gorączką. Współczynnik umieralności nie powinien przekroczyć jednego procentu. Życie stracą osoby z osłabionym układem odpornościowym. To tragiczne, ale nieuniknione. Dopiero później, gdy ludzie będą szukali wyjaśnienia, dlaczego nie mogą mieć dzieci, dowiedzą się, że połowa świata jest bezpłodna.

Rzeczywistość będzie okrutna. Wybuchną zamieszki, gdy przerażeni obywatele zażądadzą odpowiedzi na pytania, których ich przywódcy bali się zadać. Ale to nie powinno długo trwać - tygodnie, najwyżej miesiące. Światowa gospodarka dostanie zadyszki, kiedy będziemy dokonywali korekt, ale zrobimy to, bo inną potężną siłą napędową ludzkości jest zdolność adaptacji. A potem, och, moi przyjaciele, rozwiążemy wszystkie problemy, wyleczymy wszystkich chorych i wkroczymy w okres dobrobytu, jakiego jeszcze nie było.

Łza spłynęła po policzku Zelimira Kovaca, ale nie wykonał żadnego ruchu, by ją zetrzeć. Thom Severance, który znał Coopera przez całe swoje dorosłe życie i słyszał jego przemowy tysiąc razy, był równie poruszony.

Linda Ross wyciągnęła rękę.

- Tamtych dwoje.

Mark Murphy spojrział wzdłuż jej ramienia i natychmiast zauważył parę. Wielu pasażerów „Golden Sky” było w starszym lub przynajmniej w średnim wieku, ale Linda wypatrzyła kobietę i mężczyznę po trzydziestce. Oboje trzymali za ręce około ośmioletnią dziewczynkę w różowej sukience i półbucikach na płaskich obcasach z jednym paskiem i zaokrąglonymi noskami.

- To jak odebrać dziecku cukierek - powiedział Mark, gdy zobaczył, że kobieta wręcza mężowi swój identyfikator pasażera, mający wielkość karty kredytowej. Tamten wsunął go do portfela, który schował z powrotem do przedniej kieszeni.

Za tłumem schodzących na ląd pasażerów, chętnych do zwiedzenia Hagia Sofii, Błękitnego Meczetu, kompleksu pałacowego Topkapi i Wielkiego Bazaru, „Golden Sky” wyglądał równie złowieszczo jak jego bliźniaczy statek. Marka ogarniały przerażające wspomnienia, ilekroć na niego zerknął. Nie przemyślał zbyt dokładnie decyzji, żeby zgłosić się na ochotnika do tej akcji, i teraz nie podniecała go perspektywa wejścia na pokład.

- Idą do autobusów. - Linda wskazała głową kierunek. Młoda rodzina skręcała do krawężnika, gdzie czekało dwanaście wyczarterowanych autokarów z pracującymi silnikami. Pasażerowie pokazywali obsłudze jednodniowe karnety.

- Robimy to tutaj, czy śledzimy ich do śródmieścia?

- Teraz albo nigdy. Chodźmy.

Zaczekali, aż trójka ich minie, i wmieszali się w tłum. Poruszali się między wolno idącymi ludźmi, dopóki nie znaleźli się tuż za swoimi ofiarami, które nie miały pojęcia, że są obserwowane.

- Szybko! - zawołała nagle Linda. - Nasz autobus chyba odjeżdża.

Mark przyspieszył kroku i otarł się o mężczyznę, kiedy go wyprzedzał. Turysta natychmiast sprawdził, czy ma portfel. To, że trzymał go w przedniej kieszeni i tak zareagował na przypadkowe potrącenie przez jakiegoś przechodnia, świadczyło, że jest doświadczonym podróżnikiem. W większości przypadków takie środki ostrożności byłyby wystarczające. Ale gdy zgodnie z planem Linda przepchnęła się obok niego, pasażer uznał, że spieszący się Amerykanie nie są groźni i nie sprawdził drugi raz, czy go nie okradziono.

Nie poczuł, jak mała dłoń Lindy sięga do jego kieszeni i wyciąga portfel.

Amator oddaliłby się natychmiast po dokonaniu kradzieży, ale Linda i Mark nadal udawali spieszących się pasażerów i maszerowali do autobusów. Pokręcili się obok jednego z nich, dopóki młoda rodzina nie pokazała karnetów i nie wsiadła do innego. Dopiero wtedy wydostali się z tłumy i wrócili do wypożyczonego samochodu.

Linda stanęła w otwartych tylnych drzwiach, żeby zasłonić wnętrze przed ciekawskimi, a Mark zabrał się do pracy nad jednym z laminowanych identyfikatorów przy użyciu specjalnego zestawu zapakowanego na „Oregonie”. Usunął skalpelem przezroczysty plastik i wyciął zdjęcie. Potem

umieścił na właściwym miejscu odpowiednią fotografię Lindy z pliku, który zabrał ze sobą, i przeciągnął kartę przez laminator bateryjny. Wygładził identyfikator i pozbył się nadmiaru plastiku.

- Proszę, pani Susan Dudley - powiedział i pokazał Lindzie jeszcze ciepłą kartę.

- Wygląda na to, że znasz się na tym - stwierdziła.

- Zacząłem studiować w MIT, kiedy miałem piętnaście lat, więc możesz mi wierzyć, że wiem wszystko o produkcji fałszywych dokumentów tożsamości.

Linda usłyszała w jego głosie coś, co zwróciło jej uwagę.

- Musiało ci być ciężko.

Mark przerwał pracę i podniósł na nią wzrok.

- Jak możesz sobie łatwo wyobrazić, roiło się tam od superdziwaków, ale ja się wyróżniałem. Neseser, krawat, pochewka na długopisy. Administracja uczelni zapewniła moich rodziców, że wybitnie uzdolnieni studenci mają w przejściowym okresie opiekunów, żeby się łatwiej adaptowali. Co za bzdura. Byłem zdany na siebie w środowisku, w którym jest największa rywalizacja na świecie. Jeszcze gorzej było w sektorze prywatnym. Dlatego dołączyłem do Juana i Korporacji.

- Wcale nie dla pieniędzy, co? - drażniła się z nim Linda.

- Nie przechwalałem się ani nic takiego, ale dostałem dużą działkę, kiedy do was przyszedłem. Byłem tego wart. Traktujecie mnie jak równego sobie. Kiedy projektowałem systemy uzbrojenia, generałowie, wielcy macho, kroczyli dumnie i patrzyli na nas, jakbyśmy byli rozdeptanymi robakami albo czymś podobnym, co muszą zeskrobywać z podeszwy buta. Jasne, podobały im się zabawki, które dla nich robiliśmy, ale nie cierpieli nas za to, że to potrafimy. W stołówce było zupełnie jak w szkole średniej. Wojskowi siedzieli oddzielnie jak drużyna sportowa, a my trzymaliśmy się z boku, w skrytości ducha licząc na to, że zostaniemy zauważeni. Żalotne.

Na „Oregonie” tak nie jest. Wszyscy tworzymy jeden zespół. Ty, Lincoln i Juan nie dajecie odczuć Ericowi i mnie, że jesteśmy obcy, mimo że trochę za bardzo świrujemy. I po raz pierwszy w życiu wiem, że nie muszę szukać wolnego stolika, kiedy wchodzę do mesy. - Mark sprawiał takie wrażenie, jakby powiedział za dużo, więc wyszczerzył zęby do Lindy i dodał: - Mam nadzieję, że nie bierzesz nic za psychoterapię.

- Możesz mi postawić drinka dziś wieczorem na pokładzie. Mark najpierw się przestraszył, a potem uśmiechnął znacząco.

- Nie zejdziemy z „Golden Sky”, dopóki czegoś nie znajdziemy, tak? Przycisnęła rękę do piersi zaszokowana.

- Zarzucasz mi zlekceważenie rozkazu Eddiego?

- Zgadza się.

- Zaskoczony?

- Nie.

- Wchodzisz w to?

- Przecież przygotowuję drugi identyfikator, no nie?

- Porządny facet.

Mark włożył dwie karty do elektronicznego urządzenia połączonego z laptopem i przekodował ich paski magnetyczne. Dziesięć minut później on i Linda stanęli u dołu trapu „Golden Sky”. W pobliżu wózek widłowy ładował na statek palety przez duży właz, w górze krążyły z wrzaskiem mewy jak samoloty bojowe podczas walki powietrznej.

- Wszystko w porządku, panie Dudley? - zapytał pomocnik głównego stewarda, kiedy

oświadczyli, że chcą wrócić do swojej kabiny.

- Kolano mi dokucza - odrzekł Mark. - Uszkodziłem sobie przednie więzadło krzyżowe, kiedy grałem w futbol w collegeu, i odzywa się co jakiś czas.

- Jak pan wie, mamy na pokładzie lekarza, który może to obejrzeć. - Steward przeciągnął dwa identyfikatory przez czytnik. - Dziwne.

- Problem?

- Nie... a właściwie tak. Kiedy włożyłem państwa karty, komputer mi wysiadł.

Częścią systemu bezpieczeństwa każdego dużego towarzystwa żeglugowego są elektroniczne identyfikatory. Na monitorze wyświetla się zdjęcie właściciela i informacje o trasie jego podróży. Mark tak przekodował skradzione karty, żeby nic się nie pojawiło na ekranie. Steward albo musiał uwierzyć, że stojące przed nim dwie osoby są tymi, za które się podają, albo zatrzymać je do czasu, aż ktoś naprawi komputer. Dobra obsługa klientów była tak ważna, że nie mógł narażać pasażerów na niewygodę z powodu drobnej usterki technicznej.

Przeciągnął własny identyfikator pracownika przez skaner i kiedy na monitorze ukazało się jego zdjęcie, zwrócił dwie karty Markowi.

- Coś jest z nimi nie w porządku. Kiedy państwo wrócą do swojej kabiny, proszę zadzwonić do biura głównego stewarda i zgłosić to. Dostaną państwo nowe identyfikatory.

- Dobrze. Dzięki. - Mark wsunął karty do kieszeni. Wspięli się pod rękę po trapie. Murphy udawał, że kuleje.

- Futbol w collegeu? - zapytała Linda, gdy znaleźli się poza zasięgiem głosu.

Mark poklepał się po niezbyt płaskim brzuchu.

- Zaniedbałem się.

Weszli na statek na poziomie głównego atrium. Sufit na wysokości czwartego piętra wieńczyła witrażowa kopuła. Dwie oszklone windy kursowały na wyższe pokłady ogrodzone bezpiecznymi szybami i lśniącymi mosiężnymi relingami. Po różowej marmurowej ścianie na wprost wind spływała woda i zbierała się w basenie wokół dyskretnej fontanny. Ze swojego punktu obserwacyjnego widzieli szyldy małych luksusowych sklepów jeden poziom wyżej i neon nad wejściem do kasyna. Przepych graniczył z tandetą.

Przedyskutowali plan działania jeszcze na „Oregonie” i przestudiowali rozkład statku w witrynie internetowej towarzystwa żeglugowego, więc nie musieli teraz rozmawiać. Poszli od razu do toalet za fontanną. Linda wyjęła ubranie z torby na ramię i wręczyła Markowi. Po chwili wyłonili się w kombinezonach roboczych z logo towarzystwa żeglugowego wyszytym złotą nicią na lewej piersi, które przygotował dla nich Kevin Nixon w Magicznej Pracowni. Linda starła większość makijażu, Mark okiełznał niesforne włosy czapką bejsbolową towarzystwa żeglugowego. Stroje personelu technicznego pozwalały im na swobodne poruszanie się po statku.

- Gdzie się spotkamy, gdybyśmy się rozdziлили? - zapytała Linda, kiedy rozpoczęli wędrówkę.

- Przy stołach do gry w kości?

- Nie bądź taki cwany.

- W bibliotece.

- W bibliotece - powtórzyła jak papuga. - Okej, zabawmy się w Nancy Drew.

- W Hardy Boys.

- To moja operacja, więc ja decyduję. Możesz być moim pomagierem, Georgeem Fayneem.

Ku zaskoczeniu Lindy Mark zapytał:

- Nie Nedom Nickersonem? - Wymienił nazwisko chłopaka Nancy.

- Marzyciel. Któregoś dnia musimy pogadać o twojej lekturze dla nastolatków. Choć może lepiej nie.

Z części pasażerskiej najłatwiej mogli się wydostać przez kambuz, więc wspięli się po pobliskich schodach i znaleźli główną jadalnię. Sala na co najmniej trzysta osób była pusta, tylko ekipa sprzątająca czyściła odkurzaczami dywan.

Ruszyli między stołami w stronę kuchni okrętowej. Kiedy tam weszli, jakiś kucharz podniósł na nich wzrok znad garnków, ale nic nie powiedział. Linda się rozejrzała. W przeciwieństwie do jadalni w kambuzie roilo się od personelu przygotowującego następny posiłek. Aromatyczna para unosiła się z bulgoczących garnków, pomocnicy kucharzy myli, siekali i kroili składniki potraw wśród trwającej całą dobę krzątaniny.

Drzwi na końcu kambuza wychodziły na jasno oświetlony korytarz. Znaleźli schody i zeszli, mijając grupę kelnerów idących do pracy. Spotkali jeszcze kilka osób, ale nikt nie zwrócił na nich najmniejszej uwagi. Jako konserwatorzy byli praktycznie niewidoczni.

Mark zauważył składaną drabinę opartą o przegrodę i wziął ją, żeby bardziej uwiarygodnić ich kamuflaż.

Ponieważ „Golden Sky” stał w porcie i większość pasażerów zeszła na ląd, statek zużywał minimalną ilość energii i w pomieszczeniach technicznych nikogo nie zastali. Przez kilka następnych godzin oglądali dokładnie wszystkie rury, przewody i kable w poszukiwaniu czegoś niezwykłego. W przeciwieństwie do Juana, który wcześniej robił to samo na bliźniaczym statku „Golden Sky”, nie spieszyli się i działali metodycznie, ale z takim samym skutkiem jak on.

- Nic - powiedział Mark z frustracją w głosie. Był zły na siebie, że nie potrafi tego rozgryźć. - Wszystko jest tak jak powinno być. Nie ma nic podejrzanego w systemie wentylacyjnym ani w instalacji wodno-kanalizacyjnej.

- Umieszczenie w nich wirusa byłoby najskuteczniejszym sposobem na rozprzestrzenienie infekcji, to fakt. - Linda starła czyściwem smar z rąk. - Jak jeszcze można by to zrobić?

- Spryskać wszystkie powierzchnie na statku jakimś sprayem. Nic innego nie przychodzi mi do głowy. Jeśli my byliśmy tutaj tyle czasu sami, to responsywiści też mogli. - Mark wskazał przymocowane do sufitu przewody powietrzne średnicy beczek. - Mógłbym rozebrać część tego systemu w ciągu dwóch godzin i włożyć do środka rozpylacz.

Linda pokręciła głową.

- Za duże ryzyko, ktoś mógłby tu wejść. Musi być dużo prostszy i szybszy sposób.

- Wiem, wiem. - Mark pomasażował skronie. Głowa zaczynała go boleć i czuł ucisk mózgu. - Pamiętam, jak Juan powiedział na „Golden Dawnie”, że chce obejrzeć główne wloty powietrza do klimatyzacji. Można by je sprawdzić.

- Gdzie one są?

- Na górze. Prawdopodobnie przed kominem.

- To odsłonięte miejsce.

- Zaczekamy do nocy.

- To na razie wróćmy do części pasażerskiej i przebierzmy się.

Wyszli z labiryntowej maszynowni i w końcu znaleźli się w korytarzu pełnym ludzi. Obsługa gości, w różnych uniformach, szykowała się do powrotu pasażerów, mechanicy szli do maszynowni, by przygotować statek do opuszczenia Stambułu.

Linda rzuciła okiem na jakieś wejście obok pralni i nagle się zatrzymała. Stał tam mężczyzna po trzydziestce w kombinezonie podobnym do jej. Ale nie on sam i nie jego niedbała poza zwróciła jej uwagę, lecz sposób, w jaki uciekł wzrokiem w bok, gdy ich spojrzenia się spotkały. Zerknął na nią ukradkiem, tak jak ona na pierwszego kucharza, którego zobaczyła w kambuzie. Sprawiał wrażenie kogoś, kto jest w miejscu, gdzie nie powinien być.

Odwrócił się lekko, ale potem obejrzał przez ramię. Gdy zobaczył, że Linda wciąż mu się przygląda, wystartował biegiem w przeciwnym kierunku.

- Hej! - krzyknęła. - Stój!

Ruszyła za nim, Mark poszedł w jej ślady.

- Zostań - warknęła. - Sprawdź, czy nie ma ich tam więcej. Mark zawrócił i zostawił Lindzie pościg.

Uciekinier miał pięć metrów przewagi i nogi dłuższe o piętnaście centymetrów.

Nic mu to nie dało, bo determinacja Lindy, żeby go złapać, była większa niż jego fizyczne możliwości uniknięcia schwytania. Szybko go dogoniła. Skręcała za rogi bez zwalniania i mknęła lekko jak gazela, ale z zawziętością polującego geparda.

Oddalił się trochę, gdy wbiegali po schodach. Przeskakiwał po trzy stopnie naraz, Linda tylko po dwa. Mijali zaskoczonych pracowników. Linda żałowała, że nie może wzywać pomocy, ale musiałaby wyjaśnić, dlaczego jest nielegalnie na statku.

Mężczyzna wpadł w jakieś drzwi. Linda zrobiła to samo moment później i otarła sobie ramię.

Nie dostrzegła pięści. Trafił ją z przodu w szczękę. Choć nie był wytrenowanym bokserem, głowa odskoczyła jej do tyłu i cios rzucił ją na ścianę. Mężczyzna stał nad nią przez chwilę, potem pobiegł dalej i zostawił ją lekko zamroczoną.

Zanim się upewniła, że da radę, podniosła się i ruszyła chwiejnym krokiem w pościg.

- Damski bokser - mruknęła.

Wypadli na Broadway, centralny korytarz, który ciągnął się przez niemal całą długość statku. Personel chodził tędy ze swoich kabin do pracy. Niektórzy uzdolnieni artystycznie członkowie załogi zrobili nawet markizy w teatralnym stylu, takie jak tamte wzdłuż sławnej nowojorskiej ulicy, od której wzięła się nazwa korytarza.

- Z drogi! - krzyknął mężczyzna, kiedy pędzili między pracownikami idącymi do swoich zajęć lub gawędzącymi w grupkach. Poruszał się w tłumie jak wąż, omijał ludzi i zyskiwał przewagę, podczas gdy Lindzie głowa pękała.

Skręcił w następne przejście i dał susa na schody. Linda pchnęła drzwi pięć sekund po nim. Trzymała się poręczy, podciągała na każdą kondygnację i wpadała w zakręty, bo wiedziała, że zbliżają się szybko do części pasażerskiej. Jeśli facet był sprytny i znał statek, mogli się wyłonić blisko jego kabiny. Gdyby Linda nie zauważyła numeru, już by go nie znalazła.

Wybiegł przez drzwi na szczycie schodów, zderzył się ze starszą kobietą i zrzucił jej męża z wózka inwalidzkiego. Stracił cenne sekundy. Linda zmieściła się w drzwiach, zanim automat zdążył je zamknąć. Uśmiechnęła się szatańsko. Dotarli na samą górę blisko atrium.

Mężczyzna się obejrzał i zobaczył Lindę kilka kroków za sobą. Przyspieszył i skierował się w stronę eleganckich schodów wokół dwóch oszklonych wind. Na najwyższej kondygnacji atrium nie było nic ciekawego dla pasażerów. Sklepy mieściły się jeden poziom niżej i na dolnych kondygnacjach z pewnością panował większy tłok. Linda widziała wcześniej strażników przed ekskluzywnym sklepem jubilerskim i nie mogła ryzykować zatrzymania przez ochronę.

Byli prawie na schodach, kiedy skoczyła z wyciągniętymi rękami. Złapała mężczyznę za mankiety spodni, ale to wystarczyło, żeby się potknął. Biegli najszybciej, jak mogli, więc z rozpędu uderzył głową w szklany ekran ochronny. Szyba wytrzymała, ale puścił spaw wzdłuż jej ramy i cała tafla wypadła. Runęła w dół i roztrzaskała się cztery piętra niżej w potężnej eksplozji fruujących kawałków. Atrium wypełniły okrzyki przerażenia.

Nogawki kombinezonu responsywisty wysliznęły się Lindzie z dłoni, gdy tylko je chwyciła. Rozciągnęła się jak długa i sunęła na brzuchu po gładkiej podłodze za uciekinierem. Zdołał się złapać mosiężnej barierki, kiedy stracił równowagę na krawędzi, i zawisnął nad przepaścią. Przez moment patrzył w górę na Lindę, gdy próbowała dosięgnąć jego ręki. Przypuszczała, że mężczyzna ma w oczach taki sam wyraz jak zamachowiec samobójca tuż przed zdetonowaniem bomby - rezygnacji, strachu, dumy i nade wszystko wyzywającej wściekłości.

Puścił barierkę, zanim Linda zdążyła chwycić go za nadgarstek, i nie odrywał od niej wzroku, gdy spadał. Kilkanaście metrów niżej jego ciało przyjęło pozycję poziomą, głowa przekreśliła się w bok w ostatniej chwili, i uderzył plecami w kafelki podłogi. Rozległo się mokre plaśnięcie, odpryski pogruchotanych kości przebiły mu ubranie, tworząc tuzin krwawych plam. Nawet z tej wysokości Linda dostrzegła, że szerokość jego czaszki zmniejszyła się o połowę.

Nie dała sobie czasu na przetrwanie tej zgrozy i zerwała się na nogi. Stary człowiek wciąż usiłował z pomocą żony usiąść z powrotem na wózku inwalidzkim i oboje nic nie widzieli. Linda ukryła się za wielką palmą w donicy, zdjęła kombinezon i wepchnęła do torby. Nie mogła nic poradzić na to, że ma na bluzce wilgotne plamy pod pachami.

Biblioteka mieściła się daleko w części dziobowej statku, w pobliżu kina, ale Linda skręciła ku rufie. Był tam bar z widokiem na basen pływacki i wiedziała, że jeśli w ciągu dwóch minut nie napije się brandy, to zwróci śniadanie.

Jeszcze tam siedziała godzinę później, kiedy odjechała karetka tureckiego pogotowia ratunkowego z wyłączonym sygnałem i lampami błyskowymi. Po chwili zahuczała syrena okrętowa. „Golden Sky” wychodził wreszcie w morze.

Przy każdym mrugnięciu Juan czuł się tak, jakby tarł oczy papierem ściernym. Wypił tyle kawy, że miał kwaśno w ustach, środki przeciwbólowe nie pomagały na ból głowy. Bez patrzenia w lustro wiedział, że jest trupio blady, jakby upuszczono z niego krew. Kiedy przesunął ręką po włosach, wydało mu się, że nawet one go boją, jakby to było możliwe.

Zamiast go orzeźwiać jak zwykle, wiatr opływający owiewkę taksówki wodnej przyprawiał go o dreszcze mimo ciepła. Obok niego na tylnej ławce Franklin Lincoln leżał rozwalony w niedbalej pozie z rozchyłonymi ustami, sporadyczne chrapnięcia zagłuszały dudnienie silnika. Zgrabna sterniczka, która przewiozła ich z „Oregona” do Monte Carlo czterdzieści osiem godzin wcześniej, miała wolne, a Lincolna nie interesowała jej zastępczyni.

Tylko złość trzymała teraz Juana na chodzie, gniew na Linde i Marka za to, że zlekceważyli rozkaz Eddiego i nie zeszli z pokładu „Golden Sky”, zanim statek wypłynął ze Stambułu. Dwójka pasażerów na gapę wciąż szukała dowodu na to, że responsywiści planują uwolnienie na statku toksyny.

Cabrillo zamierzał zapudłować oboje, kiedy tylko ich zobaczy, a potem dać im podwyżki za poświęcenie. Jeszcze nigdy nie był taki dumny ze swojego zespołu.

Wrócił myślami do Maksa Hanleya i nastrój mu się pogorszył. Thom Severance dotąd nie odpowiedział i z każdą minutą Juan utwierdzał się w przekonaniu, że się nie odezwie, bo Max już nie żyje. Cabrillo nie pozwoliłby sobie na powiedzenie tego głośno i czuł się winny, że w ogóle o tym myśli, ale nie mógł się pozbyć obaw.

Megajacht Iwana Kierikowa, „Matrioszka”, wrócił do portu i „Oregon” znów stał na kotwicy milę morską od brzegu. Kiedy Juan przyglądał się uważnie swojemu statkowi, czasami udawało mu się zobaczyć go oczami duszy w okresie jego świetności. Frachtowiec musiał być kiedyś piękny. Miał właściwe proporcje, minimalny skos na dziobie i rufie, las żurawi masztowych nadawał mu dumny wygląd jednostki handlowej z czasów dobrej koniunktury. Juan wyobrażał go sobie z warstwą świeżej farby i posprzątanymi pokładami, płynącego po wodach północno-zachodniego Pacyfiku, gdzie przez lata transportował tarcicę.

Ale kiedy teraz zbliżali się do „Oregona”, widział tylko kadłub z rdzawymi zaciekami, mozaikę kolorów i liny zwisające smętnie z bomów ładunkowych niczym porwane pajęczne nici. Statek sprawiał ponure wrażenie, nic na nim nie lśniło, nawet śruba szalupy na żurawiku w śródkręciu.

Smukła taksówka wodna dopłynęła do schodni. Morze było tak spokojne, a dziewczyna za sterem tak wprawna, że nie musiała opuszczać za burtę gumowych odbojów.

Juan kopnął Lincolna w kostkę i wielkolud obudził się z chrząknięciem.

- Módl się, żebym miał dalszy ciąg tego snu, który mi przerwałeś - powiedział i ziewnął szeroko.
- Właśnie zaczynało być ciekawie między Angeliną Jolie a mną.

Juan podał mu rękę, żeby go podnieść.

- Jestem tak cholernie zmęczony, że wątpię, żebym jeszcze kiedyś myślał o seksie.

Wzięli swoje bagaże, podziękowali młodej kobiecie za transport i weszli na schodnię. Zanim dotarli na szczyt, Juan czuł się tak, jakby właśnie wspiął się na Mount Everest.

Powitała ich doktor Huxley w towarzystwie Eddiego Senga i Erica Stonea. Uśmiechała się promiennie do Juana i omal nie przeskakiwała z nogi na nogę. Eddie i Stone też się uśmiechali. Juan myślał przez moment, że mają wiadomość o Maksie, ale powiedziałiby mu, kiedy dzwonił z lotniska po przylocie z Manili.

Gdy tylko stanął mocno na pokładzie, Huxley zarzuciła mu ramiona na szyję.

- Juanie Rodriguezie Cabrillo, jesteś geniuszem.

- Zgadzam się z tym całkowicie, tylko przypomnij mi, czym błysnąłem tym razem.

- Eric znalazł w sieci bazę danych o piśmie klinowym jakiegoś brytyjskiego uniwersytetu. Udało mu się przetłumaczyć teksty na tablicach, których zdjęcia przysłałeś swoją komórką.

Cabrillo zrobił to, jak tylko dojechali do portu lotniczego w Manili.

- To zasługa komputera, nie moja - sprostował skromnie Eric. - Nie znam żadnego ze starożytnych języków.

- To jednak jest wirus - wyrzuciła z siebie Julia. - Grypy, z tego, co zdołałam wydedukować, ale w zupełnie nieznannej postaci. Krwotocznej, podobny do gorączki krwotocznej wywoływanej przez wirusy ebola czy Marburg. A najlepsze, że Jannike Dahl jest chyba naturalnie uodporniona, bo statek, na którym pierwszy raz wybuchła taka epidemia, wylądował w okolicy, gdzie się wychowywała, i uważam, że jest potomkinią kogoś z tamtej załogi. Juan ledwo mógł nadążyć za potokiem słów.

- O czym ty mówisz? Jaki statek?

- Arka Noego, oczywiście.

Cabrillo mrugał przez chwilę, zanim zareagował. Podniósł ręce do góry jak bokser, który prosi, żeby zakończyć walkę.

- Będziesz musiała zacząć od początku, ale chcę wziąć prysznic, czegoś się napić i coś zjeść, wszystko jedno w jakiej kolejności. Daj mi dwadzieścia minut i spotkajmy się w sali konferencyjnej. Powiedz Mauriceowi, żeby przyniósł mi sok pomarańczowy, pół grejpfruta, jajka po benedyktyńsku, tost i ziemniaki z estragonem. - Była prawie pora kolacji, ale jego organizm domagał się śniadania. Juan się odwrócił, żeby odejść, ale zerknął jeszcze na Julię. - Arka Noego?

Przytaknęła jak mała dziewczynka, która nie może się doczekać, żeby zdradzić sekret.

- Muszę tego posłuchać.

Pół godziny później, po posiłku, kiedy zamiast ssania w żołądku poczuł przyjemną sytość, Juan odzyskał dość energii, by wysłuchać raportu Julii. Najpierw spojrzał na Erica, bo to on dokonał przekładu.

- Okej, od początku.

- Nie będę cię zanudzał szczegółami obróbki zdjęć czy poszukiwań w sieci archiwum pisma klinowego, ale musiałem to zrobić. Zgodnie z tym, czego się dowiedziałem, teksty, które znalazłeś, są wyjątkowo stare.

Cabrillo przypomniał sobie, że też tak pomyślał. Pokazał ręką Stoneowi, żeby mówił dalej.

- Zaprzągłem do roboty komputer. Po jakichś pięciu godzinach modyfikacji oprogramowania zacząłem widzieć coś spójnego. Algorytmy były dość skomplikowane i naginałem zasady logiki zbiorów rozmytych do granic możliwości. Kiedy komputer zaczął się uczyć niuansów, szło trochę łatwiej i po kilkakrotnej analizie i korektach tu i tam odtworzył mi całą historię.

- Historię arki Noego?

- Możesz tego nie wiedzieć, ale w eposie o Gilgameszu, przetłumaczonym z pisma klinowego przez brytyjskiego amatora w XIX wieku, jest opis potopu wcześniejszy o tysiąc lat niż w tekstach hebrajskich. Legendy o potopie są częścią tradycji wielu kultur na świecie. Antropolodzy uważają, że ponieważ cywilizacja powstawała na wybrzeżach i wzdłuż rzek, bardzo realna groźba katastrofalnych powodzi była wykorzystywana przez królów i kapłanów w powiastkach umoralniających do trzymania ludzi w ryzach. - Eric poprawił okulary w stalowej oprawce. - Osobiście widzę genezę wielu tych opowieści w występowaniu tsunami. Nie znano języka pisanego, relacje przekazywano ustnie, zwykle z upiększeniami, więc w następnym czy kolejnym pokoleniu to już nie była po prostu ogromna fala, która zmyła wioskę, tylko powódź na całym świecie. Tak naprawdę...

Cabrillo mu przerwał.

- Odłóż ten wykład na później i trzymaj się tego, co odkryłeś.

- Jasne. Przepraszam. Ta historia zaczyna się od potopu, ale nie z powodu nagłej fali ani ulewnego deszczu. Autorzy relacji umieszczonej na tablicach opisują, jak podnosił się poziom morza, nad którym żyli. Moim zdaniem podnosił się jakieś trzydzieści centymetrów na dobę. Mieszkańcy pobliskich wiosek po prostu przenieśli się na wyżej położone tereny, ale nasi bohaterowie uważali, że przybór wody nigdy nie ustanie, i uznali, że jedynym sposobem na przetrwanie jest budowa dużego statku. Nie był taki duży jak ten opisany w Biblii, bo nie mieli takich możliwości technicznych.

- Więc w rzeczywistości nie chodzi o arkę Noego?

- Nie, choć podobieństwa są uderzające. Możliwe, że na podstawie relacji ludzi, którzy zostali i opisali to, co się wydarzyło, powstał epos o Gilgameszu i biblijna opowieść.

- Wiadomo, kiedy to było?

- Pięć i pół tysiąca lat przed naszą erą.

- To dość duża dokładność.

- Dlatego że istnieje materialny dowód potopu opisanego na tablicach. Powstał wtedy, gdy zawałiła się ziemna grobla w miejscu, gdzie dziś jest Bosfor, i zostało zalane morze śródładowe, położone jakieś sto pięćdziesiąt metrów poniżej Morza Śródziemnego. Teraz tamten akwen nazywamy Morzem Czarnym. Za pomocą zdalnie sterowanych pojazdów podwodnych archeolodzy morscy potwierdzili, że wzdłuż dawnego wybrzeża mieszkali ludzie. Basen wypełniał się ponad rok i są opinie, że przy wodospadach w Bosforze Niagara wyglądałaby jak szemrzący strumyk.

Cabrillo był zdumiony.

- Nie wiedziałem.

- Potwierdzono to dopiero w ostatnich latach. Swego czasu mówiło się dużo o tym, że ta katastrofa mogła być biblijnym potopem, ale naukowcy i teolodzy twierdzili zgodni, że nie.

- Nasze odkrycie świadczy o tym, że to wcale nie jest takie pewne. Zaczekaj moment - powiedział Juan, bo coś mu przyszło do głowy. - Na tych tablicach jest pismo klinowe. Ono pochodzi z Mezopotamii i Sumeru, nie z rejonu Morza Czarnego.

- Jak już mówiłem, to jest bardzo stary rodzaj pisma. Prawdopodobnie dotarł na południe wraz z ludźmi opuszczającymi rejon Morza Śródziemnego i został przejęty przez inne cywilizacje. Wierz mi, prezesie, że znalezione przez ciebie tablice zmieniają gruntownie naszą znajomość historii starożytnej.

- Wierzę ci. Kontynuuj.

- Okej. No więc mieszkańcy tej jednej nadmorskiej wioski uważali, że przybór wody nigdy nie ustanie. Jak wspomniałem, minął rok, zanim poziom mórz się wyrównał, więc rozumiem, dlaczego

doszedli do takiego wniosku. Wspomnieli też, że przy tak dużej liczbie uchodźców szerzyło się wiele chorób.

- Na pewno tych samych, które teraz pojawiają się w skupiskach uchodźców. Biegunka, tyfus, cholera - wtrącała się doktor Huxley.

Eric wrócił do głównego wątku swojej opowieści.

- Zamiast przyłączyć się do masowego exodusu, rozebrali domy w swojej osadzie, żeby zbudować statek dla czterystu osób, bo tylu ich było. Nie podali jego wymiarów, ale napisali, że drewniany kadłub uszczelnili bituminem, a potem pokryli miedzią.

- To było na samym początku epoki miedzi, więc tamta okolica musiała być bogata w ten metal, skoro mieli go dość na pokrycie kadłuba statku tej wielkości. Wzięli zwierzęta hodowlane, a więc bydło, świnie, owce i kozy, również drób oraz zapas kiszonki na miesiąc.

- Statek musiał mieć co najmniej dziewięćdziesiąt metrów długości, żeby pomieścić to wszystko.

- Komputer też tak wyliczył. Dokładnie dziewięćdziesiąt siedem. I trzynaście metrów szerokości.

Przypuszczalnie były trzy pokłady. Zwierzęta pewnie podróżowały na dole, prowiant w środku, a ludzie na górze.

- A co z napędem?

- Żagle. Cabrillo uniósł rękę.

- Żagle pojawiły się dopiero dwa tysiące lat po okresie, o którym mówimy. Eric przewinął w dół tekst na monitorze laptopa stojącego przed nim na stole konferencyjnym.

- Tu jest wierny przekład: „Od dwóch grubych pali umocowanych do pokładu płachta ze skór zwierzęcych była rozciągnięta, by łapać wiatr”. - Podniósł wzrok. - To mi wygląda na żagiel.

- A niech mnie. Mów dalej.

- Woda w końcu przybrała na tyle, że uniosła statek, i wyruszyli. Musieli zacząć podróż niedługo przed tym, jak poziom wody się ustabilizował. Inaczej nie wydostaliby się z Morza Czarnego. W każdym razie byli na morzu dużo dłużej niż miesiąc. W miejscach, gdzie próbowali wylądować, albo nie mogli znaleźć słodkiej wody, albo byli atakowani przez tubylców.

- Po pięciu miesiącach gwiazdnych, niezliczonych sztormach i stracie dwudziestu ludzi wpadli na brzeg i żadnym sposobem nie mogli uwolnić statku.

- Gdzie?

- Tamten rejon jest opisany jako „kraina skał i lodu”. Julia pochyliła się do przodu, by uchwycić spojrzenie Juana.

- W tym momencie Eric i ja zaczęliśmy rozumować dedukcyjnie.

- Okej. Gdzie?

- W północnej Norwegii.

- Dlaczego akurat tam? Eric odpowiedział:

- Tablice znalazłeś w obiekcie, w którym japońska Jednostka 731 udoskonalała broń biologiczną. Japończycy bardzo się angażowali w tego rodzaju badania, w przeciwieństwie do ich sojusznika, który wolał dokonywać masowych mordów przy użyciu środków chemicznych.

- Masz na myśli nazistów?

- A kto inny oddałby im tablice? Juan przetarł oczy.

- Zaczekaj. Coś mi umyka. Do czego Jednostce 731 byłby potrzebny starożytny tekst opisujący jakiś statek?

- Chodziło o chorobę - odrzekła Julia. - Tę, która wybuchła na pokładzie, kiedy wylądowali.

Autor tekstu na tablicach opisał ją szczegółowo. Według mnie to była przenoszona przez powietrze gorączka krwotoczna o zaraźliwości na poziomie grypy. Zmarła na nią połowa tamtych ludzi, zanim epidemia się skończyła. Co ciekawe, tylko garstka ocalałych osób pozostała płodna po wyzdrowieniu. Nieliczni mieli potem dzieci z tubylcami żyjącymi w pobliżu, ale u większości wirus spowodował bezpłodność.

- Jeśli Japończycy szukali sposobu na spacyfikowanie kontynentalnych Chin - powiedział Eric - to na pewno zainteresowałyby ich taka choroba. Julia i ja uważamy, że oprócz tablic Niemcy przekazali im zmumifikowane zwłoki, które znaleźli na statku, kiedy go odkryli.

- Aha, teraz rozumiem. Jeśli Japończycy dostali tablice od Niemców, to ci, waszym zdaniem, znaleźli je w Norwegii, którą okupowali od 1940 roku.

- Zgadza się. Krajem skał i lodu mogłaby być Islandia lub część Grenlandii, ale Niemcy nigdy nie zajęli tamtych terytoriów. Finlandia przypadła Rosjanom, a Szwecja była neutralna przez całą wojnę. Stawiamy na Norwęgę, a ściślej na jakiś fiord na jej północnym wybrzeżu, które jest słabo zaludnione i w dużej mierze niezbadane.

- Moment. Julia, na pokładzie wspomniałaś, że Jannike jest uodporniona na tę chorobę.

- Im dłużej o tym myślę, tym trudniej mi znaleźć definitywną odpowiedź na pytanie, dlaczego nie została zarażona, skoro wszyscy inni na „Golden Dawnie” zmarli. Choroba opisana na tablicach jest przenoszona przez powietrze i jeśli na bazie wywołującego ją wirusa responsywiści stworzyli nowego, to Jannike powinna nim się zarazić, mimo że oddychała dodatkowym tlenem. Ale jeśli ktoś z jej przodków był wystawiony na działanie tamtego wirusa i przeżył, to bardzo możliwe, że w jej DNA są zakodowane przeciwciała. To, że ona pochodzi z jakiegoś miasteczka na północy Norwegii, tylko podtrzymuje naszą hipotezę.

- Mogłabyś to sprawdzić? - zapytał Juan.

- Jasne, gdybym miała próbkę wirusa. Cabrillo usiłował stłumić ziewanie.

- Przepraszam. Potrzebuję snu. Uważam, że wciąż brakuje nam jednego fragmentu układanki. Załóżmy, że Niemcy odkryli tamten statek i przetłumaczyli tekst na tablicach. Dowiadują się o straszliwej chorobie, która ich nie interesuje, ale ich japońskich sojuszników tak, więc dostarczają to, co znaleźli, do Japonii, a ściślej na pewną filipińską wyspę, gdzie Jednostka 731 prowadzi swoje eksperymenty. Nie wiemy, czy Japończykom udało się udoskonalić wirusa, ale możemy przyjąć, że nie, bo o takiej chorobie nigdy nie było żadnej wzmianki w książkach historycznych.

Julia i Eric skinęli głowami.

- Jak to się stało, że responsywiści położyli na tym rękę? Jeśli Japończycy ponieśli porażkę sześćdziesiąt lat temu, to jakim cudem Severance i jego banda odnieśli sukces?

- Zastanawialiśmy się nad tym - odrzekł Eric. - Jedynym ogniwem łączącym to wszystko jest fakt, że ich założyciel, Lydell Cooper, był czołowym badaczem chorób. Korzystali z tego samego obiektu, co Japończycy podczas wojny, więc jest oczywiste, że wiedzieli o ich pracy nad wirusem. Tylko nie mamy pojęcia skąd.

- Następne pytanie brzmi: Dlaczego? - ciągnął Juan. - Użyli wirusa lub jego pochodnej do uśmiercenia wszystkich na pokładzie „Golden Dawna”. Co planują z nim teraz? - Nie zczekał na odpowiedź Erica, tylko dodał: - Wiem, że uważają przeludnienie za największy światowy problem, ale uwolnienie wirusa, który unicestwi ludzkość lub choćby jej większość, spowoduje taki chaos, że cywilizacja nigdy się nie odrodzi. To broń masowej zagłady.

- A może to ich nie obchodzi? - podsunął Eric. - Może dążą do upadku cywilizacji? Czytałem o

nich. Nie są racjonalni. Nigdzie w swoich publikacjach nie opowiadają się za powrotem do wczesnego średniowiecza, ale możliwe, że właśnie tego chcą - końca industrializacji i powrotu do rolniczych korzeni ludzkości.

- Ale dlaczego atakują statki wycieczkowe? - spytał Juan. - Dlaczego po prostu nie uwolnią wirusa w każdym dużym mieście na świecie?

Eric otworzył usta, żeby odpowiedzieć, a potem je zamknął. Nie miał na to odpowiedzi.

Juan wstał od stołu.

- Posłuchajcie. Naprawdę doceniam to wszystko, co zrobiliście, i wiem, że to pomoże rozgryźć responsywidów, ale jeśli nie walnę się do wyrka, to zasnę tutaj. Wprowadziliście Eddiego w to wszystko?

- Jasne - zapewniła Julia.

- Okej, poproście go, żeby zadzwonił do Overholta i opowiedział mu tę całą historię. W tej chwili nie wiem, co on może zrobić, ale chcę włączyć do tego CIA. Czy Mark i Linda mają się niedługo zameldować?

- Nie wzięli ze sobą telefonu satelitarnego - odrzekł Eric - więc muszą korzystać z okrętowego aparatu do łączności statek-ląd. Linda obiecała, że zgłosi się znów za... - spojrział na zegarek - trzy godziny.

- Przekaż jej, że żądam, żeby oboje opuścili „Golden Sky”, nawet gdyby musieli ukraść szalupę albo wyskoczyć za burtę.

- Tak jest.

Juanowi wydawało się, że dopiero co przyłożył głowę do poduszki, gdy zadzwonił telefon.

- Cabrillo. - Język stał mu kołkiem w ustach, słaba poświata sącząca się przez zasłony raziła go jak blask lampy łukowej.

- Prezesie, tu Hali. Byłoby dobrze, gdybyś zszedł do centrum operacyjnego i coś zobaczył.

- Co znowu się stało? - Juan spuścił nogi z łóżka, przyciskając słuchawkę barkiem do ucha, żeby móc sięgnąć po protezę.

- Chyba ktoś nas wywołuje w paśmie ELF. - Hali użył skrótu oznaczającego fale krańcowo niskiej częstotliwości.

- Zdaje się, że nasza marynarka wojenna używa go do łączności z okrętami podwodnymi, tak?

- Już nie. Dwa nadajniki, z których korzystali, zostały rozmontowane parę lat temu. Poza tym nadają na częstotliwości siedemdziesięciu sześciu herców, a to łapię na stu piętnastu.

- Skąd? - Juan wciągnął spodnie.

- Za mało odbieram, żeby ustalić lokalizację, i z powodu charakterystyki fal ELF może się to nie udać.

- Okej, zaciekawileś mnie. Będę na dole za kilka minut.

Juan skończył się ubierać, nie zawracając sobie głowy wkładaniem skarpetek, po czym umył zęby. Według swojego zegarka spał trzy godziny. Miał wrażenie, że trzy minuty.

Zawsze, kiedy wchodził do centrum operacyjnego, czuł satysfakcję. Sprawiał to nowoczesny wystrój, cichy szum komputerów i świadomość, że można stąd sterować nie tylko silnikami „Oregona”, lecz również ogromną siłą ognia, którą zapewniało uzbrojenie statku.

Hali czekał z kubkiem parującej kawy dla niego.

Cabrillo mruknął podziękowanie i wypił mały łyk.

- Teraz lepiej. - Postawił kubek obok monitora komputera Kasima. - Mów.

- Jak wiesz, komputer automatycznie przeszukuje wszystkie częstotliwości fal radiowych. Kiedy wykrył transmisję na ELF, zarejestrował ją i gdy rozpoznał początek słowa, zasygnalizował mi to. Jak tu przyszedłem, zobaczyłem tyle. - Hali obrócił płaski ekran tak, żeby Cabrillo mógł przeczytać słowo OREGON.

- To wszystko? - Juan nawet nie próbował ukryć rozczarowania.

- Fale ELF są niewiarygodnie długie, mają ponad trzy i pół tysiąca kilometrów. Dlatego mogą okrążyć kulę ziemską i przenikać w głąb oceanu. Zasadniczo podczas używania nadajnika ELF Ziemia staje się ogromną anteną. Wadą jest to, że nadanie czegokolwiek długo trwa i okręt podwodny nie ma możliwości odpowiedzieć, bo nie może mieć na pokładzie własnego nadajnika. Dlatego marynarka wojenna zrezygnowała z tego systemu. Był po prostu za mało skuteczny.

- Przypomnij mi, dlaczego okręt nie może być wyposażony w nadajnik ELF.

- Sama antena musi mieć około pięćdziesięciu kilometrów długości. I mimo że sygnał ma moc zaledwie ośmiu watów, zużycie prądu byłoby większe niż nadwyżka energii elektrycznej, jaką może wytworzyć reaktor okrętu. Ale największym problemem jest to, że nadajnik musi być ulokowany w rejonie o krańcowo niskiej przewodności gruntu, żeby uniknąć absorpcji fal radiowych. Na świecie jest bardzo niewiele miejsc, skąd można nadawać w paśmie ELF, i okręt podwodny zdecydowanie nie jest jednym z nich.

- Przeglądając wstecz dzienniki - ciągnął Hali - znalazłem drugą transmisję ELF na tej samej częstotliwości z wczoraj o dziesiątej wieczorem. Składała się tylko z bezładnej mieszanki jedynek i zer. Pomyślałem, że to może być szyfr, i zaprząłem główny komputer do złamania go, ale nie jestem optymistą.

Na ekranie pojawiła się litera T, a minutę później U.

- To gorsze niż wyrywanie zębów - stwierdził Cabrillo. - Oprócz nas kto jeszcze budował anteny ELF?

- Tylko Sowieci. One służą jedynie do kontaktu z okrętami podwodnymi w głębokim zanurzeniu na wielkie odległości. Nie mają innego zastosowania.

- Więc skoro rozmontowaliśmy nasze, to muszą być Rosjanie. Zastanawiam się, czy to nie ma czegoś wspólnego z tym, że szpiegujemy Kierikowa.

- Za minutę się dowiemy - odrzekł Hali i zaraz się poprawił: - No, może za dziesięć albo za piętnaście minut.

Czekali. Co minutę przybywała nowa litera. Na razie na monitorze widniało: OREGON TUMA. Kiedy ukazała się następna litera, Juan przyjrzał się jej i wydał triumfalny okrzyk. To było X.

- Co jest? - zapytał Hali.

- To Max! Ten przebiegły skurczybyk. Znalazł sposób, żeby się z nami skontaktować w paśmie ELF.

Hali nagle zaklął. Otworzył inne okno na ekranie i wyświetlił tekst nagrania z ich podsłuchu w gabinecie Gila Martella.

- Że też od razu na to nie wpadłem - powiedział zły na siebie. Na monitorze był zapis o treści:

JANIE... (1,23) TAK... (3,57) DAWN I SKY... (1,17) (W)ŁĄCZYĆ EEL LEF... (0,24) KLUCZ... (1,12) JUT(RO)... (3,38) TO NIE BĘDZIE... (0,43) CHWI(LE)... (6,50) CZEŚĆ (1,12)

- Czego nie dostrzegam? - spytał Juan.

- Czwarty zbiór słów. „Włączyć eel lef. To nie „eel lef, tylko ELF. Włączyć ELF. Responsywiści mają własny nadajnik ELF.

- Po cholere? - zapytał Juan, po czym sam sobie odpowiedział: - Jeśli zamierzają uwolnić toksynę na statkach wycieczkowych, to nadajnik ELF umożliwi im skoordynowanie ataku na całym świecie.

Niecierpliwił się, że wiadomość od Maksa nadchodzi tak wolno, ale wciąż walczył z sennością i przegrywał.

- Hali, to potrwa całą wieczność. Wracam do siebie. Obudź mnie, jak będziesz miał wszystko. I zlokalizuj nadajnik. To priorytetowa sprawa. Weź Erica do pomocy, jeśli będziesz jej potrzebował. - Odwrócił się do monitora, jakby Max Hanley mógł go usłyszeć. - Nie wiem, jak to robisz, przyjacielu, ale kawał spryciarza z ciebie.

To była najstarsza sztuczka na świecie i udała się doskonale.

Max zobaczył urwisko zaledwie sekundy po ucieczce z podziemnego bunkra. Zeskoczył z quada, odkręcił gaz i posłał pojazd w przepaść. W ciemności nie mógł dostrzec, jak wylądował czterokołowiec, ale był pewien, że Kovac przeczesze okolicę w poszukiwaniu zbiegłego więźnia i znajdzie quada.

Wrócił do drzwi bunkra, gdzie panowało zamieszanie, gdyż drużyny poszukiwawcze wyruszały w teren, a ekipa medyczna udzielała pomocy rannym mechanikom, i bezczelnie wszedł do środka. Wątpił, żeby Kovac spodziewał się jego powrotu na miejsce zbrodni i przeszukał obiekt.

W podziemnym kompleksie było aż nadto kryjówek. Czuł się pewniej w przebraniu mechanika, więc otwierał drzwi, które mijał wcześniej. W wielu pomieszczeniach urządzono sypialnie, na co wskazywały niezliczone łóżka piętrowe, zasłony stwarzające iluzję prywatności i prysznice jak w szatni przy basenie pływackim czy hali sportowej. Max ocenił, że może tu mieszkać kilkaset osób, choć teraz kwatowało niewiele. W jednej sali mieściła się duża stołówka. Obejrzał palniki kuchenek i stwierdził, że jeszcze ich nie używano. Szafy chłodnicze wypełniała żywność, w magazynie piętrzyły się po sufit stosy palet z butelkowaną wodą pitną i konserwami.

Obiekt przypominał schron przeciwoatomowy z okresu zimnej wojny. Był samowystarczalny. Mając tyle jedzenia, prąd, wodę i taką przestrzeń życiową, można tu było wygodnie przetrwać kataklizm. Fakt, że kompleks jest nowy i został zbudowany przez responsywistów, nasunął Maksowi wniosek, że ich zamiarem jest spowodowanie katastrofy globalnej. Wrócił myślami do tragedii na pokładzie „Golden Dawna” i się wzdrygnął.

Poczęstował się dwiema butelkami wody i dużą puszką gruszek. Jadł je rękami, słodki syrop spływał mu po brodzie. Owinął klatkę piersiową samoprzylepną folią, choć wiedział, że obecnie lekarze już nie bandażują pękniętych żeber. Ucisk plastikowej otuliny znacznie złagodził ból, jedzenie i woda postawiły go trochę na nogi.

Wepchnął jeszcze kilka butelek do głębokich kieszeni kombinezonu i ruszył dalej. Minał paru ludzi w krętych korytarzach. Patrzyli z ukosa na jego rany i kiwali głowami ze współczuciem, kiedy wyjaśniał, że został zaatakowany przez zbiegłego więźnia.

Był piętro wyżej niż cela, gdzie go trzymano, i właśnie wtedy odkrył, że nie wszyscy responsywiści mają przeczekać Armagedon w betonowym labiryncie. Natrafił na dwuskrzydłowe drzwi z elektroniczną klawiaturą. Zamek właśnie demontowano, narzędzia walały się na podłodze obok małego stołka. Wyglądało na to, że technik skoczył po coś, czego zapomniał.

Max nie tracił czasu i wszedł do zabezpieczonej części obiektu. Na podłodze leżał gruby zielony dywan, ściany pokrywała masa szpachlowa i boazeria. Farba wydzielala lekko drażniący zapach, co świadczyło o tym, że położono ją niedawno. Tutaj też były lampy fluorescencyjne, choć lepszej jakości, i nawet wisiały tu i tam kinkiety. Ściany zdobiły oprawione grafiki, w żywych kolorach, ale nijakie. Z niewiadomego powodu wnętrze przypominało Maksowi kancelarię adwokacką jednego z

prawników, który prowadził jego sprawę rozwodową. Kojarzyło się z instytucją wyższego szczebla. Jadalnia wyglądała jak elegancka restauracja, tyle że okna zastąpiono płaskimi monitorami. Ciężkie krzesła były obite miękką skórą, blat baru wykonano z mahoni.

Max dotarł do boksu dla sekretarek na zewnątrz apartamentu biurowego, potem do centrum telekomunikacyjnego, którym zachwyciłby się Hali Kasim. Wszedł do środka i zaczął szukać telefonu lub nadajnika radiowego, ale nie mógł się połączyć w nieznanym mu systemie. Czuł się odsłonięty w małej sali, więc postanowił spróbować później i poszedł dalej.

W innej części „skrzydła dyrektorskiego”, jak to nazwał Max, mieściły się pokoje mieszkalne urządzone jak w pięciogwiazdkowym hotelu. Były nawet minibary. Zamiast Biblii w szufladach nocnych szafek leżały egzemplarze książki Lydella Coopera *Rozmnażamy się na własną zgubę*. Sypialń było dość dla czterdziestu osób lub par, zależnie od aranżacji wewnątrz. Max domyślił się, że są to kwatery dla elity responsywistów - przywódców, zarządu organizacji i najbogatszych członków. Na samym końcu skrzydła dyrektorskiego znajdował się apartament zarezerwowany najwyraźniej dla Thoma Severancea i jego żony. Był najbardziej luksusowy. Sama łazienka miała wielkość kawalerki, a wanna wydawała się na tyle duża, że powinien przy niej czuwać ratownik.

Max spędził noc w łóżku Severancea, a rano umył zęby szczoteczką, której lider ruchu miał zapewne używać po przyjeździe. Ku swemu przerażeniu usłyszał głosy w salonie, kiedy płukał usta. Rozpoznał silny akcent i staranną dykcję Zelimira Kovaca. Drugi mężczyzna mówił płynniej. Max przypuszczał, że to Thom Severance. Na dźwięk trzeciego głosu Hanley doznał wstrząsu. To był doktor Adam Jenner, terapeuta.

Max słuchał ich rozmowy ze zgrozą. Przeżywał szok. Dowiedział się, że Jenner to w rzeczywistości Lydell Cooper. Max mimo wszystko go podziwiał. Podstęp świadczył o geniuszu tego człowieka. Responsywiści byli bardziej oddani swojej sprawie, niż się komukolwiek wydawało. Traktowali ją jak religię, mieli własnych proroków i męczenników. Tworzyli rzeszę wiernych, gotowych zrobić wszystko dla swojej wiary.

Severance wspominał o samobójstwie Gila Martella. Powiedział coś, z czego Max wywnioskował, że Kovac go zabił. A potem Max poznał straszną prawdę, ich plan uwolnienia jakiegoś zmodyfikowanego wirusa i wysterylizowania połowy ludzkości.

To już nie mogło wzbudzić podziwu Maksa, choć musiał przyznać, że ten pomysł też jest genialny. Cywilizacja nie przetrwałaby skoordynowanego globalnego ataku biologicznego, gdyby zginęła połowa jego ofiar, ale responsywiści nie zamierzali uśmiercić tylu ludzi. Nie narodziłoby się następne pokolenie, ale w końcu nastalby okres prosperity. Max przeczytał sporo o organizacji Coopera, kiedy była żona zawiadomiła go, że ich syn przyłączył się do ruchu. Cooper napisał, że średniowiecze nigdy by się nie skończyło, gdyby nie to, że czarna śmierć - dzuma - pochłonęła połowę mieszkańców Europy, co zapoczątkowało nową erę dobrobytu.

Max uważał, że to zbyt duże uproszczenie. Ale zastanawiał się, jak świat zareagowałby teraz, w epoce dopływających przez dwadzieścia cztery godziny na dobę informacji i szybkich środków lokomocji. Pięćdziesiąt lat po pandemii ludzie wypełniliby puste miejsca powstałe na skutek zmniejszenia się populacji i świat bez wątpienia mógłby być lepszy.

Ale Max nie chciał żyć w takim świecie. Cooper, Severance i Kovac nie mieli prawa decydować, co jest najlepsze dla ludzkości.

Miał ochotę wypaść z łazienki i rozprawić się z nimi w pojedynkę. Ale wiedział, że zanim zrobiłby pięć czy sześć kroków, Kovac położyłby go trupem. Zmusił się do zachowania spokoju.

Będzie inna okazja. Trzeba być cierpliwym.

Po wyjściu trzech mężczyzn wymknął się z apartamentu i ukrył w szafie w jednym z pustych pokoi w hotelowym stylu. Uznał, że na razie jest bezpieczny. Już wiedział, że Severance i jego banda zamierzają rozpętać piekło. Teraz chciał się zastanowić nad tym, jak mogą to zrobić.

Wspomnieli o jakimś nadajniku. Mogli skoordynować uwolnienie wirusa, wysyłając coś w rodzaju kodu aktywacyjnego. Max natychmiast dostrzegł słabą stronę tego pomysłu. Nadanie sygnału przez radio, nawet na falach krótkich, nie gwarantowało, że sygnał okrąży Ziemię. Mogło to uniemożliwić wiele czynników, od warunków atmosferycznych do plam słonecznych.

Więc nie fale krótkie, pomyślał.

Przypomniał sobie podziemny tunel, zwoje grubego miedzianego drutu i elektrownię o dużej mocy w kompleksie responsywidów.

- To cholerna antena ELF - szepnął i już wiedział, jak ostrzeże Juana.

Zaczekał, aż Kovac skończy próbę nadajnika, i zakradł się do pomieszczenia, które początkowo wziął za centrum telekomunikacyjne. Minęło prawie dwadzieścia nerwowych minut, zanim się zorientował, jak się obsługuje nadajnik ELF. Dostroił częstotliwość i wysłał wiadomość:

OREGON TU MAX ATAK WIRUSA 50 STATKÓW WYCIEZKOWYCH NIE ZABIJE
GORZEJ KLUCZEM JEST ELF ROZWAL TO MIEJSCE BRONIĄ JĄDROWĄ - 72 GODZ

Chętnie by dodał, skąd nadaje, ale nie wiedział, gdzie jest. Pozostało mu mieć nadzieję, że Hali zdoła zlokalizować źródło sygnału. Celowo wspomniął o użyciu broni jądrowej, bo obawiał się, że inaczej nie da się zniszczyć tego bunkra. Wierzył, że Juan znajdzie na to sposób.

Zanim wrócił do swojej kryjówki w szafie, poczęstował się kilkoma batonami proteinowymi i piwem z minibaru. Był pewien, że skoro dzień ataku szybko się zbliża, Severance każe Kovacowi obstawić wejście, więc nie wydobędzie się tamtędy. Nie zamierzał się poświęcać, toteż zostały mu trzy dni na znalezienie innej drogi ucieczki.

Thom Severance gawędził w swoim gabinecie z Lydellem Cooperem, gdy ktoś zapukał. Severance podniósł wzrok i zdjął szybko okulary, które ostatnio był zmuszony nosić. Zelimir Kovac stanął w drzwiach. Serb miał bardziej ponurą minę niż zwykle. Severance wiedział, że nie wróży to nic dobrego.

- Co się stało? - zapytał.

- W wiadomościach właśnie podali informację o zgonie na statku wycieczkowym w Stambule. Na „Golden Sky” zginął jeden z naszych ludzi, Zach Raymond.

- Kierował grupą, którą umieściliśmy na pokładzie, zgadza się?

- Tak.

- Są jakieś szczegóły? - spytał Cooper.

- Podobno spadł z galerii w atrium na statku i poniósł śmierć na miejscu.

- Więc to był nieszczęśliwy wypadek?

- Tak mówią w wiadomościach, ale ja w to nie wierzę. To za dużo, jak na zwykły zbieg okoliczności, że zginął akurat szef naszego zespołu.

- Myślisz, że ci, którzy porwali Kylea Hanleya, mają swoich ludzi na „Golden Sky”? - zapytał Severance z wyraźnym sarkazmem. - Nie bądź śmieszny. Nie ma mowy, żeby ktoś dopatrzył się związku.

- To nie wszystko. Właśnie dostałem meldunek od naszego zespołu na Filipinach. Dwaj

mężczyźni pojawili się w opuszczonej wytwórni wirusa i odkryli japońskie podziemia. Zostali zasypani w środku po eksplozji, ale sam fakt, że tam byli, jest niepokojący.

Severance złączył końce palców i podparł nimi podbródek z chirurgicznie wymodelowanym dołkiem.

- Jeśli ktoś trochę powęszył, to dowiedział się, że mieliśmy ośrodek na Filipinach. Nie mam pojęcia, skąd mogli wiedzieć o japońskim systemie tuneli. Może powęszyli więcej niż trochę. Tak czy owak, to nieważne, bo nie żyją, i nie zostawiliśmy tam nic kompromitującego.

Cooper pochylił się do przodu.

- Nie podoba mi się to wszystko, Thom. Stawka jest zbyt duża, żeby ryzykować zdemaskowanie właśnie teraz, i nie wierzę w przypadki. Mógłbym wykluczyć, że istnieje jakieś zagrożenie dla naszej operacji, gdybyśmy musieli brać pod uwagę tylko uprowadzenie syna Hanleya. Ale zdarzyły się jeszcze dwie rzeczy: incydent na Filipinach i śmierć Zacha Raymonda. Ktoś jest na naszym tropie.

- Gdyby tak było, to FBI już by zrobiło nalot na naszą kwaterę główną w Kalifornii i wywarło nacisk na władze w Atenach, żeby zrobiły to samo w Grecji.

Założyciel ruchu responsywistów milczał; argument Severancea był nie do odparcia.

- Może to firma, którą Hanley wynajął do odbicia syna? - podsunął Kovac. - Mogą dalej działać według wcześniejszych instrukcji i starają się wybadać naszą obronę, żeby znaleźć sposób na uwolnienie chłopaka i jego ojca.

- To ma sens - przyznał Cooper.

- Więc nie sądzisz, żeby znali nasz plan? - zapytał Severance.

- Prawdopodobnie nic nie wiedzą - odrzekł Kovac. - Ale jeśli zdążyli przesłuchać Zacha Raymonda, to wspomniany przez pana nalot może już być przygotowywany.

- Masz jakieś propozycje?

- Tak. Chciałbym się dostać na „Golden Sky”, żeby sprawdzić, czy nie wykryto wirusa. Jeśli tak i jeśli przekazano go władzom, to zdążą opracować lek, zanim u ludzi wystąpią pierwsze objawy choroby. Proponowałbym też całkowicie zablokować łączność statku ze światem. Pasażerom powinno się zabronić korzystania z Internetu i dzwonienia na ląd. Wtedy nasi przeciwnicy na pokładzie nie będą mogli się skontaktować ze swoimi szefami.

- Gdzie jest teraz ten statek?

- W drodze ze Stambułu do Iraklionu na Krecie. Mógłbym go łatwo złapać, kiedy wpłynie między greckie wyspy.

Bardzo niewiele osób spoza organizacji wiedziało, że właściciel Golden Lines, towarzystwa żeglugowego, które eksploatowało „Golden Sky” i jego feralny bliźniaczy statek, „Golden Dawn”, jest responsywistą. Przyłączył się do grupy, bo on i jego żona nie mogli mieć dzieci i nauki Lydella Coopera sprawiły, że pogodzili się z tym i nawet cieszyli z tego. Choć armator płacił wysokie składki członkowskie i udostępniał responsywistom swoje statki na „morskie rekolekcje” z dużą zniżką, nie należał do wąskiego grona, które opracowało plan uwolnienia zmodyfikowanego genetycznie wirusa na liniowcach transoceanicznych.

- Mógłby pan zadzwonić do prezesa Golden Lines - ciągnął Kovac - i wyjaśnić mu, że ci sami ludzie, którzy zaatakowali „Dawna”, mogą to powtórzyć na „Sky”. Niech mnie wpuści na pokład i zostawi statek na morzu, dopóki wirus się nie rozprzestrzeni. Wtedy, nawet jeśli go wykryją, nie będą mogli nikogo ostrzec.

- Jak mu to powiem, będzie chciał przerwać rejs.

- Więc niech pan go poprosi, żeby to zrobił w ramach przysługi. Na tym statku jest pięćdziesięciu respońsywistów biorących udział w „morskich rekolekcjach”. Większość z nich nie wie, co ma się stać, ale wystarczy mi ludzi do szukania pasażerów, którzy zachowują się podejrzanie.

Severance spojrział na Lydella Coopera. Jeśli nawet były naukowiec zawdzięczał swój młodzieńczy wygląd operacjom plastycznym, to błysk w jego oczach pozostał autentycznie młody. Świadczył o pełnym zaangażowaniu i całkowitej wierze w sprawę.

- Thom - powiedział Cooper - nasz gatunek balansuje na krawędzi przepaści. Jest za dużo gęb do wyżywienia, bogactw naturalnych ubywa coraz szybciej. Obaj wiemy, że tylko w jeden sposób można zapobiec upadkowi cywilizacji, która ma pięć tysięcy lat. I od samego początku jej istnienia jest znany ratunek. Nasze postępowanie jest słuszne i uzasadnione i musimy zrobić wszystko, żeby nam się powiodło.

Nie chciałbym odstępować od naszego planu, ale uważam, że pan Kovac ma rację. Ktoś jakoś czegoś się dowiedział. Wiem, że to brzmi mgliście, ale nie możemy teraz ryzykować. Jesteśmy zbyt blisko celu. Dzieli nas od niego raczej dni niż tygodnie. Jeśli tamci znajdą na „Golden Sky” naszego wirusa, to zorientują się, jak miał być uwolniony, zawiadomią władze i cała nasza praca pójdzie na marne.

Severance skinął głową.

- Oczywiście masz rację. Chyba byłem zbyt pewny siebie. Uważałem, że jesteśmy za sprytni na to, żeby dać się przyłapać. Zelimir, porozmawiam z towarzystwem żeglugowym. Zorganizuj wszystko według własnego uznania i weź taki personel i sprzęt, jaki będzie ci potrzebny. Dopilnuję, żebyś miał zapewnioną pomoc kapitana. Tylko pamiętaj, że w żadnym wypadku wirus nie może opuścić „Golden Sky”. Rób, co będziesz musiał. Rozumiesz?

- Tak jest.

- Czujecie to? - wtrącił się Cooper. Obaj mężczyźni spojrzeli na niego pytająco. - Zmagamy się z wpływem spoza naszego wymiaru, z innej membrany. Przez tysiące lat obce inteligencje kształtowały człowieka tak, by stał się autodestrukcyjnym stworzeniem, którym jest dziś. Te moce popychały ludzkość do samozagłady. Ale teraz je odpieramy i odzyskujemy kontrolę nad naszym przeznaczeniem. Czuję to. Czuję ich przerażenie, że im nie ulegamy i zaczynamy iść własną drogą.

Kiedy nam się powiedzie, przestaną mieć władzę nad nami. Będziemy prosperowali w nowym świecie, gdzie nas nie dosięgną. Zrzucamy niewidoczne pęta niewolnictwa. Większość ludzi nie wie, że żyje w kajdanach, ale tak jest. Doszło do tego, że nie jesteśmy w stanie oprzeć się naszym najniższym instynktom. Toczmy wojny, cierpimy głód i niedostatek. To subtelna, niedostrzegalna władza tych mocy nad nami przez pokolenia doprowadziła do tego wszystkiego.

Zanim w końcu zrozumiałem, że żadne rozsądne społeczeństwo nie chciałoby żyć tak jak my, uświadomiłem sobie, że nad niczym nie panujemy, że istnieją wpływy spoza wszechświata. Rządzą naszymi myślami i wiodą nas do Armagedonu z przyczyn, których nawet ja nie pojmuję. Pierwszy zorientowałem się, czym są. Podobnie myślący ludzie, tacy jak wy, też zrozumieli, że świat nie byłby taki, jaki jest, gdyby coś nie spiskowało przeciwko nam.

Ich machinacje wkrótce się skończą. Te moce nie będą decydowały, jaki ma być następny etap ewolucji naszego społeczeństwa, bo dopilnujemy, żeby wszyscy wiedzieli, czym one są i co czynią. Och, nie potrafię wyrazić tego, jaki jestem podekscytowany. Nadchodzi wielkie przebudzenie i staniemy ramię przy ramieniu, by się nim cieszyć.

Aspekt transkosmicznej kontroli umysłów w naukach doktora Coopera zawsze sprawiał, że

Kovac czuł się nieswojo. Przemawiały do niego liczby pokazujące przeludnienie, niedobór bogactw naturalnych i ostateczny rezultat tej dysproporcji, więc się nie odezwał. Wystarczył mu udział w ratowaniu ludzkości przed samą sobą. A teraz bardziej interesowało go wytropienie ewentualnych przeciwników na „Golden Sky” niż jakiegokolwiek wielkie przebudzenie.

Juan Cabrillo siedział na swoim fotelu w centrum operacyjnym i słuchał uważnie Halego Kasima. Eddie Seng stał z tyłu pomieszczenia w towarzystwie Lincolna i dwóch „psów myśliwskich”, Mikea Trono i Jerryego Pułaskiego. To, czego Hali dokonał z pomocą Erica Stonea, graniczyło z cudem.

- Kiedy Max jeszcze nadawał, skontaktowałem się z paroma radioamatorami, których poznałem przed laty, i poprosiłem ich, żeby dostroili się do jego częstotliwości. Kazałem im zgrać się z zegarami satelitów GPS, żebyśmy byli w stu procentach zsynchronizowani. Powiedziałem im, że mają zapisywać dokładny czas odbioru każdej litery. Fale radiowe rozchodzą się z różnymi prędkościami w różnych ośrodkach materialnych i konieczna była pewna ekstrapolacja. I tu włączył się Eric. Obliczył te różnice, więc mieliśmy jasne wyliczenie czasu a odległość i mogliśmy zlokalizować nadajnik metodą triangulacji.

Wpisał coś do komputera i na głównym monitorze w górze ukazała się jałowa wyspa. Miała kształt kropli i urwiste brzegi, na jej południowym krańcu była wyglądająca niegościnnie kamienista plaża. Na skalistym pagórkowatym terenie rosło tylko kilka kęp trawy i parę sękatych drzew, powyginanych przez stale wiejący wiatr. Według skali na dole ekranu wyspa miała około trzynastu kilometrów długości i trzy szerokości w najszerszym miejscu.

- To wyspa Eos. Leży w zatoce Mandalay około trzech mil od tureckiego wybrzeża. Grecy i Turcy walczyli o nią przez parę wieków, choć wygląda ona tak, że nie rozumiem dlaczego. Jest geologiczną ciekawostką, bo to kawałek prekambryjskiego podłoża skalnego w strefie aktywności wulkanicznej, ale zasadniczo nie nadaje się do zamieszkania. To zdjęcie jest sprzed czterech lat.

Na sam widok miejsca, gdzie uwięziono Maksa, Juan poczuł gwałtowny przyływ energii. Z najwyższym trudem powstrzymał się od skierowania tam „Oregon” z maksymalną prędkością i ogniem ze wszystkich luf.

Hali wyświetlił następne zdjęcie wyspy.

- Oto Eos rok temu.

W jej południowej części stał tuzin dużych maszyn do robót ziemnych w charakterystycznym żółtym kolorze. Wykopano wielki dół i wzniesiono cementownię. Od plaży ciągnęło się nabrzeże, do placu budowy prowadziła droga.

- Prace wykonała włoska firma budowlana, której zapłacono pieniędzmi z konta numerowego w banku szwajcarskim, choć nie ma wątpliwości, kto to sfinansował. Władzom tureckim powiedziano, że to będzie największy plan filmowy na świecie.

Pojawiło się inne zdjęcie.

- To samo miejsce kilka miesięcy później. Jak widać, są już betonowe konstrukcje w wykopie.

- Z porównania wielkości ciężkiego sprzętu i obiektu wychodzi, że kompleks ma powierzchnię ponad czterech i pół tysiąca metrów kwadratowych. Do tego momentu powstały trzy kondygnacje - wtrącił Eric.

Hali wrócił do przerwanej opowieści.

- Osiem miesięcy po rozpoczęciu budowy fikcyjna wytwórnia filmowa oznajmiła, że zabrakło jej pieniędzy i wycofuje się z realizacji projektu. Inwestor miał przywrócić wyspę do pierwotnego stanu. Co mniej więcej zrobił.

Hali wyświetlił trzecie zdjęcie na głównym monitorze. Nie było śladu po wielkim wykopie, jakby nigdy nie istniał. Dół zasypano, powierzchnia wyglądała jak naturalna skała. Pozostały tylko nabrzeże i asfaltowa droga pozornie donikąd.

- To zdjęcie pochodzi z oficjalnego tureckiego raportu o wpływie inwestycji na środowisko - ciągnął Hali. - Należy przypuszczać, że sfalszowano go za łapówkę, żeby wykazać, że na Eos wszystko jest jak kiedyś.

- Gdzie jest antena ELF? - zapytał Juan.

- W podziemnym bunkrze - odrzekł Eric. - Max zasugerował w swojej wiadomości, żeby użyć broni jądrowej. Wyraził się bardzo jasno, więc pomyślałem, że coś w tym musi być.

- Chętnie skonsultowałbym to z Markiem, ale zrobiłem symulację komputerową. Jeśli wylewali beton przez pięć czy sześć miesięcy i rzucali na wierzch gruz, to oceniam, że prawdopodobnie rozwaliby to wybuch o sile dwóch kiloton.

- Nie wystarczyłaby bomba lotnicza do burzenia bunkrów? - zapytał sensownie Juan.

- Zrobiłaby swoje, gdyby trafiła prosto w antenę lub w generatory. Ale bądźmy realistami. Mamy szansę zdobyć taką zabawkę?

Eric miał zwyczaj nie zwracać uwagi na ton sarkazmu.

- Nie większą niż znaleźć dwa tysiące ton trotylu - odciął się Juan ostro i natychmiast tego pożałował. - Przepraszam.

Starął się nie wylądowywać frustracji na swoich ludziach.

- Desant komandosów wydaje się jedynym rozwiązaniem - powiedział Eddie i podszedł bliżej. - Moglibyśmy wylądować na plaży na południowym krańcu wyspy albo spróbować wspiąć się na jeden z klifów.

- Statystycznie szansa na powodzenie jest zerowa - odparł Eric. - Według wszelkiego prawdopodobieństwa wejście do bunkra jest silnie bronione i łatwo je szczelnie zaryglować. Przy pierwszej oznace ataku zewnętrzne strefy obronne są zamykane i w bunkrze są sukcesywnie wznoszone barykady.

- Więc trzeba znaleźć tylne wejście - powiedział Juan. - Tam muszą być wloty powietrza do systemu wentylacyjnego i wyloty spalin z elektrowni.

- Uważam, że jedno i drugie są pod nabrzeżem - Eric skinął głową Halemu, który znów wyświetlił pierwsze zdjęcie budowy. - Przyjrzyjcie się dobrze miejscu na drodze, gdzie trwają roboty.

Hali zrobił zbliżenie. Tuż przed maszyną kładącą asfalt walec wyrównywał tłuczeń, podczas gdy kawałek dalej z przodu koparki zasypywały głęboki rów.

- Wybrali ziemię na trasie przyszłej drogi, żeby ułożyć rury wentylacyjne pod nawierzchnią. Musimy przyjąć, że wloty i wyloty też są pilnie strzeżone i pojawienie się intruzów spowoduje zamknięcie obiektu. Nawet gdyby oddział szturmowy zdołał się dostać do przewodów wentylacyjnych, zostałby w nich uwięziony.

Juan przeniósł wzrok na Eddiego, żeby usłyszeć jego opinię na temat pesymistycznej oceny sytuacji ogłoszonej przez Stonea.

- Jeden błąd i bylibyśmy celami jak na strzelnicy - stwierdził Seng. - I nawet gdyby udało nam się

wejść do środka, musielibyśmy wyciąć palnikami wyjście z tych rur, nie wiedząc, co nas czeka po drugiej stronie.

- Okej, przedstaw mi inną możliwość - odrzekł Juan.

- Przykro mi, prezesie, ale Eric ma rację. Nie znając rozkładu bunkra, jego systemów bezpieczeństwa, liczby strażników i tak dalej, nie dostaniemy się tam.

- Dwa tygodnie temu ukradliśmy dwie torpedy rakietowe irańskiej marynarce wojennej. Musi być jakiś sposób na wyciągnięcie Maksa stamtąd.

- Z całym należnym szacunkiem - odezwał się Eric spokojnym, ale zdecydowanym tonem - powinniśmy się skoncentrować raczej na zniszczeniu tego nadajnika niż na uwolnieniu Maksa. Jeśli atak ma być skoordynowany przez wysłanie sygnału w paśmie ELF do statków rozproszonych po całym świecie, to naszym głównym celem powinno być uniemożliwienie tego.

Zapadła długa wymowna cisza.

- Masz jakąś propozycję? - zapytał chłodno Juan.

- Owszem. Użycie „Pięści Stalina”.

Na dźwięk tego kryptonimu Juan bujnął się do tyłu w fotelu.

- Skąd o niej wiesz?

- Przeczytałem zapisy przechwyconych przez nas rozmów Iwana Kierikowa z Ibn al-Asimem.

Te zapisy Juan miał w komputerze, tylko że nie miał czasu ich przejrzeć, a tym bardziej przeczytać w całości. Ale zostali wynajęci przez CIA do prowadzenia podsłuchu, nie do analizowania zebranego materiału.

- Kierikow wspomniał, że ma dostęp do czegoś o nazwie „Pięść Stalina”. Poszukałem informacji o tym czymś. Wiesz, co to jest?

- Dlaczego myślisz, że to zadziała? - zapytał Juan ze znaczącym uśmiechem.

- Może wytłumaczylibyście nam, o co chodzi? - zawołał Lincoln.

Eric wpisał coś do swojego komputera i wyświetlił rysunek sztucznego satelity, który nie był podobny do żadnego innego. Długi cylindryczny korpus otaczało pięć obudowanych pojemników długości około dziesięciu metrów. Nawet gdyby nie widniały sierp i młot na boku statku kosmicznego, każdy by rozpoznał, że jest radziecki. Rysunek był utrzymany w charakterystycznym sowieckim stylu - pompatyczny i zarazem amatorski.

- Choć temu satelicie nadano kryptonim „Listopadowe Niebo”, znano go niemal wyłącznie pod nazwą „Pięść Stalina”. Wystrzelono go w 1989 roku, w jednym z najgorętszych okresów zimnej wojny, naruszając jakiś tuzin układów międzynarodowych - wyjaśnił Eric.

- No dobra - burknął Lincoln - ale co to jest, do cholery?

- „Pięść Stalina” to OBP, orbitalny balistyczny pocisk, broń. Nasi wojskowi nazywali go żartobliwie „Kijami Pana Boga”. Pomysł jest niewiarygodnie prosty. W tych wyrzutniach są wolframowe pręty. Każdy waży osiemset szesnaście kilogramów. Po odpaleniu przelatują przez atmosferę i trafiają w wyznaczone cele. Poruszają się z prędkością orbitalną prawie dwudziestu dziewięciu tysięcy kilometrów na godzinę, co w połączeniu z ich masą sprawia, że uderzają z energią kinetyczną bomby atomowej, ale bez opadu radioaktywnego, a obronie pozostaje dwukrotnie mniej czasu na reakcję, bo nie ma fazy wznoszenia, jak w przypadku konwencjonalnego pocisku balistycznego. Przez moment może być widoczny na niebie płonący obiekt i to wszystko. Nie ma żadnego ostrzeżenia i żadnej szansy na ucieczkę.

- Sowieci zamierzali użyć tego jako broni pierwszego uderzenia - dodał Juan. - Chcieli

zaatakować kilka dużych zachodnich miast położonych na tym samym południku i zwalić winę na deszcz meteorów. Ponieważ nie byłoby opadu radioaktywnego, a pręty wyparowałyby przy uderzeniu, nikt nie mógłby powiedzieć, że deszczu meteorów nie było. Ich astronomowie mieli nawet przygotowane sfabrykowane zdjęcia pokazujące meteory tuż przed wejściem w atmosferę ziemską. Sowietnicy liczyli na to, że zanim Zachód pozbiera się po stracie pięciu miast, przekroczy granice i Europa będzie ich.

- Skąd wiesz, że to się nie udało? - zapytał go Eric.

- Stąd, że jednym z moich pierwszych tajnych zadań w CIA było przeniknięcie na kosmodrom Bajkonur, skąd satelitę wynosiła w przestrzeń rakietą Energia, i dokonanie sabotażu. Unieszkodliwiłem go tak, żeby nie mógł odbierać sygnału z Ziemi z powodu ziemskiego pola magnetycznego. Zareaguje tylko na polecenie wydane sponad atmosfery.

- Dlaczego po prostu nie zniszczyłeś go na wyrzutni?

- To był lot załogowy. Satelicie towarzyszyli dwaj kosmonauci, żeby zamontować na nim ręcznie baterie słoneczne. Ruscy dopiero trzy dni po starcie odkryli sabotaż.

- Nie mogli po prostu wzmocnić sygnału z Ziemi? - spytał Hali.

- Spaliliby elektronikę.

- Anie mogliby wysłać sygnału ze swojej stacji kosmicznej Mir?

- Wiedzieli, że sprawa się wydała, więc zostawili satelitę na orbicie biegunowej i tyle.

- Myślisz, że on nadal działa? - zapytał Eric.

- Jeśli nie uderzyły w niego kosmiczne szczątki, to działa doskonale. - Cabrillo zapalił się do pomysłu Erica. - Okej, mądrało, znalazłeś inne wyjście niż użycie broni jądrowej. Jak proponujesz dostarczyć nadajnik sto kilometrów w głąb kosmosu, żebyśmy mogli zarekwirować satelitę?

- Gdybyś wydobyl dla mnie kody od Iwana Kierikowa... - Stone znów wpisał coś do komputera i wyświetlił jeszcze jedno zdjęcie - wykorzystałbym to.

Plan był tak zuchwały, że Juan i reszta rozdziawili usta. Cabrillo w końcu odzyskał mowę.

- Eric, masz to załatwione. Zadzwoń do Overholta, żeby zorganizować ci transport. Eddie i Lincoln, wymyślcie, jak wydostać te kody od rosyjskiego handlarza bronią jeszcze dziś. Gdy już je zdobędziemy, opuścimy port.

- Nadal chcesz popłynąć na wyspę Eos? - spytał Eddie.

- Nie zostawię Maksa własnemu losowi.

Patrząc na swoje odbicie w lustrze, Juan nie potrafił powiedzieć, gdzie kończy się jego twarz i zaczyna charakteryzacja - dzieło Kevina Nixona. Zerknął na powiększone zdjęcia, które Kevin przykleił do lustra na wzór, a potem znów na swoją twarz. Wszystko się zgadzało. Kolor peruki był idealnie dobrany, reszta też.

- Kevin, przeszedłeś samego siebie - powiedział Juan i zdjął papierowy kołnierz, który Kevin włożył mu na szyję dla ochrony koszuli smokingowej.

- Nadanie ci wyglądu arabskiego terrorysty Ibn al-Asima to żadna sztuka. Gdybyś mnie poprosił, żebym upodobnił cię do jednej z ich zdziur, i by mi się to udało, mógłbyś mnie nazwać cudotwórcą.

Juan zawiązał zrecznie muszkę i wciągnął na szerokie ramiona biały smoking. Choć prawie każdy mężczyzna wygląda dobrze w takim stroju, Cabrillo prezentował się wręcz znakomicie mimo sztucznego pogrubienia w pasie, żeby upodobnić się sylwetką do al-Asima. Inwigilacja wykazała, że bankier terrorystów preferuje Armaniego, ale to nie stanowiło żadnej przeszkody. Juan na dole pleców umieścił płaską kaburę ze swoją ulubioną bronią, pistoletem automatycznym FN.

- Wyglądasz jak brzuchaty James Bond - rzucił Mike Trono przez zagraconą pracownię Kevina.

- Personel sprzątający ma być widać, nie słyszać - odciął się Juan najlepszym szkockim akcentem Seana Conneryego.

Mike i Jeny Pułaski nosili uniformy sprzątaczy zatrudnionych w znanym na całym świecie Casino de Monte Carlo. Krój podpatrzyli podczas krótkiego popołudniowego rekonesansu. Kevin i jego zespół mieli na składzie setki mundurów i uniformów, od rosyjskiego generała i gliniarza indyjskiej drogówki do dozorczy paryskiego zoo, toteż tylko kilka minut zajmowało im dostosowanie standardowego kombinezonu do aktualnych potrzeb.

Mike i Jeny zostali wyposażeni w duży śmietnik na rolkach, wiadro z mopem i plastikową tablicę z ostrzeżeniem „Uwaga! Śliska podłoga”.

Główny steward pojawił się w drzwiach, skromny i milczący jak zawsze. Garnitur osłonił świeżym białym fartuchem. Załoga zastanawiała się, czy Maurice zmienia fartuchy przed wyjściem z pokoju kredensowego, czy też po prostu nigdy niczego na siebie nie wylewa. Większość obstawiała to drugie. Teraz trzymał w jednej ręce szczelny plastikowy pojemnik tak, jakby w środku wiły się jadowite węże, i marszczył brwi.

- Na litość boską, Maurice, to jest sztuczne - drażnił się z nim Juan.

- Ja to zrobiłem, kapitanie, więc jest jak prawdziwe.

- Zobaczymy.

Maurice postawił pojemnik na blacie charakteryzatorskim Kevina, kategorycznie odmówił zdjęcia wieka i się cofnął. Juan je podważył i szybko odwrócił głowę.

- O rany! Musiałeś nadać temu taki gryzący fetor?

- Prosił pan, żebym zrobił sztuczne wymiociny. Potraktowałem polecenie poważnie. Zapach jest równie ważny jak wygląd i konsystencja.

- To mi trochę przypomina zapachem rybę, którą przyrządziłeś dla Jannike - zażartował Mike, zamknął pojemnik i włożył do wiadra z mopem.

Maurice spojrział na niego jak dyrektor szkoły rugający niesforne ucznia.

- Panie Trono, jeśli chce pan w dającej się przewidzieć przyszłości dostawać coś więcej niż tylko chleb i wodę, to radzę mnie przeprosić.

- Hej, ryba mi smakowała. - Mike starał się wycofać najszybciej jak mógł. Nikt na „Oregonie” nie lekceważył gróźb Mauricea. - Więc co w tym jest?

- Podstawą jest zupa z zielonego groszku, a reszta przepisu to tajemnica zawodowa.

Juan zerknął na Mauricea.

- Już to kiedyś robiłeś?

- Spłatałem młodzieńczego figla Charlesowi Wrightowi, dowódcy niszczyciela, na którym służyłem. Bligh, kapitan „Bounty”, to przy nim Matka Teresa. Zarozumialec chwalił się, że ma mocny żołądek, więc podczas inspekcji rozlaliśmy trochę tej mieszanki w jego prywatnej toalecie tuż przed wejściem do niej wizytującego nas admirała. Przez resztę kariery Wright miał przezwisko Rzyg.

Wszyscy się roześmiali głośniejsz, niż tego wymagała puenta historyjki, chcąc rozładować napięcie. Zawsze panowali nad emocjami, zwłaszcza tuż przed akcją, więc korzystali z każdej okazji, żeby się odprężyć.

- Czy to będzie wszystko, kapitanie?

- Tak, Maurice, dzięki.

- Nie ma za co. - Steward się skłonił i ruszył do wyjścia. W drzwiach minął doktor Huxley wchodzącą do Magicznej Pracowni.

Mężczyźni powitali ją gwizdami podziwu. Julia miała na sobie karmazynową jedwabną sukienkę bez ramiączek, która opinała jej krągłości jak druga skóra. Koński ogon zniknął, głowę Julii zdobiła elegancka aureola loków i pukli. Makijaż podkreślał wyraz oczu i kształt ust i nadawał cerze zdrowy kolor.

- Proszę - powiedziała i wręczyła Cabrillo wąski skórzany futerał. Otworzył go i zobaczył trzy strzykawki w oddzielnych przegródkach. - Taki zastrzyk dożylny usypia po około piętnastu sekundach.

- Tabletki są? - spytał Juan.

Wyjęła z kopertówki standardową plastikową buteleczkę i wytrząsnęła dwie kapsułki.

- Jeśli al-Asim ma problemy z nerkami, to wyląduje w szpitalu, zanim będzie musiał iść do toalety.

- Po jakim czasie działają?

- Po dziesięciu, może piętnastu minutach.

- Na pewno ich nie wyczuje?

Huxley przewróciła oczami. Przerabiali to już trzy razy.

- Są całkowicie niewykrywalne. - Pokazała Juanowi paszport. Ponieważ Monakijczycy nie mają wstępu do kasyna, przy wejściu jest sprawdzana tożsamość.

- Wszyscy mają telefony? - upewnił się Juan. Zamiast zwracać na siebie uwagę słuchawkami w uszach i mikrofonami w klapach, postanowili używać komórek przełączonych na tryb walkie-talkie. Wszyscy przytaknęli. Cabrillo powiedział: - Okej. Schodzimy na ląd i bierzemy się do roboty.

Casino de Monte Carlo, dzieło architekta Charlesa Garniera, który zaprojektował gmach legendarnej opery paryskiej, jest istną świątynią hazardu. Zostało zbudowane w pełnym przepychu

stylu Napoleona III, stworzonym przez Garniera. Ma dwie charakterystyczne wieże i miedziany dach, wejście zdobią piękne fontanny, w eleganckim atrium wznosi się dwadzieścia osiem onyksowych kolumn, w każdym pomieszczeniu są witrażowe okna i mnóstwo marmuru. Kiedy Juan przyjechał do kasyna, trzy ferrari i dwa bentleye stały przed wejściem. Do środka wchodziła śmietanka towarzyska. Wszyscy mężczyźni nosili smokingi, kobiety w wieczorowych kreacjach wyglądały jak klejnoty.

Juan zerknął na zegarek. Kierikow i al-Asim nigdy nie zjawiali się przed dziesiątą, więc miał pół godziny - aż nadto czasu na znalezienie ustronnego miejsca do przeczekania tych trzydziestu minut. Byłoby niedobrze, gdyby al-Asim spotkał swojego sobowtóra po drugiej stronie ruletki.

Telefon Juana zadzwieczał.

- Prezesie, Ski i ja zajęliśmy pozycję - zameldował Mike Trono.

- Jakież problemy?

- W strojach sprzątaczy jesteśmy praktycznie niewidzialni.

- Gdzie jesteście?

- Przy rampie. Zmywamy olej, który wylał Ski, żebyśmy mieli zajęcie.

- Dobra, bądźcie czujni i czekajcie na mój sygnał.

Cabrillo pokazał swój paszport i zapłacił za wstęp. Tłum kierował się w prawo do eleganckich sal gry, więc Juan zrobił to samo. Wszedł na górę do baru i zamówił martini. Nie zamierzał go wypić, ale uznał, że w tym otoczeniu wypada mieć drinka. Rozejrzał się i znalazł ciemny kąt, gdzie mógł się zaszyć.

Chwilę później zadzwoniła Huxley. Oznajmiła, że już przyjechała do kasyna i jest w Salon de Europe, głównej sali gry.

Juan czekał i zastanawiał się, jak uratować Maksa, zanim zrównają z ziemią wyspę Eos przy użyciu orbitalnego pocisku balistycznego. Wiedział, że muszą zniszczyć wyspę bez względu na to, czy uda im się uwolnić Maksa, bo nawet on by przyznał, że gra idzie o zbyt wysoką stawkę.

Żałował, że nie może się skontaktować z Hanleyem w paśmie ELF, ale na Eos był tylko nadajnik. Analizował każdy pomysł, jaki przychodził mu do głowy, by w końcu go odrzucić jako nietrafiony.

- Są - zawiadomiła go Julia przez telefon dwadzieścia minut po jego wejściu do baru. - Idą do stołu do bakarata.

- Zaczekaj, aż się usadowią i wypiją parę drinków.

Na dole w kasynie Julia Huxley dzieliła uwagę między ruletkę a ich cel. Jej stos żetonów raz topniał, raz rósł, podczas gdy w innej części sali Ibn al-Asim pił trzeciego drinka.

Widziała paradoks w tym, że Arab skłonny sfinansować zakup broni dla terrorystycznych ugrupowań islamskich fundamentalistów pije alkohol wbrew jednemu z najbardziej znanych zakazów obowiązujących muzułmanów. Przypuszczała, że al-Asim uważa się za takftra, prawdziwego wyznawcę swojej wiary, który ignoruje jej zasady, by przeniknąć do zachodniego społeczeństwa. Oczywiście, wystarczyłoby po prostu nie nosić tradycyjnych szat i gęstej brody. Nie musiał pić i uganiać się za spódniczkami. Ale najwyraźniej lubił to.

- Chyba już czas, Juan - powiedziała do telefonu, udając, że sprawdza, czy ma wiadomość tekstową.

- Okej. Zaczynaj. Mike, przygotujcie się.

Julia zaczęła, aż kulka ruletki wpadnie do przegródki z numerem sześć i krupier zabierze ze stołu przegrane żetony, łącznie z jej, po czym dała mu napiwek i wzięła resztkę swojego stosu. Wyjęła z torebki dwie kapsułki i ruszyła przez salę. Kilku mężczyzn przyjrzało się jej, kiedy ich

mijała, ale większość gości koncentrowała się na grze.

Przy stole Kierikowa i al-Asima nie było wolnych miejsc siedzących, więc Julia stanęła z tyłu i czekała na swoją okazję. Kiedy w pewnym momencie Rosjanin dużo wygrał, przysunęła się do niego i szepnęła mu do ucha:

- Gratuluję.

Najpierw się przestraszył, potem uśmiechnął, gdy zobaczył, jak wygląda Huxley.

Zrobiła to samo, kiedy poszczęściło się innemu graczowi, i nagle przestała być obca w tym kręgu, dołączyła do grona przy stole. Położyła swoje żetony na stosie tego drugiego gracza, żeby jego ewentualna wygrana była wspólna.

Przegrał i przeprosił, ale Julia tylko wzruszyła ramionami, jakby chciała powiedzieć, że to drobiazg.

Zapytała gestem al-Asima, czy może dołożyć swoje żetony do jego. Przytaknął, więc sięgnęła przez stół i oparła rękę obok jego drinka, żeby nie stracić równowagi. Kiedy się prostowała, omal nie przewróciła szklanki. Złapała ją w ostatniej chwili, wrzuciła do niej dwie kapsułki i postawiła ją z powrotem na podkładce.

Kapsułki zawierały środek homeopatyczny, który narkomani na zwolnieniu warunkowym używają do oczyszczenia organizmu przed badaniem, żeby uniknąć powrotu do więzienia. Julia ustaliła, że składniki nie mają właściwie żadnego działania poza tym, że są moczopędne. Podanie ich al-Asimowi miało spowodować, że będzie musiał pójść do toalety w momencie wybranym przez Korporację.

Al-Asim niczego nie podejrzewał. Wygrał i wyszczerzył zęby, kiedy wręczał Julii jej dolę.

- Merci, monsieur - powiedziała. Zagrała jeszcze raz z kimś innym, przegrała i odeszła od stołu. Gdy wróciła z sali do wysokiego atrium, zadzwoniła do Cabrillo, żeby go zawiadomić, że wykonała zadanie.

- Okej, znajdź jakieś miejsce, skąd będziesz mogła go obserwować, i daj nam znać, jak pójdzie do kibla, a potem wracaj do portu - polecił Juan w drodze na dół do łazienki najbliższej Salon de Europe. - Mike, zajmijcie pozycję.

- Już się robi.

Niedaleko toalety były drzwi do służbowych korytarzy, żeby goście nie musieli oglądać sprzątaczy lub kelnerów przychodzących po zamówione drinki. Juan pokręcił się chwilę przy drzwiach, potem je uchylił i Mike dał mu butelkę sztucznych wymiocin. Juan zaczekał kilka minut, aż środek moczopędny zacznie działać, i wszedł do łazienki.

Jak wszędzie w kasynie, w toalecie dominowały marmur i złocenia. Jakiś mężczyzna mył ręce, ale wyszedł, zanim Cabrillo zdążył dojść do kabin. Nikt go nie słyszał, więc nie musiał udawać, że się rozchorował. Po prostu wylał cuchnącą breję na podłogę i wycofał się do kabiny.

Wystarczyło, że do łazienki wszedł jeden gość, by został wezwany pracownik kasyna. Juan słabo znał francuski, ale uspokajający ton członka personelu wskazywał, że natychmiast zawiadomi sprzątaczy. Juan wyobraził sobie, jak pracownik idzie do najbliższego wejścia służbowego, żeby zgłosić, co się stało, i zastaje w korytarzu dwóch sprzątaczy, jakby już wiedzieli, że ktoś nabrudził.

Drzwi toalety znów się otworzyły i Juan usłyszał odgłos wtaczanego śmietnika.

- Cześć, chłopaki - powiedział i wyszedł z kabiny.

- Dlaczego zawsze dostajemy taką prestiżową robotę? - zapytał Mike z wyraźnym sarkazmem.

- Bo wiecie, jak wypolerować podłogę.

Drzwi znów się otworzyły. Pułaski zatrzymał wchodzącego gościa i wskazał przeproszającym gestem brud zmywany mopem z podłogi.

- Właśnie wstał od stołu - poinformowała Juana Julia. - Będzie następnym chętnym do skorzystania z kibla.

- Przyjąłem. Do zobaczenia później. - Cabrillo wycofał się z powrotem do kabiny.

Kiedy drzwi się otworzyły, Pułaski wpuścił al-Asima do łazienki. Arab się skrzywił, gdy poczuł gryzący zapach, ale potrzeba oddania moczu była silniejsza od obrzydzenia, więc pobiegł do pisuaru.

Cabrillo pozwolił mu skończyć, po czym stanął cicho za nim. Al-Asim wyczuł jego obecność w ostatniej chwili i się odwrócił. Wytrzeszczył oczy na widok swojego sobowtóra, ale zanim zrozumiał, co się dzieje, Juan wkłuł mu igłę w szyję i wcisnął tłok strzykawki. Al-Asim otworzył usta do krzyku, więc Juan zasłonił mu je dłonią i przytrzymał go, dopóki Arab nie stracił przytomności.

Pułaski zastąpił drogę innemu gościowi, kiedy Juan i Trono ładowali bankiera terrorystów do dużego pojemnika na śmieci. Cabrillo zamienił swój zegarek na płaski movado, który nosił al-Asim, i wsunął na palec jego wielki sygnet.

- Powinienem skończyć z Kierikowem, zanim ten się ocknie - powiedział Juan i sprawdził swój wygląd w lustrze. - Zostawcie go gdzieś, gdzie go nie znajdą przez kilka godzin, i wracajcie z Julią na „Oregon”.

- Przy rampie jest schowek gospodarczy. O tej porze nikt tam nie zajrzy. - Mike skończył polerować podłogę na wysoki połysk i wrzucił mop do wiadra.

- Do zobaczenia, chłopaki.

Juan wrócił do stołu do bakarata, gdzie Kierikow rozdawał karty z buta.

- Wszystko w porządku, przyjacielu? - zapytał Rosjanin po angielsku, bo tylko w tym języku on i Arab mogli się porozumieć.

- Drobnny problem z żołądkiem, Iwan. Nie ma się czym przejmować. - Cabrillo odsłuchał kilkugodzinne nagranie rozmów dwóch mężczyzn, więc wiedział, jak się zwracają do siebie. Handlarz bronią nie wykazał najmniejszego zainteresowania jego wyglądem. Charakterystyka i przebranie sprawdzały się doskonale.

Siedzieli przy bakaracie jeszcze przez czterdzieści pięć minut. Juan udawał, że czuje się coraz gorzej, i było to widać po tym, jak grał. W głupi sposób stracił połowę żetonów al-Asima wartych pięćdziesiąt tysięcy dolarów.

- Przepraszam, Iwan - powiedział i przycisnął rękę do brzucha. - Chyba muszę wrócić na jacht.

- Może wezwać lekarza?

- Myślę, że to nic poważnego. Wystarczy, że się położę. - Juan zrezygnował z rozdania kart, kiedy przyszła jego kolej, i podniósł się niepewnie. - Ale ty zostań, graj dalej.

Posunięcie było ryzykowne, ale al-Asim z pewnością tak by zrobił.

Kierikow się zastanowił. Wygrał około trzydziestu tysięcy dolarów, odkąd usiedli do bakarata, i nie miał ochoty przerywać dobrej passy. Ale z drugiej strony sprawy układały się tak, że al-Asim mógł się stać jego najlepszym klientem.

- Zabrałem im dość pieniędzy jak na jedną noc. - Podsunął but na sześć talii kart Azjacie na lewo od siebie i wstał. Smoking zmarszczył mu się na szerokich barach.

Oddali żetony i zostawili pieniądze na koncie kasyna na następny wieczór. Kiedy szli przez bogato ozdobione atrium, Kierikow zadzwonił z komórki do swojego kierowcy i kazał mu podjechać limuzyną przed budynek.

Kierowca zatrzymał się na wprost wejścia, ale nie wysiadł. To ochroniarz Kierikowa na przednim siedzeniu wyskoczył z samochodu i otworzył tylne drzwi. Był dziesięć centymetrów wyższy od Cabrillo i miał ciemne oczy o nieufnym spojrzeniu. Obserwował uważnie tłum, gdy Kierikow wsiadał do auta, potem popatrzył badawczo na Juana.

Gdyby Cabrillo odruchowo odwrócił wzrok, goryl zorientowałby się, że coś jest nie tak. Ale Juan przez całe życie ćwiczył samokontrolę. Zamiast spuścić oczy, odwzajemnił śmiało spojrzenie i zapytał:

- Coś nie w porządku? Mina ochroniarza złagodniała.

- Niet.

Juan zajął miejsce w limuzynie i goryl zamknął drzwi za nim. Do portu było blisko. Podczas krótkiej jazdy Juan nadal udawał, że dokucza mu żołądek, żeby uniknąć rozmowy z Rosjaninem.

Przy nabrzeżu czekała na nich przycumowana szalupa z jachtu Kierikowa, „Matrioszki”. Ochroniarz wyskoczył z limuzyny, gdy tylko stanęła, i otworzył tylne drzwi.

- Dobrze, że nie wyrzuciliśmy dziś pieniędzy na żadne panie - zauważył Kierikow, kiedy szli do lśniącej białej łodzi.

- Czuję się tak źle, że nawet bym teraz nie spojrział na kobietę. Obawiam się nawet wsiąść do twojej motorówki.

Kierikow położył silną rękę na ramieniu Cabrillo.

- Do jachtu jest niedaleko, a woda jest gładka jak szyba. Nic ci nie będzie. Goryl odpalił silnik łodzi, kierowca limuzyny odcumował dziób i rufę. Pięć minut później dopłynęli do szerokiej pawęży „Matrioszki” z opuszczoną tekową platformą do nurkowania, skąd kondygnacja schodów prowadziła na wielki główny pokład jachtu.

- Pewnie pójdziesz prosto do kabiny - powiedział Kierikow, gdy weszli na statek. Na szczycie schodów czekał służący, na wypadek gdyby Rosjanin czegoś potrzebował. Juan zobaczył też dwóch strażników. Jeden czuwał na górze na pokładzie słonecznym za mostkiem, drugi spacerował przy basenie pływackim jachtu.

Korporacja oceniała, że megajacht obsługuje co najmniej osiemnastoosobowa załoga, a ochrona składa się z dziesięciu ludzi.

- Właściwie - odrzekł Juan - to chciałbym z tobą porozmawiać w twoim gabinecie.

- Byle nie o niczym poufnym - zastrzegł od razu Kierikow. Wiedział, jak łatwo ktoś może ich podsłuchać tak blisko brzegu.

- Nie, nie - odpowiedział szybko Juan. - Chodzi o coś, co przyszło mi dziś do głowy.

Kierikow poprowadził go przez luksusowy statek. Minęli jadalnię na dwadzieścia osób i salę kinową z czterdziestoma miejscami. Były twardogłowy komunistyczny szpieg w pełni korzystał z uroków kapitalizmu.

Doszli do gabinetu Rosjanina i gdy tylko Kierikow zamknął drzwi za nimi, Juan wyciągnął pistolet i przycisnął mu do gardła tak mocno, że przeciął skórę.

- Dasz głos i nie żyjesz. - Juan porzucił fałszywy arabski akcent i przeszedł na rosyjski.

Kierikow ani drgnął. Prawdopodobnie bywał w takich sytuacjach wystarczająco często, żeby wiedzieć, że gdyby napastnik chciał go zabić, to już by to zrobił.

- Kim jesteś? - zapytał Kierikow.

Juan w milczeniu skrępował mu nadgarstki plastikowymi kajdankami.

- Choć mówisz po rosyjsku, podejrzewam, że jesteś z CIA, nie z FSB. Muszę ci pogratulować.

Prześwietliłem al-Asima i okazał się czysty. Napracowałeś się, żeby to uwiarygodnić. Mnóstwo zaufanych ludzi ręczyło mi za niego.

- Nie jestem al-Asimem - odparł Juan. Kierikow uśmiechnął się wymuszenie.

- To jasne.

- Został w kasynie, w śmietniku przy rampie. Powinien odzyskać przytomność za parę godzin.

Kierikow zmrużył oczy, starając się ogarnąć sytuację. Juan trzymał go w napięciu jeszcze przez chwilę.

- Wiem, że ty i al-Asim jesteście w Monte Carlo dawnymi współlokatorami z collegeu, którzy dobrze się bawią. Nie obchodzi mnie, co kombinujecie. Jestem tu z powodu czegoś, co ukradłeś swoim byłym szefom.

- Ukradłem im dużo rzeczy - odrzekł Kierikow z nieukrywaną dumą.

Juan tyle się dowiedział o rosyjskim handlarzu bronią, że chętnie wpakowałby mu kulę w łeb i uwolnił świat od jednej kanalii więcej. Z trudem powstrzymał się od naciśnięcia spustu.

- Chcę kody do „Pięści Stalina”.

Uwadze Kierikowa nie umknęło, że wspomniał o tej broni al-Asimowi bardzo niedawno. Znow zapisał Juana, kim jest.

- Będę twoim zabójcą, jeśli nie dostanę od ciebie tego, co chcę.

- Inwigilowałeś mnie, tak?

- Moja organizacja miała cię na oku przez jakiś czas - odparł Juan, co nie całkiem mijalo się z prawdą. - Interesują nas tylko kody do orbitalnego pocisku balistycznego. Jeśli mi je dasz, będziesz mógł dalej spokojnie prowadzić interesy z al-Asimem. W przeciwnym razie umrzesz tej nocy.

Kiedy Juan uzgadniał tę operację z Langstonem Overholtem, człowiek z CIA zabronił mu narażać na niepowodzenie ich długofalowy plan przewerbowania al-Asima.

Cabrillo odbezpieczył pistolet dla podkreślenia swoich słów.

Kierikow starał się zmusić go do odwrócenia wzroku i nawet nie mrugnął, kiedy zobaczył, że palec Juana zaczyna naciskać spust.

- Strzel, to moja ochrona będzie tu za dwadzieścia sekund - ostrzegł.

- Moja dusza jest przygotowana na męczeństwo - odparł Juan, żeby zmylić Rosjanina, wywołując wrażenie, że to sprawa religijna. - A twoja?

Kierikow westchnął ciężko.

- Boże, brakuje mi zimnej wojny. Jesteś Czeczenem, tak?

- Jeśli to uspokoi jakiegokolwiek resztki twojego sumienia, nie jestem Czeczenem i ta broń kosmiczna nie zostanie użyta nigdzie na terytorium byłego Związku Radzieckiego.

Juan niemal widział, jak Kierikow myśli, że w ogóle nie będzie użyta.

- Kody są w sejfie za tym obrazem. - Rosjanin wskazał głową akt na ścianie. Juan odchylił obraz na długim zawiasie lufą pistoletu, na wypadek gdyby to była pułapka. Sejf miał wymiary około pół na pół metra i zamek elektroniczny z dziesięciocyfrową klawiaturą.

- Szyfr.

- Dwa pięć jeden zero jeden dziewięć jeden siedem. Juan dopiero po chwili rozpoznał, że to data.

- Dzień wybuchu rewolucji październikowej. Ładnie.

Wstukał kombinację, kazał Rosjaninowi stanąć dokładnie na wprost drzwiczek i odblokował rygiel. Znał ten model sejfu i wiedział, że wprowadzenie niewłaściwego szyfru spowoduje eksplozję

granatu ogłuszającego. Cyfry okazały się właściwe.

W środku leżały pliki banknotów, pistolet, który Juan wetknął do kieszeni, i niezliczone dokumenty.

- Powinny być gdzieś na dole - podpowiedział Kierikow, żeby mieć to szybciej za sobą.

Juan przejrzał część papierów, gdy szukał kodów. Natrafił na dowody, że Rosjanin brał udział w uzbrajaniu armii Saddama Husajna przed amerykańską inwazją i wymianie handlowej, której przedmiotami były afgańskie opium, rosyjska broń i afrykańskie diamenty.

Prawie na samym spodzie leżały akta oznaczone cyrylicą jako „Listopadowe Niebo”. Juan przerzucił parę stron i stwierdził z zadowoleniem, że znalazł to, o co mu chodziło. Przypuszczał, że kiedy komputer na pokładzie „Oregona” przetłumaczy treść na angielski, Eric i Hali zrozumieją techniczny żargon.

Wsunął dokument do wodoszczelnej torby i odwrócił się do Kierikowa. Choć miał wielką ochotę powiedzieć Rosjaninowi, co o nim myśli, ugryzł się w język.

- Jak znajdziesz al-Asima, wyjaśnij mu, że to, co się stało dziś w nocy, nie miało żadnego związku z waszymi wspólnymi interesami, tylko z twoją przeszłością, ale sprawa jest już załatwiona. A teraz odwróć się i uklęknij.

Po raz pierwszy, odkąd Juan trzymał go na muszce, Kierikow okazał strach. Miał go w oczach, choć nie zdradzał tego jego głos.

- Dostałeś to, co chciałeś.

- Nie zabiję cię. - Juan wyciągnął futerał ze strzykawkami i wyjął jedną. - To jest ten sam środek, który wstrzyknąłem al-Asimowi. Stracisz przytomność na kilka godzin, nic więcej.

- Nie cierpię zastrzyków - odparł Kierikow. - Lepiej walnij mnie w głowę. Juan zdzielił go pistoletem w skroń z taką siłą, że gdyby uderzył odrobinę mocniej, roztrzaskałby mu czaszkę i zabił go. Rosjanin runął jak budynek podczas implozji.

- Proszę bardzo - powiedział Juan i wkłuł mu igłę.

Zewnętrzna ścianę gabinetu Kierikowa tworzyła lekko wygięta szyba wychodząca z kadłuba. Juan otworzył jedno z okien i spojrzał w górę. Przy relingu powyżej niego nie było nikogo. Zdjął smoking, koszulę i sztuczny brzuch. Pod spodem miał obcisły T-shirt z długimi rękawami. Ukrył pod nim wodoszczelną torbę, wyrzucił pistolet Kierikowa przez okno, ściągnął buty i opuścił się do wody.

Zachowywał ciszę, nie patrzył w górę, żeby nie pokazywać twarzy, jego czarna peruka stapiała się z ciemnym tłem Morza Śródziemnego. Dopłynął wzdłuż burty „Matrioszki” do łańcucha kotwicznego, zanurzył się pod powierzchnię i spełził po ogniwach w dół do miejsca, gdzie Eddie i Franklin zostawili dla niego sprzęt do nurkowania.

Włożył recyrkulacyjny aparat oddechowy Draegera, pas balastowy, płetwy i maskę, po czym wziął namiar z podświetlonego kompasu. „Oregon” znajdował się zaledwie milę morską od niego, lekki odpływ ułatwiał mu zadanie.

Kiedy płynął, przysiągł sobie, że jeszcze złoży wizytę Iwanowi Kierikowowi i ich następne spotkanie nie będzie takie szczęśliwe dla Rosjanina.

Mark i Linda bez trudu zdołali ukryć fakt, że nie mają przydzielonej kabiny. W sklepach na statku kupili ubrania i przybory toaletowe. Prysznic brali w łazience przy fitness clubie. Popołudnie przespali na zmianę na leżakach ustawionych wokół basenu, a noc spędzili w kasynie. Murphy, obdarzony fotograficzną pamięcią, potrafił doskonale liczyć karty i znacznie pomnożył czterysta dolarów, które wzięli ze sobą. Gdyby chciał, mógłby w kasynie zbić fortunę, ale zależało im na zachowaniu anonimowości, więc utrzymywał wygrane w rozsądnych granicach.

To wszystko zmieniło się drugiego dnia.

Dla innych pasażerów zamknięcie sali łączności z lądem stanowiło tylko drobną niedogodność. Wprawdzie kilku biznesmenów narzekało, ale większość nawet tego nie zauważyła.

Mark i Linda wiedzieli, co się święci. Zauważyli również inne subtelne oznaki: więcej członków załogi krzątało się po pokładzie; pozornie zajęci konserwacją statku, bacznie obserwowali pasażerów. Nikt jeszcze nie poprosił o pokazanie kluczy do kajut, ale Linda i Murphy wiedzieli, że to tylko kwestia czasu.

Najwyraźniej rozeszła się wiadomość, że na „Golden Sky” znajdują się pasażerowie na gapę, i armator zamierzał ich znaleźć.

Od tej informacji bardziej kłopotliwy był katar.

Rankiem drugiego dnia ich pobytu na statku część pasażerów i członków załogi dostała kataru i ataków kichania. Podsluchując rozmowy przy basenie i podczas obiadu przy stole, oboje dowiedzieli się, że poprzedniego wieczora wszyscy czuli się dobrze, a ci, którzy teraz chorują, odwiedzili nocny bufet, i że kelnerzy oraz kucharze tego bufetu też są chorzy.

- To musi być test - stwierdził Mark.

- Skąd masz taką pewność? - Kończyli śniadanie przy stole w odległym kącie rozległej jadalni.

- Z dwóch powodów. Wybuchające na statkach epidemie wirusowe mają najczęściej charakter żołądkowo-jelitowy. Te objawy wyglądają mi na wirusowy nieżyt nosa. Po drugie, gdyby to był zasadniczy atak, wszyscy byśmy umarli.

- Co, według ciebie, powinniśmy robić? - Choć Linda słynęła z apetytu, teraz ledwo skubała jedzenie.

- Nie podawaj nikomu ręki. Nie dotykaj żadnych poręczy i, co najważniejsze, nie dotykaj oczu. Tą drogą zarazki grypy najchętniej atakują. Myjmy ręce co pół godziny, a od razu, jeśli złamiemy którąś z tych zasad. I ostatnie zadanie: musimy się dowiedzieć, jak, do diabła, zamierzają wypuścić śmiertelnego wirusa, którym zaatakowali „Golden Dawna”.

- Sknociliśmy wszystko, zostając na tym statku? - spytała Linda. Wytarła usta i odłożyła serwetkę.

- Nie, ponieważ dowiemy się, w jaki sposób wypuszczają wirusa, zanim dokonają głównego ataku.

- Bądź rozsądny. Sprawdziliśmy już sieć wodociągową, wloty powietrza, klimatyzację i, do diabła, nawet kostkarki lodu. Dotychczas nic nie znaleźliśmy, więc jakie mamy szansę?

- Coraz większe, w miarę jak odhaczamy kolejne pozycje na naszej liście potencjalnych źródeł zakażenia - odparł Mark. - Zauważyłaś, że jak czegoś szukasz, znajdujesz to w ostatnim przeszukanym miejscu?

- Czemu tak jest?

- Bo jak znajdziesz, to przestajesz szukać. Dlatego zawsze dana rzecz jest w ostatnim przeszukanym miejscu.

- Co masz na myśli?

- Że jeszcze nie sprawdziliśmy tego ostatniego miejsca.

Nawet przez tłumiące dźwięk ściany jadalni usłyszeli charakterystyczny łopot wirnika helikoptera. Wstali od stołu i przeszli na rufę. Na eliptycznej rufie statku znajdował się basen. Teraz na bladoniebieską wodę nasunięto twardą klapę i marynarze pokładowi odgradzili tę część linami, by nie dopuścić tam pasażerów.

Helikopter Bell JetRanger miał z boku logo Poseidon Tours. Z wysokości kilku pokładów Mark i Linda widzieli pilota i trzech pasażerów w kabinie.

- To nie wróży nic dobrego - powiedziała Linda, podnosząc głos ponad narastający łoskot śmigłowca.

- Myślisz, że przylecieli po nas?

- Ludzie rzadko umierają na statkach wycieczkowych, więc gdy jednego z jego fagasów zabito w Stambule, Thom Severance musiał działać szybko. Zastanawiam się, w jaki sposób skłonił armatora do zgody na coś takiego. W wykonaniu Gomeza Adamsa wygląda to łatwo, ale lądowanie helikoptera na płynącym statku jest niebezpieczne.

- Potrafią dobrze zapłacić.

Helikopter zatańczył nad głowami marynarzy. Tuż pod nim, w miejscu, gdzie załoga umyła pokład, wzbił się obłoczek wodnego pyłu. Maszyna zawisła w powietrzu jak owad, gdy pilot oceniał prędkość i siłę wiatru, nim opuścił helikopter na klapę pokrywającą basen. Nie wyłączył silnika, więc płozy lekko ją naciskały. Równocześnie otworzyło się troje drzwi. Z kabiny wyskoczyli mężczyźni z plecakami na ramionach. Pilot musiał dostosować moc silnika do nagłego zmniejszenia ciężaru maszyny. Po zamknięciu drzwi natychmiast sprawnie podniósł ją wysoko i odleciał.

- Eddie wspominał, że Zelimir Kovac wygląda jak Boris Karloff mający zły dzień. - Mark wskazał podbródkiem jednego z mężczyzn.

- Ten wysoki facet w środku?

- To musi być on.

Oficer przywitał trzech mężczyzn, ale oni nie wymienili z nim uścisku dłoni. Ich sportowe stroje - spodnie khaki, koszule polo i lekkie kurtki - sprawiały wrażenie mundurów wojskowych. Chyba przez te plecaki, pomyślała Linda.

- Według ciebie, co mają w bagażu? - spytała.

- Bielizna, czyste skarpetki, maszynka do golenia. Och, i broń.

Jak dotąd Lindzie i Markowi groziło tylko to, że zostaną wsadzeni do czegoś w rodzaju aresztu na „Golden Sky”, a na lądzie będą się musieli gęsto tłumaczyć. Sytuacja się zmieniła. Kovac z dwoma pomocnikami zjawiał się tu po nich i nie mieli żadnych wątpliwości, co się z nimi stanie, jeśli ich dorwie. Jedyna przewaga Marka i Lindy polegała na tym, że Kovac nie wiedział, ile osób poluje na wirusa. Jednak jeśli załoga i oficerowie będą sumiennie szukać pasażerów na gapę, ich dwójkę mogą odfiltrować w jednej sekundzie.

- Coś mi właśnie przyszło do głowy - powiedział Mark, odchodząc od relingu.

- Co takiego?

- Czy Kovac ryzykowałby wejście na ten statek, gdyby mieli przypuścić tu atak tym samym wirusem, który zabił wszystkich na „Golden Dawnie”?

- Owszem, jeśli byłby zaszczepiony.

W południe grypopodobne objawy miało trzy czwarte ludzi na statku, w tym Mark i Linda, mimo że stosowali wszystkie środki ostrożności.

Pustynny wiatr wył na płycie lotniska, wzbijając wysoko gęste tumany pyłu, które prawie całkowicie przesłoniły niebo. Pilot wycarterowanego odrzutowca Cessny Citation zrobił podejście na pas prawie dziesięć metrów na lewo, biorąc poprawkę na wiatr poprzeczny walący w kadłub.

Podwozie opuściło się z mechanicznym jękiem i łoskotem, wysunęły się klapy. Silniki turbodrzutowe wyły, by utrzymać samolot ponad ziemią jeszcze przez kilka sekund.

Jedyny pasażer, siedzący w kabinie, nie zwracał uwagi na warunki pogodowe ani na niebezpieczne lądowanie. Podczas lotu z Nicei do Londynu, a potem do Dallas, gdzie z kolei przesiadł się do wypożyczonego firmowego odrzutowca, cały czas miał przed sobą otwarty laptop, a jego palce tańczyły na klawiaturze.

Gdy Eric przedstawił plan wykorzystania rosyjskiego pocisku balistycznego, był to zaledwie zarys pomysłu. Jego skuteczna realizacja wymagała olbrzymiej ilości danych. Prędkość orbitalna, trajektorie, obrót Ziemi, masa prętów wolframowych i setki innych elementów - wszystko należało uwzględnić w obliczeniach.

Po ukończeniu akademii służył we flocie i był pewny, że poradzi sobie z obliczeniami, choć wolałby mieć Murphyego do pomocy. Mark miał wrodzone zdolności do trygonometrii i rachunku różniczkowego, dzięki czemu zadanie byłoby łatwiejsze do wykonania. Ale z drugiej strony należałoby na przejęcie dowodzenia i prezes słusznie powierzyłby mu to stanowisko. Mark miał po prostu lepsze kwalifikacje od Erica.

Ponieważ wszystko sprowadzało się do zagadnienia łączności między satelitą a komputerem, następnym logicznym wyborem był Hali Kasim. Problem polegał na tym, że Hali zawsze dostawał mdłości na karuzeli i nie byłby w stanie wykonać tej pracy.

Eric miał wykonać to, co potrafiło tylko kilku ludzi na świecie. Postanowił, że później będzie się tym ekscytował, teraz musiał się zająć obliczeniami. Powiedział Jannike Dahl, że czeka go ważne zadanie, wyolbrzymiając grożące mu niebezpieczeństwo, ale nie zdradzając sedna sprawy. Skoro Mark utkwiał na „Golden Sky”, Eric przypuścił szturm do pięknej młodej Norweżki. Doszedł już do punktu ósmego na swojej liście zalotów i przystępował do zaliczenia dziewiątego, próbując ująć jej dłoń, gdy wyjaśniał, dlaczego musi opuścić statek. Wiele by dał, by wiedzieć, co znaczyło przechylenie przez Jannike głowy i rozchylenie warg, zanim wyszedł z ambulatorium, zostawiając ją samą.

Powinien był zapytać doktor Huxley.

Samolot wylądował, kołysząc się przez chwilę niebezpiecznie na dwóch kołach, zanim pilot uderzył w ster, by znów wyrównać maszynę. Długo kołowali - pas startowy miał prawie pięć kilometrów - aż wreszcie zatrzymali się przed dużym hangarem obok innego nieoznaczonego samolotu korporacyjnego. Nad drzwiami hangaru widniała nazwa dawno zlikwidowanych linii lotniczych. Silniki stopniowo zamilkły i drugi pilot wyszedł z kokpitu.

- Przepraszam, panie Stone, ale nie możemy wjechać do hangaru podczas takiej burzy. Ale niech

się pan nie obawia. Do nocy się uciszy.

Eric sprawdził już w Internecie kilkanaście stron z prognozą pogody i wiedział z dokładnością do minuty, kiedy przesunie się zimny front. O północy nie będzie tu nawet zefirka.

Zamknął laptop i wziął swój bagaż - stary worek marynarski, który mu towarzyszył od akademii w Annapolis.

Drugi pilot otworzył drzwi i Eric zszedł po schodkach, mrużąc oczy przed piaskiem, gnany przez wiatr po asfalcie. Przy drzwiach osadzonych w bramie hangaru stał mężczyzna i zapraszał go gestem. Eric przebiegł kilkanaście metrów i zniknął w drzwiach. Nieznajomy natychmiast je zamknął. Pośrodku hangaru stał przykryty brezentem duży samolot, którego kształt trudno było odgadnąć, ale z pewnością podobnej maszyny świat nie widział.

- Ten cholerny pył niszczy samoloty - narzekał mężczyzna. - Eric Stone, tak? Jestem Jack Taggart.

- To zaszczyt pana poznać, pułkowniku - odpowiedział Eric tonem pełnym szacunku dla bohatera.

- Jako dziecko czytałem o panu.

Taggart, po sześćdziesiątce, miał ogorzałą twarz i jasnoniebieskie oczy. Powitał Erica żelaznym uściskiem dłoni. Był przystojny, o surowych męskich rysach; przypominał kowboja z dawnych reklam papierosów. Jego mocną szczękę pokrywał jednodniowy srebrzysty zarost. Nosił drelichowe spodnie, koszulę od munduru lotniczego i - mimo upału - kurtkę lotniczą, a na jego bejsbolowej czapce widniało logo jednej z pierwszych misji Space Shuttle. Uczestniczył w niej jako pilot.

- Jesteś gotów na przejażdżkę życia? - spytał Taggart, prowadząc Erica do biura w jednym z rogów hangaru. Mówił z nosowym teksaskim akcentem.

- Tak, proszę pana, jestem gotów. - Eric się uśmiechnął.

W biurze zastali dwóch mężczyzn. Jednego z nich Eric od razu rozpoznał po gęstych bokobrodach. To legendarny konstruktor samolotów Rick Butterfield. Drugi mężczyzna, wysoki, o arystokratycznym wyglądzie, z gęstą siwą czupryną, nosił elegancki trzyczęściowy garnitur, a kamizelkę ozdobił łańcuszek z kluczem stowarzyszenia Phi Beta Kappa. Zdaniem Erica dobiegał osiemdziesiątki.

- Panie Stone - odezwał się mężczyzna, wyciągając do niego dłoń - rzadko mi się zdarza spotkać kogoś z zespołu Juana.

- Czy pan Langston Overholt? - spytał Eric z respektem.

- Tak, chłopcze, to ja. Choć nigdy pan mnie nie spotkał i nigdy nie spotka. Rozumiemy się?

Eric skinął głową.

- Nie powinienem w ogóle tu przyjeżdżać. To mimo wszystko umowa prywatna między Korporacją a firmą pana Butterfielda.

- Na którą bym się nie zgodził, gdybyś mi nie groził, że uwalisz moje podanie o certyfikat w FAA i NASA. - Butterfield miał wysoki, nieco piskliwy głos.

- Rick - zwrócił się Overholt do konstruktora - to nie była groźba, tylko przyjacielskie przypomnienie, że twój samolot nie uzyskał jeszcze certyfikatów lotniczych i jedno moje słowo może zaoszczędzić wiele zbytecznej biurokracji.

- Lepiej nie przyciskaj mnie do muru.

- Załatwiłem ci tymczasowy certyfikat na ten lot i to chyba dowodzi, co jestem w stanie dla ciebie zrobić.

Butterfield, choć nadal skwaszony, wydawał się nieco udobruchany.

- O której godzinie mamy to zrobić? - spytał Erica.

- Na podstawie danych uzyskanych z NORAD wyliczyłem, że aby dokonać przejścia, muszę być na pozycji jutro rano dokładnie o ósmej czternaście i trzydzieści jeden, przecinek sześć dziesiątych sekundy.

- Nie mogę gwarantować aż takiej dokładności. Potrzebujemy godziny na osiągnięcie wysokości i dodatkowych sześciu minut na korektę położenia.

- Minuta w tę czy we w tę nie powinna robić wielkiej różnicy - odparł Eric, by go uspokoić. - Panie Butterfield, chciałbym, by pan zrozumiał powagę sytuacji. Dosłownie miliony istnień ludzkich zależą od nas. Wiem, że to brzmi jak zdanie z kiepskiej powieści szpiegowskiej, ale to prawda. Jeśli nam się nie uda, ludzkość czeka na niewypowiedziane męki.

Otworzył laptop, by pokazać inżynierowi lotnictwa niektóre sceny z pokładu „Golden Dawn”. Mówiły same za siebie, więc Eric nawet nie próbował niczego wyjaśniać. Gdy skończył prezentację zdjęć, powiedział:

- Większość zabitych to ludzie odpowiedzialni za stworzenie tego wirusa. Organizatorzy tej całej sprawy zamordowali własnych ludzi, żeby ich uciszyć.

Butterfield uniósł wzrok znad komputera. Pod opalenizną jego twarz była blada.

- Jestem z wami, chłopcze. Na sto procent.

- Dziękuję, proszę pana.

- Czy kiedykolwiek byłeś, synu, poddany dużym przeciążeniom? - spytał Taggart.

- Gdy służyłem w marynarce, startowałem z lotniskowca. To przeciążenie wynoszące trzy, może trzy i pół g.

- Masz skłonności do rzygania?

- Dlatego właśnie ja tu przyjechałem, a nie żaden z moich kolegów. Należę do Amerykańskiego Towarzystwa Miłośników Kolejek Górskich. Większość urlopów spędzam w parkach rozrywki na jazdach karkołomnymi kolejkami. Ani razu nie dostałem mdłości.

- Mnie to wystarczy. A tobie, Rick?

- Nie zamierzam zmuszać pana, Ericu, do podpisywania pliku papierów ubezpieczeniowych i tych wszystkich oklepanych formułek. Ręczę za mój samolot, jeśli pan ręczy za swoje zdrowie.

- W firmie poddają nas badaniom medycznym co pół roku. Wszystkie moje usterki zdrowotne korygują te okulary.

- W takim razie w porządku. Do rana mamy przed sobą sporo pracy. - Butterfield spojrzał na tarczę dużego roleksa, umieszczoną po wewnętrznej stronie przegubu. - Mój zespół powinien być tu za jakieś dwadzieścia minut. Muszę zważyć pana i pański sprzęt, żeby znać obciążenie. Potem powinien pan pozostać w samolocie aż do rozpoczęcia lotu. Piloci, którzy z panem przylecieli, mogą się zatrzymać w hotelu w mieście. Jeden z moich chłopców ich podwiezie.

- To mi odpowiada. Aha, panie Butterfield, mam prośbę.

- Nie krępuj się, synu.

- Chciałbym zobaczyć samolot.

Butterfield skinął głową i wolnym krokiem wyszedł z biura, a Eric, Taggart i Overholt za nim. Obok zasłoniętego samolotu zwiślał na długim sznurku automatyczny pilot. Butterfield nacisnął guzik i wyciągarka zaczęła podnosić plandekę.

Lśniący biały z deseniem granatowych gwiazdek samolot matka, nazwany Kanga, nie był podobny do żadnego innego samolotu na świecie. Miał skrzydła mewy, jak zasłużony Corsair z drugiej wojny światowej, które były osadzone wysoko na kadłubie i pod kątem opadały w dół, więc kadłub opierał

się na wysokim podwoziu. Dwa silniki odrzutowe znajdowały się nad kokpitem z jednym siedzeniem, a dwa dźwigary pod skrzydłami schodziły się z tyłu, tworząc dwa trójkątne usterzenia ogonowe.

Uwagę Stonea przyciągnęło coś, co mieściło się pod samolotem. Był to Roo, szybowiec raketowy o jednym płaskim skrzydle, które można było skierować w górę, by uzyskać dodatkową siłę nośną, gdy wyczerpie się zapas paliwa. Zdolny lecieć z prędkością ponad trzech tysięcy kilometrów na godzinę, Roo był samolotem suborbitalnym i choć nie należał do pierwszych tego typu maszyn skonstruowanych za pieniądze prywatne, już pobił rekord, wzbijając się na wysokość prawie stu dwudziestu kilometrów nad Ziemię.

Roo był wynoszony przez Kangę na wysokość jedenastu i pół kilometra. Tam obie maszyny rozdzielały się, włączał się napęd raketowy i Roo z wizgiem leciał w przestworza po paraboli balistycznej, która niosła go ku celowi na odległość około stu kilometrów. Potem lotem szybowcowym wracał do bazy po nowe paliwo.

Butterfield i inwestorzy przedsięwzięcia zamierzali organizować loty suborbitalne dla amatorów przygód; wyprawa dawałaby poczucie uwolnienia od siły ciężenia na samej granicy przestrzeni kosmicznej. Eric Stone miał się stać ich pierwszym komercyjnym klientem, choć nie wybierał się po to, by zaznać dreszczyku emocji. Jego pomysł polegał na tym, żeby w apogeum lotu znaleźć się w zasięgu uszkodzonej anteny na rosyjskiej platformie satelitarnej z uzbrojeniem. Wykorzystując kody, które Juan uzyskał od Kierikowa, Eric miał zmienić współrzędne satelity w taki sposób, by jeden z pocisków skierować na wyspę Eos. Energia kinetyczna osiemsetkilogramowego prętu wolframowego uderzającego gdzieś w wyspę unicestwiłaby nadajnik ELF.

- Brzydactwo, aż dech zapiera - powiedział Butterfield z dumą. Poglaskał czule kompozytowy kadłub.

- Jak się tym lata? - spytał Eric.

- Nigdy się nie dowiem. - Butterfield uderzył się w pierś. - Słabe serce.

- Synu - zwrócił się do Erica oblatywacz Taggart. - Skończy się twoje upodobanie do karkołomnych kolejek, bo przejażdżka tym cudem będzie fajniejsza niż jakakolwiek inna.

Overholt odchrząknął.

- Panowie, nie powinno mnie tu być, gdy zjawią się ludzie pana Butterfielda, więc się pożegnam.

- Uściskał wszystkim dłonie. Mimo podeszłego wieku uścisk miał krzepki. - Panie Stone, proszę mnie odprowadzić do samolotu.

- Oczywiście, proszę pana.

Eric musiał wyciągać nogi, żeby dorównać kroku starszemu mężczyźnie.

- Prosiłbym, żeby przekazał pan prezesowi przy najbliższej okazji, że zamieniłem parę słów z naszymi znajomymi z Agencji Bezpieczeństwa Narodowego. Oni również wykryli przekazy ELF, jedną chyba od waszego pana Hanleya i drugą nieco wcześniejszą. Jak może pan sobie wyobrazić, poruszenie wywołał sam fakt, że ktoś wydał fortunę na taki nadajnik. Do tego dochodzi to, co panu i pana kolegom udało się dostrzec, choć prawie na nic nie macie dowodów. - Eric otworzył usta, by zaprzeczyć. - Wiem, że nie przestrzegacie reguł Departamentu Sprawiedliwości, ale musimy się stosować do wymogów prawa, jeśli mamy oskarżyć Severancea i jego grupę.

- Pomogłem naoliwić tryby urzędniczej maszyny dla pana jutrzejszej wyprawy - kontynuował Overholt - więc wie pan, że traktuję to zagrożenie poważnie, ale jeśli mamy zdemaskować ruch responsywidów i ich naprawdę potworne plany, potrzebne mi fakty, a nie relacje z drugiej czy trzeciej ręki. Rozumie pan?

- Oczywiście, panie Overholt. Ale i pan rozumie, że jeśli nie będziemy działać naszymi metodami, miliony ludzi zostaną narażone na działanie wirusa, zanim pan znajdzie wystarczające dowody do wniesienia oskarżenia. - Eric sam nie wierzył, że miał odwagę mówić tak otwarcie do zasłużonego agenta CIA.

Langston zachichotał.

- Teraz widzę, dlaczego Juan pana zatrudnił. Odwaga i inteligencja. Proszę przekazać Juanowi, że trwają prace nad sposobami zwinięcia Severancea, gdy przekaźnik zostanie zniszczony. - Przystanęli w drzwiach hangaru, ponieważ na zewnątrz wiatr uniemożliwiłby im dalszą rozmowę. - Nie powiedziano mi, kto wpadł na szalony pomysł, żeby wykorzystać ten ruski relikw z zimnej wojny zaśmiecający kosmos.

- J a - odparł Eric. - Wiedziałem, że Juan nie zaakceptuje mojego pierwotnego pomysłu: namówienia was, byście przekazali nam bombę atomową.

Overholt zbladł.

- I słusznie.

- Musiałem zaproponować alternatywny pomysł, a gdy Iwan Kierikow wspomniał o „Pięści Stalina” i przeprowadziłem na ten temat rozpoznanie, wszystko zaczęło pasować.

- Wie pan, że to Cabrillo dokonał sabotażu satelity?

- Tak, wspominał o tym.

- Na ile go znam, nie opowiedział wszystkiego. Juan spędził siedem miesięcy za żelazną kurtyną jako Jurij Markow, technik zatrudniony na Bajkonurze. Ukrywanie tak długo prawdziwej tożsamości, pod tak ścisłym nadzorem służb bezpieczeństwa, jakim Rosjanie objęli w tamtym okresie kosmodrom, musiało być dla niego piekielnie trudne.

Gdy się stamtąd wydostał, agencja skierowała go na standardowe badania psychiatryczne. Lekarz obserwował Juana krótko. Zjrzałem do jego notatki. Diagnoza składała się z jednego zdania: „Najbardziej opanowany facet, jakiego spotkałem”. Szczera prawda.

- Ciekawe, co się stało z rzeczywistym Markowem? Juan nie musiał...

- Zabić go? Na Boga, nie. Markow dostał od nas pieniądze za informacje o rosyjskim projekcie orbitalnego pocisku balistycznego. Słyszałem, że teraz pracuje w dziale pojazdów kosmicznych Boeinga. Wiem jedno: gdyby Juanowi kazano zlikwidować Markowa, nie zawahałby się. Nie znam nikogo, kto miałby równie rygorystyczne poglądy na moralność.

- Dla kogoś takiego jak Cabrillo cel uświęca środki - ciągnął Overholt. - Wiem, że we współczesnym świecie politycznej poprawności oburza to wiele osób, ale one żyją w wolności, którą zawdzięczają ludziom takim jak Juan. To nie ich sumienie jest obciążone, tylko sumienie Juana. Mają fałszywe poczucie moralnej wyższości, nie rozumiejąc, za jaką cenę.

Zamknij miłośnika zwierząt w boksie ze wściekłym szopem, a zabije go. Będzie się czuł źle z tego powodu, będzie miał nawet poczucie winy, ale czy sądzi pan, że się będzie przejmował oburzeniem ludzi z powodu odebrania zwierzęciu życia? Ani przez chwilę, bo albo ty zabijesz, albo ciebie zabiją. Obawiam się, że w takim kierunku dąży świat, tylko że ludzi zbyt przeraża myśl, żeby to zaakceptować.

- Niestety, ich akceptacją lub jej brakiem nie przejmują się siły sprzysiężone przeciwko nam - zauważył Eric.

Overholt wyciągnął rękę i ponownie uściśnął mu dłoń.

- Dlatego nasza praca jest tym bardziej trudna. Gdy ja walczyłem, wszyscy wiedzieliśmy, co jest

czarne, a co białe. Od tamtego czasu ktoś zdołał nas przekonać, że istnieje również szarość. Coś ci powiem, synu: nie ma czegoś takiego jak szarość, bez względu na to, co niektórzy mówią. - Overholt puścił dłoń Erica. - To przyjemność pana spotkać, panie Stone. Powodzenia jutro i z Bogiem!

Jak nóż tnący błękitny jedwab, „Oregon” pruł wody Morza Śródziemnego. Starali się unikać tras statków, by podkręcić moc silników magnetohydrodynamicznych powyżej czerwonej kreski i nie zwracać niczyjej uwagi na szaleńczy pęd statku. Zwolnili tylko jeden raz, przepływając przez Zatokę Messyńską, oddzielającą koniuszek Półwyspu Apenińskiego od Sycylii. Na szczęście natura im sprzyjała. Morze było spokojne, ani śladu wiatru, gdy mknęli przez Morze Jońskie i wpłynęli na Morze Egejskie.

Prawie każdą godzinę czuwania Juan spędzał w centrum operacyjnym, wklonowany w fotel, ze stale napełnianym kubkiem kawy pod ręką. W górnym rogu głównego monitora cyfrowy zegar bezlitośnie odmierzał pozostały do końca czas. Za osiemnaście godzin wyspa Eos zostanie zmieciona z powierzchni planety.

A Max Hanley wraz z nią, jeśli Cabrillo czegoś szybko nie wymyśli.

Na „Oregonie” sytuacja odbiegała od normy, uważał. Eric i Mark powinni siedzieć przy głównych konsolach, sterując statkiem i przygotowując uzbrojenie do jego obrony. Max powinien z tyłu centrum operacyjnego obserwować obraz na monitorach silnika, niczym kwoka strzegąca stadko kurcząt. Powinna tu też być Linda, gotowa do wsparcia sekcji, która by tego potrzebowała. Eddie i Lincoln chyba czuli to samo co Juan. Rzadko przebywali w centrum operacyjnym, bo gdy tyłu ich przyjaciołom groziło niebezpieczeństwo, nie mogli sobie znaleźć miejsca.

- Nic, prezesie - odezwał się Hali ze stanowiska pod ścianą sali komputerowej.

To już po raz trzeci Linda i Mark nie zgłosili się o wyznaczonym czasie. Hali skontaktował się ze statkiem wycieczkowym - zapewniono go, że nie ma żadnych problemów z łącznością z „Golden Sky”. Zadzwoił nawet do centrum łączności na tym statku, udając, że jest bratem jednego z pasażerów i pragnie przekazać wiadomość o umierającym rodzicu. Usłużna recepcjonistka zapewniła go, że przekaze informację do kabiny B123 - ten numer Hali wybrał przypadkowo. Pasażer nie oddzwonił, ale to o niczym nie świadczyło, ponieważ mógł już stracić oboje rodziców i uznać podaną informację za okrutny żart. Juan nie chciał wywoływać innych pasażerów pod tym samym pretekstem, ponieważ recepcjonistka nabrałaby podejrzeń.

„Oregon” miał okazały arsenał broni i najlepszy system łączności na morzu, ale ludzie na jego pokładzie mogli tylko czekać - czekać, aż dotrą w pobliże Eos z nadzieją, że nadarzy się jakaś okazja. Max potrafił umykać porywaczom wystarczająco długo, żeby zdążyć wysłać wiadomość. Ten szczywany wyga może jeszcze wymyśli kilka innych trików. Juan musiał być gotowy udzielić mu pomocy, gdyby zaszła taka potrzeba.

I jeszcze Mark i Linda. Juan nie miał pojęcia, jakie wydarzenia rozegrały się na „Golden Sky”. Z tego, co wiedział, zostali wykryci jako pasażerowie na gapę i zamknięci w jakimś pomieszczeniu na statku - Juan nie miał wątpliwości, że Severance wpuścił tam wirusa. Juan i jego zespół ciągle nie rozgryźli, co Max miał na myśli, informując, że to, co wyrządza ludziom wirus, jest gorsze od śmierci. Teraz nie miało to znaczenia. Jeśli nie uda im się zniszczyć nadajnika, dwoje z jego najważniejszych współpracowników znajdzie się w pierwszej grupie wystawionej na działanie wirusa.

Juan wklepał polecenie do komputera. Z monitora zniknęły galopujące sekundy cyfrowego zegara. Pędziły z przysiębiającą prędkością. Juan nie chciał już ich więcej obserwować. Do przypomnienia,

że czas ucieka, wystarczył wskaźnik minut.

- FBI najechało nasz dom w Beverly Hills - powiedział Thom Severance, wpadając do podziemnego mieszkania Lydella Coopera. Widać było, że ogarnęła go panika, głos mu się załamywał.

Cooper odpoczywał na kanapie. Teraz opuścił stopy na podłogę.

- Co takiego?

- FBI najechało mój dom, naszą kwaterę główną. Kilka minut temu. Sekretarce udało się dodzwonić na mój telefon satelitarny. Mają nakaz przeszukania i konfiskaty wszystkich naszych dokumentów finansowych oraz list członków. Również nakaz aresztowania Susan w związku z podejrzeniami o przestępstwa podatkowe. Bogu dzięki, że Susan wyjechała z siostrą do naszego domku w Big Bear, ale to tylko kwestia czasu, aż ją znajdą. Co mamy robić, Lydell? Dobierają się do nas. Wszystko wiedzą.

- Uspokój się! Niczego nie wiedzą. FBI stosuje swoje gestapowskie metody, żeby nas zastraszyć. Gdyby znali nasz plan, zaaresztowaliby wszystkich w Kalifornii i w porozumieniu z władzami tureckimi zrobiliby najazd na ten obiekt.

- Ale wszystko się rozpada. Mam takie przeczucie. - Severance usiadł ciężko na krześle i zasłonił twarz dłońmi.

- Opanuj się. Nic takiego się nie stało.

- Łatwo ci mówić - wyrzucił z siebie jak nadąsane dziecko. - To nie ciebie chcą aresztować. Ty kryjesz się w cieniu, a ja biorę wszystko na siebie.

- Thom, do cholery, posłuchaj. FBI nie ma pojęcia, co usiłujemy osiągnąć. Może mają jakieś podejrzenia, że coś knujemy, ale nie wiedzą co. To z ich strony... jak to się mówi?... rajd rozpoznawczy. Wydali standardowy nakaz, żeby przejrzeć nasze dokumenty w nadziei, że znajdą coś, co nas obciąży. Obaj wiemy, że nic takiego nie ma.

- Od początku dbaliśmy o to, by nasze papiery były czyste - kontynuował Cooper. Responsywiści to organizacja non profit, więc nie płacimy żadnych podatków, ale regularnie składamy sprawozdania finansowe do urzędu skarbowego. Jeśli ani ty, ani Susan nie zrobiliście jakiegoś głupstwa, na przykład nie zapłaciliście podatku dochodowego od zarobków, jakie są wam wypłacane, to oni nic na nas nie mają. Płaciliście podatek dochodowy, prawda?

- Oczywiście.

- Więc przestań się martwić. W domu nie powinno być niczego, co mogłoby ich tu zaprowadzić. Mogą odkryć, że prowadziliśmy przedsiębiorstwo na Filipinach, ale możemy wyjaśnić, że to klinika planowania rodziny i że nie przyciągnęła żadnych pacjentów, więc ją zamknęliśmy. Nikogo nie powinno to zdziwić, bo Filipińczycy są przeważnie katolikami.

- Ale sam czas nalotu tuż przed datą wypuszczenia wirusa?

- Czysty przypadek.

- Myślałem, że nie wierzysz w przypadki.

- Nie wierzę, ale akurat teraz mam pewność. FBI po prostu nic nie wie. Thom, uwierz mi. - Ponieważ na twarzy Severancea nie pojawiło się odprężenie, Cooper ciągnął dalej: - Posłuchaj, co powinniśmy zrobić. Wydamy oświadczenie prasowe, domagając się, żeby natychmiast wycofano te oszczercze oskarżenia, i stwierdzimy, że działania FBI naruszają twoje prawa osobiste i obywatelskie. To czyste nękanie, a ty już przygotowujesz pozew cywilny przeciw Departamentowi Sprawiedliwości. Wiesz, o czym mówię. Helikopter, którym tu przewoziliśmy personel, ciągle jest na wyspie. Polecę do Izmiru, gdzie czeka odrzutowiec. Powiedz Susan, żeby wyjechała z Kalifornii. Spotkam się z nią i z jej siostrą w Phoenix i przywiozę je tutaj. Przenosiny do bunkra planowaliśmy tuż przed tym, nim wirus da o sobie znać, ale kilka miesięcy wcześniej nie robi różnicy. Gwarantuję, że potem te fałszywe oskarżenia przeciwko tobie spadną na sam dół listy priorytetów władz federalnych.

- A rozesłanie komunikatu?

- Ten zaszczytny obowiązek zostawiam tobie. - Cooper przeszedł przez pokój i położył sękatą dłoń na ramieniu Severancea. - Wszystko będzie w porządku, Thom. Twój Kovac zlikwiduje tych, którzy zabili Zacha Raymonda na „Golden Sky”, i za parę godzin wszystkie nasze grupy będą gotowe do wypuszczenia wirusa. Jesteśmy tu. To nasza wielka chwila. Nie przejmuj się absurdalnym nalotem, dobrze? Zrozum, nawet jeśli zajmą dom i wszystko wewnątrz, nasz ruch już i tak osiągnie wielki sukces. Nie mogą nam tego odebrać i na pewno nie zdołają nas powstrzymać.

Severance spojrział na teścia. Czasami odczuwał zmieszanie, patrząc na twarz człowieka w średnim wieku i wiedząc, że jest to mężczyzna po osiemdziesiątce. Lydell był dla niego kimś więcej niż teściem. Był mentorem, siłą napędową sukcesów Thoma. Cooper odsunął się u szczytu kariery, by ochraniać z zewnątrz swoje dzieło. Odrzucił własną tożsamość, żeby doprowadzić ich do tego etapu.

Nigdy przedtem nie wątpił w Coopera i choć czasami dręczyły go nie w pełni uświadomione wątpliwości, ufał ich wzajemnym relacjom bardziej niż swojej intuicji. Podeszedł do Coopera i delikatnie położył rękę na jego obciążonej rękawiczką, wykrzywionej artretyzmem dłoni.

- Wybacz, że swoimi błahymi obawami zakłócam realizację naszego celu. Jakie znaczenie może mieć to, że mnie aresztują? Wirus zostanie uwolniony i rozprzestrzeni się na kuli ziemskiej. Skończy się plaga przeludnienia i, jak przedtem powiedziałeś, ludzkość wkroczy w nowy Złoty Wiek.

- Z czasem uznają nas za bohaterów - stwierdził Cooper. - Będą nam wznosić pomniki za to, że mieliśmy odwagę zastosować najbardziej humanitarne rozwiązanie problemu.

- Czy nigdy nie przyszło ci do głowy, że, przeciwnie, będą nas nienawidzić za to, że tylu ludzi zostało bezpłodnych?

- Jasne, jednostki będą nas nienawidzić, ale ludzkość jako całość zrozumie, że ten radykalny krok jest konieczny. Już to dostrzegają w dyskusji na temat globalnego ocieplenia. Taka sytuacja nie może trwać dłużej. Możesz spytać, jakie akurat my mamy prawo to robić. - Oczy Coopera błysnęły. - Odpowiem ci, że to prawo daje nam nasze racjonalne myślenie.

- Robimy to dlatego, że mamy rację - ciągnął. - Nie ma alternatywy. Zastanawiam się, czy Jonathan Swift rzeczywiście traktował swój utwór jako satyrę, gdy pisał *Skromną propozycję* w 1729 roku. Widział, jak Anglię zalewa fala bezdomnych młodych uliczników, i przewidywał, że kraj popadnie w ruinę. Żeby się ratować, zaproponował ni mniej, ni więcej tylko zjedanie dzieci, a wtedy problem zniknie. Osiemdziesiąt lat później Thomas Malthus opublikował słynny esej na temat wzrostu demograficznego. Wzywał do moralnych ograniczeń, mając na myśli dobrowolną wstrzemięźliwość seksualną, by zredukować lawinowo rosnącą liczbę ludności.

To oczywiście nie mogło być skuteczne i nawet teraz, gdy są dostępne tanie środki antykoncepcyjne, ludzi na świecie jest coraz więcej. Mówiłem, że zmiany są konieczne, ale ludzie się nie zmieniają. Dotychczas tego nie zrobili, więc do diabła z nimi. Jeśli nie potrafią pohamować instynktu prokreacyjnego, ulegną swojemu instynktowi samozachowawczemu i zbawię planetę, likwidując połowę następnej generacji.

Głos Coopera zamienił się w ostry syk.

- A, prawdę mówiąc, czy powinniśmy się przejmować, że nieliczne rzesze brudasów nas nienawidzą? Jeśli są zbyt głupi, żeby zrozumieć, że ich postępowanie prowadzi do zguby, to co nas obchodzi ich opinia? Jesteśmy jak pasterz trzebiący stado. Czy według ciebie przejmuję się tym, co sądzi reszta owiec? On lepiej wie, co należy robić. I my lepiej wiemy.

Eric miał zbyt ściśnięty żołądek, by zjeść tradycyjne śniadanie astronauty - stek i jajka. Nie denerwował się lotem suborbitalnym. Przeciwnie, nie mógł się go doczekać. Ale tak obawiał się porażki, że doznał skurczu mięśni, a usta miał suche jak pustynia otaczająca hangar. Doskonale wiedział, że czeka go najważniejsza misja w jego karierze i bez względu na to, czego jeszcze dokona w przyszłości, nic jej nie przebijie. Niebawem nastąpi decydujący moment w jego życiu, gdy los ludzkości będzie leżał w jego rękach.

Jakby tego było mało, cały czas myślał o tym, że Max Hanley utkwiał na wyspie Eos.

Podobnie jak Mark Murphy, Eric dzięki inteligencji szybko osiągnął sukces, ale nie miał czasu dojrzeć. Mark swoją niedojrzałość maskował pod przykrywką buntownika - nosił długie włosy, słuchał głośnej muzyki i udawał, że lekceważy autorytety. Eric nie miał tak silnej osobowości. Był nieśmiały i źle się czuł w towarzystwie ludzi, więc nic dziwnego, że zawsze potrzebował duchowego wsparcia. W liceum jego mentorem był nauczyciel fizyki, w akademii w Annapolis - asystent z angielskiego, z którym nawet nigdy nie miał zajęć. Gdy powołano Erica do wojska, nie znalazł tam żadnego opiekuna - struktura wojska nie przewidywała podobnych zależności - i Eric postanowił wystąpić z armii po odsłużeniu wymaganych pięciu lat.

Eric o tym nie wiedział, ale jego ostatni dowódca szepnął słówko Hanleyowi, swojemu staremu przyjacielowi, że Stone będzie się znakomicie nadawał do Korporacji. Gdy Max mu to zaproponował, Eric prawie natychmiast zgodził się przystąpić do organizacji. W dawnym dowódcy szybkich łodzi patrolowych rozpoznał cechy, które doceniał u swoich poprzednich nauczycieli. Max prezentował spokojną, niezachwianą postawę i nieskończoną cierpliwość i wiedział, jak zająć się ludźmi utalentowanymi. Powoli kształtował w Ericu mężczyznę, jakim ten zawsze chciał być.

Martwiąc się o przyjaciela, Eric nie mógł jeść, a minionej nocy spał niespokojnie. Jego dzisiejszy sukces może się przyczynić do śmierci człowieka, który znaczył dla niego więcej niż rodzony ojciec.

- Dobrze się czujesz, synu? - spytał go Jack Taggart, gdy wkładali skafandry lotnicze w szatni za biurkiem w hangarze. Kabina samolotu kosmicznego była hermetyczna, więc skafandry nie różniły się zbyt od zwykłych buro-oliwkowych kombinezonów. - Jesteś blady jak śmierć.

- Sporo spraw mnie niepokoi, pułkowniku - odparł Eric.

- No, tylko się nie zamartwiaj lotem - uspokoił go były pilot promu kosmicznego. - Dostarczę nas tam i z powrotem, bez problemu.

- Muszę szczerze przyznać, że najmniej martwię się o sam lot. Do pomieszczenia wsadził głowę jeden z techników.

- Panowie, ruszcie się. Kierownik lotu chce, żeby Kanga wyruszył za dwadzieścia minut.

- Więc zaczynajmy - powiedział Taggart, wyjmując hełm z szafki.

W wąskim samolocie kosmicznym Roo za miejscem pilota znajdowały się dwa odchylane fotele. Ranne godziny Eric poświęcił mocowaniu swojego komputera i nadajnika do jednego z nich. Teraz

usiadł na drugim, odsunął ręce od klatki piersiowej, a obsługa zapinała mu pasy tak starannie, jakby był kierowcą rajdowym. Nad głową miał dwa małe okna, przez które widział brzuch statku matki. Z lewej i z prawej strony też były małe okna. Przed nim siedział Taggart i rozmawiał z kierownikiem lotu Rickiem Butterfieldem.

Eric wpiął hełm do portu komunikacyjnego i czekał na przerwę w konwersacji Taggarta, żeby sprawdzić łączność radiową na częstotliwości lotu, zanim przełączy się na inną częstotliwość, ale cały czas w jednym uchu słyszał pilota.

- Elton, tu John, jak mnie słyszysz? Odbiór. - Hali Kasim wybrał kryptonimy z piosenki Eltona Johna Rocket Man.

- John, tu Elton. Słyszę cię znakomicie. Odbiór.

- Elton, przygotuj się do odbioru danych z pomiarów telemetrycznych na mój sygnał. Trzy, dwa, jeden, już. - Eric nacisnął klawisz laptopa, żeby Hali mógł monitorować lot i rosyjskiego satelitę w czasie rzeczywistym z pokładu „Oregona”. Zainstalował nawet kamerę internetową, żeby załoga na statku widziała to, co on ogląda.

- John, sygnał wygląda dobrze. Odbiór.

- W porządku, za jakieś dziesięć minut rozpoczynamy pokaz. Będę cię na bieżąco informował. Odbiór.

- Zrozumiałem. Powodzenia. Odbiór.

Wielka brama hangaru otworzyła się ze szcękaniem i wewnątrz zalało czerwone poranne światło. Spora grupa robotników wypchnęła Kangę na płytę lotniska. Na skraju pasa startowego stała rozklekotana przyczepa kempingowa pełniąca funkcję centrum kontroli lotu. Jej dach naszpikowano antenami oraz zamontowano na nim parę anten radarowych, które się teraz obracały.

- Jak ci jest tam z tyłu? - krzyknął Taggart przez ramię.

Nim Eric zdążył odpowiedzieć, dwa silniki turbodoładowane zamontowane na wierzchu kadłuba Kangi zawyły, budząc się do życia. Taggart powtórzył pytanie przez radio, ponieważ zrobiło się zbyt głośno na bezpośrednią rozmowę.

- Mam lekki dreszczyk emocji - przyznał Eric.

- Pamiętaj, że na twojej konsoli rozbłyśnie czerwone światło, gdy będzie dziesięć sekund do końca działania silników. Zmieni się na żółte, gdy zostanie pięć sekund, i na zielone, gdy silnik się wyłączy. I wtedy znajdziemy się na wysokości mniej więcej stu dwudziestu kilometrów, ale gdy tylko silnik stanie, natychmiast zaczniemy opadać. Więc załatw sprawę szybko.

- Rozumiem.

- Ruszyliśmy - ogłosił Taggart, kiedy Kanga rozpoczął kołowanie.

Niezdarny samolot matka o opuszczonych skrzydłach wyjechał na pas startowy i ostro zakręcił, ustawiając się na linii centralnej. Natychmiast zaczął przyspieszać, silniki wyły z pełną mocą. Skonstruowany tylko po to, by wynieść Roo na wysokość jedenastu i pół kilometra, skąd podwieszony Roo miał startować, Kanga nie był najbardziej dynamicznym samolotem. Potrzebował niemal całego pasa, nim się poderwał i zaczął się systematycznie wznosić. Przez boczne okno Eric widział jego dziwaczny cień mknący po porośniętej krzaczkami pustyni. Wyglądał jak obiekt z filmu fantastycznonaukowego.

Godzinę zajęło mu osiągnięcie potrzebnej wysokości. Eric w tym czasie ponownie sprawdzał swój sprzęt. Taggart siedział cicho w fotelu i bawił się symulacją lotu na konsoli do gier.

Według harmonogramu Erica mieli dziesięć minut wyprzedzenia, więc samolot wykonywał na

niebie leniwe ósemki. Wysoko nad nimi szybko nadlatywał radziecki satelita. W odróżnieniu od Międzynarodowej Stacji Orbitalnej, która krążyła po orbicie nad równikiem, satelita z orbitalnymi pociskami balistycznymi oblatywał kulę ziemską od bieguna do bieguna. A ponieważ Ziemia się pod nim obracała, w czternastodniowym cyklu znajdował się nad każdym punktem na planecie. Obecnie przelatywał nad Wyoming, przebywając w ciągu sekundy niemal osiem kilometrów. Aktualna trajektoria oznaczała, że satelita nie przybędzie nad wyspę Eos przez najbliższy tydzień, dlatego jeden z sygnałów, jaki Eric musiał wysłać, zawierał rozkaz odpalenia raket manewrujących i zmiany wektora lotu. Jeśli wszystko pójdzie zgodnie z planem, satelita znajdzie się w zasięgu celu i odpali jeden z pocisków za mniej niż osiem godzin.

- Minuta do rozłączenia - usłyszał Eric zapowiedź Butterfielda. - Wszystkie panele zielone.

- Ziemia, potwierdzam. Sześćdziesiąt sekund.

Zegar na konsoli Erica zaczął odmierzać czas do tyłu, a cyfrowy prędkościomierz na desce rozdzielczej zatrzymał się na sześciuset czterdziestu kilometrach na godzinę.

- Trzydzieści sekund... dziesięć... pięć, cztery, trzy, dwa, jedna. Oddzielanie.

Pilot samolotu matki zwolnił dźwignię, która mocowała Roo pod brzuchem Kangi. Przez kilka chwil szybkoiec kosmiczny spadał swobodnie, żeby oddalić się od Kangi, potem Taggart uruchomił silnik raketowy na paliwo ciekłe.

Eric odczuł to tak, jakby równocześnie zaatakowano wszystkie jego zmysły. Wycie silnika było jak ryk wodospadu, przy którym się stoi na dole; miał wrażenie, że ktoś wymierza mu ciosy w klatkę piersiową. Wibracje kadłuba zmusiły Erica do kurczowego uchwycenia podłokietników, a równocześnie został wciśnięty w fotel, jakby uderzony olbrzymią pięścią. Ciało dygotało wewnątrz skóry, czuł się, jakby ktoś szorował go papierem ściernym. Usta mu wyschły wskutek dawki adrenaliny uwolnionej do krwi. Z wysiłkiem skupiając wzrok na prędkościomierzu, zobaczył, że w parę sekund zbliżają się do prędkości dźwięku.

Przyspieszenie przygwoździło go do fotela, gdy Taggart wzniósł dziób maszyny, a wibracje gwałtownie się zwiększały. Eric obawiał się, że kadłub rozpadnie się w powietrzu. I wtedy pokonali barierę dźwięku. Wibracje zmniejszyły się i choć nadal czuł siłę ciągu silnika, ponieważ lecieli szybciej, niż rozchodził się dźwięk jego gardłowego warczenia, zrobiło się wyraźnie ciszej.

Minutę po włączeniu silnika osiągnęli wysokość ponad trzydziestu kilometrów i Eric w końcu przyzwyczał się do warunków jazdy. Akcja serca zwolniła i przez chwilę napawał się dziką mocą kosmicznego szybowca.

Wskaźnik prędkości dotarł do trzech tysięcy dwustu kilometrów na godzinę, a oni nadal przyspieszali. Eric spojrzął nad głowę i zobaczył, że niebo gwałtownie pociemniało, gdy mknęli w górę poza atmosferę. Jakby za magicznym dotknięciem pojawiły się gwiazdy, początkowo blade, ale coraz bardziej jaśniejące. Nigdy nie widział aż tylu gwiazd tak wyraźnie. Nie mrugały, bo ich światło nie przechodziło przez atmosferę ziemską. Świeciły stałym światłem, a było ich coraz więcej. Wreszcie wydawało się, że przestrzeń utworzona jest ze światła, a nie z mroku.

Wydawało mu się, że gdyby wyciągnął rękę, mógłby ich dotknąć.

Wskaźnik przed nim nagle zamigał czerwono. Trudno mu było uwierzyć, że cztery minuty minęły tak szybko. Pokonując siły przyspieszenia, przesunął dłoń nad laptop.

- Dziesięć sekund - zakomunikował na częstotliwości monitorowanej przez „Oregon”. Jeśli Hali odpowiedział, to jego odpowiedź zagłuszył hałas rakiety.

Wysokościomierz ciągle pokazywał rozmazaną plamę coraz większych liczb. Dotarli do stu

dwudziestu kilometrów, gdy lampka zaświeciła na żółto i przez ostatnich pięć sekund wzniesli się jeszcze na półtora kilometra. Wskaźnik zmienił się na zielony, gdy osiągnęli sto dwadzieścia dwa kilometry.

Eric wklepał do komputera komendy, gdy silnik raketowy zużył ostatnie porcje paliwa i zamilkły zasilające go pompy wirowe. Przyspieszenie, które wciskało go w fotel, nagle ustąpiło i cisza zadzwoniła mu w uszach. Znalazł się w stanie nieważkości. Często doświadczał tego przez ułamki sekundy podczas opadania na łeb, na szyję w wagoniku karkołomnej kolejki w parku rozrywki, a także podczas kilku lotów z Tiny Gundersonem, gdy się wygłupiali. Tym razem doznanie było inne. Znajdowali się na granicy kosmosu i nie bawili się z grawitacją, lecz znajdowali się niemal poza jej zasięgiem.

W kokpicie Jack Taggart uruchomił silowniki - podniosły całe skrzydło, które tworzyło kąt z kadłubem. Dodatkowy opór atmosfery i dynamika nowej konfiguracji sprawiły, że samolot zachowywał się niezwykle stabilnie, schodząc długim ruchem ślizgowym z powrotem na lotnisko w pobliżu Monahans w Teksasie.

- I jak było? - spytał.

- Za chwilę.

Taggart podejrzewał, że Eric źle się czuje, więc odwrócił się, by na niego spojrzeć, ale Stone skoncentrował uwagę na swoim komputerze. Chłopak miał okazję jedynej w życiu przejażdżki, a jednak od razu zabrał się do pracy. Taggart podziwiał jego obowiązkowość i przypomniał sobie swoją pierwszą misję na promie kosmicznym: przez pierwszą godzinę nie był w stanie robić nic innego, jak tylko patrzeć przez okno.

- Powtórz to, Elton. Odbiór.

- Mówiłem, że dostaliśmy potwierdzenie namiarów pokładowych ptaka. Odpalił swoje silniki korekcyjne i zmienia orbitę. Komputery celownicze są on-line i sprawdzają listę kontrolną przed wystrzeleniem. Gratulacje! Udało ci się!

Eric nie wiedział, czy chce krzyczeć z radości, czy płakać. W końcu poprzestał na cichej satysfakcji z tego, że plan się powiódł. Musiał wyrazić uznanie Rosjanom. Jeśli chodzi o ich program kosmiczny, znali się na rzeczy. Gdy NASA kultywowała eleganckie wyrafinowanie, Sowieci postawili na prostotę i zwykłą siłę i w rezultacie tworzyli rzeczy trwałe. Ich stacja kosmiczna Mir pozostawała na orbicie dwukrotnie dużej, niż początkowo planowano. Gdyby nie brak funduszy, nadal by tam krążyła.

- Zrozumiałem. Wyłączam się.

- No i? - spytał Taggart.

- Zadziałało. Przejęliśmy kontrolę nad rosyjskim satelitą.

- Nie o to pytałem. Chcę wiedzieć, co myślałeś o locie.

- Pułkowniku, to było moje najbardziej zadziwiające przeżycie - odparł Eric. Czuł, jak powoli jego ciało odzyskuje ciężar. Żołądek sadowił się z powrotem na swoim miejscu.

- Wiem, że to nie zostanie zarejestrowane w księgach, ale żebyś wiedział: pobiliśmy rekord wysokości. Nasze loty komercyjne ograniczymy do stu kilometrów, więc ten rekord utrzyma się przez pewien czas.

Eric zaśmiał się w duchu: Murphy będzie mu zazdrościł, a na Janni jego wyczyn wywrze wielkie wrażenie. Ale ledwo ta myśl pojawiła się w jego głowie, uśmiech zamarł mu na ustach. Eric znów przypomniał sobie, jaki los czeka Maksa Hanleya.

Max łamał sobie głowę, obmyślając sposób wydostania się z podziemnej fortecy. Znalazł tylko jedno rozwiązanie. Podczas późnowieczornego wypadu odkrył potrójne stráže na klatce schodowej prowadzącej do garażu i wiedział, że nie uda mu się ich wykiwać. Kovac zmienił jego twarz w opuchłą miazgę i gdyby strażnicy go zobaczyli, od razu wzbudziłby w nich podejrzenie.

Nie mógł wydostać się przez drzwi frontowe, więc musiał się przemknąć tyłem.

Opuścił kryjówkę w szafie ściiennej w skrzydle zarządu i przeszedł do hali generatorów. Minął kilka osób, dokładnie ukrywając twarz. Skręcił za rogiem najbliższym pomieszczenia, gdzie silniki odrzutowe napędzały turbiny, zasilające w prąd cały kompleks, i przekonał się, że tutaj Kovac również rozstawił stráže. Max miarowym, równym krokiem przemierzył korytarz. Strażnik - dwudziestoletni może młodzik w granatowym mundurze typu policyjnego z pałką za pasem - cały czas patrzył na niego.

- Jak leci? - zawołał Max jowialnie z odległości trzech metrów. - Tak, wiem, że mam twarz jak hamburger. Banda antyaborcyjnych fanatyków naskoczyła na mnie na wiecu w Seattle. Dopiero co tu przyjechałem. Piękne miejsce, no nie?

- Tu nie można wchodzić, chyba że ma pan specjalną przepustkę. - Chłopak usiłował przydać autorytetu swojemu głosowi, obniżając go nieco, ale w zasadzie nie wykazywał nieufności.

- Naprawdę? Dotychczas wydano mi tylko to. - Max wyciągnął z kieszeni kombinezonu swoje dwie ostatnie butelki wody. - Proszę.

Nie podał butelki chłopakowi - żeby mu dać okazję do odmowy - ale rzucił mu jedną. Strażnik złapał ją niezręcznie i spojrzał gniewnie na Maksa. Ten uśmiechnął się do niego głupekowato, odkręcił kapsel swojej butelki i wznosił ją jak w toaście.

Etykieta i pragnienie przeważały u chłopaka nad jego krótkim treningiem do funkcji ochroniarza. Podważył kapsel butelki i odpowiedział Maksowi tym samym gestem. Podniósł butelkę do ust, odchylił głowę, by pociągnąć łyk. Max zaatakował jak szermierz olimpijski: usztywnionymi palcami prawej dłoni celował prosto w miękką nasadę szyi.

Woda chlusnęła z ust chłopaka, gdy zamknęły się jego drogi oddechowe. Nie mógł odkaszlnąć. Wydał z siebie gulgoczący dźwięk i chwycił się za gardło w desperackiej próbie nabrania powietrza. Max położył go silnym sierpowym w szczękę - strażnik padł na podłogę. Max pochylił się, by sprawdzić oddech. Strażnik był nieprzytomny, więc przestał gwałtownie oddychać i mógł nabrać trochę powietrza przez uszkodzone gardło. Przeżyje, ale przez resztę życia jego głos pozostanie chropawym szeptem.

- Na twoim miejscu poprosiłbym o zwrot pieniędzy za trening w tej szkole dla ochroniarzy, do której chodziłeś.

Max otworzył drzwi hali generatorów. Sterownia była pusta i na podstawie wskazań na pulpitych ocenił, że tylko jeden silnik odrzutowy produkuje prąd. Wepchnął chłopaka pod metalowe biurko i plastikowymi kajdankami przypiął jego przeguby do nogi biurka. Nie musiał się martwić o knebel.

Hanley zastanawiał się, czy nie uszkodzić silników, pozbawiając responsywistów możliwości transmisji sygnału, ale uznał, że to strata czasu. Wiedział, że w części kompleksu, której nie widział, składują naładowane baterie zapasowe, więc nadal byliby w stanie wysyłać przekaz. Gdyby w jakiś sposób udało mu się znaleźć i zniszczyć baterie, i tak niewiele to by opóźniło ich akcję, bo szybko naprawiliby szkody. Zyskałby może kilka godzin lub dni, ale zdradziłby swoją obecność. Dotychczas nie znaleźli go grasującego w kwaterze, ponieważ uważali, że albo już nie żyje, albo skutecznie kryje się przed nimi na zewnątrz. Gdyby się tylko zorientowali, że sabotażysta jest w bunkrze, strażnicy przeczesaliby kompleks centymetr po centymetrze, aż wreszcie by go dopadli.

Wyobrażał sobie, jak bolesną śmierć zgotowałby mu Kovac.

Max był pewien, że Cabrillo dostał wiadomość, i bezwarunkowo ufał prezesowi, że ten wymyślił jakiś sposób zniszczenia nadajnika na długo przed ewentualnym wysłaniem sygnału przez Severancea. Porzucił więc pomysł dokonania sabotażu i skupił się na planie ucieczki.

Cztery silniki stały obok siebie w rzędzie; grube przewody dostarczały im powietrza z jednej strony, z drugiej wielkie rury odprowadzały spaliny. Rury biegingy do przeciwległej ściany, ale tuż przed opuszczeniem hali łączyły się i na zewnątrz wychodził już tylko jeden olbrzymi szyb. Tuż za połączeniem rur znajdował się wymiennik ciepła, chłodzący gazy opuszczające kompleks. Pobór powietrza zaprojektowano w lustrzany sposób: pojedynczy przewód wchodził z zewnątrz do elektrowni i tam rozgałęział się do czterech oddzielnych turbin. Max wolałby tamtą drogę, ale komory powietrzne znajdowały się trzy metry nad ziemią i nie można się było do nich dostać bez rusztowania.

- Jeśli to okazało się dobre dla Juana, będzie dobre dla mnie - powiedział cicho, przypominając sobie ucieczkę Cabrillo z „Golden Dawna”.

Na stole z tyłu sterowni znalazł narzędzia i tłumiki na uszy. Otworzył drzwi do głównej hali elektrowni. Z zasłoniętymi uszami wycie silników dawało się znieść. Nim zabrał się do pracy, zajrzał do charakterystycznej czerwonej szafki. Musiał wykorzystać jej zawartość, w przeciwnym razie zginąłby podczas próby ucieczki.

Każda z czterech rur miała włącz inspekcyjny zabezpieczony śrubami. Max zaczął usuwać trzycalowe śruby, pilnując, żeby żadna się nie odtoczyła. W wieku dziesięciu lat rozebrał pierwszy w życiu silnik i nigdy nie stracił zamięłowania do mechaniki. Teraz pracował sprawnie i skutecznie. Jedną śrubę zostawił na miejscu, ale obluźował ją, by włącz mógł się na niej obrócić. Choć silnik, od którego biegła ta rura wydechowa, nie pracował, wyziewy z rury spowodowały, że oczy Maksa zaczęły łzawić.

W sterowni z szuflady z częściami zapasowymi wziął garść krótkich, grubych śrub. Były odrobinę za małe do tych nagwintowanych otworów, ale przy pobieżnym oglądzie nikt tego nie zauważył. Gdy turbina zostanie odpalona, ciśnienie wyrwie je z pokrywy włączu i polecą jak kule, ale to już nie był problem Maksa. Odniósł narzędzia do sterowni i sprawdził, czy nieprzytomny strażnik nadal oddycha.

W czerwonej szafce znajdował się sprzęt gaśniczy - siekiery, czujniki ciepła i, co najważniejsze, butle z powietrzem i maski. Ponieważ potencjalny pożar w hali prądnic byłby najprawdopodobniej podsycany paliwem lotniczym z silników odrzutowych, w szafce przechowywano dwa srebrzyste, jednocześnie metaliczne skafandry z kapturami, mające chronić ludzi przed żarem.

Max zauważył je podczas pierwszej wyprawy do hali generatorów i właśnie dzięki temu odkryciu w jego umyśle zarysował się plan ucieczki. Od jednego ze skafandrów odciął kaptur i

wsunął się do wnętrza, a na to włożył drugi skafander. W ten sposób całe ciało poza głową miało podwójną ochronę. W butach skafandra, choć ciasnych, wystarczyło jednak miejsca na stopy. Zaniósł dwie butle powietrza do otwartego wjazdu. Poruszał się niezgrabnie niczym robot ze starego filmu science fiction. Z butli odchodziły węże, których końcówki wtykało się bezpośrednio do zaworu w skafandrze, umieszczonego na poziomie bioder. Chętnie by wziął dodatkowy zapas powietrza, ale nie był pewien, czy jego obite ciało zdołałoby unieść zwiększony ciężar.

Wsunął butle do rury i sam się za nimi wspiał. Było bardzo ciasno, ale spodziewał się, że po przecięnięciu się przez połączenie rur napotka większy luz. Leżąc na plecach, obrócił pokrywę wjazdu, zamknął ją i częściowo wkręcił jedną z usuniętych śrub, co umocowało pokrywę.

Zahermetyzował zewnętrzny kaptur skafandra i otworzył zawór butli. Zaczepnął powietrza. Miało zatęchły, metaliczny posmak. Max nie wiedział, jak daleko biegnie rura przed wynurzeniem się na powierzchnię ani co go tam czeka, ale nie miał innego wyjścia - musiał rozpocząć wspinaczkę.

Pchając butle przed sobą, posunął się kilkanaście centymetrów. W rurze panowała tak głęboka ciemność, że Maksowi wydała się towarzyszącą mu istotą. Z kolei wycie wirującej turbiny odbijało się w mózgu wielokrotnym echem.

Odczuwał niezbyt dotkliwy ból w klatce piersiowej, niedający mu jednak zapomnieć o cięgach, jakie niedawno dostał. Wiedział, że za chwilę zacznie się prawdziwa męka. Ból to tylko odwrócenie uwagi, jak powiedział kiedyś Lincoln podczas treningu SEAL. W ten sposób twoje ciało komunikuje ci, żebyś przestał wykonywać jakąś czynność. Ale chociaż ciało wysyła informacje, nie znaczy to, że masz się go słuchać. Ból można zignorować.

Przesunął się nad żebrami wymiennika ciepła i przepchnął dalej do złączki, gdzie schodziły się cztery rury. Nawet chroniony przez skafander, czuł gorący powiew, jakby stał przy otwartych drzwiach szklarskiego pieca. Żar znacznie się wzmoże w głównym kanale. Źródło gazów znajdowało się w odległości dziesięciu metrów od niego i gazy przeszły już przez układ chłodzący, ale Max czuł się tak, jakby leżał bezpośrednio na obudowie silnika.

Wyrzucane gazy dęły z siłą huraganu. Gdyby Max nie miał skafandra i powietrza z butli, otruliby się tlenkiem węgla, a jego ciało spaliłoby się na popiół. Choć miał podwójną izolację termiczną, pot wyciekał z każdego poru jego ciała i Max miał wrażenie, jakby mu przypiekano stopy rozgrzanym prętem.

Główna rura miała prawie metr osiemdziesiąt średnicy i łagodnie wznosiła się w górę. Wkładając ognioodporną uprząż butli, przywarł do dna rury, by podmuch nie zwałił go z nóg. Gdy ostrożnie układał paski na ramionach, zjechała mu stopa, oparta na zapasowej butli. Strumień gorącego powietrza pochwycił butlę i pchnął ją w szybie, jakby była pociskiem karabinowym. Na tle upiornego wycia silnika Max słyszał, jak butla obija się o ściany rury.

Próbował iść, ale ciśnienie w plecy było zbyt wielkie. Stawiając kroki, niepewnie utrzymywał równowagę, której utrata groziła, że zostanie pchnięty w ślad zabłąkanej butli. Opadł na dłonie i kolana i zaczął pełznąć na ślepo. Nawet mimo specjalistycznego ubrania ochronnego żar spowodował powstanie pęcherzy na rękach i kolanach, a od ciężaru butli na plecach rozbolały go żebra. Max miał wrażenie, że w klatce piersiowej trze się potłuczone szkło.

W miarę jak się przesuwał coraz dalej, warstwa ziemi otaczająca rurę przejmowała znaczną część ciepła. Cały czas spaliny uderzały w jego plecy i nogi z taką samą siłą, ale przynajmniej już nie tworzyły się nowe pęcherze.

- Ból... można... zignorować - powtarzał w rytm przesuwania kończyn.

Juan kazał wystrzelić powietrzną dronę, gdy „Oregon” znalazł się w pobliżu wyspy Eos. George „Gomez” Adams sterował bezzałogowym statkiem z konsoli za fotelem Cabrillo. Tylko prezes i Hali trzymali pierwszą wachtę - tę obsadę Juan zawsze stosował, gdy groziły im potencjalnie niebezpieczne sytuacje, chociaż nie znaczyło to, że na statku nie ma równie kompetentnych osób. Po prostu zawsze wolał mieć swoich ludzi przy sobie. Eric, Mark i inni potrafili przewidzieć jego rozkazy, jakby czytali w jego myślach, co skracało o sekundy czas reakcji. Sekundy, które mogły decydować o życiu lub śmierci.

Eddie z Lincolnem i „psami myśliwskimi” przygotowywali w hangarze sztywne pontony. Na Eos znajdowała się tylko jedna przystań. Przypuszczali, że jest dobrze broniona, ale mogło to być jedyne miejsce desantu na wyspę. Film przekazywany z drony w czasie rzeczywistym miał im dać obraz tego, na jakie systemy zabezpieczenia mogą się natknąć. W basenie wypadowym zespół nurków przygotowywał nomadę 1000, na wypadek gdyby potrzebowali większej jednostki podwodnej z dwóch, jakimi statek dysponował, i szykowano butle i sprzęt dla dziesięcioosobowej podwodnej grupy szturmowej. Brygada konserwacji broni sprawdzała wszystkie karabiny na pokładzie „Oregona”, upewniając się, czy są czyste i czy mają pełne magazynki. Brygada naprawcza raportowała, że jest gotowa, a Julia czekała w ambulatorium, by w razie potrzeby nieść im pomoc.

Od akcji ratowania Kylea Hanleya Gomez i jego zespół w hangarze pracowali na podwójnych, a nawet potrójnych zmianach, usiłując przywrócić sprawność dzielnemu helikopterowi marki Robinson. Pilot helikoptera nie był zbyt zadowolony z wyników. Bez możliwości przeprowadzenia właściwych prób w ustalonych warunkach nie mógł gwarantować, że helikopter polecą. Poszczególne układy mechaniczne pracowały, ale nie mógł stwierdzić, czy będą współpracowały. Dźwig wyniósł helikopter na główny pokład i technik rozgrzał silnik do temperatury lotu, więc maszyna była gotowa do uruchomienia w pięć minut, ale Adams błagał Cabrillo, żeby użyć jej tylko w wariantcie ostatecznym - gdy okaże się to absolutnie konieczne.

Juan obserwował na głównym monitorze cyfrowy zegar odliczający czas. Została godzina i jedenaście minut na znalezienie Maksa i zabranie jego żaloznego tyłka z wyspy. W istocie mieli jeszcze mniej czasu. Gdy pocisk balistyczny uderzy w Eos, najprawdopodobniej powstanie wielka fala. Zgodnie z obliczeniami Erica będzie miała ograniczony zasięg, a topografia słabo zaludnionej zatoki Mondalay znacznie ograniczy jej wpływ, ale wszystkie statki w promieniu trzydziestu kilometrów od Eos czekała dzika jazda na fali.

„Oregon” znajdował się około dwudziestu kilometrów od wyspy, gdy na głównym monitorze powoli pojawiał się wyraźniejszy obraz z bezzałogowego UAV-a - szara bryła na iskrzącym się błękitem morzu, dzięki któremu ta część Turcji zyskała nazwę Turkusowego Wybrzeża.

George sterował dżojstikiem droną nad wyspą, mającą prawie trzynaście kilometrów długości. Urządzenie leciało na wysokości ponad dziewięciuset metrów i to wystarczyło, by silnik nie był z ziemi słyszalny, a również był prawie niedostrzegalny, ponieważ słońce szybko opadało na zachód. Eos to naga skała, porośnięta gdzieś tam karłowatymi sosnami. Skierował kamery drony na miejsce, gdzie responsywiści zbudowali bunkier, ale nic tam nie było widać. Z tej wysokości wszelkie wejścia wyglądały na dobrze ukryte i zdradzała je tylko wybrukowana droga kończąca się u podnóża niewielkiego pagórka.

- Hali, wyjmij kilka kadrów z tego przekazu i powiększ je - polecił mu Juan. - Może uda ci się znaleźć jakieś drzwi albo bramę na początku tej drogi.

- Już się robi.

- Dobrze, George, zrób obrót. Chcę sprawdzić plażę i przystań.

Adams, sterując dżojstikiem, zdalnie przechylił dronę i skierował ją nad morze, więc mógł się zbliżyć do przystani od strony słońca. Plaża miała zaledwie ze dwieście metrów. Nie pokrywał jej biały delikatny piasek, lecz rozbite i wygładzone przez morze odłamki skalne. Z obu krańców plaży wyrastały wysokie na trzydzieści metrów klify, otaczając ją z trzech stron. Skalne ściany wydawały się nie do zdobycia bez sprzętu alpinistycznego, a wspinaczka musiałaby trwać kilka godzin.

Przystań zlokalizowano pośrodku plaży - molo w kształcie litery L wychodziło w wodę na odległość ponad osiemnastu metrów, a przy jego końcu morskie dno opadało na tyle stromo, że mogły tu podpłynąć małe frachtowce przywożące sprzęt do budowy kompleksu. Grobla wyglądała solidnie, była wystarczająco szeroka dla koparek i betoniarek, które kiedyś tłoczyły się na wyspie. Budynek z blachy falistej stał w miejscu, gdzie molo przechodziło w drogę. Wokół płaskiego dachu biegła osłona i każdy, kto byłby tam z bronią, miałby otwarte pole ostrzału oraz niczym nie przysłonięty widok na morze. Za wartownią strażników zaparkowano pikap.

Zdjęcie ujawniało na dachu dwóch strażników, którzy obserwowali okolicę przez mocne lornetki. Przy boku mieli automatyczne karabiny. Dwóch innych przechadzało się po molo, a kolejnych dwóch patrolowało plażę.

Wszelkie kable łączności z głównym kompleksem zakopano w ziemi, więc nie było sposobu na ich przerwanie i odizolowanie wartowni. Juan przypuszczał, że to Zelimir Kovac zaplanował system zabezpieczeń i że na pewno wydał rozkazy, by przy pierwszej oznace czegoś podejrzanego zawiadomiono bunkier, który natychmiast będzie zamknięty.

- Przejdź na podczerwień - polecił.

Widok na monitorze się zmienił - niemal wszystkie szczegóły zniknęły z wyjątkiem obrazu termicznego strażników. Na szczycie każdego klifu widać teraz było grupy po dwóch strażników, których nie ujawnił obraz w zakresie promieniowania widzialnego.

- Jak ci się wydaje, co oznaczają te sygnały śladowe obok facetów na klifach? - spytał George.

- Chłodzą się małe silniki. Najprawdopodobniej quady podobne do tych, jakie mieli w Koryncie. Straszna frajda, jak się tym jedzie, jeśli nikt do ciebie nie strzela.

Cabrillo bardziej interesował się sygnałem emitowanym przez drogę. Jak wcześniej powiedział Eric, było to ciepło z wyziewów elektrowni. Doskonale udało im się zamaskować sygnaturę cieplną. Nawet dla najbardziej wprawnego oka wyglądało to tak, jakby droga promieniowała ciepło zakumulowane w ciągu dnia. Na obrazie termowizyjnym linia o przygaszonej pomarańczowej barwie ciągnęła się wzdłuż molo, a potem rozszerzała niemal na szerokość przystani.

Musi tam być dyfuzor, pomyślał, żeby dodatkowo maskować sygnaturę cieplną.

Juan nie widział żadnego śladu rozgałęzionego przewodu rurowego do pobierania powietrza.

Cabrillo nacisnął guzik interkomu, by porozumieć się z Eddiem i Lincolnem, którzy w hangarze dla łodzi obserwowali obrazy z rekonesansu powietrznego.

- Co o tym sądzicie?

Znał odpowiedź, nim usłyszał Eddiego:

- Skończy się to krwawą rzezią, a i tak nie ma gwarancji co do wyniku. Masz bardziej szczegółowe ujęcia miejsca, gdzie kończy się droga?

- Hali nad tym pracuje.

- Wysyłam na monitor - oznajmił Kasim.

Podrasowane zdjęcia ukazały się na monitorze i wszyscy zaczęli je dokładnie oglądać. Droga po prostu urywała się przy wzgórzu. Wiedzieli, że powinny istnieć drzwi, umożliwiające wejście, ale były zbyt dobrze ukryte.

- Zależnie od tego, jak są opancerzone, moglibyśmy je wysadzić - zaproponował Eddie bez wielkiego entuzjazmu.

- Nie wiemy, czy potrzeba do tego kilka deka C-4, czy pocisku manewrującego.

- Skorzystamy z nomada, żeby podpłynąć blisko brzegu, i spróbujemy zlokalizować wloty powietrza. Potrzebny nam palnik do wycięcia otworu w rurze, jak już się dostaniemy do wnętrza - stwierdził Eddie. - Żałuję, że nie mamy więcej czasu, bo moglibyśmy pracować po zmierzchu.

Trajektoria orbitalna rosyjskiego satelity dyktowała im czas ataku i nikt nie mógł na to nic poradzić. Juan znów spojrzał na zegar - liczby wskazujące godziny akurat skoczyły na zero.

- Co robią ci strażnicy na przystani? - spytał George, przestawiając kamery drony znów na częstotliwości widzialne.

- Wygląda na to, że się obijają- zauważył Juan zamyślony.

- Myślę, że coś może być w wodzie. Zawrócę dronę, żeby się lepiej przyjrzeć.

Bez światła Max w żaden sposób nie mógł określić, ile powietrza pozostało mu w butli, ale oceniał, że pełnie już dwadzieścia minut. Choć bardzo się starał oddychać jak najpłycej, wiedział, że zużywa cenne powietrze w zawrotnym tempie, a końca drogi nie było widać. Tunel przed nim wyglądał równie czarno jak odcinek za nim.

W ciągu dziesięciu minut oddychanie stanie się coraz trudniejsze. Zapas powietrza w butli się wyczerpywał. Wkrótce Max zacznie oddychać resztkami powietrza uwięzionego w skafandrze, a potem zacznie się dusić. Znaczną część życia spędził w morzu i zawsze uważał, że czeka go śmierć przez utonięcie.

Nigdy nie podejrzewał, że utonie w wirze trujących wyziewów silnika odrzutowego.

Zawzięcie posuwał się naprzód, pokonując jedną trzecią metra z każdym przesunięciem się na czworakach. Zewnętrzny skafander zwęglił się i odrywały się od niego strzępy materiału, zwłaszcza na kolanach. Na szczęście pojedyncza warstwa ochronna, która pozostała, z nawiązką spełniała swoje zadanie.

Kyle wyjdzie z tego, pomyślał. Był pewien, że Juan zrobi wszystko, by znów uratować jego syna. A ponieważ za pierwszym razem się nie udało, zatrudni innego psychiatrę, by przeprogramował umysł Kylea. Prezes nigdy nie popełniał dwa razy tego samego błędu, nawet jeśli nie wiedział, co go spowodowało. Max miał nadzieję, że Juan zorientuje się, iż zdradził ich doktor Jenner, choć wiedział, że Cabrillo nigdy nie domyśli się, kim naprawdę jest Jenner. Nawet jemu, Maksowi, trudno było w to uwierzyć.

Umrzeć, by uratować dziecko. Zamyślił się. Nie istniała szlachetniejsza przyczyna, dla której warto umierać. Tak sądził. Miał nadzieję, że pewnego dnia Kyle doceni poświęcenie, i modlił się o to, by jego córka wybaczyła bratu śmierć ojca.

Ból... można... zignorować.

Wydawało mu się, że wspina się na Mount Everest. Musiał odetchnąć jak najgłębiej, by zassać dostateczną ilość powietrza, ale za każdym razem, gdy to robił, żebra pękały. I bez względu na to, jak głęboki robił wdech i jak bardzo go to bolało, płuca nigdy nie wydawały się pełne.

Ręką zawadził o coś w ciemnościach. Natychmiast obudziła się w nim inżynierska czujność. Taki

szyb wentylacyjny powinien być zupełnie gładki, bez żadnych przeszkód wewnętrznych, by turbiny pracowały z największą wydajnością. Pomacał obiekt i zaśmiał się jak wariat. To była zapasowa butla powietrza, którą wypchnął podmuch spalin. W szaleńczym locie w końcu się zatrzymała, bardziej opływowym końcem skierowana przeciw prądowi.

Max pospiesznie odczepił swój prawie pusty zbiornik i przyłączył nową butlę. Pociągnął z niej powietrza - było zatechłe i metaliczne, ale co go to teraz obchodziło!

Piętnaście minut później dostrzegł światelko w tunelu. Szyb rozszerzał się i spłaszczał w dyfuzor, który pozwalał ukryć gorące wyziewy przed obserwacją w podczerwieni. W niewidzialnych dla radaru bombowcach i myśliwcach zastosowano podobne rozwiązanie. Ciśnienie gorących spalin zmniejszyło się. Max zdjął butlę i na brzuchu zaczął wpełzać do dyfuzora. Ujście zagraadzały cienkie pionowe pręty, zabezpieczające wejście do szybu niepożądanym osobom.

Zobaczył wezbrane morze dwa i pół metra niżej. Teraz musiał być przypyływ. Ujście szybu wykuto na takiej wysokości, by podczas przypyływu woda nie wdarła się do rury. Max przypuszczał, że otwór ma przesłonę, którą można opuścić w razie sztormu. Nie mógł precyzyjnie przycisnąć wielkiego hełmu przez pręty, więc nie wiedział, co się znajduje na prawo i na lewo od ujścia rury. Musiał się zdać na łut szczęścia.

Odwrócił się, żeby staranować butlę jeden z prętów. Leżąc na boku, nie mógł wykonać dostatecznie silnego zamachu, więc cofnął się nieco i spróbował ponownie. Kilkakrotnie walił w kratę, czując w rękach siłę uderzeń. Przy piątym łupnięciu puścił jeden ze spawów, osłabiony solą morską i korozyjnym działaniem wyziewów, pionowy pręt się poddał. Max powtórzył akcję w stosunku do drugiego pręta, a potem kolejnego.

Teraz miał dość miejsca, by się precyzyjnie przycisnąć. Chwytał cienkie pręty i wyginał je na zewnątrz. Wysunął głowę: bezpośrednio pod dyfuzorem zobaczył wąski pomost, a po prawej stronie drabinę prowadzącą w górę. Miał spojrzeć w lewo, gdy został złapany za ramiona i wyciągnięty z szybu. Stało się to tak błyskawicznie, że nie zdążył zareagować, a już rzucono go na pomost. Stanęli nad nim dwaj strażnicy, każdy z pistoletem maszynowym przewieszonym przez ramię. W odróżnieniu od chłopaka, którego unieszkodliwił wcześniej w hali generatorów, ci dwaj wyglądali na zawodowców.

- Koleś, co tu robisz? - spytał go jeden z nich ochrypłym cockneyem. Max ciągle miał na głowie hełm, a po tylu minutach spędzonych w szybie w uszach mu dzwoniło, więc nie słyszał słów strażnika, tylko widział ruch ust. Gdy ruszył ręką, by zdjąć hełm, palce strażników zacisnęły się na spustach. Jeden z nich cofnął się, by zabezpieczyć partnera, gdy ten zrywał Maksowi nakrycie głowy.

- Kim jesteś, mów? - spytał rozkazująco.

- Siema, chłopaki! Jestem Czyścik z firmy kominiarskiej Acme.

- To Max! - krzyknął Hali, gdy tylko zobaczył strażników wyciągających z szybu wentylacyjnego postać odzianą w srebrny kombinezon. Juan obrócił się szybko i spojrział na Georgea Adamsa.

- Wariant ostateczny! Prędkiej!

Pilot helikoptera przerzucił przełącznik na konsoli - drona będzie zataczać koło średnicy ponad półtora kilometra tak długo, aż ktoś przejmie sterowanie lub w maszynie wyczerpie się paliwo. Obrócił kamerę, by kierowała się prosto na pomost, i nacisnął guzik, by pomost stale pozostawał w polu widzenia.

- Wio!

Cabrillo rzucił się przez salę w stronę schodów na pokład rufowy, a długonogi Adams z trudnością dotrzymywał mu kroku. Juan zacisnął usta w wąską linię, ale ciało miał swobodnie rozluźnione. Był w czarnym mundurze polowym. W rękaw miał wszyty panel elastycznego ekranu. W kaburze na nerkach umieścił parę pistoletów FN 57, dwa inne zwiślały mu z biodra. Ponieważ helikopter nie był stabilny, nie zamierzał ryzykować i brać dodatkowych osób, więc celowo obciążył się bronią. W kieszeniach na udach umieścił cztery magazynki do pistoletów maszynowych M-5 Heckler & Koch, które już były schowane w robinsonie.

- Jak on tego dokonał? - spytał George.

- Cały czas wam mówię, że to szczwany lis. - Juan włączył radio bojowe. - Sprawdzam łączność. Słyszycie mnie?

- Wyraźnie - odezwał się Hali.

- Sterownia, Wepps, słyszycie?

Kobieta i mężczyzna - obsada stanowiska bojowego i steru statku - natychmiast potwierdzili.

- Wepps, przejmij kontrolę nad droną ze swojej konsoli i odpal znacznik laserowy. Za pomocą jego kamer wybiorę cele. Gdy oświetlę cele laserem, ostrzelaj je dwudziestką jedyneką.

Sterowanie ogniem na „Oregonie” zaawansowaniem technicznym dorównywało sterowaniu w systemie obrony przeciwrakietowej „Aegis” na krążowniku. Mały laser z przodu drony mógł oświetlić wybrany cel, komputer automatycznie przeliczał jego dokładne współrzędne GPS, podnosił lub opuszczał statkowe działo kaliber 120 milimetrów i wystrzeliwał zadaną liczbę pocisków żądanego typu.

- Musimy podpłynąć do wyspy. Sterownia już nas tam prowadzi.

Juan aktywował panel elastycznego ekranu. Widział Maksa rozłożonego na pomoście, ale wiedział, że strażnicy wkrótce wrzucą go do pikapu i zawiozą do bunkra.

Gdy „Oregon” pędził przez morze z maksymalną prędkością, wiatr na pokładzie miał siłę huraganu. Juan i George biegli do robinsona. Załoganci trzymali otwarte drzwi od strony Adamsa. Drzwi Juana zostały wymontowane. Mieli szczęście: silnik wyłączono dopiero przed chwilą, więc gdy George znów wskoczył na fotel pilota, mógł natychmiast włączyć napęd i uruchomić wirnik. Dopiero gdy łopatki się obracały, włożył nagłownik i wpiął się w fotel.

- Ster, tu Gomez. Jesteśmy gotowi do lotu. Teraz hamuj.

Pędniki wodno-odrzutowe „Oregona” natychmiast zostały wyłączone, a potem włączone odwrotnie. Wyglądało to tak, jakby w dziób statku uderzyła torpeda - woda wytrysnęła z przodu rur napędowych statku, a statek zatrzymał się w miejscu. Większość statków wielkości „Oregona” potrzebowała kilometrów, by się zatrzymać, ale tu rewolucyjna konstrukcja napędu umożliwiała hamowanie jak w samochodach sportowych.

Gdy elektroniczny wiatromierz, umieszczony w jednym z rogów platformy podnośnika, wskazał, że prędkość wiatru spadła do nieco ponad trzydziestu kilometrów na godzinę, George podkreślił moc helikoptera i wzniósł się z pokładu.

- Lecimy - zakomunikował przez radio, gdy płozy maszyny śmignęły nad relingiem rufy.

Napęd znów odwrócono i „Oregon” zaczął przyspieszać do maksymalnej prędkości. Cały manewr wykonano tak sprawnie, że stracili niecałą minutę.

- Dobra robota - pochwalił Juan.

- Mówią, że ćwiczenie czyni mistrza. Oczywiście zawsze uważałem, że nigdy nie zaszkodzi być od razu mistrzem.

Cabrillo się uśmiechnął.

- Ego, twoje imię Gomez.

- Prezesie, tu Wepps. Według komputera za osiem minut cel znajdzie się w zasięgu studwudziestki.

- Wystrzel potrójną salwę flar - rozkazał Juan. - Niech Max wie, że nadjeżdża kawaleria. - Zwrócił się do Georgea: - Jaki mamy oczekiwany czas przybycia?

- Nie zapisywałem planu lotu ani nic takiego. Nie wiem, może pięć minut.

Juan zsynchronizował swój cyfrowy zegarek bojowy z głównym odliczaniem uderzenia pocisku balistycznego. Miał pięćdziesiąt pięć minut na uratowanie Maksa i wyprowadzenie „Oregona” z niebezpiecznej strefy.

- Na nogi! - warknął angielski strażnik, a gdy Hanley nie wykonał od razu polecenia, kopnął go w biodro.

Max złożył ręce w błagalnym geście.

- Spokojnie, chłopcy. Macie mnie jak na widelcu. Nigdzie nie ucieknę. Pozwólcie mi zdjąć tę butlę i skafander.

Gdyby myślał jaśniej, powinien był stoczyć się do wody. Miał na sobie hermetyczny skafander i butlę z powietrzem tak ciężką, że poszedłby na dno jak kamień. Coś daleko w morzu przyciągnęło jego uwagę. Zmrużył oczy w świetle zachodu i zobaczył maleńką białą kulę unoszącą się tuż przy słońcu. Potem drugą, wybuchającą nieco poniżej. Potem trzecią.

Gdy myśliwy gubi się w lesie, sygnałem rozpoznawalnym na całym świecie są trzy wystrzelone w równym odstępie pociski. Flary nie oznaczały, że statek jest w opresji - to Juan zawiadamiał go, że „Oregon” zmierza na pomoc.

Max ani przez chwilę nie stracił nadziei, więc w zasadzie nie był zdziwiony, ale musiał dołożyć wysiłku, by jego twarz nie zdradzała satysfakcji.

Powoli zsunął ciężką butlę z pleców i zdarł z siebie strzępy skafandrow termoisolacyjnych. Przednia część zewnętrznej warstwy była ciągle srebrzysta, ale na plecach materia poczerniała od żaru i sadzy.

Jeden ze strażników słuchał przez walkie-talkie rozkazów zwierzchnika.

- Nigel, pan Severance chce natychmiast zobaczyć tego faceta. Otworzą zewnętrzne drzwi, jak przyjdziemy na miejsce. - Szturchnął Maksa pistoletem w plecy. - Ruszaj.

Max postawił niepewny krok i upadł na pomost.

- Nie mogę iść. Mam skurcz w mięśniach po tym pełzaniu. Nóg nie czuję. - Chwycił się za kolano teatralnym gestem piłkarza, który ma nadzieję, że wymusi na sędzi uznanie faula przeciwników.

Strażnik o imieniu Nigel strzelił pojedynczą kulą w pomost parę centymetrów od głowy Maksa.

- Masz. Teraz przejdą ci te skurcze, co?

Max zrozumiał przesłanie i podźwignął się na nogi. Ruszył przed strażnikami w stronę plaży, ostentacyjnie kulejąc, a gdy szedł zbyt wolno jak na ich gust, pchali go w plecy.

Nieoczekiwanie nad cyplem pojawił się z dudnieniem czarny helikopter Robinson niczym drapieżny ptak polujący na zdobycz. Zapikował prosto nad pomost. George utrzymywał dziób w dole, więc łopatki meły powietrze kilka stóp nad drewnianym molo. Max już rzucił się na brzuch, a w jego ślad poszli strażnicy - padli na płask, gdy helikopter był nad ich głowami.

Strzelcy ze stanowisk obserwacyjnych na szczytach obu klifów otworzyli ogień, ale Adams tańczył maszyną jak bokser unikający ciosów. Strzelcy nie dysponowali pociskami smugowymi, więc nie mogli skorygować strzałów, by strącić helikopter.

- Musimy poczekać, aż zabiorą go z plaży - powiedział Juan. - Zabiją nas tym ogniem krzyżowym.

Cienie wydłużały się i jedynym sposobem namierzenia strażników patrolujących plażę było zauważenie błysku z lufy ich broni automatycznej, gdy dodawali swój ogień do ogólnego bałaganu.

Tymczasem na pomoście strażnicy chwycili Maksa za ramiona i pociągnęli go w stronę brzegu, licząc na to, że koledzy z wartowni i na plaży nie dopuszczą helikoptera w pobliże. Max próbował stawiać opór, ale osłabiony wcześniejszymi przejściami stawiał go bezskutecznie.

Pędząc nad Grenlandią jak demon zemsty, radziecki satelita z orbitalnymi pociskami balistycznymi przechodził ostatnie sprawdzanie układów, przygotowując się do wystrzelenia jednego ze swoich osiemsetkilogramowych prętów wolframowych. W środku zewnętrznej obudowy pocisk wielkości słupa telegraficznego został rozkręcony do tysiąca obrotów na minutę, co miało mu zapewnić stabilność przy wejściu w atmosferę. Komputer celowniczy - według dzisiejszych standardów archaiczny, ale zupełnie wystarczający do wykonania tego zadania - oczekiwał, podczas gdy satelita pędził, by zająć wyznaczone współrzędne.

Niewielkie wybuchy skompresowanego gazu wyleciały z jednego z raketowych silników manewrujących, gdy wykryto, że potrzebna jest drobna korekta trajektorii. Osłony wyrzutni powoli się otworzyły jak płatki kwiatu i po raz pierwszy wolframowy rdzeń wystawił się na kosmiczną próżnię.

Satelita przemykał nad planetą, która się obracała, i z każdą sekundą zbliżał się do miejsca odpalenia pocisku, niepomny na dramat rozgrywający się w dole.

- Prezesie, tu Wepps - usłyszał Juan przez radiowe trzaski. - Obiekt jest w zasięgu.

- Wystrzel pocisk przeciwpiechotny na wschodni klif - poleciał Cabrillo.

Trzydzieści kilometrów od brzegu autoładowacz dla L44 wybrał z magazynu żądany pocisk i wpakował go w zamek działa. Działo stało na dziobie „Oregona” w ukrytej reducie umożliwiającej niemal sto osiemdziesiąt stopni swobody, gdy podstawa była całkowicie wysunięta. Zewnętrzne drzwi już się obniżyły i lufa się wysunęła. Głęboko w trzewiach statku komputer celowniczy

rozpoznał sygnał lasera, który drona skierowała na szczyt klifu, i błyskawicznie obliczył jego pozycję względem działa. Lufa przesunęła się w prawo i gdy dziób statku wzniósł się na fali, wielka armata zagrziała.

Obliczenia komputera były tak dokładne, że strzał nastąpił chwilę wcześniej, by uwzględnić mikrosekundy potrzebne na drogę pocisku w lufie oraz odległość, o jaką Ziemia obróci się, gdy pocisk będzie leciał w powietrzu.

Sekundy po opuszczeniu działa pocisk otworzył się, uwalniając metalową nawałnicę twardych kul, które zasypały szczyt klifu - to było jak masowy ostrzał ze strzelb. Z klifu eksplodowały chmury pyłu i duszący całun skrywał rozerwane na strzępy ciała strażników responsywidów.

- Dobry strzał - krzyknął Juan. - Teraz zachodni.

Gdy rozpadł się cypel, mężczyźni niosący Maksa puścili go. Max wstał, by ruszyć do ucieczki, ale przebiegł tylko kilka kroków, bo został trafiony lecącym w powietrzu sprzętem i powalony na asfaltową nawierzchnię drogi. Przeklinając bełkotliwie, strażnik uderzał go w tył głowy i przez chwilę Maksowi wydawało się, że zgasło słońce. Walczył z zasłoną ciemności, ale siłą woli zachował przytomność.

Drugi wybuch przetoczył się po nabrzeżu, gdy zdetonowano kolejny pocisk. Trafił tuż poniżej stanowiska snajperów i tylko popstrzył skałę tysiącem małych dziur.

- Wiem, wiem - krzyknął Wepps i dwanaście sekund później zachodni klif został unicestwiony.

Strażnicy wrzucili Maksa na otwartą skrzynię pikapu. Jeden z nich pistoletem przygwoździł mu głowę do podłogi, a Nigel wskoczył do szoferki. Ujechali zaledwie piętnaście metrów, gdy pocisk kruszący trafił prosto w wartownię.

Budynek z blachy falistej rozpadł się w szwach na kawałki, a pomarańczowe płomienie rozkwitły śmiercionośną różą. Pikap zachwiał się od wstrząsu i na chwilę Nigel stracił panowanie nad pojazdem, ale mocując się z kierownicą, zdołał powrócić na drogę.

Dwaj strażnicy na plaży musieli chyba pomyśleć, że zarządzono odwrót, ponieważ wskoczyli do quadów i pognali za pikapem.

George zatoczył koło i ruszył helikopterem za trzema pojazdami, trzymając się z ich prawej strony, by Juan miał nie zasłonięty widok.

- Wepps, rzuć pocisk przeciwpancerny na drogę przed pikapem i strzelaj przed nim, żeby ich spowolnić. - Odpowiedź zginęła w trzasku wybuchów, gdy Cabrillo otworzył ogień ze swojego automatu.

Kierowca quada, do którego strzelał, skręcił gwałtownie, ale nadal jechał. Juan strzelał znakomicie, ale trafienie z lecącego helikoptera w ruchomy cel było niemal niemożliwe. Facet ostrzeliwał się jedną ręką i potok kul przeleciał tak blisko helikoptera, że George musiał na chwilę przerwać pogoń.

Trzydzieści metrów przed pędzącym pikapem droga nagle zniknęła - to walnął w ziemię rdzeń ze zubożonego uranu pocisku przeciwpancernego. Juan zażądał pocisku przeciwpancernego, ponieważ inny pocisk z ich arsenału rozerwałby pikap na strzępy.

Kierowca nacisnął hamulce i mocno skręcił kierownicę. Droga zagłębiała się płytko i opony ślizgały się, gdy kierowca usiłował wydostać samochód z dołu.

Cabrillo dostrzegł okazję.

- George, teraz!

Pilot podkręcił helikopter i zanurkował na pikap. Strażnik przytrzymujący Maksa chciał podnieść

broń, ale Max go kopnął, wciągając do walki. Juan nie miał czasu załadować nowego magazynku do pistoletu maszynowego, więc rzucił go na tył kabiny i odpiął pasy bezpieczeństwa.

Pył wzbijany przez śmigło zasłaniał częściowo cel, ale Juan i tak widział dość dobrze, gdy George zmniejszył prędkość lotu, zrównując ją z prędkością pikapu, który teraz podjeżdżał na szczyt wzgórza.

Juan nie wahał się. Skoczył, gdy znaleźli się trzy metry nad pikapem. Gdy tylko drugi strażnik zobaczył wychylającą się z helikoptera postać, zaczął walić w dach szoferki, by ostrzec Nigela. Ten skręcił kierownicą.

Cabrillo wylądował na brzegu skrzyni na ugiętych kolanach, by zamortyzować silne uderzenie po skoku, ale pęd skręcającego gwałtownie samochodu wyrzucił go na zewnątrz. Juan próbował chwycić strażnika, ale nie mógł i udało mu się tylko zaczepić palcami o skrzynię, gdy przewracał się w tył. Usiłował się podciągnąć z powrotem na pikap, nogi wlokły mu się po ziemi.

Nagle nad nim pojawiła się wściekła twarz strażnika. Cabrillo puścił się prawą ręką, by wyciągnąć jeden ze swoich automatycznych pistoletów, ale nie był dość szybki. Już miał broń w dłoni, gdy strażnik walnął go w koniuszki palców lewej ręki tak mocno, że odruchowo puściły chwyt.

Twardo upadł na ziemię i potoczył się zwinięty w kulę, by chronić głowę. Zatrzymał się, a w tym czasie pikap wjechał na szczyt wzgórza i zaczął szybko znikać.

Przeklinając, Juan wstał. Uderzenie w kark oszołomiło go na chwilę. Szybko oprzytomniał, spojrział w niebo i dał znak Georgeowi, by go stąd zabrał. Spoza drogi nadjeżdżały dwa quady; kierowcy musieli je prowadzić dwiema rękami, by utrzymać pojazdy na skalistym terenie pagórka.

Były daleko, ale Juan nie mógł ryzykować, że ostrzelają go z broni automatycznej. Wyciągnął dwa pistolety z kabur biodrowych i na quada, nadjeżdżającego z prawej strony, skierował ogień zaporowy. Pistolety szczekały, gdy wystrzelił dwadzieścia pocisków w niecałe sześć sekund. Osiem z nich trafiło strażnika - odłupały mu pół czaszki, a wnętrzności zmieniły się w krwawą masę.

Cabrillo odrzucił dymiące pistolety, drugą parę wyciągnął zza pleców i zaczął strzelać, zanim ciało pierwszego strażnika zdążyło wypaść z quada.

Drugi strażnik prowadził teraz jedną ręką, a drugą sięgnął po przewieszony za plecami AK-47. Pruł naprzód, choć w powietrzu wokół niego roило się od kul. Udało mu się oddać kilka strzałów, nim pierwszy pocisk, nieco chybiony, drasnął go w udo. Znów strzelił, ale jego cel jakby w ogóle się tym nie przejmował.

Juan nie drgnął, gdy kule obok niego świstały. Spokojnie strzelał, aż trafił. Dwa pociski wystrzelone w mgnieniu oka trafiły kierowcę w szyję, siła kinetyczna rozerwała ścięgna i głowa odpadła od karku. Quad nadal jechał pod górę. Gdy pojazd dotarł do Juana, ten zrobił wymach nogą i wykopał ciało z siedziska. Martwe palce, ciągle trzymające przepustnicę, puściły i maszyna stanęła.

Cabrillo wskoczył do niej i pognął za Makssem. Tak szybko pędził na szczyt wzgórza, że wzleciał w powietrze. Pikap miał niecałe pół kilometra przewagi, ale gdy kolejny pocisk przeciwpancerny wysadził przed nim kawałek skały, kierowca skręcił ostro, dając Juanowi szansę dogonienia go.

Mark Murphy nigdy nie czuł się gorzej. Nos miał czerwony, obolały, ale musiał go cały czas wydmuchiwać, więc miał wrażenie, że nigdy się kataru nie pozbędzie. Co gorsza, kichał seriami. Jeśli kichnął raz, musiał to powtórzyć cztero-, pięciokrotnie. Głowa mu puchła, omal nie pękła, a każdy oddech brzmiał tak, jakby w płucach grzechotały szklane kulki.

Jedna myśl go pocieszała - niedola lubi towarzystwo, a na „Golden Sky” prawie wszyscy byli w podobnym stanie. U Lindy Ross wystąpiły nieco lżejsze objawy, ale nie uniknęła infekcji wirusowej, która rozeszła się po statku w błyskawicznym tempie. Co kilka sekund Linda dostawała ataku dreszczy. Prawie wszyscy pasażerowie kulili się w swoich kabinach, kuchnia wydawała litry bulionu drobiowego, a służba medyczna rozdawała garście tabletek przeciwigrypowych.

Siedzieli sami w bibliotece i trzymali książki na kolanach na wszelki wypadek, gdyby ktoś wszedł. Przy każdym z nich na niskim stoliku piętrzyła się sterta zużytych chusteczek jednorazowych.

- Teraz rozumiem, dlaczego postanowili wypuścić wirusa na statku wycieczkowym.

- Dlaczego?

- Spójrz na nas. Po pierwsze, jesteśmy tu jak uwięzieni, kisimy się we własnym sosie. Każdy jest narażony na złapanie zarazka. Po drugie, mają tu tylko jednego lekarza i pielęgniarkę, zawalonych pracą, bo wszyscy chorują równocześnie. Gdyby terroryści zaatakowali miasto, gdzie jest dużo szpitali, które mogą się zająć pacjentami, nosiciele krócej stykaliby się z innymi ludźmi, nie narażając ich tak bardzo na zarażenie. Epidemię można byłoby odizolować i chorych dość szybko poddać kwarantannie.

- Racja - potwierdziła bez entuzjazmu. Źle się czuła i nie miała ochoty na dyskusję.

Kilka minut później Murphy powiedział:

- Przejrzymy wszystko jeszcze raz.

- Mark, proszę, robiliśmy to już tysiąc razy. Ani system wentylacyjny, ani zaopatrzenie w wodę, ani jedzenie. Nigdzie. Wszystko sprawdziliśmy wiele razy. Tu potrzeba grupy inżynierów, żeby rozebrali tę łajbę na części i kawałek po kawałku przeszukali, gdzie jest urządzenie dozujące.

Murphy nie potrafił wymyślić żadnego rozwiązania, bo dręczyła go choroba i rzeczywiście niewielką miał nadzieję, że teraz coś mu przyjdzie do głowy, ale on się nigdy nie poddawał.

- Linda, pomyśl. To jest właściwie pływające miasto, prawda? Co potrzeba, żeby miasto działało? - Spojrzała na niego takim wzrokiem, jakby mówiła, że nie chce się jej grać w tę grę, więc sam sobie odpowiedział: - Jedzenie, woda, dezynfekcja, usuwanie śmieci i elektryczność.

- Tak, akurat zatrują śmieci. Zignorował jej sarkazm.

- Albo spójrzmy na to inaczej. Statek wycieczkowy to hotel. Co potrzeba, żeby działał hotel?

- To samo - odparła Linda. - Plus małe miętówki przy poduszce.

- Nie pomagasz mi.

- Nawet nie próbuję.

Nagle Mark uniósł się z fotela.

- Racja!
- Zatrute miętówki? - spytała ironicznie.
- Kto je przynosi?
- Pokojówka.
- A co przede wszystkim robi w twoim pokoju?
- Sprząta, zmienia... Święty Boże!

- Pamiętam, jak w Grecji ratowaliśmy syna Maksa. Mieli mnóstwo przemysłowych maszyn pralniczych, ale bez suszarek - powiedział Murphy. - Przygotowywali się. Wirus jest wprowadzany w pralni. Pasażerowie dostają codziennie świeżą pościel. A jeśli to nie dostarczy wystarczających porcji wirusa, to są świeże serwetki w jadalni oraz w mesie dla załogi. To doskonały system. Wytarcie ust zakażoną serwetką jest równie skuteczne jak wstrzyknięcie zarazków. Mogę się założyć, że po dwunastu godzinach od wprowadzenia wirusa do maszyn pralniczych, każdy na pokładzie ma kontakt z upaźkaną wirusem bielizną.

Splótł dłonie nad głową.

- Dlaczego o tym wcześniej nie pomyślałem? To takie oczywiste.

- Staje się oczywiste, gdy już o tym pomyślisz. Jak znalezienie czegoś w ostatnim przeszukanym miejscu - droczyła się Linda, cytując jego słowa. Powoli wstała. - Chodźmy sprawdzić, czy masz rację.

Quady na wielkich amortyzatorach i mocnych sprężynach skonstruowano tak, by mogły pokonać trudny teren, ale Juan, goniąc pikap, dociskał quada do granic możliwości. Ponieważ pociski padały zaledwie parę metrów przed pikapem, kierowca musiał jechać wężykiem i Juan go szybko dogonił.

- Szeffie, tu Hali. Ostrzeżenie: zostało czterdzieści pięć minut. Powtarzam, uderzenie za czterdzieści pięć minut.

- Słyszę cię - powiedział Juan. Zahaczali o margines bezpieczeństwa gwarantujący, że zdążą opuścić strefę uderzenia. - Wolałbym tego nie słyszeć. Wepps, wstrzymaj ogień. George, zajmij czymś tego faceta z tyłu pikapu, żebyśmy mogli bliżej podjechać. Przeleć nad nimi.

- Zrozumiałem.

Max przyduszony kolanem do dna skrzyni pikapu, czując na karku lufę karabinu, nie wiedział, co się dzieje wokół. Nagle karabin przestał go uciskać i strażnik oddał krótką serię. Max odwrócił głowę na tyle, by zobaczyć, że strzelał w niebo. Robinson nagle nadleciał nad samochód tak nisko, że strażnik musiał się uchylić.

Max skorzystał z sytuacji i wałnął go łokciem w krocze. Szturchnięcie było niezdarne, wykonane z niedogodnej pozycji i najwyraźniej nieskuteczne. Strażnik zatoczył bronią łuk i Max zablokował lufę ramieniem, więc gdy karabin wystrzelił, kule poleciały nieszkodliwie w ciemniejące niebo. Oczy piekły Maksa od prochu, ale skorzystał z okazji i wałnął mężczyznę w odsłonięty bok. Ten oddał mu cios w twarz. Odnowiony ból wywołał w Hanleyu furję. Wykonywał gwałtowne zamachy i powoli podnosił się na kolana, by nadać ciosom więcej siły.

Skrzynia pikapu była za ciasna, by strażnik mógł strzelić z karabinu, więc tylko odepchnął nim Maksa. Ten opuścił się nisko, wysuniętą nogą podciął przeciwnika i powalił go na plecy. Wstał niepewnie, przytrzymując się boków skrzyni, by nie stracić równowagi.

Juana dzieliło ponad pół metra od tylnego zderzaka pikapu. Pochylił się nisko nad kierownicą, by prowadzący pikap go nie widział. Max dostrzegł ruch ust prezesa, gdy ten mówił albo do Georgea, nadal krążącego helikopterem, albo do kogoś na „Oregonie”.

Niczym zawodowy zapaśnik podczas widowiska Max skoczył na leżącego strażnika, ale cios łokciem w żołądek nie był na pokaz. Oczy mężczyzny wyszły z orbit, a policzki puchły, gdy mu wytrysnęło z płuc całe powietrze.

Za kilka sekund kolejny pocisk z głównego działła statku padł tuż przed pikapem. Kierowca zwolnił i skręcił w lewo, a Juan skorzystał z okazji i podjechał równolegle.

- Max, przestań się bawić i wskakuj! - Juan uniósł się do przodu, by dać przyjacielowi jak najwięcej miejsca do skoku.

Max podpełził na tył skrzyni i przysiadł na zderzaku. Wyciągnął nogę, opierając ją na siedzisku, potem przerzucił ciężar ciała i mocno wylądował, chwytając Juana za pas, by pewniej stanąć w quadzie.

Nigel, Anglik kierujący pikapem, spojrział w lusterko wsteczne. Widząc, że więzień ucieka, gwałtownie skręcił na quada, zmuszając Juana do przy duszenia hamulców. Nigel wcisnął hamulce samochodu i gdy quad zaczął go wyprzedzać, rzucił się za nim w pogoń.

Quad, obciążony teraz dwoma roslymi mężczyznami, na nierównym terenie osiągał prędkość porównywalną z prędkością pikapu. Juan mógł wyprzedzić pikap najwyżej o kilka metrów i bez względu na to, jak ostro zakręcał, tamten go doganiał. Responsywista musiał pojąć, że jeśli się przyklei do uciekającego quada, z działła nie będą do niego strzelać.

- Bawi się z nami - prychnął gniewnie Juan. Obejrzał się. Płaska maskownica pikapu znajdowała się niecałych pięć metrów od tylnych kół czterokołowca. - A my na to nie mamy czasu. A tak przy okazji: cieszę się, że cię widzę. Ale, chłopie, twarz to masz zmasakrowaną.

- Też się cieszę, że cię widzę. - Max przekrzykiwał wiatr. - Boli bardziej, niż na to wygląda.

- Trzymaj się - ostrzegł go Juan. Pognał quadem przez wzgórze na drogę. Pędzili w dół na złamanie karku. Juan skręcił kierownicą i ześliznęli się na szutrową drogę. Dodał gazu, gdy pikap siedział im na ogonie.

Mieli przewagę piętnastu metrów i Juana kusilo, żeby poprosić o strzał z „Oregona”, ale na równej drodze pikap był znacznie szybszy od quada i dogonił ich, nim Juan wydał rozkaz.

- Wepps, przygotuj się do strzału pociskiem odłamkowo-burzącym w koniec pomostu.

- Jestem gotów.

- Co zamierzasz? - spytał Max z niepokojem.

- Plan C.

Pędzili drogą, choć nie z maksymalną prędkością quada. Cabrillo musiał zachować coś w rezerwie. Przemknęli obok ciągle dymiących ruin wartowni, lawirując między tłącymi się płachtami falistej blachy. Dotarli do pomostu i wtedy Juan wcisnął gaz do dechy, fachowo oceniając prędkość, odległość i czas.

- Ognia!

Kierowca pikapu odstawał nieco z tyłu, nie rozumiejąc, dlaczego quad celowo zapędza się w drogę bez wyjścia na molo, ale gdy się zorientował, że pojazd nie zwalnia, dodał gazu i zmniejszył dystans.

- George! - krzyczał Juan przez radio. - Przygotuj się do podjęcia nas z wody. Odpowiedź pilota zagłuszył wiatr.

Juan z Maksem pędzili quadem po pomoście z prędkością osiemdziesięciu kilometrów na godzinę.

Max w końcu zrozumiał, co Juan robi, i krzyknął:

- Ty szalony skurczyyy...

Wylecieli z końca pomostu i unosili się w powietrzu prawie sześć metrów, nim spadli do morza. Chwilę potem pikap gwałtownie z piskiem zahamował i tak go zniosło, że omal się przewrócił. Jeszcze nie stanął na czterech kołach, gdy kierowca energicznie otworzył drzwi i wycelował karabin, zamierzając zastrzelić dwóch uciekinierów, gdy tylko wynurzą się z wody.

Świst rozbrzmiewał niecałą sekundę i strażnik nie zdążył zareagować.

Pocisk trafił w pomost, nie w pikap, ale to nie miało znaczenia. Wybuch zniszczył całkowicie i molo, i samochód, posyłając ich szczątki szerokim łukiem w morze.

Juan pomógł Maksowi wydostać się na powierzchnię. Wypluł wodę i spojrzał na pobojuwisko na lądzie: pół pomostu zniknęło, a reszta zmieniła się w stos drewnianych szczap i połamanych pali.

- Czy to było konieczne? - gderał Max.

- Pamiętasz, jak ci opowiadałem o swojej pierwszej misji w Agencji.

- Coś o rosyjskim satelicie.

- O orbitalnych pociskach balistycznych. - Juan wyjął rękę z wody, by spojrzeć na zegarek. - Jeden z nich zmiecie tę wyspę z powierzchni Ziemi za trzydzieści osiem minut. Jeśli chodzi o mnie, to chcę być stąd jak najdalej.

Robinson R44 pojawił się nad klifem i zmierzał nad przystań, ciągnąc za sobą ogon dymu. Właśnie o to Georgeowi chodziło, kiedy mówił, że helikopter jest uszkodzony, pomyślał Juan. Adams sprawnie utrzymywał maszynę tuż nad nimi. Prąd powietrza wzbijał gęstą mgłę morskiej wody, aż się nią krztusili. Zszedł jeszcze niżej, płozami dotknął wody. Juan wyciągnął rękę, otworzył drzwi i pomógł się wdrapać na górę Maksowi. Helikopter niebezpiecznie się przechylił z powodu przesunięcia środka ciężkości.

Juan już miał podążyć za Hanleyem, gdy maszynę zaczęto ostrzeliwać z broni automatycznej.

- Leć! - krzyknął i uchwycił się płozy.

George nie dał sobie tego dwa razy powtarzać. Zwiększył obroty silnika i odleciał od lądu, gdzie pojawił się drugi pikap z dwoma mężczyznami na skrzyni, którzy ostrzeliwali ich z AK.

Zaczepiony rękami i nogami jak małpa Juan z całej siły przywarł do płozy. Wiatr miotał nim brutalnie, przemoczone ubranie było zimne jak lód, ale nic na to nie mógł poradzić. Od „Oregona” dzieliło ich tylko kilka kilometrów i Juan nie chciał, żeby George zwolnił, by umożliwić mu wdrapanie się do kabiny.

Adams musiał wcześniej przekazać przez radio informacje o tym, co się dzieje, ponieważ na statku zapalono wszystkie światła, a na pokładzie czekali dodatkowi załoganci, by pomóc przy lądowaniu. Sternik już zakręcił sterem od wyspy i pocziwy statek już szybko od niej odpływał.

George, nadlatując nad rufę, utrzymywał helikopter dość wysoko. Nie zważał na błyski światełek na kokpicie i sygnały alarmowe ostrzegające, że jego ukochana maszyna dostała śmiertelnych drgawek. Wyobrażał sobie, jak olej pali się w przegrzanych przekładniach, gdy łagodnie się zniżała.

Juan puścił płozę tuż nad pomocnymi rękami czekających załogantów. Złapali go z łatwością i postawili na nogi. Wszyscy rzucili się na bok, by dać Adamsowi miejsce na lądowanie na pokładzie.

- Ster, cała naprzód - rozkazał Juan, gdy płozy musnęły lądowisko. - Alarm bojowy i

przygotować się do zderzenia.

Adams natychmiast wyłączył silnik, gdy płozy stuknęły w podłoże, ale nieszczęściu już nie dało się zapobiec: płomienie wybuchły z osłony silnika i masztu wirnika. Załoga stała w pobliżu z węzami strażackimi i George z Maksem wyskoczyli z kabiny w silnym strumieniu wody.

Odbiegli na bezpieczną odległość i George się obejrzał. Jego przystojną twarz zasnuł cień. Wiedział, że helikopter jest stracony.

Juan położył mu dłoń na ramieniu.

- Sprawimy ci nowy.

Weszli do wnętrza, nim wiatr stał się nie do zniesienia. „Oregon” zostawiał za sobą przycupniętą na morzu wyspę Eos - szpetny kawałek skały, który wkrótce zniknie z powierzchni Ziemi.

Thom Severance nie wiedział, co robić. Strażnicy na przystani zameldowali, że schwytali Maksą Hanleya, który próbował uciec z kompleksu przez - kto by pomyślał - wyciąg spalin, a potem twierdzili, że zaatakował ich czarny helikopter. Początkowo obawiał się, że za atakiem stoi ONZ, bo przecież krążyły pogłoski o oenzetowskich eskadrach czarnych śmigłowców, ale szybko te obawy rozviał. Przez walkie-talkie złapał urywki zniekształconych rozmów, a potem wszystko zamilkło. Kamery zamontowane na dachu wartowni zostały wyłączone, więc w końcu Severance kazał posłać samochód, żeby sprawdzono, co się dzieje na pomoście.

- Uciekli, panie Severance - zameldował dowódca straży. - Hanley i ten drugi w helikopterze. Wartownia została zniszczona, przystań również. Zginęło wielu moich chłopaków.

- Ktoś z obcych jeszcze tu jest?

- Wysłałem patrole, żeby przeczesały teren. Jak na razie wydaje się, że był tylko jeden człowiek.

- Jeden facet zabił wszystkich strażników i zniszczył przystań? - spytał Severance z powątpiewaniem.

- Nie znajduję innego wyjaśnienia.

- Dobrze, niech pan nadal sprawdza i natychmiast raportuje o każdej nietypowej sytuacji.

Severance przeczesał włosy palcami. Ostatnie rozkazy Lydella Coopera nie pozostawiały żadnych wątpliwości. Miał nie nadawać sygnału przez najbliższe dwie godziny. A jeśli to była zapowiedź większego ataku? Opóźnienie może oznaczać porażkę. Z drugiej strony, gdyby wysłał sygnał za wcześnie, to nie wszystkie porcje wirusa zostałyby wprowadzone do maszyn pralniczych na wszystkich pięćdziesięciu statkach wycieczkowych.

Chciał zadzwonić do swojego mentora, ale czuł, że tę decyzję powinien podjąć samodzielnie. Lydell podróżował z Heidi i jej siostrą Hannah. Przyjadą dopiero wtedy, gdy wirus zostanie uwolniony. Przez lata Severance miał pełną kontrolę nad ruchem responsywistów, a jednak niczym syn przejmujący rodzinne przedsiębiorstwo wiedział, że stale jest pod lupą i tak naprawdę wcale nim nie zarządza. Nigdy nie zapominał, że Lydell mógł uchylić każdą jego decyzję bez uprzedzenia i wyjaśnienia.

Irytowało go to trochę, choć Cooper nie wtrącał się za bardzo. Ale teraz, gdy stawka była tak wielka, Thom wolałby mieć rozpiętą pod sobą ochronną siatkę - chciał, by mu powiedziano, co robić.

I cóż się stanie, jeśli stracą kilka statków? Zgodnie z wyliczeniami Lydella wystarczy czterdzieści statków wypełnionych ludźmi, by zarazić wirusem wszystkich na ziemskim globie. Dodatkowych dziesięć stanowiło zabezpieczenie. Gdyby go spytano, dlaczego na niektórych statkach nie rozwinęła się infekcja, mógł twierdzić, że zawiodły urządzenia do rozprzestrzeniania wirusa. A jeśli wszystkie będą działały, nikt nie zakwestionuje jego decyzji.

- Właśnie - powiedział, uderzając się po udach i wstając.

Przeszedł do pomieszczenia z nadajnikiem ELF. Nad panelem kontrolnym pochylał się technik w

fartuchu laboratoryjnym.

- Może pan wysłać sygnał teraz?

- Zgodnie z planem nie mieliśmy go wysłać przez kilka najbliższych godzin.

- Nie o to pytam. - Teraz, po podjęciu decyzji, Severance znów nabrał pewności siebie.

- Kilka minut zajmie mi sprawdzenie baterii. Elektrownia jest wyłączona z powodu uszkodzenia systemu odprowadzania spalin.

- Wykonać polecenie.

Mężczyzna naradzał się przez interkom z kolegą, pracującym głęboko w podziemiach kompleksu. Rozmawiali specjalistycznym żargonem, którego Severance nie rozumiał.

- To potrwa jeszcze tylko chwilę, panie Severance.

Elektroniczny mózg rosyjskiego satelity odmierzał czas w ułamkach minut, gdy leciał nad Europą z prędkością ponad dwudziestu siedmiu tysięcy kilometrów na godzinę. Trajektorია została wyznaczona z dokładnością do setnej części sekundy łuku i gdy satelita dotarł do określonego punktu orbity, centralny procesor wysłał sygnał do rury wyrzutni. W próżni kosmosu nie rozległ się żaden dźwięk, gdy gwałtowny wytrysk skompresowanego gazu wypchnął wolframowy pręt z rury. Pręt kierował się prosto w dół. W swojej płomiennej podróży ku Ziemi wszedł w atmosferę pod małym kątem - jak zaprojektowali to konstruktorzy - więc łatwo go było uznać za spadający meteor. Gdy uderzył w pierwsze cząsteczki górnych warstw atmosfery, powstało tarcie, które lekko rozgrzało pręt. Im niżej opadał, tym silniej się rozgrzewał; wreszcie na całej długości rozżarzył się do czerwoności, potem stał się żółty i w końcu jaskrawobiały.

Żar był wielki, ale nigdy nie osiągnął temperatury topnienia wolframu - ponad trzech tysięcy stopni Celsjusza. Obserwatorzy na Ziemi mogli wyraźnie widzieć pręt, gdy mknął nad Macedonią i północną Grecją, a później słyszeć rozlegający się w ślad za nim huk.

Zegar na głównym monitorze odmierzający czas do wybuchu wskazywał już tylko minuty. Juan starał się na niego nie patrzeć przed wyprawą ratunkową po Maksa, ale teraz nie mógł oderwać wzroku od zegara. Max nie chciał na razie pójść do ambulatorium, czekał, aż pręt uderzy w Eos, więc Huxley przyniosła do centrum operacyjnego podręczny zestaw instrumentów medycznych, żeby opatrzyć mu rany. Morze było dość spokojne, toteż mogła bez przeszkód wykonywać swoją pracę, choć „Oregon” pędził na wschód z maksymalną prędkością.

Max zwykle nie szczędził Juanowi sarkastycznych uwag, gdy ten podkręcał moc silników powyżej czerwonej linii, ale teraz doskonale wiedział, co ma się wydarzyć, i komentarze zachował dla siebie. Nie odpłynęli jeszcze na bezpieczną odległość od strefy wybuchu i jeśli prezes uznał, że należy dać gaz do dechy, Max to akceptował.

Hali Kasim zdarł słuchawki z głowy. Przeklinał.

- Co takiego? - spytał Juan z niepokojem.

- Odebrałem sygnał na falach ELF. Pochodzi z Eos. Wysyłają kod inicjujący. Cabrillo zbladł.

- To nic takiego. - Max miał w obitym nosie tampony waty i jego głos brzmiał nosowo. - To fale tak długie, że przesłanie całego kodu trochę potrwa.

- Chyba że uwolnią wirusa, gdy tylko sygnał się pojawi - zauważył Hali. Juanowi spocily się dłonie. Nieznośna była myśl, że dotarli tak daleko, a za pięć dwunasta mogłaby ich czekać porażka. Wytarł ręce w mokre spodnie. Teraz pozostawało tylko czekanie. Nie znosił czekania.

Linda i Mark w służbowych mundurach znów krążyli po niższym pokładzie „Golden Sky”, próbując zlokalizować pralnię. Kręciło się tu zaledwie kilku członków załogi, ale byli zbyt pochłonięci własnym cierpieniem, by zwracać uwagę na dwie nieznane twarze.

Jękliwy odgłos pracujących suszarek przywiódł ich na miejsce. Kłęby pary buchały ze słabo oświetlonego pomieszczenia. Żaden z chińskich pracowników nie podniósł wzroku, gdy ich dwoje weszło do pralni.

Mężczyzna, który opierał się z tyłu o framugę drzwi i dlatego go nie zauważyli, chwycił Lindę mocno za ramię.

- Co tu robicie? - spytał ostro.

Usiłowała wyrwać mu rękę. Mark go poznał - ten typ przyleciał helikopterem wraz z Zelimirem Kovacem. Powinni byli przewidzieć, że postawią tu strażę. Mark zrobił ruch, by interweniować, ale mężczyzna wyciągnął pistolet i przystawił go Lindzie do skroni.

- Jeden krok i po niej.

Pracownicy pralni widzieli, co się dzieje, ale nie przerwali swoich zajęć: przenosili bieliznę, składali prześcieradła, prasowali koszule.

- Powoli. - Mark wycofał się parę kroków. - Mamy zlecenie naprawy zepsutej prasowalnicy.

- Pokaż mi swój identyfikator.

Mark wyszarpnął identyfikator z kieszonki kombinezonu. Kevin Nixon nie wiedział, jak dokładnie wyglądają identyfikatory pracowników zatrudnionych przez Golden Line, ale to była dobra podróbka i Mark wątpił, czy oprych Kovaca zauważy różnicę.

- Zobacz. Mam tu. Jestem Mark Murphy.

Nagle pojawił się Kovac, wypełniając swoim potężnym ciałem prawie całe drzwi.

- Co jest?

- Tych dwoje twierdzi, że przyszli coś naprawić. Serb wyjął spod kurtki pistolet automatyczny.

- Wydałem kapitanowi wyraźny rozkaz, żeby nikt tu nie wchodził z wyjątkiem pracowników pralni. Kim jesteś?

- To koniec, Kovac - powiedziała Linda. Dziewczęcy głos brzmiał lodowato i zdecydowanie. Dostrzegła, że zaskoczyło go, gdy usłyszał swoje nazwisko. - Wiemy wszystko o wirusie, o tym, w jaki sposób go rozsiewacie za pomocą maszyn pralniczych na statkach wycieczkowych. W tej chwili twoi ludzie są zgarniani na statkach na całym świecie. Urządzenia są usuwane. Poddaj się teraz, a może znów uda ci się jeszcze zobaczyć świat poza murami więzienia.

- Bardzo w to wątpię, laleczko. Kovac nie jest moim prawdziwym nazwiskiem. - Wymienił inne, które często pojawiało się w mediach, gdy w latach dziewięćdziesiątych w Jugosławii toczyła się wojna. Nazwisko jednego z głównych sprawców masowych mordów w tym konflikcie. - Rozumiesz więc: nie wierzę, żeby pozwolono mi kiedykolwiek opuścić więzienie.

- Zupełnie zwariowałaś? - odezwał się Mark. - Chcesz umrzeć dla tej twojej głupiej sprawy? Byłem na „Golden Dawnie”. Widziałem, co wirus robi z ludźmi. Jesteś świrus.

- Nie wiesz wszystkiego. Prawdę mówiąc, uważam, że blefujecie. Wirus załadowany tutaj - zatoczył ręką szerokie koło, wskazując duże maszyny pralnicze - to nie ten sam wirus, którego użyłem na „Golden Dawnie”. Został stworzony z tego samego szczepu, ale nie jest śmiertelny. Nie jesteśmy potworami.

- Właśnie przyznałeś się do zabicia prawie ośmiuset ludzi i twierdzisz, że nie jesteś potworem?

Kovac naprawdę się uśmiechnął.

- Słusznie. To doktor Lydell Cooper nie jest potworem. Wirus, który wkrótce uwolnimy, powoduje tylko gorączkę. I jeden drobny efekt uboczny: bezpłodność. Za kilka miesięcy połowa ludzi na świecie odkryje, że nie może mieć dzieci.

Linda omal nie zwymiotowała. Mark zachwiał się na nogach, uświadomiwszy sobie podstępny charakter tajnego planu responsywiistów. Zawsze twierdzili, że planetę czeka zagłada z powodu przeludnienia. Teraz zamierzali położyć temu kres.

- Nie możecie tego zrobić - krzyknęła Linda.

Kovac pochylił się nad nią, przysuwając swoją twarz do jej twarzy.

- To już zostało zrobione.

Strażnicy na wyspie Eos wstrzymali poszukiwania i spojrzeli w niebo. To, co najpierw wyglądało jak nadzwyczaj jasna gwiazda, szybko zwiększało rozmiary i nabierało coraz intensywniejszego blasku, aż wreszcie wypełniło sobą całe niebo. Początkowo lekko zaskoczeni wpadli w panikę, gdyż nurkujący z nieba obiekt, wydawało się, celuje prosto w wyspę. Rzucili się do ucieczki, co zawsze w obliczu niebezpieczeństwa ludzie instynktownie robią, ale teraz to nie miało znaczenia. Nie było ucieczki.

W pomieszczeniu z nadajnikiem Thom Severance niecierpliwie stukał stopą w nogę stołu, patrząc na monitor, który pokazywał, jak z dręczącą powolnością biegnie sygnał ELF wokół kuli ziemskiej. Za kilka minut sprawa się zakończy. Pierwsze porcje wirusa wypłyną ze szczelnych pojemników próżniowych do maszyn pralniczych, gdzie zakażą pościel, ręczniki, serwetki. Każde załadowanie pralki spowoduje uwolnienie dokładnie określonej dawki wirusa, aż niskotemperaturowe naczynia Dewara całkowicie się opróżnią.

Kąciki jego ust uniosły się w lekkim uśmiechu.

Pocisk wolframowy trafił niemal w sam środek Eos, niecałe pięć kilometrów od podziemnej bazy. Olbrzymia prędkość i masa pocisku pokonującego odległość trzystu dwudziestu kilometrów przemieniły jego energię potencjalną w energię kinetyczną potężnej eksplozji.

Środek wyspy w jednej chwili zniknął. Skały rozpadły się na cząsteczki, nie pozostawiając po sobie śladu. Rozchodząca się od epicentrum wybuchu fala uderzeniowa wyrzuciła w powietrze setki ton rumoszu. Znaczna część skał uległa stopieniu i rozżarzone kuleczki lawy z trzaskiem i sykiem wpadały do chłodnego morza.

Uciekający w panice strażnicy zostali zwęgleni; ich prochy zmieszały się z pyłem i skalnymi odłamkami.

Gdy fala uderzeniowa dotarła do kompleksu, twardey żelbet popękał jak delikatna porcelana. Schron się zapadł, lecz został wyrwany z podłoża. Ściany, sufity i podłogi składały się na siebie, grzebiąc wszystkich wewnątrz.

Zniszczenie było całkowite. Kilometry grubego miedzianego drutu - anteny ELF - wyrwane z ziemi po stopieniu popłynęły do morza strumieniami płynnego metalu.

Ziemia tak silnie się zatrzęsała, że od klifu oddzieliły się wielkie płyty skalne, a pajęczyna szczelin, idąca od epicentrum, rozszczepiła wyspę na siedem mniejszych.

Wysoka fala pływowa wzniosła się od Eos w kierunku, skąd przyleciał pocisk. W odróżnieniu od tsunami, które przemieszcza się pod powierzchnią wód, a wznosi się dopiero na płytcźnie, ta ściana wody zwieńczona pianistą grzywą przetaczała się, zdawało się, bez końca. Ryczała, jakby otwarto bramy piekieł, i mknęła przez morze z astronomiczną prędkością. Po pewnym czasie wygaśnie. Siły

tarcia w końcu ją wytlumia, aż stanie się zmarszczką zaledwie, ale póki trwa, jest najbardziej niszczycielską siłą na planecie.

Sześćdziesiąt kilometrów dalej „Oregon” płynął z pełną mocą silników. Wszystkie luki zabezpieczono podwójnie. Obie łodzie podwodne opuszczono na stelaże i mocno przywiązano. Luźne przedmioty załoga pochowała do zamkniętych szafek i szuflad. Wiedzieli, że nie obędzie się bez pewnych uszkodzeń, ale chcieli ograniczyć je do minimum.

- Ile czasu do uderzenia? - spytał Juan.

- Szacuję na pięć minut - zameldował sternik.

Juan nacisnął guzik ogólnostatkowego systemu nagłaśniającego.

- Tu prezes. Wszyscy niech się mocno trzymają. Czeka nas ostra jazda. Za pięć minut.

Zainstalowaną na maszcie kamerę odwrócono w stronę rufy i przełączono w tryb nocnego widzenia, by można było obserwować nadchodzącą falę. Zajmowała cały horyzont, nieprzenikniona, nieustępliwa. Jej czoło pokrywały żyłki fosforescencji, a szczyt wyglądał jak zielone ognisko.

- Przejmuję stery - oznajmił nagle Juan.

Zauważył, że płyną pod pewnym kątem do fali, więc poruszył lekko sterem, dokonując drobnej korekty. Musieli przyjąć uderzenie fali prosto na rufę, a każde odchylenie groziło, że ten stuściędziesięciometrowy statek wpadnie w ruch śrubowy i obróci się kilkanaście razy, zanim się uwolni z jej uścisku.

- Jedziemy!

Stało się tak, jakby znaleźli się w windzie mknącej w ekspresowym tempie. Rufa podniosła się tak szybko, że przez chwilę pod kadłubem nie było wody. Ryk fali zagłuszył odgłosy jęków kadłuba. Dziób zanurzył się w morzu. Juan zmniejszył moc, by dziób już się bardziej nie pogrążał, i potem cały statek został wyniesiony na czoło fali. Przyspieszenie cisnęło wszystkich do przodu. Statek wspinał się na falę, rufa kierowała się stromo w dół pod zawrotnym kątem. Juan spojrzął na prędkość względem wody: cztery węzły. Ale prędkość względem dna wynosiła ponad sto kilometrów na godzinę.

Rufa wyskoczyła ponad grzbiet fali w eksplozji piany, która zalała pokłady. Płachty wody ściekały spływnikami i wystrzeliwały z dysz napędu gęstymi strumieniami. Dziewięć, dwanaście, wreszcie piętnaście metrów rufy „Oregona” wisiało nad szczytem fali, aż wreszcie statek zaczął się przechylać. Potem przewalił się rufą przez szczyt fali i opadał szybciej, niż się przedtem wznosił.

Cabrillo hermetycznie odgrodził silniki, błagając statek, by dał z siebie wszystko. Kiedy runęli na dno fali, rufa przecięła powierzchnię wody i gdyby „Oregon” nie miał dość mocy, sunąłby w dół, aż woda zakryłaby dziób.

Statek nachylał się teraz pod kątem prawie sześćdziesięciu stopni, rufa uderzyła we wzburzone wody za falą i zniknęła. Morze wspięło się na tylną ładownię i gdyby nie była zaizolowana grubą gumą, hangar helikoptera zostałby zalany.

- No, sprawuj się dobrze - przymilał się Juan, obserwując, jak woda zagarnia coraz większą część statku. - Dasz sobie radę.

Kąt się zmniejszył, gdy rufa wyłaniała się z fali i wydawało się, że spadanie w przepaść jest pod kontrolą. Przez długą chwilę „Oregon” ani się w wodę nie zanurzał, ani z niej nie wyłaniał. Kadłub drżał, gdy silniki z całej mocy próbowały wyrwać jedenaście tysięcy ton z miażdżących objęć morza. I powoli - początkowo tak powoli, że Juan nie był pewien, czy dobrze wszystko widzi na monitorach

- pokład się pojawiał. Ukazała się górna krawędź luku rufowego, gdy magnetohydrodynamiczny napęd wyrwał statek z tego, co stałoby się jego wodnym grobowcem.

Cabrillo dołączył w końcu do chóru gwizdów i radosnych okrzyków, gdy zobaczył moką irańską flagę na drzewcu bandery. Zmniejszył moc i oddał statek sternikowi.

Max wsunął się na swoje krzesło.

- A ja myślałem, że skok quadem z pomostu to już szczyt twojego szaleństwa. Inny statek przewróciłby się do góry dnem na takiej fali.

- To nie jest inny statek - oznajmił Juan i poklepał Maksa po ramieniu.

- Ani inna załoga, jeśli już o tym mowa.

- Dziękuję - rzekł krótko Max.

- Sprowadziłem do domu jedno zbłąkane dziecko. Czas przyprowadzić dwoje pozostałych.

Kovac wiedział, że są kłopoty, gdy z pomieszczenia łączności „Golden Sky” próbował skontaktować się z Thomem Severanceem i nie otrzymał odpowiedzi. Nawet nie słyszał sygnału.

Ponieważ na rozkaz Kovaca radio wyłączono, dopiero po dwudziestu minutach wiadomość dotarła do statku za pośrednictwem telewizji satelitarnej. Nad południową Europą dostrzeżono przemykający meteor, którego masę oceniano na jedną tonę. Uderzył w wyspę niedaleko wybrzeża Turcji. Ogłoszono ostrzeżenie o tsunami, ale na temat fali przyszło tylko jedno doniesienie z greckiego promu; fala miała jakoby około dwóch metrów wysokości i nie stanowiła zagrożenia.

Wiedział, że to nie meteor. To musiała być bomba atomowa. Jego dwoje więźniów nie kłamało. Władze amerykańskie dowiedziały się o planach Coopera i wydały rozkaz ataku nuklearnego. Mknące na południe nad Europą światło, które zaobserwowano, musiało pochodzić od pocisku samosterującego z głowicą jądrową.

Kovac nacisnął guzik pilota telewizyjnego wyłączający głos, żeby nie słuchać gadaniny komentatorki. Musiał przemyśleć, jakie ma możliwości. Skoro wysłali na „Golden Sky” tajnych agentów, musieli wiedzieć, że on jest na statku. Nie, to nie było logiczne rozumowanie. To on tu się zjawiał, bo podejrzewał, że agenci są na statku. Więc oni nie wiedzieli, gdzie on jest. Czyli rozwiązanie było proste: zabić tych dwoje i opuścić statek, gdy zgodnie z rozkładem zawiną do Iraklionu, stolicy Krety.

Ale będą tam na mnie czekali - przyszło mu do głowy.

Ten, kto posłał tych dwoje Amerykanów - najprawdopodobniej CIA, ale to nie ma znaczenia - rozstawi swoich agentów w portach, by czekali na statek. Zastanawiał się, czy udałoby mu się uniknąć schwytania w zastawioną sieć. Potem rozważył, czy warto ryzykować. Lepiej po prostu zatrzymać statek i uciec jedną z łodzi ratunkowych. Na Morzu Egejskim były tysiące wysp, na których można by się ukryć i zaplanować następne posunięcie.

Ciągle pozostawał problem więźniów. Powinien ich zabić czy zabrać jako zakładników? Wiedział, że poradzi sobie z mężczyzną - wyglądał jak ćpun. Ale w kobiecie było coś, co uznał za niebezpieczne. Lepiej zabić ich oboje, niż obawiać się, że uciekną.

Zostawał jeden szczegół. Wirus.

W zamkniętym szczelnie pojemniku żył tylko parę tygodni, więc po ucieczce Kovaca nie na wiele się przyda. Wypuszczenie go zainfekuje około tysiąca osób na statku, a przy odrobinie szczęścia te osoby przekażą chorobę dalej innym po powrocie do domów. Jednak przypuszczał, że nie ma na to zbyt wielkich szans. Statek zostanie poddany kwarantannie, a pasażerów odizoluje się, aż przestaną być nosicielami.

Lepsze to niż nic.

Kovac wstał z krzesła i poszedł na mostek. Zapadła noc i jedyne oświetlenie pochodziło z konsoli i ekranów radarów. Wachtę pełniło dwóch oficerów i dwóch sterników. Asystent Kovaca, Laird Bergman, stał na zewnątrz na pomoście nawigacyjnym, rozkoszując się papierosem pod

usianym gwiazdami niebem.

- Zejdiesz na dół do pralni i ręcznie uwolnisz wirusa - polecił mu Kovac.

- Coś się stało z nadajnikiem?

- Na razie nic niepokojącego. Zejdź do pralni i zrób, co mówię. Potem odszukaj Rolpha i zamelduj się tutaj. Opuszczamy statek.

- Co się dzieje?

- Aresztuj nas, jak tylko dopłyniemy do Krety. To jedyny sposób, by tego uniknąć. Możesz mi wierzyć.

Nagle jeden z oficerów krzyknął:

- U diabła, skąd on się wziął i co on wyrabia? Wezwij tu kapitana i ogłoś alarm kolizyjny. - Pobiegnął na przeciwny pomost nawigacyjny.

- Trzymaj się mnie - powiedział Kovac i wraz z Bergmanem pobiegli za oficerem. Prosto na „Golden Sky” płynął wielki frachtowiec. Wyglądał jak statek widmo, bo miał wygaszone wszystkie światła, ale pruć fale z prędkością co najmniej dwudziestu węzłów.

Oficer krzyknął do innych na mostku:

- Nie widzieliście go na radarze?

- Jak ostatni raz sprawdzałem, był dwadzieścia mil stąd - odpowiedział młodszy oficer. - A sprawdzałem kilka minut temu.

- Włącz sygnał ostrzegawczy.

Ryk syren „Golden Sky” nie odniósł żadnego skutku. Frachtowiec nadal płynął prosto na nich, jakby zamierzał rozpruć statek na połowy. Gdy już się wydawało, że nie da się uniknąć kolizji, rufa frachtowca gwałtownie skrzyła - oficer nigdy nie widział tak ostro skręcającego statku - frachtowiec ustawił się wzdłuż „Golden Sky” w odległości około kilkunastu metrów. Gdyby oficer nie był tak wściekły, ten niewiarygodny manewr zrobiłby na nim wielkie wrażenie.

Kovac przypomniał sobie o doniesieniach, jakoby wielki statek przepłynął nielegalnie Kanał Koryncki wtedy, gdy schwytano chłopaka Hanleya. Zawsze był pewien, że te dwa wydarzenia są ze sobą związane. A teraz frachtowiec pojawia się akurat tej nocy. Szcurzy instynkt podpowiadał mu, że przyplłynęli po niego.

Wycofał się do wnętrza, z dala od członków załogi. W stalowych pomieszczeniach walkie-talkie nie działało zbyt dobrze, ale Kovac zdołał wywołać Rolpha Stronga, trzeciego mężczyznę, z którym przyleciał tu helikopterem.

- Rolph, tu Kovac. Wyrzuć wszystkich z maszynowni i zamknij się w środku. Nikt tam nie może wchodzić. Zabij każdego, kto by usiłował się wdrzeć. Zrozumiałeś?

W odróżnieniu od Bergmana Strong nigdy nie kwestionował rozkazów.

- Wyrzucić ludzi z maszynowni i nikogo nie wpuszczać. Zrozumiałem.

Kovac wyciągnął pistolet spod wiatrówki.

- Idź i wybierz sześć, siedem kobiet - powiedział do Bergmana. - Nieważne, czy spośród pasażerów, czy załogantów. Jak najszybciej je tu przyprowadź. Pójdź też do mojej kabiny i przynieś tu resztę naszej broni. - Nim Bergman zdążył poprosić o wyjaśnienia, Kovac dodał: - Thom Severance nie żyje, cały plan diabli wzięli, a ludzie za to odpowiedzialni są na tym frachtowcu. Ruszaj się!

- Tak jest!

Serb zamknął drzwi mostka, wkręcił tłumik na lufę pistoletu i beznamiętnie zastrzelił dwóch

członków załogi i jednego z oficerów pełniących służbę. Trzykrotny zdławiony huk zagłuszyły ryczące syreny, więc drugi oficer nie wiedział, co się dzieje, i dopiero gdy zszedł z pomostu nawigacyjnego, zobaczył ciała. Zdażył spojrzeć na Kovaca... i dwie szkarłatne plamy wykwitły na jego wykrochmalonej białej koszuli. Jeszcze przez moment bezgłośnie poruszał szczęką. Wreszcie oparł się o ściankę i osunął na pokład.

Kovac podejrzewał, że agenci przerzucą z frachtowca linę dla oddziału abordażowego, więc przeszedł do konsoli sterującej. Była tam tarcza, za pomocą której zwiększało się lub zmniejszało moc silników, oraz prosty dżojstik do poruszania sterem. Manewrowanie takim wielkim statkiem wydawało się równie łatwe jak kierowanie kutrem rybackim.

Otworzył przepustnicę do maksimum i odpłynął od zardzewiałego frachtowca. „Golden Sky” zbudowano zaledwie przed kilku laty i choć konstruktorzy mieli na względzie nie jego prędkość, lecz głównie luksus, Kovac był absolutnie pewien, że zdoła prześcignąć tamten wrak.

Zaczął się od niego z łatwością oddalać, ale tylko na kilka chwil. Frachtowiec również zwiększył prędkość, dokładnie naśladując manewr Kovaca, którego teraz zaniepokoiło, że pozornie rozsypująca się, rdzewiejąca łajba potrafi się tak szybko poruszać. Sprawdził kontrolkę napędu i zobaczył, że gdyby jeszcze bardziej obrócił tarczą, osiągnąłby punkt oznaczony jako „Moc awaryjna”.

Obrócił i obserwował, jak prędkość rośnie. Patrząc przez mostek, przekonał się, że frachtowiec powoli pozostaje z tyłu. Chrząknął zadowolony. Dopiero za godzinę lub dwie odległość się zwiększy na tyle, że będzie mógł zatrzymać statek pasażerski i spuścić łódź ratunkową, ale teraz to nie miało znaczenia.

Jakby się z nim bawiąc, potężny statek handlowy nieubłaganie przyspieszył, dorównując mu prędkością. Znów płynął w odległości mniejszej niż dziesięć metrów od „Golden Sky”. Kovac rzucił okiem na przyrządy: statek pruł po spokojnych wodach z prędkością trzydziestu węzłów. Frachtowiec w żadnym wypadku nie mógł osiągnąć tej prędkości, nie mówiąc o jej utrzymaniu przez dłuższy czas.

Frustracja Kovaca szybko przemieniła się we wściekłość. Z korytarza za mostkiem dobiegł ostry szczęk automatycznej broni, a po nim chór pisków.

Skoczył do jedynego wyjścia sterówki i odciągnął zasuwę. Pistolet trzymał w pogotowiu. Na pokrytym dywanem pokładzie leżał kapitan w rosnącej kałuży krwi, a czterej inni oficerowie kulili się w bocznym korytarzyku. Prawdopodobnie próbowali rzucić się na Bergmana, gdy wrócił. Za nimi jego pomocnik trzymał pod bronią grupkę siedmiu skulonych z przerażenia kobiet.

- Do środka! Już! - warknął Kovac i ruchem pistoletu nakazał płaczącym kobietom wejść na mostek.

Szły pilnowane przez Bergmana.

- Natychmiast przestańcie! - zażądał najstarszy z oficerów, zwracając się do porywaczy.

Kovac strzelił mu w twarz i zamknął grube metalowe drzwi mostka.

Chwytał jedną z kobiet - ciemnowłosą piękność, w której rozpoznał kelnerkę z jadalni - i pchnął ją w stronę steru. Ustawił ją na linii między sobą a frachtowcem jako żywą tarczę, w razie gdyby weszli do akcji snajperzy. Statek handlowy jeszcze bardziej zmniejszył odległość.

- Ta gra nazywa się chyba „kto pierwszy dostanie pietra”. - Skierował te słowa w przestrzeń. Gwałtownie pchnął kontrolkę steru na lewą burtę.

Przy tej szybkości statek zwinnie zareagował i dziób uderzył w bok frachtowca. Rozległ się przeraźliwy zgrzyt rozrywanego metalu. Siła uderzenia przechyliła statek na sterburtę. Kovac się zachwiał, choć był na to przygotowany. Reling na dziobie połamał się, a dwa statki tarły o siebie.

Odpadło kilkanaście balkonów przy najbardziej luksusowych kabinach, pasażerowie i załoga stracili równowagę i przewrócili się na pokład. Niektórzy odnieśli obrażenia, choć najpoważniejszym przypadkiem były złamania.

Kovac wyprowadził statek z miejsca kolizji. Frachtowiec wykonał równoległy manewr, ale tym razem zachował większą odległość; obawiano się najwyraźniej ponownego zderzenia.

Nagle Kovac wpadł na pomysł szybkiego zakończenia sprawy. Zostawił ster i poszedł po martwego oficera. Dźwignął ciało z podłogi i wyniósł na zewnątrz. Jedną ręką chwycił oficera z tyłu za pas, a drugą za kołnierz. Wyglądało to tak, jakby mężczyzna szedł o własnych siłach. Kovac przystanął na chwilę, licząc na to, że ludzie z drugiego statku go obserwują. Potem z rozpędem przerzucił ciało oficera przez reling pomostu nawigacyjnego.

Natychmiast się skrył i nie widział spadającego trzydzięci metrów w dół ciała, ale był pewien, że przeciwnicy wszystko zobaczyli. Wiedział, że nie pozwolą utonąć niewinnemu człowiekowi i akcja ratownicza zajmie im co najmniej godzinę. Cóż za ironia losu, że wstrzymają pogoń z powodu martwego człowieka.

- Raport ze szkód - krzyknął Juan, gdy dwa statki się rozdzieliły.

- Załoga już sprawdza - natychmiast odparł Max.

Ponieważ nie zdołali złapać kontaktu ze statkiem drogą radiową, zamierzali zwrócić się do załogi przez megafony. Właściciel Golden Lines był najprawdopodobniej w zмовie z Severanceem, ale z pewnością nie wciągnięto do spisku wszystkich oficerów i załogantów. Gdyby udało się przesłać im ostrzeżenie, jaki jest rzeczywisty powód obecności Zelimira Kovaca na pokładzie statku, mogliby raz na zawsze z nim skończyć.

Cabrillo spodziewał się, że kapitan może dać nogę, ale nigdy by nie przypuszczał, że celowo staranuje statek. Żaden kapitan na świecie nie narażałby swojego statku i załogi takim manewrem.

Nasuwał się logiczny wniosek.

- Kovac przejął „Golden Sky”.

Max spojrzał na prezesa i lekko skinął głową.

- To jedyne sensowne wyjaśnienie. Jak chcesz to rozegrać?

- Ustawimy się równolegle i wystrzelimy w tamtą stronę haki abordażowe. Nie wiem, ilu on ma ludzi, ale kilkunastu naszych powinno wystarczyć.

- Uwielbiam twój styl a la kapitan Blood.

- Spokój, marynarzu.

- Jeśli jeszcze raz spróbuje nas staranować, bardzo was to, chłopaki, zaboli.

- To twoje zadanie dopilnować, żeby tego nie zrobił. - Cabrillo już miał prosić Eddiego o przygotowanie grupy abordażowej, gdy Hali krzyknął:

- Przed chwilą kogoś wyrzucono z pomostu sterówki!

- Co? - spytali jednocześnie Max i Juan.

- Facet w ciemnej kurtce wyrzucił właśnie z pomostu sterówki człowieka, chyba oficera.

- Ster, cała wstecz - krzyknął Juan do interkomu. - Człowiek za burtą. Człowiek za burtą. To nie są ćwiczenia. Zespół ratunkowy do hangaru łodzi. Przygotować się do wodowania sztywnego pontonu.

- Prowadzi nieczystą grę - stwierdził Max.

- My potrafimy zagrać jeszcze bardziej nieczysto. Wepps, jak najszybciej skieruj kamery na

mostek „Golden Sky” i daj ujęcie na główny monitor.

Po chwili na monitorze pojawiły się obrazy. Ponieważ statek wycieczkowy był o wiele wyższy od „Oregon”, najlepszy widok pochodził z kamery zamontowanej na maszcie. Gdy przestawiono ją w tryb wysokiej czułości, mostek był wyraźnie widoczny. Przy wszystkich oknach bakburty stały kobiety zakładniczeki, które miały zasłaniać snajperowi linię strzału. Przy sterze ktoś przykucnął, najprawdopodobniej Kovac, przyciskający do siebie inną kobietę.

- Nie jest głupi. Juanie, nie możemy ryzykować strzału, gdy zrobił z tych ludzi żywe tarcze.

- Prezesie, tu Mike. Drzwi są otwarte, jesteśmy gotowi do wodowania.

Juan sprawdził, jak prędko płyną względem wody, poczekał chwilę, aż zwolnią i uzyskają bezpieczną prędkość, i wydał rozkaz, by Trono wyruszył ze swoim zespołem ratunkowym.

Ponton zsunął się z pokrytej teflonem pochylni i twardo uderzył w wodę. Mike natychmiast go odwrócił w lewo, żeby ułatwić przejście na szybko umykającą wodę.

- Opuściliśmy statek.

Za pomocą urządzeń termowizyjnych powinni bez problemu odnaleźć oficera. Przed wstąpieniem do Korporacji Mike Trono był komandosem ratownikiem i równocześnie przeszedł kurs sanitariusza. „Oregon” nie musiał czekać w pogotowiu na powrót pontonu.

- Sterownia, daj dziewięćdziesiąt procent poprzedniej prędkości. Gdyby zawrócił, zrównaj się z nim, ale jak zwolni, nie zmniejszaj odległości. Niech myśli, że nie możemy go dogonić. - Max zerknął na Juana pytająco. - Potrzebny nam czas na zorganizowanie grupy abordażowej, a nie chcę, żeby przyparty do muru doszedł do wniosku, że musi wyrzucać ludzi za burtę.

Cabrillo przebierał się w swojej kabinie, gdy dostał wiadomość od Halego: Mike odnalazł oficera, któremu dwa razy strzelono w klatkę piersiową. Juan spokojnie polecił, żeby łódź pozostała na wodzie, na wypadek gdyby Kovac wyrzucił z mostka żywą osobę. Ale wewnątrz gotował się z wściekłości. Nie przejmował się tym, że stracili minuty na poszukiwanie martwego ciała. „Oregon” miał taką przewagę prędkości, że „Golden Sky” w żaden sposób nie zdoła uciec.

Złościł się na siebie. Zginął niewinny człowiek, dlatego że on, Juan, zaatakował jak słoń w składzie porcelany. Powinny być inne sposoby pochycenia Kovaca i uratowania tamtych dwojga. Powinien był wymyślić lepszy plan.

Zadzwonił telefon i Juan go odebrał.

- Cabrillo - warknął.

- Natychmiast przestań - powiedziała doktor Huxley.

- O czym ty mówisz?

- Właśnie się dowiedziałam, co się stało, i wiem, że obwiniasz się o to. Mówię ci, żebyś przestał. Gdy tylko rozeszła się wiadomość, że Eos została zniszczona, Kovac zaczął się zachowywać jak szczur w pułapce. Jest zapędzony w róg, spanikował. To dlatego ten oficer zginął. Nie przez nas. Ty i ja sto razy przechodziliśmy wcześniej przez coś takiego. Nie ty jesteś za to odpowiedzialny, więc się nie obwiniaj. Dobrze?

Juan wypuścił powietrze z płuc.

- A ja tu przeprowadzam sesję monstrualnego samooskarżania i samobiczowania.

- Wiedziałam. Dlatego zadzwoniłam.

- Dzięki, Huxley.

- Idź go zabij, zanim on znowu zabije innych ludzi. Poczujesz się znacznie lepiej.

- Tak każe lekarz?

- Właśnie.

Kwadrans potem Juan był na pokładzie ze swoim zespołem. Podzielił ich na dwie grupy po sześć osób; Eddie dowodził pierwszą, on - drugą. Żeby zachować kontrolę nad statkiem, Kovac będzie musiał mieć ludzi zarówno na mostku, jak i w maszynowni, żeby załoganci nie odcięli zasilania. To będzie zadanie Eddiego. Juan chciał zachować Kovaca wyłącznie dla siebie.

Na kevlarowe obciste dresy kuloodporne wszyscy włożyli obciste stroje, które nie zaczepiały się o przeszkody i nie utrudniały ataku, oraz buty o miękkich gumowych podszewkach. Każdy z mężczyzn miał maskę przeciwigazową, ponieważ byli wyposażeni w granaty z gazem łzawiącym. Wnętrze „Golden Sky” będzie jasno oświetlone, więc w grupie tylko jeden z nich miał noktowizor.

Na statku podróżowało wielu cywili, dlatego Cabrillo kazał wziąć słabsze naboje, by nie zabijać osób stojących za celami. Miał ze sobą glocka zamiast zwykłego FN, gdyż wystrzelony z FN-a mały nabój nawet z połową prochu mógł przebić człowieka na wylot.

Haki abordażowe wystrzeliwało się z karabinków. Liny przyłączone do haków były niezwykle mocne, ale lekkie, co bardzo utrudniało wspinaczkę. Dlatego każdy z nich włożył na dłonie specjalne rękawiczki z mechanicznymi chwytakami obejmującymi jednowłóknową linę.

- Max, słyszysz mnie? - Juan mówił do mikrofonu na szyi.

- Jakbyś stał obok.

- Dobrze, daj maksymalną prędkość i nie zapomnij powiadomić Mikea. Przyspieszenie było niemal natychmiastowe. Juan zmrużył oczy przed ostrym wiatrem. „Golden Sky” znajdował się ponad trzy mile przed nimi. Oświetlona nadbudówka sprawiała wrażenie lśniącego drogiego kamienia na ciemnych wodach, a w kilwaterze pobłyskiwał eteryczny ślad fosforescencji.

„Oregon” płynął z prędkością mniej więcej o dwadzieścia węzłów większą niż tamten statek wycieczkowy, więc szybko skracał odległość.

- Kovac dostanie szau - zauważył Eddie. - Pojawiamy się jak zły szeląg.

- Szefie, wyrzucił kolejną osobę - krzyknął Hali przez radio. - To kobieta i z pewnością żywa.

- Zawiadom Mikea. Wepps, puść im serię z gatlinga jak najbliżej pomostu przypładowego. Niech Kovac wie, że jeśli jeszcze raz postawi tam nogę, rozerwiemy go na strzępy.

Odsloniła się płyta pancerna przesłaniająca karabin Gatlinga na sterburcie i broń wysunęła się z reduity, a silnik rozkręcił jej sześć obracających się luf. Gdy dała ognia, odgłos przypominał rozwalającą się na kawałki piłę tarczową. Język płomienia wystrzelił sześć metrów od burty „Oregon” i w niebo łukiem poszybował strumień dwustu pocisków ze zubożonego uranu. Przemknęły tak blisko platformy nawigacyjnej, że z metalowej barierki odprysła farba. Kule popstrzyły wodę przed statkiem mnóstwem drobnych gejzerów. „Golden Sky” błyskawicznie zmienił kurs.

- Zagrzechotaliśmy jego klatkę. - Eddie uśmiechał się radośnie.

Max utrzymywał „Oregon” w odległości trzydziestu metrów za tamtym statkiem, goniąc go po trawersie, i gdy Kovac znów próbował na nich natrzeć, Max pozostawał poza jego zasięgiem, używając dysz dziobowych, by wykonać skręt ciaśniejszy od manewru „Golden Sky”.

- Max, przygotuj się - powiedział Juan. - Wepps, na mój znak znów strzel, ale nie uderz w statek. - Poczekał, aż jego ludzie zajmą stanowiska na relingu „Oregon”. Każdy z nich miał na ramieniu karabinek z hakami abordażowymi. - Celuj w główny pokład. Max, ruszamy!

„Oregon” pruł w kierunku liniowca, w kilka sekund dwukrotnie zmniejszając dzielącą oba statki odległość.

- Ognia - rozkazał Juan i gatling znów zazgrzytał, podczas gdy zespół desantowy wystrzelił liny abordażowe.

Dwanaście haków poszybowało nad przepaścią i gdy atakujący szarpnęli za liny, przekonali się, że wszystkie solidnie się zaczepiły. „Oregon” podpłynął jeszcze bliżej, niemal ocierał się o tamten statek, żeby ludzie się nie poranili, przechodząc na drugą stronę. Gatling utrzymywał mostek wroga pod ciągłym strumieniem ognia.

- Start!

Juan mocno chwycił linę, skoczył przez reling i mknął nad przepaścią z coraz większą prędkością. Z tyłu za nim „Oregon” ostro skręcił i odpłynął. Juan celował butami ponad długi rząd okien; doskonale wymierzył odległość. Stopami uderzył w szybę i z impetem wpadł do pustej jadalni, oszczędzając sobie mozołu wspinaczki po linie. Jego zespół miał się zaczepić na zewnątrz mostka, gdyby się rozdzielili.

Odpiął zawieszony na plecach MP-5. Umieścił broń wysoko na ramieniu, by mieć stały widok z celownika, i klucząc ostrożnie między stolikami, zmierzał do drzwi.

Wyszedł na półpiętro atrium. Pasażerowie kłębili się, ciągle oszołomieni po kolizji statków. U podnóża schodów leżał mężczyzna, którym opiekowały się dwie kobiety. Starsza dostrzegła Juana i krzyknęła.

Podniósł lufę pistoletu uspokajającym gestem.

- Panie i panowie, statek został porwany - oznajmił. - Działam z ramienia Organizacji Narodów Zjednoczonych w zespole uwalniającym zakładników. Proszę natychmiast wrócić do kabin i przekazać innym pasażerom, żeby zostali w swoich kabinach do czasu oswobodzenia statku.

Podszedł do niego mężczyzna w cywilu.

- Jestem Greg Turner, drugi mechanik. Czy mógłbym się do czegoś przydać?

- Proszę wskazać najkrótszą drogę na mostek i dopilnować, żeby ci wszyscy ludzie poszli do swoich kabin.

- Czy sytuacja jest bardzo zła? - spytał Turner.

- A słyszał pan kiedyś o dobrym porwaniu?

- Przepraszam. Głupie pytanie.

- Drobiazg.

Turner wskazał Juanowi kierunek i dał mu kartę magnetyczną pozwalającą wejść do pomieszczeń służbowych. Cabrillo ruszył kłusem. Gdy dotarł do drzwi z napisem „Wejście zabronione”, przesunął kartę w czytniku, a potem otwarte drzwi przyblokował donicą z paprocią, by mogła się tędy przemknąć reszta zespołu. Oceniał, że są minutę za nim.

Szybko minął bardzo długi rząd kabin i wbiegł po dwóch segmentach schodów. Wynurzył się w korytarzu prowadzącym na mostek. Gdy powoli zbliżał się do drzwi, uruchomił laserowy celownik. Przystanął, bo usłyszał głosy dochodzące z kabiny kilka drzwi dalej od wejścia na mostek.

- Kapitanie? - spytał cicho.

Głosy umilkły i ktoś wyjrzał zza framugi. Juan zobaczył jedno oko rozszerzone z przerażenia.

- Proszę się nie bać - powiedział łagodnie. - Przyszedłem, żeby go powstrzymać. Czy mógłbym mówić z kapitanem?

Postać całkowicie wyłoniła się zza rogu. Kobieta miała na sobie mundur i, sądząc po paskach na naramiennikach, była pierwszym oficerem „Golden Sky”. Ciemne włosy sięgały jej do brody, a idealna opalenizna podkreślała miodowy odcień piwnych oczu.

- Ten oprych zabił kapitana i trzeciego stewarda. Jestem Leah Voorhees, pierwszy oficer.

- Porozmawiajmy tam. - Juan wskazał kabinę z tyłu za kobietą. Wszedł za nią do środka. Na łóżku zobaczył dwóch leżących nieruchomo ludzi, przykrytych prześcieradłami. Jeden z nich miał ciemną krwawą plamę w okolicy klatki piersiowej, drugi - na głowie.

Leah Voorhees chciała przedstawić go pozostałym oficerom, ale Juan jej przerwał.

- Później. Proszę mi powiedzieć, co pani wie o wydarzeniach na mostku.

- Jest ich tam dwóch - odparła natychmiast. - Jeden nazywa się Kovac, drugi nie wiem jak. Trzeci zabarykadował się w maszynowni.

- Ma pani pewność, że na dole jest tylko jeden? - Gdy skinęła głową, Juan przez radio przekazał informację Eddiemu. - Proszę mówić dalej.

- Przylecieli na statek helikopterem niedługo po wyjściu statku ze Stambułu. Dostaliśmy polecenie od armatora, żeby robić to, co każe Kovac. Szukali jakoby dwóch pasażerów na gapę, których podejrzewali o zamordowanie jednego z pasażerów.

- Ci gapowicze należą do mojego zespołu. Nikogo nie zamordowali - zapewnił ją Juan. - Czy wie pani, gdzie są teraz?

Bez zastrzeżeń zaakceptowała wyjaśnienia Juana.

- Zostali niedawno wytopieni i zamknięci w biurze kapitana, tuż za mostkiem.

- W porządku. Co jeszcze?

- Gdy przejął statek, na służbie było dwóch marynarzy oraz dwóch oficerów. Wzięli kilka zakładniczek spośród pasażerów. Kim pan jest? Jak pan się tu znalazł?

- To jest misja Organizacji Narodów Zjednoczonych. Od pewnego czasu śledzimy tę grupę terrorystów. Kovac nas zaskoczył, gdy wszedł na ten statek, więc musieliśmy działać szybko. Przykro mi, że nie mogliśmy was poinformować, i proszę wybaczyć, że zostaliście wystawieni na niebezpieczeństwo. Chcieliśmy złapać Kovaca wcześniej, ale, wie pani, ONZ to biurokracja, nieróżniąca się od innych.

Nagle pojawili się pozostali członkowie grupy Juana i błyskawicznie sprawdzili kabinę, pstrząc ją kropkami światła laserowego.

- W porządku, chłopaki - zawołał Juan i wszyscy opuścili pistolety. Przekazał im to, czego się dowiedział, potem poprosił Leah, żeby narysowała schemat mostka. Wywołał Maksa. - Zdaj raport z sytuacji.

- Mike wyłowił kobietę z wody. Nic jej nie jest, choć trochę histeryzuje. Kovac nadal stoi na mostku otoczony trzema zakładnikami. Namierzyliśmy trzeciego bandytę, ale teraz go nie widać. Trzy inne kobiety są przyparte do okien.

- Odpłyńcie od „Golden Sky” i ustawcie się bezpośrednio przed nim, żebyście mieli wyraźny widok na to, co się tu dzieje. Mark i Linda są uwięzieni w biurze za mostkiem. Może ci się uda ich znaleźć.

- Rozkaz!

Eddie przekazał przez radio wiadomość, że są na miejscu i będą musieli wysadzić drzwi, żeby wejść do maszynowni. Juan kazał im poczekać, by mogli skoordynować atak.

Max odezwał się przez radio:

- Widzę drzwi w tylnej ścianie mostka, teraz są zamknięte, ale mogę się założyć, że to tam. Kovac przesunął trzy żywe tarcze do głównych okien mostka. Jego pomagier jest w małym korytarzu po stronie sterburty; stoi przy głównym wejściu, jak mi się wydaje.

Na szkic, który narysowała pierwszy oficer, Cabrillo naniósł pozycje wszystkich osób na mostku, żeby jego ekipa wiedziała, czego się spodziewać. Na razie nigdy im się nie zdarzyło coś, co eufemistycznie określa się „stratami towarzyszącymi”. Z tego wyniku Cabrillo był niezwykle dumny i przysiągł, że to utrzyma.

W następstwie ataków terrorystycznych, do których doszło jedenastego września 2001 roku, wzmocniono drzwi kokpitów w samolotach, ale również na większości statków pasażerskich zainstalowano dodatkowe zabezpieczenia mostka. Juan umieścił plastikowy materiał wybuchowy na drzwiach i odsunął się od kabiny. Powiadomił Eddiego i Maksa, że spróbują wejść za trzydzieści sekund.

Wpatrywał się w zegarek. Gdy zostało pięć sekund, uniósł rozczapierzoną dłoń i przy każdej upływającej sekundzie zaginał jeden palec, a potem drugą ręką nacisnął guzik pilota.

Wybuch wypełnił korytarz śmierdzącym białym dymem i brutalnie zaatakował ich wszystkie zmysły. W niecałą sekundę po tym, jak przetoczyła się fala uderzeniowa, Cabrillo ruszył naprzód i promień jego lasera ciął rubinowymi liniami kłębiącą się mgłę.

Wpadł na mostek, wspierany z tyłu przez zespół, przemknął przez czerwone, gorące szczątki drzwi, nie zwracając uwagi na krwawą pozostałość po Lairdzie Bergmanie.

- Padnij! Wszyscy padnij! - powtarzali atakujący, przeczesując pomieszczenie laserową bronią.

Kovac zareagował szybciej, niż Juan się spodziewał. Gdy nazaczył Serba swoim laserem, ten pociągnął przed siebie jedną z kobiet i przystawił jej pistolet do ucha.

- Jeszcze krok, a ona zginie - ryknął.

Juan osłupiał, widząc, kim jest zakładniczka. Kovac musiał wiedzieć, że należała do jego drużyny, skoro wyciągnął Lindę Ross z biura kapitana i użył jej jako tarczy.

- To koniec, Kovac. Puść ją.

- Koniec z nią, jeśli ruszysz choćby jednym mięśniem. - Dla podkreślenia, że mówi poważnie, mocniej przycisnął pistolet do jej ucha. Linda pokonała ból, ale nie potrafiła stłumić jęku. - Rzuć broń, bo ona umrze.

- Jeśli to zrobisz, za sekundę pójdziesz w jej ślady.

- Wiem, że już jestem trupem, więc co za różnica? Ale czy nie martwiłoby cię, że tak młode życie zostanie niepotrzebnie przerwane? Masz pięć sekund.

- Zastrzel go! - krzyknęła Linda.

- Wybacz - powiedział Juan i wypuścił pistolet z dłoni. Serce mu krwawiło, gdy widział wyraz jej twarzy. - Wszyscy rzucić broń.

Jego ludzie opuścili pistolety na podłogę.

Kovac odsunął pistolet od głowy Lindy i wycelował go w Juana.

- Mądry ruch. Teraz bądź tak miły, przeskocz przez reling i wróć na swój statek. Jeśli nadal będziesz mnie ścigał, zacznę wyrzucać pasażerów za burtę, tylko tym razem zwiążę im ręce.

Pchnął Lindę w ramiona Juana.

W odległości prawie kilometra przed statkiem „Golden Sky” Franklin Lincoln stał na rufie „Oregon” i obserwował całą scenę przez teleskopowy wizjer swojej ulubionej broni - snajperskiej barretty kaliber 50.

- Pa, pa!

Gdy Kovac całą uwagę skupiał na prezesie, człowiek Juana ledwo widocznymi ruchami dłoni skłonił kobiety, ustawione przy oknach, by położyły się płasko na podłodze - chciał zapewnić

Lincolnowi czystą linię strzału.

Na mostku słyszeli tylko cichy brzęk, gdy kule przebijały pancerną szybę. Gdy trafiły Kovaca, odgłos był zupełnie inny - mięsisty dźwięk młotka uderzającego w dywan. Z jego piersi trysnęła fontanna krwi, gdy kula weszła w ciało z taką energią kinetyczną, że zostało pchnięte ponad półtora metra w przód.

- Wątpiłaś we mnie? - Juan uśmiechnął się do Lindy.

- Powinnaś się domyślić, gdy nie zobaczyłam z wami Lincolna - odparła z przekornym uśmiechem. Odzyskała spokój. - Przypuszczam, że to on.

- Nie znam nikogo innego, komu mógłbym zlecić taki bezcenny strzał.

- I co? - zgłosił się Max.

- Pogratuluj Lincolnowi. Trafił prosto w cel. Linda ma się dobrze. - Juan wyciągnął z ucha mikrofon i przerzucił radio na tryb głośnika, żeby wszyscy mogli słyszeć.

- Cześć, Max - powiedziała.

- Jak się masz, złotko?

- Dobrze, gdyby nie to cholerne przeziębienie.

Uwolniono Marka z biura kapitana i przecięto mu elastyczne kajdanki na nadgarstkach i w kostkach nóg. Ucisnął Juanowi dłoń, uśmiechając się szeroko.

- Właśnie tak sobie myślałem - podjął Max - że powinniście sprawdzić pralnię. Chyba znajdziecie tam urządzenie, za pomocą którego zamierzali rozsiać wirusa.

Uśmiech zniknął z twarzy Marka. Chłopak się naburmuszył. Ukradziono mu chwilę chwały.

Juan doskonale wiedział, co tamten czuje. Mark również odkrył, na czym polegał mechanizm spisku, i niewątpliwie zamierzał swoją bystrością zrobić wrażenie na urodziwej pannie Dahl. Cabrillo nie miał serca, by powiedzieć Markowi, że jego konkurentem jest teraz prawdziwy astronauta. Mógł iść o zakład, że nikt bardziej niż taki mężczyzna nie zaimponuje dziewczynie.

Epilog

W ciągu kilku tygodni po katastrofie na wyspie Eos starość dopadła wreszcie Lydella Coopera. Przez dziesięciolecia wydał miliony na przywracanie sobie młodości, poddawał się operacjom plastycznym i przeszczepom narządów, które uzyskiwano dla niego, łamiąc prawo. Teraz jednak to nie ciało go zawodziło. Zawodził umysł.

Nie potrafił zaakceptować ostatecznej porażki. Porażony rozmiarem klęski, żył w oszołomieniu.

Jego córka Heidi przejęła inicjatywę już wtedy, gdy lecieli do Turcji. Kazała pilotowi zmienić trasę i skierować samolot do Zurychu. Tam wyjęła pieniądze z kilku kont bankowych responsywidów, a gotówkę zamieniła na akcje zakupione przez fikcyjną firmę, którą bank zarejestrował na jej polecenie. Wiedziała, że skoro Eos została zniszczona, władze aresztują wszystkich ważniejszych członków organizacji. Dlatego, aby pozostać na wolności, musiała wraz z siostrą gdzieś się ukryć.

Cooper chciał się ukryć razem z nimi, ale powiedziała mu, że ma on jeszcze do załatwienia wiele spraw w Stanach, a ponieważ jako doktor Adam Jenner jest znanym w świecie krytykiem responsywizmu, pozostaje poza podejrzeniami.

Wrócił więc do kraju głównie po to, by w Los Angeles opróżnić skrytki depozytowe, o których FBI nie wiedziało. Gdy przejeżdżał taksówką obok wielkiego domu w Beverly Hills, zobaczył rozciągniętą taśmę policyjną wokół ogrodzenia i radiowozy z umundurowanymi policjantami stojące na podjeździe.

To był kres marzeń. Całkowity.

Greckie władze zamknęły kompleks responsywidów w Koryncie, a z różnych krajów na całym świecie wyrzucano prowadzone przez nich kliniki. Choć media nie wspominały o spisku mającym na celu sterylizację połowy żyjących na Ziemi ludzi, wysunięte oskarżenia o korupcję spowodowały gwałtowną reakcję, wciąż przybierającą na sile. Słynni członkowie grupy, tacy jak Donna Sky, wyparli się głoszonej przez responsywidów wiary, twierdząc, że poddano ich praniu mózgow, by wsparli grupę finansowo.

W ciągu dwóch tygodni życiowe osiągnięcia Coopera stały się pożywką dla prześmiewców z nocnych programów telewizyjnych. Cooper zamknął praktykę Jennera, z radością oznajmiając innym psychologom, z którymi dzielił przychodnię, że wykonał swoje zadanie i odchodzi na emeryturę, ale tak naprawdę wewnątrz stopniowo gasł. Wystawił swój dom na sprzedaż, zlecając agentowi, by zaakceptował pierwszą ofertę.

Zamiast żyć w chwale jako słynny doktor Lydell Cooper w świecie, któremu nadał wymarzony przez siebie kształt, zmuszony był odejść na emeryturę i w zapomnienie jako Adam Jenner.

Wrócił do domu w dniu poprzedzającym wylot do Brazylii, która miała bardzo luźny układ o ekstradycji ze Stanami Zjednoczonymi. Już dawno kazał wymienić w drzwiach tradycyjny zamek na klucz na klawiaturę cyfrową, łatwiejszą w obsłudze powykręcany przez artretyzm palcami. Nacisnął kod i wszedł do środka, łokciem zamykając za sobą drzwi. Firma zajmująca się

przeprowadzkami spakowała trochę jego rzeczy osobistych, które chciał wziąć ze sobą. Cała reszta wyposażenia miała być sprzedana wraz z domem.

Przeszedł przez hol do gabinetu, by sprawdzić na laptopie ostatnie wiadomości. Gdy wszedł, ciężkie drewniane drzwi zamknęły się za nim. Odwrócił się. Przed nim stał obcy mężczyzna.

Gdyby w pełni, jak dawniej, panował nad sobą, kazałby mu wynosić się z domu. Teraz jednak niemo wpatrywał się w intruza szeroko otwartymi oczyma.

- Doktor Jenner, jak sądzę?

- Tak. Kim pan jest? Czego pan chce?

- Niedawno zapłaciłem panu dużo pieniędzy, by pomóc jednemu z moich przyjaciół.

- Odszedłem na emeryturę. Wszystko się skończyło. Proszę wyjść.

- I co pan czuje? - spytał nieznajomy. - Responsum umarł. Pan zwyciężył. Musi pan czuć satysfakcję.

Cooper nie mógł wydobyć z siebie głosu. Dwie osobowości przenikały się nawzajem w jego umyśle. Nie wiedział już, co czuć, jak działać.

- Wie pan co? - ciągnął mężczyzna. - Sądzę, że nie jest panu z tym dobrze. Właściwie jestem pewien, że czuje się pan przegrany, bo wiem o czymś, co mogłoby zaskoczyć wielu ludzi.

Cooper domyślał się, co nadchodzi. Usiadł ciężko na kanapie. Jego sztucznie młodzieńcza twarz miała barwę popiołu.

- Nawet gdyby na Eos nie podsłuchano pana chełpliwej rozmowy z Kovacem, chyba i tak bym się tego domyślił. Pan był jedyną osobą, która mogła zdradzić nas w Rzymie. Myśleliśmy, że Kyle mógł mieć ukryty nadajnik, ale teraz wiemy, że go nie miał. Nie wiedział, dokąd go zabierają, więc w żaden sposób nie mógł wysłać ostrzeżenia do Kovaca, by go odbił.

Prawda wyszła na jaw. Cooper siedział sztywno na kanapie.

- Tak było. Zadzwoiłem, sprowadziłem Kovaca do Rzymu i podałem mu adres hotelu, gdy przyjechałem tam i zostałem sam z dzieciakiem. To pan stoi za atakiem na Eos?

Nieznajomy skinął głową.

- Również my odkryliśmy wirusa na „Golden Sky” i w pralniach czterdziestu dziewięciu innych statków wycieczkowych. Pięćdziesiąt pojemników zostało przekazanych do Maryland, do laboratorium niebezpiecznych materiałów biologicznych.

- Czy nie rozumie pan, że świat jest skazany na zagładę? Mógłbym uratować ludzkość.

Mężczyzna się zaśmiał.

- A wie pan, ilu świrów przez ostatnich sto lat twierdziło, że świat jest skazany na zagładę? W latach osiemdziesiątych ubiegłego wieku miała się nam skończyć żywność. W latach dziewięćdziesiątych miały się wyczerpać zasoby ropy naftowej. Ludność świata miała osiągnąć liczbę dziesięciu miliardów do roku 2000. Wszystkie z tych prognoz okazały się fałszywe. Cóż, w 1900 roku chciano zlikwidować urząd patentowy w Stanach Zjednoczonych, ponieważ jakoby wynaleziono już wszystko, co było do wynalezienia. Zdradzę panu mały sekret: nie można przewidzieć przyszłości.

- Myli się pan. Wiem, co nadejdzie. Wie to każdy, kto ma choć odrobinę oleju w głowie. Za pięćdziesiąt lat cywilizacja zostanie zmieciona wzbierającą falą przemocy, gdy państwa uzmysłowią sobie, że nie są w stanie utrzymać swojej ludności. Zapanuje anarchia na skalę biblijną.

- To zabawne, że wspomniał pan akurat o tym. - Nieznajomy wyciągnął zza pleców pistolet. - Zawsze podobała mi się biblijna sprawiedliwość. Oko za oko, coś w tym rodzaju.

- Nie może pan mnie zabić. Niech mnie pan aresztuje. Postawi przed sądem.

- Żeby dać panu okazję do wygłaszania obłąkańczych idei? Nic z tego.

- Proszę!

Pistolet wystrzelił. Cooper poczuł uderzenie i gdy ruszył ręką, wyczuł na szyi coś wystającego ze skóry, ale niesprawnymi, wykrzywionymi palcami nie mógł tego wyrwać.

Cabrillo obserwował przez dziesięć sekund, jak środek usypiający uwalnia się do ciała Coopera. Gdy jego oczy się zamknęły i doktor bezwładnie osunął się na oparcie kanapy, Juan podniósł do ust mikrofon. Za chwilę duża karetka zatrzymała się na podjeździe i dwaj sanitariusze wyskoczyli tylnymi drzwiami, pchając nosze na kółkach.

- Jakież problemy? - spytał Eddie. Wraz z Franklinem Lincolnem popychał nosze.

- Nie, ale po rozmowie z nim mam ochotę wziąć prysznic. Spotkałem w życiu paru świrów, ale ten bije wszystkich na głowę.

Lincoln ostrożnie podniósł Coopera z kanapy i położył na noszach. W kuchennej szufladzie Cabrillo znalazł paszport Coopera i bilet do Rio de Janeiro w jedną stronę. Potem szybko opuścili dom. Z domu obok wyszła kobieta, by sprawdzić, co się dzieje.

- Dostał ataku serca - poinformował ją Juan, przytrzymując drzwi ambulansu, by Lincoln mógł wsunąć nosze.

Czterdzieści minut później ambulans zajeżdżał na lotnisko w Los Angeles, a po dziesięciu godzinach gulfstream Korporacji wylądował na lotnisku w Gardermoen, niecałe pięćdziesiąt kilometrów na północ od Oslo w Norwegii.

W poczekalni na lotnisku spotkali się z Jannike Dahl. Zgodziła się, by Stone odwiózł ją do domu. Gdy zaproponowała, że pokaże mu Oslo, a on odmówił, twierdząc, że musi wracać na statek, Juan wziął go na bok i wyjaśnił, że dziewczyna wcale nie jest zainteresowana pokazywaniem mu miasta. Eric, zdziwiony, spytał, czego Jannike w takim razie chce, i prezes musiał mu bez ogródek powiedzieć, czego dziewczyny oczekują od chłopaków. Czerwony z zakłopotania i nie powściąganego entuzjazmu Eric pospiesznie przyjął jej zaproszenie.

Musieli przesiąść się do samolotu odrzutowego do Tromsø, na dalekiej północy Norwegii, a potem lecieć helikopterem, by wreszcie dotrzeć do celu. Cooper przez cały ten czas pozostawał w uśpieniu, a jego stan bacznie monitorowała Julia Huxley.

Lodowiec skrzył się w jasnym świetle letniego popołudnia, błyszczał jak najczystszy kryształ ze szkła ołowiowego. W pobliskiej dolinie temperatura wahała się wokół trzynastu stopni Celsjusza, ale na powierzchni lodowca wynosiła tylko nieco powyżej zera.

Lecieli z Georgem Adamsem helikopterem MD-520N - następcą małego robinsona. Ta maszyna była większa oraz znacznie mocniejsza i szybsza od poprzedniej, choć należało w niej dokonać pewnych modyfikacji, by ją dostosować do potrzeb Korporacji. A ponieważ spaliny silnika były odprowadzane przez ogon, równoważyły moment obrotowy głównego wirnika i mniejszy wirnik nie był potrzebny, więc ten helikopter był znacznie cichszy od robinsona. „Oregon” kotwiczył tuż przy brzegu i Adams miał ich tam zawieźć, gdy już będzie po wszystkim.

Cooper częściowo się rozbudził, gdy wylądowali, ale dopiero po upływie piętnastu minut zrozumiał w pełni, gdzie się znajduje.

- Gdzie jesteśmy? Co zrobiliście?

- Z pewnością rozpoznaje pan to miejsce, doktorze Cooper - powiedział Juan z miną niewiniątka.

- A może jednak i nie rozpoznaje. Przecież był pan tu ostatnio ponad sześćdziesiąt lat temu.

Cooper patrzył pustym wzrokiem.

- Jedna sprawa nie dawała mi ciągle spokoju - mówił Cabrillo. - Jak wirus odkryty przez nazistów, a potem przekazany ich japońskim sojusznikom trafił do pańskich rąk. Nie było żadnych zapisków o jego odkryciu ani o przewiezieniu go na Filipiny, niczego, co by dawało jakąkolwiek wskazówkę, co tu znalezione.

- Nasuwało się jedno sensowne wyjaśnienie - ciągnął Juan. - To pan go odkrył. Istnieją dość obszerne archiwa, zawierające wiele szczegółów na temat okupacji Norwegii przez nazistów, i mój zespół odkrył interesujące fakty. Czterosilnikowy samolot zwiadowczy kondor został zestrzelony na tym lodowcu w nocy dwudziestego dziewiątego kwietnia 1943 roku. Zginęli wszyscy członkowie załogi z wyjątkiem jednego, strzelca pokładowego Ernsta Kesslera.

Cooper skrzywił się, słysząc to nazwisko.

- Zafrapowało mnie to, że „Kessler” po niemiecku znaczy mniej więcej to samo co „cooper” po angielsku. Przypadek, prawda? A wydawnictwo, które pan założył, żeby opublikować swoją książkę, nazywało się... proszę mi przypomnieć. Raptor-Press?* Czy to zbieg okoliczności, że kondor jest ptakiem drapieżnym? Nie sądzę.

*Kessler (niem.) - kotlarz; cooper (ang.) - bednarz. Raptor (ang.) - drapieżnik.

Cabrillo otworzył drzwi helikoptera i wypchnął Kesslera vel Coopera na lód. Dotychczas Juan odnosił się do Coopera dość łagodnie, niemal uprzejmie. Ale nagle ogarnęła go wściekłość.

- Odkryliśmy również, że po katastrofie samolotu Ernst Kessler został przyjęty do gestapo i przeszedł przeszkolenie medyczne w uroczym miejscu o nazwie Auschwitz. Ostatnim rozkazem przed końcem wojny przeniesiono go do niemieckiej ambasady w Tokio. Przypuszczam, że to przykrywka dla twojej działalności w Jednostce 731 na Filipinach. Powinieneś zginąć tamtej nocy i zaoszczędzić światu wielu nieszczęść, ty chory opętańcu. Miałem do czynienia z zabójcami al Kaidy, z sowieckimi oprawcami i z wszelkiego rodzaju mętami, ale ty jesteś najbardziej nikczemną kreaturą, jaką spotkałem. Mogłeś ujawnić światu wspaniałe odkrycie archeologiczne, inspirację dla jednej z najwspanialszych opowieści biblijnych, ale tobie zależało tylko na tym, by siać śmierć. No więc, Kessler, zbierzesz, co zasiałeś. A gdy dziś przy kolacji pomyślę o tym, jak zamarzasz na śmierć, będę się głośno śmiał. - Cabrillo zamknął drzwi helikoptera. - Lecimy.

- Co się teraz stanie? - spytała Julia, gdy maszyna pomknęła nad skrajem lodowca i wleciała nad otwarte wody.

- Umrze.

- Pytałam o arkę.

- Ach, o to. Już skontaktowałam się z Kurtem Austinem z NUMA. Powiedział, że zamierzają przekonać jakoś rząd norweski, żeby pozwolił im dokładnie zbadać lodowiec. Miała obite miedzią dno, więc nie powinno być problemów z jej odnalezieniem.

- Ciekawe, co znajdą.

Juan spojrzał na nią rozmarzony.

- Kto wie, może wszystkie stworzenia świata dobrane w pary.

Max Hanley siedział na ławce w pobliżu obserwatorium w Griffith Park górującym nad Los Angeles. Nagle na twarz padł mu cień i gdy Max podniósł wzrok, zobaczył Kylea. Gestem wskazał mu miejsce obok siebie. Czuł, jak z chłopca promieniuje złość, jak fale ciepła.

Kyle patrzył w dal, a Max przyglądał mu się z profilu. Chłopiec miał wiele z matki, ale Max dostrzegał w nim również coś z siebie. Pojedyncza łza spłynęła po policzku Kylea, a potem jakby otworzyła się tama, Kyle zaczął płakać. Dławił się głębokim szlochaniem, jakby rozrywała mu się dusza. Przywarł do ojca i Max objął go ramionami.

- Przepraszam, tato - łkał.

- A ja ci wybaczam. Bo ojcowie wybaczą.®